

ERIC VAN LUSTBADER

CZARNE OSTRZE

ŚWIĄTYNIA

TOKIO—NOWY JORK

Pająk Wodny wyłonił się z niebieskawych zimowych cieni po drugiej stronie sadzawki niemal niezauważalnie. Bezszelestnie, jakby unosząc się w powietrzu, przemknął po wystających z nieruchomej wody kamieniach — był to widok piękny, a zarazem budzący grozę.

Płaskie szare kamienie porastał mech, zbrązowiały o tej porze roku, ale wydawało się, że Pająk Wodny w ogóle nie zakłóca zimowej drzemki roślinności.

Sadzawka znajdowała się w niewielkim ogrodzie o doskonałej kompozycji, otoczonym przez tokijskie wysokościowce, które pięły się w niebo niczym futurystyczny las. W ogrodzie przebywało dwoje ludzi: mężczyzna w ciemnoszarym prążkowanym garniturze i ciemnych pantoflach, ze złotym zegarkiem na ręku, oraz kobieta w jedwabnym kimonie. Mężczyzna stał w pobliżu potężnego głazu na szczycie pagórka porośniętego azaliami. Za nim, po prawej stronie, klęczała kobieta z pochyloną głową, śnieżnobiałymi dłońmi złożonymi skromnie i zamkniętymi oczami. Zdawało się, że tak jak azalie zapadła w hibernacyjny sen. Przed nią stała czarna taca z laki, zastawiona akcesoriami niezbędnymi do cianoju — ceremonii parzenia herbaty. Srebrne kimono Japonki zarzyło się w białych promieniach słońca, a czerwone i czarne pióra wyhaftowanych feniksów drżały z każdym jej ruchem.

Naoharu Nishitsu był wysportowanym, dobrze zbudowanym mężczyzną po sześćdziesiątce. Miał schludny wąsik i krzaczaste brwi, a tęczęwka jego prawego oka była całkowicie biała; nie mlecznobiała, jak czasami widuje się u niewidomych, ale o perłowym połysku.

Za plecami Nishitsu i jego towarzyszeki wznosił się jeden z budynków klubu „Zakazane Sny”. Tam, w wysłanym tatami pokoju, kryli się mężczyźni w ciemnych garniturach i przeciwsłonecznych okularach. Bez wątplenia mieli zarejestrowaną broń, a ich twarze napiętnowane były tym morderczym wyrazem, który cechuje wszystkich ludzi do wynajęcia. Nishitsu nigdy nie rozstawał się z zespołem ochroniarzy, nawet tutaj, w „Zakazanych Snach”, gdzie jego słowo było prawem.

Mówiono, że człowiek ten nigdy nie podnosi głosu, ale właściwie nie musiał tego robić; jego gniew manifestował się fizycznie. Był częścią jego zastraszącej pozy. Ale trzeba przyznać, że Nishitsu nie brakowało siły: można ją było porównać z siłą grawitacji wokół czarnej dziury.

— Wezwałeś mnie, więc przyszedłem — powiedział Pająk Wodny, gdy stanął na pagórku.

Nazywał się Mizusumashi Kafu i nosił przydomek „Pająk Wodny”, ale przyjaciółom i wrogom znany był jako Suma. Miał twarz drapieżnego ptaka, grasującego, jakby nie obowiązywały go prawa grawitacji, szpakowate włosy, skórę ogorzałą od słońca i wiatru. Pod krzaczastymi brwiami kryły się oczy, które wyglądały jak dziury w twarzy, ponieważ nigdy się nie poruszały, jednakże rejestrowały wszystko, co znajdowało się w ich zasięgu.

Suma ubrany był w czarne spodnie, buty na cienkich jak papier podszewkach i dopasowaną czarną bawełnianą koszulkę, która podkreślała muskulaturę ciała. Doskonale potrafił maskować towarzyszący mu ciągle niepokój. Suma był bardzo drobny, nawet jak na Japończyka. Nie cierpiał z tego powodu; niewielki wzrost uczynił atutem, dzięki któremu w bezpośredniej konfrontacji zyskiwał przewagę. Zdaniem Nishitsu, przeciwników Pajaka Wodnego wyprowadzała w pole jego krucha, niemal kobieca sylwetka. Sumę cechowało rzadkie połączenie *koba* — chęć doświadczania duchowych aspektów męskości i *ninkyō* — osobistego kodeksu honorowego. *Ninkyō* zdecydowanie różniło się od zachodniego pojęcia sprawiedliwości, bezosobowej i obiektywnej; zależało całkowicie od jego stosunku do Stowarzyszenia Czarnego Ostrza.

Rytuał picia herbaty był długi, skomplikowany, a jednocześnie odprężał, bardziej bowiem niż wszelkie słowa potwierdzał szacunek, jakim darzyli

się uczestniczący w nim mężczyźni. Pająk Wodny nie przywiązywał nadmiernej wagi do towarzyskich niuansów, jednakże tak samo jak Nishitsu rozkoszował się ceremonią. Potrafił również docenić zręczne, precyzyjne ruchy kobiety, która przyrządzała herbatę, podawała ją, przemykając w strojnym kimonie niczym oszłamiające origami, i w milczeniu czekała na opróżnienie filiżanek, by napelnić je ponownie. Zazdrościł Nishitsu; nienaganna postawa kobiety w tych nowoczesnych czasach była rzadkością.

— Toshin Kuro Kosai, Stowarzyszenie Czarnej Ostrza, wita cię z powrotem w swoim gronie, Suma-san. — Nishitsu odstawił filiżankę.

Suma schylił głowę odrobinę niżej niż Nishitsu, okazując w ten sposób wymagany szacunek.

— Wezwałeś mnie — powtórzył. — Coś się stało.

— Rzeczywiście, coś się stało.

Czy człowiek z zewnątrz uwierzyłby w moc przyczajoną w tej świątyni niczym duch szeptu? — pomyślał Nishitsu. — My, jądro stowarzyszenia, mamy dar, który pozwala rozsunąć sieć nieograniczonej władzy, a działające z ukrycia Toshin Kuro Kosai bez przeszkód dąży do podboju świata.

Nikt by w to nie uwierzył i na tym polega nasza przewaga. Nikt nam nie przeszkadza, nikt się nie sprzeciwia.

Jednak chyba nawet dla nas coś się zmieniło. Kiedyś mieliśmy dużo czasu — daleko więcej niż zwyczajny człowiek—na sformułowanie doskonałego planu podboju, podboju niewyobrażalnego dla umysłów ograniczonych.

A teraz Czas, któremu tradycyjnie się wymykaliśmy, stał się czynnikiem decydującym; podkrađa się do nas niczym ohydny demon, jakbyśmy byli zwykłymi śmiertelnikami. Implikacje są zatrważające. Wszystkie nasze marzenia, przez dziesięciolecia budowane w mroku tajemnicy, rozwijają się, gdy padniemy ścięci wielką kosą Czasu.

Oczywiście, Nishitsu nie wypowiedział tego głośno. Rzekł tylko:

— Suma-san, wydaje się, że nadszedł czas, byś zaprezentował swe umiejętności w Ameryce.

W powietrzu rozległ się dźwięk przypominający granie cykady, ale zimą przecież nie było owadów. Nishitsu zdał sobie sprawę, że to Suma wydał ów dziwny odgłos.

— Zrobię, co każeś - powiedział Pająk Wodny.

— Zadanie jest skomplikowane, a jego realizacja może potrwać kilka miesięcy.

— Tym lepiej. - Suma wyglądał tak, jakby miał zamiar łakomie się oblizać.

— Jest pewien problem. Będziesz musiał współpracować z agentem, który jest już na miejscu.

Suma zmarszczył brwi.

— To jest sprzeczne z ustalonymi wcześniej regułami.

— Odmienne czasy dyktują odmienne reguły — rzucił ostro Nishitsu.

— Musimy się dostosować, tak jak wierzba dostosowuje się do zmian pogody.

— *Hai!* — Suma uklonił się. — Zrozumiałem.

— Mam nadzieję, że naprawdę zrozumiałeś, ponieważ nadciąga burza. Okoliczności wymusiły na nas rozpoczęcie ostatniego etapu i każdy krok, jaki teraz czynimy, może okazać się krytyczny.

— Nie zawiodę cię, Nishitsu-san.

— Nie — powiedział Nishitsu, patrząc na pochyloną w ukłonie głowę Pająka Wodnego. — Nie sądzę, byś miał mnie zawieść.

Lawrence Moravia leżał na dywanie, który kosztował więcej, niż wnoszą roczne dochody wielu ludzi. Nie było w tym nic dziwnego — dla niego dywan był symbolem, jednym z wielu, które zgromadził wokół siebie. Czuł, że ma obowiązek wspierania kurczącego się grona prawdziwych rzemieślników i artystów.

Był miliarderem, który wszystko zawdzięczał sobie, i nauczył się, że posiadanie takich pieniędzy wypycha człowieka z głównego strumienia codzienności. Wszyscy ciągnęli do pieniędzy jak niedźwiedź do miodu. Przypuszczał, że nie mogą nic na to poradzić; byli uwarunkowani niczym psy Pawłowa, uzależnieni od narkotyku bogactwa.

Rozprawiał się skutecznie z tymi rekinami; równie dobrze radził sobie ze zmieniającym się obliczem własnego interesu — inwestycjami budowlanymi na wielką skalę. Ze wszystkich nowojorskich superinwestorów jedynie on przewidział chudy okres na początku lat dziewięćdziesiątych i w tłustych latach poprzedniej dekady zgromadził olbrzymie rezerwy. „Każda zabawa ma swój kres” — brzmiało pierwsze i jedyne prawo, wbite mu do głowy przez człowieka, który nauczył go prowadzenia interesów.

I podczas gdy inni inwestorzy żyli zaciskając pasa albo poznawali smak bankructwa, Moravia nadal robił pieniądze.

Pieniądze. Łatwo powiedzieć, że pieniądze nie mają znaczenia, kiedy człowiek ma ich tyle, ile nie zdołałby wydać przez całe życie. Ale kilka lat temu Moravia zrozumiał, że to, co robi, już nie rozpala w nim ognia.

Wreszcie dostał propozycję, która niezmiernie go zaintrygowała, ponieważ od razu dostrzegł, że jeśli wyrazi zgodę, otrzyma tak upragnioną podniętę. Otóż zaproponowano mu, żeby został szpiegiem. Wiedział, czym się kierowano: był człowiekiem doskonale nadającym się do tego typu, działalności. Prowadził nieszkodliwy interes, spędził wiele lat w Japonii, miał tam wiele kontaktów i przyjaciół, wykorzystywał japońskie techniki produkcyjne i marketingowe, płynnie władał japońskim oraz znał japońską mentalność. Poza tym był dostatecznie bogaty, by przyciągnąć uwagę właściwych ludzi w Tokio i tym samym uzyskać zaproszenie do „Zakazanych Snów”.

I oczywiście ważne było to, że znał już Naoharu Nishitsu, przywódcę potężnej i niewiarygodnie bogatej Liberalnej Partii Demokratycznej.. Zrealizowali kilka wspólnych zamierzeń, dzięki którym Moravia zwiększył swój kapitał, a Nishitsu zdołał nawiązać kontakty w Nowym Jorku, gdzie w tych czasach trudno mu było samemu prowadzić interesy.

Nishitsu był kluczem do świata, który Moravia zamierzał skrycie spenetrować. Nie miałby żadnych wyrzutów sumienia, gdyby jego działalność doprowadziła do upadku Japończyka. Nishitsu zniszczył tak wielu ludzi, że nikt nie potrafił zrachować ich liczby, a poza tym, kontrolując polityczny klimat kraju, wypaczył życie niezliczonej rzeszy innych.

Nishitsu, tak samo jak Moravia, prowadził sekretne życie i Moravia został zobowiązany do wydobywania jego tajemnic na światło dzienne. Zadanie to niewątpliwie było bardzo niebezpieczne, ale właśnie z tego powodu szczególnie podniecające.

Moravia przyglądał się, jak piękna naga Japonka — jeszcze niemal dziewczyna — dolewa mu drinka. Robiła to bez pytania, zgodnie z japońskim zwyczajem. Między innymi dlatego w czasach młodości Japonia pociągała go tak bardzo.

Japonka usiadła obok niego. W małym, pozbawionym okien pokoju stała się jeszcze jednym ze znajdujących się tam dzieł sztuki. Na jej twarzy widniał szczery, ale pozbawiony wyrazu uśmiech — symbol współczesnej Japonii. Przypomniła mu pierwszą Japonkę, jaką spotkał w Nowym Jorku, gdy był młodzieńcem. Tamta dziewczyna też miała świeżą cerę i chętnie spełniała jego najbardziej wyrafinowane zachcianki seksualne,

Pociągała go, kusiła do powrotu do Japonii, tak że prawie doprowadziła go do ołtarza, jednak cofnął dane słowo i od tej pory już nigdy nie zastanawiał się nad ożenkiem.

Kiedyś wyobrażał sobie, że przeszkodą w nawiązaniu trwałego związku jest jego wielkie bogactwo. Teraz wiedział lepiej. Przeszkodą było sekretne życie, otwierające się przed nim jak mak, którego pocałunek ożywia wszelkie rozkoszne marzenia. A dla zaspokojenia jego wybujałego apetytu seksualnego nie było miasta lepszego od Tokio.

Podniósł czerwony sznur z jedwabiu i owinał go wokół ręki. Drugi koniec przywiązany był do kostki dziewczyny. Wstał z wygodnej sofy i przyciągnął ją do twardego, prostego krzesła. Szarpnął i Japonka posłusznie usiadła twarzą do oparcia.

Ukląkł i przywiązał najpierw jedną, potem drugą kostkę dziewczyny do nóg krzesła. Następnie, używając kawałków jedwabnego sznura o różnej długości, przystąpił do najprzyjemniejszej czynności. Kiedy skończył, szyja, nadgarstki, talia, piersi, oczy i otwarte usta Japonki były spowite ciasnymi pętlami i węzłami, które w połączeniu z gładką, jędrną skórą tworzyły rodzaj żywej rzeźby — równie estetycznej, co podniecającej.

Bezradność dziewczyny — i płynące z tej bezradności zadowolenie — były dla Moravii magnesem, który go nieodparcie przyciągał. Wstał, obnażył się i położył ręce na jej ramionach. Wiedział, że Japonka nie może się ruszyć, nawet gdyby chciała. A oczywiście nie chciała.

Jego dłonie, pieszcząc jej boki, przesunęły się w dół pleców i chwyciły biodra. Ugiął kolana tak, że znalazłszy się na odpowiedniej wysokości, szarpnął za ciasno owiązane sznury i wszedł w nią.

Dziewczyna jęknęła przez jedwab zasłaniający jej usta, odchyliła głowę i oparła o jego piersi — nie widziała Moravii i przez to odbierała ów akt dużo intensywniej. Jednakże ten rodzaj wyrafinowanej przyjemności nie mógł trwać długo i wszystko skończyło się dla obojga zbyt szybko.

No cóż — pomyślał, ściskając jej piersi o twardych sutkach — może po przerwie na odpoczynek...

Wiedział, że ona jest gotowa już teraz.

Moravia niedawno wrócił z podróży do Tokio i teraz owładnęły nim wspomnienia ostatniej nocy spędzonej z dziewczyną o imieniu Evan; zrozumiał, że próbował powtórzyć przeżyte wówczas doznania. Przypominał sobie, jak wtedy wczesnym rankiem, w chwilę po ostatecznym zaspokojeniu,

dyskretne pukanie do rozsuwanych drzwi *fusuma* oznajmiło przybycie Naoharu Nishitsu.

Moravia zauważył, że gdy Nishitsu ją mijał, Evan skłoniła się tak nisko, iż jej czoło dotknęło tatami, jak gdyby Nishitsu był szogunem feudalnej Japonii. Kiedy podniosła głowę, Moravia dał jej znak, by zamknęła *fusuma*. Ku jego niezadowoleniu Japonka najpierw spojrzała na Nishitsu, by sprawdzić, czy potwierdza jego rozkaz. Na nieznaczne przyzwalające skinienie zasunęła drzwi.

Moravia zwrócił uwagę na paradoks tej sytuacji: Nishitsu, tradycjonalista, w schludnym zachodnim garniturze i krawacie, i on, człowiek Zachodu, w tradycyjnym jedwabnym kimonie. Nishitsu skierował dziwaczne, opalizujące oko na Moravię i mężczyźni dopełnili rytuału formalnego przywitania. Evan przyniosła herbatę. Chociaż herbata nie była zielona i ręcznie ubijana, Nishitsu z wdzięcznością przyjął filiżankę.

— Moravia-san, przyjacielu — zaczął, gdy wypili herbatę i Evan powtórnie napełniła filiżanki —przepraszam, że przerywam ci wypoczynek, lecz doszły mnie słuchy, iż za kilka dni wypadają twoje urodziny.

— To prawda, Nishitsu-san, ale zdumiewa mnie, iż interesuje cię takie nic nie znaczące wydarzenie. — Moravia starał się tak formułować zdania, by wyrażały jak największy szacunek.

Nishitsu siedział wyprostowany i nieruchomy niczym ołowiany żołnierz. Filiżanka ginęła w jego stwardniałych dłoniach. Każdy, kto interesował się Japonią natychmiast dostrzegał, że były one przez lata poddawane wytrwałym ćwiczeniom z użyciem drewna, kamieni, metalu i gorącego piasku.

— Przecież chyba zdajesz sobie sprawę — rzekł Nishitsu — że znaki upływającego czasu mają dla nas wielkie znaczenie. A cóż jest ważniejsze od dnia narodzin? Czeką nas noc świętowania.

— Dziękuję, Nishitsu-san — Moravia, rzeczywiście bardzo zadowolony, uklonił się.

Nishitsu nieznacznie pochylił głowę, po czym podniósł się i wyszedł, pozostawiając w pokoju nieuchwytny ślad swojej obecności.

I jakaż uroczystość odbyła się w ostatnią noc pobytu Moravii w Tokio! Evan była jedynie przekąską zaostrażającą apetyt. Został ugoszczony przez Nishitsu i kilkoro ludzi ze ścisłego kręgu „Zakazanych Snów”. Później, gdy różowo-granatowe niebo przybrało barwę i połysk macicy perłowej, a inni uczestnicy przyjęcia albo odeszli, albo leżeli pijani, Nishitsu postawił go na nogi i oznajmił:

— Przyjęcie jeszcze nie skończone, Moravia-san

Włożyli płaszcze i opuścili mury posiadłości Taksówka czekała otworzyły się automatyczne drzwi. Wsiadł. Na wpół pijany odwrócił się i zobaczył, że Nishitsu stoi na krawężniku.

— Nie jedziesz?

— Nie tym razem — Nishitsu obdarzył go Uśmiechem, którym nie szafował zbyt hojnie. — Baw się dobrze, Moravia-san. Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin!

Drzwi zamknęły się i taksówka ruszyła. Wiatr wpadający przez uchylone okna działał otrzeźwiająco, więc Moravia zdążył dożyć do siebie, zanim się zatrzymali.

Wysiadł z taksówki i zobaczył, że znajduje się w dzielnicy magazynów w pobliżu Sumidy. W powietrzu unosił się silny zapach ryb, a nad dachami niebo błyszczało w świetle wielkich lamp; przypuszczał, że to okolice Tsukiji, ogromnego tokijskiego targu rybnego.

Przy wejściu do magazynu czekała na niego kobieta. Światło pojedynczej gołej żarówki tworzyło u jej stóp złotą plamę.

— Lawrence-san.

Podszedł do niej i poznał ją.

— Minako-san.

Była piękną kobietą w nie określonym wieku, którą Nishitsu przedstawił mu pewnej nocy gdzieś przed rokiem w restauracji położonej wysoko nad centrum Tokio, Ginzą. Wyglądała na niezależną Japonkę pragnącą poznać Amerykanina. To mu pochlebiło, zostali przyjaciółmi na sposób japoński.

Minako roześmiała się na widok jego zdumionej miny.

— Biedny Lawrence-san, ze świata fantazji sprowadzony do szarej rzeczywistości. — Ujęła go pod ramię i powiodła magazynu. — Jakie było przyjęcie urodzinowe?

— Niezapomniane — mruknął.

— Dobrze. Zatem nie wolno nam cię teraz rozczarować.

Wsiadli do gigantycznej windy, której silniki pracowały prawie bezgłośnie. Moravia, wdychając woń oleju i środków dezynfekujących, zastanawiał się, dokąd jadą.

Wsiadli na trzecim piętrze. Minako poprowadziła go korytarzem pachnącym trocinami i rozgrzaną maszyną.

W pomieszczeniu, które okazało się mniejsze, niż oczekiwał, zobaczył matowoczarny sześcian na wózku. Niewytłumaczalnie przypomniał mu widzianą kiedyś ilustrację z dziecięcej bajki.

Sześcian miał wszelkie rodzaje interface'ów, a z przodu wyświetlaczy.

— Lawrence-san, chciałabym, żebyś poznał Wyrocznię. — Minako wcisnęła guzik miniaturowego pilota i jakby na niewidoczny rozkaz prestidigitatora Wyrocznia ożyła.

— WITAM, MORAVIA-SAN. — Nie ulegało wątpliwości, że głos wydobywa się z sześcianu. — OD JAKIEGOŚ CZASU CZEKAŁAM NA TĘ CHWILĘ.

Moravia starał się ukryć zaskoczenie. Kątem oka dostrzegł, że zaciśnięte usta Minako wykrzywia nieznaczny uśmieszek. Chrząknął, zirytowany chwilowym zakłopotaniem.

— To jakieś nagranie.

— MUSZĘ SKORYGOWAĆ TO PRZYPUSZCZENIE — powiedziała Wyrocznia. — ACZKOLWIEK WYPOSAŻONO MNIE W URZĄDZENIA DO NAGRYWANIA I ODTWARZANIA ROZMÓW.

Moravia wlepił oczy w maszynę, próbując zgłębić jej tajemnicę. Podeszedł bliżej.

— Powiedz mi o tym coś więcej - zwrócił się do Minako.

Odpowiedzi udzieliła Wyrocznia.

— POWSTAŁAM W EFEKCIE KOMBINACJI HEURYSTYCZNYCH OBWODÓW NEUROLOGICZNYCH Z CAŁKOWICIE NOWĄ TECHNOLOGIĄ ZWANĄ LAPID. LAPID TO AKRONIM SŁÓW: LIGHT WAFER/PRISM GATE IMAGE DATA. INNYMI SŁOWY...

— Dość! - rzuciła ostro Minako, po czym uśmiechnęła się przepraszająco. — Dla wszystkich prócz najbardziej zapalonych naukowców te wyjaśnienia są zbyt męczące.

Moravia uczynił kolejny krok i zerknął w „twarz” sześcianu.

— Ale czym jesteś?

— PO PROSTU FORMĄ ŻYCIA — odparła Wyrocznia. — TAK, JAK MYŚLISZ.

Zapadła chwila ciszy. Przerwały ją słowa Moravii.

— Ja jestem formą życia. Ty nie.

— CHYBA JEDNAK MOŻEMY ZAŁOŻYĆ, IŻ JUŻ NIE JESTEŚ PRZEKONANY, ŻE ROZMAWIASZ Z MAGNETOFONEM.

Moravia nie wiedział, co zrobić. W milczeniu gapił się na Wyrocznię.

— W KAŻDYM RAZIE, TO CHYBA JASNE, ŻE ROZMAWIASZ
— dodała uprzejmie Wyrocznia.

— Tak, rozmawiam.

— Z CZYM?

Moravia osłupiał, przechytzony przez Wyrocznię. Nie potrafił wydusić ani słowa.

— ROZMAWIASZ ZE SKAŁĄ, DRZEWEM, ŻDŹBŁEM TRAWY, MORAVIA-SAN? A MOŻE STRACIŁEŚ ROZUM?

— Nie bądź śmieszna — odparł Moravia, zanim zdążył się powstrzymać. Zagryzł wargi, a twarz mu pociemniała na myśl o następstwach tej dyskusji.

— JESTEM FORMĄ ŻYCIA.

— Ale nie jesteś życiem — upierał się Moravia. — Nie masz ani żywych tkanek, ani narządów.

— MYŚLĘ, WIĘC JESTEM — stwierdziła Wyrocznia z prostą, acz niezaprzeczną logiką. — ALE TU TAKŻE SIĘ MYLISZ, MORAVIA-SAN. OBMYŚLONA DLA MNIE TECHNOLOGIA LAPID OPIERA SIĘ NA ELEMENTACH LUDZKIEGO DNA, KTÓRE ROZDZIELAM I ANALIZUJĘ, WIDZISZ ZATEM, ŻE MAM W SOBIE ŻYCIE.

— Kołaczące się niczym motyl we wnętrzu słoja — rzekł łagodnie Moravia.

— Co? — zapytała Minako nie dosłyszawszy.

— WŁAŚNIE — odparła Wyrocznia, bo ona usłyszała.

Moravia uśmiechnął się.

— Wobec tego — powiedział, zatrzymując się przy czarnym sześcianie, potężnym niczym zapaśnik sumo — co możesz dla mnie zrobić? — TO, CZEGO CHCIAŁEŚ, JUŻ ZOSTAŁO ZROBIONE — odpowiedziała Wyrocznia z przekorą psotnego dziecka.

A teraz był z powrotem w Nowym Jorku i przywierając do rozkosznie gorącego ciała, robił najlepszy użytek z wolnego czasu. Czekał na wezwanie swych mocodawców. Nishitsu niechętny otworzył drzwi do swego wewnętrznego sanktuarium i Moravia wchłonął wszystkie możliwe informacje. A było ich jeszcze więcej! Tak wiele, że wysłał zakodowany faks, w którym zażądał osobistego spotkania z szefem. Oczywiście, był to niebezpieczny precedens, sprzeciwiający się ostrym regułom, z którymi zapoznał się po zwerbowaniu, ale zważywszy nadzwyczajną naturę najnowszych informacji na temat Wyroczni, czuł się usprawiedliwiony.

Wspominając to, zobaczył — czy wyczuł — coś, zaledwie cień, przemykający gdzieś na skraju pola widzenia. Podobnego wrażenia doświadcza się, zasypiając w dzień czy budząc się w nocy. Może poczuł ukłucie igły, ale jeżeli tak, ból wydał się nikły, przytępiony i odległy.

Oczy, zmęczone i zamglone w następstwie uprawiania seksu, widziały jedynie ciemność, jak gdyby pływając w głębokiej wodzie nagle został gwałtownie pociągnięty w dół, w mrok niewyobrażalnie gęstszy i bardziej milczący.

Gdy się obudził, był oszołomiony i czuł mdłości. W życiu próbował tyłu narkotyków, że natychmiast pojął, iż coś bardzo potężnego przepływa przez jego żyły. Spróbował to zwalczyć, ale daremnie.

Odwrócił głowę i z tępyim zdumieniem stwierdził, że został przeniesiony do biura. Porwany — ale przecież nie porywa się ludzi do miejsc, których są właścicielami.

Jeszcze raz odwrócił głowę, ponieważ dostrzegł jakiś ruch, ale jego wysiłek został nagrodzony jedynie uderzeniem wiązki oślepiających błyskawic. Zaczęło mu się robić niedobrze. Zakrztusił się, spróbował odkaslnąć, lecz nawet na to nie starczyło mu siły. Zdumiewające, że powietrze jakoś wchodziło i wychodziło z jego płuc.

Zobaczył kogoś, kto płynął w jego stronę niczym manta.

— Kim...

Wielkie płetwy wachlowały nieustannie, pokryty mackami ogon falował w górę, w dół, w górę, w dół. Moravia chciał krzyknąć, ale coś utknęło mu w gardle — nie, to usta były wypełnione watą tak, że nie mógł zagryźć zębów. Spróbował pozbyć się knebla, pokaślując, lecz bez skutku.

— Jak to jest — usłyszał głos... kobiety? mężczyzny?, nie potrafił powiedzieć — być bezradnym?

Moravia zamknął oczy i zebrał siły, by zerwać krępujące go wewnętrzne pęta, ale udało mu się jedynie aż do bólu przyspieszyć bicie serca. Mrugając raz po raz, bo oczy zachodziły mu mgłą, zerknął z ukosa na przerażający, amorficzny kształt manty.

— Pozwól, pomogę ci. — Został podniesiony jak dziecko, jego głowa spoczęła na łonie obcego. — Chcesz wiedzieć, kim jestem, Moravia? Zatem powiem ci, tak jak mówię im wszystkim.

Wszystkim, to znaczy komu?... — zastanowił się oszołomiony Moravia.

— Każdego ranka modłę się do bogów o oświecenie — ciągnął dalej obcy — ponieważ rodzi ono sukces. Są tacy, którzy powiedzieliby, że

bogowie odtrącają ranie z pogardą, bo jestem nieczysty, splamiony krwią rozlaną własnymi rękoma. Im mówię: niech bogowie robią to, co chcą, ja nie mam żadnego wpływu na ich myśli czy poczynania. Ale nie zaprzestaję modłów i w tym jestem czysty. — Twarda ręka delikatnie pogładziła go po policzku. — I mam rację, Moravia, ponieważ nie znam niczego prócz sukcesu.

Kołysano go jak w dzieciństwie.

— I jestem tym, czym ci właśnie powiedziałem. Reszta to po prostu lśniąca otoczka, szminka wcierana w policzki przed odegraniem ważnej roli w czyimś życiu — ...dotknięcie, delikatne niczym muśnięcie skrzydeł motyla, najpierw w jeden policzek, potem w drugi... w czyichś narodzinach... czyjejś śmierci.

Usta, miękkie jak masło, zimne jak kropla rosy, przywarły do jego warg, a potem coś twardego jak betonowa pięść uderzyło w jego serce i ścisnęło je z siłą tytana.

Moravia wrzasnął — czy raczej usiłował to zrobić. Jego umysł, postrzępiony jak chmury przez zimny północny wiatr, nakazywał mu krzyknąć, ale organizm już nie funkcjonował. Był tylko ból i ucisk — od wewnątrz, nie do zniesienia — uciszający po kolei części bezradnego ciała, które pompowało, wzdychało, pulsowało i do końca zachowywało świadomość...

KSIĘGA I

MIEDZY DNIAМИ

*Trzech może dochować sekretu,
o ile dwaj z nich są martwi.*

BENJAMIN FRANKLIN

I

NOWY JORK

Pewnej nocy pod koniec lutego, gdy grube, paskudne chmury pędziły przez tarczę księżyca, Wolf Matheson przykucnął na zagraconym dachu, pięć pięter nad odrażającym bagnem wschodniego Harlemu.

Był to długi pościg — trwał prawie siedem tygodni — dłuższy niż wcześniejsze, ale teraz, w tę przejmująco zimną, cuchnącą noc Wolf był pewien, że w końcu dopadnie swoją ofiarę. W ciągu roku oddał w ręce sprawiedliwości trzech innych wielokrotnych morderców, których złapanie zlecił mu komisarz Hayes Walker Johnson. Urządzał tego typu polowania od czasu, kiedy został szefem specjalnego wydziału do spraw zabójstw, powołanego w obrębie NYPD — Nowojorskiego Departamentu Policji. Członkowie wydziału wywoływali zarazem szacunek i strach, jednak niezależnie od tego szybko zyskali sobie miano wilkołaków — od imienia kierującego nimi Wolfa. Ta elitarna jednostka utworzona została specjalnie w celu „ukierunkowania” talentu, jaki wykazywał Wolf w dziedzinie tropienia najgorszych przypadków psychopatycznych morderców, którzy skądinąd potrafili — albo podstępem, albo czysto przypadkowo, a czasami, Boże dopomóż, jednym i drugim — postawić w stan gotowości i sfrustrować całe zastępy przepracowanych miejskich detektywów.

Wolf zwrócił na siebie uwagę komisarza wówczas, gdy rozwiązał sprawę śmierci dwóch prostytutek — matki i córki, które zostały

zamordowane w tak bestialski sposób, że poruszyło to nawet najbardziej otrzaskanych gliniarzy. Jednakże — co było typowe dla zawałonego robotą wydziału — nie uczyniono niczego, dopóki w ten sam sposób morderca nie załatwił turystki, mniej więcej w wieku młodszej dziwki. Śmierć prostytutek była dla policji chlebem powszednim, ale turystka ostatecznie była turystką i stanowiła element utrzymujący przy życiu miasto staczające się — bez wiedzy tych, którzy kierowali nim dla własnych korzyści — prosto od statusu metropolii do statusu mieściny trzeciego świata. Wkrótce po trzecim morderstwie doszło do spotkania Wolfa z dbającym o rozgłos Hayesem Walkerem Johnsonem, najostrożniejszym i najsprytniejszym czarnym politykiem, jaki kiedykolwiek piastował urząd komisarza. Spotkanie potwierdziło to, co Wolf już wiedział: sprawa stała się priorytetowa.

Kłopot w tym, że nikt nie miał najmniejszego pojęcia, gdzie zacząć poszukiwania zabójcy. Jednak Wolf wiedział. Pod koniec długiego dnia, spędzonego na oglądaniu miejsca przestępstwa, leżał samotnie w łóżku i obserwował sączące się przez świetlik uliczne światła, które w tym mieście zastępowały światło gwiazd. Powoli zamknął oczy i wtedy w przezroczystym czerwonym żarze wewnętrznej gorączki zobaczył twarz mordercy. Wyczuł też jego kwaskowaty odór, wychwycił szczególnie chód, lekki jak ruchy tancerza, usłyszał obce natrętne głosy w chwili, gdy słyszał je morderca.

Nie potrafił powiedzieć, skąd to wszystko wiedział, ale wykrył mordercę w ciągu siedemdziesięciu dwóch godzin. W efekcie, chociaż już cieszył się wielką renomą w pięciu okręgach Nowego Jorku, natychmiast znalazł się w centrum uwagi ściągniętych przez komisarza reporterów. Powołanie do życia sił specjalnych do spraw zabójstw było bezpośrednim rezultatem rozgłosu, jaki spowodowało pomyślne zakończenie sprawy. Komisarz musiał zrobić coś spektakularnego ze swym bohaterem, a, prawdę mówiąc, chciał nagrodzić Wolfa w jakiś specjalny sposób za to, że dzięki niemu jego notowania także skoczyły w górę.

W trakcie tworzenia nowej jednostki Wolf miał dość czasu, by zastanowić się nad swym dziwacznym talentem, który w takiej czy innej formie towarzyszył mu przez całe życie.

Teraz, sam na dachu, czekał, aż jego zwierzyna wyłoni się z ciemności. Trwał bez ruchu niczym jeden z kamiennych lwów, które strzegą bogaczy w ich olbrzymich, przedwojennych apartamentach na West Side. Była

prawie czwarta nad ranem, pora, w której wszystek kolor wycieka z miasta, pora, w której istniał tylko on i morderca.

Wiedział, że nie spocznie, póki morderca nie zostanie aresztowany albo póki jeden z nich nie zginie. Ta walka na śmierć i życie była swoistą reminiscencją dziecięcej zabawy w chowanego, którą uwielbiał, ponieważ nigdy nie przegrywał.

Znajdował się na skraju El Barrio, wypalonego, gnijącego nowotworu, który nominalnie stanowił część Nowego Jorku, ale równie dobrze mógłby znajdować się w Kalkucie.

Niebo zaśmiesił wirujący osad. W innym, mniej zabójczym klimacie mógłby to być śnieg, lecz tutaj padając zbierał po drodze tyle węglowodorów, że delikatne płatki natychmiast znikwały w kontakcie ze starym żelazem i wyboistą nawierzchnią.

Na chodniku poniżej działo się niewiele. Dźwięk syren wznosił się i opadał całe ulice — całe światy — dalej; szczekały psy, użerające się z bezdomnymi o ochłapy znalezione w stosach odpadków spiętrzonych w rynsztokach. Gdzieśgdzie płonęły kosze na śmieci, a nad nimi schylały się przygarbione postacie, otoczone przez kartony z supermarketów pełne zwędzonego chłamu. Splantowana parcela została przekształcona w miasteczko tekturowych namiotów; ich powykrzywiane stożkowate kształty rzucały poszarpane cienie na zapchany rynsztok. Stary mężczyzna - jego bosa stopy w świetle syczących lamp sodowych wyglądały jak białe larwy — brnął przez potłuczone zielone szkło, które pełniło rolę granicy parceli. Wyśledziwszy na swej drodze szczura, odchrząknął, splunął gęstą flegmą i parsknął rubasznym śmiechem, gdy gryzoń popędził z powrotem w ciemność. Czarny firebird składał, warcząc cicho, czekał przy krawężniku. Po drugiej stronie podrasowany stary chevy z wymalowanymi na bokach stylizowanymi płomieniami zwiększył obroty, a potem ruszył z piskiem opon. W nocnym powietrzu zawirowały cuchnące spaliny.

Gdzieś w obrębie tej dżungli z żelaza i ognia kryli: się jego ludzie, Bobby Connor i Junior Ruiz. Wolf ze względu na specyfikę roboty pracował sam, lecz w bezpośrednim otoczeniu zawsze miał wsparcie, na wypadek gdyby przeciwnik okazał się silniejszy od niego. Biorąc pod uwagę to, na kogo polował, trzeba było liczyć się z najgorszym.

Wolf nie musiał patrzeć na zegarek. Czas stał się nieistotnym, oderwanym elementem; Wolf żył między dniami: zatopiony w splątanych umysłach

swych ofiar, próbujących zrozumieć otaczający ich chaotyczny i irracjonalny Wszechświat.

Tym razem polował na Kolumbijczyka Chucho Arquilla, zajmującego się dystrybucją narkotyków kupowanych z Cali Cartel oraz broni, którą po cichu wyprawdzał z baz wojskowych USA. Czy Arquillo przemienił się z wielkiego pośrednika w wielkiego zabójcę, czy też po prostu mu odbiło? Pytanie to, chociaż intrygujące, nie wiązało się z problemem zlokalizowania go i złapania, więc gdy Wolf odwracał je w myślach niczym kryształ, jego ścianki pozostawały nieprzeniknione; podobnie jak zagadka jego własnego talentu do odkrywania miejsc pobytu najbardziej odrażających — i niebezpiecznych — mieszkańców miasta.

Nie było wiadomo, kiedy Arquillo się pojawi; przyjdzie, kiedy zechce — Wolf wiedział, że wyczuje jego nadejście. Po zidentyfikowaniu tropionego mordercy zawsze potrafił przewidzieć, kim będzie jego następna ofiara. Odkrył, że między ofiarą a mordercą zachodzi pewien związek, jakaś synchronizacja, jak gdyby polujący był w stanie podłączyć się do pulsu życia swej zwierzyny — unikatowego jak odciski palców — i dopasować doń własny puls, zidentyfikować się z ofiarą, z tym, co miało się stać, z przerwaniem oddechu, dźwięku, ciepła: życia.

Wolf zamknął oczy. Pomyślał, że wyczuwa Bobby'ego i Juniora, chociaż, prawdę mówiąc, nie mógł być tego pewien. Nie po raz pierwszy zastanowił się, czy jego talent był czymś prawdziwym, czy też zaledwie jakąś sztuczką.

— Zabiję cię, *mariconel*

Wolf odwrócił głowę w kierunku wrzasku i ruchu na ulicy na dole. Zobaczył przysadzistego Portorykańczyka z potężną klatką piersiową, który ścigał szczupłego młodego człowieka o skórze tak czarnej, że w światłach odbitych od poślubionej nawierzchni błyszczała jak olej. Mężczyźni pędzili na skos jezdni; przemknęli przez parę buchającą z żelaznego włazu i wyłonili po drugiej stronie przy czarnym firebirdzie. Gonił ich beztroski śmiech widzów, którzy żyli w tym teatrze Brechta i nie mieli dokąd pójść po opadnięciu kurtyny.

Wolf wyczuł coś, jakby tchnienie wiatru gdzieś w głębi umysłu i wiedział, że Arquillo przyszedł. Usłyszał szcęk wysuwanego ostrza. Chociaż dźwięk rozległ się bardzo blisko, nie odwrócił głowy; przeczuwał — jak rekin wyczuwa zapach krwi — że wszelki ruch z jego strony stałby się hasłem do rozpoczęcia ataku, z którym mógłby sobie nie poradzić.

Arqullo przyczał się za jego plecami. Był wielki, muskularny, miał ładną męską twarz, wąsy, kwadratowe ramiona i majestatyczną postawę matadora. Emanowała z niego groźna siła, potężna niczym przypływ oceanu, redukujący klify do głazów, a głazy rozcierający w pył, moc, która wzbudzała pierwotny strach u osób przebywających w pobliżu.

Arqullo sunął w bezpiecznych cieniach dachu w kierunku Wolfa i przygotowywał się do ataku. Wolf wyczuł jego mordercze zamiary, gdy Kolumbijczyk pochylił się, zwilżając językiem suche wargi.

Czekaj — wyszeptał do siebie Wolf. — Czekaj no.

W ostatniej chwili zawirował, już w przysiadzie, a Arqullo rzucił się w stronę jego nerek.

Wszystko znieruchomiało. Wolf z niezwykłą wyrazistością widział wirujący w powietrzu śnieg, ogniska płonące między tekturowymi namiotami; słyszał syk opon na śliskiej nawierzchni, kłótnię, która mogła zakończyć się morderstwem, szczekanie psa broniącego swego skromnego, wygrzebanego ze śmietnika posiłku.

Czas jakby zwolnił bieg. Wolf skoczył w bok i zobaczył, że rysy Arqulla wykrzywiła nienawiść i żądza krwi. Dostrzegł własne odbicie zminiaturyzowane w kropli potu wiszącej na końcu bokobrodów.

Potem spokój przerodził się w ruch. W chwili, gdy czubek ostrza miał się zagłębić w jego ciele, Wolf trzasnął prawym łokciem w przedramię Arqulla. Przez chwilę trwali unieruchomieni w morderczym zmaganiu, serca pompowały krew desperacko, płuca kurczyły się i rozkurczały, mięśnie nabrzmiewały. Napierali na siebie jak byk i matador, którzy w końcu zeszli się i zwarli w tańcu śmierci. Lepki śnieg stawał się coraz gęstszy, osiadał na brwiach i rzęsach, miał smak żelaza i popiołu. Wolf zagryzł zęby i zdobył się na ostateczny wysiłek. W następnym ułamku sekundy rozległ się ostry trzask — najpierw pękła kość promieniowa, potem łokciowa.

Ręcznie robiony nóż Arqulla, którym wypatroszył trzy osoby („Muły” konkurencyjnych handlarzy narkotyków? Eks-kochanki? Czy może ofiary szaleństwa Kolumbijczyka?), leżał na ciemnym dachu, teraz niegroźny, niewinny jak dziecięca zabawka. Arqullo ze słabnącą siłą uderzył zdrową ręką w nasadę nosa Wolfa i rzucił się do ucieczki.

Wolf ruszył za nim. Pomyślał o tym, by zaalarmować Bobby'ego i Juniara przez laryngofon, ale zmienił zamiar, gdy otworzył metalowe drzwi na dachu. Nasłuchiwał przez pięć sekund, oceniając odległość

i kierunek ucieczki mordercy, po czym pognął żelaznymi schodami, pokonując po trzy stopnie naraz. Co prawda, pragnął dorwać Arqulla bez liczyjej pomocy z czystego egoizmu, ale poza tym między nimi narodziła się jakaś intymna więź — skradanie się, powolny taniec śmierci na dachu, Świat noża przy nerkach — to wszystko było niczym policzek sygnalizujący zamiar pojedynku, sprawę honoru. W pamięć Wolfa wrył się zabójczy wysiłek widoczny na twarzy Arqulla oraz ciemne źrenice skupione na śmierci — Wolf wyobrażał sobie, że tak samo wyglądały oczy trzech kobiet, na które Arqullo patrzył w chwili pozbawiania ich życia.

Dziewczyna, po którą przyszedł tym razem, mieszkała na trzecim piętrze, w na pół opuszczonym, strawionym przez ogień mieszkaniu, bardziej odpowiednim dla szczurów i karaluchów, które gnieździły się w najciemniejszych kątach. Wolf jednak odkrył wcześniej, że dziewczyna miała trzy materace wypchane gotówką, w banknotach, których nominały były nie mniejsze od pięćdziesiątek. Dowód, że Arqullo nie był świrem, że kierowała nim troska o interesy? Może. Dlaczego zatem nie wynajął kogoś? Dlaczego sam podjął ryzyko wykonania mokrej roboty?

Wolf z rozpędu walnął w drzwi mieszkania dziewczyny; drewno ustąpiło, ale nieomal powstrzymał go straszliwy smród, ciężki niczym odór grobów przeoranych przez armię hien cementarnych. Łzy napłynęły mu do oczu; miał wrażenie, że ktoś trysnął w nie formaldehydem.

Usłyszał wrzask dziewczyny i pomyślał: To tego chce Arqullo: zabić ją po tym, jak uprzedził mnie o swej obecności.

Znów nie miał pojęcia, skąd to wie, ale nie kwestionował tej wiedzy. Kolejne pytanie, nad którym warto byłoby się zastanowić po aresztowaniu Arqulla brzmiało: Skąd Kolumbijczyk wiedział, że tu będę? Obserwator zdający sobie sprawę, że jest obserwowany, faktycznie może poczuć się, skromnie mówiąc, zaniepokojony.

Wyczuł zapach krwi jak pies; jej smak napełniał mu usta i przyprawiał o mdłości, gdy pospiesznie przechodził z pokoju do pokoju. Był oszołomiony wiszącym w powietrzu smrodem i wiedzą o bliskiej śmierci dziewczyny, przesłaną mu przez Arqulla, jakby ten sukinsyn znał—skąd? — ogniwo, które przyciągnęło go ku niemu niczym sonar niszczyciela do okrętu podwodnego.

Gnijące płócienne zasłony, mające odizolować nie ogrzewane mieszkanie od panującego na zewnątrz chłodu, zwisały żałośnie. Wolf skręcił za róg i zobaczył czekoladową rękę zaciśniętą na płótnie, jakby ktoś chciał ściągnąć je w dół lub dźwignąć się w górę.

Usłyszał rytmiczny odgłos przypominający rżenie przeciążonego silnika, ale brzmiała w nim jakaś obsceniczna nuta, która przypominała mu dni, gdy jako żółtodziób patrolował obskurne lokale oferujące pokazy *peep show* na Ósmej Alei, gdzie brudne ściany i podłogi ze sklejki lepkie były od spermy i wazeliny.

Celował w tułów, ponieważ strzał w głowę mógłby oznaczać koniec dla nich obu, dla niego i Arqulla. Dla Arqulla z wiadomego powodu, a dla Wolfa... Wolf zdawał sobie sprawę, że to duma kłuje go jak cierni, lecz bardzo chciał wziąć Kolumbijczyka żywcem. Pragnął rzucić tę bestię jak trofeum między inne nędzne kreatury na One Police Plaża i uczynić z niej jeśli nie widowisko, to przynajmniej przykład dla innych podobnych potworów.

Wtedy pomyślał o Rzymianach, wielkich wojownikach, niepokonanych w dniach swojej chwały. Przyszli mu na myśl dlatego, że Arqullo trzymał dziewczynę tak, jak oni swe masywne tarcze. Kolumbijczyk teraz jeszcze bardziej przypominał byka. Miał cofnięte, skurczone wargi, ukazujące obnażone zęby; krótki, urywany, podniecony oddech; oczy człowieka pogrążonego w akcie spółkowania. Trzymał dziewczynę złamaną ręką — Wolf po wyrazie jego twarzy poznał, że produkowana przez organizm adrenalina zabija wszelki ból, jaki mogło mu to sprawiać.

Wolf zawahał się — co było może, tylko może, fatalne, ponieważ prawa skroń Arqulla wyłoniła się zza żywej tarczy ledwie na ułamek sekundy, a w takim podłym świetle nawet dla niego, strzelca wyborowego posiadającego certyfikat NYPD, strzał niósłby z sobą wysoki procent ryzyka. Potem dziewczyna — jej twarz była blada i ściągnięta z bólu i strachu — jęknęła, a Wolf zobaczył krew.

Jak daleko posunął się Arqullo w swej rzeźniczej robocie? Niepodobna było stwierdzić, ale to mogło postawić Wolfa przed moralnym dylematem; może straciła już tyle krwi, że umrze przed przybyciem do szpitala bez względu na to, co on zrobi? Trzy strzały z bliskiego zasięgu gwarantowały, że po przebicciu ludzkiej tarczy przynajmniej jeden pocisk dosięgnie Arqulla. Ale, niezależnie od okoliczności, Wolf nigdy by tego nie zrobił.

Arqullo wyszczerzył zęby, jakby rozgrywali twardą, lecz przyjacielską partyjkę golfa. Podtrzymując dziewczynę za włosy, kosą domowej roboty złożoną z ostrzy trzech brzytw przeciągnął po jej gardle — raz, drugi, trzeci — oddzielił głowę od reszty ciała i z szaleńczym chichotem rzucił ją jak krwawą piłkę Wolfowi.

Wolf, zalany krwią, skoczył obok zdekapitowanej dziewczyny do okna, za którym zniknął Arqullo. Morderca był już dwie kondygnacje niżej, na zardzewiałych schodach awaryjnych, które biegły wzdłuż ściany budynku niczym nigdy nie mająca zagoić się rana. Wolf ruszył za nim, ale tym razem wezwał przez mikrofon Bobby'ego i Juniora i powiedział, gdzie prawdopodobnie pojawi się Arqullo.

— Mamy go! — usłyszał cichutki głos Bobby'ego, dobiegający z odbiornika umieszczonego w kanale słuchowym.

Był prawie na wysokości pierwszego piętra, gdy rozległy się strzały — nawałnica wybuchów, która w tej niespokojnej i nieprzyjaznej okolicy wcale nie zaskakiwała.

Zeskoczył na chodnik i schylił się, gdy tylko podeszwy dotknęły betonu zaśmieconego zaułka. Skręcił za róg, zobaczył Bobby'ego Connora klęczącego przy rozpostartym na ziemi Juniorze Ruizie.

— Cholera! — zaklął pod nosem, a potem, gdy rozpoznał pusty wyraz oczu Juniora, zapytał nieco głośniejszym głosem: — Gdzie on jest?

Bobby podniósł się. Ręce miał powalane krwią Ruiza. Obaj mężczyźni wyglądali tak, jakby przed chwilą wyszli z rzeźni. Bobby, zszokowany, wskazał na róg zaułka. Wolf podeszedł i kopniakiem odwrócił ciało. Mahoniowa twarz matadora Chucho Arqulla zalana była krwią.

— Dobra robota, Bobby.

— Ja... ja nic nie zrobiłem, poruczniku.

Wolf, słysząc gardłową i na wpół histeryczną nutę, popatrzył na Bobby'ego uważnie.

— A co to, do diabła, jest?

— Niech pan spojrzy — wydusił Bobby. Przełknął ciężko ślinę i dodał: — Niech pan popatrzy na twarz tego sukinsyna.

Wolf odwrócił się do Arqulla. Ciemna twarz, która od kilku tygodni prześladowała go w snach niczym mroczny księżyc, była mu doskonale znajoma. Zdawało się, że krew nadal sączy się z ran, których nie mógł zobaczyć. Przyklęknął, przyglądając się dokładniej. Naprawdę wypływała z bąbelkami, jak gdyby gotowała się w straszliwym, emanującym z wnętrza gorącu. Drgnął. Czyżby zobaczył płomień tańczący na skraju policzka? Nie, to niemożliwe. A jednak... Wyciągnął rękę nad twarzą i poczuł ciepło, którego pochodzenia nie potrafił wyjaśnić.

Wolf wstał, rozumiejąc już, dlaczego Bobby wzbraniał się przed podejściem do trupa. Bobby, barczysty i silny trzydziestoparoletni mężczyzna

o szczyrych rysach mieszkańca Środkowego Zachodu, jasnoniebieskich oczach i włosach koloru piasku, wyglądał jak po kilku głębszych. Wolf uspokajająco położył rękę na jego ramieniu.

— Po prostu opowiedz, co tu się stało. — Widząc, jak Bobby walczy o odzyskanie zimnej krwi, dodał: — Jak ci się zbiera na wymioty, to ulżyj sobie, nie ma w tym nic wstydliwego.

Bobby skinął głową, wytarł zimny pot z czoła i rzekł drżącym głosem:

— Wszystko w porządku, poruczniku. — A kiedy Wolf zachęcił go skinieniem, zaczął: — Junior i ja zobaczyliśmy Arqulla schodzącego na ziemię. Był już w cieniu. — Zadrżał, rozglądając się po czarnym zaułku. — W każdym razie, po tym, jak Arquillo zeskoczył, wszystko wydarzyło się naraz, nie wiem... Nie jestem pewien, co się stało. Obaj mieliśmy wyciągnięte pistolety. Junior strzelił pierwszy i był pewien, że trafił. Wszedł w cień, a ja go kryłem. Potem usłyszałem dwa strzały i Junior został wyrzucony w tył, prawie na moją twarz. — Przerwał, jakby doszedł do końca sprawozdania.

— I wtedy zobaczyłeś Arqulla — dopowiedział Wolf.

Bobby potrząsnął głową.

— Zobaczyłem coś, ale nie wiem, co to było. Było to jak... nie wiem... jak kula ognia, błękitna kula ognia. Usłyszałem skwierczenie i poczułem zapach — Jezu, ten smród przyprawiał o mdłości. Potem ktoś wrzasnął, chyba Arquillo, który wytoczył się z ciemności. Jedną ręką zwisała mu tak, jakby była złamana, a drugą trzymał przy twarzy. Przy płonącej twarzy.

Bobby odetchnął szybko kilka razy, jak gdyby dzięki temu mógł pozbyć się koszmarne wspomnienia.

Wolf, myśląc o gorącu i cieniu płomienia migocącego na policzku Arqulla, powiedział:

— Chcę, żebyś zastanowił się nad tym dobrze, Bobby. Arquillo płonął, tak?

Bobby popatrzył na niego.

— Jego twarz. Tylko twarz.

Syreny zbliżały się. Nawet z tej odległości Wolf rozpoznawał kto znajomy ton. Zapytał cicho:

— A potem, co się stało?

— Potem coś przeszło obok mnie,

— To znaczy, „ktoś”?

— Tak, jak sądzę. Prawdę mówiąc, poruczniku, nie wiem, do cholery, co to było. Takie ciemne i gęste.

— Ciężkie.

— Nie. — Bobby pokręcił głową. — Zaułek wypełniło coś gęstego jak syrop albo jak gulasz. Zdawało się, że nagle zrobiło się tu ciemniej.

Wolf poczuł zimno, które drgnęło mu w brzuchu jak żmija. Jego umysł przetrząsnął sąsiedztwo w poszukiwaniu nowej aury, może nawet silniejszej niż aura Arauilla, ale nie znalazł niczego, nawet śladu zapachu. Żmija, już przebudzona, zaczęła poruszać się, zwijać i skręcać.

Bobby zaczerpnął powietrza.

— Potem ciemność jakby podniosła się, a ja się odwróciłem i zobaczyłem, jak ktoś wychodzi z zaułka. Ten facet — przypuszczam, że to był facet — miał samochód, poruczniku. Czarnego firebirda, rocznik osiemdziesiąty siódmy. Składaka, wyglądał jak polakierowane gówno. Ktoś czekał na niego.

Wolf przypomniał sobie, że widział ten samochód z dachu.

— Masz rysopis tej osoby, Bobby? Zastanów się.

— Tak, poruczniku, ale nie mogę za nic ręczyć. To znaczy, gdybym musiał przysiąc, nawet nie potrafiłbym powiedzieć, czy to był mężczyzna, czy kobieta. — Bobby westchnął. — Jednakże mam część numerów.

— Doskonale. — Wolf doceniał bystre oko Bobby'ego, ale wiedział, że teraz musi dodać mu otuchy i zapewnić jakieś zajęcie. - Połącz się z bazą. Niech zjrzą do komputera, powiedz, by sprawdzili ten opis. Chcę mieć odpowiedź w ciągu godziny.

Ukląkł obok Juniora Ruiza i pomyślał, że twarz roztrzęsionego Bobby'ego była tak blada i skurczona jak twarz dziewczyny zdekapitowanej przez Arauilla. Bobby, posłuszny niczym pies, skinął i rzucił się w ostry, kwasowo-biały fałszywy świt, który stworzyły obracające się niebieskawe światła policyjnych wozów, wezwanych przez kogoś. Światła rozkwiatały i gasły jak nuklearne kwiaty, rodzące się i umierające w tym samym momencie. Wolf wykrzyczał rozkazy i gliniarze w mundurach zaczęli uszczelniać teren; niektórzy, przygnębieni, zgromadzili się w kamienicy, by zabezpieczyć ślady przestępstwa i zebrać świadków. Wolf przypuszczał, że ich działania ograniczają się głównie do przypadkowego wytlukiwania szyb, gromienia pijaków i wymachiwania pałkami, ponieważ byli zmęczeni, przerażeni albo jedno i drugie naraz. Żyli oczywiście jak inni, lecz wiedli odmienny, niewyobrażalny dla cywilów tryb życia, w którym strach, że staną się czymś celem, wypełniał dni i noce niczym zgnilizna psująca się ząb.

Wolf, pośrodku tego zamieszania, klęczał i podtrzymywał wilgotną głowę Juniora Ruiza — nawet po przybyciu lekarza — jak gdyby również po śmierci człowiek potrzebował ochrony przed ulicą.

Kwaterna główna Wilkołaków znajdowała się w budynku byłego kina w Chinatown, w którym wyświetlano ośmieszającą serię tanich, rasistowskich filmów kung-fu — czarnymi charakterami nieodmiennie byli Japończycy — do czasu, gdy lokalna wojna rasowa spowodowała jego zamknięcie. Rozsypany się gmach przycupnął jak złachany pies na wschodnim Broadwayu, pod drżącym ciągle stalowym przęsłem Manhattan Bridge. Na moście, tam, gdzie przerdzewiały legary, widniały ogromne luki, ponieważ odsłonięte belki znikwały w środku nocy i kończyły jako paliwo w ogniskach dynamicznie rozwijających się wspólnot bezdomnych, gnieźdzących się pod East River Drive i wszędzie indziej w mieście.

Wolfowi spodobało się to anonimowe położenie, chociaż był nieco zaskoczony, że nie otrzymał miejsca w One Police Plaża, na południowy zachód od kina. W rzeczywistości komisarz Hayes Walker Johnson poprosił o taki lokal i Wilkołakom przydzielono by komplet biur, gdyby na przeszkodzie nie stanął szef policji, Jack Breathard, który nie lubił Wolfa i któremu nie podobał się jego szybki wzlot na firmament NYPD. Breathard uważał Wolfa za jedyne prawdziwego rywala w wydziale i dlatego rzucał mu pod nogi wszelkie administracyjne kłody, a jego makiaweliczny umysł potrafił obmyślić ich wiele.

Wolf po raz pierwszy oglądając wnętrze zrujnowanego kina, postanowił po prostu wyciągnąć siedzenia oraz położyć zamiast gnijącej wyświechtanej wykładziny podłogę z dykty. Potem podzielił pomieszczenie na klitki dla każdego członka zespołu i zostawił większą wolną przestrzeń przed ekranem, błyszczącym niczym włosy filmowej gwiazdy z lat czterdziestych. Pozostałe ściany były czarne jak smoła i zachlapane krwią młodego Chińczyka; Breathard z nieodmiennym uporem odrzucał podania Wolfa o przysłanie ekipy malarskiej.

Po zakończeniu formalności na miejscu przestępstwa, Wolf i Bobby Connor okrężną drogą skierowali się do tego dziwnego biura. W drodze dostali odpowiedź z bazy. Między czarnymi firebirdami '87 a częściowo zapamiętanym przez Bobby'ego numerem rejestracyjnym nie istniał żaden związek. Naturalnie. Kradzione tablice. To było do przewidzenia, ale należało zbadać każdy trop.

Po drodze wstąpili do domu Ruiza, by zawiadomić żonę o jego śmierci, Bobby bez słowa przyglądał się, jak Wolf trzyma w ramionach i delikatnie kołysze łkającą kobietę. Ośmioletni dzieciak siedział w kącie wyświechtanej kanapy z kijem baseballowym w rękach, w ogóle się nie odzywając; Bobby zastanawiał się, o czym myśli. Może marzy, by walnąć ich po głowach za zabranie tatusia.

— Teraz to może nie mieć dla ciebie najmniejszego znaczenia, Mario — mówił Wolf miękko w hiszpańskim dialekcie do wdowy po Juniorze — ale twój mężczyzna był dzielny człowiekiem. Robił coś ważnego, sprawiał, że na ulicy czuło się jego siłę. Powiedz to Juliowi, gdy będzie dość duży, by zrozumieć, a to odmieni jego życie.

— Nie wiem, jak pan to robi, poruczniku — powiedział Bobby po powrocie do samochodu. — Ja nie potrafiłbym znaleźć właściwych słów.

— Czy to były właściwe słowa, Bobby? — Wolf patrzył prosto przed siebie, niepomny manewrów Bobby'ego, który kluczył między ciężarówkami. — Cieszę się, że tak myślisz.

— A nie były? Uspokoił ją pan.

Wolf nie poruszył się; miał niesamowitą umiejętność popadania w całkowity spokój, co często denerwowało Bobby'ego, tak samo jak wyprowadzało z równowagi ludzi ściganych przez Wolfa.

— Nie wiem, czy wierzyłem w to, co mówiłem, czy było to tylko takie pieprzenie.

— Ale miał pan rację.

Wolf, zajęty innymi sprawami — płonąca twarzą, gęstniejącym mrokiem, zmijami rozwijającymi się w jego wnętrzościach — powiedział:

— Może wtedy. Teraz jedyną, mającą znaczenie rzeczą jest śmierć Juniora.

Bobby odczekał chwilę, wyprzedzając furgonetkę z gazetami.

— Nie, poruczniku — rzekł w końcu. — Ważne jest to, że Junior nie żyje, a jego morderca nadal jest na wolności.

W biurze panował przytłaczająco ponury nastrój. Ktoś, chcąc wyrazić hołd Juniorowi Ruizowi, wyświetlił jego zdjęcie na ekranie. Ruiz wyglądał na nim na więcej niż dwadzieścia dziewięć lat i tak poważnie, że nie znający go człowiek nigdy by się nie domyślił, jaki potrafił być zabawny. Wolf wszedł do swej klitki, usiadł na metalowo-winyłowym krześle i pomyślał o tym, jak bardzo pogardza własnym życiem.

Kiedy doszedł do wniosku, że to miasto nie jest miejscem dla niego: w zeszłym tygodniu, w zeszłym miesiącu, w zeszłym roku? Życie między dniami w miękkim, żółtym brzuchu gnijącej metropolii, patrolowanie jej zaśmieconych bocznych ulic, z głową napełnioną okropnymi, przyprawiającymi o oblęd głosami morderców...

Mój Boże — zastanawiał się — jak chłopak, który wyrósł w Elk Basin w Wyoming, dostał się do tego ścieku?

Zamknął oczy. Wiedział, dlaczego uciekł z Elk Basin. Prawda była taka, że nie chciał o tym myśleć. Ale teraz znajdował się tutaj i byłoby cholernie dobrze, gdyby zdecydował, co w związku z tym zamierza zrobić. Żyć w ścieku przez całe życie, albo... Albo co?

— Poruczniku? — usłyszał głos Bobby'ego Connora.

— Nie teraz.

Bobby wycofał się. W Wolfie Mathesonie, w jego twarzy o wysokich kościach policzkowych, prostych, szesanych w tył włosach i w osobliwego kształtu oczach koloru cynamonu było coś wyjątkowo niepokojącego. Emanowała z niego siła (Bobby nie był pewien, czy to właściwe słowo, może spokój?) odróżniająca go od wszystkich, z którymi Connor dotychczas się zetknął.

Wolf, pogrążony w sobie, ze spowolnionym oddechem, miał tak wiele do przemyślenia. Na przykład musiał odpowiedzieć na pytanie, kto zabił Arqulla i Juniora Ruiza. Łatwo było stwierdzić, że w ciemności Arqullo wyrwał Ruizowi broń i zastrzelił go, ale co się stało naprawdę? Wolf przeniósł się w myślach na powrót w zaułek. Gdy trzymał w rękach zakrwawioną głowę Juniora Ruiza, czuł resztki jego aury niczym lzę spływającą po policzku porzuconej kochanki. I wiedział — w i e d z i a ł — że Junior nie został zastrzelony przez Arqulla.

Wobec tego, kto zabrał mu broń i zwrócił wprost pa niego? Antropomorficzny mroczny kształt, dla Bobby'ego przerażający jak samo piekło?

Kto czekał na mordercę w czarnym firebirdzie '87? I w jaki sposób, do diabła, morderca zdołał ukryć przed nim swoją aurę?!

Stawało się dlań jasne — jak powinno stać się w chwili, gdy zobaczył gęstą jak syrop krew buzującą bąbelkami na dumnej twarzy szalonego matadora Arquilla — że to śledztwo będzie różniło się od wszystkich innych.

Usiłował zmusić się do myślenia, ale głowę zaśmiecały mu wspomnienia minionych chwil. Widział dziewczynę z odciętą głową — z pewnością niewinną, ale jaki grzech był na tyle ciężki, by zasłużyła na taką jatkę? Widział oczy Juniora, przypominające miedziane pensy, teraz pokryte bielmem śmierci; widział wdowę po nim, która wiedzała — ponieważ żona każdego gliniarza czeka na to, boi się tego — dlaczego pojawił się przed jej drzwiami w ponurym świetle brzasku. I najbardziej żywo wyobrażał sobie niesamowity ogień jakby wrzący we wnętrzu Arqulla.

Musiał lepiej wsłuchać się w siebie; chaos myśli wyraźnie wskazywał, jak bardzo ta tajemnica szarpie jego emocjami...

Tu jest twój umysł — wyciągnął jedną sękatą dłoń — a tu twoje ciało — druga dłoń zawisała w odległości przedramienia od pierwszej.

Mały Wolf obserwował jednocześnie z fascynacją i strachem, jak stary człowiek łączy dłonie. Na początku wydawały się poruszać bardzo wolno, ale w końcu zeszyły się szybko i z wielką siłą. Powstały w wyniku dźwięk, ostry i niepokojący niczym nagły grzmot, sprawił, że Wolf aż podskoczył. W następstwie klaśnięcia rozległo się podzwanianie rzeźbionych zwierząt — niedźwiedzia, bizona, jastrzębia i wilka — wiszących na wyszywanych paciorkami bransoletach starca.

Stary człowiek uśmiechnął się, jak gdyby rozbawił go przestrach wnuka. Ostre zapachy unoszące się w jego tipi: woń garbowanej skóry, popiołów, ziołowych olejków zbyt złożonych i egzotycznych, by dziecko mogło je zidentyfikować, uderzały Wolfowi do głowy.

Uśmiech starca stał się życzliwy.

„Nie wierzysz mi. To dobrze. Wiara, a szczególnie wiara w siebie, jest czymś, co może przyjść tylko z czasem”. Wyciągnął rękę i chude, długie palce spoczęły na ramieniu Wolfa. Były silne, i Wolf pamiętał ich siłę, wspominając przeszłość.

„Teraz usiądź wygodnie” — rzekł dziadek, przesywając chłopca uważnym spojrzeniem. „Nie. Nie tak. Niech twoje plecy będą nieruchome i spokojne, tak, bardzo spokojne”.

Dziadek był wysokim, przystojnym mężczyzną, a Wolf wyobrażał sobie, że jest największym człowiekiem na ziemi. Może w ten sposób dziecko reagowało na aurę starca, wielce niepokojącą i silną.

„Uważaj, wkrótce przestanieś odczuwać swoje ciało. W tej chwili masz tylko umysł zaśmiecony chaosem młodości. Czy jesteś z tym szczęśliwy? Biegasz, biegasz i nigdy nie myślisz, jaki będziesz? Tylko

w spokoju myśli można podejmować właściwe decyzje. Pomyśl o górze czy drzewie, jakie są spokojne. Gdy staniesz się tak spokojny jak góra czy drzewo, w końcu będziesz w stanie myśleć".

Długo trwało, nim mały Wolf zrozumiał, o co dziadkowi chodziło. Ruchliwość była integralną częścią jego życia, tak jak i jego ojca. Wolf zawsze grał w baseball, bawił się w chowanego, ścigał się, brał udział w maratonie, tak ważnym dla Szoszonów Rzeki Wiatr, będącym reminiscencją przeszłości, której nie mogli już pamiętać...

Wolf drgnął i otworzył oczy. Zasnął czy też nadal był nawiedzany przez starego człowieka? Na pewno nawiedzany — przez coś.

— Matheson...

Wolf spojrział na szeroką, czarną, ozdobioną wąsami twarz Jacka Breatharda, szefa policji i w jego ocenie niezmiernie niebezpiecznego człowieka. Może żółte oczka Breatharda były zimne jak wnętrze chłodziarki, chociaż szerokie usta rozciągały się w uśmiechu wypraktykowanym w kontakcie z mass mediami czy zgromadzonym tłumem. Breathard, wielki człowiek wedle wszelkich standardów, pochylał się nad Wolfem.

— Jak idzie?

— Po prostu świetnie, szefie — Wolf powiedział to obojętnym tonem, ale nieco czujnie, ponieważ wiedział, że Breathard jest zbyt zajęty, by marnować czas na próżne gadki.

— Słyszałem, że dziś rano straciłeś człowieka. Został zastrzelony z własnego służbowego rewolweru. - Breathard przypominał teraz srogiego nauczyciela. — Nie lubimy, by do prasy dostawały się takie nowiny.

— Przekażę pańskie słowa wdowie po Juniorze Ruizie.

Podobne konarom ramiona Breatharda nabrzmiały, gdy pochylał się niżej, opierając dłonie na biurku Wolfa.

— Słuchaj, dupku, nie przyjmuję takiego gówna od nikogo, rozumiemy się? To, że mój człowiek ginie na służbie, jest wystarczająco paskudne; zastrzelenie z własnego pistoletu śmierdzi. Rozumiesz, co mam na myśli. Takie coś sprawia, że wyglądamy na niekompetentnych. I bez tego mamy już dość gówna, którym obrzucają nas cywile, zarzucający nam brutalność, rasizm, korupcję i protekcjonizm.

— Rozumiem pański punkt widzenia — wysyczał Wolf przez zaciśnięte zęby.

— Nie, kurwa mać, nie rozumiesz. Panie Strzelaj i Przynieś Ich Żywych albo Martwych. — Szef policji oderwał ręce ad blatu biurka

i wycelował w Wolfa podobnym do kielbaski palcem. —Możesz sobie być pupilkiem komisarza, ale moim nie. Mam na ciebie oko, Matheson. Tylko czekam, aż spieprzysz, żebym mógł cię stąd wywalić i zapłacić to miejsce własnymi ludźmi. Aha, masz tutaj jakichś moich ludzi?

— Wie pan, że Squire Richards pracuje dla mnie.

— Jeden. — Breathard podniósł palec wskazujący, jak gdyby tym gestem mógł zbadać ciśnienie atmosfery. —Jeden mój człowiek w personelu liczącym ile osób?

— Raptem sześć — odparł posłusznie Wolf, choć cholernie dobrze wiedział, że Breathard jest pierwszy do kontrolowania takich rzeczy.

— Jeden na sześciu, Matheson, nie jest to więc zbyt sprawiedliwy odsetek Afro-Amerykanów. Całkowicie, kurwa mać, niesprawiedliwy!

— Wie pan o tym, że wybierałem samych najlepszych.

— Wiem, że ty gadasz bzdury, a komisarz je kupuje. Ale ja nie.

- Breathard pokiwał głową. — Moi dwaj najlepsi ludzie, Washington i White, tylko czekają, by się tu dostać.

— Znam obu. Jeden dwa razy zawałił egzamin na detektywa; drugi, jak słyszałem, został przyłapany na ściąganiu haraczu od właścicieli sklepów.

— To kłamstwo. Białe gówno...

— Wyniki egzaminów są w aktach — kontynuował Wolf. — A komendant okręgu White'a jest moim przyjacielem. — Odchylił się na krześle.

- Poza tym mam obsadzone wszystkie etaty.

Żółte oczy Breatharda pociemniały.

— Jasne jak cholera, Matheson, że coś się tu stanie, a kiedy się stanie, to ja będę tym, który przyjdzie, by doprowadzić ten burdel do porządku.

— Łypnął złośliwie na Wolfa. — Kto wie? Może sprawa Ruiza jest tym, czego potrzebuję.

Nie czekał na odpowiedź; odwrócił się na pięcie i odszedł.

Wolf, obserwując potężną sylwetkę Breatharda niknącą w unoszącej się we wnętrzu kina mgiełce, z sykiem wypuścił powietrze. Przypuszczał, że ten człowiek skorumpowany jak burmistrz, rada miejska i cała reszta tych *macho politicians*, którzy rządzą miastem, z nienawiścią myślał o tym, iż on podlega bezpośrednio Hayesowi Walkerowi Johnsonowi, komisarzowi. Pozostawanie poza łańcuchem służbowym w tej jednej chwili nie bardzo mu odpowiadało.

Skłonności rasistowskie Breatharda nigdy nie były tak bezwzględne jak komisarza czy burmistrza. W porównaniu z nimi szef policji był przykładem

bezsronnego arbitra, spokojnego głosu rozsądka. Potrafił pozostawać niezauważalny przez długi czas, dopóki nie zapominało się o jego istnieniu, a wtedy korzystał z nadarżającej się okazji, wyskakiwał jak diabełek z pudełka i niczym sam Pan Bóg próbował porazić człowieka strachem.

Wolf odepchnął się od biurka i wstał. Przez chwilę wpatrywał się w widniejącą na ekranie twarz Juniora Ruiza.

— Wyłączcie to! — rzucił ostro, ponieważ zdjęcie przypominało mu, ile ma jeszcze do zrobienia.

Nawet po wyeliminowaniu Arqulla nadal trzeba było rozprawiać się z tym samym mnożącym się w nieskończoność gównem. To nie miało końca. Przeciwnie, narastało niekontrolowanie niczym guz. Po raz pierwszy wydało mu się to nie do zniesienia.

Jedność ciała i umysłu, wewnętrzny spokój, konieczny zarówno do myślenia, jak i do działania, w wypadku Wolfa narodziły się wraz z trenowaniem aikido. Będąc z natury człowiekiem ruchliwym, potrzebował ujęcia dla rozpierającej go energii, ale również dyscypliny, dzięki której nawet w najbardziej gwałtownym wybuchu aktywności mógłby znaleźć niezbędną spokój.

Tę dyscyplinę znalazł w aikido, sztuce samoobrony uczącej harmonii umysłu i opanowania ciała. Aikido ujawniło mu istniejącą w każdym wewnętrzzną energię, którą można wykorzystać w walce z przeciwnikiem. Zgłębienie sztuk walki nie polegało dla niego na zdobyciu umiejętności przebijania pięścią betonowej ściany, ale na praktykowaniu Ken, spokoju góry, aby — rzucając na kolana demony chaosu — okiełznać tę wewnętrzną energię.

Gdy umysł miał zmęczony pytaniami bez odpowiedzi, oczyszczał się ćwicząc aikido. Godne uwagi, że ciało, bez względu na to, jak bardzo je eksploatował, nigdy nie było zmęczone. Narzucił sobie rygorystyczny zestaw ruchów centrowania, rozciągania i uników, trzy elementy dyscyplinarnej funkcji samoobrony. Aikido pomogło mu przekształcić instynktowne reakcje, takie jak bezpośredni atak, w sposoby uniknięcia ataku.

Tego ranka zabrał tak wielu Wilkołaków, ilu tylko udało mu się zwerbować, na twarde deski, które położył na balkonie. Większość ludzi była albo po nocnej zmianie, albo przychodziła na dzienną, liczba przeciwników ograniczyła się więc do trzech: Bobby'ego Connora, Squire'a Richardsa i Tony'ego Trzy Razy.

Tony Trzy Razy — naprawdę nosił nazwisko Pungale, lecz od czasu, gdy jąkał się jako dziecko, nikt go inaczej nie nazywał — był silny, ale impulsywny, nigdy nie rezygnował z okazji do bójki, nawet wtedy, kiedy wiedział, że został sprowokowany. Zbudowany był prawie tak samo jak Wolf, ale i tak Wolf dał mu radę. Zamarkował cios w lewą stronę jego głowy. Tony wyciągnął ręce i chwycił go za koszulę, a wtedy Wolf użył dwóch *tenkan*, wirując najpierw w prawo, co natychmiast spowodowało, że Tony się zachwiał, a potem w lewo. Następnie uchwycił jego prawy nadgarstek lewą ręką i pochylił się, przeciągając Tony'ego nad sobą.

Tony przekoziółkował i rozciągnął się na podłodze, gdzie został unieruchomiony.

Czarnoskóry Squire Richards był potężny niczym tragarz i jednocześnie zwinny jak pantera. Ogrom jego masy wprowadzał w błąd; był szybszy od wszystkich Wilkołaków, może z wyjątkiem Wolfa. Squire uwielbiał walkę w kontakcie i potrafiłby zamęczyć każdego przeciwnika, który skądinąd mógł być zdolny do wymyślenia sposobu pokonania go. Po dziesięciu minutach walki Squire doszedł do wniosku, że Wolf jest zmęczony. Skorzystał z nadarzającej się okazji i chcąc go unieruchomić, złapał obiema rękami za jego prawy nadgarstek.

Wolf odczekał do ostatniego ułamka sekundy, a wtedy obrócił się w lewo, pociągając Squire'a za sobą. Pęd rzucił Murzyna do przodu, a ręka Wolfa znalazła się nad jego głową. Wolf przesunął lewą stopę, obrócił biodra w prawo, przemieszczając środek ciężkości, prześliznął się pod Squire'em, opadł na kolano, sięgnął w górę i w tył po ręce zaciśnięte na swym nadgarstku i szarpnął ostro w przód. Stopy Squire'a oderwały się od podłogi, a on sam przetoczył się nad schyloną głową Wolfa i zwałił na deski. Bobby prezentował problem całkowicie innego rodzaju. Nie był tak silny jak Wolf, ale jako skrupulatny strateg umiał ułożyć sobie najbardziej godne uwagi kombinacje ruchów i w efekcie pokonać przeciwnika nawet bardziej zaawansowanego od siebie. Wolf powalił go za pomocą *ikkyo*, jednej z najprostszych technik obezwładniających. Stosując podstawowe *irimi* na lewym ramieniu Bobby'ego, wykręcił mu je nad głową i sprowadził go do parteru.

Przez następną godzinę Wolf pokazywał partnerom, w jaki sposób, chcąc ich pokonać, wykorzystał ich słabości. Kąpiąc się odkrył, że umiera z głodu. Miał zamiar wysłać Bobby'ego po jakieś śniadanie, gdy zatelefonował komisarz, wzywając go na natychmiastową odprawę.

— Nie dzwonię z biura — powiedział Hayes Walker Johnson. — Przyjedź do mnie, ale nie wchodź od frontu. Chcę, żebyś skorzystał z wejścia, którego używam wtedy, gdy zwiewam przed reporterami. Z wyjątkiem kilku starszych oficerów nikt o nim nie wie, zatrzymaj więc to dla siebie.

Wolf i Bobby wzięli jeden z nie oznakowanych samochodów Wilkołaków — żółtą taksówkę, której dach wymalowano farbą świecąca w podczerwieni, dzięki czemu pojazd mógł być śledzony przez helikopter. Innowacja ta była pomysłem Wolfa, który mógł przytoczyć co najmniej dwa przypadki, kiedy zgubiliby swoją ofiarę, gdyby między ich pojazdami nie istniało to niewidoczne dla ludzkich oczu ogniwo.

Bobby prowadził, a Wolf zastanawiał się nad celem spotkania. Sprawy, które komisarz chciał mu przekazać do rozpracowania, zazwyczaj przekazywano faksem z jego biura; spotkania twarzą w twarz były rzadkością. Ten sam problem musiał nurtować Bobby'ego ponieważ zagadnął:

— Pewnie zamordowano kogoś ważnego; prawdopodobnie jakaś sprawa związana z polityką, przez którą komisarz może znaleźć się na pierwszych stronach gazet.

Położenie domu komisarza w East Eighties było łapówką, przy jakiej obstawał, gdy James Olivas, burmistrz, ściągnął go do Nowego Jorku z Houston. Wolf kazał Bobby'emu skręcić w ulicę leżącą o kwartał na południe od budynku. Bobby podjechał do krawężnika i zaparkował, nie wystawiając znaku „Sprawy policji” —zgodnie z poleceniem komisarza. Spotkanie było ściśle tajne.

Wolf poprowadził Bobby'ego do wejścia do sutereny uśpionego, zadbanego budynku. Jak powiedział Johnson, czarna żelazna brama nie była zamknięta na klucz, podobnie jak drzwi znajdujące się za maleńkim wybetonowanym podwórkiem, przez które dostali się na długi, mroczny korytarz. W pozbawionym okien korytarzu unosił się przyjemny aromat fajkowego tytoniu i jakiegoś ciężkiego materiału, może aksamitu[^]

Na końcu znajdowały się staromodne drewniane drzwi z taflą szlifowanego szkła, przez które sączyło się dzienne światło.

Wolf otworzył je i znalazł się w ogrodzie na tyłach domu. Nad głową łączyły się gałęzie dwóch nagich angielskich platanów, pod którymi rosły ligustry. Na obrzeżach ogródka stały pomalowane na biało skrzynki przeznaczone na jednoroczne rośliny; spulchniona ziemia czekała na słońce.

W przeciwnym końcu ogrodu wznosiło się wysokie na dwadzieścia stóp wyplatane ogrodzenie. Były w nim drzwi, o których istnieniu Johnson ich uprzedził. Wolf pchnął je, Bobby podążył za nim, i obaj znaleźli się na powórzu domu komisarza Hayesa Walkera Johnsona. Pod dojrzałymi miodowymi drzewkami świętojańskimi, z długimi gałęziami sięgającymi wysoko w górę, rosły przycięte, ciągle połyskliwie zielone kępy ostrokrzewu. Za nimi po trzypiętrowej fasadzie pięła się wistaria, sękata jak pięść awanturnika.

Komisarz czekał przy tylnych drzwiach. Skinął na nich, przecięli więc grunt porośnięty zbrązowiałą trawą i zbliżyli się ścieżką wyłożoną kamieniami. Komisarz miał pałkowate nogi, skórę koloru mlecznej czekolady i policzki pocętkowane ciemnymi znamionami. Małe, ciekawskie oczy równoważył fotogeniczny uśmiech, który bez wątpienia bardziej pasował do koloru skóry niż manier. Komisarz — w ciemnym garniturze, białej koszuli i pasiastym krawacie — budził wielki respekt. Wprowadził ich do rozjaśnionej słońcem kuchni. Panowała w niej domowa, przytulna atmosfera, której nie zdołają stworzyć pieniądze czy umiejętności dekoratora wnętrz.

— Dobrze, że przyszliście — powiedział tak, jakby wystosowane przez niego zaproszenie mogło zostać odrzucone. — Słyszałem, że straciłeś dziś człowieka, Wolf. Przykro mi. — Po chwili dodał: — To zawsze jest trudne, prawda? — Nie czekając na odpowiedź, ciągnął dalej: — Ale przynajmniej mamy z głowy Arqulla.

Ruchem ręki zaprosił ich do refektarzowego stołu z ciemnego drewna, który dominował w tej części kuchni wyłożonej drewnem. Stół zastawiony był ciepłymi i zimnymi daniami — komisarz pamiętał, że jego goście właśnie skończyli zmianę.

Gdy usiedli, Wolf pomyślał, że wieść o dziwnym ogniu, który spopielił twarz Arqulla, najwidoczniej się nie rozeszła. Wcześniej nakazał Bobby'emu, aby nie włączać tego dziwnego fragmentu wydarzeń do pisemnego raportu i nikomu o tym nie mówić, co zresztą młodszemu policjantowi wcale nie przeszkadzało. Wolf był obecnie zbyt zajęty, by zastanawiać się, dlaczego rozkazał mu tak postąpić.

Johnson stał u szczytu stołu niczym patriarcha w Święto Dziękczynienia i najwyraźniej pragnąc zaprezentować się jako dobry wujaszek, nakładał im na talerze porcje wędzonego łososia, pieczonych kurcząt, sałatki z homara. Z szuflady stołu wyjął nóż i pokroił bochenek żytniego chleba.

— Poczęstujcie się sokiem i kawą. Albo mogę dać wam ekspresowej
- powiedział.

Wolf zauważył, że komisarz nalał sobie podwójną ekspresową, ale niczego nie jadł. Pozwolił, by przez jakieś dziesięć minut wydawali odgłosy świadczące o tym, że doceniają śniadanie, a potem przeszedł do rzeczy.

— Jestem cholernie zadowolony, że sprawa Arquilla została zamknięta, ponieważ mam dla was nową, jak najbardziej priorytetową. — Podał im płowózłoty skoroszyt. — Minionej nocy ktoś załatwił Lawrence'a Moravię. Ni mniej, ni więcej, tylko w jego własnym biurze. Przeszedł przez zachwalaną ochronę Moravii, zrobił to, co zrobił, i zniknął bez śladu. Teraz, gdy rozmawiamy, przeprowadzana jest sekcja zwłok. — Skinął w kierunku skoroszytu. — Powiedzcie mi, co o tym myślicie.

Hayes Walker Johnson powoli wypił jedną po drugiej trzy filiżanki podwójnej kawy, a Wolf i Bobby czytali akta. Oto czego się dowiedzieli:

Lawrence Moravia pochodził z Brooklynu, a jego rodzice, imigranci, nigdy nie nauczyli się mówić płynnie po angielsku. Zawdzięczał wszystko samemu sobie, został multimilionerem przed ukończeniem dwudziestego piątego roku życia i stworzył prężnie rozwijające się imperium budowlane, rywalizujące z imperiami Helmsleyów i Kalikowów.

Ale Lawrence Moravia był wyjątkiem od reguły: zamiast prowadzić interesy z miastem, by pogwałcić i tak już ograniczoną przestrzeń i inwestować w budowę wysokościowców, stworzył rozpaczliwie potrzebne budownictwo mieszkaniowe dla klasy średniej. Mógł zrobić z tego dobry interes częściowo dzięki swym powiązaniom z Japonią. Wiele lat spędził w Tokio, gdzie uczył się konstrukcji alternatywnych i technik zarządzania. Do śmierci krążył między Nowym Jorkiem a Tokio na tyle często, by być na bieżąco w interesach oraz wypełniać ważne dla Japończyków złożone, ale enigmatyczne zobowiązania przyjaźni.

Nowy Jork, w którym coraz bardziej zarysowywała się przepaść między bogactwem elity i nędzą biedoty, w dekadzie lat osiemdziesiątych i na początku dziewięćdziesiątych przeżywał exodus klasy średniej. Wykańczały ją wzrastające koszty najmu i podstawowych usług oraz podatki, poza tym pozostawaniu w mieście nie sprzyjało również groźne i odpychające sąsiedztwo nastoletnich *pusherów* i bezdomnych.

Moravia usiłował zmienić ten stan rzeczy na skalę, która faktycznie mogła przynieść efekty — aż do ostatniej nocy, kiedy to został zamordowany

w swym biurze na najwyższym piętrze własnego wysokościowca na Piątej Alei. Strzelono mu dwukrotnie w tył głowy z czegoś, co okazało się pistoletem kaliber 9 mm (testy balistyczne były w toku), w klasycznym stylu egzekucji. Jednoznacznie stwierdzono tylko jedno: akt ten był robotą profesjonalisty. Nie znaleziono broni ani odcisków palców — poza odciskami ofiary, jego asystenta i sekretarki. Członkowie ochrony Moravii, którzy znaleźli ciało, zadbali, by niczego nie dotykać. Na pierwszy rzut oka jedyną dziwną rzeczą były ślady szminki na policzkach Moravii, lecz rzecz działa się w Nowym Jorku, a w tym mieście po pewnym czasie prawie nic nie wydawało się dziwne.

Bobby przeglądał właśnie ostatnią stronę, gdy Wolf powiedział:

— Musi być coś więcej. W przeciwnym razie przekazałby mi pan te akta faksem.

Hayes Walker Johnson odstawił filiżankę.

— Na pozór ten facet był złoty, i to dosłownie. Prawdopodobnie dla odrodzenia tego miasta robił więcej niż ktokolwiek inny. Ale coś było z nim nie w porządku. Wczesnym rankiem zadzwonił do mnie szef zakładu medycyny sądowej. Wstępne badanie ujawniło, że Moravia być może wcale nie umarł z powodu tych kul w mózgu. Przeprowadzają jakieś wyrafinowane testy toksykologiczne. — Komisarz westchnął. — W każdym razie wygląda na to, że mamy do czynienia nie tylko ze zwykłą mokrą robotą. Chcę, żebyś dowiedział się, o co chodzi. Zanim rozpęta się piekło, a wierz mi, jeżeli natychmiast nie zdołasz zamknąć tej sprawy, piekło będzie niewąskie. Ponieważ, rozpatrzmy najprostszą wersję, jeżeli Moravia był narkomanem, to jego ścisłe powiązania z wysoko postawionymi członkami zarządu miasta zachwieją ekonomią tego obszaru do fundamentów. Biorąc pod uwagę reputację i wpływy Moravii, gwarantuję, że to piekła stanie się naszym piekłem i rzuci, na wydział paskudny cień. Klasa średnia, którą próbowaliśmy zatrzymać w mieście, znów zacznie wycofywać się z interesów i będzie czynić to w popłochu. Nie możemy do tego dopuścić. Od niej zależy nasz byt.

Wolf odchylił się na krześle, a Bobby przeczytał ostatnią stronę i zamknął skoroszyt. Komisarz wyjął mu go z ręki. Wolf zwrócił uwagę, jak pilnie Hayes Walker Johnson strzeże akt i pomyślał, że wie, dlaczego nie dostarczono ich faksem.

— Innymi słowy, chce pan, by pogrzebać tę sprawę — powiedział Wolf.

— Chcę ją w y c z y ś c i ć. — Komisarz podniósł rękę. — Zrób to jak chcesz, Wolf. Po prostu upewnij się, że piorunem dotrzesz do sedna. Nie chcę, żeby media wyczuły, że pierzemy jakieś brudy. — Komisarz zerknął na zegarek. — Mam zebranie za pięć minut. Jakieś pytania? — zapytał wstając.

— Chcę dostać ekipę malarzy — powiedział Wolf. — Robi mi się niedobrze, gdy widzę tę krew na ścianach kina.

— Masz to załatwione. Po prostu zadzwoń do mego biura i...

— Nie — przerwał mu Wolf, świdrując go wzrokiem, — Jutro rano. Pierwsza rzecz. Nie wystosuję już żadnych podań do pańskiego biura. Niech pan sam tym pokieruje.

— Zrobię to — obiecał komisarz. Fotogeniczny uśmiech prawie wymazał chroniczny lęk wyzierający z jego oczu. i— A ty wykonaj tę robotę szybko, schludnie i po cichu, żebyśmy mogli trochę odechnąć, okay?

Już z powrotem na ulicy (po wyjściu w taki sam okrężny sposób, w jaki przyszedł) Bobby, siadając za kierownicą samochodu, zapytał:

— O co, według pana, naprawdę chodzi? — Zapuścił silnik, by nieco rozgrzać wnętrze.

Wolf, już mając zamiar odpowiedzieć, powstrzymał się. Przyszło mu na myśl, że niewiele dba o motywy, jakimi kieruje się Johnson. Ledwie przed miesiącem stanowiłyby one intelektualną zagadkę, nad którą ślęczałby dopóty, dopóki by nie znalazł jasnej odpowiedzi. Zastanowił się, co się z nim dzieje — czy przypadkiem nie staje się nieco; szalony. Jego umiejętności zazdrościli mu wszyscy członkowie NYRD. Regularnie udzielał audiencji nie tylko miejskiemu oskarżycielowi naczelnemu, ale również prokuratorowi generalnemu — obaj traktowali go jak jakiegoś guru — i radził im, jak poprowadzić oskarżenie najbardziej niebezpiecznych przestępców. Krótko mówiąc, był chodzącym marzeniem każdego, kto zajmował się egzekwowaniem przestrzegania prawa. Pracował ciężko, by zdobyć tę uprzywilejowaną pozycję. A jednak teraz, gdy ją osiągnął, zaczynał zdawać sobie sprawę, że już o to nie dba. W czym był problem? Co się z nim działo? Może po prostu potrzebował nieco snu. Nie spał od trzydziestu sześciu godzin. A teraz jeszcze ta sprawa.

— Jedźmy do mieszkania Moravii - powiedział, gdy Bobby wrzucił bieg.

- Ale Morawię załatwiono w biurze.
— Przepięstwo jest prawdopodobnie sterylne, myślę więc, że w jego domu zyskamy pełniejszy obraz.

Mieszkanie Lawrence'a Moravii zajmowało najwyższą kondygnację domu, który wybudował w Central Park South i którego najemcami byli głównie Arabowie i Japończycy.

— Święty Jezu! — zawołał Bobby, gdy umundurowany strażnik pilnujący drzwi wpuścił ich do środka.

Wolf nie rzekł ani słowa; Bobby powiedział wszystko, co było można.

Mieszkanie Moravii (lepsze określenie to „dom”, chociaż i tak mniej niż adekwatne) wydawało się ciągnąć bez końca. Otwierał się przed nimi pokój po pokoju, wszystkie urządzone z najbardziej wyrafinowanym i kosztownym smakiem. Z każdego okna widać było połowę Manhattanu.

Na takiej wysokości — pomyślał Wolf — człowiek nieledwie sam sobie może wmówić, że Nowy Jork jest błyszczący i majestatyczny jak na widokówkach, że nie ma w nim potwornych czynów popełnianych w chwili, gdy patrzy się na ulice; na takiej wysokości nie usłyszałoby się syren nawet całej kawalkady samochodów policyjnych.

Wolfowi zrobiło się niedobrze na widok roztaczającej się pod nim panoramy; zdawał sobie sprawę z pyrrusowej ceny płaconej za tę wyniosłą, beznamiętną perspektywę.

Bobby przeciągnął ręką po tkaninie od Missoniego okrywającej ogromną półkolistą kanapę.

— Nie wiem jak pan, ale ja nie miałbym nic przeciwko posiadaniu dziesiątej części forsy tego faceta.

Wolf zapatrzył się w okna wychodzące na lśniące wieżowce Manhattanu. Smród El Banio równie dobrze mógł znajdować się na innej planecie.

— Sprawdź, co tu da się znaleźć. Ja zacznę od tyłu domu.

Wolf bezszelestnie przechodził z pokoju do pokoju. Mieszkanie było tak urządzone, że pokoje wydawały się nie zamieszkane. Perfekcja i harmonia kolorów, wzorów, stylów mebli działały mu na nerwy. W umeblowanie tego rozległego lokalu włożono kupę forsy, ale było to raczej miejsce do oglądania, nie do mieszkania. Wolf czuł się tak, jakby oglądał film wideo czy może reklamę mającą na celu wyłudzenie ciężko zarobionych dolców.

Spróbował wyobrazić sobie Lawrence'a Moravię: co robił w tych pokojach? Czy opierał stopy na wypolerowanym na wysoki połysk mahoniowym stole? Czy zdarzyło mu się upuścić lody na obicie po dwieście pięćdziesiąt dolarów za metr na tym eleganckim, ale sprawiającym wrażenie niewygodnego, krześle? Czy zostawiał włosy i łupież w ręcznie rzeźbionej nefrytowej umywalce Sherla Wagnera? Kto tu sprzątał? Było to przecież zajęcie dla Herkulesa.

Sypialnia pana domu okazała się tak wielka jak połowa boiska futbolowego. Podobnie jak w innych pokojach, tutaj też znajdowały się dzieła malarzy, których nazwiska — Flavin i Le Witt — nic Wolfowi nie mówiły, podobnie jak ich prace. W podłodze w pobliżu okna wychodzącego na północ, na zbiele, bezlistne drzewa Central Parku — ogromnego szkieletu rzuconego w centrum ponurego Manhattanu — znajdował się okrągły basen.

Wolf wszedł doń i wyjrzał przez okno. Co myślał Moravia, mocząc się w parującej wodzie? Może, jeżeli nie był sam, nie myślał wcale.

Wolf wyszedł z olbrzymiej wanny i rozciągnął się na łóżku, które było zwrócone nie w stronę okna, a pustej ściany. Dlaczego? Ustalenie takich szczegółów na początku śledztwa było ważne, ponieważ później wielka liczba danych zaciemni portret psychologiczny zamordowanego. Ponadto bez uświadomienia sobie, co miało znaczenie dla ofiary, dane mogłyby okazać się nieefektywne lub, co gorsza, prowadzić w niewłaściwym kierunku.

Na co, leżąc w łóżku, patrzył Moravia?

Wolf podniósł się i obejrzał pustą ścianę. Pozornie była zwyczajna, ale jednak różniła się jakoś od innych ścian w pokoju, jak gdyby ktoś z jakiegoś powodu ją wygładził.

Między ścianą a łóżkiem znajdował się mały stolik, na którym stało jakieś elektroniczne urządzenie. Wolf włączył je i zobaczył, że był to tele-beam Sharp służący do wyświetlania obrazu na tej gładkiej ścianie. Poniżej stał magnetowid i odtwarzacz płyt kompaktowych tv. Wolf schylił się i wyłuskał sześć pierwszych płyt. Leżały na samym wierzchu, musiały więc być ulubionymi pozycjami Moravii. *Oczy bez twarzy, W królestwie zmysłów, Mddchen w mundurze, Maski, Psycho, Kobieta wśród wydm.* Wolf znał niektóre z tych filmów, przeczytał tytuły na kopertach innych. Dziwaczne połączenie: rozdwojenie osobowości i perwersyjny seks.

Niezbyt typowa domowa filmoteka — pomyślał odkładając dyski.

Ale i tak lepiej już rozumiał Lawrence'a Moravię niż po przeczytaniu Stosu papierów dotyczących tej sprawy.

Podszedł do garderoby Moravii i po kolei rozsuwał lustrzane drzwi.

Garnitury od Brioniego i Armaniego, ręcznie szyte koszule od Ascot Chang, gotowe ubrania z „Commes des Garçons”, krawaty od Sulki i Franka Stelli. Wolf zatrzymał się zaciekawiony. Miał wrażenie, że patrzy na ubrania dwóch różnych ludzi, jednego konserwatywnego, drugiego modnego luzaka. Pomyślał o dwojakiej tematyce ulubionych filmów Moravii; teraz to czuł: było tak, jakby mieszkał tutaj nie jeden człowiek, a dwie zupełnie różne osoby.

Przeszedł dalej i natknął się na rząd japońskich kimon, przepysnie haftowanych w feudalne godła, żurawie, kwitnące peonie, sosny, węzową ścieżkę połyskującej rzeki. Coś tutaj nie grało. Co?

Fantastyczne wyobrażenia jakby ożyły, gdy jedwabiem poruszył lekki powiew. Wolf odwrócił się, by zobaczyć, skąd wieje. Jego dłoń powoli powędrowała do pistoletu. Wyciągnął broń.

Obszedł sypialnię. Wetknął głowę do przylegającej doń marmurowej łazienki. Był sam. Co było nie tak? Co pominął? Czyżby sobie to wyobraził? Zamknął oczy, ale zobaczył nie ciemność, a żar gorączki emanującej ze środka umysłu.

Widział Lawrence'a Moravię, widział lufę pistoletu przysuwającą się do jego karku, ale nie było tam szamotaniny ani oszalałego bicia serca. Prawdę mówiąc, nie było w ogóle niczego, żadnej emanacji, żadnej aury, żadnej twarzy łączącej się z zabójstwem. Znow wspomniął, jak kłęczał w zaułku nad trupem Juniora Ruiza. Wiedział, że to nie Arqullo go zabił, ale nie znalazł śladu innej aury, nie czuł niczego poza wiciem się zimnych, oślizłych żmij.

Zatem ta informacja uzyskana u komisarza była prawdziwa: dwie kule, które weszły w podstawę czaszki Moravii, spenetrowały już martwy mózg. Kto zamordował Moravię i dlaczego? Dlaczego zaaranżowano to tak, by wyglądało na robotę mafii? Z którego świata pochodził morderca: z nienagannego świata garniturów od Brioniego i lunchów w statecznym hotelu „Cztery Pory Roku”, czy z mrocznego świata seksualnych zbrodni *W królestwie zmysłów*? Wolf nie odebrał wyraźnego sygnału, ale instynktownie postawiłby na ten drugi.

Wrócił do sypialni. Stał przez chwilę w garderobie, znow czując powiew chłodnego powietrza. Przeszedł obok garniturów i wlepił oczy

w kimona, ponownie czując nieznaczne, ale dostrzegalne wibrowanie powietrza. Odruchowo przeciągnął dłoń po jedwabnych kimonach. Poruszyły się. Odsunął je na bok i teraz tchnienie powietrza uderzyło w niego z większą siłą. Ukląkł i zobaczył to, czego wcześniej nie zauważył.

Za kimonami widniała szczelina, przez którą przenikało przyćmione światło.

Przysuwając dłoń do szczeliny, wyczuł ruch powietrza i wiedział już, co poruszało kimonami. Otworzył prawie niewidoczne drzwi osadzone w tylnej ścianie garderoby. Schylił się i wszedł do środka.

Znalazł się w małym, nie większym od celi, pomieszczeniu. Powietrze przesycone było wyraźnym zapachem, lekkim, ale nadal wyczuwalnym. Była to woń piżma i ziół — obca, ale nie nieprzyjemna. Znalazł Wyłącznik i zapalił światło.

Pokój był tak skąpo umeblowany, że mógłby służyć za mnisią celę: trzciniowa mata na podłodze w jednym kącie, antyczne rzeźbione lustro stojące pod przeciwną ścianą, hibaci — japoński piecyk z drewna i miedzi; resztki węgla drzewnego w pobliżu świadczyły, że był używany. Najwyraźniej autentyczny hełm rycerski i para długich irchowych rękawiczek w jednym rogu, hibaci, autentyczny orientalny kobierzec wzdłuż drugiej ściany. Nie było okien ani innych drzwi poza wejściowymi, ściany obwieszane były ogromnymi czarno-białymi fotografiami, powiększeniami wykonanymi tak pieczołowicie, jakby same w sobie stanowiły dzieła sztuki. Fotosy były wariacjami na temat seksualnego zniewolenia.

Nagie kobiece formy — nie można było powiedzieć „ciała”, ponieważ nie było widać twarzy, zawsze odwróconych od aparatu — owiązane sznurem; nie tylko nadgarstki i kostki, sieć sznura spowijała piersi, brzuchy, biodra i krocza. Światło pieściło nagą skórę jak kochanek i nadawało jej pozornej trójwymiarowości. Wolf wyczuwał wśród tych groteskowych fragmentów widocznej skóry ukryty głód zakazanej wiedzy. Wszystkie fotografie przesycone były erotyzmem albo pornografią, w zależności od punktu widzenia. W każdym razie były szokujące. Obrażliwe, alarmujące czy skandaliczne? Wolf podejrzewał, że każde z tych określeń może być właściwe.

Ale w pewnym sensie chłonał te dziwaczne, sado-masochistyczne dzieła tylko częścią umysłu; dogłębnie skoncentrował się na przedmiocie stojącym pośrodku pomieszczenia.

Wysoka na osiem stóp rzeźba w ciasnej, gęstej atmosferze pokoiku wydawała się jeszcze większa i okropniejsza. Tworzyły ją kawałki tkaniny — Wolf prawie mimowolnie zauważył, że był to jedwab na kimona — i czarne pasy skóry przymocowane do spalonego, poskręcane-
nego metalu.

Tak jak zdjęcia, była jednocześnie niepokojąca i fascynująca; patrzenie na nią, niczym przyglądanie się jakiejś katastrofie, wyzwalało w ludzkiej duszy wszystkie najgorsze instynkty.

Na małej plakietce z brązu wygrawerowano tytuł: *Sztuka czy Śmierć*.

Czy — pomyślał Wolf — w wypadku Lawrence'a Moravii *Sztuka i Śmierć*.

Pochylił się, by z bliska przyjrzeć się plakietce i wtedy zauważył wystający spod rzeźby maleńki rożek bieli. Był to rachunek wystawiony niedawno, przed tygodniem, na którym widniała nazwa galerii sztuki z Lower East Side, w Alphabet City. Złożył kartkę i schował do kieszeni.

Wolf pojechał nie oznakowaną taksówką do Morningside Heights i zaparkował niezgodnie z przepisami na Broadwayu w pobliżu Ulicy Sto Szesnastej.

— Muszę wyskoczyć na jakiś czas — powiedział Bobby'emu w mieszkaniu Moravii. — Wracaj do biura i wciągnij Tony'ego. Każ mu wsiąść na lekarza dokonującego sekcji zwłok; niech wydobędzie z niego wszystko, co tylko można. Spotkaj się ze mną tutaj o dziewiątej wieczorem.

Rzucił znak „Sprawy policyjne” na deskę rozdzielczą i wszedł po schodach do kampusu Uniwersytetu Columbia. Pokochał tę oazę skwerów, obrośniętych bluszczem ścian, wąskich uliczek pachnących ceglami i książkami. Pokochał to miejsce także dlatego, że tutaj uczyła Amanda.

Zbliżając się do budynku z czerwonej cegły, w którym prowadziła wykłady, myślał o ich pierwszym spotkaniu przed rokiem. Zajęty był wówczas dochodzeniem w sprawie zamordowania dwóch dziewczyn z kolegium Barnarda, które zostały najpierw uduszone, a następnie zgwałcone — kolejność tę potwierdził lekarz. Zobaczył Amandę, gdy pędziła przez campus z notatnikami w jednej ręce i zniszczoną torbą ze świńskiej skóry w drugiej. Poszedł za nią do sali wykładowej i zatrzymał studenta, który podał mu jej nazwisko. Minutę później, w biurze uniwersyteckiego sekretarza, pokazał odznakę i zapytał o rozkład zajęć profesor Amandy Powers.

Dopiero po wytropieniu Potwora z Morningside Heights, jak nazwały mordercę nowojorskie gazety, miał okazję wrócić do jej sali wykładowej. Począł do zakończenia seminarium i gdy wychodziła, udał, że wpadł na nią nieumyślnie.

Zapytał, czy w ramach przeprosin mógłby postawić jej kawę. Doskonale pamiętał kawę i pączki zamówione w pobliskiej restauracji oraz radość, jaką sprawiała im rozmowa ze sobą. Zaskoczyła go. Pociągała go fizycznie, lecz oczekiwał, że okaże się raczej sztywnym, całkowicie pozbawionym poczucia humoru belfrem. Zamiast tego odkrył w niej człowieka uwielbiającego zabawę, bez obawy kwestionującego akademicką tradycję. Taka obrazoburcza postawa było przyczyną nie kończących się starć z szefem wydziału, ale zawsze wybaczano jej grzechy z powodu sukcesów w pracy ze studentami.

Wszedł do jej sali, usadowił się w ostatnim rzędzie i słuchał wykładu na temat społecznych uwarunkowań komunikacji międzyludzkiej. Amanda zrobiła doktorat z socjologii i była zafascynowana postmodernistycznymi ekstrapolacjami tej dziedziny wiedzy. Dowodem na to, z jaką umiejętnością potrafiła ożywić ten przedmiot, był fakt, że prowadzony przez nią kurs znajdował się wśród tych, na które studenci na początku każdego semestru zapisywali się najwcześniej. Wolf często myślał, że Amanda jest zbyt inteligentna, by trwonić życie na nauczaniu innych, ale zmienił zdanie, gdy wziął udział w kilku seminariach i zobaczył elektryzujący efekt, jaki wywiera na słuchaczy.

Amanda była średniego wzrostu i miała przycięte równo blond włosy, które dotykały kwadratowych ramion, oraz szerokie, śmiejące się usta, badawcze szare oczy i brzoskwiniową karnację, za którą większość nowojorskich kobiet gotowa byłaby się zabić. Kiedy spotkali się po raz pierwszy, był przekonany, że ma nieco ponad trzydzieści lat i ze zdumieniem odkrył, że jest o dziesięć lat starsza. Zajmowała uniwersyteckie mieszkanie w Morningside Heights — wysokie, jasne, dość przyjemne, ale Wolf nie ufał sąsiedztwu. Mimo przedsięwziętych w latach osiemdziesiątych prób poprawienia statusu dzielnicy, w kategoriach NYPD nadal należała do niebezpiecznych.

Seminarium dobiegło końca, studenci zaczęli powoli wychodzić. Kilku stanęło w kolejce, by porozmawiać z Amandą, ale gdy Wolf wstał, ona zauważyła go, przeprosiła studentów i wsunęła się w przejście między rzędami. Zarzucił jej płaszcz na ramiona i wyszli na dwór. Przejaśniało się.

Temperatura jak na luty była dość wysoka, a słońce mniej zamglone, OS można się było spodziewać w Nowym Jorku.

Szli wzdłuż ceglanego, porośniętego bluszczem muru. Amanda pocałowała go, gdy znaleźli się poza zasięgiem wzroku studentów.

— Co za niespodzianka! Myślałam, że o tej porze będziesz w domu, w łóżku.

— Jedynym łóżkiem, w jakim chciałbym się teraz znajdować, jest twoje. Roześmiała się i wydłużyła krok.

— Będę szybsza.

— To z pewnością najstarszy taniec świata — wyszeptała Amanda.

Światło, blade i gęste jak mleko, sączyło się przez staromodne żaluzje, których listewki rzucały na nich pasy cienia. Cień wyginał się w łuk na jednej obnażonej piersi Amandy i spływał w dół brzucha, gdzie usta Wolfa poruszały się w takt bicia jej serca. Stała na palcach, z ugiętymi kolanami, jednocześnie nieruchoma i drżąca; przepływał przez nią lód i ogień, gdy szeptała słowa, które tylko on rozumiał. Jej biodra wychylały się do przodu, zagryzała usta, chciała, by to trwało i trwało, ale pragnęła czegoś więcej, skuliła się więc, splotła z nim i pociągnęła w górę.

Jej uda drżały tak mocno, że musiała się go uchwycić, zarzucić ręce na szyję. Ujął w usta najpierw jeden, potem drugi stwardniały sutek i wodził po nich językiem, aż zaczęła dyszeć.

Zmusił ją, by uklękła i odwrócił powoli; puściła go, jej plecy wygięły się w koci grzbiet, a pośladki wpasowały w jego pachwinę. Wolf otoczył jedną ręką jej talię, a drugą nabrzmiałe piersi. Jej uda rozsunęły się, splotła kostki za jego kolanami. Sięgając w dół chwyciła jego członka i pocierała nim o swoje gorące, wilgotne wnętrze, gładziła go, póki nie poczuła nagłego drżenia przebiegającego przez mocne mięśnie. Potem wbiła go w siebie, a on wygiął biodra w łuk i wsunął się na całą długość. Poczuła żar ogarniający stopniowo brzuch, piersi, mózg...

Jęcząc i dygocąc konwulsyjnie, zamknęła oczy i oparła głowę na jego ramieniu, podczas gdy on wchodził i wychodził, sprawiając jej rozkosz, którą odbierała wszystkimi zmysłami.

— Och, mój Boże!

Głos uciekał z niej jak powietrze z balonika — był to dziwny dźwięk, sam w sobie naładowany erotyzmem. Po chwili usłyszała własny szepot:

— Jeszcze, jeszcze, nie przestawaj, ooch!

Potem poczuła niesamowitą, tajemniczą i ekstatyczną siłę emanującą z kochanka. Porównała ją do wiatru zrywającego się przed burzą, w myślach bowiem stała na środkowozachodniej równinie i obserwowała czarny, obniżający się z chmur i wędrujący w swą stronę lej trąby powietrznej. Czowała, jak ta znajoma, lecz niepojęta siła porusza się niczym zwierzę i jak wzmocnione przez nią fale ekstazy nadają inny wymiar otaczającej ją rzeczywistości. Niejasno zdawała sobie sprawę, że zasłony burzą się jak chmury w letni dzień, że okrycie na łóżku marszczy się jak fala przyboju na połyskującej plaży, że drzwi szafy są na wpół otwarte, a wewnątrz skąpane w miękkim świetle długiego, sennego, wrześnieowego dnia. Rozkosz narastała w niej, piętnując wszystkie wspomnienia z przeszłości niespokojną gorączką pożądania. Oszołomiona żądzą sięgnęła w dół, ujęła go w dłonie i wsunęła jeszcze głębiej w siebie, a ten dodatkowy cal wyrwał z jej rozchylnych ust krzyk: niski, pochodzący z głębi serca jęk, który wyniósł ją na szczyt.

Pozostał w niej długi czas, jak zawsze, ponieważ lubiła czuć pulsowanie jego krwi i odpływ tej wstrząsającej, niewyobrażalnej siły — siły tornada wirującego na horyzoncie i zagarniającego ją w swe ciemne ramiona; siły, której źródłem mógł być tylko on, której nie znalazła w żadnym innym mężczyźnie — oraz, stopniowo, wiotczenie, któremu częstokroć potrafiła zaradzić.

Tym razem jednakże odwróciła Wolfa na plecy, przysiadła mu na udach i przyjacielsko, jak siostra, delikatnie pogłaskała po czole. Otaczały ich ciepłe barwy mieszkania, zasłony i żaluzje zacierały znajdującą się tuż za nimi konstrukcję schodów awaryjnych.

— Panda — wyszeptał miękko.

Było to jej stare przezwisko, nadane przypadkowo przez młodszą siostrę, Stevie, która w dzieciństwie miała trudności z wymówieniem „Am” w jej imieniu.

— W czym problem? — pocałowała go w policzek.

Wzniósł na nią cynamonowe oczy o ciężkich powiekach.

— A skąd wiesz, że w ogóle jest jakiś problem?

Uśmiechnęła się.

— Bo przyszedłeś na uczelnię w czasie pracy. Nie robiłeś tego od naszego pierwszego spotkania.

— O co ci chodzi? Przecież wtedy wpadłem na ciebie przypadkowo.
— Och, Wolf. Nie sądzisz, że mogę mieć przyjaciół w biurze sekretarza?
Był szczerze zaskoczony.
— To znaczy, że przez cały czas wiedziałaś...
— Że nasze pierwsze spotkanie było nagrane? — Skinęła głową.
— I nigdy nic nie powiedziałaś?
— Uważałam, że to było słodkie. — Znów lekko musnęła go wargami.
— I okropnie romantyczne. Poza tym nie chciałam pozbawiać cię triumfu zdobywcy.
— A ja myślałem, że byłem taki sprytny.
Widząc wyraz jego twarzy, roześmiała się.
— Nie powinieneś być używać odznaki. Ludzie zwykle zapamiętują takie rzeczy, szczególnie na uczelni.
Chrząknął, a ona wiedziała, że zakodował tę informację w swym tak bardzo przenikliwym mózgu.
Uśmiechnęła się.
— Mężczyźni są tacy próżni. Myślą, że świat kręci się wokół nich, że tajemnica życia polega na kontrolowaniu wszystkiego.
— Mnie na tym nie zależy.
Amanda oparła dłoń na jego piersiach i schyliła się tak, że jej głowa znalazła się bardzo blisko jego twarzy.
— A co ty chcesz kontrolować?
— A dlaczego miałbym chcieć kontrolować cokolwiek?
— Ponieważ, kochanie, mężczyźni uważają to za najbardziej podniecające... i przerażające.
— A czego najbardziej obawiają się kobiety?
— To proste. Wiek.
— Żartujesz.
— To jedyna rzecz, z której kobiety nigdy nie żartują.
— Wiek nigdy nie był dla mnie tematem do rozmyślań.
— Nie musiał. Wam jest łatwiej. Kiedy mężczyzna się starzeje, to dla poprawienia samopoczucia wystarcza mu poderwanie młodszej kobiety.
— Pokręciła głową. — A co się dzieje z nami?
Wolf, myśląc o swoim ojcu, dotknął jej silnego ciała, skóry gładkiej jak satyna, piersi jędrnych niczym piersi dwudziestoletniej dziewczyny.
— No cóż, ty nie musisz się przejmować; z pewnością się nie starzejesz.
— Wszyscy się starzejemy. — Splotła palce z jego palcami. — Już nie

jestem młoda. Czasami patrzę na siebie w lustrze i zastanawiam się... Nie wiem, może czuję lata płynące jak wartka rzeka i chcę wstrzymać ich bieg.

—Roześmiała się niepewnie i skryła twarz w zagłębieniu jego ramienia.

Wolf pogładził ją po włosach.

— Nie możesz tego zrobić, Pando — powiedział, całując ją delikatnie.

— Tego nikt nie potrafi.

— Oczywiście, wiem. Ale jednak chcę... och, tak bardzo chciałabym być młodsza.

— Może tym, czego naprawdę potrzebujesz, jest porządny, gorący romans z młodszym mężczyzną.

— Właśnie taki mam.

— Jestem trzy lata od ciebie starszy.

Przesunęła palcami po jego twarzy.

— Wolf — wyszeptala gardłowo — wyglądasz tak pięknie, tak młodo, na nie więcej niż trzydzieści lat.

— To absurdalne. Słuchaj, Pando, czas upływa dla wszystkich. Bądź szczęśliwa, że żyjesz w dzisiejszych czasach. Trzysta lat temu, mając tyle lat, mogłabyś już nie żyć.

— Pocieszające — westchnęła i zamknęła oczy. Jej rzęsy musnęły jego skórę niczym skrzydła motyla. Stłumionym głosem dodała: — Jednakże jak cudownie byłoby być wiecznie młodym. — Po chwili zsunęła się z Wolfa i przytuliła do jego boku. — A teraz powiedz mi, dlaczego przyszedłeś do mnie, chociaż powinieneś spać.

— Nie chcę spać.

— Wiem — rzekła miękko. — Chcesz rozmawiać.

Milczał przez pewien czas. Słońce przenikało przez żaluzje i na kremowym suficie odbijały się białe prążki światła; ich krawędzie były rozmyte i niewyraźne jak sen. Przez zamknięte okna przenikał szum ulicznego ruchu, przytłumiony niczym mająca wybuchnąć lada moment domowa awantura.

— Pando, co ja robię ze swoim życiem?

Położyła rękę na jego sercu.

— Jakiej chcesz odpowiedzi, praktycznej czy filozoficznej?

— Chyba ani jednej, ani drugiej. Myślę, że teraz potrzebuję odpowiedzi metafizycznej.

— Mmmm, zatem jesteś u siebie. Metafizyka jest bardziej twoją działką.

Rozumiał, co ma na myśli. Opowiedział jej tyle o swoim dziadku, że zrozumiała, iż jego wczesne wychowanie w pewien sposób miało charakter

metafizyczny, chociaż bez wątpienia nie zostałyby uznane za takie przez akademików zajmujących się tą dziedziną. Ale ona nie wiedziała wszystkiego; nawet rodzice Wolfa nie mieli o tym pojęcia.

— Wszystko na świecie winno dziać się w określony sposób — zaczął powoli, jak gdyby próbował przełożyć na angielski myśli wypowiedziane w innym języku. — W sposób, w jaki drzewo rośnie, rzeka płynie, liść umiera jesienią. I na przykład gdy widzisz liść usychający latem, instynktownie wiesz, że coś jest nie w porządku.

Odetchnął głęboko kilka razy, Amanda widziała więc, jak głęboko był poruszony.

— Czuję, jakby... nie wiem, jak to wyrazić ... jakby coś wyrastało niezgodnie z porą roku.

— Czy wiesz, co to jest? — Potem, ponieważ wyczuła, że słowa więzną mu w gardle jak ołów, ujęła jego dłoń i dodała: — Jeżeli chcesz znać moje zdanie, nie jest to kwestia metafizyki. Coś cię zaniepokoiło i dlatego przyszedłeś dziś do campusu. — Przytuliła się mocniej. — Breathard?

— Jak zawsze — odparł Wolf. — Ale, ciekawe, teraz dzieje się coś, co mu odpowiada. Obaj jesteśmy członkami ekskluzywnego klubu, ale ja nigdy nie używałem odznaki dla osobistych korzyści. A dla facetów takich jak Breathard stało się to dragą naturą. To symptomatyczne, jak oni siebie widzą: jako członków elitarnej, wyniesionej ponad prawo grupy... To choroba, Pando, widziałem, jak to działa. Pierwszym krokiem — i wierz mi, zaledwie pierwszym — jest demonstrowanie odznaki w celu zwrócenia na siebie uwagi. Następnym jest posługiwanie się nią po to, by wyzebrać darmowe posiłki, gdy pracuje się w terenie; potem następują wystawne darmowe kolacje (z początku tylko raz na jakiś czas) jako rewanż za usługę wyświadczoną właścicielowi restauracji; później dochodzi do wyciągnięcia jakiegoś kryminalisty z aresztu, ponieważ jest on częścią siatki informatorów czy też człowiekiem ważnym dla ciebie w jakiś inny sposób... Gliniarze lubią mówić, że dorabiają sobie na boku, ale w rzeczywistości nie jest to żadne dorabianie. Tym, co robią, jest naginanie prawa. Mówią sobie: jesteśmy odrębnym bractwem, ryzykujemy i nie dostajemy za to żadnej zapłaty, zasługujemy zatem na jakąś rekompensatę. Ale takie rekompensaty są niebezpieczne, ponieważ w samej definicji są niemoralne. To specjalny rodzaj zepsucia: lekceważenie prawa. Gdy raz nagniesz prawo, Pando, tym łatwiej będzie ci nagiąć je

odrobinę dalej, i jeszcze trochę, aż do punktu, w którym dojdiesz do wniosku, że w ogóle go nie naginasz.

— Więc to system cię gryzie, prawda?

Nic nie odparł, a ona czekała cierpliwie. Wiedziała, że jest przyzwyczajony do rozległych przestrzeni Elk Basin w Wyoming i do panującej na nich ciszy, że zanim przejdzie do sedna nurtującego go probierni}, potrzebuje milczenia.

W końcu pokiwał głową.

— Po siedmiu miesiącach pościgu zastawiłem pułapkę na tego szaleńca, który już wcześniej zabił trzy kobiety. Miałem go, ale postanowiłem pojmać bez niczyjej pomocy. W konsekwencji zginęła dziewczyna i jeden z moich ludzi.

Oczy Amandy były ciemne jak bursztyn.

— Oczywiście, to tragiczne, Wolf. Okropnie mi przykro, **Ale**, jeśli pozwolisz na brutalną szczerość, wątpię, żebyś to ty nawalił...ZOfllt¹ cię zbyt dobrze. Niepokoi cię coś zupełnie innego.

— Nie wiem, kto zabił Juniora; nie czułem go — wyrzucił z siebie. — A później, rano, komisarz zwałił mi na głowę sprawę morderstwa Moravii. Byłem w jego mieszkaniu. Nie znalazłem żadnej wskazówki, która by mi podpowiedziała, kto go zamordował, nie wychwyciłem żadnego śladu psychicznego.

— I boisz się, że w obu wypadkach był jakiś psychiczny ślad, a ty nie mogłeś go wykryć.

Pokiwał głową.

Spojrzała mu prosto w oczy.

— Wolf, nie wiem, na czym polega ta twoja tajemnicza siła, **ale** wiem, że na pewno cię nie opuściła. Czułam ją wcześniej, tak jak zawsze, gdy się kochamy. — Uścisnęła jego rękę. — Nic się nie zmieniło.

— Ale się zmieni — powiedział, siadając gwałtownie. — Czuję się tak, jakbym był psem goniącym własny ogon, jakbym powinien zacząć chodzić z białą laską.

— Wobec tego masz do rozwiązania nie tylko sprawy tych morderstw. A czy nie przyszło ci na myśl, że ten, kto zabił twojego człowieka, być może jest również mordercą Moravii?

— Dlaczego? Między tymi dwiema sprawami nie zachodzi żaden związek.

— Może pozornie nie, ale co z tym brakiem psychicznego śladu? Powiedziałeś, że w obu przypadkach niczego nie czuleś. Czy myślisz, że można wyjaśnić to jedynie zbiegiem okoliczności?

Wolf poczuł zmije pełznące po kręgosłupie. Że też sam nie dostrzegł takiej oczywistej konkluzji.

— Biedny Wolf. — Amanda pocałowała go namiętnie. — Chcesz poznać moją propozycję? Mała impreza. Stevie jutro wieczorem w Alphabet City wydaje przyjęcie dla grupy nowych artystów. Obiecała, że będzie zabawnie. Chcę, żebyś poszedł ze mną.

— Nie mogę, Pando. Komisarz wyraźnie dał mi do zrozumienia, że muszę się spieszyć. Nie mam czasu na...

Położyła mu rękę na ustach.

— Jak cię znam, już robisz wszystko, co możesz. Ale nie powinieneś pracować dwadzieścia cztery godziny na dobę, nawet ty, Panie Żelazny Człowieku, Szoszonie Rzeki Wiatr,

— Tak mnie widzisz?

Roześmiała się i przyciągnęła go do siebie.

— Bo taki jesteś. Ale nawet ty jesteś człowiekiem z krwi i kości, więc krótka przerwa w pracy zrobi cuda dla twojej koncentracji — sięgnęła w dół i pogładziła go delikatnie — nie wspominając o samopoczuciu. — Roześmiała się, gdy stwardniał w jej ręku. — Mam na to niepodważalny dowód; właśnie podnosi się, by spojrzeć mi prosto w twarz.

II

NOWY JORK-TOKIO

Resztę przedpołudnia Wolf spędził w biurze i mieszkaniu Moravii, a później zaznajomił się z raportami balistycznymi (które, jak na razie, niczego nie wniosły) i zabrał się za odwalanie zaległej papierkowej roboty. W biurze czekała na niego notatka od szefa policji, Breatharda, która sprowadzała się do tego, że Wolf ma kontynuować śledztwo w sprawie śmierci Juniora Ruiza zgodnie z proponowanymi i wygodnymi dla niego — to znaczy dla Breatharda — wskazówkami. Breathard był w tego typu rzeczach niedoścignionym mistrzem.

Teraz była trzecia po południu i Wolf wraz z CME, co było skrótem od Chief Medical Examiner, znajdował się w piwnicach budynku na rogu Pierwszej Alei i Ulicy Trzydziestej, w jednym z pomieszczeń przeznaczonych do przeprowadzania sekcji. Sala sąsiadowała z chłodnią, w której spoczywały czekające na swoją kolej ciała.

Vernon Harrison, CME — lekarz naczelny Zakładu Medycyny Sądowej miasta Nowy Jork, był niezmiernie wysokim, zgarbionym człowiekiem o rysach smutnego jamnika. Grube soczewki okularów świadczyły o słabym wzroku, ale Wolf wiedział, że była to jego jedyna słaba strona. Harrison, przebywając w środku politycznego, administracyjnego i medycznego chaosu, jaki może stworzyć jedynie metropolia znajdująca się na krawędzi upadku, potrafił zachować zimną krew i zdrowy rozsądek.

— Zrobił pan już Arqulla, handlarza narkotyków? — zapytał Wolf.

— Ale burdel! — prychnął Harrison. — Wygląda tak, jakby jakiś świr przypalił mu twarz palnikiem. — Wzruszył ramionami. — No cóż, jak to elokwentnie wyłożyli Rzymianie, kto mieczem wojuje, ten musi się spodziewać, że od miecza zginie, no nie? — Odłożył piłkę do cięcia kości. W powietrzu unosił się gęsty niczym kir zapach ludzkiego ciała.

— Więc to palnik tak go przysmażył?

— Na to wygląda — odparł Harrison, układając instrumenty. — Ktoś także odwalił śliczną robótkę na jego ramieniu.

— To ja.

— Punkt dla nas.

Wolf poczuł ulgę, że CME nie znalazł niczego podejrzanego w śmierci Arqulla i postanowił zmienić temat.

— A teraz Moravia.

— Ach, tu jest się o co zaczepić. — Harrison odciągnął otłuszczone skórę z klatki piersiowej Juniora Ruiza. — Pomijając to, że nie wiem, co powiedzieć. — Dzierzył chromowane narzędzia tak, jak tambur major swoją buławę na czele parady. — Ho, ho, cała ta sprawa zaczyna mnie rajcować. Próbkę krwi, wycinki tkanki, całe dziewięć jardów, są poddawane wszelkim testom toksykologicznym, jakie tylko zdołałem wymyślić. I jak na razie guzik. — Wolf zwrócił uwagę, że Harrison, WASP* w każdym calu, zanurzony w mozaice etnicznej miasta, w pewien sposób musi być zażenowany swoim statusem; jego mowa była upstrzona naleciałościami z wielu różnych kultur.

— Sprawdził pan tę szminkę na jego policzkach? Coś ciekawego?

— Nie, chyba że jest pan Estee Lauder. Składniki były pierwszorzędne, ale takie, jakich człowiek spodziewa się w szmince. — Harrison podniósł głowę. — Żadnych egzotycznych trucizn, jeżeli o tym pan myśli.

Wolf wzruszył ramionami.

— Potrzebuję jakichś odpowiedzi, i to szybko.

Madre de Dios, zwijam się tak szybko, jak mogę — stęknął CME, zaglądając w otwartą jamę klatki piersiowej Juniora Ruiza. Wskazał palcem. — O, ten facet jest całkiem inny. *O-yasui koto desu*, nie ma problemu: dostał dwa pociski kaliber trzydzieści osiem z bliskiego zasięgu, które po prostu rozdarły mu płuca i serce.

* WASP — White Anglo-Saxon Protestant — Amerykanin, którego przodkowie pochodzą z Europy Północnej, uważany za członka klasy posiadającej wpływy i władzę, protestant.

Wolf starał się nie patrzeć na żółtego trupa pocętkowanego purpurowymi siniakami i czerwono-czarnymi plamami zaschniętej krwi, który niegdyś był Juniorem Ruizem.

— Wracając do Moravii — zaczął, zmuszając się do skoncentrowania uwagi. — Czy są jakieś ślady uzależnienia od narkotyków?

— Dobre pytanie. — CME zaczął zakładać na długie rozcięcie gruby szew. — Był naładowany koką, co do tego nie ma najmniejszych wątpliwości. Czy brał od dawna? Nie. Czy lubił sobie zaćpać od czasu do czasu? *Quien sabe?*

Wolf zaczekał, aż Harrison skończy dyktować do mikrofonu raport z przebiegu sekcji zwłok. Pragnął, by zakrył ciało Juniora Ruiza prześcieradłem.

— Co zatem spowodowało śmierć Moravii?

— Pytanie za miliard dolców — odparł Harrison i przerwał, marszcząc brwi. — Powiem panu, co go nie zabiło. Był martwy, gdy do niego strzelono. A co do koki, nie znaleźliśmy żadnych śladów przedawkowania. Koka była w porządku i poziom, jaki znaleźliśmy w jego organizmie, był niższy od śmiertelnej dawki. — Wreszcie naciągnął prześcieradło na ciało Juniora Ruiza. Odwrócił się do Wolfa. — Powiedziałbym, że mamy na głowie cholerną tajemnicę kahunów.

Wolf był w drodze do wyjścia, gdy Harrison go zatrzymał.

— Jest jedna śmieszna sprawa z tym facetem.

Wolf odwrócił się.

— Jaka?

Harrison potarł bok nosa.

— No cóż, czy słyszał pan, by dorosły kłamał na temat swego wieku chcąc się postarzyć?

— Nie. Jaki miałby w tym cel?

— Właśnie. Według aktu urodzenia Moravia miał czterdzieści osiem lat, a jednak kiedy przeprowadzałem autopsję, stało się dla mnie jasne, że zaglądam do wnętrza człowieka nie więcej niż trzydziestoletniego.

Naoharu Nishitsu leżał w całkowitych ciemnościach. Zza rozsuwanych drzwi wychodzących na ośnieżony ogród, który był dla niego swego rodzaju świątynią, dobiegał grzechot pędów bambusa poruszanych wiatrem.

Ponieważ drzwi były częściowo rozsunięte, w pokoju panował przejmujący chłód. Nishitsu, aczkolwiek nagi, lubił to.

Usłyszał delikatny szelest — prawdę mówiąc, wyczuł go, tak jak wyczuwa się zapach — i rozciągnął się na futonie. Po chwili obok niego uklękła Evan; jej gibkie dziewczęce ciało było ciepłe i pachniało jakimś egzotycznym owocem.

— Powiedz mi, Evan — zagadnął, gdy podała mu gorzką zieloną herbatę, spienioną i jasną — czy jesteś tu szczęśliwa?

— Nigdy się nad tym nie zastanawiałam, Nishitsu-san — odparła, przysiadając na piętach. — „Zakazane Sny” są moim domem, zawsze tak było. Moim obowiązkiem jest być tu i służyć tobie. — Jej głos był jak bawelna, którą można rozerwać i na życzenie uformować w dowolny kształt.

— Ale czy kiedykolwiek byłaś szczęśliwa?

— Jestem zadowolona, Nishitsu-san.

— Ja nie, Evan — westchnął. Stwierdzenie to zawisło w powietrzu niczym brzytwa osuwająca się z półki. — Mam wrażenie, że w „Zakazanych Snach” narasta rozbieżność poglądów.

— Rozbieżność poglądów?

— Tak — powiedział Nishitsu, leżąc całkowicie nieruchomo. — Mam na myśli lojalność. Wydawało się aż do dziś, że coś takiego w ogóle nie może podlegać dyskusji. — Obserwował niewyraźny zarys jej ciała. — Historycznie rzecz biorąc, od czasu szogunów my, członkowie Toshin Kuro Kosai zawsze byliśmy jednomyślni, podążaliśmy jedną ścieżką, a ścieżka ta była bezpieczna. Obecnie wydaje się, że tak nie jest.

— Czy mówisz o zdrajcy, Nishitsu-san?

Mężczyzna raptownie podniósł się na łokciu, a jego lewa dłoń zacisnęła się na prawym nadgarstku Japonki z taką siłą, że wyczuwał kości.

— Bystra dziewczyna.

Evan zachowała milczenie, ale odwróciła głowę. W chwilę później stwierdził, że jej zapach uległ zmianie — stał się lekko kwaśny, piżmowy, mniej subtelny. Rozszerzył nozdrza, delektując się tą złożoną i uderzającą do głowy wonią jej strachu.

— Tak, o zdrajcy. — Jego głos był ochryłym szeptem. — Odnoszę wrażenie, że ktoś zwrócił się przeciw nam i rozpracowuje od środka nasz plan.

Jego druga ręka powędrowała w górę i zamknęła się na jej piersi. Teraz, mimo że dziewczynę obowiązywała żelazna dyscyplina, spomiędzy jej zacisniętych warg wyrwał się wyraźny skowyt.

— Nie wiesz niczego na ten temat prawda, Evan?

— Co?

Przestraszył ją, to jasne, ale to było dobre, ponieważ oznaczało, że mógł jej ufać. Nie zmniejszył jednak bolesnego uchwytu, wręcz przeciwnie

— naciskał coraz mocniej na nadgarstek i pierś, aż dziewczyna zaczęła drżeć z bólu. Pochylając się mógł smakować ten ból, uzewnętrzniający się w goryczy spływającego po niej potu.

— Ktoś, Evan, a mogłabyś to być ty... — zaczął, oblizując usta i rozkoszując się smakiem potu, nie mniej drogowym od najszlachetniejszego wina — zdradza nas bądź myśli, że nas zdradza. I to mogłabyś być ty, bo sypiałaś z tym szpiegiem Moravią.

— Ale ja nie wiedziałam, że on był szpiegiem; gdybym wiedziała, z pewnością próbowałabym dowiedzieć się, dla kogo pracuje.

Nishitsu cieszył się, że w pokoju panuje mrok, ponieważ nie mógł powstrzymać się od uśmiechu. Prawdą było to, czego się w życiu nauczył: mężczyźni byli podstępni i dwulicowi, ale kobiety potrafiły ich zdemaskować.

Nieważne, że Nishitsu już wiedział, dla kogo pracował Moravia, że dowiedział się tego w chwili, gdy ten amator wysłał zakodowany faks z biura „American Express” w Ginzie. Nishitsu nie przejmował się tym, że nie mógł przeczytać wiadomości. Ważny był podany mu przez jego ludzi adres, pod który ją wysłano.

Evan nie musiała znać szczegółów; z doświadczenia wiedział, że zbyt wiele informacji może stać się brzemieniem nie do zniesienia. W każdym bądź razie Evan mogła się przydać. Rozluźnił palce i w odpowiedzi poczuł zmniejszenie napięcia zapachu, który uwielbia tak bezgranicznie.

— Kto mógł nas zdradzić?

— Nie wiem.

Jego wargi były tak blisko, że muskały skórę policzka i kącik jej warg.

— Lista podejrzanych jest ograniczona. Istnieje tylko kilka osób dysponujących odpowiednią siłą, doświadczeniem i podstępem — stwierdził. Jej usta sklejała cieniutka warstewka śliny; pragnął poznać jej smak.

— Mężczyzna posiada wewnętrzną siłę, niezbędną, by nam się sprzeciwić, kobieta zaś przebiegły charakter. Jakie jest twoje zdanie? Kobieta czy mężczyzna?

— Mężczyzna.

— Też tak uważam. Prawdę mówiąc, moim pierwszym podejrzanym

jest Shoto Wakare. — Puścił jej nadgarstek. Evan nawet nie drgnęła.
- Wiem, że masz talent i w tej kwestii całkowicie na nim polegamy.

— Zawsze robię to, co każesz, Nishitsu-san.

Nie mógł się powstrzymać przed zlizaniem wilgoci zlepiającej jej wargi.

— I zrobisz to znowu — wyszeptał gardłowo. — Pomożesz mi znaleźć zdrajcę.

W odpowiedzi Evan podniosła głowę, odsłaniając długą szyję. Nishitsu na widok delikatnego ciała oraz tego, jak chętnie mu je pokazywała, poczuł żądzę przesyconą głębokim smutkiem.

Wciągnął ją pod siebie, jego potężne nogi rozsunęły jej uda. Po chwili krzyczała, ale ten krzyk różnił się od poprzedniego tłumionego kwilenia.

Wolf postanowił nie mówić nikomu o drzwiach w ścianie garderoby Moravii, o znajdującej się za nimi celi oraz jej dziwacznej zawartości, łącznie z fotosami i rzeźbą. Nie powiedział tego nawet Bobby'emu. Dlaczego? Nie miał pojęcia. Wiedział jedynie, że jakiś instynkt kazał mu zachować na razie tę część śledztwa dla siebie.

Późne popołudnie było zimne, powietrze nieruchome, jakby w ogóle nie było pogody, a tylko rozległy, mroźny, szary całun, który groził, że okryje miasto i zmieni je w nicość. Zaparkował na Ulicy Trzeciej Wschodniej, naprzeciw starego domu o fasadzie wyłożonej czerwonawobrazowym piaskowcem. Na parterze znajdowała się galeria sztuki, o ile pasy tkaniny i czarnej skóry przymocowane do arkuszy wypalonego, poskręcane go metalu można nazwać sztuką. Okropne rzeźby widoczne były w oknie za wzmocnionymi stalowymi kratami, pomalowanymi na okropne odcienie zieleni, purpury i żółci — co jednoznacznie kojarzyło się z siniakiem. Na szybach w stylu eleganckiego graffiti nabazgrano: „Wielkowiejski Rozkład”.

Trafna nazwa — pomyślał.

Malowane kraty były zasunięte, ale i tak wydawało się, że rzeźby w oknie wchłaniają gryzące zimowe powietrze, absorbują całe oświetlenie.

Wnętrze było ciemne i ponure niczym cmentarz o północy. Kierowniczką upiornej galerii okazała się straszliwie chuda młoda kobieta, której figura przypominała wieszak na płaszcz. Miała długie, proste włosy, czerwone jak wóz strażacki, grobową, błękitnawobiałą cerę, a oczy, usta i paznokcie czarne jak ściany galerii. Wszystko to sprawiało, że zdawała się bliższa śmierci niż życia, które, jak Wolf przypuszczał, ostatecznie było jej celem.

Czarująca — pomyślał. — Ale bardzo przygnębiająca, w zależności od punktu widzenia.

Młoda kobieta nazywała się Moun, co, poinformowała, wycinając słowa ostrymi drobnymi zębami, rymuje się z *moun**, czyli rzeczownikiem. Wolf przedstawił się jako prawnik reprezentujący interesy zmarłego Lawrence'a Moravii. Kiedy Moun spojrzała na niego pustym wzrokiem, wyciągnął jego fotografię.

— Aha, Lany. Nie żyje? O rany, ale numer! — Potem wzruszyła ramionami i otrząsnęła się z żalu czy co tam ją ogarnęło. — Jasne, przychodził tutaj często, lubił się rozglądać. Odgrywałam swoją rolę jak zawsze, rozumie pan? Na początku byłam pewna, że sztuka go nie interesuje, po prostu, wie pan, przyprowadził tu przyjaciela spoza miasta, odgrywając oblatanego nowojorczyka. Ale potem poznałam go lepiej i wiedziałam, że coś kupi. — Otworzyła paczuszkę gumy balonowej i wtoczyła ją w usta. — Zwykle wyczuwa się ludzi, no nie? Jak pan tu wszedł, to też wiedziałam, że nie zamierza pan niczego kupić.

— A jak pani myśli, po co tu przyszedłem?

Jeżeli Moun miała pojęcie, że z niej pokpiwa, to nie dała tego po sobie poznać. Przechyliła głowę na bok i spojrzała na niego z ukosa, jakby był nowym artystą, którego miała ocenić. Żuła gumę mimowolnie, a potem wydmuchnęła największy balon, jaki Wolf w życiu widział.

— Myślałam, że pan się pomylił. Dalej jest butik, „Wielkomijskie Wzory”, w którym sprzedają, wie pan, towar na czasie.

— A to nie jest towar na czasie? — zapytał Wolf, wskazując na rzeźby.

— Czyż sztuka może być na czasie? — zapytała poważnie Moun. — Sztuki nie można kupować po to, by wyrzucić w następnym Sezonie jak niemodny ciuch. Nie, nie, sztuka jest ponadczasowa. Dzięki temu jest sztuką. — Wydmuchując balony jeden po drugim, obserwowała go, gdy wędrował po galerii. — Wszystkie te rzeźby są autorstwa jednej artystki, Chiki — powiedziała usłużnie. Po chwili dodała nerwowo: — Chyba nie zażąda pan zwrotu pieniędzy Larry'ego?

Wolf odwrócił się ku niej.

— A dlaczego miałbym to robić?

— O rany, nie wiem, ale, cóż, skoro Larry nie żyje, pomyślałam, że przyszedł pan tu, i w ogóle, że, no...

Zapadło krępujące milczenie.

— Jak doszło do tego, że nazywa go pani Larrym?

Moun wzruszyła ramionami.

— Tak miał na imię, no nie? — wydmuchnęła kolejny monstualny balon. — W każdym razie, Larry i ja... — zawahała się. — Chyba dlatego przychodził tu tak często. To nie było nic wielkiego, tylko... No cóż, pewnego sobotniego popołudnia weszliśmy tam — wskazała na matowoczarne drzwi na tyłach galerii — i, wie pan, pieprzyliśmy się. — Zachichotała. — To było kapitalne, ponieważ w galerii byli klienci i słyszeliśmy ich, wie pan, jak chodzili i rozmawiali, podczas gdy my się pieprzyliśmy. To było nie-sa-mo-wi-cie kapitalne.

Założę się, że tak — pomyślał Wolf.

— A kiedy pan Moravia... Larry kupił swoją... Chikę?

— Na otwarciu. Przyszedł na przyjęcie. Chika też była, i kupił rzeźbę po rozmowie z nią. To było jakiś, o rany, tydzień temu. To dlatego pomyślałam, no cóż, wie pan...

— Że prawnicy zarządzający masą spadkową chcą zwrócić rzeźbę.

— Tak — Moun skrzywiła się. — No cóż, wie pan, to, co robi Chika, nie jest dla każdego. Prawdę mówiąc, nie uważam, żeby odpowiadało Larry'emu, ale on po rozmowie z Chiką jakby dostał bzika.

— Z tą artystką.

— Aha.

— Jak pani myśli, z nią też się pieprzył?

— Nie wiem. — Moun znów strzeliła balonem. — Może. Myślę, że lubi takie rzeczy.

— Jakie rzeczy?

Moun odeła pomalowane czarną pomadką usta; efekt był przerażający.

— Czy prawnicy zawsze są tacy tępi? Larry lubił się pieprzyć, ale mam wrażenie, że nie chciał żadnych, rozumie pan, komplikacji.

— Chodzi pani o zobowiązania. Bim, bam, dziękuję, madam — taki był Larry.

Moun, błyskając ostrymi zębami, wybuchnęła śmiechem.

- Oni wszyscy są tacy, no nie?

— Jacy oni?

— Och, wie pan, faceci jak Larry. Zrozumiałam go po pewnym czasie. Był grubą rybą z ciężką forszą, założę się, że wszystkie posiłki jadął w takich lokalach jak „Cztery Pory Roku” i „Lutece”. Chodzi mi o to, że

w życiu był nieskazitelny i drętwy jak cała reszta takich sztywniaków, wie pan, ale śmiał się z nich w głębi duszy. Nienawidził takiego życia, takie życie było mu obce.

— A jakie nie było?

Moun spojrzała mu prosto w oczy.

— Lany był skrzywiony — to znaczy, poważnie skrzywiony.

— Seksualnie.

— No, a jak inaczej?

— Czy Larry kiedykolwiek panią wiązał?

Moun wydmuchnęła balonik.

— Jest pan jego prawnikiem czy psychoanalitykiem? — Zadrzała rozkosznie. — Nigdy tego nie zrobił, nie, ale nie miałabym nic przeciwko.

— Nie? — powtórzył Wolf, zaskoczony wbrew sobie. Wydawało się nieprawdopodobne, by ta dziwaczna kreatura mogła być czyjąś córką.

Podeszła do niego tak blisko, że poczuł jej zapach: ostrą i egzotyczną kombinację olejku neroli i goździków.

— Jest pan zwolennikiem kontroli? Wiem, że to typowe dla większości mężczyzn, ale, rozumie pan, utrata kontroli może okazać się przyjemna: jeżeli ktoś robi to bez przymusu, to coś takiego pogłębia doznania.

— Spojrzała na niego. — Lubi pan przyjemności? Czy pan to rozumie?

Wolf odniósł irracjonalne wrażenie, że zaraz poprosi go do cuchnącego pokoju na zapleczu i każe mu zagrać rolę brutala katującego dziewczę; zastanawiał się, jak by to było, a jednocześnie był przerażony, że fantazjuje na ten temat.

— Wspomniała pani wcześniej, że Larry przyszedł z przyjacielem.

Jeszcze jeden monstualny balon pękł z hukiem przy jej czarnych wargach.

— Co?

— Mówiła pani o przyjacielem spoza miasta. Że Larry odgrywał przed nim grubą rybę. On również był... skrzywiony?

Roześmiała się.

— Och, niemożliwe, człowieku, nie on. Był spięty, Lecz zupełnie w porządku.

— Jaki był?

Zadarła głowę; sprawiło to, że wyglądała jak jakiś fantastyczny bojowy kogut.

— Zna pan ten typ: garniturek, krawacik. Pruderyjny dupek.

Nie prosił ją o lepszy rysopis. W czerwonym płomieniu wychodzącym

z rdzenia własnej jaźni zobaczył twarz przystojnego młodego absolwenta jednej z uczelni Ivy League, blond włosy, ciekawskie błękitne oczy. Wyciągnął te szczegóły z pamięci Moun jak pstrąga z jeziora.

— Spoza miasta.

— Tak, racja.

— Skąd pani to wie?

— Mówił różne rzeczy, jak „u nas, w DC”, takie duperele. Poza tym — zerknęła na niego z ukosa, jakby w ramach ostatecznego testu, i powiedziała coś, śmiesznie akcentując słowa.

— Chodzi pani o to, że mówił z akcentem.

Moun uśmiechnęła się szeroko, a był to zaiste wstrząsający widok — wyglądała jak coś, co można zobaczyć w *National Geographic* w reportażu o kanibalach z Nowej Gwinei.

— Aha.

— Jaki rodzaj?

— Jakiś południowy.

— Z tego, co zrozumiałem, chodzi pani nie o rozwlekły, ale o miękki.

— Właśnie.

Z pewnością DC — pomyślał Wolf.

— Miał jakieś imię ten przyjaciel Larry'ego?

— Jasne! — przytaknęła Moun, wielce uradowana tym wywiadem.

— Tylko to było w nim interesujące. McGeorge Shipley. — Skinęła głową. — I pracuje dla rządu.

— Dla federalnego rządu?

— Aha. Larry zadał mu pytanie, nie słyszałam jakie, a Shipley wyjął wizytówkę. Skończył mu się atrament, więc poprosił mnie o pióro, by napisać coś na odwrocie. Wtedy zobaczyłam nazwisko. I pieczęć. Na wizytówce przeczytałam, że pracuje w Departamencie Obrony.

Interesujące — pomyślał Wolf. — Moravia, kursujący między Nowym Jorkiem i Tokio, kumplujący się z jakimś zawodnikiem wagi ciężkiej z Departamentu Obrony. O co tu może chodzić? W aktach Moravii nie było najmniejszej wzmianki o jakichkolwiek powiązaniach z federalnymi. Nagle Moravia zaczął nabierać znaczenia.

Wolf jeszcze raz obszedł galerię i ostrożnie zapytał:

— Widziała pani to, co napisał na odwrocie wizytówki?

— Tak. — Język Moun, który na tle błyszczących, czarnych warg był

prawie neonowo różowy, przesunął się szybko w górę i w dół. — Chce pan wiedzieć, co to było?

Przez jedną oszalałamiącą chwilę był przekonany, że poprosi go o wyświadczenie jakiejś perwersyjnej usługi w tym przejmująco wilgotnym pokoju na zapleczu; już widział napierające na siebie drobne, chude i spocone ciała, chciwe palce rozpinające jego pasek.

Wtedy roześmiała się.

— Powinien pan widzieć swoją twarz.

Wolf roześmiał się wraz z nią; polubił ją wbrew jej dziwaczności. Przyszło mu na myśl, że dziewczyna jest jak zbuntowane dziecko pragnące jedynie wstrząsnąć swymi starymi.

— Był to numer telefonu, kod dwa- zero-dwa. — Wyrecytowała numer tak, jakby zapamiętując go posługiwała się mnemotechniką.

— Jak to się stało, że pani go zapamiętała? — zapytał, zapisując numer.

Moun wzruszyła chudymi ramionami; za każdym razem, gdy się poruszała, wyczuwał zapach goździków i neroli, który dryfował ku niemu jak łódź..

— Pamiętam wszystko. Szczególnie o Larrym. Taki już był. Boże, nie wiem, dlaczego. — Nagle posmutniała, jak gdyby wieść o jego śmierci dotarła do niej dopiero teraz.

— Co może mi pani powiedzieć o tej artystce Chice? — zapytał, by zmienić temat.

Moun z miłością położyła rękę na jednej z rzeźb, a niewinność tego gestu przypomniała Wolfowi niepokojące fotografie, wiszące w tajnym sanktuarium Lawrence'a Moravii.

— Chodzi panu o to, co jest w folderze, czy o to, co ja wiem?

— A czy to nie to samo?

Moun zachichotała.

— No cóż, wie pan, jacy są artyści, wszystko w nich jest tajemnicze. Prawdę mówiąc, im bardziej tajemnicze, tym lepiej, ponieważ uważają, że konkretne dane tylko niepotrzebnie wchodzi im w paradę. Widzi pan, chcą, by przemawiała za nich sztuka, i boją się, że to, co się wie na ich temat, mogłoby rzutować na opinie o ich dziełach.

— Myślałem, że artystom najbardziej zależy na tym, by ich sztuka się sprzedawała. Czy większość z nich nie przymiera głodem gdzieś na mansardach?

Moun znowu zachichotała.

— Niektórzy być może głodują, ale na pewno nie Chika. Nie sądzę, by przejmowała się tym, czy jej sztuka się sprzedaje, czy nie.

— Dlaczego?

Moun wydmuchała kolejnego balona; tym razem minęła dłuższa chwila, zanim pękł.

— Zadaje pan strasznie dużo pytań jak na prawnika.

— Za to mi płacą. Nikt wcześniej nie słyszał o Chice.

— Jak zawsze w wypadku sztuki, trzeba pytać właściwych ludzi.

— Czy według pani ona i Larry byli dobrymi przyjaciółmi?

— Lubili się, to było widać na pierwszy rzut oka. Myślę, że mieli wspólne tematy.

— Czy któreś z nich napomknęło coś, dzięki czemu odniosła pani takie wrażenie?

— Podśluchałam, jak rozmawiali o Tokio, że byli w tych samych miejscach.

— Jakich?

Moun wzruszyła ramionami.

— Rozmawiali o czymś, co nazywało się „Zakazane Sny”. Dla mnie brzmiało to jak nazwa klubu. Znając Larry'ego, może to jakiś lokal dla perwersów.

— Chyba chciałbym porozmawiać z Chiką — powiedział powoli, ponownie wspominając niepokojąco erotyczne fotosy Moravii. — Mieszka na Manhattanie?

— Jasne — Moun skinęła głową. — Prawdę mówiąc, ma mieszkanie na piętrze w budynku stojącym trzy przecznice stąd, ale — zerknęła do kalendarza — mogę panu powiedzieć, że wyjechała z miasta i wróci dopiero jutro.

— Nie powinniśmy byli próbować tak wcześnie — powiedział Yuji Shian.

— Chyba nie mieliśmy wyboru.

— Ale zabijanie człowieka...

— To był wypadek. Pomyłka. Najprawdziwsza pomyłka.

Yuji patrzył na swoją matkę, Minako. Niedawno wzeszło słońce i niebo nad Tokio jaśniało perłowym blaskiem. Po lewej stronie gąszcz gołych żarówek Tsukiji oświetlał szeregi połyskujących ryb. Minęli ich

mężczyźni w wysokich gumowych butach z wężami w rękach; metodycznie spryskiwali ryby, by nie straciły świeżości. Nadsięgające falami ostre zapachy ryb i słonej wody uderzały do głowy niczym spienione piwo. Za nimi, w ostatnich resztkach nocnych cieni, piętrzył się nie oznakowany magazyn, w którym przechowywano Wyrocznię.

— Jestem naukowcem, matko — powiedział Yuji. — Powinienem był wiedzieć lepiej. Zgodnie z procedurą miałem czekać na...

— Na co? Na próby kliniczne? Wiesz, że w tym wypadku standardowa procedura byłaby bezużyteczna — rzekła Minako. — Testy przeprowadzane na niższych formach życia niczego by nam nie powiedziały.

Yuji odwrócił głowę w stronę rzeki. Podnosiła się z niej mgła, a odgłos przepływających od czasu do czasu motorówek ścinał ją jak mróz.

Pokiwał głową. Oczywiście, miała rację. Nie mieli wyboru. Jako naukowiec rozumiał to doskonale: ta technologia wymagała przetestowania. Ale jako człowiek był zatrwożony wynikiem.

— Yuji-san, pozwól, przyniosę ci herbaty — zaproponowała łagodnie Minako.

Przy jednym z licznych kramów z *susi* i *soba* Minako odwróciła się, by popatrzeć na syna. Stał na obrzeżach wielkiego targu rybnego, z ramionami przygarbionymi w obronie przed chłodem wczesnego poranka, sam w zgłębionym tłumie. Poczwała ból w sercu. Kochała wszystkie dzieci, ale Yuji był jedynym synem. Już przez to był dla niej kimś wyjątkowym, ale jego geniusz w dziedzinie nauk biologicznych sprawiał, że stał się kimś wręcz nieocenionym. Minako, zamawiając herbatę, myślała o tym, jak walczyła, by zachować wrażliwość i niewinność dziecka u syna i uchronić go przed ciemną stroną świata. Teraz wszystko miało się zmienić. Taka była jego karma — i jej.

Yuji, rozdierany poczuciem winy, czekał cierpliwie na powrót matki. Oczywiście, nie mógł przewidzieć, co Wyrocznia może zrobić Moravii. Ale, z drugiej strony, czyż nie taki był cel eksperymentu? Pomyślał o ryzyku, jakie oni wszyscy podjęli, i znów zalała go fala żalu. Patrzył na morze płaskich, bezbarwnych rybich oczu. Tu i tam rozlegało się głuche dudnienie; ogony uderzające o wilgotny beton potwierdzały, że ryby jeszcze żyją.

— Herbata. — Minako podała mu parującą filiżankę. Miasto wokół nich budziło się, hałas narastał powoli, by osiągnąć apogeum w godzinach

szczytu. Specjalnie umieścili laboratona Wyroczni w tym podrzędnym magazynie, daleko od siedziby Shian Kogaku w Shinjuku, aby pracujący w nocy i raniem rybacy maskowali ruch związany z całonocnymi sesjami.

— Czy to znaczy, że musimy zacząć od początku? — zapytała matka.

Yuji sam się nad tym zastanawiał. Pytanie to dręczyło go od czasu, gdy Minako powiadomiła go o śmierci Lawrence'a Moravii.

— Chyba nie — odparł po dłuższej chwili. — Nie jesteśmy na złej drodze. Ale zgubiliśmy decydujący element układanki. Problem przypomina kłopot z generatorem, którego nie można wyłączyć: wytwarza moc wystarczającą na oświetlenie całego miasta, a potem niszczy sam siebie. — Odwrócił się do niej. — Nie, nie musimy zaczynać od nowa. Powinniśmy jedynie zmodyfikować wyłącznik.

Minako skinęła głową.

— Czuję się winna, Yuji-san. To ja pchnęłam cię do stworzenia Wyroczni. To ja przyprowadziłam Moravię, który namówił cię, by użyć go jako królika doświadczalnego.

— Ale, matko, on się zgodził. Znał ryzyko.

Minako uśmiechnęła się ze smutkiem.

— A zatem nie obwiniaj siebie, Yuji-san. Moravia miał swoją karmę we własnych rękach.

— Masz rację, matko. Ale nadal czuję, że muszę pójść do Senso-ji.

— Masz prawo. Pójdziemy razem — Minako skinęła głową ze zrozumieniem.

Zeszli w dół do rzeki Sumidy i złapali wodną taksówkę do okręgu Asakusa, gdzie stała świątynia Senso-ji poświęcona Kannon, buddyjskiej bogini miłosierdzia. Było to święte miejsce, do którego Minako zabierała dzieci w dni świąteczne.

Ruszyli długą drogą, wzdłuż której stały liczne stragany sprzedające wszystko i nic, od parasoli z ryżowego papieru i tradycyjnych drewnianych grzebieni do robotów-zabawek i sake. Zatrzymali się przy olbrzymim kadzidle płonącym przed wejściem i składając ręce przyciągnęli do siebie aromatyczny dym, w ten sposób zapewniając sobie dobre zdrowie.

Wspięli się na schody i weszli do samej świątyni. Echo kroków brzmiało w nieruchomym powietrzu. Otoczyły ich szeregi ogromnych kolumn i latarnie, które w tym stylizowanym lesie zwieszały się jak

sosnowe szyszki. Wysoko nad głowami, niczym odległa powała chmur, wznosił się sufit ozdobiony złożonymi scenami z japońskich legend — czy z historii, w zależności od punktu widzenia.

Odmówili buddyjską modlitwę za zmarłych, zapalili wonne kadzidelka

i zaintonowali monotonną pieśń, a gęsty dym w spokojnym, chłodnym powietrzu świątyni wił się jak języki żmij.

Ten rytuał, znajomy i przez to uspokajający, ukoił troski Yuji, ale po wyjściu z Senso-ji mężczyzna zobaczył, że matka nadal jest zmartwiona.

Słońce było już wysoko w górze i jego promienie przedzierały się przez gęsty smog, unoszący się nad metropolią. Asakusa zdawała się snem, obrazem pędzla neoimpresjonisty Seurata.

Minako zadrżała.

— Czuję zmianę w powietrzu — wyszeptała.

Yuji, przyzwyczajony do matczynych przeczuć, powiedział;

— To będzie zmiana na lepsze.

— Nie. Jesteśmy nad skrajem przepaści, a poniżej nas, w ciemności, leży otchłań. — Minako niespokojnie wykręcała zaciśnięte dłonie. — I, Yuji-san, coś się porusza w otchłani. Coś, o czym nawet boję się myśleć.

Deszcz twardy jak pięść boksera bębnił po dachu samochodu zaparkowanego niedaleko galerii „Wielkowiejski Rozkład”. Wolf obserwował parę wydobywającą się przez dziurę w asfalcie na Alei C, podczas gdy brygada remontowa „Con Ed” w nieprzemakalnych kombinezonach próbowała zaradzić nieszczęściu.

Zadzwoił pod główny numer Departamentu Obrony i zapytał o McGeorga Shipleya, kumpla Moravii. Okazało się, że jest on osobą nieuchwytną — poszczególne wydziały przekazywały sobie Wolfa jak piłkę do koszykówki. Wyglądało na to, że nikt nie chce wziąć na siebie odpowiedzialności za istnienie Shipleya, co znaczyło, że Wolf albo miał do czynienia z osławioną biurokratyczną nieudolnością rządu federalnego, albo Moun podała mu złą informację.

Stęknął, wyłączył się z elektronicznego galimatiasu Obrony i zadzwonił do znajomego w nowojorskiej kwaterze FBI. Funkcjonariusze federalni i policjanci z NYPD raczej nie darzyli się wielką sympatią — często można było mówić o otwartej wrogości — ale od czasu do czasu

wyświadczano sobie przysługi. W rezultacie wzajemne stosunki przypominały zamek z piasku, który stal dopóty, dopóki nie podlegał zbyt dużemu naciskowi.

Wolf nie rozłączał się, a w tym czasie Fred „Fed” czekał, aż jego komputer wejdzie na linię.

— Pieprzone „Con Ed” — warknął Fred.

Wolf, gapiąc się przez przednią szybę na wielkie kłęby pary wydobywające się z trzewi niższego Manhattanu, mógł współczuć, choćby tylko przelotnie, tym ulubieńcom biurokracji.

— Dobra — powiedział wreszcie Fred. — Jestem w programie osobowym Obrony. Jak się ten facet nazywa?

— McGeorge Shipley.

— Tak, racja. Nie rozłączaj się.

Po drugiej stronie jezdni brygadzysta „Con Ed” telefonował ze swej ciężarówki; Wolf przypuszczał, że wzywa posiłki. Potem zauważył kobietę.

Stała przy krawężniku z parasolką z ryżowego papieru na ramieniu. Wolf zerknął na jej twarz, ale kurtyna deszczu uniemożliwiła wyraźne zobaczenie rysów. Kobieta miała na nogach czarne borki; ich chromowane wysokie obcasy jarzyły się w świetle reflektorów przejeżdżających wozów. Ubrana była w czarną minispódniczkę, która odślaniała przepyszne uda. Od szyi do pasa otulała ją obszerna, czarna, skórzana kurtka lotnicza. Zeszła z krawężnika i przeskoczyła przez rynsztok pełen szlamowatej wody. Wolfowi mignęła blada twarz, czarnooka, nadzwyczaj piękna, niewątpliwie orientalna — japońska? Potem jezdnią przetoczyła się ciężarówka, z błotników chlusnął czarny deszcz, i kobieta zniknęła.

Zamrugał, ale widok ud Japonki był wydrukowany na jego siatkówkach, trwał tam, nie chciał zniknąć, jak najświeższy odcisk na morderczej broni.

— Dobra. — W słuchawce rozbrzmiał głos Freda, ostry i chrapliwy od nadmiaru nikotyny. — Przykro mi, stary, nigdzie w plikach nie ma żadnego McGeorge'a Shipleya.

— Jesteś pewien? — Wolf zamknął oczy, ale obraz jeszcze nie zniknął: wystrzałowa kobieta poruszała się w ciemności, schodziła na jezdnię, jej uda przeżyły się rozkosznie.

— Jest Shipley, William H., w prokuraturze, następny Shipley, Donald R., w rachunkowości. To wszystko.

— Musi tam być - upierał się Wolf.

— No cóż, może jest, ale ja go nie widzę.

— Jak to? — Japonka w końcu wywietrzała mu z głowy.

— Ślepe akta, stary. Są we wszystkich rządowych książkach adresowych. Na wypadek, gdyby to umknęło twojej uwagi, w DC jesi wiele takiego tajnego gówna. Do facetów, którzy w nim siedzą, nikt, nawet FBI, nie może się dodzwonić.

— Zatem ten Shipley albo nie istnieje, albo jest tajniakiem.

— Mniej więcej o to chodzi — przytaknął Fred „Fed”. — Hej, teraz jesteśmy kwita, stary. Muszę kończyć.

Wolf rozłączył się i przez chwilę gapił na słup pary wznoszący się na spotkanie zimnego, metalicznego deszczu. Dach samochodu rezonował jak skóra bębna.

Do diabła, co wiązało Lawrence'a Moravię z tajnym agentem Obrony?! Albo może to Moun, zatopiona w radosnej zabawie w kotka i myszkę, sprzedała mu złą informację?

Wyszarpnął notatnik i wlepił oczy w numer telefonu, który mu podała. Ten, który widmowy Shipley rzekomo dał Moravii. Zaczepnął powietrza i wystukał cyfry.

Począł do siódmego sygnału. Przekonany, że za chwilę usłyszy monotony głos automatycznej sekretarki, miał już odłożyć słuchawkę, kiedy nastąpiła krótka przerwa, kolejny sygnał, a po nim ktoś na drogim końcu odebrał i powiedział:

— Shipley, słucham.

Serce Wolfa załomotało gwałtownie.

— McGeorge Shipley?

- Tak. Kto mówi? Wolf usłyszał lekki tenor młodego człowieka; pomyślał o zapamiętanym przez Moun wyglądzie Shipleya. Przedstawił się.

— Czy jest pan znajomym Lawrence'a Moravii?

- Nie będzie pan miał nic przeciwko temu, jeśli zweryfikuję pana dane u jego dowódcy, prawda? — powiedział Shipley. — Proszę podać mi numer służbowy i numer telefonu. Jeżeli pańskie poczynania są usankcjonowane przez władze zwierzchnie, zadzwonię za dziesięć minut

Wolf podał mu żądane informacje, potem rozłączył się i czekał, aż tajnik go sprawdzi. Zastanowił się, o co naprawdę Chodziło z tymi wyjazdami Moravii do Japonii. Jeżeli Shipley był tajnym agentem Obrony,

to miał do czynienia z największymi tajemnicami, a coś takiego mogło człowieka zabić. Wolf natychmiast zdał sobie sprawę, że gra być może wykracza poza znane mu boisko.

Przyglądał się, jak podjechały dwie następne ciężarówki „Con Ed”, a z nich wysypali się dalsi robotnicy w nieprzemakalnych kombinezonach. Wyładowywano barierki, bałagan narastał, na jezdni tworzył się zator, pora robiła się późna, a zniszczenia coraz bardziej nieodwracalne. Kolejnym — i ostatecznym — krokiem miało być zablokowanie całego kwartału Alei C.

Zatelefonował do Shipleya, ale telefon był zajęty, Shipley prawdopodobnie dokąś dzwonił, a równie dobrze — donikąd.

Telefon zabrzączał tak niespodziewanie, że aż podskoczył. Podniósł słuchawkę.

— Matheson.

— Tak, to pan. — Znajomy tenor Shipleya brzmiał tak, jak gdyby tajniak był psychiatrą sprowadzonym do uspokojenia nerwowego pacjenta.

— Wracając do pańskiego pytania: tak, byłem znajomym Lawrence'a Moravii.

— Pracował dla pana?

— Panie Matheson — powiedział Shipley, ignorując stopień służbowy Wolfa — chyba będzie lepiej, jeżeli spotkamy się osobiście. Niech pan przyleci jutro o jedenastej. Pojedzie pan taksówką na Ulicę H w Chinatown i znajdzie restaurację zwaną „Fenix Chinatown”. Spotkam się z panem o pierwszej.

Barierki przegradzały już jezdnię; ruch zamarł w morzu przednich świateł i pracujących bez przerwy wycieraczek. Wszyscy z rezygnacją czekali, aż gliniarze ustalą trasę objazdu. Na razie nie było innego wyjścia.

Jack Breathard, szef policji, był karierowiczem cwany na wszelkie sposoby, jakie są ważne dla gliny: dość bystry, by odnosić sukcesy i żyć nieźle w twardym świecie miejskich ulic, uwielbiał rozgłos i potrafił go sobie zapewniać. Udawało mu się ukazywać komisarza i burmistrza w dobrym świetle przed ludźmi z telewizji, którzy przerażali niemal wszystkich innych w wydziale. Było to zadanie niełatwe, zważywszy, że pod starannie sfabrykowaną oficjalną wersją kryła się druga prawda: komisarz i burmistrz z radością poderznęliby sobie gardła w pierwszej

ciemnej uliczce. Burmistrz, James Olivas, Portorykańczyk w drugim pokoleniu, został zmuszony przez złośliwy splot politycznych okoliczności do mianowania Hayesa Walkera Johnsona, twardego, zdecydowanego Murzyna, na komisarza policji. Ludzie ci nie zgadzali się w niczym i z dala od wścibskich oczu kamer ich nienawiść była już legendarna.

Breathard potrafił tańczyć po tym niestałym etnopolitycznym polu minowym lepiej od każdego innego w wydziale, co znaczyło, że znał wszelkie sposoby wykorzystania wrogości panującej między zwierzchnikami do własnych celów. Na przykład zadbał o to, by stać się człowiekiem niezastąpionym w utrzymywaniu chwiejnego wizerunku Olivasa, prezentowanego w środkach masowego przekazu. Jego zadanie nie było łatwe, dla burmistrza bowiem nie różnił się niczym od Hayesa Walkera Johnsona.

Marzeniem Breatharda oczywiście było zastąpienie najpierw jednego, potem drugiego. I do czasu pojawienia się porucznika Woifa Mathesona realizacja tych zamierzeń znajdowała się na najlepszej drodze.

Breathard nigdy nie lubił Wolfa. Nie ufał talentowi, który, powtarzał sobie, był skrótem omijającym ciężką pracę i wytrwałość, co szef policji uważał za znak firmowy najlepszej policyjnej roboty. Za każdym razem, gdy Wolf doprowadzał do aresztowania przestępcy, czemu towarzyszył stosowny rozgłos, Breatharda zżerała zazdrość, która dodatkowo podsyciała jego wrogie nastawienie. Breathard był przekonany, że uwaga środków masowego przekazu winna skupiać się głównie na nim.

To on zrećźnie skierował prośbę komisarza o biura dla Wolfa i jego ludzi do szuflady, z której już nigdy się nie wyłoniła. I to on pierwszy dowiedział się o zamordowaniu Lawrence'a Moravii i przetrzymywał raport na tyle długo, by spowolnić poczynania Wolfa. Breathard zadreślał się bez końca tym, że komisarz odbył wczesnym rankiem spotkanie z Wolfem — wydedukował to z biurowych ksiąg; komisarz nie pofatygował się go poinformować — i że nie udzielił mu informacji na temat morderstwa. Doskonale zdawał sobie sprawę, że w wypadku takiej spektakularnej sprawy człowiek, który dokona aresztowania mordercy, stanie się bożyszczem mediów. Pieprzyć komisarza i pieprzyć Mathesona; bez względu na wszystko Breathard postanowił zostać tym człowiekiem i w konsekwencji zgnoić Wolfa.

Siedział w półmroku lokalu „U Clancy'ego”, będącego jednym z tych irlandzkich pubów, w których zapach piwa jest tak silny, że nieledwie można ugasić pragnienie przez zacerpnięcie kilku głębszych, oddechów.

Breathard lubił ten lokal, ponieważ zawsze wstępowali doń członkowie jego klanu, a o tej porze miał cały bar dla siebie.

Wielki czarnoskóry mężczyzna hołubił kufel piwa, gdy frontowe drzwi stanęły otworem i do środka wszedł Squire Richards. Zerknął i ukosa w ciemność, a po chwili skierował się do stolika Breatharda.

— Postawić ci piwo?

— Czemu nie? — Squire Richards otrząsnął deszcz z ramion, zrzucił płaszcz i opadł na rozklekotane krzesło.

Breathard skinął na kelnerkę, wielką krowę z ufarbowanymi włosami i sztucznymi rzęsami, wyglądającą tak, jakby czas zatrzymał się dla niej w latach siedemdziesiątych. Po kilku minutach dwa kufle piwa trzasnęły o zmaltretowany stół ze sklejki.

— Co dla mnie masz? — Breathard w trakcie takich spotkań automatycznie przechodził na posługiwanie się ulicznym żargonem, co sprawiało mu swego rodzaju ulgę; odreagowywał w ten sposób napięcie wynikające z pieskowania *spicawi** i *oreo***, bardziej białemu niż czarnemu.

Squire Richards pociągnął potężny łyk piwa.

— Chciałbym czuć się z tym, co robię, na sto procent w porządku.

— O co ci chodzi? Jeżeli my nie będziemy trzymać się razem, to kto się o nas zatroszczy? Białasy? Oni wybywają z tego miasta. Olivas? Jest zajęty osłanianiem swojej dupy, doglądaniem wazeliniarzy, którzy wpakowali go na ten stołek; a następnie kogo mamy? Pana Pierdolonego Skurwysyna Hayesa Walkera Johnsona. Ha! — wybuchnął, odrzucił głowę w tył jak wielki żółw i zapytał: — Więc co masz teraz do powiedzenia? Twój szef, Wolf Matheson, to jedyny skurwysyn, który może powstrzymać mnie od pięcia się w górę, od pozbycia się Johnsona i Olivasa, i chcę dostać jego dupę na talerzu, jasne?

Squire Richards pokiwał głową.

— Na razie nie mam wiele. Ale co do sprawy Moravii, to pewne, że dzieje się coś nie tak. Na przykład, Bobby Connor zachowuje się dziwnie, Oczywiście, był tam, gdy zginął Junior Ruiz, ale jest w nim coś nienaturalnego, jakby zobaczył rzeczy, których nie powinien był oglądać.

* *spic* — slangowe określenie hiszpańskojęzycznego Amerykanina, gł. pochodzącego z Ameryki Południowej lub Karaibów.

** *oreo* — Murzyn pogardzany przez innych czarnoskórych z powodu integrowania się z białymi.

— Interesujące — Breathard pogładził szczeciniaste czarne wąsy.
— Przekazałeś mi pisemny raport z zamordowania tej dziewczyny, Arquilla i Ruiza. Nie ma w nim niczego nadzwyczajnego.

— To tylko moje osobiste zdanie — odparł Squire Richards, chowając twarz w kuflu. — I jeszcze sam porucznik. Chodzi mi o to, że on jest dziwnym facetem, to jasne, ale po śmierci Juniora jeszcze bardziej mu odbiło. Z nikim nie rozmawia, zajmuje się wszystkim na własną rękę, izoluje się. Nikt nie wie, gdzie ostatnio można go znaleźć. I raptem zrobił się bardzo spięty.

— Wielce interesujące — Breathard, dopijając piwo, analizował informacje. — Dopilnuję, żeby złapać tego skurwysyna z ręką w nocniku i załatwię go raz na zawsze. Wtedy już nigdy więcej nie będę musiał zastanawiać się nad jego wrednym charakterem. — Mrugnął do Squire'a Richardsa. — A może każę go śledzić i sam złapię jedną białą rybkę.

Squire Richards był wstrząśnięty.

— Nie obchodzi mnie, co pan robi, dopóki mnie to nie dotyczy. Ale chyba pan wie, Matheson jest paskudny. Nim przyczepi mu pan ogona, niech pan najpierw cholernie dobrze się upewni, że facet kapuje, co jest grane. W przeciwnym razie pewnego dnia może odkryć, że ma dziurę do jedzenia po niewłaściwej stronie głowy.

Breathard, gładząc wąsy, uśmiechnął się szeroko.

— Nie przejmuj się, ciebie nie będę narażał. — roześmiał się.
— Jesteś zbyt cennym skurwysynem, żeby cię stracić.

III

WASZYNGTON-TOKIO

Wolf znalazł się na lotnisku krajowym w Waszyngtonie po piętnastu minutach lotu. Była to krótka, ale męcząca podróż, przypominająca jazdę w za ciasnym samochodzie. Wsiadł z samolotu, przeciągnął się w drodze przez terminal, zasunął suwak skórzanej lotniczej kurtki i wyszedł w mglisty deszcz, by złapać taksówkę.

Na postoju stał już ogonek. Wolf przyłączył się do oczekujących. W olbrzymiej tafli szyby obejrzał odbijające się otoczenie, ale nie dostrzegł nikogo podejrzanego. Jednakże znalazłszy się u czoła kolejki, wzruszył ramionami, jakby coś sobie nagle przypomniał, zawrócił i pospieszył do terminalu. Odczekał pięć minut i ponownie wyszedł na zewnątrz. Kolejka zniknęła; wsiadł do pierwszej podjeżdżającej taksówki.

Chinatown w Waszyngtonie było tak samo ponure jak nowojorskie, ale mniejsze i jakby mniej brudne. Jednocześnie odnosiło się wrażenie, że na Ulicy H jest prawie tyle samo spelunek, co w Hongkongu.

Restaurację „Fenix Chinatown” od tej znajdującej się naprzeciwko odróżniał praktycznie tylko jeden szczegół: po obu stronach skądinąd szpetnego wejścia stały dwie gipsowe, luszczące się figurki psów chow-chow. Wewnątrz panował przyjemny półmrok, a ściany i powietrze były mahoniowe od lepkich resztek podgrzewanego ryżowego octu, oleju z chili i sosu sojowego.

Dochodziła pierwsza i w lokalu było dość tłoczno. Wolt znalazł wolny stolik i przysiadł na kanapie, której winylowe obicie musiało być niegdyś czerwone.

Nachalny kelner cisnął menu na stół, bryznął gorącą herbatą do szklanki w stylu barów samoobsługowych, postawił z hukiem obok niej metalową karafkę. O pierwszej Wolf, zgłodniały, zamówił gorącą kwaśną zupę, pięć minut później został obsłużony. Na stole obok zupy pojawiła się misa klusek i mały talerzyk piklowanej kapusty.

Skończył zupę, dobrą, i próbował kluseczki, niezbyt dobre, gdy od stolika po drugiej stronie restauracji podniósł się wysoki, szczupły mężczyzna o orientalnych rysach.

— Panie Matheson, pan Shipley przeprasza za opóźnienie.

Wydawało się, że mężczyzna nie ma nic więcej do powiedzenia, ale stał w miejscu jak wryty.

Wolf wyciągnął rękę i nalał herbatę do drugiej szklanki. Azjata skinął i wsunął się na siedzenie naprzeciwko.

— Nie jest pan Chińczykiem — zagadnął Wolf.

— Nie, jestem Japończykiem. Ale lubię chińskie jedzenie. Cheesburgery również. — Wyciągnął rękę przez stół. — Jason Yoshida.

Wolf zmierzył go wzrokiem.

— Jak długo pan mnie obserwuje, panie Yoshida?

— Właściwie nie obserwuję pana, obserwuję wszystko wokół

— Nie byłem śledzony, jeżeli to pana niepokoi.

— To mnie zawsze niepokoi. — Yoshida wypił herbatę i zapytał: — Możemy iść? Pan Shipley czeka. — Machnął ręką, gdy Wolf sięgnął po portfel. — To już załatwione, panie Matheson.

Zamiast skierować się do frontowych drzwi, Yoshida poprowadził Wolfa na tyły restauracji, w dół wąskiego korytarza, obok publicznego telefonu i reszty pomieszczeń. Wyszli w zaułek i skręcili dwa razy w lewo. Przy znaku „Zakaz parkowania” stał czarny taurus z rządowymi tablicami. Japończyk otworzył drzwi, wsiedli i ruszyli.

Po pokonaniu kilku zakrętów wyjechali na Ulicę H i skierowali się na zachód.

— Pracuje pan dla Shipleya? — zapytał Wolf.

— Mniej więcej — odparł Yoshida tonem, z którego przebijała niechęć do dalszej konwersacji.

Skręcił w prawo na Massachusetts Avenue, dojechał do Dupont Circle, wyjechał na Connecticut Avenue i ruszył na północny zachód przez Rock

Creek Park. Tuż za północnym skrajem parku skręcił w prawo na Tilden Street, a potem w lewo na Linnean Avenue.

— Posiadłość Hillwood należała do Marjorie Merriweather Post — poinformował. Gdy minęli wysoką, czarną, żelazną bramę, nagle znów stał się rozmowny. — Ale pierwotnie, na początku siedemnastego wieku, wchodziła w skład liczącego sobie dwa tysiące akrów majątku Izaaka Pierce'a. — Skinął sędziwemu czarnoskóremu mężczyźnie odzianemu w mundur, którego Wolf nie potrafił zidentyfikować, może dlatego, że reprezentował jakąś prywatną firmę ochroniarską.

Jechali długim, wijącym się podjazdem w kierunku grzbietu niskiego wzgórza. Na jego szczycie przycupnął ogromny dwór z czerwonej cegły, wzniesiony w stylu panującym w Anglii na początku dziewiętnastego wieku. Yoshida skwapliwie poinformował, że został zbudowany w roku 1926.

Zatrzymali się, ale Japończyk nie wyłączył silnika i nie wysiadł.

— Za główną rezydencją jest ścieżka, która schodzi z niewielkiego pagórka — powiedział. — Niech pan nią idzie. Przy rozwidleniu skręci pan w lewo i minie miniaturę rosyjskiej daczy. Następnym budynkiem, jaki pan napotka, będzie drewniana chata.

Wolf czekał chwilę, ale Yoshida nie dodał ani słowa.

— To wszystko?

Yoshida odwrócił się ku niemu i przez ułamek sekundy Wolf miał wrażenie, że Japończyk jest czymś zaniepokojony.

— Pan Shipley czeka — oznajmił Yoshida takim tonem, jak gdyby to Wolf opóźnił spotkanie z tajniakiem.

Wolf ruszył w drogą. Jak uprzedzał Yoshida, po drodze zobaczył miniaturową daczę, jakby żywcem wyjętą z bajki, a dalej, w dole ścieżki — najprawdziwszą drewnianą chatę. Otworzył drzwi i natychmiast wychwycił zmianę temperatury i wilgotności powietrza.

W chwilę później zobaczył, dlaczego tak jest. Wnętrze chaty zostało przekształcone w muzeum z imponującą kolekcją zgromadzonych przez panią Post przedmiotów używanych przez Indian. Były tam spodnie z kozłej skóry, wyszywane paciorkami mokasyne, malowane bębny wojenne, tkaniny — bogactwo historii wielkich równin amerykańskich.

Wolf był tak oszołomiony ekspozycją, że prawie nie zauważył podchodzącego doń młodego człowieka. Dopasował do niego wyobrażenie, które wyciągnął z pamięci Moun: ścięte krótko blond włosy, pociągła,

uprzejma twarz, w której najważniejsze były porcelanowobłękite oczy, kompensujące nieco cofniętą szczękę. Mężczyzna miał na sobie cywilne urzędowe ubranie typowe w DC: ciemnoniebieski garnitur, wykrochmaloną białą koszulę i krawat z paskiem. W takim stroju mógł bez zwracania uwagi poruszać się po każdym federalnym budynku stolicy.

Wyciągnął rękę.

— Panie Matheson. — Jego uśmiech był tak zdrowy, że mógłby wyleczyć z pospolitego przeziębienia. Uścisk dłoni, silny i suchy, z założenia miał wzbudzać zaufanie.

— Pan Shipley, jak sędzę.

Shipley wyszczerzył zęby i nagle stał się bezpośredni jak mały chłopiec.

— Przepraszam za tę zmianę miejsca spotkania, ale był to konieczny środek ostrożności.

Wolf musiał sobie przypomnieć, że wszyscy tajniacy z czasem stają się paranoikami.

— Pan Yoshida chyba się niepokoił, czy przypadkiem nie byłem śledzony w drodze do Chinatown. Kto mógłby mnie śledzić?

— Zechce pan przejść tutaj? — Shipley poprowadził Wolfa w lewo, po schodach z drewna i metalu, na małą galeryjkę, z której można było z bliska podziwiać wspaniałe koce Tlingitów. Z tego miejsca roztaczał się również doskonały widok na całe wnętrze.

Wolf oparł ręce na polerowanej drewnianej poręczy i powiedział:

— Pierwsze pytanie, jakie chciałbym zadać, brzmi: Jeżeli Moravia był agentem pracującym dla Obrony, dlaczego to federalni nie tłoczą się w miejscu popełnienia morderstwa i nie włączają mi w drogę? Byłby to niezły temat na kasowy film.

Śmiech Shipleya był ulotny niczym obłok oddechu skroplonego w mroźnym powietrzu.

— Podoba mi się pan, Matheson. Ma pan mózg między uszami. Tak mi powiedziano, ale zawsze lepiej uzyskać potwierdzenie z pierwszej ręki.

Wolf zmrużył oczy.

— P o w i e d z i a n o panu, że jestem cwany? Kto panu tak powiedział?

Shipley, patrząc na starannie utrzymane i zamknięte pod szkłem eksponaty, odetchnął głęboko.

— Proszę spojrzeć, panie Matheson, to rodzaj świątyni, nieprawdaż?

— Według mnie to wszystko i tak nie opowiada całej prawdy.

Shipley pokiwał głową.

— Zbyt mało, zbyt późno, co? Potrafię zrozumieć.

— Wątpię.

Shipley pogodził się z tym upomnieniem.

— Ale istniało kilku facetów, którzy kochali Indian. Na przykład pański ojciec.

Teraz Wolf wiedział, dlaczego tajniak przyprowadził go tutaj, do muzeum, w którym zgromadzono przedmioty używane przez Naród. To z bardziej bezpośrednią siłą niż słowa czy dossier z jego nazwiskiem powiedziało mu, że ci ludzie wiedzą, kim on jest oraz co jest dla niego ważne. A przynajmniej tak im się wydaje.

— Chyba nie muszę pokazywać panu jego akt, prawda? — zapytał bezbarwnym tonem Shipley.

— Nie.

Skinął głową, najwyraźniej zadowolony z przebiegu rozmowy.

— Lawrence Moravia pracował dla nas, panie Matheson, aczkolwiek na całkowicie nieoficjalnych zasadach.

— Czy zechciałby pan to wyjaśnić?

Shipley odwrócił się; w sztucznym oświetleniu wnętrza chaty jego błękitne oczy wydawały się nienaturalnie jasne. Wolf podejrzewał, że nosi szkła kontaktowe.

— Nazwisko Moravii nie występuje w żadnych wykazach departamentu, w żadnych księgach głównych, aktach czy mikrofilmach. Płacono mu gotówką z tak zwanego „odpowiedniego funduszu polowego”. Rozumie pan?

— Innymi słowy, facet nie do wytropienia?

Shipley uśmiechnął się nieledwie triumfalnie.

— Piątka z plusem, panie Matheson. Nawiasem mówiąc, czy uczył się pan swojego fachu w Wietnamie?

— Miał pan obserwatora na lotnisku?

— Tak. Ale, jak pan zauważył, w drodze do Chinatown nikt pana nie śledził. Nawet my. Postąpił pan bardzo rozsądnie; Yoshida niepotrzebnie się niepokoił.

Wolf wypuścił powietrze; zdał sobie sprawę, że od pewnego czasu wstrzymywał oddech. Znajdował się na terenie zdecydowanie różniącym się od nowojorskiego wydziału do spraw zabójstw i zastanawiał się, jak długo pozwoli mu tu pozostać. Na wypadek, gdyby zbyt szybko próbowali się go pozbyć, miał w zanadrzu niespodziankę.

— By odpowiedzieć na pańskie pytanie — kontynuował Shipley — nie wysłaliśmy ludzi na miejsce przestępstwa właśnie dlatego, że nie chcieliśmy — jak pan to wyłożył? — wchodzić panu w drogę.

— No cóż, chyba po raz pierwszy federalni zrezygnowali ze swego udziału. To potwierdza, że Moravia był waszym ptaszkiem.

— Nieoficjalnie, tak. — Shipley zbliżył się do Wolfa i odpowiednio zniżył głos. — A „nieoficjalnie” to praktyczne słowo. Moravia był tajnym agentem do zadań specjalnych; oficjalnie uważano go za cywila. Może pan sobie wyobrazić pytania, jakimi by nas zarzucono gdybyśmy wysłali naszych ludzi do pokierowania śledztwem w sprawie jego śmierci? Nie, nie, to by nie zdało egzaminu. — Ruszył wzdłuż poręczy, jak gdyby chcąc mieć lepszy widok na kogoś, kto mógł wejść po schodach. Wolf podążył za nim. — A teraz niech pan odpowie na jedno pytanie. Skąd ma pan mój prywatny numer?

Wolf opowiedział mu o wizycie w galerii i o tym, jak Moun wspomniała o nim jako o gościu Moravii.

Shipley skinął głową, a jego twarz stała się ponura.

— To cholernie dobrze unaocznia, dlaczego oficjalnie nie wolno nam korzystać z usług cywilów. Oto przykład, do czego prowadzi zadawanie się z nimi: do niedbalstwa w swoim fachu.

Wolf pochylił się ku niemu.

— Nad czym pracował Moravia?

Shipley potrząsnął głową.

— Bezpieczeństwo narodowe. Rozumie pan, nie mogę nic na ten temat powiedzieć.

— Wobec tego świadomie wiąże mi pan ręce. Jak dotąd mam podstawy, aby sądzić, że na pewno nie został załatwiony przez rywala w interesach, wroga osobistego czy jakiegoś włamywacza złapanego na gorącym uczynku. Z pewnością coś może mi pan powiedzieć. Podać kierunek, w jakim mógłbym pchnąć dochodzenie.

— Szkoda, panie Matheson. — Shipley wpełznął, na jego twarzy pojawił się jeszcze posępniejszy wyraz. — Naprawdę szkoda: ma pan dobre chęci, ale nic z tego.

— Może pan powtórzyć?

— Och, niech pan da spokój, Matheson. Ma pan wszystko, czego potrzebujemy: jest pan bystrym cywilem, gliną, detektywem, który ścigając morderców, wyrobił sobie znakomitą opinię, ma pan własną świetnie

wyposażoną jednostkę i pełne poparcie NYPD. Ale fakt, po tym, co mi pan powiedział, nie chciałbym korzystać z usług kolejnego cywila, nawet gdyby od tego zależało moje życie.

Wolf miał wrażenie, że jego praca nad sprawą Moravii dobiega końca. Ze zdumieniem odkrył, iż nie chce, aby tak się stało.

— Trudno uznać mnie za cywila.

— Jeśli chodzi o mój departament...

— W najbardziej podstawowym sensie obaj jesteśmy gliniarzami, nieprawdaż?

Shiplej spojrział na niego twardo. Jego oczy —jasnoniebieskie okruchy lodu — przez chwilę zdradzały przenikliwe pragnienie: tajniakowi cholernie zależało na pomocy Wolfa. Po chwili znowu pojawił się w nich porcelanowy połysk, odcinająca go od wszystkiego nieprzejrzysta kurtyna, chociaż nadal czuło się, że czegoś chce. Wolf pomyślał, że musi to wykorzystać. Mówił dalej.

— Pan i ja należymy do swego rodzaju bractwa. Jesteśmy outsiderami narażonymi na niebezpieczeństwo, spacerującymi po cienkiej linii między światłem a cieniem, żyjącymi między dniami.

Shiplej obdarzył go szerokim, tysiącwatowym uśmiechem.

— Wiem, do czego pan zmierza, panie Matheson...

— Poruczniku.

Shiplej skinął głową.

— To prawda, zapomniałem. Ale to nie czyni różnicy, poruczniku Matheson, Pańska próba powiązania nas po prostu nie zadziała. Pan może być sobie gliną, ale przysięgł pan przestrzegać prawa. Mnie nic takiego nie wiąże. Ja przysięgałem, że będę bronił suwerenności Stanów Zjednoczonych Ameryki, cokolwiek to oznacza.

— Czy tak brzmi rota pańskiej przysięgi, panie Shiplej?

— Ha, ha! Tak, sir, przysięga, którą składamy w tajemnicy, brzmi podobnie. — Pokręcił głową. — Niemniej jednak, jak powiedziałem, nie możemy razem pracować.

Shiplej odwrócił się do wyjścia, ale Wolf jeszcze nie skończył.

— Beze mnie nie będzie pan miał żadnego punktu zaczepienia. Co pan wtedy zrobi?

Shiplej wzruszył ramionami.

— Po prostu będę kuśtykał, może powoli, ale najlepiej, jak zdołam. Adios, poruczniku. Widzimy się po raz ostatni

Wolf odczekał, póki Shipley nie znalazł się u szczytu schodów, i wtedy zagadnął:

— Niech mi pan powie jeszcze jedno, Shipley. W którym roku urodził się Moravia?

Shipley odwrócił się i obrzucił Wolfa zaciekawionym spojrzeniem.

— W tysiąc dziewięćset czterdziestym czwartym, jak mi się zdaje, dwudziestego trzeciego listopada.

— Jest pan tego pewien?

Wyczuwał, że Shipley jest coraz bardziej zaintrygowany.

— Jeżeli ma pan w tym jakiś cel, to niech pan powie.

— Mam swój cel — rzekł Wolf, ruszając w stronę Shipleya. — Taki: jeżeli Lawrence Moravia miał czterdzieści osiem lat, to dlaczego CME Miasta Nowy Jork przysięga, że jego organy wewnętrzne należą do człowieka trzydziestoletniego?

Przez długą chwilę Shipley nie odezwał się ani słowem. Wokół nich uwięzione pod szkłem duchy amerykańskich równin zaciemniały powietrze mocą swej donośnej pieśni.

Wreszcie Shipley drgnął, jak wyrwany z głębokiego snu. Uniósł rękę w geście zaproszenia.

— Poruczniku, chyba będzie lepiej, jak pójdzie pan ze mną.

Nishitsu czuł się odświeżony, gotów do zajęcia się interesami. Normalnie nie napawał się dumą z powodu własnego sprytu — na nieostrożnych czyha w świecie zbyt wiele pułapek — ale był niezmiernie zadowolony ze zwerbowania Evan. Wszyscy w „Zakazanych Snach” kochali ją, ufali jej. Może działało się tak dlatego, że nigdy nie wyszła za mury posiadłości. Już pod tym względem była kimś szczególnym, ale miała do zaoferowania o wiele więcej. Emanowała z niej otwartość dziecka — wyglądała jak dziecko, jeśli o to chodzi — ale jej język był ostry niczym brzytwa.

Myślał o niej, przecinając mały ogród, w którym zasypany śniegu tkwiły w kątach jak pajęczyny. Spojrzał w górę, na piętrzące się wieżowce Tokio. Toshin Kuro Kosai, Stowarzyszenie Czarnego Ostrza, zaszło za daleko, za szybko, ale wkrótce powinno być po wszystkim; opracowywany od dziesięcioleci plan miał zostać wreszcie urzeczywistniony. Na razie jednak wszyscy oni spacerowali po linii cienkiej niczym ostrze noża; dowodem na to była infiltracja dokonana przez Moravię oraz istnienie potencjalnego zdrajcy.

Zatrzymał się dokładnie w środku ogrodu i wspomniał, jak Czcigodna Matka otworzyła oczy, jasne niczym diamenty oraz na pozór tak samo ostre, i powiedziała:

— Ktoś ruszy przeciwko nam, zamierza to zrobić albo już to zrobił, co oznacza jedno i to samo, ponieważ myśli i czyny są zgodne.

Zawsze słuchał Czcigodnej Matki, ponieważ miała dar i prawie nigdy się nie myliła. Widziała to, co widziała; nie miał najmniejszego pojęcia, co też może dziać się w jej głowie, jakie mroczne wizje przyszłości przesywają niczym czarny sztylet jej umysł, ale przyjął do wiadomości ostrzeżenie. Te słowa zmroziły mu duszę, lecz nie pozbawiły umiejętności działania. Z pewnością Evan znajdzie zdrajcę.

Ruszył do domu — bez płaszcza było mu nieco zimno. Rozsunął drzwi i zdjął buty. Ukląkł, a potem wszedł do pokoju w tradycyjny sposób, na rękach i kolanach.

Najpierw zobaczył Minako Shian. Była ona matką Yuji Shiana, przewodniczącego „Shian Kogaku”, czołowego japońskiego *keiretsu* — multiprzemysłowego koncernu — i człowieka, którego potrzebował bardziej niż innych. Minako była wspaniałą kobietą, o wiele bardziej atrakcyjną od kobiet o połowę młodszych. Miała świetliste oczy i długie błyszczące włosy, czarne jak skrzydło kruk, zaczesane w skomplikowane loki nad alabastrowym czołem. Siła, z jaką kobieta przyciąga mężczyznę, w wypadku Minako skoncentrowana była w jej twarzy, której oddziaływanie przypominało żar buchający z otwartego paleniska.

Za sobą wyczuwał obecność jeszcze innej osoby, co było możliwe, ponieważ znajdowali się w udostępnionej dla publiczności części „Zakazanych Snów”.

Nie spojrział bezpośrednio na kobietę zwaną Czcigodną Matką — i tak czuł płynące od niej dobro, a patrzenie na nią częstokroć przypominało zbyt długie spoglądanie w słońce.

— Przykro mi z powodu twego przyjaciela, Moravii-sana.

Dla Nishitsu słowa te były pustym frazesem. Moravia po prostu dostał to, na co zasłużył.

Minako skinęła głową.

— Przypuszczam, że ja jestem za to odpowiedzialna. Powinnam była go przejrzeć.

— Możemy podzielić się winą. - Ton głosu Czcigodnej Matki przypominał huk schodzącej w oddali lawiny.

— I oczywiście mieliśmy szczęście, że udało się nam go przyłapać — rzekł Nishitsu. — Nasza prostoduszność sprawiła, że nie żywiliśmy w stosunku do niego najmniejszych podejrzeń, dzięki czemu poczuł się bezkarnie. W konsekwencji zaczął zachowywać się nieostrożnie.

— Wiemy, dla kogo pracował — stwierdziła Czcigodna Matka — i odpowiednio się z nimi rozprawimy. Dzisiaj jednakże mamy na własnym podwórku bardziej naglący problem.

Nishitsu skinął.

— Minako-san, pomówmy o twoim synu. Rozumiemy, rozumieliśmy od początku, twe pragnienie utrzymania go z dala od nas, od tego, co robimy. Dotąd cierpliwie je znosiliśmy.

— Na nieszczęście już dłużej nie jest to możliwe — wtrąciła Czcigodna Matka.

— Co się stało? — zapytała Minako.

Nishitsu wstał i podszedł do drzwi. Stał przy nich, spoglądając na ogród skąpany w świetle przefiltrowanym przez delikatne pędy bambusa i wielkowiejską zabudowę. Był człowiekiem obdarzonym wielką energią i jednocześnie wielkim spokojem (mówiono, że kazał stworzyć ten ogród według osobistych wskazówek i że ciągnął najwyraźniej energię z jego licznych elementów: głazów, bambusów, żwiru, wody, klonów, kamieni, azalii).

Może — pomyślała Minako — działo się tak, ponieważ (jak mówiły pogłoski) kazał zabić architekta, aby nie mógł odtworzyć tej przestrzeni, tej świątyni, dla nikogo innego.

Nishitsu żywił się pogrzebanym w ogrodzie i uwięzionym w jego granicach duchem architekta jak ryżem i rybą, tą codzienną strawą Japończyka.

— To się stało — odparł Nishitsu — że mamy do czynienia z wewnętrznym wrogiem czy też wrogami. — Opałowym okiem uważnie obserwował Minako, doszukując się przyspieszonego oddechu, kropelki potu lub nieznacznego rumieńca. Nie spostrzegł niczego.

— Czy ten nowy wynalazek można w jakiś sposób powiązać z osobą Moravii? — zapytała Minako.

— Dobre pytanie i rozumiem, dlaczego to cię interesuje. — Nishitsu z powrotem odwrócił się, by podziwiać ogród. — W tej chwili nie potrafię udzielić właściwej odpowiedzi. Wiem tylko, że zwróciliśmy na siebie uwagę. Już nie możemy nie liczyć się z czasem. Wprowadziliśmy w życie

końcowy etap twego planu. Teraz musimy jedynie wciągnąć do gry Yuji-sana i tych, którzy są jego zwolennikami. Jesteś nam potrzebna, Minako-san. Ty to zrobisz.

— Rozumiem.

— Rozumiesz? — Nishitsu odwrócił się w jej stronę. — Nie wiem, gdybyśmy rozmawiali o moim synu, chyba musiałbym wpierw wyjaśnić konflikt między *giri* i *ninjo*.

— Tak jak w filmach o jakuzie, co? — powiedziała Minako z zamierzoną ironią. Wiedziała, o co mu chodzi. *Giri* było znakiem całkowitego posłuszeństwa (wobec rodziny czy grupy), bez którego tycie nie miało znaczenia. *Ninjo* było manifestacją przyzwoitości i dobrych obyczajów, z którymi *giri* prawie zawsze pozostaje w sprzeczności. Konflikt ten nadawał określonym sytuacjom szczególnej ostrości wyrazu do tego stopnia, że pamiętano je przez stulecia, opowiadano bez końca z najdrobniejszymi szczegółami. Tak mogło być z nią i Yuji. Czła *giri* w stosunku do Stowarzyszenia Czarnego Ostrza; przez dziesięciolecia wiele dłań poświęciła. Ale teraz Nishitsu kwestionował jej lojalność, ponieważ odczuwała *ninjo* w stosunku do Yuji, syna, którego dotychczas utrzymywała z dala od Stowarzyszenia Czarnego Ostrza.

— Nie zaprzeczam, że ten konflikt istnieje — przyznała — ale jest wewnętrzny i nie dotyczy ciebie. Należę do Toshin Kuro Kosai. Moje poświęcenie dla sprawy jest chyba dobrze udokumentowane, prawda, Nishitsu-san?

— Tak — Nishitsu powoli pokiwał głową. — Jednak wiemy, że zbytnio chronisz syna. Ostatecznie jest twoim jedynym dzieckiem, nie zdającym sobie sprawy z poczynań Toshin Kuro Kosai i twojego związku ze stowarzyszeniem. Ty sama postawiłaś go na ołtarzu, poza naszym zasięgiem. — Przeszedł przez pokój i usiadł naprzeciw niej na tatami. — Obecnie wszystko musi ulec zmianie. Prosimy cię o złożenie ostatecznej ofiary.

— Proście mnie? — Minako uśmiechnęła się i zanim zaczęła mówić dalej, milczała przez dłuższą chwilę. — Zostałam wezwana do uczynienia największej ofiary jeszcze jako mała dziewczynka, kiedy zgodziłam się na wstąpienie do Toshin Kuro Kosai. Od tej pory to rozumiałe, że robię wszystko, czego wymaga ode mnie stowarzyszenie. Nic się nie zmieniło.

— Musieliśmy porozmawiać o tym otwarciu.

— Rozumiem.

— Zatem za dwa tygodnie przedstawisz nam swego syna, Yuji Shiana.

Minako nie odezwała się i znów zaległo milczenie, chociaż tym razem nie było ono zależne od niej. W końcu przerwała je Czcigodna Matka.

— Powiedz, Minako-san, jak przekonasz swego syna do filozofii, którą dotychczas uważał za nienawistną?

— Nie mam wyboru — westchnęła Minako. — Będę musiała skorzystać z usług jego najlepszego przyjaciela, Shoto Wakare.

Po powrocie do głównej rezydencji „Hillwood” Wolf zobaczył Jasona Yoshidę siedzącego za kierownicą ciemnoniebieskiego lincolna z rządowymi tablicami. Zastanowił się, co się stało z czarnym taurusem. Yoshida otworzył tylne drzwi. Zajęli miejsca i Shipley natychmiast wcisnął guzik. Od kierowcy oddzielił ich dźwiękoszczelny ekran. Wolf był ciekaw, dokąd jadą, ale szyby wozu były tak przyciemnione, że z trudnością widział przez nie cokolwiek. Wkrótce zrezygnował z wyglądania.

— Co pan wie o Japonii, poruczniku?

— Jestem ekspertem aikido.

— Oczywiście. Ale to coś kulturalnego, duchowego, a mnie chodzi o bieżący klimat polityczny.

— Wiem tylko to, co wyczytam w gazetach.

— To nie dość, poruczniku. Za mało. — Shipley przycisnął kolejny guzik i część forniru przesunęła się, odsłaniając ukryty sejf. Tajniak otworzył go kilkoma zręcznymi ruchami i wyjął szarą teczkę. Była ona przewiązana szeroką wstęgą w kolorze królewskiego błękitu i nosiła złotą pieczęć prezydenta Stanów Zjednoczonych. Poniżej widniał wyraźny, czerwony napis: ŚCIŚLE TAJNE.

Shipley rozwiązał ją z taką czcią, z jaką kapłan obchodzi się z liturgicznym kielichem.

— Tutaj — powiedział, kładąc rękę na okładce — jest wszystko, co na dziś powinien pan wiedzieć o Japonii. O jej przeszłości i o naszej.

I o śmierci Lawrence’a Moravii.

Shipley wyciągnął reklamową fotografię przedstawiającą groźnie wyglądającego osobnika o zdecydowanej szczęce i zmętniałym oku.

— To Naoharu Nishitsu. Jak zapewne wie pan z gazet, jest przewodniczącym Liberalnej Partii Demokratycznej, będącej, biorąc pod uwagę jej

liczebność i cele, jedyną prawdziwą japońską partią polityczną. Majątek LPD przekracza nasze najśmielsze wyobrażenia, a pochodzi z dorocznych olbrzymich kontrybucji składanych przez czołowych przemysłowców krajowych... Świadomie trzymano w sekrecie to, że Nishitsu kieruje potężnym i niebezpiecznym, ultrakonserwatywnym skrzydłem LPD. Ostatnio otrzymaliśmy raport, który wskazuje, że za organizowanie liczebnych demonstracji i zamieszek odpowiedzialne są w głównej mierze japońskie pravicowe odłamy nacjonalistyczne. Tak naprawdę zostały one założone oraz są finansowane i chronione przez ową ultrakonserwatywną frakcję, co oznacza dwie rzeczy: po pierwsze, że sytuacja tych ugrupowań, poprzednio całkowicie z nikim nie powiązanych, nie dofinansowanych i nie mających znaczenia, obecnie uległa diametralnej zmianie; i po drugie, że motorem tego narastającego terroryzmu jest Nishitsu. Raport został następnie potwierdzony przez inne... źródło.

Wolf zobaczył, że Shipley obserwuje go uważnie; przypuszczał, że szuka oznak mniejszego zainteresowania.

— To poważny interes, poruczniku, nie potrafię dostatecznie mocno wyrazić jego znaczenia. W 1990, na przykład, został zabity burmistrz Nagasaki, ponieważ ośmielił się napomknąć, iż cesarz Japonii mógł być częściowo odpowiedzialny za drugą wojnę światową. Zaledwie kilka miesięcy temu ciężko raniono premiera, tuż po tym, jak wezwał do dalszego otwarcia Japonii na interesy amerykańskie. Fanatycy nazywają te mordercze ataki „aktami sprawiedliwości”; Nishitsu prywatnie określa je mianem „kary niebios”. Uważaliśmy za absolutnie niemożliwe — kontynuował Shipley — by morderstwa te opłacane były przez zalegalizowaną formację polityczną, dopóki nasze najnowsze informacje wywiadowcze nie wykazały, że to prawda.

— Skoro macie taki dobry wywiad, dlaczego nie przedstawicie tych dowodów japońskiemu rządowi?

— Z dwóch powodów. Rząd japoński obecnie nie zdaje sobie sprawy z rozmiaru naszej sieci wywiadowczej na terenie swego kraju; nie mamy zamiaru go ujawniać. Poza tym ludzie Nishitsu tak głęboko zinfiltrowali wszystkie poziomy japońskiego rządu, że już nie wiemy, komu można zaufać.

— Brzmi to tak, jakby zanosilo się na burzę.

— I niech mi pan wierzy, pogoda robi się coraz gorsza. W ciągu minionych osiemnastu miesięcy zmarło wielu znaczących liberalnych

członków LPD: wypadek samochodowy tu, pozorny atak serca tam. Inni byli zaszczuwani przez skandale i okryci hańbą sami rezygnowali z zajmowanych stanowisk. Pokopaliśmy głębiej i podejrzewamy, że Nishitsu oczyszcza z liberałów czołowe szeregi LPD. W rezultacie w następnych wyborach do władzy dojdą tradycjoniści, ultrakonserwatyści, a nawet, co najbardziej alarmujące, radykalni kandydaci LPD. Jeżeli ten trend nie zostanie zahamowany, i to szybko, polityczne poglądy Japonii odbiją dalej w prawo niż w przededniu Pearl Harbor.

Shiplej odłożył zdjęcie Nishitsu i wyjął drugie, również reklamowe. Ale jeszcze nie podał go Wolfowi.

— Taka sytuacja wymaga naszej wyjątkowej uwagi, nawet gdyby problem ograniczał się do tego, co wymieniałem. Na nieszczęście dla nas, nie ogranicza się.

— Chwileczkę — wtrącił Wolf. — Może urabiałem sobie ręce po łokcie z jakimiś tajnikami w Wietnamie, ale było to dawno i żargon uległ zmianie. Co to znaczy: „sytuacja wymaga wyjątkowej uwagi”?

— To oznacza, poruczniku, że jesteśmy zaledwie mały krok od stanu cichej wojny.

Wolf odwrócił się na chwilę i kierując nie widzące oczy na przyciemnione szyby, wspominał jeden po drugim eksponaty przechowywane w chacie w Hillwood: spodnie z kozłej skóry, łuki, ręcznie tkane koce, tomahawki. Potrzebował czasu, by przyswoić sobie nie tylko to, co powiedział Shiplej, ale i by wyciągnąć wnioski. Wreszcie się odwrócił.

— Przez „cichą wojnę” rozumie pan stan podobny do stosunków, jakie mieliśmy z ZSRR w czasie zimnej wojny?

— Tak.

Chryste — pomyślał Wolf — w co ja się, do diabła, pakuję? Zastanowił się, czy nie powinien kazać Shiplejowi zatrzymać samochód, wysiąść i odejść bez oglądania się za siebie. Ale wiedział, że nigdy tego nie zrobi. Płonął w nim znajomy ogień, który miał towarzyszyć mu do końca tego zataczającego coraz szersze kręgi dochodzenia.

— Mogę kontynuować?

Wolf skinął głową.

— Tak się składa, że Nishitsu można zarzucić nie tylko finansowanie akcji terrorystycznych. Niedawno informacje wywiadowcze, dostarczane przez Lawrence'a Moravię, nawiasem mówiąc, potwierdziły, że Nishitsu jest również przywódcą Toshin Kuro Kosai, organizacji znanej jako

Stowarzyszenie Czarnego Ostrza. Jest ona tak ściśle tajna, że większość Japończyków nigdy o niej nie słyszała. To koteria (w tym miejscu muszę zaznaczyć, że nasza wiedza opiera się jedynie na spekulacjach) wpływowych ludzi ze wszystkich dziedzin życia Japonii: interesów, polityki, biurokracji, jakuzi. Ich celem jest, i zawsze było, podbicie świata: oczywiście w ich własny sposób i w wybranym przez nich czasie.

— Mówi się, że w roku 1937 Toshin Kuro Kosai występowało przeciwko agresywnej polityce imperialistycznej Japonii, kilka lat później — przeciwko atakowi na Pearl Harbor. Zakłada się, że członkowie stowarzyszenia byli na tyle mądrzy, iż potrafili docenić siłę militarną i zdecydowanie Stanów Zjednoczonych.

— Ale wtedy byli słabsi niż teraz i podporządkowani ówczesnym wszechpotężnym koncernom militarno-przemysłowym znanym jako *zaibatsu*, które ostatecznie doprowadziły Japonię do klęski w wojnie na Pacyfiku... Po kapitulacji Stowarzyszenie Czarnego Ostrza położyło uszy po sobie i zeszło do głębokiego podziemia, w którym kryło się do czasu zakończenia procesów zbrodniarzy wojennych w czasie okupacji amerykańskiej. Wtedy członkowie organizacji zaczęli się wyłaniać, powoli, pojedynczo i parami, silniejsi i bardziej wpływowi niż kiedykolwiek. Wiemy, że bardzo wysoki rozwój ekonomiczny Japonii po wojnie jest zasługą członków Stowarzyszenia Czarnego Ostrza, działających w obrębie Ministerstwa Handlu Zagranicznego i Przemysłu oraz zarządów nowo powstałych przemysłowych *keiretsu* — to nowe określenie starego *zaibatsu*. Niech pan nad tym pomyśli, poruczniku. Ta koteria dyktuje politykę ekonomiczną całego kraju i dąży do tego, by w ciągu przyszłych dziesięcioleci gospodarka Japonii była dynamiczna. — Oczywiście podziw Shipleya był wymuszony, co sprawiło, że jego lęk przed tymi ludźmi stał się bardziej konkretny. — Czy może pan sobie wyobrazić, że te kompleksowe koncepcje, które miałyby doskonale sprawdzić się w dwudziestym pierwszym wieku, sformułowano w roku 1947? Nawet nasze najlepsze umysły nie potrafią tego pojąć. I proszę tylko spojrzeć, czym dzięki Stowarzyszeniu Czarnego Ostrza stała się dzisiejsza Japonia: ekonomicznym i technologicznym kolosem o niewyobrażalnych wpływach... Oto, z jaką potęgą mamy do czynienia, poruczniku! A teraz dostajemy informacje wywiadowcze, absolutnie wiarygodne, niezależnie potwierdzone, że Stowarzyszenie Czarnego Ostrza lada dzień zdobędzie władzę pozwalającą na zrealizowanie swego odwiecznego marzenia: ekonomicznego zdominowania świata.

Shipley podał Wolfowi drugą fotografię.

— To Yuji Shian, jedyny człowiek mający wpływy dostatecznie wielkie, by powstrzymać wzrost sił Nishitsu.

Zdjęcie przedstawiało mężczyznę o szczupłej twarzy bez zmarszczek i połyskliwie czarnych, długich do ramion włosach. Wyraz oczu wydawał się tak delikatny, jak wyraz oczu wujaszka patrzącego na swego ulubionego siostrzeńca, ale w ich głębi Wolf dostrzegł płonące gorączkowo światło dziwnych, nieodgadnionych emocji... nie wściekłości, nie obsesji, ale czegoś równie namiętnego.

— Naoharu Nishitsu i Yuji Shian. Jeden reprezentuje radykałów, śniących tradycyjny japoński sen o globalnej dominacji, drugi zaś powstanie całkowicie odpowiedzialnego nowego porządku. Skandale ostatnich kilku lat, które zachwiały całą polityczno-ekonomiczną infrastrukturą Japonii, były osobistym afrontem dla Shiana. On jeden od czasu do czasu protestował przeciw tradycyjnej sprzedaży poufnych informacji, co jest nieoficjalną częścią prawie wszystkich gospodarczych i politycznych powiązań w Japonii... Nishitsu musi jeszcze podbić całe nowe terytorium: potężnych technokratów, których wynalazki zagwarantowałyby przyszłe ekonomiczne bezpieczeństwo Japonii w dwudziestym pierwszym wieku. Shian jest wśród nich najpotężniejszy i dlatego stał się dla Nishitsu tak ważny. Do chwili obecnej Nishitsu nie prowadził z nim pertraktacji, ale jego władza i wpływy wzrastają gwałtownie. Chociaż Shian ma przyjechać do nas w przyszłym półroczu, by wygłosić cykl wykładów, które ukazałyby Amerykanom oblicze nowej Japonii, już nie możemy na nim polegać. — Shipley schował fotografię Yuji Shiana. — Zadanie Moravii polegało na zgromadzeniu nie dających się obalić dowodów przeciwko Nishitsu, które pomogłyby powstrzymać wzrastającą dominację Toshin Kuro Kosai i zniszczyć jego lidera. Gdyby Nishitsu został wyeliminowany, mielibyśmy czas potrzebny na to, by pomóc w unieszkodliwieniu Stowarzyszenia Czarnego Ostrza.

— Ale ktoś wszedł Moravii w drogę.

Shipley przytaknął z ponurym wyrazem twarzy. Wyciągnął trzecie zdjęcie, tym razem ziarniste, czarno-białe, które z pewnością zostało wykonane podczas inwigilacji. Widniał na nim Japończyk o ostrych rysach, krótkich szpakowatych włosach, krzaczastych brwiach i oczach, które, choć ukryte w cieniu, wyglądały jak dziury w tkaninie wszechświata.

— Człowiek, na którego pan patrzy, to Mizusumashi Kafu, Pająk Wodny. Tak tłumaczy się jego imię, ale znany jest jako Suma. Jest mały jak na zabójcę, ale niech pana to nie zmyli. — Shipley chrząknął. — Pająk Wodny. Jezu, niech pan pomyśli o rodzicach, którzy dali mu takie imię!

Śmierć wypisana na tej twarzy jest wyraźna niczym tatuaż — pomyślał Wolf.

— Myśli pan, że to Suma załatwił Moravię? — spytał.

— Możliwe — odparł Shipley, wsuwając zdjęcie z powrotem do akt. — Należy do Toshin Kuro Kosai i obecnie przebywa w Stanach.

— Czy może pan podać więcej szczegółów?

- Gdybym mógł, to bym to zrobił — odrzekł nieco oschle Shipley.

W tej chwili lincoln skręcił w lewo, kołysząc się na potężnych resorach, i akta przesunęły się na kolanach Shipleya, z teczki wysunęło się następne zdjęcie i Wolf, zobaczywszy fragment, napisał, czy może je obejrzeć.

Shipley wymazał zgodę. Była to kolejna migawka wykonana za pomocą teleobiektywu. Przedstawiała Sumę, zabójcę na usługach Stowarzyszenia Czarnego Ostrza. Teraz Wolf mógł ocenić, jak rzeczywiście niewielkiego wzrostu jest ten człowiek. Przechodził przez ulicę, która — Wolf poznał to po znaku widniejącym w tle — znajdowała się gdzieś w Tokio. Nie był sam; twarz miał lekko zwróconą w bok, jakby rozmawiał z idącą obok osobą.

Wolf spojrział raz jeszcze i jeszcze raz, po prostu by się upewnić. Ale i tak był pewien. W myślach usunął Sumę ze zdjęcia, dodał parasolkę z ryżowego papieru. Mimo ziarnistości zdjęcia, mimo kąta, pod jakim zostało wykonane, i mimo tego, że nie był w stanie zobaczyć idącej obok Sumy osoby, rozpoznał jej twarz. Patrzył na wystrzałową Japonkę, którą widział poprzedniego wieczora, gdy parkował przed galerią sztuki „Wielkomijski Rozkład”.

— Czy powinienem wiedzieć coś o tej fotografii?

— Standardowa fotka inwigilacyjna. Suma w Tokio, jesienią ubiegłego roku. To wszystko.

Wolf zastanowił się, czy powinien powiedzieć Shipleyowi o dziewczynie. Postanowił tego nie robić. Niczego o niej nie wiedział — i pewne było, że Shipley również nie wie albo nie chce powiedzieć. Tajniacy już tacy byli, nie dało się tego zmienić. No i poza tym opłacało się zatrzymać pewne rzeczy dla siebie, przynajmniej na jakiś czas.

Oddał fotografię i rzucił niedbale:

— Czy Suma jest jedynym zabójcą Stowarzyszenia Czarnego Ostrza?

— Trudno powiedzieć — odrzekł Shipley, zawiązując teczkę i chowając ją troskliwie do sejfu. — Nie potrafimy ocenić, ilu ich może być i nie możemy śledzić ich poczynąń. Ale pewne jest, że jeden z nich zamordował Lawrence'a Moravię. — Potarł czoło. — Pamięta pan, jak mówiłem, że Nishitsu pozbywa się opozycji wewnątrz LPD? No cóż, teraz mamy dowody: wątle, ale niezbite, że ten sam proces zaczyna się u nas.

— Co? — Wolf wyprostował się jak rażony piorunem.

— Jeśli czytuje pan gazety, a sędzę, że tak jest, wie pan, że w ciągu minionych sześciu miesięcy zginęli dwaj senatorzy Stanów Zjednoczonych, obaj w tajemniczych okolicznościach: potrącenie przez nie zidentyfikowany samochód, popsuta winda. Obu cechowało liberalne podejście do japońskich restrykcji ekonomicznych, czyli do ludzi Yuji Shiana, można powiedzieć. Teraz władzę zyskują zwolennicy twardej linii i mamy wrażenie, że to wszystko jest częścią planu Toshin Kuro Kosai.

— Nie bardzo rozumiem.

— Jakże przebiegły jest Nishitsu i jego Stowarzyszenie Czarnego Ostrza! Od pewnego czasu Kongres jest nastawiony niezbyt przychylnie do Japonii i władza konsoliduje się w rękach twardogłowych polityków. Jednocześnie następuje radykalna zmiana polityki japońskiej. Niech pan sobie wyobrazi, poruczniku, że w konsekwencji dochodzi do zerwania, może bezpowrotnego, delikatnych stosunków ekonomicznych, istniejących między tymi niezbyt przyjaźnie nastawionymi do siebie krajami. Amerykanie ustanawiają bariery handlowe, które ograniczają import japońskich samochodów, elektroniki, komputerów osobistych. A wtedy następuje odwet: źródło niezbędnej nam technologii komputerowej zostaje zamknięte. Siły zbrojne, Pentagon, CIA, DIA, Obrona, nasza cała narodowa sieć bezpieczeństwa zależy od japońskich *chipów*. Co się z nami stanie, gdy przestaniemy je dostawać? Jeżeli Japonia będzie sprzedawać je państwu Europy Zachodniej, a nawet krajom byłego bloku wschodniego, ale nie nam?

Przysunął się bliżej do Wolfa, który utwierdził się w przekonaniu, że Shipley nosi kolorowe szkła kontaktowe.

— Nie wydaje nam się, by bez pomocy japońskich technokratów Ameryka mogła być nadal konkurencyjna. Gdybyśmy odpadli z tego ogólnowiatowego wyścigu, z pewnością czekałoby nas upokarzające załamanie ekonomiczne, tak szybkie, że mogliby nas uratować tylko

ludzie Nishitsu, już teraz znajdujący się w zarządach największych światowych hiperkoncernów. Ale za jaką cenę? Mieliby nas wtedy wraz z całym dorobkiem. Na zawsze pozostalibyśmy pod ich ekonomicznym pantoflem.

Lincoln zahamował, drzwi się otworzyły. Wolf wysiadł za Shipleyem i znalazł się na tyłach terminalu lotniska krajowego. Yoshida wpatrywał się w niego przez chwilę. Niebo pojaśniało nieco, ale w ciężkim powietrzu wisiała zapowiedź nadciągającej burzy.

— Zaszedł pan tak daleko, poruczniku — powiedział Shipley — że zasługuje pan na uczciwe ostrzeżenie. Jeżeli będzie pan tropił Stowarzyszenie Czarnego Ostrza, nie dadzą panu spokoju. — Odciągnął Wolfa od krawężnika. — Proszę mi wierzyć; znam tych ludzi. I niech pan dobrze się zastanowi. Jeżeli w tym śledztwie uczyni pan jeszcze jeden krok dalej, nie pozwolą się panu wycofać. Załatwią pana tak jak Moravię. Ale ma pan przewagę. Jak pan powiedział, nie jest pan cywilem.

— A czego mi pan nie powiedział, panie Shipley?

— Słucham?

— Tam w Hillwood nie chciał pan ze mną współpracować, ponieważ uważał pan, że jako outsider stanowię zagrożenie. Potem wspomniałem o raporcie CME z sekcji Moravii i pan od razu wprowadził mnie w temat. Dlaczego? — Wolf widział, że Shipley nie chce już niczego mówić.

— Daję słowo, nie ruszę się stąd, dopóki mi pan nie powie.

Shipley skinął głową, z bólem wyrażając zgodę-

— Wieść niesie — zaczął — że członkowie Toshin Kuro Kosai w jakiś subtelny sposób różnią się od innych. Nikt dokładnie nie wie, na czym to polega, ale wydaje się, że upływający czas wywiera na nich inny skutek.

Wolf, nie będąc pewien, czy dobrze usłyszał, poprosił:

— Czy może pan wyrażać się jaśniej?

— Opowieści, krążące tak jak te o wampirach i wilkołakach, głoszą, że ci ze Stowarzyszenia Czarnego Ostrza starzeją się wolniej niż pan czy ja.

— To nonsens — skwitował Wolf, ale zmięje znów podniosły się w jego wnętrzościach. — Na całym świecie żyją ludzie, którzy nie wyglądają na swoje lata.

— Obaj jesteśmy sceptykami, poruczniku. Niech pan wyobrazi sobie zatem moje zainteresowanie, gdy powiedział mi pan o raporcie CME.

— Rozejrzał się szybko, zobaczył, że Yoshida stoi na posterunku, i odwrócił się do Wolfa. — Teraz nie mam wyboru, muszę prosić pana

o współpracę. Potrzebujemy pańskiej pomocy, poruczniku. Rozpaczliwie. Jeżeli w plotkach o ich długowieczności jest ziarno prawdy... — Przerwał, jak gdyby to przypuszczenie pozbawiło go tchu. — W konsekwencji ich siła zostałaby powiększona stu- czy tysiąckrotnie. Trzeba ich powstrzymać, poruczniku, i to pan musi to zrobić.

— Chwileczkę. To brzmi tak, jakbym miał wyjść na swą ostatnią misję..

— Być może. — Oddech Shipleya był krótki, urywany. — Nishitsu i jego banda, eliminując naszych senatorów, przekroczyli granicę. — Jego oczy, ostre kamyki, przeblyskiwały przez kolorowe soczewki. — Wiem, co pan myśli, poruczniku, i dochodzi pan do właściwych wniosków. Wkraczamy w stan ukrytej wojny z Japonią.

Iv

TOKIO-NOWY JORK

Shoto Wakare otrzymał zakodowane instrukcje w czasie kąpieli pod prysznicem. Po wyjściu, gdy na gładkiej, pozbawionej włosów skórze jeszcze lśniły krople zimnej wody, w koszyku przenośnego faksu zobaczył siedem arkuszy. Boso przemaszerował przez pokój i spojrzał na rzędy liczb, które bez elektronicznego urządzenia dekodującego, dostarczonego mu przez Yoshidę, nic dla niego nie znaczyły.

Jego poranne czynności były rutynowe. Wstawał o czwartej, wkładał dres i dokładnie przez dwie godziny pracował twardo nad swoim ciałem. Przez ten czas jego skóra zaczynała błyszczeć od potu, a mięśnie nabrzmiwały tak, że czuł się usprawiedliwiony, spędzając piętnaście minut na podziwianiu ich przed lustrem — podobnie jak raz w tygodniu chodził do muzeum podziwiać nowoczesne japońskie dzieła sztuki.

Pod gorącym natryskiem golił ramiona, pachy, nogi, a potem puszczał zimną wodę i omywał się lodowatym strumieniem tak długo, aż zęby Zaczynały mu szczękać, a skóra pod paznokciami stawała się sina.

Zawsze potem stawał nagi i ociekający wodą przed kolejnym lustrem, w którym odbijała się jego cała sylwetka, i wlepił oczy w penisa skurczonego pod wpływem intensywnego zimna. Ugiął kolana i bił się po udach, dopóki skóra nie robiła się czerwona i dopóki nie zaczynał wibrować z bólu.

Pierwszą rzeczą, na jaką patrzy! po wyjściu z łazienki, była oprawiona fotografia Yukio Mishimy, samuraja poety, który w 1970 popełnił harakiri po to, by w dramatyczny sposób unaocznic narodowi rozkład tradycyjnych wartości japońskich w cuchnącym kotle etosu Zachodu.

Na fotografii Mishima, nagi, w pozycji ukrzyżowania, z fallusem sterzącym niczym strzałą, w sposób przemyślany małpował malowidło przedstawiające śmierć świętego Sebastiana, którego życie tak bardzo go pociągało. I nic dziwnego. Sebastian, będąc chrześcijaninem, służył zarazem w szeregach rzymskich pretorianów. Kiedy tajemnica wyszła na jaw, cesarz Dioklecjan rozkazał łucznikom zabić żołnierza. Sekretna mistyka emanująca z ciała wojownika, którego przeznaczeniem było stać się męczennikiem, dla Wakare była ostatecznym symbolem krótkiego, pełnego udręki życia Mishimy.

Wakare, nagi i potężny, przystąpił do dekodowania najnowszych instrukcji. Miał powody, by myśleć o Mishimie i świętym Sebastianie. On również czcił ludzkie ciało i nie umykała mu tak jak wielu zwyczajnym mężczyznom ich erotyka. Odczuwając dotkliwy ból, położył dłoń na zapełnionych rzędami cyfr arkuszach. Pozostały niewzruszone, obojętne na jego pasję, ale on, pogrążony w tej beznamietnej pracy, czuł, jak krew szybciej krąży w jego żyłach. Myślał o swoim przyjacielu, Yuji Shianie, z którym bał się poruszać takie kwestie. Yuji okazał się typowym reprezentantem postmodernistycznego świata, jednakże był obdarzony szczególnym ogniem, któremu Yukio Mishima dał wyraz i który unieśmiertelnił w swej poezji.

Wakare zamrugał, podniósł rękę i zobaczył plamę potu, widniejącą na zakodowanej wiadomości niczym stygmat. Stygmat, który, jak się obawiał, Yuji mógł dostrzec na jego twarzy i który powiedziałby mu o jego pragnieniu.

Jednakże Wakare pożądał nie tylko mężczyzn; fascynował go seks w każdej formie. Podziwiał na przykład inteligentnych, wrażliwych, doskonałych japońskich artystów odgrywających role kobiet. Nie byli oni afektowanymi wykonawcami ohydnych standardów typowych dla kultury Zachodu. Nie, według Mishimy ci Japończycy byli artystami najwyższej rangi. Tylko mężczyzna, wolny od nieczystości kobiecej natury, mógł sportretować kobietę z tak niedoścignioną perfekcją, wykreować ideał, który o niebo przerastał to, co stworzyła natura.

Prawdę mówiąc, Wakare gardził życiem — podejrzewał, że Mishima również — ponieważ było ono tak niedoskonałe. Żył w oczekiwaniu na ideał. Lubił patrzeć na swoje ciało, ale był nim rozczarowany — jak prawie wszystkim innym; chaos wszechświata bez przerwy działał przeciwko doskonałości, pożerając wszelką kreację, która, był pewien, musi zaczynać się w jakimś niewidocznym i niemożliwym do poznania stanie nieskazitelności.

Wakare pragnął stać się świadkiem tej jednej oślepiającej chwili perfekcji, istniejącej na ułamek sekundy przedtem, nim nieubłagana trójjedność chaosu — czas, przypadek, entropia — rozpocznie swą destrukcję. I gdy stał się starszy, podejrzewał z coraz to większą pewnością, że taki moment mógłby zależeć od niego samego i że mógłby dotyczyć jego śmierci. Ponieważ, jak wcześniej rozumiał to Mishima, śmierć, będąca ostatecznym uwolnieniem od zniewalającej całą Japonię tyranii grupy, jest ostatecznym oczyszczeniem.

Zdekodowanie instrukcji zajęło mu pięć minut, czterdzieści pięć — zaszyfrowanie cotygodniowego przeglądu najnowszych posunięć agentów Stowarzyszenia Czarnego Ostrza na świecie: ich posterunków w danym kraju, mieście i korporacji. Popatrzył na listę. Imponująca, nawet dla niego. A przerażająca, przypuszczał, dla opozycji. Bardzo dobrze. Wysłał zakodowany faks, potem zabrał wydrukowane arkusze do łazienki, podpalił, a kiedy poczuł, że płomień liżą mu palce, wrzucił popioły do ubikacji i spuścił wodę.

Z Minako spotkał się w teatrze, gdzie młode, ubrane w stroje samurajów kobiety śpiewały z anielską żarliwością i tańczyły z eteryczną gracją, która powodowała, że oczy widowni, głównie męskiej, były pełne zachwytu.

Po zakończeniu przedstawienia Wakare i Minako szli spacerkiem przez Ginzę, pomniejszeni przez olbrzymie tablice ogłoszeniowe i reklamy oraz jeszcze większe budynki.

— Dziękuję, że się ze mną spotkałeś. Nie miałam się do kogo zwrócić - powiedziała Minako. — Jako najbliższy przyjaciel mego syna zajmujesz szczególne miejsce, dlatego też muszę porozmawiać z tobą szczerze.

— Prawda, że Yuji i ja jesteśmy sobie bliscy — odparł ostrożnie Wakare — ale według mnie to cud, że nadal jesteśmy przyjaciółmi.

— Taka jest wasza karma.

Wakare uśmiechnął się. Jej się wydaje, pomyślał, że nasza więź jest kwestią tylko naszej męskości. Głośno powiedział:

— Może. Ale my również darzymy się szczególną przyjaźnią, prawda? Nie wyobrażam sobie, że mógłbym zabrać jakąś inną kobietę na takie przedstawienie. — Uśmiechnął się. Będąc w dzień poza biurem, cieszył się blaskiem słońca, chociaż jego zimowe promienie były blade i rozmyte.

Wakare był wiceministrem Biura Polityki Przemysłowej przy MHZP. MHZP było wszechpotężnym Ministerstwem Handlu Zagranicznego i Przemysłu, posiadającym niewyobrażalny wpływ na wszystkie aspekty życia w Japonii. Przykładowo właśnie to ministerstwo dyktowało politykę przemysłową całemu krajowi w okresie błyskawicznego rozwoju od połowy lat pięćdziesiątych do lat osiemdziesiątych. Dostarczając odpowiednich bodźców koncernom chcącym inwestować w rodzący się przemysł elektroniczny i komputerowy, MHZP było w stanie płynnie doprowadzić Japonię do obecnej zdumiewającej dominacji ekonomicznej. Wakare był szefem „Chosa-ka”, badawczej sekcji biura.

— Już sam fakt, że mogę poprzeć czy zniszczyć każde z laboratoryjnych odkryć Yuji, naraża naszą przyjaźń na potencjalne niebezpieczeństwo — powiedział. — Poza tym istnieje jeszcze kwestia mojej przynależności do Toshin Kuro Kosai.

— I to nas łączy — stwierdziła Minako. — Oczywiście dlatego zostałeś wybrany na szefa „Chosa-ka”.

— Ale to ty, osobiście, załatwiłaś mi tę pracę, Minako-san. Winien ci jestem wdzięczność i nigdy nie zdołam odpowiednio spłacić tego długu, Ale skoro rozmawiamy szczerze, wybaczone, jeśli powiem, że zastanawiałem się, czy przypadkiem o moim mianowaniu nie zdecydowały jakieś osobiste motywacje. Ostatecznie, mogłem okazać się niezmiernie pomocny dla Yuji.

— Czy uważasz, że to byłoby nieuczciwe?

— Trudno powiedzieć. — Wzruszył ramionami. — Twój syn jest nieprzekupny. Prawdopodobieństwo tego, że pozwoliłby mi na wyświadczenie mu jakiejś przysługi jest takie samo jak prawdopodobieństwo tego, że zepchnąłby człowieka z mostu. Dla niego oba wypadki są aktami bezprawia.

— Naprawdę mam nadzieję, że się mylisz. — Minako westchnęła.

— Nie potrafisz zrozumieć bólu, jaki czuję prosząc cię o pomoc. Nie mam jednak wyboru. W jakiś sposób musimy doprowadzić do tego, by Yuji zgodził się na połączenie sił z Nishitsu i jego Liberalnymi Demokratami.

— Oczywiście, zrobię wszystko, o co poprosisz, Minako-san. Ale chyba wiesz, że prosisz o rzecz niemożliwą.

— Może. — Przekrzywiła głowę i spojrzała na niego z ukosa. — Może jednak nie. — Jej usta wygięły się w nieznacznym uśmiechu. — Oto, co proponuję. Chcę, żebyś wciągnął mego syna w konspirację.

— Ja... co? Nie nadążam. — Wakare wydawał się przestraszony. — To znaczy, chciałem powiedzieć, że nie wiem, czy się do tego nadaję.

— Polubisz to — oznajmiła z przekonaniem Minako. — Gwarantuję. Chcę, żebyś spotkał się z Yuji. Najlepiej w neutralnym otoczeniu — może zabierz go na kolację i przedstawienie. Kiedy Yuji będzie najbardziej odprężony, chcę, żebyś się przyznał.

Wakare poczuł, że serce znów zaczęło mu bić szybciej.

— Do czego?

— Że jesteś członkiem Stowarzyszenia Czarnego Ostrza.

— Co!?! Wybacz, Minako-san, ale to z pewnością położysz kres naszej przyjaźni.

— Jeśli w to wierzysz, to znaczy, że naprawdę nie doceniasz mego syna. Weź pod uwagę, Shoto-san, że on wie o twoim uwielbieniu dla Yukio Mishimy i akceptuje je bez słowa; myślę nawet, że szanuje cię za to. Yuji wie, że twoje serce jest czyste. To jest dla niego ważne.

— Ale wyznanie, że należę do Toshin Kuro Kosai...

— Zaintryguje go — dokończyła Minako. — Musisz zrozumieć, że Yuji na swój sposób jest naiwny. Według niego Stowarzyszenie Czarnego Ostrza jest organizacją czysto polityczną, a jej członkowie są nieznanymi. W ogóle nie ma pojęcia, że jedynymi ludźmi, którzy ich widują, są oni sami. Miejmy nadzieję, iż nigdy się tego nie dowie.

— Ale mimo to postawa polityczna Toshin Kuro Kosai jest dla Yuji nie do zaakceptowania.

— I na to liczę. — Minako uśmiechnęła się. — Wyobraź sobie, jaki będzie zaintrygowany, kiedy zdradzisz mu, że zamierzasz zająć miejsce Nishitsu.

— Musiałbym być szalony, by mówić takie rzeczy!

— Tak, każdemu poza Yuji. Zwierzenie się jemu jest jak wyznawanie tajemnic nieboszczykowi. — Oczekwała, aż minie ich kilku punktów; ich czarne wysokie buty dudniły, kolorowe fryzury Irokezów sterczały dumnie. — Jeżeli tak powiesz, wtedy to, że chcesz wprowadzić go do Toshin Kuro Kosai, będzie miało dla niego sens. Razem będziecie dysponować siłą,

która pozwoli na wprowadzenie zmian w stowarzyszeniu. Zrozumie to od razu.

Wakare rozważył jej słowa.

— Ale robiąc coś takiego ujawnię, że Nishitsu również należy do Stowarzyszenia Czarnego Ostrza.

— Jeszcze raz podkreślam: musisz pokładać większą wiarę w przyjacielu. To potężny człowiek z potężnym umysłem. Fakt, że Nishitsu należy do stowarzyszenia, podziała na niego jak magnes. — Minako przystanęła i spojrzała na Wakare. — Zaufaj mi, dostaniemy i Yuji, i Nishitsu. Yuji uwierzy, że pracuje nad zniszczeniem Nishitsu, a Nishitsu będzie zadowolony z jego obecności.

— Do czasu — stwierdził z powątpiewaniem Wakare.

Minako skinęła głową.

— Teraz wypadki toczą się bardzo szybko. Ten czas musi nam wystarczyć.

Wolf po powrocie z DC zastał w biurze ekipę zajmującą się zdzieraniem zachlapanego krwią tynku i malowaniem ścian na nowo. Było parę minut po siódmej, a umówił się, że o dziesiątej zabierze Amandę na przyjęcie w śródmiejskim klubie, zarządzane przez jej siostrę Stevie. Miał zamiar odwołać swój udział, lecz zmienił zdanie. Był zmęczony, ale zbyt podekscytowany, by spać. I może Amanda miała rację. Nieco rozrywki w środku tego domu wariatów na pewno mu nie zaszkodzi.

Zajrzał do Squire'a Richardsa, który przekazał mu, kto dzwonił, ale najbardziej oczekiwanego telefonu — od Harrisona, CME — niestety, nie było. Próbował się z nim skontaktować, lecz poinformowano go, że Harrisona obecnie nie ma w budynku, ale prawdopodobnie jeszcze wróci.

Wolf ruszył korytarzem wysłanym ochronnym materiałem do kabiny Z prysznicem, który kazał zainstalować w męskiej toalecie. Tutaj również pracowali malarze.

— Chryste, biuro jest nimi dosłownie zapchane — pomyślał. — Hayes Walker Johnson pokazał swoją władzę.

Samotny malarz w toalecie był Japończykiem, masywnym i krępkim jak miniaturowy zapaśnik sumo. Pracował wysoko na ochlapanej farbą drabinie. Gołe ramiona osłaniał mu podarty kombinezon. Chociaż stalowe włosy i zmarszczki wskazywały, że jest o wiele lat starszy od swoich kolegów z ekipy, linie ciała wydawały się ponadczasowe. Japończyk

skinął Wolfowi i wrócił do pracy nad brudnym sufitem. Wolf, kąpiąc się, słyszał miękkie klapnięcia zmurszałego tynku spadającego na ochronne płachty rozpostarte na czarno-białych kafelkach.

Osuszył się, włożył świeże ubranie wyciągnięte z szafki i popatrzył na malarza. Pomyślał, że już nigdy nie spojrzy na żadnego Japończyka w taki sam sposób jak dawniej.

— Długo pan pracuje w wydziale?! — zawołał.

Robotnik przerwał pracę nad tynkiem i spojrzał w dół na Wolfa.

— Niedługo. — Po chwili dodał: — A o co chodzi?

— Jak długo?

Malarz odłożył narzędzia i zszedł z drabiny. Wytrzeł ręce o kombinezon.

— Czy pyta pan dlatego, że jestem Japończykiem? — Odwrócił się do umywalki. — No cóż, spotykam się z tym przez cały czas. To nie w porządku, ale jeżeli chcę zostać w Ameryce, muszę do tego przywyknąć.

Wolf, myśląc o swojej matce, o Szoszonach Rzeki Wiatr, o własnym dzieciństwie, zawstydził się. Rozmowa z Shipleyem zrobiła z niego paranoika — zapomniał, czym może grozić przestawanie z tajnym agentem. Pomyślał, że ta rozmowa również piekielnie go przeraziła, nie dziwnego zatem, że widział duchy w każdym ciemnym kącie. Będzie się musiał pilnować.

— Przepraszam. Byłem tylko ciekaw.

Malarz odwrócił się i znów przeciągnął rękoma po kombinezonie. Lekko skinął głową — a może była to nowoczesna wersja formalnego ukłonu.

— Mogę wrócić do pracy?

— Jasne — odparł Wolf, wrzucając wilgotny ręcznik do drucianego kosza pod ścianą. — Niech mi pan nie pozwala się wtrącać.

Wrócił na korytarz, nadal lekko zaniepokojony swym nowym uprzedzeniem, i natknął się na szukającego go Squire'a Richardsa.

— Przed chwilą otrzymaliśmy wiadomość. Tony znalazł czarnego fłrebirda '87.

Tony Trzy Razy czekał na nich na nabrzeżu przy Ulicy Zachodniej Czterdziestej Trzeciej. Oleista, ciemna rzeka Hudson uderzała o gnijące pale, w powietrzu wisiał intensywny zapach siarki. Wolf spojrzał na wodę i zobaczył, że żółtawe płatki śniegu nikną w niej jak w kadzi z kwasem.

Za ich plecami stały wypalone czynszowe domy, czekające na zburzenie przez jakiegoś kontrahenta. Zamieszkiwały je rodziny nędzarzy, którzy

stracili wszelką nadzieję na realizację amerykańskiego snu. Budynki tworzyły kolejne z kokainowych miast, które rosły w metropolii jak nowotwory. I jak gdyby dla podkreślenia, że kamienice i tak są za ciasne, życie wylewało się na nabrzeża, które wiek wcześniej pomogły uczynić Nowy Jork najważniejszym portem morskim na Wschodnim Wybrzeżu. Obecnie były one zatłoczone namiastkami chat z tektury i sprasowanych puszek. Przed ich ponurymi wejściami płonęły ogniska, co, razem wzięwszy, sprawiało wrażenie prymitywnej wioski.

Tony Trzy Razy poprowadził ich na pirs, na którym stał czarny firebini '87, przypominający jakieś przyczajone prehistoryczne monstrum. Na jego karoserii odbijały się zniekształcone nocne światła miasta. Wnętrze było wytrawione przez ogień, a część lakieru na masce i dachu złuszczone i czarna od sadzy.

— Według mnie ktoś podłożył ogień po tym, jak samochód został tu porzucony, poruczniku — stwierdził Tony Trzy Razy, kierując światło latarki na wóz.

— Podпалиły go pieprzone szczeniaki na haju — dorzucił Squire Richards, zapalając własną latarkę.

— Może. — Wolf zajrzał do wnętrza.

Ale jeżeli to były dzieciaki — pomyślał — to dlaczego spaliły coś tak cennego jak komplet kół? I przecież bardziej zabawnie byłoby przejechać się setką po Sawmill River Parkway.

Węszył, wspominając natychmiast opowiedzianą przez Bobby'ego Connora historię o błękitnej kuli ognia, gorąco płynące z martwej jak głaz twarzy Arqulla, błysk widmowego płomienia wzdłuż policzka. Węszył, ale nie znalazł ani śladu zapachu płynu do zapalniczek czy benzyny, pierwszych oznak świadczących o podpaleniu.

Z kieszeni skórzanej kurtki wyjął stalowy rylec i za jego pomocą zbadał szpary poczerniałych szczątków przedniego fotela i deski rozdzielczej. Podręczny schowek był nadtopiony i nie dawał się otworzyć, poprosił więc o pomoc Tony'ego Trzy Razy, który był specjalistą od tego typu rzeczy.

W środku znalazł popiół ze spalonego papieru i czarne strzępy materiału wyściełającego wnętrze. Wepchnął rylec głębiej, do tylnej ścianki. Nic w prawym rogu, nic wzdłuż ścianki, ale czubek rylca natknął się na coś w lewym kącie. Wyciągnął narzędzie razem ze zdobyczą. Tony Trzy Razy przyświecił latarką.

— Co to jest, do diabła? — zapytał Squire Richards.

— Kawalek jedwabiu — odparł Wolf, oglądając kwadracik tkaniny. Jeden bok był osmalony, tak, ale reszta, chociaż śmierdząca dymem, cała. Wolf rozpoznał materiał używany przez japońską artystkę Chikę.

Yuji Shian złożył podpis na dokumencie, który otwierał produkcję stu tysięcy kart telefonicznych „Shian Kogaku”. Plastikowe karnety miały zostać rozesłane najlepszym klientom koncertu oraz politycznym i biurokratycznym sprzymierzeńcom, którzy dzięki nim mogli bezpłatnie korzystać z każdego publicznego telefonu. Na środku kart znajdował się hologram logo „Shian Kogaku”, zamieniający je po wykorzystaniu limitu w cenne okazy dla kolekcjonerów.

Doskonały pomysł marketingowy — pomyślał Yuji — kolejny przykład prawdziwości naszego sloganu reklamowego: „Shian Kogaku: Zawsze jesteście z tobą”.

Yuji przeprowadził rozmowy telefoniczne z Singapurem, Tajpej, Doliną Krzemową i na korku z Hongkongiem.

Po zakończeniu odepchnął fotel od biurka, splótł palce na karku i zapatrzył się na połyskujące wieżowce Tokio. Znajdował się na wysokości pozwalającej widzieć tarczę słońca, nadętą i czerwoną z powodu zanieczyszczeń atmosfery, ale wiedział, że ulice otaczające Dworzec Hammacho pogrążone są w głębokim cieniu, który dla pędzących w dole tłumów wydawał się już wieczorem.

Yuji stęknął. Zastanowił się, jak by to było znajdować się teraz w sztucznym zmierzchu i pędzić, pędzić, wiecznie biegiem; zastanowił się, jak by to było mieszkać w jednym pokoju z trzema sublokatorami, trzy razy na dzień jeść *sobą*, kluski gryczane, z ulicznych straganów, ponieważ tylko na to można sobie pozwolić, a niekiedy udawać się na spoczynek o pustym brzuchu.

Zrozumienie tego jako podstawy przyjaźni z Shoto Wakare zabrało mu wiele lat.

„Chociaż miało to miejsce tak dawno temu, że wydaje się niemożliwe, iż byłem takim pozbawionym środków do życia nieszczęśnikiem. Teraz, wiedząc inne życie, nie zapominam, jak to jest być biednym w Tokio” — powiedział kiedyś Wakare, gdy razem spędzali czas na całonocnym pijaństwie. „Wstydem byłoby pozwolić sobie na zapomnienie tak ważnej lekcji; człowiek, który cierpiął biedę, zawsze jest na nią przygotowany”.

Bieda nigdy nie stanowiła problemu dla Yuji Shiana. Urodził się w rodzinie, która od pokoleń była właścicielem dobrze prosperującej firmy handlowej, przekazywanej z córki na córkę ze strony jego matki Minako. Tradycyjnie takie firmy faktycznie kierowane były przez kobiety, podczas gdy wybrani przez nich mężowie, którzy często przybierali nazwiska żon, reprezentowali interesy na zewnątrz.

Ojciec Yuji, bankier, był nieco inny. Zgodził się poślubić Minako i przyjąć nazwisko Shian, ale szybko rozczarowały go ograniczenia nieodłącznie wiążące się z prowadzeniem średniej wielkości firmy. W konsekwencji zaproponował przeniesienie „Shian Kogaku” z Osaki do Tokio. Kupił znajdujący się na krawędzi bankructwa bank handlowy, który stał się rdzeniem *kobunu*, czyli firmy, rozkręcił go, z zysków zakupił inny *kobun* i przekształcił „Shian Kogaku” w *keiretsu* najwyższej rangi.

Minako, równie ambitna jak mąż, wyraziła zgodę, ale dopiero po tym, jak już było po fakcie. Jej wszystkie aktywa zostały zainwestowane w zakupionym banku, a ojciec Yuji powiedział, że Minako nie może już kierować „Shian Kogaku”, nawet z ukrycia. Dodał, że jeżeli choć najmniejsza wzmianka o tym, że ona prowadzi interesy, zostanie się do partnerów handlowych, firma będzie skończona. Twierdził, że nikt nie zechce handlować z koncernem kierowanym przez kobietę, bo nikt nie ośmieli się podjąć takiego ryzyka.

Minako pochodziła z długiej linii kobiet interesu, przyzwyczajonych do kierowania wszystkim bez ingerencji mężczyzn. Może nawet znalazł się ktoś, kto powiedział: „Odsunięcie od firmy zabije ją”, ale nic takiego się nie stało. Jak zawsze, mężczyźni, nawet ci najbliżsi, nie doceniali jej. W doskonałym ciele krył się twardy charakter i przenikliwy, bystry umysł.

„Zrozumiałam” — powiedziała posłusznie Minako, kiedy mąż powiadomił ją o podjętej decyzji, i bez słowa protestu zrzekła się kierowania własną firmą.

„To kara za to, że jestem kobietą” — powiedziała kiedyś synowi.

Ale wiele lat później Yuji uświadomił sobie, że Minako nie przyjęła tej decyzji ze spuszczoną głową. Od tamtej pory jej stosunki z mężem uległy drastycznej zmianie. I kiedy w końcu ojciec, zobaczywszy jak jego sen o „Shian Kogaku” staje się prawdą, zmarł na atak serca, Yuji nie był pewien, co go zabiło - przepracowanie czy oziębłość żony. Prawdę mówiąc, Minako nie wylewała po nim łez. A co do ojca, to na kilka lat

przed przedwczesną śmiercią, w czasie alkoholowego ciągu, powiedział do syna: „Jeżeli zaufasz kobiecie, to w końcu zostaniesz wypatroszony”.

Yuji zadrżał na myśl, w jaki sposób ta trucizna podziałała na jego własne życie. Poślubił kobietę, która była tak słaba, jak jego matka silna. Dostrzegł tę ironię, ale nie czuł się na siłach, by to zmienić. Może nawet był w niej zakochany? Któż mógł wiedzieć. Pochłaniała go praca. Był zachwycony, ponieważ udało mu się przemienić swą miłość do biogenetyki w kwitnący interes. „Shian Kogaku” stało się wiodącym *kobunem* w dziedzinie zaawansowanej technologii laserowej oraz rodzących się bionauk.

Żona Yuji była piękna, delikatna i krucha niczym porcelanowa laleczka. Pochodziła ze znanej samurajskiej rodziny, o której wspominały dokumenty z czasów Edo, siedemnastowiecznej stolicy Japonii, była więc jakby kolejnym symbolem jego sukcesu.

Mieli tylko jedno dziecko, syna. I, co całkiem naturalne, Yuji kierował jego wykształceniem tak, jak sam niegdyś był prowadzony przez swego ojca. Syn wyrósł na silnego i przystojnego chłopaka. Choć nie był najlepszy w klasie, Yuji żywił nadzieję, że będzie pierwszy przed zakończeniem nauki.

Ale w ubiegłym roku Yuji i jego żona nagle zostali wezwani do szkoły. Urzędnik o ziemistej twarzy zaprowadził ich na oddział intensywnej terapii w pobliskim szpitalu, gdzie syn leżał pogrążony w nieodwracalnej śpiączce; próbował popełnić samobójstwo, wieszając się na belce w swoim pokoju.

Zmarł po trzech tygodniach; żona Yuji po trzech miesiącach. Kiedyś przeczytał, że rozpacz może do tego doprowadzić. Nigdy w to nie wierzył, dopóki nie zobaczył, że tak się stało z jego żoną. W godzinie szczytu zeszła na tory tuż przed nadjeżdżającą kolejkę podziemną.

Policja uznała to zdarzenie za tragiczny wypadek, ale on wiedział lepiej. To, że sama zeszła z peronu, było równie pewne, jak to, że on teraz siedzi w biurze i przygląda się dławiącemu Tokio smogowi. Yuji przypuszczał, że nic nie odwiodłoby jej od tego zamiaru.

W czasie pogrzebu przyszło mu na myśl, że nigdy wcześniej nie zdawał sobie sprawy, iż ona może do tego stopnia kierować swoim życiem. Była jednak podobna do matki. Znienawidził ją za to, że sekretnie, jak jadowitą żmiję, hodowała w swym łonie tę okrutną siłę.

W ciągu tygodni i miesięcy po jej śmierci popadł w jakiś dziwny nastrój, którego nie potrafił rozproszyć. I wtedy, bez względu na to, gdzie się

znajdował, zawsze towarzyszyły mu dwie młode kobiety. Jedną z nich była nieodmiennie przyrodnia siostra. Hana dostrzegła to, czego on nie widział: jego szaleństwo było jedynie manifestacją poczucia winy i nienawiści do samego siebie z powodu śmierci syna, czemu nie umiał stawić czoła. Powiedziała mu to później, gdy zobaczyła, że obłąd wypalił się, i gdy nabrała pewności, że usiłując zgłębić ten psychiczny ogień, sama się nie spali.

Hana uchroniła go przed samym sobą. Hana i praca nad Wyrocznią.

„Hano — rzekł pewnej, przesyconej smutkiem nocy — co myślałaś o mojej żonie?”

Oczy Hany przesunęły się powoli i spoczęły na jego twarzy.

„Od pierwszego dnia waszego małżeństwa twoja żona miała swoje życie, a ty swoje” — odparła.

„Czy naprawdę nie pasowaliśmy do siebie od samego początku?”

„Ty tak chciałeś”.

„Nie — rzekł powoli — nie chciałem. Nie mógłbym”.

„Zapominasz, że zawsze dostawałeś to, co chciałeś, Yuji-san”.

Rozmyślał przez chwilę, czując jej ciepłą rękę pulsującą w swej dłoni.,

„Jednakże była piękna, prawda?”

„Piękno jest niczym kurtyna czy fryz, jak fasada, która tylko sugeruje co się może kryć za nią”.

„Chciałbym, żebyś mi powiedziała, jak to jest chłonąć życie w taki sposób”.

„Myślę, że tego nie można wyrazić w żadnym języku. Ale ^naprawdę nie ma znaczenia, przecież sam masz tę umiejętność”.

„To przekleństwo”.

„Dlaczego nazywasz swój dar przekleństwem?”

„A nie jest tak? Nie zobaczyłem... śmierci syna ani żony. Nie potrafię również zobaczyć przyszłości ani przepowiedzieć jej. Czasami widzę możliwości, liczne ścieżki rozgałęziające się od pojedynczego momentu terażniejszości. Nie rozumiesz, że coś takiego może doprowadzić człowieka do obłądu?”

„Gdybyś mógł ujrzeć swoje życie od narodzin do śmierci, to także mogłoby doprowadzić cię do obłądu” — powiedziała. „Ale przypuścimy, że błędnie oceniasz tę zdolność?”

„Co masz na myśli?”

„Wyobraź sobie, że terażniejszość nie jest pojedynczym momentem, jak ją zdefiniowałeś, ale mnogością wyborów, jak eksplozja w każdym

ułamku sekundy. W takim wypadku umiejętność dostrzegania licznych ścieżek powstałych w wyniku eksplozji byłaby rodzajem logiki i gdybyś uczył się jej języka, być może zaczęłyby one mieć dla ciebie znaczenie".

„Nie rozumiem".

„Jeszcze nie, być może".

Co by bez niej zrobił? Yuji przetarł oczy, zerknął na zegarek. Potem chwycił płaszcz i opuścił budynek. Zanurkował do oczekującego nań BMW i polecił kierowcy:

— Do Hany.

Było już całkiem ciemno, gdy Wolf pojawił się przy kamienicy z czerwonej cegły do cna pokrytej graffiti, znajdującej się na Ulicy Szóstej Wschodniej tuż obok Alei C. Śnieg zmienił się w śnieg z deszczem, później z powrotem w śnieg. Na parterze mieścił się sklep z ubraniami nazwany „Le Mort Cest Moi", czyli „Śmierć to ja". Wielce zabawne. Wolf zerknął przez stalowe kraty — każda sztuka odzieży na wystawie była czarna i wyglądała tak, jakby uszyto ją na Frankensteina. Może sklep był zamknięty, ponieważ nikt nie chciał nosić takich ciuchów, jednak w to wątpił.

Skreślił za róg, przyspieszył i wjechał na Piątą Wschodnią, potem ruszył na północ do rogu Szóstej. Podjechał do krawężnika, wyłączył światła i silnik, wysiadł i ostrożnie ruszył w dół ulicy.

W mieszkaniu należącym do Chiki światła były zapalone, ale nie mógł niczego dojrzeć przez nieprzezroczyste zasłony. Trzymając się cienia, ruszył do drzwi budynku.

Korytarz oświetlała popstrzona przez muchy piętnastowatowa żarówka. Słabe światło rzucało wyolbrzymione cienie, nie rozświetlając mrocznych kątów. Smród uryny i ekskrementów przyprawiał o mdłości. U podnóża schodów, liżąc nagą różową skórę na bokach, siedział olbrzymi stary owczarek niemiecki z najgorszym przypadkiem parchu, jaki Wolf w życiu widział. Pies podniósł łeb i skierował na przybysza jarzące się żółte ślepie. Jego nozdrza rozděły się, gdy węszył, potem opuścił łeb, wysunął jęzór i powrócił do przerwanej zajęcia. Wolf usłyszał rytmiczne mlaskanie.

Ominął psa i ruszył po brudnych schodach. Poręcz była tłusta, a na ścianie pierwszego podestu widniały ciemnobrązowe plamy. Pewien był, że to zaschnięta krew. Zastanowił się przelotnie, kogo tu załatwiono i kto to zrobił.

Dziwne, jak na poślednią kamienicę, na pierwszym piętrze znajdowało się tylko dwoje drzwi, mieszkania musiały więc być ogromne. Obejrzał brudne okno wychodzące na żelazna schody przeciwpożarowe. Przeciągnął ręką po chropowatym tynku, Wyczuwając miejsca, gdzie kiedyś znajdowały się drzwi do innych mieszkań; mimo smrodu i nieczystości na dole, tutaj ktoś zadał sobie wiele trudu i dokonał pewnych innowacji.

Stał przez chwilę, wsłuchując się w odgłosy starego budynku. Przystwojenie sobie naturalnych dźwięków tła było ważne, ponieważ jeśli pojawiał się jakiś nowy, natychmiast można go było wyłapać.

Podszedł do drzwi mieszkania Chiki, przyłożył do nich ucho, ale niczego nie usłyszał. Wcześniej miał zamiar przyjść tutaj, zapukać i posłużyć się tą samą, co u Moun, przykrywką. Ale nie po Waszyngtonie; nie po tym, jak zobaczył Chikę w towarzystwie Sumy, Pajaka Wodnego; i z pewnością nie po tym, jak w czarnym firebirdzie znalazł kawałek używanego przez nią materiału.

Jeżeli prowadziła ten samochód dla Sumy lub, co gorsza, jeżeli to ona załatwiła Juniora Ruiza i Arqulla, wołał się nie pokazywać. Mogła już wiedzieć, kim jest. Przypomniał sobie, że jeśli ponosiła odpowiedzialność za to podwójne morderstwo, to on nie potrafił odczytać jej aury. Odsunął się od drzwi; i tak nie mógł z nich skorzystać.

Przyłożył ucho do drzwi mieszkania od podwórza i usłyszał, jak Skinny Puppy wyrzaskuje skrzęcający wnętrzości monotonny song.

Nie tędy droga — pomyślał.

Naraz odwrócił się, przyklęknął, wyszarpnął pistolet i wycelował w dół schodów. Usłyszał coś: miękkie, zbliżające się kroki. Spróbował „znaleźć aurę; nie udało się. Suma?

Skulony, napięty, myślał o twarzy Sumy, o oczach Pajaka Wodnego, które kojarzyły mu się z dziurami wydrążonymi w nieskończoności. Zamrugał, koncentrując się na czarnej otchłani wiodącej na parter; jego palec ściśle przylegał do spustu. Czekanie na. Sumę.

Śmiało, sukinsynu — pomyślał — chodź tutaj, mam dla ciebie niespodziankę.

Po chwili w polu widzenia pojawił się stary owczarek. Kiedyś musiał mieć złamaną tylną łapę, ponieważ utykał paskudnie. Popatrzył na Wolfa, potem zaczął lizać lufę służbowego rewolweru.

Wolf wypuścił długo wstrzymywany oddech, usta zadrgały mu w słabym uśmiechu; po chwili schował pistolet do kabury. Z trudem otworzył zabite okno wychodzące na schody awaryjne i wyszedł w wilgotną noc. Stał przez chwilę, słuchając tętniącego wokół pulsu miasta. Metropolia przypomina lewiatana, którego serce bije, choć brudne, niechlujne ciało ulega rozkładowi.

Jest w nim życie — pomyślał — nawet w chwili śmierci.

Tłusty śnieg osiadł na żelaznych szczelkach, musiał więc poruszać się ostrożnie. Ochłodziło się i jego oddech zamieniał się w kłęby pary.

Wolf zwrócił uwagę na podwójne okna mieszkania Chiki. Stojąc na ulicy, myślał, że przysłaniają je kotary, ale teraz zobaczył, że szyby od wewnątrz były zamalowane. Opalizująca czarna farba sprawiła, że szkło stało się półprzezroczyste: przepuszczało światło, ale nie można było zajrzeć do środka.

Wolf przykucnął i po kolei sprawdził okna. Pierwsze trzy były zamknięte, ale ostatnie — uchylone. Schylił się i wśliznął do mieszkania.

Znalazł się w ciemnym pokoju. Z początku nie rejestrował żadnych dźwięków, ale po chwili — powoli, jakby jego uszy musiały dostosować się do odmiennego otoczenia — zaczął słyszeć głucho brzęczenie, przypominające warkot silnika lub kompresora. Niespiesznie wędrował po pokoju. Był świadom znajdujących się w nim kształtów, jakby masywnych mebli zakrytych płótnem używanym w czasie malowania czy wyjazdu na dłuższy czas. Ostrożnie podniósł róg jednej płachty i zobaczył poskręcane kawałki metalu spowitego w tkaninę. Rodzące się rzeźby.

Ostrożnie — pomyślał.

Powoli dotarł do drzwi. Za nimi znajdowała się bawialnia; nie zobaczył nikogo, więc wszedł. Monotonie ścian łagodził jeden tylko obraz w ciężkich złożonych ramach. Był ogromny, w dolnej części ramy znajdowała się tabliczka z tytułem *Salon przy me des Moulins*. Wlepił oczy w malowidło emanujące erotyką; przedstawiało paryskie dziwki. Z ich zmęczenia, z bezpretensjonalnej naturalnej nagości ciała, z ich akceptacji cudzołóstwa przebijało człowieczeństwo. Nigdy wcześniej nie widział, by dziwka była przedstawiona jako istota ludzka, nigdy wcześniej nie uważał, że macierzyństwo i perwersyjny seks mogą współistnieć w jednej osobie, i odkrył, że pociąga go moralny paradoks prezentowany przez płótno. W końcu jego oczy przyciągnął podpis w rogu: Henri de Toulouse-Lautrec.

Chryste — pomyślał — czy to może być oryginał? — Przyjrzał się uważniej, ale nie był ekspertem. — He jest wart, jeśli to oryginał? Miliony? Bardziej prawdopodobne, że setki milionów.

Opuścił bawialnię nie dlatego, że chciał, ale dlatego, że musiał.

W kuchni znalazł źródło hałasu: ogromny generator. Za drzwiami bez zamku i klamki znajdowała się profesjonalnie wyposażona ciemnia z kolekcją aparatów Nikon, Leica i Hasselblad, obiektywami, trójnogami, reflektorami. W małej lodówce leżały filmy; na niej stał stoi okrągłych plastikowych pojemników z filtrami. Wolf pomyślał o fotosach w klitce Moravii. Może Chika była fotografem, może modelką, a może jednym i drugim?

Bezszelestnie wrócił do bawialni. Świeżo położona drewniana podłoga była wypolerowana do tego stopnia, że mógł się w niej przejrzeć.

Kolejne drzwi, tym razem na wpół otwarte. Wolf stanął tak, by cień nie przeciął progu, i zerknął. Z pokoju dolatywał wyraźny zapach. Wydawał się lekko znajomy, ale nie potrafił przypomnieć sobie, gdzie wcześniej go poczuł.

Naraz za drzwiami coś się poruszyło. Musiał zwalczyć odruch, który nakazywał mu zareagować w ten sam sposób. Poczł mrowienie wzdłuż kręgosłupa, gdy w zasięgu wzroku pojawiła się sylwetka Japonki widzianej przed galerią i na inwigilacyjnym zdjęciu Departamentu! Obrony. Była to Chika, artystka, która w jakiś sposób wśliznęła się w życie Lawrence'a Moravii. Czy była niewinną osobą, która przypadkiem znalazła się w niewłaściwym miejscu w niewłaściwym czasie, czy też zabójczynią nasłaną na Morawię przez Stowarzyszenie, Czarnego Ostrza?

Obserwował ją jak sparalizowany. Patrzyła na coś, co znajdowało się z boku pokoju, poza jego polem widzenia. Odwróciła się i dwuwymiarowy kontur przekształcił się w trójwymiarowe ciało. Gorące światło lampy spływało powoli i płynnie po jej boku, uwydatniając wysokie, twarde; piersi. Dziewczyna rozsunęła nogi, jak gdyby przygotowywała się do wyczerpującego ćwiczenia.

Była naga. Światło było dziwne, gęste niczym mgła lub syrop; Wolf nieledwie dostrzegał jego ruch, zwijanie się i opadanie w postaci prawie materialnych łez. Chika przesunęła ręką po sutkach, w dół klatki piersiowej, przez płaski brzuch, Dłoń, obniżywszy się jeszcze bardziej, zniknęła w trójkątnym cieniu;

Wdychał ten zapach, obcy, a jednak dziwnie znajomy. Sycił się nim, próbując przypomnieć sobie, gdzie wyczuł go po raz pierwszy. Jej usta rozchyliły się, gdy lekko zmieniła postawę, która teraz była bardziej erotyczna, jak gdyby Japonka otwierała się w jakiś niewyobrażalny sposób. Drugą ręką nacisnęła miejsce nisko na kręgosłupie, a jej biodra wysunęły się do przodu; dłoń zaczęła poruszać się rytmicznie. Dziewczyna jęknęła.

W tym przedstawieniu — niepokojącym, jak zdjęcia przedstawiające kobiece zniewolenie, jak jej rzeźby — musiał być jakiś sens, ale dla kogo, dlaczego?

Te uda. Sprężyste mięśnie poruszały się pod napiętą skórą o barwie i sile brązu. Nagły spazm zeszcpecił linię jej szyi. Co ciekawe, ta szpetota była podniecająca niczym ukryta blizna, stanowiła sekretny element, normalnie niedostępny zewnętrznemu światu.

Uda drżały, Chika kołysała się w wirze wywołanej przez siebie ekstazy. Usłyszał ciche „och-och-och!” — z jej ust wyrwały się pierwotne dźwięki, wypychane przez przeponę niezależnie od woli.

Powieki dziewczyny zatrzepotały, ale oczy nadal wpatrywały się w niewidoczny zza drzwi punkt. Wolf, zafascynowany rozgrywającą się przed nim sceną, pragnął zobaczyć to, na co ona patrzy, wiedzieć to, co myśli, zrozumieć naturę jej przedstawienia — o ile to w ogóle było przedstawienie. Co dałyby mu odpowiedzi?

I wtedy — tak nagle, jak nagle grzbietowa płetwa rekina wyłania się z wody — wpadło mu do głowy, że Chika jest z Sumą, że razem zwabili go tutaj, aby go zabić. Teraz, w tym dziwacznym mieszkaniu z dziwaczną Japonką, do której ciągnęła go dziwna i potężna siła — i której bał się niewytłumaczalnie — poczuł się bardziej nagi niż ona, tak odsłonięty, że aż zadrżał. Powinien był wyczuć aurę Sumy — czy kogokolwiek innego — ale napotykał jedynie ciemność nie do przebiccia.

Zmęczony chaosem, który mącił jego pojmowanie świata, uciekł na okryte śniegiem schody awaryjne i wsunął się na korytarz. Położył rękę na mokrej poręczy — czy może to jego ręka była spocona.

Zadrżał; wydawało się, że nagły ziąb przenika go do szpiku. Jednakże nie mógł odejść. Gapił się w okna mieszkania pierwszego piętra. Instynkt podpowiadał mu, że zdołał uniknąć przemyślnie zastawionej pułapki, że teraz ma niepowtarzalną szansę schwytania niedoszłych zabójców.

Czekaj — pomyślał. — Bądź cierpliwy. Zobacz, kto wyjdzie.

Po dwudziestu minutach w mieszkaniu na piętrze zgasły światła, a kilka

chwil później z kamienicy wyszła Chika. Sama, i — co dziwne — teraz był pewien, że na górze również była sama. Jakby wtedy, gdy przebywał w jej mieszkaniu, nie zaniepokoił go brak ludzkiej aury.

Była ubrana tak samo jak wczoraj: botki na wysokich obcasach, czarna minispódniczka, o kilka numerów za duża lotnicza kurtka, czarna skórzana torebka przerzucona przez ramię. Gmerła w niej przez chwilę, po czym skierowała się na wschód, oddalając się od miejsca, w którym Wolf krył się w cieniach wejścia. Jej obcasy dudniły po pokrytym breją chodniku.

Ruszył za nią. Śnieg gęstniał. Niebo wyglądało niczym chore stare dziaśła, w których tkwią luźno gnijące zęby w postaci zaszczerzonych i zarobaczonych domów czynszowych.

Za rogiem, dwie przecznice na południe, dziewczyna skręciła w wąską uliczkę. Weszła w strumień pary wydobywającej się ze ścieków, zniknęła, pojawiła się po drugiej stronie jak dwuwymiarowy cień. Wolf nie musiał mieć jej w zasięgu wzroku; kierował się dźwiękiem chromowanych obcasów.

Na Ulicy Drugiej Wschodniej skręciła na zachód. Zwrócił uwagę, że porusza się z całkowitą pewnością siebie, jak gdyby nie bała się niczego ani nikogo. Zwolnił, nagle zdając sobie sprawę, że odległość między nimi staje się coraz mniejsza.

Kiedy znów znalazła się w zasięgu jego wzroku, zobaczył, że zatrzymali ją dwaj gówniarze ze slumsów. Ubrani byli w bluzy baseballowe, sportowe buty, czarne dzinsy — typowe uniformy ulicy. Boki głowy mieli wygolone, ale na środku sterczała błyszcząca od żeluzupryna. Jeden trzymał toporny nóż z długim na stopę ostrzem, drugi kij hokejowy z żyletkami przymocowanymi czarną taśmą izolacyjną do zakrzywionego końca.

Dzieciak z podrasowanym kijem pukał nim niecierpliwie po chodniku, podczas gdy jego kumpel przecinał śnieżną noc swą kosą —r jeden łuk na Wysokości piersi Chiki, drugi na wysokości krocza. Szczeniaki śmiały się dziko. Wolf był ciekaw, jakimi prochami się naładowali.

Podeszli bliżej do dziewczyny i Wolf wiedział, że musi podjąć decyzję. Nie chciał się pokazać, ale nie mógł też pozwolić, by łobuzy zrobiły jej krzywdę. Zastanawiał się nad historijką, która usprawiedliwiłaby jego obecność, gdy dziewczyna przejęła inicjatywę.

Wyjęła lewą rękę z torebki i Wolf dostrzegł błysk błękitnej stali. Pistolet był niezawodnym, ulubionym przez profesjonalistów modelem. Jej postawa — rozstawione nogi, sposób, w jaki celowała najpierw w głowę jednego

punka, potem drugiego — wskazywała, że dziewczyna dokładnie wie, co robi. Powiedziała coś, co przstraszyło łobuzów chyba bardziej niż widok broni, bo obaj rzucili się do ucieczki.

Nie zmieniła pozycji, dopóki nie upewniła się, że nie wrócą i wtedy schowała pistolet, ale nie wyciągnęła ręki z torebki. Wolf przypuszczał, że trzymała dłoń na kolbie od czasu wyjścia z mieszkania na Szóstej Wschodniej.

Ruszył za nią. W Drugiej Alei skręciła na północ i zatrzymała się przed fasadą zakładu pogrzebowego, który znajdował się w dzielnicy ukraińskiej i nosił jakąś nie dającą się przeczytać nazwę. Światła przenikały przez grube kryształowe szkła frontowych drzwi.

Na chodniku tłoczyli się ustawieni w kolejce bezdomni — szurali nogami, mruzczyli coś pod nosem lub po prostu gapili się w przestrzeń. Wolf zobaczył, że początek ogonka zawija się przy drzwiach, przy których korpulentny spocony kierownik zakładu rozdawał jedzenie. Przez chwilę obserwował jego twarz i rozpoznawał pojawiające się na niej emocje: niesmak, litość, ulgę, satysfakcję. Dziwna scena; człowiek zajmował się śmiercią w dzień, a później karmił żywych w nocy, ale była w tym jakaś okrutna symetria pasująca do tego granitowego miasta — rodzaj twardej sprawiedliwości.

Wolf cofnął się w cień otwartej bramy na chwilę przedtem, nim Chika rozejrzała się szybko, i zaklął, bo potknął się o człowieka owiniętego w gazety.

— Wynocha z mojego domu — burknął ochryple bezdomny. - Sam se znajdź jakieś miejsce.

Wolf wyjrzał na czas, by zobaczyć, jak przed zakład pogrzebowy zajechał karawan bez tylnej tablicy rejestracyjnej. Wóz był nowy, metalicznie czarny i chromowany; w upiornym żółtym świetle połyskiwał jak bila.

Bezdomny zaczął nieudolnie walić Wolfa po goleniach. Chika zeszła zgrabnie z krawężnika i ku zdumieniu Wolfa wypraktykowanym ruchem otworzyła tylne drzwi karawanu. Wsiadła. Wóz ruszył.

— Sukinsyn! — warknął Wolf. Wyszedł na ulicę, gdy karawan zniknął w strumieniu pojazdów.

BRAK

STRON

119-120

kęsków w plotkach o japońskich profesorach. Nie integrują się zbyt dobrze i wielu moich kolegów uważa że cechuje ich przesadne wyobrażenie o własnej wyższości.

— A ty jak myślisz?

Amanda westchnęła.

— Nie byłam w stanie zaprzyjaźnić się z żadnym z nich. Ale z drugiej strony wydaje mi się, że boją się tego, co widzą w Nowym Jorku. Według mnie wielu z nich wierzy w czysty chów — wiesz, Japonia dla Japończyków — i patrząc na mieszanie naszej krwi, dochodzą do wniosku, że Amerykanie są drugorzędną nacją. — Wzruszyła ramionami. — Wiem, że na pracę w Ameryce patrzą tak, jak ja patrzyłabym na pracę w Afryce. Taka robota wiele znaczy dla późniejszego życiorysu, ale nie chciałabym tam żyć.

Ujęła jego ramię, gdy przeciskali się do wejścia, żeby nie rozdzielili ich tłoczący się ludzie.

— Przez lata moi koledzy, oderwani od rzeczywistości, usiłowali im wmówić, że to właśnie ten amerykański tygiel zadecydował o naszej Wielkości. Ale ostatnio, chociaż nie przyznają się nawet jeden przed drugim, patrząc na to, co dzieje się z miastem: na wzrastającą polaryzację klas ekonomicznych, na podżeganą nienawiść, eskalację uprzedzeń rasowych, czyli pokrótce na rozkład naszej cywilizacji, są w głębi duszy zawstydzeni. Już nie wiedzą, jak odpowiadać na japońską krytykę naszego narodu, i za to jeszcze bardziej nienawidzą Japończyków.

Wolf był zaintrygowany. Zastanowił się, jak tajniak Shipley zareagowałby na tezy Amandy czy raczej, jak Amanda zareagowałaby na przedstawiony przez Shipleya aż nazbyt prawdopodobny scenariusz sądnego dnia najbliższej przyszłości Ameryki.

— Jedno jest pewne: Japończycy różnią się od nas na wiele sposobów

— kontynuowała Amanda, szukając wzrokiem siostry. — Na przykład mają zupełnie inne podejście do seksu.

— Czy wiesz to z własnego doświadczenia?

Roześmiała się.

— Nie ostatnio. Był taki film, widziałeś? *W królestwie zmysłów*, gdzie dwoje ludzi próbuje udusić się wzajemnie w chwili szczytowania. Myślę, że w ten sposób usiłowali osiągnąć orgazm wszechczasów. W Japonii ten i lin uważany jest za klasykę gatunku.

Wolf pomyślał o płytce kompaktowej, którą znalazł w apartamencie Lawrence'a Moravii: *W królestwie zmysłów*. A to sprawiło, że wspomniał

Chicę: jej silne uda, prężące się, gdy schodziła na jezdnię, deszcz bijący w skórzaną kurtkę, krople wody na parasolce z ryżowego papieru, a także ugięte kolana, biodra wysunięte do przodu, przyspieszony oddech i palce między udami. Chika: naga i wilgotna, przeżywająca rozkosz z cichym, głębokim krzykiem.

— Wolf?

— Co?

— Miałeś niesamowicie dziwny wyraz twarzy.

— Ci ludzie...

Już same stroje tak zwanych mecenasów sztuki stanowiły, niezłe przedstawienie: togi projektowane przez Mizrahi i Ferrs, dziwaczne, błyskotkowe dodatki od Lacroix, skórzane obcisłe sukienki Montany — wszystko równie dziwaczne jak ubrania ulicznych handlarzy, tylko droższe. Amanda, z Wolfem za plecami, przepychała się między spoconymi ludźmi, którzy niczym wiktoriańskie wampiry odważali się wychodzić jedynie nocą.

„La Mentira” składała się z trzech przypominających jaskinie pomieszczeń. Pierwsze było nowoczesnym holem z niewygodnymi kanapami, które stały na podłodze wyłożonej półprzezroczystymi, szklanymi płytami. Nogi obecnych skąpane były w czerwonym, błękitnym i fioletowym świetle przyprawiającym o mdłości. Wzdłuż jednej ściany ciągnął się kiczowaty bar z miedzianym blatem, pomalowany w tygrysie pasy, a za nim, tam, gdzie normalnie stoją butelki z alkoholem, siedziały lalki Kewpi z lat czterdziestych i pięćdziesiątych.

Sala taneczna — największe pomieszczenie — została zamieniona w galerię. Na parkiecie z polakierowanego dębu stały obrazy i rzeźby artystów promowanych na przyjęciu. Panował tu nieopisany ścisk, a z głośników, których było zdecydowanie za dużo, wydobywała się ogłuszająca muzyka.

Wolf nigdy się nie dowiedział, jak Stevie znalazła ich w tym domu wariatów, ale w pewnej chwili wyłoniła się z tłumu, ucałowała siostrę i uściśnęła rękę Wolfa. Stevie Powers była psychoterapeutką oraz członkiem najbardziej prestiżowych rad sztuki i nauki. Imprezy tego typu były sponsorowane przez jedną z tych grup. Wolf przypuszczał, że uczestniczenie w nich było dla Stevie sposobem spłacania kontrybucji socjocie. Ona i jej mąż, Morton Danaher, mieli mieszkanie o trzech

sypialniach na Piątej Alei, a poza tym dom w East Hampton i Bóg wie ile pieniędzy.

Stevie w niczym nie przypominała starszej siostry. Miała ciemne włosy i ciemne oczy, a jej figura była pełniejsza i bardziej zmysłowa. Delikatne ręce o długich palcach — dłonie artystki — zdawały się być w wiecznym ruchu. Chodziła szybko, gwałtownie, lecz z precyzją, która zarezerwowana jest dla aktorów lub chirurgów. Najwyraźniej to mąż wprowadził ją do elitarnych kręgów nowojorskiej socjety, Amanda bowiem nie знаła nikogo z tych potomków starych pieniędzy.

— Boże, jestem taka szczęśliwa, że przyszedłeś, Pando — powiedziała Stevie, kompletnie ignorując Wolfa. — Dzisiaj są tu wszyscy. Muszę przedstawić ci mnóstwo ludzi!

Wolf przypuszczał, że jej nieco niegrzeczne zachowanie nie było zamierzone, ale również zdawał sobie sprawę, iż Stevie zawsze odnosiła się doń raczej ozięble. Może nie pochwałała sposobu, w jaki zarabiał na życie. A zresztą, któż wiedział, jak to jest z rodzeństwami?

Amanda, gdy Stevie zaczęła ją ciągnąć w tłum, pocałowała go szybko w policzek. Rzuciła mu pełne smutku spojrzenie, lecz on wiedział lepiej. Imponowali jej ci bogaci i słynni, ściągnięci tutaj przez Stevie.

Samotnie podryfował do głównego pomieszczenia, by obejrzeć dzieła sztuki. W większości były abstrakcyjne do przesady. Zastanawiał się, co się stało z ekspresjonizmem. Miał wrażenie, że zbyt wiele z tego, co świat sztuki uważał za nowoczesne, było pozbawione albo sensu, albo uczuć. Nie uważał, że przestrzeń koniecznie musi zostać wypełniona. Dzięki sztukom walki zaznajomił się nieco z kulturą japońską i potrafił docenić przestrzeń negatywną — pustkę, która tworzyła tło na przykład dla pojedynczego obrazu.

Obejrzał obrazy i doszedł tam, gdzie zaczynały się rzeźby: metalowe armatury, do których przymocowano krople zastygłego mosiądzu koloru miodu, kawałki twardego afrykańskiego drewna, pasiaste jak skóra zebry, gips polakierowany na różne odcienie brązu. Wszystkie były nieme, pozbawione życia, niezgrabne i ordynarne. Wolf pomyślał, że w porównaniu z nimi nawet zwykły kamień mógłby spowodować więcej wzruszeń.

Z wszystkimi prócz ostatniej rzeźby, która wznosiła się nad jego głową. Zatrzymał się przed nią i — może dlatego, że ten niepokojący styl nie był mu obcy — uznał, że czarny poskręcany metal i jaskrawy materiał mają swoistą wymowę.

Znalazł jeszcze jedną rzeźbę Chiki, a później zawrócił i udał się na poszukiwanie artystki.

Zlustrował całą salę, ale nie zauważył jej, skierował się więc w kierunku najmniejszego z pomieszczeń — restauracji. Oślepiające lustro, fotele kryte sztucznym futrem i stoliki wielkości znaczka pocztowego dosłownie kołysały się w takt basów, perkusji i bębnów wściekle wzmocnionej muzyki grupy Redbox i Pet Shop Boys.

Cały czas myślał o Chice. Dlaczego czuje się tak dziwnie? Jest piękna, to prawda, i egzotyczna, ale przecież spotykał inne piękne kobiety i nie doświadczał... No właśnie, czego?

Czyżby *deja vu*? Lecz z pewnością nie widział *jej* nigdy wcześniej. A jednak patrząc w ogromne, czarne oczy, znów słyszał przejmującą pieśń Białego Łuka, ponownie przeżywał uniesienie i strach, które, jak kiedyś sądził, potrafił wywołać tylko jego dziadek. Czuł przyspieszone bicie serca i pulsowanie krwi, a po chwili niemożliwe stało się możliwe: zapomniał o Sumie i Moravii.

Przechodząc przez salę, omiótł wzrokiem każdy stolik. Odwracał się mniej więcej co piętnaście sekund, by sprawdzić, kto wchodzi do restauracji. Zatrzymał się pod ścianą z tyłu pomieszczenia, rozejrzał raz jeszcze, a później pchnął wahadłowe drzwi i wszedł do kuchni.

Tu też panował istny dom wariatów; kucharze, ich pomocnicy, kelnerzy, pomocnicy kelnerów zwijali się jak w ukropie. W powietrzu unosiła się para i zapach jedzenia. Wolf okrążał nierdzewne stalowe zlewy, lady załadowane posiekanymi jarzynami i płatami surowego mięsa, ogromne piece z palnikami, na których podskakiwały kotły wrzącej zupy oraz głębokie patelnie pełne frytek i plasterków cebuli.

Z tyłu, w niszy niewidocznej z głównej części kuchni, znajdowały się grube, metalowe drzwi chłodni. Wolf zajrzał za załom muru i wrósł w ziemię na widok rozgrywającej się przed nim sceny.

Squire Richards — w świetle lamp fluorescencyjnych jego czarna skóra stała się niebieska - przyciskał do drzwi chłodni chudego, przystojnego mężczyznę.

— Spóźniasz się z wyplątą, Dickie — warczał Richards. — Albo zaraz dostanę forszę, albo pokierujesz twoją śliczną buźkę. I co ty wtedy zrobisz? Będziesz musiał sprzedać klub, bo opuszczą cię wszyscy twoi kumple pedały.

— Okay, okay — wydusił przystojniak. Jego skamlanie miało tak wysoki ton, że bardziej pasowałoby do przerażonej kobiety. — Dam ci twoje cholerne pieniądze. Tylko zostaw mnie w spokoju.

Wolf rozpoznał Richarda Sansone, agenta dobrze ustawionych artystów. Począł, dopóki Squire Richards nie puści właściciela klubu, a pieniądze nie przejdą z ręki do ręki.

— Panie Sansone, niech pan zabiera swoją forszę i sływa.

Obaj mężczyźni, zdezorientowani i przerażeni, odwrócili się. Wolf podszedł, zabrał banknoty Richardsowi i wcisnął je w rękę Sansone.

— Szczerze przepraszam za to nieporozumienie. Obiecuję, to już się nie powtórzy. — Podał właścicielowi klubu wizytówkę. — Jeżeli będzie pan miał jakieś kłopoty, proszę, niech pan do mnie zadzwoni. Na karcie jest mój bezpośredni numer, może pan dzwonić o każdej porze.

Sansone, ciągle lekko oszołomiony, skinął głową. Schował pieniądze i wizytówkę, potem obdarzył Wolfa nieśmiałym uśmiechem, wyjął chusteczkę, by otrzeć pot z czoła, i popędził na przyjęcie.

Wolf odwrócił się do Squire'a Richardsa.

— Co ty sobie, do diabła, wyobrażasz?

Czarny detektyw nie rzekł ani słowa. Wydawało się, że zagryza wargi.

— Co z tobą? Wiesz, że nie toleruję u siebie skorumpowanych glin.

— Nie jestem skorumpowany — rzekł obojętnie Richards.

— Tak myślisz? Zapewniam cię, że ci od spraw wewnętrznych będą mieli inne zdanie.

— To co, zamierza mnie pan zakapować?

Uwagi Wolfa nie umknął jego oskarżycielski ton.

— Squire, proszę o wyjaśnienia.

Richards odwrócił się, podszedł do zlewu i nalał sobie szklankę wody. Wolf, cierpliwy jak Amanda w stosunku do niego, zatrzymał się obok i czekał. Richard wypił wodę, odstawił szklankę i spojrzał nerwowo na pracowników kuchni, którzy obserwowali ich ukradkiem. Upewniwszy się, że nikt nie może ich usłyszeć, powiedział w końcu:

— Potrzebowałem pieniędzy — urwał, jak gdyby było to wszystko, co Wolf powinien wiedzieć.

— I?

Richards popatrzył na niego.

— Człowieku, to nie było nic wielkiego! Te śmierdzące odpalają dole inspektorom zdrowia, radzie przyznającej licencje na alkohol, a mafia co dzień sprzedaje im ryby po swojej cenie. Płacą wszystkim, oto jak te sukinsyny utrzymują się w biznesie, i pan doskonale o tym wie. Ja po

prostu upomniałem się o swoją dolę. Ten facet jest taki nadziany, że nawet nie zauważył braku tej forsy.

Wolf przysunął się bardzo blisko do Richardsa.

— I myślisz, że masz prawo do części jego szmalu, prawda?

— Potrzebowałem forsy, człowieku, mówiłem.

— Squire, oddam cię w ręce ludzi ze spraw wewnętrznych, jeżeli nie będziesz ze mną szczerą.

— Potrzebowałem pieniędzy, by zwrócić dług brata, który wpakował się w pożyczkę u grubych kanciarzy — odparł Richards podniesionym tonem. — Okay? Łapiesz, bosmanie? No to zejdz mi z oczu! — Wyciągnął rękę, pchnął Wolfa na drzwi chłodni, potem odwrócił się i ruszył do wyjścia.

Wolf dogonił go i położył mu rękę na ramieniu.

— Jesteś dobrym gliną, Squire, ale musisz nauczyć się, że odznaki nie wolno używać w taki sposób. Masz władzę, fakt, lecz nie możesz korzystać z jej przywilejów bez zastanowienia, wtedy gdy tylko ci to pasuje.

— Powiedziałem, dlaczego to zrobiłem.

— To za mało. Nic nie może usprawiedliwić przestępstwa, a to właśnie popełniłeś dzisiejszej nocy.

— Zamierzasz mnie wydać. I tyle będę miał z lojalności w stosunku do białasów. Jesteś taki sam jak reszta; od początku miałeś zamiar zrobić coś takiego. I co ja mam teraz począć? Połamię bratu nogi, pewne jak cholera, jeżeli nie będzie miał tej forsy.

Wolf czuł na sobie oczy całego personelu kuchni i wiedział, że musi rozładować sytuację.

— Porozmawiamy o tym jutro z samego rana.

— Kurwa mać, na pewno! — warknął Richards, kierując sierpowy w ucho Wolfa.

Wolf zrobił unik, zawirował, użył *irimi*, by pociągnąć Richardsa za ciosem, przrzucił go i unieruchomił, przyciskając mu szyję kolanem.

Patrząc w dół na twarz Richardsa, siną z gniewu i poniżenia, świadom, że sprawili cywilom niezłe widowisko, Wolf czuł, jak ogarnia go nienawiść do prowadzonego przez siebie życia. Smród korupcji był tak ohydny, że przeniknął nawet tego uczciwego glinę. Squire potrzebował pieniędzy na wykupienie brata z długów i poważnych kłopotów, jakie mogli mu sprawić lichwiarze, więc korzystając ze swych zawodowych uprawnień brał je jak coś, co mu się słusznie należy.

Wolf puścił Richardsa i powiedział:
— Wstawaj, Squire, i idź do domu.

Hanę cechował spokój niebieskiego perkoza.

Perkoz, wyjątkowy samotnik, bezgłośnie podkradający się do swej ofiary, którą przebija długim, zakrzywionym dziobem, jest szczególnym stworzeniem. A kiedy podrywa się do lotu, mknie z głową odrzuconą majestatycznie na grzbiet, nie wyciągniętą, jak u jego dalekich kuzynów, ibisów i żurawi.

Yuji uważał, że błękitny perkoz jest najpiękniejszy ze wszystkich tych wspaniałych ptaków, ponieważ potrafi w zaczarowanych momentach wschodu i zachodu słońca stapiać się z niebem. Kolor jego upierzenia dokładnie pasuje do barwy firmamentu, więc wznoszący się nad wody ptak niczym czarnoksiężnik rozplywa się w powietrzu.

Hana wolala mieszkać na przedmieściu Tokio; tylko sześć mil od centrum, ale na wszelkie inne sposoby odległość ta była tysiące razy większa. Przyrodnia siostra Yuji, młodsza od niego o trzynaście lat, była dzieckiem Minako z drugiego małżeństwa.

Jej dom z zewnątrz był żelbetowy, wewnątrz wyłożony czarnym granitem oraz czarnymi i białymi płytami. Ta l-aczej surowa konstrukcja stanowiła tło dla kolekcji *mai ogi* — scenicznych wachlarzy używanych przez tancerzy. Wielobarwne, wykonane z różnych materiałów i mające różny kształt, bez wyjątku ozdobione skomplikowanymi malunkami, rzeźbione i lakierowane, często były jedynymi rekwizytami na scenie, pełniły więc rolę samurajskich mieczy, sosnowego lasu, jesiennego księżyca, schodów wiodących na strych, wzburzonego morza czy zwyczajnej filiżanki herbaty. Ale w tych wachlarzach nic nie było zwyczajne, ich skomplikowana symbolika uwypuklała się na szorstkich płaszczyznach domu Hany.

— Hano — powiedział Yuji, ujmując jej ręce — tak dobrze cię widzieć.

Hana nie była podobna do matki. Minako otaczała się tradycyjną atmosferą kruchości, kultywowaną przez wiele kobiet jej pokolenia. Robiła to tak skutecznie, że Yuji był zszokowany po dokonaniu odkrycia, iż matka jest całkowicie samowystarczalna.

Hana, zadowolona z jego obecności, wodziła za nim rozjaśnionym wzrokiem. Jej oczy wyrażały emocje tak, jak amfiteatr wydobywa i wzmacnia niuanse dźwięku.

— Kiedy jestem z tobą, wszystkie moje niepokoje jakby odpływają w dal.

Hana przypominała wielki psychiczny silnik. Czasami Yuji był pewien, że słyszy pracę jej serca i śpiew krążącej w żyłach krwi, że może konwersować z tymi dźwiękami tak, jakby były one jej prawdziwym głosem. Kiedy indziej Hana stawała się obojętna i nieprzenikniona niczym kamienna ściana.

Kiedy miała sześć lat, zapadła na rzadki typ zapalenia mózgu, tak odporny na leczenie, że nadano mu jej imię. Specjaliści nie byli jednomyślni co do tego, jakie skutki wywarła na dziewczynce ta choroba. Jedni mówili, że został uszkodzony jedynie ośrodek mowy, drudzy upierali się, że osłabieniu uległa pamięć i inne ośrodki mózgowe. Nie potrafili nawet zgodzić się, czy choroba spowoduje kalectwo, czy jakieś niemożliwe do przewidzenia zmiany. W każdym razie do dwunastego roku życia Hana nie wypowiedziała ani słowa.

W końcu Minako miała dość; Hana przez całe lata była poddawana seriom skomplikowanych testów, które niczego nie wyjaśniły. Zabrała więc dziewczynkę z błyszczących od nierdzewnej stali centrów medycznych, będących jej drugim domem, i przywiozła do tego sanktuarium.

Hana odziedziczyła efemeryczną urodę matki: porcelanową skórę, twarz w kształcie serca i wyraźny wykrój zmysłowych ust. Ale dodała do tego wszystkiego siłę, godne pozazdroszczenia mistrzostwo języka i sztuki oraz tajemniczość. Jej ojciec odszedł dawno temu — czy raczej to Minako wypędziła go z domu na pierwszą wzmiankę, że ożenił się z nią dla pieniędzy. Nie chciał widywać Hany albo też zakazała mu tego Minako, która, jak zauważył Yuji, w stosunku do młodszej córki była wręcz nadopiekuńcza.

Podejrzewał, że w końcu stał się jedyną osobą, która potrafiła zrozumieć Hanę. Minako także próbowała tego na swój sposób, ale widziała w córce kalekę, bo przez zbyt wiele lat oceniała jej postępy w stosunku do innych dzieci. Dla Yuji przyrodnia siostra była po prostu nieco inna. Kochał ją i był nią zaintrygowany. Hana czuła jego zainteresowanie — był tego absolutnie pewien, chociaż nigdy jasno nie dała mu tego do zrozumienia — i odwzajemniała je. Byli jak anoda i katoda, jak bateria wytwarzająca prąd nieznanego pochodzenia i mocy.

Yuji jako brat był zobowiązany do obdarzania miłością swej przyrodniej siostry, ale niezależnie od tego i tak ją lubił. Była bystra, dowcipna,

częstokroć zabawna, chociaż rzadko słyszał jej śmiech, a choroba sprawiła, że jej cięte uwagi stały się dla większości słuchaczy zbyt trudne do zniesienia. Niepokoiły go jej częste stany depresyjne, nagle i ostre — głównie dlatego, że nie mógł zrozumieć, co je wyzwała. Bał się, iż są one objawem nieodwracalnych zmian spowodowanych przez zapalenie opon, niezależnym od jej woli jak miesiączka.

W obecności Hany często wspominał wiersz swego ulubionego poety, Tanigushi Busona:

Poranna mgła:

Jak w malowidle snu

Ludzie chodzą własnymi drogami.

I uparcie pragnął dowiedzieć się, która ścieżka we mgle jest właściwa, co jest obrazem prawdziwego świata, a co ułudą.

— Co cię martwi? — zapytała Hana.

Yuji westchnął, odpuszczając się w spokoju i głębi jej nadzwyczajnej atlii.

— Wyrocznia.

Za oknami bawialni rósł las zielonych bambusów moso, które Hana zasadziła na wyłożonym kamieniami podwórku. Wydawało się, że otaczający je mur w nieskończoność odbija światło. Niektóre pędy bambusów rosły pionowo, inne skośnie — zawsze tworzyły zmienny, skomplikowany wzór. Czasami podwórko, o powierzchni zaledwie dwudziestu stóp kwadratowych, zdawało się ogromne jak stok wzgórza w Nara. Yuji uwielbiał spoglądać w okna, ponieważ widok roślin wywoływał w nim skłonność do marzeń.

— Zaczynam żałować, że w ogóle zaczęliśmy ten projekt.

Hana, obserwując go uważnie, zapytała:

— Kto ci powiedział o śmierci Moravii?

Yuji wzruszył ramionami.

— A co za różnica? Wiem, że Wyrocznia jest odpowiedzialna, tylko to ma znaczenie. Nigdy nie przypuszczałem, że stworzę coś, co stanie się odpowiedzialne za śmierć ludzkiej istoty.

— Yuji-san, mówisz tak, jakby to Wyrocznia zamordowała Moravię.

— A czyż właśnie tak się nie stało?

— Och, nie, nie. — Widząc udrękę na jego twarzy, zamknęła jego dłoń w swoich. — Chodź tutaj. — Pociągnęła go, by usiadł obok. — Moravia był sprawdzianem. Wszyscy wierzyliśmy w Wyrocznię, ale te błędy dowodzą, że nawet Wyrocznia jest omylna.

Yuji chrząknął.

— Nie możesz poddawać się z powodu jednego błędu — mówiła Hana.

— Wyrocznia jest taka ważna. Czy potrafisz zrozumieć, że według mnie we wszechświecie musi być coś więcej? Czasami czuję się tak, jakby moje ciało było klatką, w której jestem zmuszona zamieszkiwać niczym zwierzę w zoo, że ciało i krew czynią mnie podrzędną, gorszą istotą.

Hana wydawała się spokojna, ale jej milczenie było mroczne jak cienie rzucane na ścianę — Yuji widział w nim zapowiedź czegoś złego. Jakie metamorfozy w niej zachodziły? Chciał ją zapytać: kim była, kim się stawała, w jaki sposób jej psychiczna obecność wpływała na Wyrocznię? Miał zamiar to uczynić, zwalczając zażenowanie (wynikające z tego, że oskarżał się o naruszenie jej prywatności) i strach (bał się jej odpowiedzi tak samo, jak milczenia), kiedy Hana powiedziała: „Śmierć” całkowicie odmiennym tonem.

Zadrżał na dźwięk tego słowa. Wiedział, że odebrała fale — nie chciała nazywać tych przeczuć wizjami, ponieważ nie były one widoczne, ale raczej wewnętrzne. Napływały nie z zewnętrznego źródła, ale z jakiegoś miejsca znajdującego się głęboko w jej wnętrzu, w przestrzeni stworzonej — albo przynajmniej udostępnionej — przez chorobę. „Jest we mnie nieskończona dziura” — powiedziała mu dawno temu. „Z jej głębi wydobywają się wyobrażenia, nie wizje: niczego nie widzę, ale wiem, że one tam są i wiem, czym są, jak gdybym w czasie snu nauczyła się jakiegoś starożytnego języka”.

— Hana! Co widzisz?

Jej świetliste oczy były teraz matowe jak kurz. Wiedział, że siostra go nie widzi.

— Widzę ciebie i Naoharu Nishitsu splecionych w straszliwej walce, a nad waszymi głowami krąży wielki czarny ptak.

— Miałaś na myśli Śmierć przez duże S? — próbował się roześmiać, ale śmiech zamarł mu na ustach. — To brzmi jak scena z filmu Ingmara Bergmana.

— Nie, nie, nie rozumiesz. Nie śmierć. — Hana nagle uchwyciła go. Jej oczy, wpatrzone w niego, znów jaśniały, a usta drżały. — Jest tam ktoś inny. Ktoś nieznany. Ktoś, kto może zabić was obu.

Wolf siedział w apartamencie Lawrence'a Moravii i myślał o klitce ukrytej za garderobą oraz o jej dziwnej zawartości. Po incydencie ze Squire'em

Richardsem w „La Mentira” miał dość wymuszonej wesołości przyjęcia. Odnalazł Amandę i przeprosił ją, mówiąc, że chce już wyjść. Stevie zaproponowała, że odwiezie siostrę do domu i Amanda, widząc wyraz jego twarzy, nie protestowała. Pocałowała go i znów zniknęła, wciągnięta w tłum przez siostrę.

Wolf, siedząc na kanapie Moravii, myślał o tym, co powiedziała mu Moun: „Larry był skrzywiony — to znaczy poważnie skrzywiony”. Myślał o filmie *W królestwie zmysłów*. Myślał: Chika z Morawią tydzień temu, Chika z Sumą ubiegłej jesieni, Moravia zabity wczoraj. Tak samo jak jeden z jego ludzi. Myślał o wszystkim, w co wtajemniczył go tajny agent Shipley. Myślał, że w dalszym ciągu nie potrafi sprecyzować aury Sumy ani Chiki; nie mógł również wychwycić aury mordercy Moravii. Czy Chika należała do Stowarzyszenia Czarnego Ostrza? I konkretnie: czy była jednym z pozostających na ich usługach zabójców?

Innymi słowy, był przekonany, że stanowi ona punkt wspólny tych oderwanych spraw. Wbrew sobie znów poczuł drzenie w łądźwiach. Wyobrażenie dygocącego w ekstazie ciała wypaliło mu się na siatkówkach. Przypomnił sobie jej zapach i wtedy pomyślał, że przecież tę samą woń wyczuł w sekretnym pokoju Moravii. Chika tam była. Zapach nie utrzymałby się długo nawet w małym, pozabawionym okien pomieszczeniu, co znaczyło, że Chika odwiedziła mieszkanie Moravii zaledwie na kilka godzin przed odkryciem klitki. Dlaczego? I, równie ważne, jak tam weszła? Od czasu wezwania policji apartament był pod stałym nadzorem wydziału do spraw zabójstw.

O trzeciej nad ranem przelotne opady śniegu przemieniły się w zimny, twardy śnieg z deszczem, pokrywający chodniki zdradliwie śliską warstwą. Wolf miał dość roboty; pragnął zobaczyć twarz Amandy oraz ogrzać ciało i kości — po półtorej doby na nogach czuł się tak, jakby już nigdy nie miał się rozgrzać.

Opuścił apartament Moravii i pojechał nie oznakowanym policyjnym wozem do mieszkania Amandy w Morningside Heights. W tym rejonie większość bezdomnych pochodziła z Karaibów i Afryki. Park zaśmiecany namiastki szop, po alejkach walały się krwawe świadectwa prymitywnych sposobów wywoływania duchów. Amanda mieszkała w tym niebezpiecznym Sąsiedztwie z takiego samego powodu, jak wszyscy nowojorczy: po prostu nie mogła pozwolić sobie na przeprowadzkę do lepszej części

miasta. A poza tym, co szybko przypomniała Wolfowi, tutaj miała duże mieszkanie z dwiema sypialniami. Podkreślała też, że mieszkanie jest bezpieczną twierdzą dzięki założonemu przez Wolfa policyjnemu zamkowi i zamykanym na kłódki stalowym kratom we wszystkich oknach. Wolf zastanawiał się niejedną raz, czy jej talent pedagogiczny miał coś wspólnego z realistycznym podejściem do rzeczywistości.

Śnieg z deszczem, fluorescencyjny w świetle neonów manhattańskiej nocy, uderzał w szybę jak wymachujący bezładnie rękoma szaleniec; wycieraczki niewiele mogły nań poradzić. Wolf wybrał numer Amandy. Czy już wróciła z przyjęcia? Nie sądził, by ją obudził, dzisiaj nie miała wykładów.

— To ja — powiedział, gdy usłyszał jej głos. — Jestem w drodze do miasta.

— W mieszkaniu jest bałagan. Jedźmy dokąś indziej.

— Może do mnie?

— Gdziekolwiek, byle nie tu.

Piętnaście minut później zatrzymał się przed jej domem. Wyłowił wzrokiem trzy czy cztery postacie skulone pod chylącymi się baldachimami — strzępami tektury nałożonymi na grzbiet dla ochrony przed zimnem i wilgocią. O ile mógł stwierdzić, wszyscy spali. Deszcz ze śniegiem tłukł o dach samochodu, aż dudniło mu w uszach.

W pewnej chwili dostrzegł ruch w holu budynku. Amanda otulona ciężkim płaszczem przeciwdeszczowym, omijając lub przeskakując śpiących, wydłużając krok, by nie wpaść do rynsztoku pełnego wartkiej wody, spieszyła w jego stronę.

Wolf, patrząc na nią, miał wrażenie, że coś jest nie w porządku. Serce podeszło mu do gardła na myśl o ewentualnym nieszczęściu. Jej chód — czy to był chód Amandy? — wydawał się znajomy, jednak w tym otoczeniu jakby nie na miejscu. Spojrzał na jej twarz, ale cienie rzucane przez latarnie sprawiały, że nie mógł rozróżnić rysów.

Przetarł oczy.

Jestem przepracowany — pomyślał — trochę mi odbija.

Pochylił się, by otworzyć drzwi, i nagle znalazł się twarzą w twarz z piękną Japonką, artystką Chiką.

Jej twarz była pełna pogardy, kiedy niemal niedbale podnosiła prawą rękę. Trzymała w niej pistolet z błękitnej stali, który Wolf widział

wcześniej. Jej usta — ich czerwień stała się czarna w świetle lamp — otworzyły się, jakby coś mówiła, ale może z powodu zamkniętego okna i hałasu deszczu nie mógł niczego usłyszeć. Potem lufa pistoletu bluznęła ogniem; hałas przetoczył się przez wnętrze samochodu niczym huk gromu.

— Nie! — krzyknął Wolf, gdy odłamki szkła wpadły do środka wozu. Siła uderzenia rzuciła nim o drzwi. W ustach poczuł smak krwi i żelaza. Potem zaczął się ból...

Wolf przebudził się. Usiadł i rozejrzał się; przez chwilę był zdezorientowany. Znajdował się we własnej sypialni. Serce waliło mu w piersiach i nadal odczuwał ból — ból ze snu — tam, gdzie kula weszła w ciało. Oszołomiony potarł to miejsce, by upewnić się, że jest cały i zdrowy.

Zapalił górne światło i zagapił się w deszcz tłukący o świetlik. Spływający w dół miedziany cień był jakby zawieszony w czasie — tak jak on, wraz z matką, między ojcem i dziadkiem.

Oczyrna wyobraźni zobaczył twarz tak wyraźnie, jak gdyby matka siedziała obok niego: bystre czarne oczy przysłonięte charakterystycznymi ciężkimi powiekami, grube wystające kości policzkowe, rzeźbiony nos, szczękę i szerokie usta, a także gęste ciemne włosy z pasemkami siwizny, spływające aż do pośladków, ozdobione maleńkimi turkusami i paciorkami z lapis lazuli, które zrobił dla niej Biały Luk. Każda zmarszczka zwiększała siłę wyrazu tego oblicza.

W pewien sposób matka była święta. Wśród swego ludu znana jako Zbieraczka Snów — gdy ktoś był smutny, zaniepokojony Czy załamany, przychodził do niej po pomoc.

Jednakże według Wolfa jej siła wynikała z tego, że na łonie własnej rodziny zachowywała się biernie, pozwalając, aby o wszystkim decydowali mężczyźni.

Położył się i zamknął oczy. Znowu śnił. W tym śnie przebudził się, usiadł, podszedł do szafy i odsunął na bok wiszące ubrania. Wyjął należący do dziadka łuk z rogu karibu.

Dziadek zrobił go w młodości, gdy miał nie więcej niż czternaście, piętnaście lat. Sporządzenie takiego łuku było bardzo trudnym zadaniem. W większości łuki Narodu zrobione były z drewna okręconego wysuszonymi ścięgniemy zwiędzonymi, sklejonymi substancją zwaną asfaltem. Wykonanie drewnianego łuku było stosunkowo proste, ale w łukach z rogu spoczywała prawdziwa moc i Naród cenił je nad wszystkie inne.

Wolf, ujmując łuk z rogu karibu i patrząc, jak pręży się nad jego głową, chłonał drzemiącą w nim siłę. Czuł jak pieśń życia narastała wokół niczym potężne brzmienie chóru...

Otworzył oczy i spojrzał na zegarek. Było tuż po północy. Deszcz zmienił się w śnieg z deszczem, wałący dziko w sześćdziesięcioletnie tafle szkła świetlika. Przedzierał się przez nie nikły niebieskawy blask, kojarzący się ze szkodliwym promieniowaniem ze zrujnowanej fabryki.

Przyłożył ręce do twarzy. Puls nadal miał przyspieszony. Pomyślał: Jezu, co się ze mną dzieje?! Potem przypomniał sobie o Amandzie. Czy nic się jej nie stało?

— A dlaczego miałyby się coś stać? — napytał sam siebie.

Narastał w nim jednak irracjonalny strach, być może będący wynikiem pierwszego snu.

Narzucił ubranie i pospieszył do drzwi. Dopiero w samochodzie przyszło mu na myśl, że powinien był zadzwonić do Amandy z domu. Nie myślał jasno, jakby nadal był uwikłany w pęta koszmaru.

Woda spływała dzikimi strumieniami po przedniej szybie i wydawało się, że wszystkie światła pędzą prosto na niego; postanowił je ignorować. Musiał jechać objazdem przez Amsterdam Avenue, ponieważ między Siedemdziesiątą Trzecią a Siedemdziesiątą Dziewiątą ciągnęła się długa wyrwa — w zeszłym tygodniu zwierzchnia, przerdzewiała rury kanalizacyjne, nieczystości i ogromne pęki elektrycznych kabli zapadły się do tuneli metra; inżynierowie mówili, że było to efektem wieku, stałych wibracji i rozmiaru ruchu nie przewidzianego przez ojców miasta przed siedemdziesięcioma laty. Ktoś wypisał sprayem wzdłuż plastikowej taśmy okalającej teren wypadku: ZDYCHAJCIE, SZUMOWINY!

Na Broadwayu pod markizami zaciemnionych sklepów snuły się grupki Senegalczyków, którzy z uporem oferowali pseudopamiętki z rodzinnego kraju przemykającym obok, obojętnym na wszystko, zgarbionym w ulewie przechodniom.

Wolf wystukał numer Amandy.

— To ja — powiedział, gdy podniosła słuchawkę. — U ciebie wszystko w porządku?

— Jasne. A o co chodzi? — Na linii były takie szумы, że nie potrafił stwierdzić, czy ją przebudził ani w jakim jest nastroju.

- Jadę do ciebie.

- O Boże, właśnie wróciłam do domu i w mieszkaniu jest straszny bałagan. Możemy iść dokądś indziej?

Wolfowi zaschło w ustach; chciał przełknąć ślinę, ale coś utkwilo mu w gardle. Wyglądało na to, że przeżywa sen na jawie.

— Skąd... — Urwał, słysząc jakiś hałas, potem rozległ się trzask i połączenie zostało przerwane. — Co mówiłaś? Amando?

Wolf ścisnął słuchawkę tak mocno, że aż mięśnie mu nabrzęziały. Czy usłyszał śmiech?

— Amando?

W aparacie była cisza. Odłożył słuchawkę i wcisnął klawisz, który powodował połączenie z poprzednio wybranym numerem. Zajęte.

Jezu, co usłyszał tuż przed przerwaniem rozmowy?! Jego sen zrobił z niego paranoika. Zaczął zastanawiać się, czy na drugim końcu linii rozbrzmiał głos kogoś innego. Czy, biorąc pod uwagę zakłócenia, mógł być pewien, że to Amanda z nim rozmawiała? „Niech pan to dobrze przemyśli” — ostrzegał go Shipley. „Jeżeli uczyni pan jeden krok dalej w tym dochodzeniu, nie pozwolę panu zawrócić. Załatwię pana tak, jak załatwili Moravię”. Dobry Boże!

Wcisnął gaz do dechy i samochód skoczył do przodu; szarpał kierownicą, klucząc wśród innych aut. Deszcz ze śniegiem grzmocił z prawie wrogą furią. Wycieraczki pracowały jak oszalałe, ale i tak, by widzieć co nieco, musiał nieomal przykleić nos do szyby.

Zahamował z piskiem opon przed budynkiem w Morningside Heights i wyskoczył z samochodu. Biegł w bryzgach lodowatej wody; przeskakując przez rynsztok przemoczył sobie buty. W holu siedziała młoda kobieta z bliźniętami. Tuliła je do piersi w obronie przed zimnem i wilgocią. Dzieci spały, ale ona nie. Jej oczy, stare i obojętne, przyglądały się, jak Wolf wpadł do środka, otworzył zamek wewnętrznych drzwi i przemknął przez skąpo oświetlony hol.

Mieszkanie Amandy znajdowało się na trzecim piętrze. Jak w większości takich starych budynków, winda również była stara i powolna; Wolf rzucił się ku schodom. Pokonywał po trzy stopnie naraz. Czuł się tak, jakby tracił kontakt z rzeczywistością. Nawet pędząc po schodach, widział pełną krwi i bólu scenę ze swego snu, scenę, która stawała się coraz prawdziwsza, aż miał wrażenie, że widzi zmontowany film. To, co czuł i widział naprawdę, złało się w końcu z tym, co przeżywał w wyobraźni. Nieświadomie zaczął

masować bolące miejsce, gdzie we śnie weszła kula. Wyciągnął służbowy rewolwer.

Drzwi do mieszkania Amandy były lekko uchylone. Wolf poczuł, że ogarnia go ziąb. Pchnął je czubkami palców. Gdy szczelina poszerzyła się, podkuilił nogi i wtoczył się do długiego korytarza. Zatrzymał się pod ścianą wyłożoną boazerią. Zobaczył zabezpieczenie zamka oparte o ścianę w pobliżu otwartych drzwi.

— Amanda?

— Wolf. Zostawiłam drzwi otwarte. Jestem prawie gotowa.

Wolf wyprostował się. Był cały spocony.

Weź się w garść — pomyślał. — To nie jest twój sen.

Schował pistolet i zapytał:

— Gdzie jesteś? Dlaczego się rozłączyłaś?

— Zostaliśmy rozłączeni. To te cholerne telefony komórkowe; ledwo cię rozumiałam. Nie słyszałeś, jak mówiłam do widzenia?

— Nie. — W korytarzu panował mrok, ale w bawialni paliło się światło. Nie zapytała, dlaczego nie zadzwonił z dołu.

Wolf przeskoczył otomanę, przeciął bawialnię z prędkością błyskawicy, pchnął drzwi sypialni Amandy i zacharczał mimowolnie — z bólu, szoku, gniewu.

Na ścianach i podłodze była krew; jej kałuża zebrała się na łóżku, na którym leżała Amanda, naga, z rozpostartymi nogami i rękoma. Patrzyła nie widzącymi oczyma w sufit; na szyi widniała czarnoczerwona rana, z której wydobywały się krew i powietrze.

Wolf przyłożył dłoń do jej serca, dwa palce do tętnicy szyjnej. Były to próżne gesty—wszędzie było tyle krwi—ale konieczne, ponieważ to była Amanda, nie jakaś nieznana ofiara, nie kolejny przypadek, do którego został wezwany.

— Zostaliśmy rozłączeni; to te cholerne telefony komórkowe; ledwo cię rozumiałam. Nie słyszałeś, jak mówiłam do widzenia?

Wolf podskoczył na dźwięk jej głosu. Absurdalne, ale nie mógł powstrzymać się od spojrzenia na nieruchomą, pustą twarz. Potem zobaczył kasetowy magnetofon wetknięty w prześcieradło obok głowy. Krew wsączyła się do mechanizmu.

— Zostaliśmy rozłączeni. To te cholerne telefony komórkowe; ledwo cię rozumiałam. Nie słyszałeś, jak mówiłam do widzenia?

Wolf zaklął i wyłączył go. Spojrzał w górę i zobaczył otwarte okno; stalowe kraty były rozsunięte i kołysały się na wietrze. Za nimi znajdowały

się schody przeciwpożarowe. Deszcz bębnił po parapecie i zaczął spływać na podłogę, co znaczyło, że okno zostało otwarte zaledwie kilka chwil wcześniej.

Wolf wyszarpnął pistolet, przeskoczył nad łóżkiem i wyszedł za okno. Ściana wody nieomal rzuciła go na kolana. Odruchowo zerknął w dół, ale ani na drabinie, ani na ulicy nie było żywego ducha. Podniósł rękę, by osłonić oczy i spojrzął w górę. Cień... ruch? Wolf rzucił się w tę stronę, pokonując po dwa szczeble naraz.

W górę. Nad sobą dostrzegł cień, przelewający się nad krawędzią dachu. Suma? Chika? Nie było czasu na zastanawianie się. Widok bladego ciała Amandy — jej krwi, jej ulatującego życia — był niczym nóż między zębami. Żal przerodził się w gniew, podsycany uczuciem frustracji, że on, mimo swych umiejętności, mimo wyostrzonego instynktu, nie był w stanie jej ochronić.

Przedostał się przez niski murek na śliską, smołowaną powierzchnię dachu. Dostrzegł zbiornik wodny, prostokątne wybrzuszenie na szczycie szybku windy, kominy, wyloty wentylatorów, świetlik podobny do tego, jaki znajdował się w jego mieszkaniu, podstację elektryczną, do której można były wejść tylko z wnętrza budynku. Nie czuł żadnej aury, ale wiedział, że gdzieś w tej wielkomijskiej dżungli kryje się zabójca Amandy.

Śnieg z deszczem walił dalej z taką furją, że z ledwością mógł oddychać. Pełzł do przodu, potem zatrzymał się i zastanowił. Wrócił na skraj dachu i rozpoczął poszukiwania wzdłuż jego obwodu. Czynił to z dwóch powodów. Po pierwsze, chciał zaskoczyć zabójcę, który mógł oczekiwać, że nadejdzie od strony wierzchołka drabiny przeciwpożarowej. Po drugie, chciał poznać topografię dachu. Gdyby doszło do konfrontacji, znałby kryjówki i mógłby odciąć mordercy drogę ucieczki.

Pokonał trzy czwarte obwodu dachu, gdy uchwycił zmianę w zarysie jednej z nadbudówek. Zmiana była tak minimalna, że prawie umknęła jego uwadze. Odwrócił na chwilę oczy, po czym spojrzął raz jeszcze.

Jest! Mam cię! — pomyślał. — Ale kto to, Suma czy Chika?

Ruszył w stronę cienia, który oderwał się od ściany nadbudówki i rzucił się ku niemu tak szybko, że nawet nie zdążył wycelować. Pociągnął za spust w chwili zderzenia.

Wolf upadł na kolano i zamachnął się lufą pistoletu. Coś uderzyło w jego przeponę tuż poniżej mostka i rzuciło nim w tył. Zatrzymał się na

ceglanym murku na skraju dachu. Cień natychmiast znalazł się obok. Wolf zwinął się i potoczył wzdłuż krawędzi dachu.

Cień podążył za nim. Wolf usiadł, mierząc z pistoletu tam, gdzie powinien się on znajdować, ale znalazł jedynie pusty dach. Potem otrzymał cios z tyłu i stęknął, gdy ponownie zderzył się z murkiem. W ustach czuł smak żelaza i krwi. Po chwili został uniesiony w powietrze i walczył, by się oswobodzić. Był tak blisko krawędzi, że widział leżącą pięć pięter niżej ulicę.

Udało mu się zewrzeć z przeciwnikiem, założył dźwignię, ale wtedy ku swemu zdumieniu odkrył, że działa ona przeciwko niemu. Poczul, że jest wypychany za murek. Na widok połyskującego złowrogo chodnika w dole zaczął sapać z wysiłku i strachu. Uderzył raz, drugi, jego ciosy powaliłyby normalnego człowieka na kolana. W tym wypadku nie zadziałały. Wolf poleciał w noc.

Ulica wybiegła mu na spotkanie. Rozpaczliwym wysiłkiem wyciągnął ręce i poczul szarpnięcie, gdy dłoń zacisnęła się na mokrym żelazie. Stęknął, zawisnąwszy całym ciężarem na lewej ręce, puścił pistolet, zacisnął palce prawej na metalu, i nacisk nieco zelżał. Wisiał na górnej platformie schodów awaryjnych. Oddech palił go w płucach, w oczach mu się ćmiło. Bał się, że zemdleje. Potrząsnął głową, by ją oczyścić i wtedy zobaczył, że czarny kształt przechodzi przez murek i schodzi do niego.

Nadludzkiem wysiłkiem podciągnął się raz, drugi, czubki palców zsuwały się z oblodzonego żelaza, jeszcze raz. Udało się. Zasapany i oszołomiony przykucnął na platformie. Ręce mu krwawiły, lecz teraz nie było to ważne. Cień był tuż obok i podciął mu nogi, gdy próbował wstać.

Wolf upadł ciężko na podest. Zignorował ból w plecach i ramionach i zamachnął się. Poczul, że cios został odebrany. Przeciwnik rzucił się na niego, by zabić. Wolf zmobilizował resztę sił, złapał go za lewy nadgarstek, szarpnął twardo, w swoją stronę i w dół, potem w bok, by rozped cienia, zwiększony przez użycie jego własnej siły, zadziałał przeciwko niemu. Drugą ręką pociągnął łokieć w górę; przeciwnik walnął górną częścią ciała w żelazne pręty platformy.

Wolf wstał szybko i popędził w górę. Przez murek wydostał się na dach. Pośliznęła się na mokrej powierzchni. Ogarniało go szczególne osłabienie, które sprawiało, że chciał usiąść i zamknąć oczy. Był to szok. Zwalczył

go. Przepływająca przez organizm adrenalina przytępiła ból, ale jednocześnie mąciła jasność myślenia i koordynację ruchów. Byłoby lepiej, gdyby stracił przytomność. Skoncentrował się.

Raptem poczuł coś gdzieś w głębi umysłu, odwrócił się i zobaczył czekający cień. Cień złapał go, zrzucił na smołowany dach i przykucnął. Wolf wyteżał wzrok, by rozpoznać jego naturę: duży czy mały? Suma czy Chika? Nie potrafił powiedzieć; nagle powietrze wypełniła nienaturalna ciemność. Ciemność, niewiarygodne, stała się barierą, przez którą nie dostawał się do niego deszcz ze śniegiem. Za chwilę lampy uliczne zamrugwały i zgasły, a w końcu zaś jakby zniknęło i powietrze. Miał niesamowite wrażenie, że jest zawieszony w czasie i przestrzeni. Otaczał go chaos wymazujący wszelkie ślady pieśni świata, której nauczył go Biały Łuk.

Prawie się poddał. Był w szoku, który rozmywał myśli, groził sparaliżowaniem koordynacji ruchu i wyłączeniem wszystkich funkcji organizmu. Ale wtedy na noc, straszliwą ulewę i odrętwienie mrozące go do szpiku nałożyło się wspomnienie twarzy Amandy, obojętnej i bez wyrazu, oraz zapachu krwi unoszącego się, by go pochłonąć. Miał zbyt dużo do stracenia, aby pozwolić tak się unicestwić, postanowił więc walczyć.

Wolf zagryzł zęby i wepchnął ręce w nienaturalną ciemność. Szamotał się na osłep w pozbawionej powietrza przestrzeni, dopóki nie uchwycił cienia. Szarpnął gwałtownie i jednocześnie rzucił się głową do przodu. Uderzył czołem w twarz przeciwnika. Usłyszał coś, ale może to tylko ulewa dudniła o smołę, cegłę, beton i metal.

Szarpnął raz jeszcze, ale powtórzenie ruchu —jakiegokolwiek—wobec tego wroga było błędem. Poczuł palący ból, zobaczył czarny but napierający na udo. But naciskał dalej, próbując znaleźć kość, by ją zmiażdżyć.

Wolf wrzasnął, dwa razy uderzył łokciem, zadał cios krawędzią dłoni, zamierzając unieszkodliwić i okaleczyć przeciwnika. Nacisk buta zelżał, cień, stęknął ciężko i wycofał się.

Ruszył za nim, gnany morderczą wściekłością; ból spowodowany śmiercią Amandy tłukł weń jak ciemne skrzydła. Dostrzegł okazję i chciał ją wykorzystać, lecz gdy zbliżył się do przeciwnika, musiał zwolnić. Świat stał się niewyraźny, jak gdyby oglądał go spod wody. Oddychał z trudnością, puls miał przyspieszony. Wokoło gęstniała ciemność: lepka, żyjąca istota, obdarzona kształtem, formą i ciężarem nie do wytrzymania.

Potem pojawił się błękitny ogień. Był przerażający, a jednak w jakiś nadnaturalny sposób znajomy, jak gdyby Wolf w przelocie ujrzał stary, dawno zapomniany widok.

Ogień zaczął go pochłaniać. Wolf wspomniał twarz Arqulla. Nie zatrzymując się, przycisnął ręce do własnej. W tej samej chwili znalazł się w powietrzu, leciał wysoko w noc — cień, wykorzystując przeciw niemu jego własny pęd, poderwał go w górę.

W oczach Wolfa rozbłysło światło, które zaraz przygasło; deszcz ze śniegiem palił go w twarz, lecz przestał; wiatr wciskał mu się w uszy, a potem była już tylko cisza.

Wybuch dźwięku i ruchu.

Uderzył w świetlik lewym ramieniem i biodrem, przełamał brudne tafle szkła w jednej miażdżącej chwili; długi, ostry odłamek o nierównych brzegach, niczym strzała w łuku ramy — rozdarł mu lewą nogę. Potem wirował w ciemności i świetle, życie odpadało od niego, złe duchy syczały mu w uszach, Amanda szeptała: „Zostaliśmy rozłączeni. To te cholerne telefony komórkowe; ledwo cię rozumiałam. Nie słyszałeś, jak mówiłam do widzenia?” Wolf szeptał jej imię, łzy ciekły mu z oczu, gdy pędził w dół, świadomość i nieświadomość zlewały się w jedno, wspomnienia rwały się, myśli rozpraszały, aż w końcu ból zaćmił wszystko, nawet jego własny krzyk.

WOLF

ELK BASIN-LIGHTNING RIDGE 1957-1964

Ojciec Wolfa, Peter Matheson, również należał do elitarnego męskiego klubu „Texas Rangers”. Był rozkochany w tej formacji i popadł w głęboką depresję, gdy w 1935 została ona zdegradowana do rangi pospolitego patrolu drogowego, którego członkowie, przywdziani w oznaki dawnej władzy, paradowali w czasie stanowych uroczystości jak tresowane psy. Ale czy tylko to spowodowało go do porzucenia żony i dziecka? Wolf wiele lat później stwierdził, że Peter Matheson, *macho* dumny niczym matador, pogrążył się w *konjo*. Tego japońskiego słowa nauczył go mistrz aikido, a oznaczało ono zdecydowanie masochistyczną obsesję na punkcie fizycznego doświadczania trudu i bólu. „Konjo — stwierdził mistrz — nie można osiągnąć bez zdławienia najbardziej wewnętrznych emocji”. I w ten sposób Wolf, z początku nawet tego nie rozumiejąc, odkrył kluczowy rys w osobowości swego ojca.

Peter Matheson był rangerem przez dwanaście lat. Próbował walczyć z czasem i nowoczesną epoką niszczącą tę ostatnią elitarną jednostkę ludzi prawa. Częstokroć opowiadał o ich dumnych narodzinach przed wiekiem; rangersi w czasie rewolucji stanowej byli obrońcami rubieży Republiki Teksaskiej. Później toczyli zawzięte bitwy z Komańczami oraz wyróżnili się męstwem w czasie wojny meksykańskiej. Peter Matheson oczywiście nie robił nic takiego, aczkolwiek zdarzało się, że ścigał i stawiał przed

obliczem sprawiedliwości meksykańskich *banditos* i innych wyjętych spod prawa. Przyłączył się do rangersów, ponieważ byli formacją unikatową w annałach amerykańskich ludzi prawa, nigdy nie musieli nosić mundurów ani salutować oficerom, nie miewali ćwiczeń i nie odpowiadali przed wyższą władzą. Przynajmniej tak było w dniach ich największej chwały, które ojciec Wolfa próbował przywrócić na własną rękę przez ponad dziesięć lat. Przez wielu uważany był za bohatera, ponadprzeciętną jednostkę szanowaną z powodu cnót i osobistej filozofii, którą Wolf później zidentyfikował jako *konjo* — zmierzanie do celu bez względu na cierpienia i męki zadawane samemu sobie.

Ci, którzy nie znali go dobrze, dziwili się, dlaczego Peter Matheson poślubił amerykańską Indiankę, ale matka Wolfa, Otwarta Ręka, była nieodrodnym potomkiem swych przodków Szoszonów Rzeki Wiatr, a Petera pociągał każdy aspekt ich życia. Otwarta Ręka była na tyle realistką, że potrafiła pogodzić się z inwazją nowoczesności, z nieuniknionym ujarzmianiem dzikich terenów Zachodu przez hordy imigrantów ciągnących z północno-wschodnich stanów. I może dlatego wyszła za niego, białego człowieka, teksaskiego rangersa. Potrafiła wyczuć siłę nowego świata, a nie chciała osłabnąć, rozpić się, zgorzknieć i zestarzeć przed czasem w jakimś podłym rezerwacie. Wolf kiedyś podsłuchał, jak mówiła Białemu Łukowi, że dostrzegła przyszłość — nadejście nowoczesnego świata — w przenikliwych błękitnych oczach męża, wyczuła, jak emanuje ona z jego ostrych, męskich rysów. Biały Łuk miał jednak własne zdanie na temat Petera Mathesona.

Wolf pamiętał, że pewnego wieczora zapytał ojca, czy prawdą jest to, co usłyszał w szkole: że w Teksasie rangersi pisali prawo.

— Nie. — Peter Matheson, wysoki i chudy, spalony słońcem i wiatrem, potężny tak ciałem, jak duchem, popatrzył surowo na syna. — My byliśmy prawem.

Ta arogancka odpowiedź tak doskonale zilustrowała podejście Petera Mathesona do przeszłości, że Wolf nigdy tego nie zapomniał. Była również powodem, dla którego Biały Łuk nie znosił tego człowieka.

— Człowiek nie jest Prawem. Prawo jest Światem — rzekł dziadek Wolfa niedługo potem — i głosami Świata, Duchami, na które trzeba zważać, chociaż często trudno usłyszeć Ich słowa.

Mądrość tego stwierdzenia nigdy nie stała się bardziej oczywista niż wtedy, gdy pewnego dnia Peter Matheson wrócił do domu blady i zadyszany.

Lekceważącym ruchem ręki przerwał pytania zaniepokojonej żony, aż w końcu zemdlął przy kolacji. Otwarta Ręka, zamiast wzywać lekarza, zawołała swego ojca.

Biały Łuk spojrzął na Petera Mathesona i kazał córce rozpostrzeć jeden z ręcznie tkanych koców. Kiedy to zrobiła, wyjął kawałki tkaniny ufarbowane na barwy czterech stron świata. Położył je w odpowiednich rogach koca, następnie rozcierał w palcach świeżą szalwią tak, że pokruszone liście opadały na środek, a po pokoju rozszedł się zapach eterycznych olejków.

Biały Łuk, który, jak mówiono, miał moc większą nawet od Czarnego Łosia czy Kpiącego Kruka, był wielkim szamanem Szoszonów Rzeki Wiatr. W przeciwieństwie do innych plemiennych szamanów jego filozofia nie ograniczała się do rodzimego szczepu, ale była raczej syntezą mitów, filozofii i etyki innych indiańskich plemion. W swoim czasie dużo podróżował i mówiono, że był przyjmowany nawet przez tę wspólnoty Narodu, które normalnie były wrogami Szoszonów Rzeki Wiatr oraz ich kuzynów, dzikich i porywczych Komanczów z zachodniego Teksasu.

Wolf i Otwarta Ręka ułożyli nieprzytomnego Petera Mathesona na kocu. Biały Łuk ukląkł obok i wyjął dwa jastrzębie pióra. Przyłożył jedno do gardła pacjenta, a drugie do jego podbrzusza. Potem zaczął przesuwać je po całym tułowi. Przez cały czas śpiewał monotonnie głosem tak niskim, że Wolf nie słyszał słów.

Nagle jedno pióro zatrzymało się nad brzuchem Petera Mathesona; po chwili do pierwszego dołączyło drugie; ich czubki skrzyżowały się.

— Trucizna jest w jego żołądku — rzekł Biały Łuk. — Szybko, on umiera.

Płynnym indygo nakreślił koło tam, gdzie skrzyżowały się pióra, po czym w kręgu położył gładki kamień. Powietrze w pokoju zaczęło wibrować w takt jego pieśni. Niebawem kamień zaczął emitować ciepło i wkrótce rozżarzył się jak płonący węgiel.

Biały Łuk kazał Otwartej Ręce odciągnąć głowę Petera do tyłu i otworzyć mu usta. Kawalkiem wysuszonego jęzora bizona przytrzymał jego język, a potem wyjął długi, wydrążony kolec, owinięty przez środek ufarbowanym na głęboki błękit ścięgnem. Wsunął jeden koniec w usta Petera i zaczął wpychać go ostrożnie w dół przełyku. Przyłożył usta do drugiego końca i ssał, póki kolec się nie napełnił, wtedy

wyciągnął go i pozwolił, by zawartość spłynęła na przyniesiony przez córkę talerz. Powtarzał tę czynność siedem razy, dopóki nie zadowolili go woń zawartości kolca. Zabrał pióra i skłonił głowę, nucąc kolejną monotonną pieśń. Na koniec usunął zimny już kamień. Na brzuchu pozostał ślad podobny do siniaka, który Peter Matheson miał nosić do końca życia.

Biały Łuk usiadł; wyglądał na zmęczonego.

— Teraz śpi — powiedział. — Trucizna zniknęła; trucizna białego człowieka, która była w jedzeniu i której, jak słyszałem, wiele razy używano przeciwko Narodowi. — Nie komentował dalej. — Kiedy się obudzi, znów będzie zdrowy.

Otwarta Ręka z wdzięcznością schyliła głowę. Wtedy Biały Łuk odwrócił się do Wolfa i rzekł cicho:

— Duchy Świata przybywają na wezwanie. To jest Prawo. Teraz widziałeś je na własne oczy...

Dziadek był wielce zagadkowy, tak bardzo, że Wolf w końcu doszedł do wniosku, iż Biały Łuk świadomie otaczał się aurą tajemnicy. Na początku był przekonany, że dziadek lubi pozować na takiego człowieka, ale później zaczął się zastanawiać, czy jego upór, by nie zaprezentować wnukowi tych cech swojej osobowości, nie wynikał z głębszych, mniej egoistycznych pobudek.

Pewnego dnia starzec powiedział:

— Przez jakiś czas będziemy razem. Twoja matka wyraziła zgodę. — Nigdy nie mówił o ojcu Wolfa, który jako człowiek niewierzący dla niego nie istniał. — Odjedziemy, ale najpierw coś ci opowiem. Kiedyś żył sobie mały chłopiec, którego jedynymi przyjaciółmi były rzeki i góry, drzewa i niebo. Czuł się samotny i tęsknił za towarzystwem. Pewnego dnia, gdy zbierał orzechy i jagody w krzakach na skraju równiny, na której mieszkał, usłyszał krzyk. Popędził w kierunku dźwięku i znalazł jastrzębia leżącego w kurzu. Jastrząb miał złamane skrzydło. Chłopiec przykucnął obok ptaka i spróbował go dotknąć, ale jastrząb nieomal oddziobał mu palec. Wtedy chłopiec przemówił do niego i w końcu jastrząb zgodził się na zabranie go z palącego słońca. Pod osłoną drzewa chłopiec pomógł ptakowi, dał mu najpierw wody, potem kilka jagód, których mięsożerny jastrząb co prawda nie lubił, ale pojadł trochę. Później chłopiec założył deszczułkę na złamane skrzydło... Po pewnym czasie jastrząb wyzdrowiał

i wkrótce, ponieważ bardziej pragnął przygody niż jego towarzysz, wyprowadził chłopca z równin dzieciństwa i powiodł przez doliny tak suche, że ich dno było zbitą solą, w górę brunatnoczerwonego podnóża gór, potem wzdłuż stromo wznoszącego się grzbietu. Była to góra, którą chłopiec widywał, gdy powietrze było dość przejrzyste, góra, która tworzyła tło jego życia, góra, o której czasami śnił, ale nigdy nie ośmielał się marzyć, że kiedyś ją zdobędzie... A teraz zbliżał się do szczytu i odczuwał wielkie uniesienie, jak gdyby przybycie na górę było darem jastrzębia za uratowania życia. Na szczycie góry chłopiec zobaczył drzewo, sękatę, poskręcane przez wiatr i bezlitosne deszcze, stare, ale silne. Podszedł do pnia i objął go, jakby witał się z jakimś dawno odeszłym przodkiem. Jastrząb sfrunął z ramienia chłopca i przysiadł na najwyższej gałęzi. Wyciągnął szyję i patrzył to w tę, to w tamtą stronę. Potem krzyknął przenikliwie, jak gdyby na pożegnanie, i wystrzelił w czyste błękitne niebo... Chłopiec był nieprzytomny z radości, że znalazł się na szczycie owej góry, ale odepchnął się od drzewa i, przysłoniwszy oczy obserwował lot jastrzębia. Miał doskonały wzrok, więc przyglądał się, jak ptak wznosił się spiralą coraz wyżej i wyżej, ponad koronę drzewa. Jastrząb wznosił się pionowo, jakby w tunelu widocznym jedynie dla niego. Chłopiec patrzył, jak jastrząb zmniejsza się stopniowo i sądził, że w pewnym momencie przebije niebo. Ptak w końcu zniknął i w tej samej chwili chłopiec zobaczył spływające z wysoka dwa pióra — jastrzębie pióra — które zatknął w swe gęste czarne włosy. I wiele lat później, gdy zamieszkał u podnóża góry, gdy ożenił się i spłodził dzieci, opowiedział rodzinie o jastrzębiu oraz użył jego świętych piór w ceremoniach konsekracji Nieba i Ziemi oraz istniejącego między nimi ścisłego związku.

Biały Łuk wpatrywał się w Wolfa czarnymi oczyma kruka: t*D przeszywające spojrzenie było jednakże pozbawione pawiej dumy, którą tak bardzo pogardzał.

— Teraz wyruszamy. Jesteś gotów?

Gotów na co?

Wolf nie wiedział, ale był przerażony: czarodziejska aura starca, jego zagadkowe stwierdzenia, przemożne poczucie, że coś — Co? — go czeka. Starzec nie chciał mu niczego powiedzieć, a Wolf nie potrafił dojść do tego sam.

Jednakże nigdy nie przyszłoby mu do głowy nie iść. Czegokolwiek żądał dziadek, czynił to bez namysłu i bez pytania. To ślepe posłuszeństwo,

którego się nauczył jak języka swego ludu w łonie matki i wyszał razem z jej mlekiem, coraz bardziej rozwścieczało ojca. Żądał on od dorastającego syna absolutnej lojalności.

Brnąc w głębokim śniegu opuścili Elk Basin. Jechali konno, co było ulubionym sposobem podróżowania dziadka. Szoszoni Rzeki Wiatr, jak powiedział kiedyś Wolfowi, należeli do pierwszych szczepów, które zrozumiały naturę konia i zaczęły go wykorzystywać. Było bardzo zimno, Wolf otulił się w skóry oraz koce utkane przez matkę — Biały Łuk w swej obecności nie pozwalał wnukowi nosić nowoczesnych ubrań — ale starzec, najwyraźniej odporny na mróz, ubrany był jedynie w ozdobioną paciorkami letnią koszulę i spodnie z miękkiej, wyprawionej przez siebie jeleniej skóry. Na nogach miał mokasy o podeszwach z surowej skóry, pięknie ozdobione paciorkami z kolorowego szkła i emaliowanego metalu.

Spowici błękitnawym zmierzchem rozbili obóz w bezludnej okolicy słonej równiny, na której wycie bezlitosnego wichru niesło się na mile we wszystkich kierunkach. Biały Łuk wybrał miejsce pod osłoną brzegu skutej lodem rzeki Sevier. Znajdowali się niedaleko jej ujścia, więc Wolf mógł zobaczyć słone jezioro, do którego wpadała.

— Jesteś szczęśliwy — powiedział dziadek, gdy ustawili tipi wymalowane w dziwne symbole, które Wolfowi przypominały tarcze wojenne. — Kiedy ja byłem w twoim wieku, cierpiałem na wielką chorobę. — A potem Biały Łuk opisał, jak chorował na epilepsję. — Ataki były bardzo ciężkie; przez kilka dni nie byłem do niczego zdolny. Spałem jak zabity, a do moich snów stopniowo zakradały się duchy żyjących wokół mnie stworzeń: bizona, wilka, niedźwiedzia, jastrzębia. Zrozumienie, że były one duchami zabitych zwierząt i zrozumienie ich przesłania, że zostałem wybrany, by zostać szamanem, zabrało mi dużo czasu.

— „Jak to możliwe?” — zapytałem te duchy. „Jestem chory”. A one odpowiedziały: „Jako szaman będziesz leczył choroby. Zanim do tego dojdzie, musisz zrozumieć ich naturę”. Potem — mówił Biały Łuk — obudziłem się i wiedziałem, że muszę nauczyć się, jak wyleczyć własną chorobę, ponieważ tylko w ten sposób mogłem nauczyć się leczyć inne.

Wolf zastanawiał się, jak, u licha, dziadek zdołał to zrobić, gdy starzec wyciągnął łuk z długiej pochwy z nakrapianej krowiej skóry. Łuk zrobiony był z jakiegoś rogu czy kości; owijające go ścięgna przez zanurzenie w wywarze z roślin zyskały głęboki, błękitny kolor. Końce łuku zdobiły

pióra jastrzębia, a z jednego zwiślał jeszcze rzemień, na którym zaczepiony był szpon tego ptaka.

— Ten łuk sporządzony jest z rogów karibu — rzekł starzec, sadowiąc się wygodnie. — W takiej broni spoczywa moc, co, nie wątpię, zostało ci powiedziane. Ale teraz ja wyznam ci pewien sekret. Moc pochodzi stąd — uderzył się w piersi na wysokości serca — a nie, jak wielu wierzy, z samych rogów. W rzeczywistości rogi służą mocy jedynie za magazyn. Rozumiesz?

Wolf przytaknął; zbyt się bał, by przyznać, że nie rozumie. Jaka moc? Moc nie była namacalna i to był problem; nie potrafił pojąć, jak w konkretnym, realnym przedmiocie może kryć się coś takiego.

Dziadek uśmiechnął się, jakby wiedział, co dzieje się w myślach chłopca — ale czyż to nie było niemożliwe?

— Przedmioty otaczane czcią, takie jak łuki z rogów, są wielce użyteczne — mówił dalej starzec. — Służą również jako mistyczne znaki, talizmany, po których można rozpoznać czyjąś moc. — Widząc wyraz twarzy wnuka, pochylił się ku niemu. — Pomyśl o lustrze, Wolfie. Jak mógłbyś rozpoznać siebie bez spoglądania w nie? Z fotografii? Ale skąd byś wiedział, że to ty? Nie, odbicie jest twoim drogowskazem, twoim znakiem.

Kilka godzin później, gdy po pokrępieniu się suszoną wołowiną i pieczoną kukurydzą ulżyli sobie w pobliskim zagłębieniu i byli gotowi do udania się na spoczynek, Biały Łuk wrócił do tematu.

— Łuk — oto jak się uzdrowiłem. — W świetle ognia jego pobrużdżona zmarszczkami twarz była ciemna i szorstka jak skóry, które starannie wyprawiał. — Sporządzając go znalazłem siebie: odkryłem swą moc i uzdrowiłem się. Pewnej nocy we śnie przyszedł do mnie karibu, a ja następnego ranka ruszyłem w drogę. Poszukiwania zajęły mi ponad tydzień, ale kiedy znalazłem trop, wiedziałem, że już go nie zgubię. Prawdę mówiąc, byłem pewien, że karibu nie będzie uciekać. Przecież to jego duch mnie wezwał. Znalazłem się już daleko na północy; tam, skąd pochodzimy, karibu rzadko się spotyka. Idąc za nim doszedłem do leśnej polany. I zobaczyłem go. W porównaniu ze swymi krewniakami był olbrzymi; potężne rogi zakrzywione miał niczym sierp białego księżyca. Zwierzę odwróciło wielką głowę, zobaczyło mnie i potrząsnęło rogami. Zobaczyłem, że jest gotów je zrzucić. To, że został do mnie przysłany,

było równie oczywiste, jak to, że mogłem wziąć jego rogi i zrobić z nich mój biały łuk.

Starzec siedział ze skrzyżowanymi nogami, paląc długą kościaną fajkę. Łażącemu obok, zawiniętemu w koźle skóry i koce Wolfowi podobał się aromatyczny zapach tytoniu oraz błękitny dym, w którego kłębach głowa dziadka wyglądała jak góra spowita przez chmury. Ogarniał go sen. Słowa starego człowieka wypowiedane w monotonnym języku Szoszonów Rzeki Wiatr działały nań jak kołysanka.

— Tak się złożyło, że mój ojciec potrafił robić wspaniałe łuki i zaznajomił mnie z tą sztuką, zanim jeszcze nauczyłem się mówić pełnymi zdaniami. Wiedziałem, że czynnikiem decydującym jest nie tyle cięcie rogów, ale wygotowanie wewnętrzznego rdzenia. Skruszały rdzeń mógłby spowodować złamanie łuku w czasie napinania. Wiedziałem również, że tylko trwałe gorąco może nadać rogom odpowiedni kształt.... Przyczyna tego, że tak mało ludzi umie wyrabiać łuki z rogów, jest prosta. Gotowanie rogów w wodzie pozbawia je naturalnego kleju i żelatyny, dzięki którym są one giętkie. Mój ojciec, by nie utracił tej właściwości, dodawał do wody mieszanki z ziół. Ja jednakże ani nie miałem tej mieszanki, ani nie wiedziałem, z czego się składa. Byłem sam, nie miałem nikogo do pomocy. A jednak zrobiłem ten łuk.

Odczekał, aż oczy chłopca otworzyły się znowu i Wolf zapytał:

— Ale jak to zrobiłeś?

— Dzięki gorącemu — odrzekł Biały Łuk- Potem, zobaczywszy ten sam wyraz niezrozumienia na twarzy wnuka, wyciągnął rękę. Dłoń Wolfa zniknęła w garści starca, który szarpnął go i postawił na nogi.

Biały Łuk zabrał wnuka na dwór. Przejaśniło się. Światło księżycy w pełni było tak ostre, że Wolf wyobraził sobie, iż mógłby się nim skaleczyć. *Playa* pokryta była grubą skorupą lodu.

— Patrz — stary człowiek ukląkł na brzegu rzeki — w ten sposób. — Zwinął dłoń w pięść i wbił lewe ramię po łokieć w skuwający wodę lód.

Wolf, nadal trzymając rękę w ogromnej zrogowaciałej dłoni dziadka, poczuł jakby został podłączony do prądu. Wyszarpnął rękę jak poparzony, ale mimo to czuł coś tak przerażającego, że nawet we śnie nie mógłby przypomnieć sobie, co to było.

I wtedy zobaczył wodę wypływającą z miejsca, w którym Biały Łuk trzymał rękę. Chwilę później woda trysnęła strumieniem, po czym z gorącej czarnej dziury w lodzie z sykiem uniosła się para...

Kiedy zasnął, śnił o dawnych czasach, gdy pieśń świata Białego Łuka była wszystkim...

Dno wielkiego basenu, *playa*, było twarde i płaskie jak beton, nieprzyjazne jak miasto, do którego wiele lat później miał uciec Wolf. Na najdalszym krańcu równiny piętrzyły się bezbarwne wskutek wielkiej odległości góry Sierra Nevada. Niebezpiecznie tu było; niebezpiecznie było także w mieście. Wolf podświadomie powiązał obce, a jednak podobne krajobrazy.

— My, przez „my” rozumiem Naród, nie jesteśmy tubylcami w tym kraju; nikt nie jest — zaczął Biały Łuk. Siedzieli w tipi rozbitym na wielkiej słonej równinie. W bladym świetle księżyca skorupa lodu i szronu na *playa* opalizowała lekko. — Nasza rodzina, jak prześledziłem z pomocą duchów, pochodzi z Azji. Tamtejszy lud miesiącami wędrował przez lodowe stopy Syberii. Nie przeszkodziła mu Cieśnina Beringa, bo wtedy dwa kontynenty, Azja i Ameryka, były jednym, i tam, gdzie teraz jest lodowata woda, kiedyś były jeziora. Przeszedł przez Alaskę i brnął na południe, wciąż na południe. Ciekaw jestem, co go gnało? Może nie kończący się lód. Jednakże nawet duchy nie podają jednoznacznej odpowiedzi, więc pewno i ja też nigdy się nie dowiem, dopóki nie przejdę na Drugą Stronę i nie poznam wszystkiego.

Palce Białego Łuka w trakcie opowiadania zajęte były owijaniem wilgotnego ścięga wokół własnoręcznie wyostrzonego grotu z obsydianu, Starzec przymocowywał go do wypolerowanego drzewca z gałęzi dzikiej porzeczki. Był to jego ulubiony surowiec — drewno tak giętkie i silne, że nawet gdyby bizon przetoczył się po strzale, to prędzej wsunęłaby się orui głębiej w jego ciało niż uległa złamaniu.

— Z pewnością w tamtych czasach — kontynuował Biały Łuk — byliśmy Chińczykami; może nie tak znów bardzo różniliśmy się od współczesnych japońskich imigrantów.

Biały Łuk podniósł nie wykończoną strzałę i przyłożył do prawego ramienia Wolfa. Zwęglonym drewnkiem zaznaczył na drzewcu odległość od łokcia do końca środkowego palca, a potem kawałkiem juty zmierzył odległość od prawego nadgarstka do pierwszej kostki tego samego palca. Odcinki te po dodaniu miały złożyć się na całkowitą długość strzały. W taki sposób wielcy rzemieślnicy wyrabiali strzały dla ważnych ludzi Narodu. Wolf odkrył z zaskoczeniem, że Biały Łuk robi tę strzałę dla niego

Wolf uwielbiał obserwować ręce dziadka, ogromne, zręczne i, w przeciwieństwie do samego człowieka, nie onieśmielające. W tych rękach nie było niczego zagadkowego — były prostymi narzędziami pracy i uzdrowienia.

Robiło się coraz zimniej. Wolf czuł, że z każdym kolejnym dniem pobytu na rozległej równinie zlodowaciałej soli chłód coraz bardziej opanowuje jego ciało. Poruszał się wolniej i z większą trudnością, natomiast wydawało się, że na jego dziadku zimno nie wywiera najmniejszego wrażenia. Co więcej, Biały Łuk przez kilka dni chodził w ogóle bez koszuli. Wolf pomyślał, że będzie miał okazję zobaczyć, jakie efekty wywiera mróz na nagiej skórze, ale okazało się, że w wypadku dziadka nie wywiera żadnych, wtedy przypomniał sobie, jak stary człowiek włożył rękę w lód i przemienił go w wodę, a wodę w parę.

Pewnej nocy zapytał:

— Dziadku, skąd się bierze to twoje ciepło?

Biały Łuk pokiwał głową, jakby spodziewał się tego pytania.

—Uzdrowiająca moc szamana wiąże się z mocą ognia. Ogień, Wolfie, jest okiem słońca, sprowadzonym na ten świat dawno temu przez jednego z Duchów. Ogień jest energią; ogień jest mocą, która objawia się w różny sposób, a szaman musi zdecydować, jak jego manifestacja pasuje do danej chwili. — Zadarł głowę i zerknął na drzewce z dzikiej porzeczki.

Grot osadzony był w cieńszym końcu, ponieważ strzała musiała lecieć w tym samym kierunku, w którym rosła gałązka. To najtrudniejsza decyzja, jaką musi podjąć szaman: kiedy użyć ognia i jak. I to ten wewnętrzny ogień sprawia, że człowiek staje się odporny nawet na największy mróz, który rodzi się nie tylko w sercu zimy, ale również w chwili śmierci.

Kilka nocy później, gdy Biały Łuk wykończył trzy znakomitej jakości strzały, Wolf miał sen. We śnie odwiedził go niedźwiedź. Był tak ogromny, że zaćmiewał słońce, a jego najczarniejsze z czarnych futro przemieniło środek dnia w głęboką noc. Olbrzymi czarny niedźwiedź nauczył Wolfa swego języka, potem przez dłuższy czas prawił mu coś gorliwie, następnie skinął i wyprowadził go z *tipi* na *playa*. Ale kiedy Wolf się przebudził, nie pamiętał niedźwiedzico języka i nie mógł sobie przypomnieć, co zwierzę mu rzekło. Opowiedział sen dziadkowi, a starzec uśmiechnął się.

— Czas — powiedział, kiwając głową. Zabrał swój łuk i trzy nowe strzały, i wyprowadził Wolfa na dwór, gdzie w blasku zachodzącego czerwonego słońca słona równina wyglądała jak poplamione szkło, - Czy potrafisz przypomnieć sobie kierunek, w którym prowadził cię niedźwiedź?

Wolf wskazał na zachód, ruszyli więc przed siebie. W zamglonej dali leżały góry Sierra Mądre, o tej porze dnia przybrane w królewską purpurę. Ich grzbietów dotykała dolna krawędź słonecznego dysku, spłaszczonego niczym naczynie rodzące się w rękach garncarza. Za Białym Łukiem i Wolfem podążały wydłużające się z każdym krokiem błękitne cienie.

Powietrze było nadzwyczaj suche; z precyzją chirurgicznego skalpela wciskało się pod ubranie Wolfa. Biały Łuk, odziany w letnie skóry, nie zwracał na nie uwagi i Wolf nie bez przerażenia pomyślał o jego władzy nad ogniem.

Kilka mil dalej w polu widzenia pojawiła się ciemna bryła. Nawet i W| odległości Wolf poznał, że to człowiek. Oczywiście, miał rację.

Na chrząszczącej od lodu ziemi leżał młody chłopak, może trzy czy cztery lata starszy od Wolfa. Wolf kucnął obok i przyłożył palce do boku szyi — ojciec nauczył go, że tamtędy biegnie życiodajna arteria.

Spojrzał na dziadka.

— Żyje, dziadku. Ale ledwo, ledwo. — Ostrożnie przesunął ręce *po* ciele chłopaka, po czym odwrócił go na drugą stronę. — Nie widać krwawej rany. Nawet siniaka. Co mu się stało?

Biały Łuk, niewiarygodnie wysoki, przerażający w swej imponującej pozie, wyciągnął rękę.

— Ten kamień jest dla ciebie. Użyj go.

Wolf sięgnął po mały cętkowany kamień, gładki jak pierś jego matki. Kamień był ciepły i Wolf w chwili, gdy go ujął, również się rozgrzał. Obrzucił dziadka jeszcze jednym zdumionym spojrzeniem i przyłożył kamień do trzech miejsc na ciele leżącego: podbrzusza, serca, czoła. Za każdym razem dotykał kamienia czubkiem środkowego palca. Najpierw nie wyczuł niczego, lecz kiedy kamień dotknął czoła chłopca, Wolf podskoczył. Zadrżał i zamknął oczy.

— Co ci rzekł kamień? — zapytał Biały Łuk.

Z początku Wolf nie odpowiedział, bo przepelniało go przerażenie. Potem przełknął coś, co utkwilo mu w gardle, i odrzekł:

— Chłopiec nie cierpi z powodu żadnej fizycznej choroby. Ktoś ukradł jego duszę.

— Tak — Biały Łuk skinął głową, jakby już to wiedział. — Oto dlaczego miałeś taki sen. Ten chłopiec jest chroniony przez czarnego niedźwiedzia, którego duch wyruszył na poszukiwanie szamana.

— Ale przecież ja nie jestem szamanem, dziadku.

— Zdejmij kamień z czoła chłopca—rozkazał starzec. Wziął strzałę, którą zrobił dla Wolfa i włożył wielki łuk ze śmiercionośnym pociskiem w jego rękę. — Oto, co się wydarzyło. Umarł człowiek. Tchórzliwa kreatura, nie mając odwagi wkroczyć samotnie na ścieżkę śmierci, ukradła duszę tego chłopca, by towarzyszyła mu w podróży. — Spojrzał z góry na Wolfa. — Kiedy dotknąłeś uzdrawiającego kamienia po raz trzeci, poczułeś przerwę w pieśni świata.

— Tak — wyszeptał Wolf, z drżeniem oczekując tego, co powinno nastąpić.

— Musimy zwrócić to, co zostało bezprawnie zabrane. Musimy wejść na ścieżkę śmierci.

Było już ciemno, ale Biały Łuk nie zwracał na to uwagi. Poprowadził Wolfa na południe, na brzeg rzeki Sevier.

— Rzeki są bramami — oznajmił. Usadowił się ze skrzyżowanymi nogami na brzegu i wyjął fajkę. Nappełnił ją jakąś ciemną substancją, różniącą się od palonego przez siebie tytoniu. Zapalił fajkę, pyknął kilka razy i podał ją Wolfowi. Wolf wciągnął dym w płuca. Był on niezwykle aromatyczny, zaskakująco lekki i nie przyprawił o kaszel jak wtedy, gdy jedyny raz zaciągnął się papierosem. Nim zawartość się wypaliła, fajka została dwukrotnie przekazana z rąk do rąk.

— Teraz możemy ruszać.

Wolf podniósł się i wraz z dziadkiem wsunął w rzekę. Woda była tak zimna, że Wolf natychmiast zdrętwiał, i tak głęboka, że czubkami mokasynów nie wyczuwał dna.

Brakowało mu powietrza, ale dziadek trzymał go, nie pozwalając wynurzyć się na powierzchnię. Wolf zaczął się szamotać w panice, ale po chwili jego odbiór rzeczywistości uległ zmianie. Ciemność rzeki przekształciła się w głębszy mrok, chłód zniknął z jego ciała i kości. Wydawało się również, że może oddychać. Ale to wszystko, zamiast wzbudzić w nim ufność, jedynie spotęgowało panikę.

Dziadek szarpnął go za ramię i wyciągnął rękę. Przed nimi leżał rząd kamieni żarzących się kościaną bielą. Ścieżka śmierci. Kilka

kroków dalej szedł stary człowiek, ciągnący za sobą chłopca, którego maleźli na równinie. Chłopak, nagle świadom ich obecności, odwrócił głowę, ale starzec, skupiony na pośmiertnej podróży, parł przed siebie dalej.

— Szybko — wyszeptał Biały Łuk — bo odejdą zbyt daleko i będzie za późno. Strzelaj.

— Boję się — powiedział młody Wolf. — Tu trzeba szamana, a ja nim nie jestem.

— Użyj łuku — przynaglił dziadek. — Wypuść strzałę.

Wolf drżącymi rękoma położył strzałę na cięciwie i napiął łuk. Pot spływał mu po twarzy, a strach wywracał żołądek na drugą stronę. Był pewien, że z oczu płyną mu łzy. Ale pomyślał o biednym chłopaku Leżącym na *playa*, zawieszonym między życiem a śmiercią, zagryzł więc zęby, przezwyciężając mdłości, napiął łuk do maksimum — co nie było łatwe, bo był on dopasowany do potężnej siły dziadka — wycelował i pozwolił, by strzala pomknęła prosto w plecy starego człowieka.

Usłyszał przesywający, nieziemski krzyk; chłopak zniknął. Potem; woda wpadła mu do ust, oczy go piekły i wymiotował solą...

Wolf otworzył oczy. Leżał w tipi, był suchy i wszystko wokół było takie jak przedtem, z wyjątkiem tego, że jego zmysły wydawały się wyostrzone. Wspomnił wypaloną z dziadkiem fajkę. Przez pewien czas łudził się, że podróż była tylko wywołaną przez pejotl halucynacją. Potem poczuł skorupkę soli na skórze, bez wątpienia osadzoną w wyniku zanurzenia w słonej rzece Sevier.

Sparaliżował go strach. To było zatem prawdą: przedostał się przez bramę rzeki do krainy śmierci.

Wstał i na wpół oszołomiony zaczął szukać dziadka, ale ani w tipi, ani na zewnątrz nie było żadnego śladu wskazującego, że Biały Łuk był z nim tu kiedykolwiek. Wolf został kompletnie sam w środku skutej lodem *playa*. Sam z dwiema strzałami, które sporządził dla niego Biały Łuk.

Trzy godziny później, gdy słońce zachodziło i chłód wdzierał się do tipi, przyjechał Peter Matheson. W domu zagroził, że zrobi krzywdę Białemu Łukowi, jeżeli starzec nie wyjawi miejsca pobytu syna. Dosiadając konia, usłyszał, jak Biały Łuk mówi do Otwartej Ręki:

— Nie powinien jechać. Zaczęło się, i to, co Wolf ma do zrobienia, musi zrobić sam.

Peter splunął na ziemię i szarpiąc wodze wbił ostrogi w boki wierzchowca. Pojechał na słone pustkowie, gdzie ten zgrzybiały staruch zostawił jego syna.

Wolf powinien być zadowolony na widok wyłaniającego się z indygowego zmierzchu ojca, ale zamiast tego zastanawiał się, gdzie by się ukryć. Prawdę mówiąc, gdyby mógł znaleźć jakąś odpowiednią kryjówkę, zrobiłby to. Jednak jedynym przychodzącym mu na myśl miejscem była kraina zmarłych, a wiedział, że bez dziadka nie może tam wejść.

Okazało się, że miejsce to nie napawa go już tak wielkim lękiem. O wiele straszniejsze było zimne szare światło w oczach ojca i jego ton, gdy wchodząc do tipi warknął prawie:

— Zabieraj swoje rzeczy. Jedziemy do domu.

Wolf wspiął się na konia i objął ojca rękoma. Czuł, jak z każdym precyzyjnym łukiem potężnych końskich kopyt zmniejsza się ostrość odbierania widoków, dźwięków, zapachów, jaka towarzyszyła mu po przebudzeniu. Koń mknął przez *playa* i miażdżył kopytami zamrożoną pokrywą soli. Okruchy, fruwające wokół niczym odłamki tłuczonego lustra, zdradzały, że magia tego miejsca była tylko srebrną farbą na szkle.

Zabrał jedynie strzały, które zrobił dla niego Biały Łuk. Wydawało mu się, że wszystko, co z sobą przywiózł, było własnością dziecka i jako takie teraz już go nie interesowało. W domu stwierdził, że strzały były niekompletne — pierzaste lotki albo zgubiły się w czasie jazdy, albo też Biały Łuk wcale ich tam nie zamocował.

W czasie pierwszych tygodni po powrocie do domu Wolfowi wszystko wydawało się inne, a ważną rzeczą była zmiana w stosunkach panujących między rodzicami. Kiedyś ich sprzeczki na temat dziadka były sprawą drugoplanową, obecnie zaś Peter wyrażał swoje protesty bardziej otwarcie i głośno, a raz nawet zasugerował, aby — skoro stało się jasne, że starzec jest zgrzybiały i niepoczytalny — uwięzić go w domu, by nikogo nie skrzywdził.

Otwarta Ręka, Zbieraczka Snów dla swoich, składnica ich nadziei, obaw i rozpacz, która dotychczas była cierpliwa i wyrozumiała, nagle jakby straciła te cnoty. Nie chciała — i bez wątplenia nie mogła — wytłumaczyć mężowi postępków ojca. O ile wcześniej potrafiła obserwować tę rasową przepaść z prawie naukowym obiektywizmem, a nawet myślała o sobie jako o moście rozpiętym między nimi dwoma, teraz miała do czynienia z nowym, bardziej osobistym aspektem, który zranił ją do żywego.

Niewątpliwie odbierała tę przepaść jako metaforę zmierzchu jednej kultury i ekspansji drugiej, a takie wygodne podejście dawało jej fałszywe poczucie bezpieczeństwa.

Ale z Peterem Mathesonem już nie można było czuć się bezpiecznie. Był prawdziwym pionierem, niespokojnym jak wiatr, cechującym się dużą odwagą, ale małym poczuciem odpowiedzialności.

— Kłopot z cywilizacją — powiedział kiedyś Wolfowi — polega na tym, że nie ma w niej miejsca dla bohaterów, ponieważ bohaterowie z założenia są nieokiełznani, a to grozi rozdarciem tkaniny cywilizacji.

Wolf później zrozumiał, że słowa te odnosiły się do ojca i przypominał je niejedną raz — głównie z tego powodu, że Peter Matheson prawie nigdy nie mówił o sobie.

Wolf rozpoznał w swym ojcu ogień — nie szamański ogień Białego Łuka, choć z powodu dzikości, z jaką go pochłaniał, równie znaczący. Wolf dowiedział się już od dziadka o nieprzerwanej interakcji zachodzącej między umysłem, ciałem i duchem, i sam potrafił dostrzec to we własnym ojcu; rozumiał, że postępowanie Petera Mathesona ściśle wiąże się z uznaniem przezeń za niezwykle istotną duchową częścią osobowości.

— Bohaterowie dawnych czasów powinni byli ochronić Naród — rzekł Wolf z zadumą.

— Indianie mieli swoich bohaterów, to prawda — przyznał Peter. — Ale my byliśmy zbyt silni, zbyt liczni.

— Nie. Chodzi mi o bohaterów takich jak ty czy twój ojciec. Ty zrozumiałeś i przestałeś zabijać Indian.

Peter, kiwając głową, popatrzył na syna.

— Może mogłoby tak być, ale nasza cywilizacja pochłonęła nas zbyt szybko, bo zbyt szybko się rozwijała. — Spojrzał na daleki horyzonty gdzie góry stykały się z niebem, a Wolf przypomniał sobie opowieść Białego Łuka o jastrzębiu. — Albo była zbyt zacofana.

— Zacofana?

Peter przytaknął ruchem głowy.

— Wbrew temu, czego nauczyłeś się w szkole, rozwój cywilizacji nie jest rzeczą całkowicie pozytywną. Zagubieni w labiryncie praw i statutów społecznych zatraciliśmy wycucie tego kraju. Widzieliśmy tylko to, co może nam dać, a nie to, jaki jest. — Chrząknął. — W ten sposób kultura Indian amerykańskich przyłączyła się do listy wielu innych zaginionych kultur świata.

— Ale przecież to prawo decyduje o istnieniu społeczeństwa. Przynajmniej tak nas uczył w szkole.

— No cóż, będziesz musiał wyrobić sobie własne zdanie, synu.

— Ale jak ty uważasz, tato?

— Jak mam na to odpowiedzieć? — Peter Matheson obserwował konia szczypiącego trawę i promienie słońca lśniącego na jego połyskującej sierści, pod którą nabrzmiewały mięśnie. — Bohater nosi prawo u biodra, ale mimo że toruje drogę dla cywilizacji, ona stara się pozbyć go tak szybko i tak bezwzględnie, jak tylko możliwe, ponieważ rzuca on niebezpieczny cień.

I oczywiście Peter Matheson pragnął robić to bardziej niż wszystko inne.

Peter Matheson odszedł w rok po wyruszeniu na ratunek synowi. Otwarta Ręka nigdy nie wspominała dokąd, ale Wolf wiedział, ponieważ otrzymał od ojca jeden list. Czytał go na okrągło, aż papier rozpadł się na kawałki, które troskliwie chował pod poduszką.

Otwarta Ręka jednakże, ilekroć Wolf pytał, nie wzbraniała się przed mówieniem o mężu. Jeżeli nosiła żal w sercu, to Wolf nigdy tego nie widział ani, co ważniejsze, nie odczuwał. Nie wątpił, że kochała Petera i podejrzewał, że miłość ta obejmowała również jego niespokojną duszę; odejście męża było dla niej równie nieuniknione, jak to, że po jesieni zaczyna się zima. Tak jak przy innych okazjach powtarzała, że po długiej, ponurej zimie zawsze nadciąga wiosna.

I tak się stało po smutnej, samotnej zimie jego odejścia. Wolf straszliwie tęsknił za ojcem, lecz jednego mu nie brakowało — napięcia, jakie Peter stwarzał w domu. Biały Łuk, sędziwy i skrzypiący niczym stara szafa, przeniósł się do pokoju, który niegdyś był sanktuarium Petera Mathesona. Nie robił już strzał i nigdy nie naprawił tych dwóch sporządzonych dla Wolfa, chociaż chłopak oddał mu je w tym celu.

Wolf często wypytywał Otwartą Rękę o dziadka, ponieważ (a może tak mu się wydawało) Biały Łuk po powrocie ze słonecznej doliny jakby zamknął się w sobie. Wolf rozumiał, że mogło to być wynikiem unicestwienia jego planów — jakiegokolwiek by one były — ale nie udało mu się zainteresować dziadka ponowną wyprawą na słoną równinę, choć przecież po odejściu Petera Mathesona nikt nie stanąłby im na przeszkodzie.

Otwarta Ręka nigdy nie odpowiadała bezpośrednio na pytania dotyczącą swego ojca.

— Wśród wszystkich rzeczy, które odlatują, umysł jest najszybszy
— powiedziała Wolfowi.

Wolf, zastanawiając się nad tymi zagadkowymi słowami, wspomniał zejście z Białym Łukiem do krainy śmierci. Z pewnością zrzućcie krępującą powłokę śmiertelnych ciał i popłynięcie do tego skądinąd niedostępnego miejsca mistycy określają mianem lotu.

— Chyba rozumiem. Ale dlaczego dziadek nie zabrał mnie £ powrotem na *playa*.

— Teraz jesteś przekonany, że twój ojciec przerwał proces zachodzący między tobą a Białym Łukiem — powiedziała Otwarta Ręka. — Ale Białe Łuki nie postrzega świata tak jak inni. Cofa się i widzi możliwości, wszystkie możliwości, wynikające z danej sytuacji. Jest jak tkacz, który potrafi prześledzić powikłaną drogę każdej wełnianej nitki nawet po zakończeniu całości.

Wolf spojrział na nią.

— Mówisz, że moja droga okazuje się... taka, jaka miała być?

Matka, tajemnicza w swym pięknie i akceptacji, ujęła jego dłoń

— Gromadź cierpliwość, by samodzielnie dowiedzieć się, co to znaczy

— rzekła z powagą i przekonaniem.

I oczywiście była to wielka lekcja Białego Łuka.

By zebrać się na odwagę potrzebną do wyruszenia na poszukiwanie ojca potrzebował Wolf siedmiu lat. Peter Matheson zamieszkał w Australii, Wolf odnalazł go w odległej części Nowej Południowej Walii, w Lightning Ridge, surowej osadzie górniczej leżącej w niecce otoczonej przez długiej niskie wzgórza, porośnięte drzewami Bo, Bela i lamparcimi. W okolicznych kopalniach wydobywano najpiękniejsze w świecie czarne opale i tym parał się ojciec Wolfa. Przez lata wzrok mu się pogorszył i zaczął nosić okulary a czternastogodzinny dzień pracy i stałe napięcie, wynikające z konieczności ochrony wykopanych kamieni przed złodziejami, sprawiły, że posiwiał.

Wolf wyruszył z Sydney na północny zachód i po przejechaniu czterystu mil, z czego kilkanaście ostatnich po bitumicznej, czarnej jak smoła drodze, znalazł się na miejscu. Powitał go ochryply wrzask kookaburry. Kilka miesięcy później miał stanąć nad jamą wypełnioną pięknymi, śnieżnobiałymi jajami tego ptaka. Spoczywały one w dawnym gnieździe termitów. Odkrył, że Australia jest pełna takich zaskakujących okruchów dzikiego piękna.

Sama osada nie była niczym nadzwyczajnym: dwa samoobsługowe sklepy, sklep mięsny, piekarnia, jeden hotel — „Lightning Ridge Diggers Rest” — kilka moteli, biura lokalnej gazety: Lightning Ridge Flash, trzy kościoły, szkoła podstawowa. I oczywiście miejscowy klub strzelecki.

Peter Matheson dzielił swój walący się dom ze śliczną, gibką niczym kot, czarnowłosą dziewczyną o długich, opalonych nogach, która nie miała jeszcze dwudziestu lat.

— Wolf?

— Cześć, tato.

Peter wyciągnął rękę jak na powitanie dawno zaginionego przyjaciela.

— Na Boga, dobrze cię widzieć.

Wolf stał jak sparaliżowany, opanowany narastającymi emocjami, które ledwo potrafił określić. Miłość, strach, gniew, a ponad wszystko chłopięca potrzeba akceptacji.

Peter Matheson był człowiekiem, który nigdy nie wykręcał się od ciężkiej roboty czy niebezpieczeństw, ale życie w australijskim *outbacku** z początku było dlań całkiem obce. Przeżył ukąszenie skorpiona, po którym cierpiał na konwulsyjną gorączkę, dopóki mieszkająca z nim aborygenka nie zaaplikowała mu okładu z ziół. Obserwował parzenie się jadowitych pajaków, matkę rozwijającą woreczki z jajami, które zostały pożarte przez żarłoczne młode. Przetrwał skutki palącego słońca i gwałtownych powodzi; nawet zabił zdesperowanego górnika, który próbował skraść mu opale, ale przynajmniej to nie było dla niego nowym doświadczeniem.

Chociaż Peter Matheson był twardzielem, przez cały czas na nowo musiał udowadniać to starym, australijskim wyjadaczom. Spodobał się im jego rozwlekły teksański akcent i szorstkie maniery kowboja; poczuli natychmiastowy respekt dla tego prawdziwego mężczyzny, który radził sobie w bijatykach, wypijał galon piwa i całą noc figlował z kobietą. Zafascynowały ich również jego niewyczerpane opowieści o Indianach.

Prawdę powiedziawszy, Peter Matheson, dopóki nie znalazł się wśród przyjaciół, nigdy nie był spokojny. Towarzystwo twardych mężczyzn było mu potrzebne jak innym jedzenie i woda. Kochał swoją żonę i jedyne dziecko, ale na swój sposób.

— Starzenie się ma dla mnie inne znaczenie niż dla ciebie — powiedział cynowi. — Teraz nie potrafisz tego pojąć, ale zrozumiesz to niebawem.

* *outback* — w Australii nazwa obszaru leżącego z dala od głównych miast

Smutny jest dzień, w którym mężczyzna upada i nie może wstać tak szybko jak dawniej, kiedy ból nie przemija i zdstaje na dobre.

— To dlatego masz ją? — zapytał Wolf, wskazując kciukiem na gibką dziewczynę.

Peter Matheson uśmiechnął się na tę synowską przenikliwość.

— Częściowo — przyznał. — Ale również dlatego, że ona wie, iż za tydzień czy miesiąc odejdę. To nie ma dla niej znaczenia; jest młoda i zbyt zajęta własnym życiem, by przejmować się czymś innym. — Zerknął na syna. — Jak twoja mama?

— Zajęta własnym życiem — rzekł Wolf, a jego słowa sprawiły, że ojciec wybuchnął śmiechem.

Później, w pełnej szmerów australijskiej cieniałości, Wolf zagadnął:

— Nie wrócisz do domu, prawda?

Ojciec, tocząc w palcach wykałaczkę z kości jakiegoś małego zwierzątka, powiedział:

— Przebyłeś tę całą drogę, wydałeś pieniądze matki, by mnie o to zapytać?

— Wydałem własne pieniądze. Pracowałem ciężko, by zapłacić za podróż.

Peter wetknął wykałaczkę w zęby i wstał.

— Chodź, chcę ci coś pokazać.

Wyszli z domu, nie mówiąc dziewczynie, dokąd idą. Wsiedli do małej, zdezelowanej ciężarówki i Peter ruszył w noc, kierując się w górę.

— Moja kopalnia leży blisko Lunatic Hill. Kupiłem ją od mieszkającej ze mną aborygenki. Odziedziczyła ją po człowieku zwanym Majorem, który pewnej nocy po pijanemu palnął sobie w łeb.

Wysiedli i Peter zapalił wielką latarkę. Niebo było bardzo ciemne, jedynie najjaśniejsze gwiazdy prześwitywały przez chmury.

Peter skierował snop światła w dół.

— Widzisz to pęknięcie? Tutaj taki uskok zwany jest ślizgiem; jeżeli nie potrafisz znaleźć ślizgów, nie znajdziesz opali.

Weszli do kopalni.

— Nazwałem ją „Nigdzie”.

Warstwa piaszczystej gliny opadała szybko w dół. Dotarli do pionowej dziury wykutej w skale. Peter poprowadził syna w dół szybu na niższy poziom, gdzie na końcu chodnika znajdowała się ogromna komora. Wolf dowiedział się później, że górnicy zwą ją salą balową.

Peter wyłączył latarkę i zapalił świecę, a w jej blasku Wolf ujrzał ciąg lamin.

— Górna część to piaskowiec — poinformował ojciec. — Widzisz, spąg jest odcięty przez twardą skałę; to sprasowany kwarcyt, łamacz goleni, tak go nazywamy. To trafna nazwa. — Jego palec wskazywał poszczególne warstwy. — Poniżej zalega to, co zwiemy poziomem, skała podobna do gliny, w której znajdują się opale.

Pogrzebał w kieszeni, wyjął coś i podał Wolfowi.

— Przetocz go w palcach.

Wolf zrobił tak i w świetle latarki zobaczył olśniewające błyski pawiej zieleni, jasnego pomarańcza, ognistej czerwieni.

— Widzisz, jak blisko siebie są zgrupowane barwy? Taki kamień nazywany jest kwiatowym arlekinem i jest bardzo rzadki. Dlatego zapaliłem świecę. Jej światło wydobywa czystsza gamę kolorów. Teraz wiesz, co robię tutaj, na dole. — Peter uważnie obserwował twarz syna. — Oto, co robię, oto, jak zarabiam na życie. — Zabrał opal i schował go do kieszeni. — To podniecająca, niebezpieczna praca. Jestem członkiem jakby odrębnego klanu. Nie odpowiadam przed nikim.

— I nosisz prawo u biodra — rzekł Wolf, zerkając na colta wiszącego przy pasie ojca.

Peter położył rękę na jego ramieniu i ścisnął je twardo.

— Chcę, żebyś to zrozumiał, synu. Nigdy w życiu przed niczym nie uciekałem. Ale pewne jak to, że z tobą tu stoję: cywilizacja by mnie zniszczyła. W tej dziczy nikt nie żąda, bym się poddał.

Wolf został u ojca przez pół roku. Peter z szacunku dla syna chciał odprawić aborygenkę, ale Wolf sprzeciwił się temu i dziewczyna została. To ona, dziewczyna o imieniu, którego nigdy nie nauczył się poprawnie wymawiać, pokazała mu dzikie piękno jaj kookaburry, ukrytych w opuszczonej termitierze.

Ojciec i syn wspólnie poszukiwali czarnych opali. Peter nauczył Wolfa obsługiwania pneumatycznego młota. Z pomocą tego narzędzia w ciągu miesiąca rozorali grzbiet wzgórza, którego przekopanie poprzednio trwałoby ponad rok. Niemniej jednak była to cholernie ciężka praca i, jak powiedział Peter, częstokroć niebezpieczna, nie tylko z powodu wypadków naturalnych, ale również tych spowodowanych przez ludzi. Ale Mathesonowie przeżyli je wszystkie, a Wolf mógł się pochwalić

szerszymi ramionami, twardymi bicepsami i cienką białą blizną wzdłuż lewego obojczyka, gdzie ciął go niedoszły złodziej, zanim on złamał mu mostek.

Pewnego dnia Wolf znalazł w bucie skorpiona i postanowił go zatrzymać. Karcił go, zafascynowany sposobem, w jaki zabijał swoje ofiary, błyskawicznie uderzając ogonem i zatapiając w ich ciele kolec jadowy. Skorpion stał się swego rodzaju dziwnym ulubieńcem i wydawało się, że rozpoznaje Wofa, chociaż Peter twierdził, że u stworzeń tak prymitywnych coś takiego nie jest możliwe. Ale przynajmniej od tej pory nie mieli problemów ze złodziejami.

Peter miał wielu kumpli, ciężko pracujących — i ciężko pijących — Australijczyków, chociaż byli wśród nich również Europejczycy. Generalnie stanowili uczciwą, pełną radości życia zbieraninę o przewiskach takich jak Sterczący Paddy, Willie Jeleni Skok i Morderczy Jack. Wofa ujęła ich bezpośredniość. Byli bliscy ziemi, prymitywni w sposób, którego jeszcze nie w pełni rozumiał, ale ponieważ chciał zostać zaakceptowany i okazywał to, został uznany za swego.

— To wielcy ludzie — powiedział Peter. — Dopóki nie zaczniesz osądzać ich wedle ich kryminalnej przeszłości, na punkcie czego są bardzo czuli, będą w stosunku do ciebie bezgranicznie uczciwi.

Pewnej nocy zabrali go z sobą, upili i wpełnęli do pokoju, w którym czekała kobieta, kruczowłosa i jasnooka. Już była naga; jej piersi zdrzżały, gdy na nie spojrzał. Wyglądała na bardzo młodą, a jej uroda miała jakiś cień smutku, który miał zniknąć po roku życia w tym twardym świecie.

Podczas gdy się kochali, górnicy śpiewali jedną piosenkę po drugiej, aby Wolf i dziewczyna nie musieli się martwić, że intymne odgłosy przenikną przez cienkie ściany.

Dziewczyna o niemożliwym do wymówienia imieniu nie spała jeszcze, gdy Wolf potykając się dobrnął do domu. Może czekała na niego; wydawało się, że wie, co się stało, i że będzie głodny. Przyrzędziła mu coś do zjedzenia i razem usiedli na schodach pod usianym gwiazdami niebem. Wolf jadł w milczeniu, a dziewczyna paliła papierosa, spokojnie, niemal z dostojnością, w sposób, który przypominał mu Białego Łuka.

Powiedziała, że należy do plemienia Kulin, jednego z najstarszych plemion aborygeńskich, i że przyszła na świat wśród swego ludu, lecz wkrótce przeniosła się tutaj. Co prawda lubiła czuć wiatr na twarzy i słońce w oczach, ale w „Lightning Ridge” poza sprzedawaniem

własnego ciała nie miała nic do roboty. Tutaj miała pieniądze i robiła to, na co miała ochotę, nic ponadto, a było to uczucie jedyne w swoim rodzaju.

Czuł, że ta przedstawicielka obcej, naprawdę prymitywnej kultury z drugiej strony świata jest mu bardzo bliska — tak bliska jak dziadek, tylko że ona w żaden sposób go nie onieśmielała. Polubił ją i rozumiał, dlaczego nigdy nie poczuł się oburzony z powodu jej obecności w domu ojca.

Rozmawiali, dopóki światło gwiazd nie zbladło, a znad szczytów wzgórz nie zaczął sączyć się perłowy blask. Wtedy ona wyciągnęła nogi przed siebie i opowiedziała mu o zachodach słońca. Jej lud wierzył, że czas zachodu jest czasem śmierci, bo Kulin po skośnych promieniach dostaje się do nieba, gdzie zamieszkuje śmierć.

Powiedziała, że kiedyś naprawdę widziała takie zdarzenie. Jej babcia, bardzo stara, zmarła o zachodzie słońca, a duch wzniósł się z martwego ciała i wspinał po promieniach wyżej niż ptaki, szczyty gór, a nawet wiatr. Teraz, powiedziała, może czuć swoją babcie w świetle słońca, które na nią pada, w wietrze, który ją pieści.

Oczarowany Wolf zasnął obok niej na schodkach domu ojca.

Z pewnością zostałby dłużej, lecz nagle został wezwany do domu. „Wezwanie” było metaforą, podobną do sposobu, w jaki matka opisała mu „lot”. Pewnej nocy przyśnił mu się jastrząb krążący tak wysoko, że był widoczny jedynie jako niewyraźna plamka. Ptak stopniowo obniżał lot, aż znalazł się poniżej grani purpurowych gór, a następnie w rozległej czerwonej dolinie przeciętej uskokiem. Potem wszedł w półmrok ziemi, gdzie Wolf mozolił się w kamiennym pyle i sącącym się szlamie. Zaalarmowany suchym szelestem bijących skrzydeł, podniósł głowę, zobaczył jastrzębia i już wiedział.

Pożegnał się z ojcem na zboczach Lightning Ridge. Słońce w czasie australijskiej zimy było bardziej ostre niż w Ameryce. Ojciec ujął jego rękę jak wtedy, gdy Wolf przyjechał, przyciągnął go i objął.

— Wspaniale, że przyjechałeś. Nigdy na to nie liczyłem.

— Zrozumiałem, dlaczego nie wrócisz.

Peter puścił syna.

— Wiem.

Wolf zobaczył go po raz ostatni, gdy ojciec wracał do prowizorycznej wioski, gdzie czekali z piwem jego kumple. Odjeżdżając pomyślał, że słyszy echo unoszącej się piosenki.

Biały Łuk umierał i to wezwało Wolfa do domu. Na swe ostatnie dni dziadek został przeniesiony do własnego tipi, które w czasie jego nieobecności było troskliwie doglądane. Spoczywał na pościeli ze skór łani i niedźwiedziego futra; nad nim wycięto w tipi dziurę. W pobliżu płonął ogień, do którego od czasu do czasu wrzucano pęki suszonej szaławii. Wolf wiedział, że te przygotowania miały pomóc dziadkowi wspiąć się do nieba.

W Elk Basin. było lato, ale Biały Łuk leżał okryty po szyję futrami. Drżał często niczym w febrze, chociaż nie cierpiał na żadną chorobę, którą potrafiłby nazwać biały lekarz.

— Miałem szczęście — rzekł Biały Łuk pewnego dnia, gdy Wolf usiadł u jego boku. — Większość ludzi przenosi się na drugą stronę tylko raz w życiu, na samym końcu. Moje loty odbywały się każdego dnia, kiedy tylko pragnąłem.

— Chciałeś, żebym ja również latał, prawda, dziadku? — Zastanawia! się nad tym pytaniem w czasie trwającej bez końca podróży do domu.

Przez długi czas Biały Łuk nie odpowiadał. Miał zamknięte oczy, a woskowata twarz przybrała wygląd śmiertelnej maski. Wolf przestraszył się, lecz w końcu usta starca poruszyły się lekko.

— To prawda, że chciałem, byś wkroczył na ścieżkę, którą ja podążałem. Długo trwało, nim zrozumiałem, jak bardzo byłem samolubny. Słuchałem własnego serca, a nie pieśni świata. Pragnąłem czegoś zbyt silnie.

— Ale chyba ja też chciałem. Pamiętasz, jak prosiłem, byś zabrał mnie z powrotem do tego miejsca na *playal*

Biały Łuk wykrzywił usta w cieniu uśmiechu.

— Pamiętam. Ale myślę, że przede wszystkim chciałeś sprawić mi przyjemność. — Odwrócił głowę w stronę Wolfa. — Podaj mi rękę.

Wolf wsunął dłoń w rękę dziadka, zimną i suchą.

— Czuję twoją siłę i wiem, że twoja ścieżka wiedzie w odmiennym kierunku.

— Jakim?

— Nie wiem.

Ale Wolf miał wrażenie, że dziadek doskonale wie — on, mistrz tkacki, który potrafił prześledzić drogę każdej nici nawet po zakończeniu całości.

— Czy pamiętasz naszą podróż do krainy śmierci? — zapytał Biały Łuk.

— Tak.

— Każda podróż, każdy lot, rozpoczyna się od przekroczenia mostu. To nie musi być nrawdziw most.

— Jak rzeka.

— Rzeka, tak. Chcę, żebyś zrobił coś dla mnie. Wybuduj mi most. Weź dwa kawałki mocnego konopnego sznura i ścięgnami przymocuj do nich siedem strzał, które dla siebie zrobiłem. To szczeble.

— Będę potrzebował pomocy.

— Nie. — Biały Łuk mocno i pewnie trzymał jego rękę. — Musisz to zrobić sam. Tylko twoje ręce mogą dotykać drabiny-mostu. Kiedy skończysz, zawieś ją w dziurze nade mną. Teraz idź. — Puścił jego rękę. — Zrób, jak ci kazałem.

Trzy godziny później drabina była zawieszona. Dzień się kończył. Słońce, nabrzmiałe jak ciężarna kobieta, wisiało nad górskimi szczytami majaczącymi na horyzoncie. Przez cały dzień wiatr przepływał przez tipi, Wolfowi było chłodno, ale teraz, gdy skończył wieszać drabinę, powietrze znieruchomiało, gorąco dnia promieniowało z twardo ubitej ziemi, odpierając nadciągający chłód nocy.

— Wolfie — rzekł Biały Łuk — wtedy, gdy czas dopiero się rodził, nie byli potrzebni ani szamani, ani drabiny-mosty. Każdy miał moc przeniesienia się do nieba. Ale tak jak woda żłobi skałę, tak czas zmienił ludzi. Większość zatraciła tę moc. Obecnie tylko szaman potrafi spacerować po wąskiej przełęczy między niebem a ziemią, czasem i przestrzenią. Ale teraz te mosty są niebezpieczne, ponieważ niebo i ziemia, czas i przestrzeń już z sobą nie sąsiadują. Są rozdzielone przez przerażającą, stworzoną przez cywilizację próżnię, w której nawet najbardziej potężny szaman może się zgubić. Stary człowiek patrzył przez dziurę w tipi na niebo płonące w pierwszych ogniach zachodu. — Przeprowadziłem cię przez taką drabinę-most. Byłeś w stanie odbyć tę podróż nie dzięki mnie, ale z powodu tego, co w tobie zamieszkuje. To dlatego wybrałem cię do skonstruowania drabiny. Naucz się tego, co w tobie jest, Wolfie. Pewnego dnia będziesz miał z tego pożytek.

Gdy Biały Łuk umierał, była z nim Otwarta Ręka. Wokół jego namiotu siedzieli nie tylko Szoszoni Rzeki Wiatr, ale również członkowie innych plemion Narodu. Wolf, kucając tuż obok kłapy zasłaniającej wejście, obejrzał się i zobaczył równinę zapełnioną ludźmi, milczącymi, oczekującymi, nieruchomymi. Poruszały się jedynie pasące się konie i psy włóczące się wokół ognisk w poszukiwaniu odpadków. Raz zakwiliło dziecko, i to było wszystko.

Wolf widocznie zasnął, ponieważ następną rzeczą, z jakiej zdał sobie sprawę, było to, że matka uklękła obok niego. Obronnym gestem otoczyła go ramionami, jej usta musnęły jego policzek. Oczy miała zaczerwienione, a twarz poznaczoną smugami łez.

Wolf westchnął i objął ją.

— Odszedł — wyszeptła.

Ale po raz pierwszy i jedyny w życiu nie miała racji.

KSIEGA II

ŻYCIE W CZASIE WOJNY

*Jako członek wycieczki z przewodnikiem
nawet nie musisz wiedzieć,
że Matternhorn nie jest rogiem.**

TEMPLE FIELDING

** gra słów: ang, horn -- róg*

VI

WASZYNGTON-EAST HAMPTON-TOKIO

— Za rzecz godną największej pogardy — mówił generał brygady (w stanie spoczynku) Hampton Conrad — uważam hipokryzję.

Conrad wyglądał tak, jakby przed chwilą zszedł z plakatu reklamującego służbę w armii Stanów Zjednoczonych: kwadratowa szczęka, ostre rysy, grubokoścista budowa ciała. Jego piaskowoszare włosy przycięte były w sposób regulaminowy; szare oczy miały akurat tyle błękitnego błysku, by jednocześnie wyglądać pociągająco i niebezpiecznie. Jednakże Hampton Conrad myślał w sposób, który zdecydowanie odbiegał od kanonów przypisywanych typowemu żołnierzowi. Dzięki temu został generałem brygady oraz przeszedł w stan spoczynku dziesięć lat przed czasem, który w wypadku ludzi o jego randze uważany jest za zwyczajny. Ale w „Hamie” Conradzie nie było niczego zwyczajnego.

Przyszedł na świat w Hartford, w Connecticut, jako jeden z siedmiu synów Thornburga Conrada Trzeciego, człowieka, dzięki któremu Hartford stało się ubezpieczeniową stolicą kraju. Przezwisko „Ham” nadał mu starszy brat z powodu potężnych rąk, które zwinięte w pięści mogły nieźle uszkodzić nawet starszych o kilka lat kolegów.

Thornburg Conrad Trzeci zrobił wszystko, co mógł (a więc niemało), by jego potomstwo odniosło sukces w wybranych przez siebie dziedzinach. Ham

rozpoczął studia w West Point i ukończył uczelnię jako jeden z najlepszych. Jego bracia, uczęszczający w tym czasie do najbardziej prestiżowych szkół, college'ów i uniwersytetów Wschodniego Wybrzeża, patrzyli na niego nieco z góry, ale on się tym nie przejmował. Thornburg również zachowywał milczenie — był przekonany, że ta duchowa animozja może wyjść Hamowi jedynie na dobre — a poza tym nigdy nie pozwalał sobie na okazywanie uczuć. W głębi duszy był z Hama dumny i przewidywał dla niego świetlaną przyszłość.

Ham doskonale radził sobie w dziedzinie taktyki działań wojennych i natychmiast po ukończeniu uczelni został przydzielony do U.S. Military Assistance Command, Vietnam, (MACV), którym wtedy — w marcu 1965 — dowodził generał William Westmoreland. MACV było ośrodkiem planowania strategicznego przez całą wojnę wietnamską. Ham spędził cztery — czasami pomyślnie, a często pełne zawodów — lata w Sajgonie i okolicach. W czasie służby trzykrotnie go awansowano i chociaż nigdy nie walczył z wrogiem bezpośrednio, ponosił odpowiedzialność za tysiące zabitych.

Po powrocie z Wietnamu Thornburg uparł się, że syn powinien odbyć przyspieszony kurs nauki języka w Japonii. Sześć miesięcy później dzięki waszyngtońskim znajomościom z czasów szkolnych umieścił Hama w Dalekowschodniej Grupie Wywiadowczej (Collection). Tam, zgodnie z przewidywaniami ojca, Ham w pełni rozwinął swoje umiejętności. Dzięki bystremu umysłowi i smykałce taktycznej potrafił znakomicie dostrajać personel militarny i rządowy do niuansów oraz często frustrujących zwyczajów tej obcej ludzom Zachodu, kultury.

W miarę upływu czasu Ham doszedł do wniosku, że jego doskonalenie zostało doprowadzone do takiego poziomu, iż stanowisko zajmowane w armii stało się dlań zawadą. Jako wojskowy był poniekąd wyobcowany, nie mógł chodzić tam, dokąd chciał, ani robić tego, na co miał ochotę, ponieważ Japończycy żywili zdecydowaną antypatią do amerykańskiego personelu militarnego. Sytuację komplikowało jego osobiste nastawienie do ludzi — był taki uprzejmy, taki delikatny i taki nieskazitelny. Został jednak dobrze wyszkolony przez swego ojca: nie potrafił tolerować niczego, co przeszkadzało. W rozwoju jego kariery i postanowił jak najszybciej rozwiązać ten problem.

Przebywał na urlopie na Hawajach, gdy do Waikiki zawitał jego ojciec. Na zalanej słońcem plaży, ozdobionej girlandami szeleszczących palm i brązowymi ciałami odzianymi we fluorescencyjne bikini, Thornburg Conrad Trzeci i Ham obmyślili plan zmiany porządku znanego sobie świata. Ojciec stwierdził, że będzie mu potrzebna pomoc Hama w Japonii. Ponieważ jak zawsze życzył sobie pozostać w tle, chciał, by kierowanie realizacją zamierzeń spoczęło na barkach syna.

Dziesięć dni później, gdy Ham wyruszył z powrotem do Tokio, plan był już opracowany do najdrobniejszych szczegółów, a on z właściwą sobie militarną precyzją rozważył każdą ewentualność.

Zwierzchnicy Hama uwielbiali tę jego cechę; odpowiedni personel rządowy w Waszyngtonie uwielbiał ją nawet jeszcze bardziej. Ale nic dziwnego — w rządzie byli ludzie, z którymi Thornburg najpierw chodził do szkoły, a później przez czterdzieści lat utrzymywał zażyłe stosunki. Lubili Hama, a co więcej — darzyli go szacunkiem; przypominał im ojca, którego również lubili i szanowali oraz z którym ubili wiele obustronnie korzystnych interesów.

Ci ludzie wysłuchawszy Hama, przyswoili sobie plan Conradów z chciwością węża pożerającego szczura. Jak jeden mąż zgodzili się, że Ham jest właściwym człowiekiem na właściwym miejscu i we właściwym czasie. Wzniesli swe głosy w zgodnym chórze i w odpowiedniej chwili Ham otrzymał rozkazy odwołujące go do Waszyngtonu, gdzie z niemalą pompą został przeniesiony w stan spoczynku. Był to dlań niezapomniany dzień. Z piersi zwieszały mu się pęki medali, sprezentowane przez przełożonych, chociaż ani razu nie uczestniczył w czynnej walce z wrogiem, co zresztą sprawiało, że odczuwał pewien cień smutku.

Ale chociaż został emerytowany, nie można było nazwać go emerytem. W efekcie wymienił tylko jeden zestaw mocodawców na inny, ale dzięki temu znalazł się o kilka gigantycznych stopni bliżej szczytu piramidy wpływów i władzy, kilka kroków bliżej celu, jaki wyznaczył dlań ojciec, kiedy Ham był jeszcze dzieckiem.

„Bez wpływów nigdy nie będziesz szczęśliwy” — powiedział Thornburg Conrad Trzeci, gdy Ham miał dwanaście lat. „W przyszłym roku, gdybyśmy żyli w jakiejś prymitywnej kulturze, zostałbyś uznany za męzczyznę, ale w moich oczach też staniesz się dorosły”. Thornburg położył dłoń na głowie chłopca, a Ham, wspominając ten gest, osądził, że było to swego rodzaju błogosławieństwo, jak gdyby ojciec był nie miliarderem, a biskupem. „Bądź

pewien, że będę z ciebie dumny; bądź pewien, że przyniesiesz zaszczyt nazwisku Conrad". I Ham, jak rycerz zakonu templariuszy, po prostu musiał spełnić te oczekiwania.

Tak więc Conradowie, ojciec i syn, postanowili połączyć siły, a dla Hama taki sojusz był najdoskonalszy pod słońcem. Razem sformułowali genialny plan przebudowy świata. Klucz do rozłożenia na łopatki nowoczesnej Japonii był zwoźniczo prosty, ponieważ miał go dostarczyć Japończyk, arogancki Naoharu Nishitsu.

Zakładali, że Yuji Shian zaopatrzone w dowody przeciwko Nishitsu rozpocznie publiczne oczyszczenie, którego punktem kulminacyjnym stanie się bezkrwawy zamach stanu, czemu sprzyjała doskonale wyostrzone japońskie poczucie honoru. Przewrót wymiecie wszystkich podstarzałych prawicowych miliarderów, powiązanych z Nishitsu przez biura swych korporacji i zajmowane stanowiska. I tak jak stało się w Europie Wschodniej i Rosji, wiatr zmian stworzy całkiem nowy system (bardziej odpowiadający Zachodowi, szczególnie Stanom Zjednoczonym), przeznaczony dla konsumentów, a nie ciułaczy, dla młodych ludzi nie obciążonych udziałem w wojnie na Pacyfiku, chcących żyć chwilą obecną, chętnie godzących się z doktryną, że styl amerykański był, jest i zawsze będzie jedynym właściwym sposobem prowadzenia międzynarodowych interesów.

— Hipokryzja jest zmorą cywilizacji — stwierdził Ham pakując w usta to, co według jego oceny było najlepszym hamburgerem w całym okręgu. Na ulicy wszyscy byli czarni; w hamburgei-owej knajpce klientela i sprzedawca byli czarni, nawet kucharz był czarny. Bar znajdował się w murzyńskim getcie w Waszyngtonie, w nocy omijanym nawet przez policyjne patrole. Ham nie miał absolutnie nic przeciwko tej dzielnicy. Waszyngton, jak większość ogromnych aglomeracji USA, był miastem i dla bogatych, i dla biednych — tylko że tutaj było to jeszcze bardziej widoczne. Ham pomyślał o planie Thornburga. Najbardziej do przekonania trafiało mu to, że faktycznie mógłby on doprowadzić do zmiany oblicza świata. Żywił płomienną nadzieję, że być może nawet wpłynąłby na polepszenie sytuacji najbiedniejszych mieszkańców.

Ham pogardzał bogaczami, ich nienagannymi manierami, ciasnymi umysłami i obsesją na punkcie protokołu — jak gdyby cały świat nie wypinaj się na etykietę. Prawdę mówiąc, w tym czarnym świecie wyczuwał rodzaj wrzącego gniewu i przebywając w nim, mógł odetchnąć od górnolotnego, nieskazitelnego zachowania typowego dla zestawu Georgetown—Kapitol,

Wściekłość była emocją czystą, nie zbrukaną przez fałsz i dwulicowość. I stąd jego diatryba.

— Hipokryzja jest cechą wszystkich zadowolonych z siebie kultur — kontynuował. — Jest znakiem ostrzegawczym niezym nieświeży oddech czy krwawiące dziąsła. — Obnażył silne jak stal zęby i wbił je w czerwone mięso hamburgera.

— A propos — rzekł Jason Yoshida, zlizując kroplę roztopionego sera z palca — o trzeciej trzydzieści przychodzi Audrey Simmons.

Szklanka z waniliową colą zniknęła w dłoni Hama, gdy podniósł ją do ust i pociągnął długi łyk.

— Żona senatora Simmonsa?

— Aha. — Yoshida walczył z olbrzymim kęsem cheesburgera. Większa część wypadła mu z ust, gdy powiedział: — Wydaje mi się, że chce ci osobiście podziękować za pomoc udzieloną synowi.

— Dzieci bogaczy — mruknął Ham, wycierając usta papierową serwetką — częściej są produktami fortun swych rodziców niż ich samych. — Dopił szybko colę i zamówił gigantyczną słodką bułkę. — Cena za rodzicielstwo per procura, no nie, Yosh?

Yoshida zatopił zęby w cheesburgerze i chrząknął, gdy strumień keczupu bryznął na stojącą w pobliżu chromowaną cukierniczkę. Ham odwrócił się do wniebowziętego sprzedawcy i powiedział:

— Mam nadzieję, że masz galon mocnej kawy, synu, bo to jest to, czego w tej chwili pragnę najbardziej.

Ham wrócił do biura.

Ku jego zdziwieniu i uldze Audrey Simmons nie była taką hipokrytką jak jej mąż. Jej problem jednakże nie stanowił dla niego niespodzianki. Syn Simmonsov, Tony, wpadł w złe towarzystwo, brał narkotyki, z powodu nieusprawiedliwionych nieobecności wyrzucono go z letniej szkoły i generalnie „stał się zadrą w dupie”, jak to obrazowo określił senator podczas telefonicznej rozmowy z Hamem.

— Wydaje się, że z Tonym już wszystko w porządku. Och, jestem taka wdzięczna. — Audrey Simmons uśmiechnęła się promiennie. — I wiem, że Leland również.

— Nieważne — rzucił lekko Ham. — Zrobiłem to dla Tony'ego.

— Ale, dokładnie, co pan zrobił?

Ham wyprostował się i wyjrzał przez okno. Zobaczył czarnego ogrodnika przycinającego róże przed biurem. Zastanowił się, czy ogrodnik też jadł

śniadanie w knajpce, z której on właśnie powrócił. Ham nie miał biura z widokiem na Biały Dom, co było pragnieniem większości ludzi interesu w Waszyngtonie, jednak już sama jego obecność sprawiała, że zajmowane przezeń pomieszczenie stawało się siedzibą władzy. Standardowy, wysoki pokój z widocznymi przewodami elektrycznymi wyposażony był w brzydkie meble, najwyraźniej sprzed drugiej wojny. Na jednej ścianie wisiała fotografia obecnego prezydenta, a na przeciwległej reprodukcja portretu Teddy'ego Roosevelta. W kątach łuszczyła się kremowa farba.

Ham przyznawał, że o wiele bardziej lubi biura na Ulicy K, chociaż korzystał z nich dużo rzadziej. Zestaw przestronnych, osobiście przez niego wybranych pomieszczeń znajdował się w budynku wynajmowanym przez najbardziej prestiżowe firmy prawnicze. Na piętrze zajmowanym przez jego biura mieściła się jedynie siedziba potężnego lobby popierającego interesy japońskie, co zresztą niesamowicie go bawiło.

Biura na Ulicy K, funkcjonujące pod nazwą „Lenfant and Lenfant”, firmowane były przez Brosiana Lenfanta, znanego i szanowanego byłego senatora z Luizjany. Lenfant po ataku serca wyłączył się z czynnego; prowadzenia interesów i obecnie używał swego nazwiska oraz, przez jeden dzień w tygodniu, swego ciała firmie będącej własnością Hama Conrada.

Jason Yoshida, który stał się obywatelem amerykańskim dzięki pomocy Hama, nominalnie pracował dla Departamentu Obrony. W rzeczywistości większość czasu spędzał w biurach na Ulicy K, kierując nimi z godną podziwu zręcznością.

Ham odwrócił się od okna.

— Wie pani, pani Simmons, czasami wszystkie dzieci pragną popełnić błąd, by rodzice nakreślili im wyraźne granice.

— Granice?

Popatrzył na żonę senatora. Cechowało ją kruche piękno, tak typowe dla waszyngtońskich kobiet, ale wyglądało na to, że cholernie mało wie na temat wychowywania dzieci. Miała na sobie szykowną błyszczącą garsonkę, która musiała zubożyć senatora o co najmniej dwa tysiące dolarów. Ham, mając nadzieję, że kobieta zrozumie, przystąpił do wyjaśnień.

— Jeżeli dziecko wyczuwa, że nic go nie ogranicza, że wolno mu robić wszystko, na co tylko ma ochotę, posuwa się coraz dalej. Postępuje w taki

sposób, pani Simmons, nie dlatego, że jest krnąbrne czy samowolne, ale ponieważ potrzebuje wyznaczonych granic: solidnych jak skała ograniczeń definiujących ten świat, różnicy między Tak i Nie, z tymi granicami bowiem wiąże się niezbędne wszystkim dzieciom poczucie bezpieczeństwa.

Audrey Simmons podniosła się.

— Cóż, mogę tylko powiedzieć, że z Tonym zrobił pan istne cuda.

— Wyciągnęła chłodną, doskonale wymanikiowaną dłoń. — Mój mąż skontaktuje się z panem, aby...

Ham przerwał jej ruchem ręki.

— Może pani przekazać senatorowi, że sam się z nim skontaktuję, jeśli zajdzie taka potrzeba. — Uśmiechnął się, odprowadzając ją do drzwi.

— I niech pani dzwoni bez wahania, jeżeli Tony znowu zacznie pani sprawiać jakieś kłopoty.

Audrey Simmons odwróciła się gwałtownie, tak że Ham, który szedł tuż za nią, wpadł na nią.

— Czy mogłabym zadzwonić do pana niezależnie od zachowania Tony'ego? — zapytała, odchylając głowę pod takim kątem, jakiego kobiety używają w celu zasygnalizowania swego poddania. — Nie tylko mój mąż może okazać, jak bardzo docenia pańskie starania.

Ham zastanowił się, jak bardzo Audrey Simmons musi być znudzona, skoro decyduje zachowywać się jak dziwka.

Ojciec Tony'ego jest hipokrytą, a matka kurwą — pomyślał, czując współczucie dla chłopaka. — Co za rodzina!

Zacisnął palce na jej ramieniu i cedząc przez zęby kordialne, ale ozięble pożegnanie, wyprowadził ją za drzwi.

W chwilę później do biura wsunął się Jason Yoshida.

— Usługa czy interes? — zapytał zamknąwszy drzwi.

— Wiesz, jak na Japończyka jesteś cholernie cyniczny.

— Może byłem Japończykiem, teraz jestem stuprocentowym Amerykaninem.

Ham podniósł rękę.

— Proszę o wybaczenie. — Wzruszył ramionami, siadając za biurkiem — Zresztą i tak jesteś cynicznym sukinsynem.

— To przez to miasto — stwierdził z kamiennym wyrazem twarzy Yoshida. — Musi być coś w powietrzu.

— Albo w wodzie. — Ham stęknął. — Rzecz w tym, że ten dzieciak

Simmonsów generalnie nie jest zły. Wyrósł na człowieka daleko lepszego od rodziców, to pewne.

— Ale dzięki niemu możemy liczyć na starego, jeżeli zajdzie taka potrzeba.

— I zajdzie. Lada dzień do senatu wpłynie projekt ustawy Międzynarodowego Komitetu Handlowego. Drakońskie restrykcje, jakie narzuci na zagraniczny import, spowodują sankcje handlowe ze strony Japonii. W rzeczywistości ustawa, za którą od tak dawna optują amerykańskie związki zawodowe, odetnie nas ekonomicznie od Japonii. Jak myślisz, co się stanie, gdy nawalą wszystkie ściśle tajne komputery systemu obrony, a procesory, wytwarzane jedynie w Japonii, będą nieosiągalne?

— Nie dojdzie do tego. My o to zadbamy.

— Tak, zadbamy. — Ham splótł palce za głowę, gapiąc się za okno na Murzyna i jego rózę. Zazdrościł mu kontaktu z naturą. — Ale może nie dość szybko. Słyszałeś o senatorze Dirkingu? Dziś rano zmarł w czasie snu. Thomburg jest bardzo zaniepokojony tą passą zgonów czołowych senatorów.

— Coroner twierdzi, że są to albo wypadki, albo zejścia naturalne, więc nie możemy liczyć na pomoc ze strony policji.

— Oczywiście, że nie. Chodzi o to, że policja nie potrafi spojrzeć na ten problem z właściwej perspektywy. Wszyscy senatorowie, którzy się przekreśli, byli przeciwni tej ustawie. A kim są ich następcy? Ludźmi zależnymi od związków zawodowych, którzy będą głosować za jej wprowadzeniem.

Yosh zaczął cierpliwie na koniec tyrady i wtedy powiedział:

— Z innej mańki: z powrotem przydzieliliśmy Shipleya do starej roboty w Obronie, ale chyba powinniśmy zastanowić się nad jego awansem. Bezbłędnie wpędził Wolfa Mathesona w lukę powstałą w wyniku śmierci Moravii.

Ham obserwował padający na krzaki róż cień, który sprawiał, że zdrewniałe łodygi wydawały się czarne.

— Jasne. Czemu nie?

— Pomyślę o odpowiedniej nagrodzie.

Ham odwrócił się, spojrział ostro na Yoshidę, rozpoznając jego ton.

— Co cię niepokoi?

— Nie jestem pewien — przyznał Yoshida. — Ale zaczynam mieć złe przeczucia. Na początku byłem przekonany, że twój ojciec zaplanował

wszystko do ostatniego szczegółu. A do czego dochodzi? Najpierw zaczęli wykruszać się senatorowie. Potem załatwiono Lawrence'a Moravię, a twój ojciec nalega, żeby w powstałą lukę wepchnąć Mathesona. Nawet nie wiemy, czy Moravia przed śmiercią nie zaczął sypać.

— Przecież wiesz, że to nie ma znaczenia, bo używaliśmy łącznika, Shipleya. Moravia nigdy nie spotkał się osobiście ani z nami, ani z naszymi kontaktami; nie miał pojęcia, że jesteśmy w to zamieszani.

Yoshida nie pokusił się o komentarz, ale z typową dla siebie jednotorowością myślenia mówił dalej:

— My nakręcamy Shipleya, a on werbuje Mathesona, tak jak kazał twój ojciec. Śledzimy poczynania Mathesona, podczas gdy on na własną rękę prowadzi dochodzenie w sprawie śmierci Moravii. Niewiele nam to daje; dowiadujemy się jedynie o istnieniu oszałamiającej japońskiej artystki. Matheson o nią wypytuje, nie wiadomo dlaczego — może jest na nią napalony — a potem ktoś wrzuca go przez świetlik do mieszkania w nowojorskim bloku.

— Słuchaj, Yoshida, to był istotnie plan mojego ojca i jeżeli o mnie chodzi, ciągle jest aktualny. — Ham powiedział to tak, jakby nie słyszał ani słowa z tego, co mówił Yoshida. Bardziej prawdopodobne było to, że się z nim nie zgadzał. — A obecnie jesteśmy w fazie japońskiej.

— Dzięki temu, że mamy własne układy w Japonii — podkreślił Yoshida. — Wiesz, że być może, ale tylko być może, stary zaczyna popełniać błędy. Musisz przyznać, że w jego wieku to wielce możliwe. Matheson jest przykładem. Dlaczego twój ojciec tak nalega, by to on zastąpił Moravię, chociaż ja już mam w Tokio doskonałego agenta? Ponadto sam Matheson przyprawia mnie o dreszcze; jest samotnikiem i w dodatku amatorem. Kto wie, czy będzie zdyscyplinowany? — Yoshida potrząsnął głową. — Jest jedynym niestabilnym elementem planu. Dlaczego mamy polegać na kimś tak nieobliczalnym, a przez to niebezpiecznym?

— Już to przerabialiśmy. Matheson jest detektywem z zawodu; gównu, w jakie wdepnął Moravia, to jego chleb powszedni. Według mnie ojciec jest przekonany, że popełniliśmy jakiś błąd w postępowaniu z Moravią oraz że jedynie Matheson jest dość cwany, by zinfiltrować „Zakazane Sny” i świat Naoharu Nishitsu. Ja, biorąc pod uwagę to, co czytałem na temat tego gliniarza, jestem skłonny zgodzić się ze starym. Ale twoje obiekcje zostaną rozpatrzone, Yosh.

— To nie są obiekcje — stwierdził Yoshida. Poczekał, póki Ham nie podniósł wzroku, i dodał: — To znak ostrzegawczy, jak nieświeży oddech czy krwawiące dziąsła. Trzeba uważać, bo cały plan znajdzie się w niebezpieczeństwie.

Ku wielkiemu zaskoczeniu Wolfa, w szpitalnej sali po przeniesieniu z oddziału pooperacyjnego czekała nań siostra Amandy, Stevie Powers. To ona sprowadziła z Walter Reed w Waszyngtonie specjalistę neurologa który sprawdził, czy długie, głębokie rany w lewej nodze i ramieniu nie pozostawiły trwałych uszkodzeń. Jego upadek cudownym zrządzeniem losu zakończył się na staromodnym szerokim łożu zarzuconym stosem pierzyn i kołder, które złagodziły impet upadku.

— Spędzasz ze mną tak dużo czasu. Co na to twój pacjent?

Stevie zdobyła się na nikły uśmiech.

— Wzięłam trochę wolnego. — Garsonka od Karla Lagerfelda doskonale; podkreślała krągłości jej figury. — Prawda jest taka, że w obecnym stanie nie mogłabym stawić czoła ich wypaczonym psychikom. Oczywiście Morton tego nie pochwała. Uważa, że powrót do pracy byłby dla mnie najlepszym lekarstwem, ale nie ma racji. — W chwili, gdy Wolf dochodził do przekonania, że to zagranie psychiatry pragnącego wypatroszyć mu mózg, rozbroiła go subtelnym uśmiechem i stwierdzeniem: — Nieważne, lubię być tutaj... z tobą... bliżej Amandy niż gdziekolwiek indziej.

Jednakże w jakiś przewrotny sposób jej niespodziewana uprzejmość była przygnębiająca. W czasie dni spędzonych w szpitalu, które mu się straszliwie dłużyły, Wolf czuł się straszliwie samotny. I podczas gdy Bobby Connor wraz z innymi gliniarzami składali mu kurtuazyjne wizyty, Squire Richards nie mógł bądź nie chciał przyjść. Kiedy o niego zapytał, twarz Bobby'ego spoważniała.

— Wszyscy wiedzą, żeście się pobili.

— To nie była bijatyka — poprawił zaniepokojony Wolf. — Tylko nieporozumienie.

— Porozmawiajmy o czymś innym. CME mówi, że być może za tydzień będzie miał coś dla pana.

— Dobra, dajmy temu spokój. Co mówi plotka?

Bobby był wyraźnie skrepowany.

— Poruczniku, ludzie mówią, że starł się pan ze Squire'em dość poważnie.

Coś w głosie Bobby'ego sprawiło, że Wolf zapytał:

— I?

— I że chce pan wylać go z Wilkołaków, bo jest czarny.

— To śmieszne.

— Ja to wiem, ale nie sądzę, żeby Breathard też tak uważał.

— Głupi sukinsyn!

Ale oczywiście Breathard wcale nie był głupi. Przeciwnie, był bardzo bystry.

— Musi pan zrozumieć, poruczniku, tam było wielu świadków, a Breathard rozmawiał ze wszystkimi.

— Niech pogada ze Squire'em. To była sprawa między nim a mną.

Bobby podniósł się i wyjrzał za pokryte sadzą okno.

— Squire nieraz kłapał pyskiem na ten temat i dodawał, że nie ma zamiaru opuszczać Wilkołaków.

— Chodzi ci o to, że sam sobie wmówił tę idiotyczną bzdurę z rasizmem?

— Chyba tak. — Odwrócił się do Wolfa. — Teraz wziął kilka dni wolnego. Breathard to zatwierdził.

Wolf zamknął oczy. Squire bez wątpienia przetrzepywał okolicę, by zdobyć gotówkę na spłacenie zaciągniętej przez brata pożyczki. Teraz żałował, że nie wyszedł za nim w tamtą noc z „La Mentira” i nie dał mu tych pieniędzy.

— Bobby — rzekł zmęczonym głosem — daj mi znać, jak się pojawi. Jeśli zadzwoni, powiedz mu, że chcę z nim porozmawiać o... Po prostu powiedz, że chcę pogadać.

Kiedy Squire przyszedł, Wolf poznał, że zdobył forszę. Oczywiście, było to niezgodne z regulaminem; właśnie na ten temat czasami rozmawiał z Amandą. Ale czyż męskie kluby nie głosiły: albo naginasz prawo, albo ustanawiasz własne? Jedno i drugie sprowadzało się do pogardy w stosunku do praw rządzących światem, pogardy często tak subtelnej, że wielu członków owych klubów nie było świadomych jej żrącego istnienia. Naturalnie, dla niektórych stanowiła ona jawną, nieodpartą pokusę.

Trzy dni później, po wypisaniu ze szpitala, Stevie zaprosiła Wolfa do swego domu w East Hampton na czterodniowy weekend.

— Proszę, zgódź się — nalegała. — Rozpaczliwie potrzebuję odpoczynku, a sama nie wytrzymam. — Uśmiechnęła się lekko. — Dobrzy psychoanalitycy wiedzą, że prędzej czy później nastąpi wybuch.

Olbrzymi dom, który przycupnął nad stawem, był mroczny nawet w południe, ale nie cichy. Poskrzypywanie i pojękiwanie wiekowego drewna i mosiężnej kanalizacji współbrzmiało z szumem grubych konarów poskręcanych, olbrzymich tsug, które ocierały się o zewnętrzne ściany budynku.

Z jakichś powodów w najbliższym sąsiedztwie domu, schowanego w zagajniku kosmatych, bezkształtnych tsug, często mniej wiało. Wzdłuż wschodniego boku posiadłości biegł wysoki, ozdobnie przycięty żywopłot z ligustru. W ogrodzie przeplatały się rododendrony i mniejsze, bardziej delikatne azalie. W posiadłościach po obu stronach posesji, ukrytych przed ludzkim okiem, ale bynajmniej nie ignorowanych przez Stevie i jej męża, mieszkali reprezentanci amerykańskiej błękitnej krwi.

Wolf widział rozciągający się za oknem staw Georgica — jego nazwa była typowym dla miejscowego establishmentu przykładem minimalizowania, w rzeczywistości bowiem było to wcale niemałe jezioro. Słońce malowało smugi na połyskującej powierzchni wody, tworząc nie dokończony obraz; było tam wrażenie rodzącego się światła, barwy jeszcze nie ożywionej, idei nie ukształtowanej.

Wolf wymyślił sobie historyjkę i teraz w nią wierzył: w stawie istniało tajemnicze połączenie naturalnych sił — życie ukryte, a jednak rojące się pod wodą, pod skałami, pod baldachimem chylących się nad wodą dębów — którego nowoczesny człowiek nigdy całkowicie nie zrozumie. Pomyślał, że to samo odnosi się do umysłów ludzi, którzy wymyślili i wykonali fetysze wiszące w jadalni oraz saloniku Stevie i Mortona.

Były to rzeźby zwierząt, ludzi, nadnaturalnych stworów, które Stewią jako nastolatka zbierała w czasie włóczęgi po Meksyku, Hondurasie, Tybecie, Gwatemali, Peru, Haiti, Madagaskarze, Sri Lance, Tajlandii, Bhutanie, Zanzibarze.... Wolfa intrygowała ta animistyczna atmosfera, jak gdyby kukły tworzyły psychiczne wiry w pokojach, korytarzach, na klatce schodowej; jak gdyby posiadały moc powołania do życia — czy przynajmniej przypomnienia — pieśni świata Białego Łuka.

Wolf zasnął, a kiedy się przebudził, w oczach mu się ćmiło, a w gardle zaschło na wspomnienie, jak to został rzucony na świetlik, uderzył weń i przebił się wśród fruujących odłamków szkła. Ale śnił nie o walce na dachu budynku, nie o upadku. Co mu się śniło? Martwy i niemartwy; ogień w lodzie, w... Otarł pot z czoła, zmagając się z zawodzącą pamięcią.

Przespał cały ranek. Stevie siedziała w fotelu w salonie, przeglądając teczkę jednego ze swych pacjentów, ale zamknęła ją, gdy tylko Wolf stanął w korytarzu.

Wiatr szumiał niespokojnie w gałęziach tsug, a stuk uderzających w ściany gałęzi był delikatny niczym głosy dobywające się z podświadomości. Gdzieś, może nad wodą, świeciło słońce.

— Jak się czujesz?

— W porządku. — Kilka razy zgiął i wyprostował lewą rękę. — Jest jeszcze zdrętwiała po śnie, ale poza tym... — Wzruszył ramionami. — Zaczyna mi brakować treningów.

— Dobry znak. Będę tęskniła, gdy wrócisz do pracy.

Wszedł do salonu.

— Co Morton myśli o moim pobycie tutaj?

— Morton jest w Waszyngtonie — odparła Stevie, nagle pochłonięta przetrzepywaniem poduszek na kanapie. — A kiedy Morton jest w Waszyngtonie, świat przestaje dla niego istnieć.

Wbiła pięść w środek poduszki, co miało niepokojące dla Wolfa następstwa — biała, ręcznie szyta koszula opięła się na jej piersiach. Tutaj, na wsi, Stevie jakby strząsnęła z siebie towarzyską ogładę, zrezygnowała z eleganckich strojów na rzecz dżinsów i prostych koszul lub swetrów. Wydawało się, że zostawiła tę drugą, błękitnokrwistą Stevie Powers za sobą, na Park Avenue.

— A bywa tam dość często — stwierdził.

Odwróciła się i powiedziała:

— Dostaję tu klaustrofobii. Widzę słońce nad stawem; chodźmy na spacer.

Zarzucili kurtki i zeszli nad jezioro, gdzie słońce przeglądało się w spokojnej wodzie. Jak na początek marca było dość ciepło, nie zapięli więc kurtek, których poły obijały im się o uda w czasie marszu. Szli w milczeniu skrajem wody, Wolf skakał po kamieniach do połowy tkwiących w wilgotnej glebie. Jeszcze lekko utykał, lecz Stevie miała wrażenie, że z każdym krokiem staje się coraz silniejszy. Jego zdolność regeneracji była zaskakująca.

Staw wyglądał jak jakaś trwała rzecz, odpoczywająca, hibernująca, śniąca o wiośnie, która pobudzi ją do życia.

Stevie wsunęła ręce w kieszenie i skuliła ramiona, chociaż nie było wiatru. Wolf wiedział, że nadal myśli o jego uwadze na temat wyjazdów Mortona do Waszyngtonu.

— Wolf, zaaranżowałam wszystko tak, że nawet Amanda kupiła tę bajeczkę o Mortonie i mnie — rzuciła raptownie. — Głupio, no nie? Co przez to zyskałam? Odciełam się od jedynej osoby, z którą mogłam o tym porozmawiać. — Zerknęła na niego przelomie, po czym odetchnęła głęboko. — Cóż, prawda jest brutalna: Morton wynajął w Waszyngtonie mieszkanie. Obawiam się, że znalazł sobie kobietę dużo młodszą ode mnie. Attache francuskiej ambasady, jak mi się wydaje. — Z zadumą zmarszczyła brwi, patrząc na ślady, jakie zostawiały jej buty w ciemnej, pokrytej zeszlodziłymi liśćmi ziemi. — Zabawne. Nie wyobrażam sobie, że mogłabym powiedzieć to komuś innemu. Zostałam upokorzona. Morton i ja cieszymy się reputacją wzorowego małżeństwa; to dobre dla naszych karier. Trudno to przyznać, ale przypuszczam, że młodość jest czymś z czym po prostu nie mogę konkurować.

Wieczorem, nad przyrządzonym przez siebie andaluzyjskim gulaszem, powiedziała:

— W pewien sposób przypominasz fetysze, które ozdabiają dom: jesteś obcy i fascynujący.

Wolf zdjął jedną z rzeźb, a jaskrawe kolory topornego posążka wypełniły jego rękę jak fontanna światła.

— Uważasz te fetysze za obce?

— A nie są?

Wolf wzruszył ramionami.

— W pewien sposób są bliższe światu, niż my będziemy kiedykolwiek.

— Podparł brodę rękoma.

— Opowiedz mi o tym coś więcej.

— Więc dlatego upierałaś się, żebym tu przyjechał: chciałaś poddać drobiazgowej analizie moją psychikę.

Natychmiast zrozumiała, że mówi poważnie. Roześmiała się, - Och, mój Boże, nie! Nie, wcale tak nie myślałam. — Ale nie potrafiła spojrzeć mu prosto w oczy; zamiast tego wpatrywała się w talerz takim wzrokiem, jakby zawierał wnętrzości, z których, jak Rzymianie, mogłaby wyróżnić przyszłość. — Czy pomyślałbyś o mnie źle — zaczęła podnosząc głowę i napotykając spojrzenie Wolfa — gdybym wyznała, że sprowadziłam cię tutaj z powodu przemożnego poczucia winy?

— Nie. Pomyślałbym, że zrobiłaś coś naturalnego — uśmiechnął się.

— Amanda zawsze mówiła... — Urwał raptownie i zatrwożony spuścił wzrok. Zagryzł zęby, na siłę powstrzymując cisnące się do oczu łzy.

— O Chryste, Amando — pomyślał.

Stevie wstała i zaczęła zbierać naczynia.

— Wiesz, wbrew temu, co widziałeś, posiadanie siostry nie zawsze jest łatwe. Amanda i ja często ze sobą walczyłyśmy, zwłaszcza o Mortona. No cóż, może miała rację.

Przyniosła torcik beżowy, chociaż wiedziała, że żadne z nich nie ma zamiaru go jeść; podanie deseru dostarczyło tego, czego potrzebowała — poczucia normalności.

— Rywalizowałyśmy ze sobą — ciągnęła dalej. — Założę się, że nie wiedziałeś o tym, może dlatego, że nauczanie czyniło ją tak szczęśliwą. Kiedy byłyśmy młodsze, jedna zawsze chciała być lepsza od drugiej i czasami się raniłyśmy... a potrafiłyśmy ranić się naprawdę głęboko. — Rozstawiła filiżanki, śmietankę i cukier, nalala kawy. Usiadła tak raptownie, że kawa chlusnęła z filiżanek na stół. Skryła twarz w dłoniach. — O cholera, obiecałam sobie, że nie będę odgrzebywała przeszłości, odświeżała starych ran, użalała się na niesprawiedliwy los, szczególnie przed tobą, który nieomal zginałeś, chcąc ją pomścić... — W zamyśleniu skubała przerzucony przez ramię warkocz. — Ale to jest tak cholernie niesprawiedliwe!

— Oboje mieliśmy dużo więcej do powiedzenia Amandzie, prawda?

Stevie skuliła ramiona i płakała otwarcie. Jejbezbbronność rozładowała napiętą atmosferę. Wolf zrozumiał, że stopniowo przenika przez wypracowaną pozę do prawdziwej Stevie Powers, z jej nieudanym małżeństwem, złymi stosunkami z siostrą, wątpliwościami dotyczącymi siebie samej. Po długiej chwili milczenia powiedziała:

— Opiekowanie się tobą, świadomość, że jestem komuś... że jestem tobie potrzebna, dodawała mi sił. — Światło padało na jej sylwetkę tak, że nie widział dokładnie rysów twarzy i przez chwilę jej profil zdawał się niepokojąco obcy. Po głowie błąkały mu się pozostałości snu: oczy dziadka, oczy Chiki, jej silne uda, biodra wysunięte do przodu, drzenie i cichy jęk.

— Wiesz, Wolfie, zwykłam myśleć, że Amanda mnie potrzebowała, i sądzę, że tak było. Ale teraz, zbyt późno, odkryłam prostą i oczywistą prawdę: ja potrzebowałam jej tak samo.

Próbował uwolnić się od niepokojącego wspomnienia Chiki.

— Zostajesz dzisiaj na noc?

Pokręciła głową.

— Nie, ale dobrze, że tu jesteś. Czuję twoją obecność, a to coś, na czym mogą polegać.

— Masz cholerne szczęście, że Jason Yoshida jest do ciebie przywiązany — powiedział Thornburg Conrad Trzeci. — Ten człowiek bez właściwego nadzoru mógłby okazać się niebezpieczny. A i tak powinien być trzymany pod kluczem. Doświadczenie z Japończykami utwierdza mnie w przekonaniu, że im po prostu nie można ufać.

— Yosh jest inny — stwierdził Ham Conrad. Generalnie podzielał żywioną przez ojca nieufność w stosunku do Japończyków, których pojęcie dobrego interesu sprowadzało się do zasady: „Idź i zrób dokładnie to, o co proszę”, ale Yoshida na każdym kroku dowodził swojej lojalności. — Z bólem wyznał, że jest całą duszą Amerykaninem.

Conradowie siedzieli przed kapitańską kabiną „Influence II”, wspaniałego czterdziestopięciostopowego szkunera Thornburga. Jacht stał na kotwicy w ulubionym miejscu właściciela, wystarczająco oddalonym od szlaków morskich w Chesapeake Bay. Dzień był łagodny; słońce, jakby czerpiąc energię ze swego odbicia w wodzie, zapowiadało nadchodzącą wiosnę. Na kraciatej serwecie stały resztki skonsumowanych przez Hama marylandzkich krabów oraz plastikowe kubki sosu tatarskiego, musztardy, keczupu, talerze z górą sałatki ziemniaczanej, piklami i zimnymi mięsami, z których Ham właśnie komponował kanapkę.

— Japończyków jest cholernie trudna osądzić. — Thornburg w tradycyjnym niebiesko-białym jachtowym stroju prezentował się niezwykle elegancko; z daleka dzięki wzrostowi, szczupłej budowie i potężnej, surowej twarzy przypominał Gary Coopera. — Ja też spędziłem wśród nich sporo czasu. Nie bądź zarozumiała i nie myśl, że jesteś jedynym człowiekiem, który potrafi zwęszyć, jacy oni są. Brakuje mi słów, by dostatecznie cię przed nimi ostrzec.

Ham czekał; był w tym biegły, w przeciwieństwie do braci, którzy tracili cierpliwość, gdy mieli do czynienia z ojcem. Uważali go za zrzedliwego tetryka, który przeżył swój czas. Ham patrzył na ojca jak na arcydzieło i widział w nim logicznego, błyskotliwego, wyrachowanego stratega na polu bitewnym życia. Chociaż stary kierował się własnym, kodeksem moralnym, Ham mógł tylko sobie życzyć, by być do niego podobnym.

— Weź za przykład naszych przyjaciół, Yuji Shiana i Naoharu Nishitsu — zaczął wreszcie Thornburg. — Dodaj jednego i drugiego, a otrzymasz zero, które wprawi w ruch nasz planik.

Rzeczywiście, planik! — pomyślał Ham. — Nasz mały plan ma rzucić nowoczesnego, ekonomicznego, japońskiego kolosa na kolana i zmieść z powierzchni ziemi takich niebezpiecznych radykałów, jak Naoharu Nishitsu.

— Tak, sir. — Zwracał się do ojca per „sir” od czasu, gdy w wieku lat dziewięciu został wysłany do szkoły przygotowawczej; w bezpośredniej rozmowie nigdy nie przyszłoby mu na myśl nazywać go inaczej.

Thornburg, obserwując syna czyniącego spustoszenie wśród stojących na stole potraw, kontynuował:

— Jeżeli o mnie chodzi, wzrastające znaczenie Stowarzyszenia Czarnego Ostrza połączone z niewyobrażalną sumą pieniędzy napływających od lat w ręce Nishitsu zmusza nas do niezwłocznego wprowadzenia planu w życie. Zgadzasz się ze mną, tak samo jak prezydent i wojsko. A jeszcze bardziej podoba im się moja propozycja napuszczenia na siebie dwóch dominujących w Japonii sił, które w konsekwencji wyniszczą się wzajemnie.

— Cóż, sir, jak obaj wiemy, żadna taktyka nie wytrzymuje bezpośredniej konfrontacji z wrogiem. Stąd mój awaryjny plan wprowadzenia w centrum wydarzeń Yoshidy.

— Nie bądź taki bystry, synu. Ktoś dowiedział się, że wykorzystaliśmy Morawię do infiltracji „Zakazanych Snów”, tego cholernego klubu ultrakonserwatystów w Tokio. Wiemy, że „Zakazane Sny” są również punktem zbornym Toshin Kuro Kosai. Moravia zebrał niepodważalne dowody przeciwko Nishitsu, jakich będziemy potrzebować, by Yuji Shian wkroczył do akcji. Dał nam również wykaz stanowisk zajmowanych przez członków Stowarzyszenia Czarnego Ostrza w biurach międzynarodowych korporacji na świecie. Stowarzyszenie jest prężne, to pewne, i musimy zdusić je, nim się zdąży zbyt dobrze obwarować. Oto do czego doszedł Moravia i dlaczego go załatwili.

— Ale nadal brakuje nam niepodważalnych dowodów wiążących Nishitsu z ultrakonserwatystami, radykalnymi terrorystami i Stowarzyszeniem Czarnego Ostrza. Potrzebujemy również więcej informacji na temat planów Toshin Kuro Kosai. — Usta Thornburga skurczyły się jakby w jakiejś atroficznej reakcji na widok jedzenia. — A wtedy oni spróbują załatwić człowieka, który zamiast Moravii zstąpi w węzową jamę „Zakazanych Snów”.

— Mathesona.

— Tak. Wolfa Mathesona. Shipley, nasz człowiek w Obronie, odwalił kawał dobrej roboty, werbując go.

Ham skończył kanapkę z indykiem i serem gorgonzola i zaczął przygotowywać następną.

— Chciałbym o nim porozmawiać. Skoro wróg już o nim wie, może powinniśmy zastanowić się nad wyborem kogoś innego do...

— Nie wysilaj się — uciął Thornburg. — Powiem ci coś o naszym przyjacielu Wolfie Mathesonie. Wierz mi, na całej ziemi nie ma lepszego detektywa. Ten człowiek obdarzony jest nieomylną intuicją oraz ma ciekawość i upór buldoga. A to straszna kombinacja.

— Człowiek Yoshidy jest już na miejscu — dowodził Ham. — I jestem zmuszony podkreślić, sir, że wszystkim, co jak dotychczas dał nam Matheson, są jakieś pieprzone fantazje na temat dokonanego przez nowojorskiego CME odkrycia, iż Moravia jakoby był młodszy, niż na to wyglądało. Co, nawet jeżeli jest prawdą, nie wiąże się z naszą sprawą,

— Synu, nie znasz Mathesona tak jak ja. Musiałbyś widzieć go w akcji żeby docenić jego zdolności. Wybrałem go nie bez powodów. Co jeszcze masz do powiedzenia?

Ham porzucił temat, ale nie przestał zastanawiać się, jak w związku z tym postępować. Im dłużej myślał o tym, co powiedział mu Yoshida* tym bardziej skłaniał się do jego opinii. Matheson był bardzo niebezpiecznym typem, a co więcej, niepodobna było przewidzieć jego posunięć. Ojciec; oczywiście nie potrafił tego dostrzec, ale on i Yoshida — tak.

— Och, prawie zapomniałem — powiedział, sięgając do kieszeni. — Szef w końcu dostał fotografię tej japońskiej artystki, którą tak gorliwie zajmował się Matheson tuż przed wypadkiem. — Podał ojcu małą kopertę o wymiarach pięć na siedem cali. — Nie sądzę, by to coś dało. Yosh uważa...

— Pokazywałaś to komuś, synu?

Ham pokręcił głową.

— Widzisz, że pieczęć Breatharda jest nie naruszona.

Thornburg zerknął na kopertę, według instrukcji Hama oklejoną plastikową taśmą z logo szefa NYPD. Chrząknął i za pomocą stołowego noża przeciął taśmę. Wewnątrz znajdowała się ziarnista czarno-biała fotografia. Thornburg przez pewien czas przyglądał się twarzy młodej kobiety, potem odłożył zdjęcie na bok.

— Dobry Boże, synu — powiedział widząc, jak Ham wgrzyza się w kanapkę z pieczoną wołowiną, szwajcarskim serem i surówką z kapusty

— Masz apetyt za całą siódmą flotę!

Ham wyszczerzył zęby, przegryzając kanapkę czosnkowym pikiem.

— To morskie powietrze, sir; dosłownie czuję, jak soki we mnie krążą.

— Cholerne kłamstwo! — rzucił Thornburg, wykrzywiając cienkie usta. — Zawsze żarłeś jak tragarz. „Hiperaktywne dziecko” jak mówiła twoja matka. „Brednie!”, powiedziałem jej. Ten chłopak je jak mężczyzna.

— Chrząknął. — Ach, te kobiety. Myślą, że wiedzą wszystko o wszystkich, zwłaszcza jeśli chodzi o wychowywanie dzieci. Bzdura! — Spojrzał z ukosa na światło odbijające się od wód Zatoki Chesapeake i wskazał kciukiem w kierunku rufy, gdzie na golasa, mimo chłodu, opalała się szczupła młoda blondynka. — Dlaczego się z nią ożeniłem? Bo ma w nosie dzieci. Jest stworzona do jednego, co od razu dostrzeże każdy pełnokrwisty mężczyzna, i robi to cholernie dobrze. — Znów chrząknął, szturchając zakrzywionym palcem kraby opiekane w cieście. Obliznął palec i dodał: — Jedzenie. Ostatnio wcale nie mam apetytu.

Za kilka dni Thornburg Conrad Trzeci miał przekroczyć osiemdziesiątkę, ale, jak lubił powtarzać, nadal był męski jak zawsze. Prawdę mówiąc, nie wyglądał na swoje lata.

— Ale gdybym chciał, z nią chyba mógłbym jeszcze spłodzić potomka.

— Roześmiał się na widok wyrazu twarzy syna. — Zawsze byłeś taki przyzwoity, Ham, zawsze taki skoncentrowany na pracy, po prostu żołnierz doskonały. Dobrze, że potrafię jeszcze cię zaszokować. To mi przypomina, że mój czas jeszcze się nie skończył.

Thornburg przed trzema laty przeprowadził się do ogromnej zalesionej posiadłości na wsi w Wirginii, tuż przed spotkaniem i poślubieniem Tiffany „Ciało”, jak potajemnie nazywał ją Ham. „Cześć! Mam na imię Tiffany, a ty?” Ham potrafił sobie wyobrazić, jak mówi to swym wysokim głosem, który mógł zawrócić w głowie. Teraz nazywała się Tiffany Conrad, co, według Hama, samo w sobie było doskonałym żartem.

Kiedyś, popijając glenliveta —jedeny alkohol, jaki tolerował — Thornburg wyznał Hamowi, że najbardziej nienawidzi tego, iż już nie może się wyprostować. „Jednak — rzekł bełkotliwie —jestem wyprostowany tam, gdzie najważniejsze, więc niech nikogo nie obchodzi, że garbię się lekko na wietrze. W swoim czasie przeżyłem dość sztormów!”

Ham pomyślał, że ojciec ma świętą rację. Thornburg przewyższał każdego ze swych wrogów siłą i przebiegłością. „Nieważne, czego wymaga wygrana — rzekł synowi, gdy był tak pijany, że ledwo widział na oczy — zrób to i basta, bo nic innego nie ma znaczenia. Kobiety, te zmienne istoty, przychodzą i odchodzą, a dzieci, niech ich dusze będą przeklęte, zdradzą cię, dorastając i robiąc wszystko, co będzie sprawiało im cholerną przyjemność”.

Ham wspomniawszy mroźny jesienny poranek, gdy ojciec zabrał go na spotkanie do Pentagonu. Właśnie powrócił z Wietnamu i na jego piersiach błyszcząły nowe medale, przypuszczał więc, że ojciec chce się nim pochwalić.

Na ironię spotkanie odbyło się w tym samym pomieszczeniu, do którego Ham został wepchnięty kilka lat później, aby zaproponować plan rzucenia Japonii na kolana.

Ham był oszołomiony — a musiał przyznać, że również nieco zakłopotany — szacunkiem, jakim się cieszył ojciec, i wpływami, jakie posiadał: na spotkaniu byli obecni jedynie najstarsi rangą oficerowie. Ham z doświadczenia wiedział, że cywile — to znaczy wszyscy nie należący do Sił Zbrojnych — byli traktowani ze znaczną podejrzliwością, nie mówiąc o pogardzie. Wojskowi tworzyli swego rodzaju uświęcony klan i niczym masoni nikogo nie dopuszczali do swoich spraw.

Dobrze pamiętał kontradmirała, który był wrogo nastawiony do rzuconej przez Thornburga propozycji założenia centralnego ośrodka zatwierdzającego produkcję systemów zaawansowanej broni w każdej dziedzinie wojskowości. Ojciec był tym zainteresowany, ponieważ właśnie połączył cztery małe, ale z perspektywami na przyszłość, firmy wyrabiające prefabrykaty zbrojeniowe w pierwszorzędnym koncernie.

Kontradmirał, przekonany, że taki scentralizowany plan uszczupli jego władzę, dowodził, iż w efekcie zniszczy on konkurencję i wpłynie na wzrost cen.

Ham, zahipnotyzowany jak wszyscy, słuchał, jak ojciec prezentował fakty i liczby dotyczące ostatniej dekady, ilustrując krok po kroku nieefektywność dotychczasowej procedury. Ujawnił straty wynikające z usterek w projektach, z przestarzałych systemów produkcyjnych i z fałszowanych testów, co było efektem szalonej walki o najniższe oferty. Potem wykazał, w jaki sposób jego system mógłby znieść wady starego i poprawić obecny stan rzeczy.

Ta zręczna i przemyślana oracja niewątpliwie trafiła do przekonania szacownych słuchaczy, ale Thornburg jeszcze nie skończył. Przedstawił syna, podkreślił jego zasługi w czasie służby w Wietnamie, po czym poprosił, by Ham podzielił się swymi spostrzeżeniami na temat wyposażenia wojskowego dostępnego MACV na południowo-wschodnio-azjatyckim obszarze.

Sprawozdanie Hama na temat licznych niepowodzeń dowództwa wojskowego w Wietnamie ostatecznie przeważało szalę na stronę ojca.

Tak — myślał Ham, przyglądając się, jak ojciec oblizuje łyżeczkę z keczupem — on nigdy nie pozwolił, by ktoś czy coś stanęło mu na drodze. I cholernie dobrze, że jestem przy nim, jest bowiem bezlitosny i bezwzględny jak rekin. To, co on na wpół żartobliwie nazywa przyzwoitością, naprawdę jest moją moralnością.

Thornburg wyjął cygaro ze srebrnego pudełka, przetoczył je w palcach, powąchał i odłożył niechętnie.

— Większość ludzi uważa mnie za niemoralnego.

Nieraz wydaje się, że potrafi czytać w myślach — powiedział do siebie Ham.

— Ale co oni o tym wiedzą? — ciągnął ojciec. — Wiesz, że opinia Większości opiera się na ignorancji. — Spojrzał twardo na syna.

- Prawda jest taka, i jesteś jedyną osobą, której to powiem, że mam własny kodeks moralny. Śmiem twierdzić, że różnica między nim a innymi polega na tym, iż mój kodeks opiera się na odmiennym zestawie parametrów. Pływam w cholernie niebezpiecznym morzu; aby przeżyć, potrzebna jest i odwaga, i podstęp, ale żeby prosperować, trzeba jeszcze więcej.

— Rozumiem, sir.

— Oczywiście. — Thornburg pokiwał głową. — Zawsze byłeś bystry. I urodziłeś się z wyczuciem na tyle dobrym, by nigdy nikomu nie pozwalać wodzić się za nos.— Ham wiedział, że ojciec robi aluzje do jego starszego brata Jaya, którego obiecująca praktyka adwokacka upadła z powodu romansu, jaki nawiązał z żoną swego starszego partnera. — Mężczyźni, którzy myślą jajami, nie są w ogóle mężczyznami. Są marionetkami czekającymi biernie na rozwój wydarzeń.

— Moglibyśmy teraz pomóc Jayowi, sir.

Ignorując syna, Thornburg obrócił się na fotelu. Wlepił oczy w Tiffany która usiadła i smarowała się po raz kolejny olejkami.

— Ach, widzisz? Bóg nadal mnie kocha. Popatrz, jak masuje sobie piersi. Staje mi na sam widok! Spójrz na te sutki, cudowne! — Stary potarł chudą szczękę. — Ach, ta jędrność. Czegóż bym nie dał za młodość.

— Na co się uskarżasz? Nie wyglądasz nawet na jej ojca.

Thornburg odwrócił się do Hama.

— Musisz jeszcze dużo się nauczyć o życiu, synu. Znam ludzi ze wszystkich warstw społecznych. Mam nad tobą nieuczciwą przewagę.

Ham poświęcał mu teraz pełną uwagę; wspomnienie idealnych piersi Tiffany wyparowało mu z głowy niczym mgła w świetle słońca.

Thornburg splótł palce. Był zadowolony, że nie musi mówić synowi, kiedy ten ma w pełni zważać na jego słowa.

— Zabójstwo Morawii przekonało mnie, że Stowarzyszenie Czarnego Ostrza ma coraz mniej czasu. To znaczy, że my również. — Podniósł znacząco wyprostowany palec. — Czas, synu, często decyduje o wszystkim. Najbardziej skrupulatnie opracowany plan może się zawalić z powodu niewłaściwej pory wprowadzenia go w życie. Przeprowadzanie się przez strumień we właściwym czasie ma swoje znaczenie: albo będziesz miał nogi mokre po kostki, albo zamoczysz sobie jaja.

Thornburg Conrad Trzeci patrzył na roziskrzone fale i samotną, dzielną żaglówkę płynącą z wiatrem, którego nie wyczuwało się na pokładzie jachtu.

— Chociaż podziwiam żeglarzy, wolę łódź, którą można kierować, która zabiera cię tam, dokąd chcesz i kiedy chcesz. Jest w tym lekcja życia. — Thornburg miał fioła na punkcie udzielania życiowych lekcji i nie uważał, by synowie byli za starzy na ich wysłuchiwanie. — Uff! W pewnym wieku, zdradzającym cię w końcu po świńsku, tak jak kobiety i dzieci, przedmioty nieożywione, takie jak łódź, którą można kierować wedle kaprysu, stanowią miłą odmianę. — Spojrzał na jedzenie rozstawione na stole tak, jakby było czymś, co mu przeszkadzało. — Zaawansowany wiek stwarza okazje dla ludzi takich jak moja młoda żona, — Skrzywił się. — Jest w tym paradoks: im człowiek staje się starszy, tym więcej chce. I do diabła, synu, ja chcę więcej, niż mogą obecnie dostać.

W tej chwili zadźwięczała pozytywka w jego zegarku.

— Cholera. Czas na pigułkę. — Podniósł się ociężale. — Przepraszam na chwilę, synu.

Ham patrzył, jak ojciec znika w zejściówce na śródkręciu. Delikatna bryza potargała mu włosy. Sam na pokładzie, z dotrzymującym mi|towarzystwa widokiem niebiańskiej Tiffany „Ciało”, popadł w zadumę. Przypomni|ł sobie trzynaste urodziny, kiedy Thornburg zaskoczył go kompletnie — zstąpił ze swych wyżyn do szkoły przygotowawczej i porwał do Afryki na tygodniowe safari. W owych czasach safari oznaczało wyprawę myśliwską, nie fotograficzną, i Ham na zawsze miał zapamiętać lwa o grzywie potężnej niczym masajska tarcza, który o zmroku wyskoczył z krzaków wprost na ojca.

Ham wrósł w ziemię, podobnie jak tragarze. Nawet przewodnik nie zdążył zareagować. Thornburg nie cofnął się ani o krok, podniósł mauzera do biodra i wystrzelił sześć razy. Mimo że pierwsze dwa pociski trafiły, lew stał, a Thornburg palił do niego z zimną krwią.

Ham słyszał jeszcze huk ostatniego z pocisków, gdy lew zwa|ł się na ziemię. Smród zwierza był wstrętny, ostry, gryzący. Ham widział, jak ojciec rozdyma nozdrza, delektując się tą gorzką wonią. Kilka chwil później, stojąc nad padłym lwem, Thornburg powiedział: „Co za szkoda. Ta bestia bardziej zasługuje na mój szacunek niż twoja matka”.

Thornburg zostawił Hama i udał się pod pokład do swojej kabiny. Zamknął drzwi i przez dłuższą chwilę opierał się o nie plecami, a serce kołatało mu boleśnie.

Wziął się w garść, podszedł do wyłożonej tekowym drewnem tylnej grodzi i wcisnął ukryty guzik. Dwie płyty rozsunęły się, a za nimi ukazał się zestaw komunikacyjny niezależny od głównej radiostacji szkunera. Poniżej znajdowała się szuflada, również obita tekowym drewnem, z wmontowanym zamkiem cyfrowym.

Thornburg otworzył ją, wyjął jednorazową strzykawkę i wbił igłę w fiolkę z przezroczystym płynem. Odwrócił strzykawkę, rozpylił kilka kropel, by pozbyć się powietrza, po czym podwinąwszy nogawkę^; wprowadził igłę w żyłę na udzie.

Osunął się na koję i siedział, kołysząc się rytmicznie, póki serce nie powróciło do normalnego rytmu. Przez długi czas jego mózg wyprany był z wszelkich myśli i emocji. Potem, powoli, wróciły z powrotem i znów stał; się sobą.

Najpierw pomyślał o Mathesonie i elektryzujących nowinach, jakich Wolf dostarczył Shipleyowi. Coś się stało z Morawią. Proces starzenia został odwrócony!

Jak na ironię Moravia został zabity wtedy, kiedy i tak miał zginąć.

I jakież to nieuczciwe — pomyślał Thornburg.

Oczywiście, sam planował zabić Moravię tuż po spotkaniu, które nigdy nie doszło do skutku. Jak inaczej, bez ujawniania siebie, mógłby wciągnąć do gry Mathesona? Ale wróg w jakiś sposób przejrzał Moravię i wyeliminował go przedwcześnie. Czy zdołał coś z niego wycisnąć? Thornburg uważał, że nie. Nic nie wskazywało, że Moravia był torturowany.

Został jednak zmieniony i była to robota Wyroczeni, co do tego Thornburg nie miał najmniejszych wątpliwości. Był ogłupiony rozwojem wydarzeń; pomyślał, że czuje się jak człowiek, który ogląda jakiś przedmiot i nie ma pojęcia, do czego on służy. Musiał wiedzieć więcej! Nishitsu wraz ze Stowarzyszeniem Czarnego Ostrza dążył do przejścia Wyroczeni. Dlaczego? Znów nie wiedział, ale był pewien, że Wyroczenia jest kluczem potrzebnym Toshin Kuro Kosai do osiągnięcia celu. Wiedział, że musi wejść w posiadanie Wyroczeni przed nimi. Dlatego Matheson musiał mieć wolną rękę. Jeżeli ktokolwiek ma zdobyć dostęp do Wyroczeni, to musi nim być Wolf Matheson.

Thornburg odwrócił się i otworzył mały sejf. Wewnątrz były jakieś papiery, spośród których wyłuskał amatorską fotografię. Porównał ją ze zdjęciem wykonanym przez jednego z ludzi Breatharda, przedstawiającym artystkę Japonkę. Prawda, kobieta na pierwszym zdjęciu była młodsza, ale nie wątpił, że na fotografiach widnieje ta sama osoba. Thornburg poczuł, że serce przyspieszyło mu z podniecenia — Matheson już wywęszył drogę do Toshin Kuro Kosai! — i tak samo szybko zwolniło.

Wszystko szło zbyt dobrze, zbyt gładko — pomyślał. — Potem zamordowano Moravię. Jasne, Moravia był częścią planu, jaki obmyślił razem z Hamem, ale odpowiadał bezpośrednio przed nim w jednej sprawie: w sprawie Wyroczeni.

I Thornburg nie miał złudzeń. Moravia zginął, ponieważ dowiedział się czegoś podczas ostatniej wizyty w „Zakazanych Snach”: nie chodziło o siatkę placówek Tbsin Kuro Kosai, ale o tajemnicę dotyczącą Wyroczeni. Przesłał Thornburgowi prywatny, zakodowany faks: ROZMAWIAŁEM Z WYROCZNIĄ. KONIECZNE OSOBISTE SPOTKANIE. Odkrycie jakiej tajemnicy mogło być na tyle ważne, że wymagało osobistego spotkania, zdecydowanie sprzecznego z regułami, które ustanowił?

Co zamierza Yuji Shian? Thornburg musiał się dowiedzieć, ponieważ to on wynalazł Wyroczenię. Shian był kimś więcej niż tylko szefem wiodącej

multiprzemysłowej korporacji japońskiej: był również doskonałym naukowcem, technokratą najwyższej rangi. Thornburg miał kontakty wewnątrz MHZP — kolegów z lat szkolnych, ludzi, których znał i z którymi pracował od dziesięcioleci; ludzi, którzy zaciągnęli u niego długi jeszcze w czasach okupacji amerykańskiej — uratował ich przed sądem wojennym. I od nich wiedział, że Yuji Shian pracował nad projektem tak dalekosiężnym, iż mógł on dosłownie zagwarantować przyszłość Japonii w świecie, w którym najważniejsza była dominacja ekonomiczna. Trudno było uwierzyć w to, że Moravia naprawdę widział Wyrocznię. Do tej pory Thornburg był przekonany, że jeszcze całe lata dzieła Shiana od zakończenia projektu. ROZMAWIAŁEM Z WYROCZNIĄ. Tuż przed śmiercią Moravia dostarczył mu dwa istotne fakty: Wyrocznia, tak jak mówiły plotki przekazywane Thornburgowi, faktycznie była jakąś nową formą sztucznej inteligencji oraz już działała. Dzięki śmierci Moravii Thornburg poznał jeden sektor jej mocy: Wyrocznia potrafiła odwrócić bieg czasu, człowieka starego uczynić na powrót młodym.

Późnym wieczorem światła były zapalone, a olejowy palnik mruczał. W piwnicy jak mityczny potwór. Wolf właśnie wyszedł spod prysznic i nagi do pasa wycierał włosy, gdy w drzwiach pokoju stanęła Stevie. Po kolacji była bardzo milcząca, rozmawiali niewiele. Wolf znów czuł się zawieszony między wspomnieniami z Elk Basin a tymi z mieszkania Chiki na Ulicy Szóstej Wschodniej. Wiedział, że oderwał się od czasu i, jak powiedziałby dziadek, unosił się w przestworzach.

Lampy oświetlały wiszące w tle fetysze, a Stevie wyglądała jak posążek z brązu. Miała na sobie te same dzinsy, ale zdjęła koszulę i włożyła sweterek z krótkimi rękawami i głębokim dekoltem.

— Amanda...

Odrzucił ręcznik.

— Stevie, to nie konfesjonał. Nie musisz tego robić.

Potrząsnęła głową, zaczęła szybko mrugać; wiedział, że jest bliska łez.

— Tam było... — Zmagiała się z emocjami, które zaczynały ją pokonywać,

— Emocjonalne napięcie bycia buforem między Mortonem a Amandą było... bardzo trudne do zniesienia. Gardzili sobą wzajemnie; planowanie czegokolwiek graniczyło z koszmarem, a gdy byliśmy wszyscy razem... Oboje sprawili, że moje życie stało się piekłem, psioczyli na siebie*

i skarżyli, a ja musiałam tego wysłuchiwać. — Bez przerwy skubała warkocz. — Co miałam zrobić? Robiłam wszystko, co mogłam, by nie dopuścić do katastrofy, ale nie umiałam... Może zbyt często miałam z Amandą na pieńku. — Nagle złapała się za brzuch. — Robi mi się niedobrze — wyszeptła.

Zbladła. Wolf posadził ją na łóżku i wsunął jej głowę między kolana.

— Oddychaj — rozkazał — powoli i głęboko.

Obserwował, jak kolory powoli wracają na jej twarz. Przypatrywał się ciemnym oczom, zmysłowym ustom i myślał o małym brzoskwińowym sadzie za domem w Elk Basin, którym zajmował się, będąc małym chłopcem.

Stevie uśmiechnęła się i przyłożyła dłoń do jego policzka.

— Mój Boże, jak ty młodo wyglądasz. Jak bohater stadionów czy olimpijski atleta, osoba, która przez chwilę wygląda tak, jakby znajdowała się poza czasem.

— Amanda też mi powtarzała, że wyglądam młodo.

— Amanda zawsze miała obsesję na punkcie wieku. — Oczy Stevie jarzyły się w półmroku. Długi francuski warkocz leżał jak uśpiony wąż na jej ramieniu. — A romans z tobą tylko pogarszał sprawę; przysięgała, że ty się wcale nie starzejesz.

Roześmiał się, ale umilkł, gdy ujęła jego dłoń i położyła między swoimi piersiami.

— Serce bije mi tak szybko. — Jej zmysłowe usta uśmiechały się zapraszająco. — Widzisz, zostałam nauczona, by nie wierzyć mężczyznom, bo mężczyźni ze swymi błędzącymi oczyma myślą tylko o jednym. Ale co się dzieje, gdy kobieta jest zainteresowana tymi sprawami? — Nie poruszyła się, a on nie cofnął ręki. Otworzyła usta. - Śpij dobrze, Wolfie.

Przyciągnął ją do siebie, jego wargi zamknęły się na jej ustach poczuł rozgrzany, ruchliwy język. Ciężkie piersi napierały na niego. Jęknęła, gdy podciągnął sweterek i rozebrał ją do pasa.

Nie było czasu na nic innego, tylko na pęd krwi i wybuch żądz, która narastała między nimi od czasu przybycia do East Hampton.

Wolf rozpiął jej dzinsy i zsunął swoje slipy. Westchnęła, gdy przyparł ją do ściany sypialni, wyciągnął jej ręce nad głowę, całował drżące wargi, policzki, oczy, uszy i szyję. Wszedł w nią, a jej długie, głębokie westchnienie zakończyło się ekstatycznym skowytom.

Parł w górę, na całą długość, jej bose stopy oderwały się od podłogi. Zamknęła oczy, z rozchyłonych ust wrywały się rytmiczne jęki rozkoszy.

Stevie czuła krew krążącą w ciele. Wdychała zapach Wolfa: aromat mydła, które położyła w gościnnej łazience, lekko drażniącą woń talku, ale — och, tak! — pod nimi, jak żywa istota, krył się jego zapach, głęboki, bogaty i erotyczny, który spowijał ją teraz niczym mgłą.

W wyniku pieszczot Wolfa namiętność zaczęła narastać tak szybko, że aż zadygotała. Jej usta pożądliwie przywarły do jego ciała, głowa opadła mu na ramię, zęby mimowolnie kąsały jego skórę, a to wszystko dziesięciokrotnie zwiększyło jej ekstazę.

To jednak nie był koniec. Po chwili zdała sobie niejasno sprawę, że dotychczasowa rozkosz była tylko płaskowyżem, z którego wspinała się wyżej, na szczyt, drżąc i dysząc, jak gdyby nigdy nie miała zejść na dół.

Wolf pochylił głowę i ujął najpierw jeden, potem drugi nabrzmiały sutek w usta, a to sprawiło, że przez jej ciało przemknęły ostre błyskawice rozkoszy. Krzyknęła i znów zaczęła dygotać, nie była w stanie się opanować, przywierała do niego zachłannie, desperacko, czule, podczas gdy powieki drgały jej tak, jakby śniła.

Nie mogła już oddychać, zatraciła się całkowicie, nie wiedziała, gdzie jest i co się z nią dzieje. Przepelniona rozkoszą tak intensywną, że przyprawiała ją o zawrót głowy, czuła tylko pulsujący w sobie jego organ, jego ciało przyciśnięte do swego, usta na twarzy, skórę między zębami.

Gdyby jej doznania skończyły się tylko na tym, to i tak byłoby to dużo więcej, niż by się mogła spodziewać. Ale czuła coś jeszcze. Czuła tańczącą w sobie tajemniczą ciemność, coś żywego i potężnego, coś, co wypływało z jego wnętrza i przesywało *jej* umysł i duszę tak, jak jego członek przesywał jej ciało — nie sprawiając bólu, lecz rozkosz. Sięgnęła na oślep w dół, objęła go, ściskając rytmicznie, póki nie napał po raz ostatni. Porwał ją za sobą, wydając dźwięki, jakich nigdy wcześniej nie słyszała. Gdy zadygotała po raz trzeci, wiedziała, że tonie w niewysłowionej rozkoszy....

— SHIAN KOGAKU: ZAWSZE JESTEŚMY Z TOBĄ — oznajmił wymalowany, lekko kobiecy David Bowie.

Ruchomy ekran wideo o wymiarach trzynaście stóp na dziesięć przedzieraj się powoli przez zatłoczone ulice tokijskiej dzielnicy Shinjuku, a sześci©-

minutowe, powtarzane w nieskończoność bloki reklamowe dowcipnie prezentowały produkty wytwarzane przez różne *kobuny* „Shian Kogaku”.

Yuji Shian i Hiroto, jego szwagier, spotkali się w drodze do pracy. Hiroto był szarym, przygarbionym człowiekiem w średnim wieku, ani przystojnym, ani brzydkim, w tym samym tanim zmiętoszonym garniturze, jaki nosił od trzech dni. Był wiceprezydentem „Shian Kogaku” i błyskotliwym informatykiem.

— Jak moja siostra? — zapytał Yuji, gdy weszli do granitowo-stalowego budynku należącego do „Shian Kogaku”.

— Kazuki jest taka sama jak zawsze, wiecznie zła — odparł ze smutkiem Hiroto. — To choroba, która zżera ją od środka. Nie jest już tą samą osobą, którą poślubiłem piętnaście lat temu.

Yuji zobaczył, że barwy otoczenia nagle stają się nienaturalnie jaskrawe, a perspektywa uległa szybkiej zmianie. Z niesamowitą wyrazistością ujrzał schemat zespołu obwodów projektu, nad którym pracował i rozumiał, jak powinien wyglądać od początku do końca. Schemat leżał przed nim jak rzeźba terenu widziana z lotu ptaka.

Potem wizja zblakła, a prawdziwe kolory odzyskały normalną intensywność. Oparł się o polerowaną granitową ścianę obok wind. Nigdy nie dbał o swój dar. Kiedy był nastolatkiem, każdy taki napad przyprawiał go o chorobę, a i teraz bał się towarzyszącego atakom poczucia braku orientacji.

— Yuji-san?

— Tak. — Zamrugał i zobaczył, że Hiroto już stoi w kabinie. Spojrzał w zaciekawione, badawcze oczy i powoli wszedł do windy.

— Muszę porozmawiać z tobą o Wyroczni — rzekł Hiroto. — Szczególnie o tym, że chcesz dopuścić do niej swą przyrodnią siostrę, Hanę.

— Hany nie można zignorować.

— I mnie to mówisz? Swymi pytaniami doprowadzała mój zespół do szaleństwa. Kursuje plotka, że wprowadziłeś ją, by zmodyfikować projekt.

Nie po raz pierwszy Yuji zaczął się zastanawiać, czy Hiroto oburza się na Hanę dlatego, że jest ona kobietą, czy też dlatego, że nie jest wysoko kwalifikowanym naukowcem z licznymi dyplomami Uniwersytetu Tokijskiego. Hiroto, jak większość ludzi swego pokroju, był do przesady snobistyczny. Jeśli ktoś chciał znaleźć się w jego zespole badawczym, to nazwa ukończonej uczelni często była ważniejszym kryterium od zdolności i zasobu wiedzy.

— To nieprawda — skłamał Yuji. — Wiem, że zdenerwowałeś się, gdy moja matka robiła takie sugestie.

— Tak. I nadal nie podoba mi się droga, na jaką według ciebie winniśmy wkroczyć. Nie sądzę, by inplantowanie ludzkiego DNA do tej maszyny było rozsądnym posunięciem. Kto wie, jak jej obwody zniekształcą molekuły? Zmiany...

— Koncepcja Wyroczni jest tak nowa — przerwał mu Yuji — że musimy być otwarci na zmiany. — Wiedział, jak pokierować szwagrem, tak konserwatywnym we wszystkim poza swoją pracą. Hiroto częstokroć stanowił doskonałą przeciwwagę dla jego własnego nieskrępowanego geniuszu, ale od czasu do czasu, podobnie jak teraz, okazywał się trudny do zniesienia. — Niech Wyrocznia sama znajdzie właściwą drogę; zobaczymy, co się stanie.

— Wyrocznia może podejmować pewne podstawowe decyzje, nic poza tym — poprawił Hiroto. — Jeszcze nikt nie wie, czy jest to równoznaczne z myśleniem.

Och, ale ja wiem — pomyślał Yuji, gdy winda się zatrzymała.

Drzwi rozsunęły się i wysiedli na najwyższym z trzech pięter zajmowanych przez kierownictwo.

— Ciągle mam złe przeczucia w sprawie tego projektu — powiedział Hiroto w drodze do biura Yuji. — Występowałem przeciwko przedwczesnemu sprzęganiu ludzkiego obiektu z Wyrocznią, ale zostałem przegłosowany. — Potrząsnął głową. — Przyznaję, że jestem zaniepokojony tym, jak szybko znaleźliśmy się na nieznanym wodach. Szczerze mówiąc, twoja przyjaciółka Wyrocznia przeraża mnie coraz bardziej.

— Przeraza?

Hiroto skinął głową.

— Wyrocznia nie została zbudowana do przeprowadzania zmian, ale wydaje się, że właśnie to robi. Zadaję sobie następujące pytanie: czy podczas jej projektowania popełniliśmy błąd, z którego nie zdajemy sobie sprawy, czy — i dlatego, Yuji-san, jestem przerażony — Wyrocznia sama jakoś zmieniła podstawowy schemat, w jaki ją wyposażyliśmy.

Yuji z wysiłkiem zachował obojętny wyraz twarzy.

— Rozumiesz, o co mi chodzi, Yuji-san. Mamy już pewne dowody świadczące o narastaniu tego procesu; wiemy, że w pewnym sensie, czego jeszcze nie jesteśmy w stanie pojąć, Wyrocznia żyje. Hiroto chodził w tę

i z powrotem przed biurkiem Yuji. — Siedzący we mnie naukowiec upiera się, że to niemożliwe lub, dokładniej, wykracza poza zakres naszej obecnej wiedzy. Ale intuicja sprawia, że podejrzewam coś innego. Wprowadziliśmy twoją nową technologię neuronową, nie mamy już do czynienia wyłącznie z matematyką, z technologią cyfrową, z jedynką i zerem, a to spowodowało liczne anomalie. Nasza technologia jest tak nowa, iż, prawdę powiedziawszy, nie wiemy nic o jej ostatecznych możliwościach. Zbudowaliśmy Wyrocznię, ale już jej nie rozumiemy. I być może nigdy w pełni jej nie poznamy. Wyrocznia całkowicie nas przerasta, nie może być ani kontrolowana, ani zrozumiana. A dodawanie dziwnego umysłu Hany do tej już niepoznawalnej mieszanki jest według mnie samobójstwem. Ostatecznie, skoro o tym mowa, o mózgu Hany wiemy mniej niż o samej Wyroczni.

Yuji myślał o swych rozmowach z Wyrocznią. Oczywiście, odnosił się do niej zupełnie inaczej niż Hiroto, ale nic dziwnego. Projekt był pomysłem Yuji, ale to Hiroto wraz ze swoim zespołem zamienił jego myśli w rzeczywistość i zbudował biokomputer. On, Yuji, mógł sobie być genialnym biogenetykiem, ale to Hiroto był inżynierem z krwi i kości i dzięki temu potrafił odnosić się do swego dzieła z dystansem.

Nigdy nie ośmieliłbym się mu tego powiedzieć — pomyślał Yuji — ale ponieważ wiem, że stworzyliśmy coś więcej niż zwyczajną maszynę, z Wyrocznią łączy mnie więź, jakiej on nigdy nie będzie czuł. Dla Hiroto jest ona po prostu mniej lub bardziej skomplikowaną maszyną. Co więcej, zaprojektował ją do realizowania określonych funkcji, a ona robi inne rzeczy — i robi je w sposób, który pozostaje dla niego kompletną tajemnicą. Nic dziwnego, że Hiroto stał się drażliwy. Zrozumiałe. Traci twarz. Jest niemal tak, jakby uczeń przerastał mistrza.

To była zabawna myśl, jednak Yuji nie roześmiał się.

— Rozumiem twoje zaniepokojenie — powiedział uspokajająco. — Mnie też takie myśli chodzą po głowie. — Obszedł biurko. — Zapewniam cię, Hiroto-san, że będziemy postępować z podwójną ostrożnością. Ale musimy kontynuować. Masz rację co do jednego: ten projekt zaczął żyć własnym życiem. I jeżeli teraz przerwiemy prace, będziemy mordercami.

VII

TOKIO-EAST HAMPTON WASZYNGTON-NOWY JORK

Noc na przedmieściu Tokio.

Minako Shian leżała w łóżku, jak zawsze nie mogąc zasnąć. Zajęty planowaniem umysł nie pozwalał jej odpocząć. Od czasu, gdy piersi zaczęły jej rosnąć i gdy dostała miesiączkę, żyła na wysokich obrotach. Taka była jej karma, a ona z chęcią zgodziła się na swoją rolę. Ale musiała manipulować tak wieloma sznurkami, rozplątywać tak wiele supełków... Była to udręka i ekstaza wynikająca z posiadania mocy.

Minako mieszkała w willi pod Tokio, zaprojektowanej przez jednego z czołowych młodych architektów japońskich. Dzięki rozległym przeszczerzeniom, ostrym zestawieniom ciemnych i jasnych płaszczyzn, wykorzystaniu ciężkich materiałów, takich jak kamień, i lekkich, jak ryżowy papier, oraz zdumiewającym perspektywom pokoiów, budynek tworzył jakby serię scen, które niczym film składały się na całość daleko bardziej zdumiewającą niż każda z indywidualnych sekwencji.

Willi stała w przemyślnie urządzonym ogrodzie, który swą sztywnością i prostotą przyjemnie równoważył zawyły, prawie barokowy postmodernizm architektury. Jednakże „postmodernizm” był może zbyt szorstkim określeniem, ponieważ styl łączył elementy buddyzmu, sintoizmu

i architektury z czasów Edo. Dzięki temu willa stanowiła jakby kompleks historyczny, budzący w oglądającym wiele refleksji.

Granitowo-drewniany przedpokój, zdominowany przez starą kupiecką skrzynię, w której przechowywano buty, był jednym z licznych pomieszczeń służących wprowadzeniu gościa z zewnętrznego świata w wewnętrzne serce willi. Pokoje, jak koncentryczne kręgi pałacu cesarskiego w Tokio, fragment po fragmencie ujawniały naturę złożonej architektury, pozwalając na stopniową interakcję budowli i ludzkiego umysłu.

Przypominały one rząd kabin na olbrzymim statku; ogród ciemniejący na zewnątrz przybierał wygląd oceanu, tajemniczego i niebezpiecznego, połyskującego tuż poza zasięgiem wzroku podróżnika.

Tak samo jak przeszłość, która po raz pierwszy zdawała się znajdować tuż poza zasięgiem wzroku Minako. Przeszłość na szczęście nie, przez chwilę więc zadowolila się wspomnieniami.

Wezwanie jej *makura no hiruma* nadeszło w rocznicę śmierci babki — kobiety, która założyła „Shian Kogaku” i uczyniła z niego najuważniejszego producenta *tabi* — tradycyjnych japońskich skarpet z jednym palcem,

Kabuto, babka Minako Shian, odegrała doniosłą rolę w długich i bolesnych narodzinach Minako — historię tę opowiedziała jej matka — i dług musiał zostać spłacony.

Kabuto zmarła w rocznicę urodzin Minako, tak więc na radosny dzień zawsze padał cień jej grobu, skromnej działki na cmentarzu sinto pod Osaka. Kiedy Minako była mała, zabierała ją tam matka, ale gdy tylko podrosła, zaczęła samodzielnie wypełniać ten rodzinny obowiązek.

W dniu jedenastych urodzin udała się na grób Kabuto. Przez całą noc padała i cmentarz zasnuty był mgłą gęstą od zapachu leczniczych ziół, które rosły dziko w kolczastych kępach między grobami.

Kabuto nie żyła już od ośmiu lat i dla Minako jej wspomnienie było tak samo niewyraźne, jak pobliskie nagrobki okryte całunem mgły.

Pospiesznie, mając myśli zajęte czymś innym, odprawiła sintoistyczne obrzędy. Wstała, otrzepała martwe liście i trawę z kolan i odwróciła się, by odejść.

Coś ją powstrzymało, odwróciła się powoli i spojrzała na grób. A tam, skulony na szczycie nagrobka, siedział rudy lis.

„Witaj, wnuczko” — powiedział lis, otwierając pysk jakby do ziewnięcia. „Nie poznajesz mnie? To ja, Kabuto”.

Minako drgnęła, pokręciła głową, uszczypnęła się, przetarła oczy. Spojrzała jeszcze raz. Jej babka — czy lis — nadal tam była. Lis uśmiechnął się do niej. Minako rozejrzała się w panice, by sprawdzić, czy jeszcze ktoś widzi tę zjawę, ale w *tej* części cmentarza była sama.

„Babciu — wyszeptła w końcu — jesteś lisem!”

„Tak” — odparła Kabuto. „W tej chwili”.

Minako westchnęła.

„Czy mogłabyś znów być Kabuto?”

„Przecież ja jestem Kabuto”.

„Chodziło mi o taką Kabuto, jaką znałam”.

„W tym niewygodnym, dokuczliwym ciele?” Lis jakby uśmiechnął się szyderczo. „Dlaczego miałabym chcieć je z powrotem? Czekałam prawie trzysta lat, by się go pozbyć. To o wiele za długo, nie sądzisz?”

Minako nie wiedziała, co powiedzieć, więc tylko skinęła głową.

Lis, który był jej babką, zeskoczył z nagrobka, usiadł przed nią i delikatnie podrapał się po nosie przednią łapą.

„W każdym razie, rozumiesz, lisy są niezdolne do kłamstwa” — rzekła Kabuto. „Przypuszczam, że dlatego wybrałam tę formę. Byłam chora od Idamania, oszukiwania, niedomówień”... —Lis pochylił łebek. „Dlatego dzisiaj przysłałam, by cię ostrzec... tak, przypuszczam, że to właściwe słowo”.

„Ostrzec, przed czym?”

„Przed tym, czym stanie się twoje życie, o ile nie będziesz mniej ambitna, niż jesteś. Chcę uchronić cię przed udaniem się na wieczny spoczynek z duchem wyniszczonym przez dziesięciolecia kłamstw, oszustw i niedomówień”.

Nie robię żadnej z tych rzeczy”.

„Ale będziesz. Bo tak jest w naszym świecie. W n a s z y m świecie” - podkreślił lis.

— „Nie rozumiem”

„Oczywiście, że rozumiesz, głupiutka dziewczyno. To tylko konwencje powstrzymują twój nadumysł od zaangażowania się”.

„Mój nadumysł?”

Lis wydał dźwięk, który sprawił, że Minako podskoczyła. Pamiętała, jak babka zniecierpliwiona niezbyt bystrymi odpowiedziami z dezaprobatą klaskała językiem o podniebienie. To był ten sam odgłos. W tej chwili Minako była całkowicie przekonana, że lis rzeczywiście jest jej babką.

„Twoja matka nie zadbała o to, by nauczyć cię używania mocy. Cóż, nie powiem, że jestem zaskoczona; zawsze dbała tylko o własne sprawy, bała się mnie i swego daru". Lis podniósł łapę, którą poprzednio drapał się po nosie. „Nieważne. Już w chwili, gdy wyciągałam cię z jej łona, wiedziałam, że obowiązek dopełnienia rytuału wezwania spadnie na mnie". Oczy lisa jaśniały nawet w nikłym, ołowianym świetle, przefiltrowanym przez gęstą mgłę. „Wiesz, nie chciałaś wyjść na świat. A twojej matce brakowało hartu ducha, by cię do tego zmusić. Później doszła do wniosku, że urodzenie ciebie było błędem. Dobrze, że znajdowałam się w pobliżu".

Minako skrzywiła się.

„Chodzi ci o to, że matka mnie nie chciała? Że mnie nie kocha?"

„Czy kiedykolwiek pocałowała cię, wzięła w ramiona lub nawet złapała za rękę? Nie, oczywiście, że nie. Gdyby mnie nie było, nie wątpię, że porzuciłaby cię na progu domu sąsiada".

W Minako serce zamarło. Zaczęła płakać.

„Dlaczego mi to mówisz, babciu? To takie straszne, nie chcę, już tego słuchać".

„Nadszedł czas, byś wysłuchała prawdy, dziecko". Lis oblizał wargi. „Chcę, żebyś na mnie popatrzyła. Nie, nie mrugaj ani... Oszukujesz, myślisz o tym, jak to jest, że mówię do ciebie przez lisa. Znieś ból, który czujesz. Pali, prawda? Tak. Patrz na mnie, Minako-san. Tetaz ból przepływnie przez ciebie, a potem poczujesz coś innego, coś bardziej.."

Minako wytarła łzy z oczu.

„Tam jest ciemność, ja..."

„Nie patrz w dół!" — szczechnął lis. „Patrz tylko na mnie! Tak jest lepiej. Ból znika, prawda? Zastępuje go ciemność. Nie martw się, za chwilę będziesz w stanie widzieć wszystko".

Ku zdziwieniu Minako, babka miała rację. Ciemność zwijała się i falowała u jej stóp, po czym zaczęła rozpościerać się dookoła. Wtedy — przez mgłę, ale tak wyraźnie, jak gdyby ona nie istniała — zobaczyła okoliczne groby, potem to, co znajdowało się za cmentarzem, a później wzgórze leżące o całe mile dalej.

„C-co się ze mną dzieje?"

„Poznajesz moc" — powiedział z uśmiechem lis, chociaż Minako nie mogła sobie wyobrazić, jak lis może się uśmiechać. „Teraz widzisz, że świat taki, jaki postrzegasz, nie jest końcem, lecz początkiem, ledwie przesmykiem w olbrzymim morzu światów, otwartym dla twojej budzącej się percepcji".

„Jak daleko mogę widzieć?” — zapytała Minako, patrząc w dal.

„To zależy, u każdego z *makura no hiruma* jest inaczej. Ale ja wiem dużo, wiem, że twoja moc jest ogromna. Za kilka lat zaćmi nawet moją, która naprawdę była wielka. Tak powinno być, skoro nawet w porównaniu z naszym, ciebie czeka szczególne przeznaczenie. Wkrótce wpadniesz w wir wyniszczającej wojny między frakcjami Toshin Kuro Kosai. Jesteśmy zasypywani gradem podejrzeń. Kto w obrębie Stowarzyszenia Czarnego Ostrza wierzy w dawne sposoby życia, przeznaczenie dla Japonii? Kto potajemnie spiskuje, by zobaczyć Japonię dostosowującą się do nowoczesnego świata?”

Ludzie z naszych szeregów umierają nagle w tajemniczych okolicznościach albo znikają, i nikt już nigdy o nich nie słyszy. Co się z nimi dzieje? Kto morduje tych, których ciała znajdujemy? Zwracamy się przeciwko sobie jak wściekłe psy.

Nawet ja nie znam wyniku tej wojny; nikt tego nie wie. Ale musi się ona zakończyć, zanim jedno z nas wpadnie na pomysł pełniejszego wykorzystania własnej mocy. Dotychczas używaliśmy jej tylko do pośredniego wpływu na bieg wypadków, ale teraz prawdopodobnie nadszedł czas, kiedy jedno z nas dojdzie do wniosku, że siedzenie w cieniu i pociąganie za sznurki jest mało satysfakcjonujące. Świat nie potrwa długo, gdy zaczniemy ujawniać się i wykorzystywać *makura no hiruma* w bardziej bezpośredni sposób. Potrafisz sobie wyobrazić cesarza, premiera czy prezydenta o takiej władzy?” Lis wzdrygnął się. „Ty musisz temu zapobiec, dziecko. Pamiętaj. Wbrew powszechnej wierze istnieje coś takiego jak zbyt wielka władza.

Historia dowodzi, że zepsucie moralne zaczyna się od najwyższego poziomu i powolnie sączy się w dół. Utrata panowania byłaby druzgocąca nawet dla nas, którzy nie jesteśmy zwykłymi śmiertelnikami. To przewrotny aksjomat: im więcej według nas mamy pod kontrolą, tym mniej faktycznie posiadamy.

Bądź ostrożna, wnuczko. I pilna. Wiem, że z twego łona wyjdzie dziecko, którego przeznaczeniem będzie zakończenie tej wojny. Z tego powodu zyskasz wrogów, potężnych wrogów, którzy będą robić wszystko, by cię zniszczyć”.

„Przerażasz mnie, babciu”.

„To dobrze. Strach jest najlepszym bodźcem do zachowania ostrożności,

stosowania podstępów i niedomówień. Trzymaj się w cieniu, wnuczko, dopóki nie nadejdzie twój czas".

„Jak pozna to jedyne dziecko, babciu?"

„Nie wiem. To przyszłość, której nie możemy zobaczyć ani nawet się domyślić. W chwili twych narodzin wychwyciłam aurę czekającego cię przeznaczenia, ale dopiero w chwili wezwania, gdy zobaczyłam naturę twego nadumysłu, poznałam, że to ty będziesz matką tego jedyne go dziecka".

Minako rozpostarła ramiona, rozkoszując się niemalże namacalną ciemnością przetaczającą się przez nią niczym sploty gigantycznego węża. Napelnił ją oszałamiający zapach potęgi życia.

I to jakiej potęgi! — pomyślała. — Dam życie jednemu dziecku!

Skoncentrowała myśli na podbrzuszu. Była jeszcze bardzo młoda, ale *makura no hiruma* sprawiała, że mogła wyobrazić sobie, jak czuje się kobieta nosząca w sobie nowe życie.

Wydawało się, że lis staje się coraz większy.

„Wbrew temu, co teraz myślisz, zakres twej mocy okaże się brzemieniem. Wkrótce przestaną dla ciebie istnieć bariery czasu, a wtedy objawi się przyszłość".

„Cudownie!" — zawołała Minako, klaszcząc w ręce.

„Głupia, głupia dziewczyno!" — warknął surowo lis. „Widzenie przyszłości jest strasliwym losem, wierz mi, wiem, co mówię. Pomyśl, jak czułby się człowiek zdolny do odczytywania cudzych myśli. Uważasz, że to byłoby zabawne, prawda? Myślisz: Co za przewaga! Może tak. Ale pomyśl też o kakofonii głosów, jakie słyszałabyś dzień po dniu, bez chwili przerwy. Jak długo można znieść coś takiego?"

Lis okrążył Minako, ciągnąc tylne łapy tak, jakby rysował jakąś figurę na ziemi.

„Tak samo jest z widzeniem przyszłości. Waga wypadków mnoży się w postępie geometrycznym, dopóki nie staje się zbyt wielka do zniesienia. Niektórzy z nas wpadają w obłąd".

„A inni?" — zapytała Minako. „Musi być jakieś wyjście".

Lis znów skrzywił się w swym niewiarygodnym uśmiechu i Minako wiedziała, że babka jest z niej zadowolona.

„Tak, są dwa wyjścia. Jednym jest skorzystanie z tego, jakie wybrała twoja matka, ta głupia suka. Zamknąć się przed *makura no*

hiruma. Drugie dotyczy życia w świecie kłamstw, oszustw i niedomówień".

„I ja mogę zdecydować się tylko na jedno bądź drugie".

„Tak".

„Chcę widzieć — powiedziała Minako — tak daleko, jak można".

Kabuto z zadowoleniem polizała swoje futro.

„Zatem czekają cię wielkie rzeczy, dziecko". Podniosła wielką trójkątną głowę i przeszła wnuczkę obsydianowymi oczyma. „Straszne rzeczy, ponieważ mimo potęgi swej mocy natkniesz się na puste miejsca: przyszłości, której nie będziesz w stanie przewidzieć, inną, przerażającą przyszłość, którą zobaczysz, ale której nie będziesz mogła zapobiec. Nieważne, że teraz nie potrafisz tego w pełni zrozumieć, ale po dokonaniu wyboru nie wolno ci będzie zboczyć z wybranej drogi. Skoro *makura no hiruma* raz zostanie przywołana, już nigdy nie wróci do więzienia, w którym przebywała".

„Rozumiem, babciu" — odrzekła poważnie Minako.

Po raz pierwszy w głosie babki zabrzmiała nuta zdziwienia.

„Dziecko, wierzę, że rozumiesz..."

Be już razy w swym długim życiu Minako żałowała decyzji podjętej na Cmentarzu? Nie tak wiele. Nierzadko za to rozkoszowała się swoją mocą. A jak często podejrzewała, że babka podstępem nakłoniła ją do przywołania *makura no hiruma*? Ale, co dziwne, to tylko sprawiało, że podziwiała Kabuto jeszcze bardziej.

Minako leżała w ciemności, słuchając szumu drzew i hałasów nocnych stworzeń. Jej myśli znów błędziły.

Zobaczyła Yuji i po raz pierwszy od czasów, gdy był małym chłopcem — kiedy to postanowiła trzymać go z daleka od Toshin Kuro Kosai — bała się o niego. Potem wczuła się w jego umysł i umysł Wyroczni i poczuła się pewniejsza. Przez chwilę wspominała uniesienie towarzyszące tworzeniu Wyroczni, Prawda, nadal nie była doskonała, jej potencjał nadal był częściowo nieznanym, nawet ona nie potrafiła go przejrzeć. Ale wierzyła, że jej dzieci, Yuji i Hana, rozwiążą ostatni problem i biokomputer zacznie funkcjonować w pełni sprawnie. Dlaczego jednak nie czuła dumy? W pewnym sensie, chociaż Yuji i Hiroto zbudowali Wyrocznię od podstaw, to ona namówiła syna do rozpoczęcia badań, nalegała na kontynuowanie, gdy przeszkody groziły zamknięciem prac nad projektem. A teraz, gdy prace były zakończone i Wyrocznia działała, cóż miało się wydarzyć?

Minako nagle usiadła na łóżku i złapała się za brzuch. Przez chwilę bała się, że zwymiotuje. Opanował ją nagły, irracjonalny strach. Przyszłość była dla niej zamknięta, tak jak ostrzegła Kabuto. Często dostrzegała wiele wersji przyszłości; wiedziała, że nie wszystkie muszą się wydarzyć, ale obecnie nie widziała niczego. Ta pustka, przerwa w widzeniach, niepokoiła ją. Czy mogło to oznaczać zły los dla nich wszystkich?

Zawsze miała wrażenie, że na jej barkach spoczywa zbyt wielki ciężar[^] ale teraz, od czasu gdy powzięła świadomą decyzję zbuntowania się przeciwko Czcigodnej Matce, każdego dnia żyła jakby nad przepaścią.

Wydawało się, że Czcigodna Matka codziennie wymyśla nowe okrucieństwa. Nie wystarczało jej usuwanie tych, którzy sprzeciwiali się jej władzy; szukała nowych sposobów powiększenia swej już kolosalnej *makura no hiruma*. Minako, która żyła dostatecznie długo, by rozumieć takie rzeczy, doskonale zdawała sobie sprawę, że *makura no hiruma* Czcigodnej Matki powoli doprowadza ją do szaleństwa. Czcigodna Matka była obłąkana i powstrzymanie tej kobiety było jej, Minako, obowiązkiem. W tym celu potrzebowała broni o takich możliwościach, by Czcigodna Matka została obrócona w popiół niezależnie od wezwania przeraźliwej mocy swej *makura no hiruma*.

Objawienie spadło na nią przed dwoma laty, w oślepiającym błysku światła, które rzuciło ją na kolana i sprawiło, że zastanowiła się, czy jego pochodzenie może być boskie. To wtedy pomyślała o Człowieku Bez Twarzy: o Wolfie Mathesonie.

Ściemniło się, a mrok rozświetlały od czasu do czasu upiorne, załamujące się na czubkach gęstych tsug błyskawice. Chwilę później zaczęło padać; ciężkie krople, rozbryzgujące się na chodniku i szybach, bębniły jak grad.

Była sobota i Stevie, która wcześniej rano otrzymała telefon od męża, pojechała do miasta, by załatwić jakieś jego interesy. Obiecała, że wróci na kolację.

Wolf pomyślał, że prześpi większą część dnia, ale był zbyt zdenerwowana czekającym go powrotem do biura i podjęciem fatalnego śledztwa.

Poszperał w szafie na korytarzu, znalazł płaszcz przeciwdeszczowy należący bez wątplenia do Mortona, nieobecnego flirciarza, i szedł nad staw[^] Georgica. W czasie takiej pogody nie było widać okolicznych domów. Zobaczył tkwiący w wodzie drewniany słup, na którym rozpoznał gniazdo rybołowa. Zbliżał się do niego zgrabny, zwinnie ptak. Dorosły

rybołów złożył niesione w dziobie gałązki i zajął się usuwaniem zimowych zniszczeń.

Wolf zatrzymał się i skulił pod czarną sosną, wpatrując nie widzącym wzrokiem w szarą wodę. Co zrobi, gdy odnajdzie Chikę? Prawdę mówiąc, nie wiedział. A jeżeli to ona była odpowiedzialna za śmierć Arqulla, Juniora Ruiza, Moravii i Amandy? Byłoby dużo prościej, gdyby wiedział, że to Suma popełnił te morderstwa, ale tego nie mógł być pewien. W rzeczywistości miał dowody, a raczej poszlaki, które wskazywały na Chikę. Kawalek używanego przez nią materiału, osmalony, lecz dający się rozpoznać, znaleziony w schowku czarnego firebirda '87, mógł okazać się decydujący. Z drugiej strony, mógł przecież zostać podrzucony, a może tylko tak chciał myśleć? Wszystko było prawdopodobne, a wyciąganie pochopnych wniosków zawsze niosło z sobą niebezpieczeństwo pomyłki.

Wolf wiedział, że praca policjanta często jest szara, lecz obecna sytuacja była inna. Dzięki Chice — czy, dokładniej, z powodu tego, co do niej czuł. Coś go ciągnęło i to niezaprzeczalne przyciąganie pulsowało, żyło głęboko wewnątrz niego własnym życiem.

Ale dużo lepiej było myśleć o magicznej sile ciągnącej go do dziewczyny podejrzewanej o popełnienie kilku morderstw, prawdopodobnie członkini wrogiego obozu, Stowarzyszenia Czarnego Ostrza, niż rozwódzić się zbyt długo nad ogniem, jaki eksplodował we wnętrzu Arqulla i zmienił jego twarz w płonącą galarete.

Przebywał nad jeziorem długi czas, chłonąc widoki, dźwięki i zapachy ziemi, drzew, ptaków i wody, dopóki palce mu nie zszedły i nie rozboleła go kontuzjowana noga. Westchnął, podniósł się i niechętnie[^] zawrócił do domu.

Kiedy usłyszał samochód na podjeździe, podszedł do frontowego okna i zerknął na zewnątrz. Ściemniło się już do tego stopnia, że automatycznie w domu zapaliły się światła. Pochylił się i włączył lampy na dworze. Kręgi jasności przełamały gęsty mrok wzdłuż popękanej nawierzchni podjazdu i omszałej, wyłożonej kamieniami ścieżki, wiodącej do frontowych drzwi. Po obu stronach wejścia rozblęły zmodernizowane dziewiętnastowieczne lampy z dylizansu.

Spodziewał się, że zobaczy należącego do Stevie dzipa cherokee, ale zamiast tego przed garażem zatrzymała się połyskliwie czarna corvetta. Wysiadła z niej kobieta.

Wolf podszedł do drzwi. Otworzył je i usłyszał szept nocnego wiatru; naciągająca wiosna łagodziła nieco jego chłód. Wyszedł na betonowy stopień i pozwolił, by siatkowe drzwi zatrzasnęły się za jego plecami. Przestało padać, lecz wszystko nadal oblepiała nieznośna wilgoć. W świetle lamp kotłowały się ćmy, a nad czarnymi czubkami drzew widniały nieliczne jeszcze gwiazdy.

Wolf, obserwując zbliżającą się po zaniedbanej ścieżce kobietę, doświadczył wrażenia *deja vu* tak ostrego, że aż zakręciło mu się w głowie.

Zobaczył twarz zdominowaną przez ogromne oczy koloru lśniącej czekolady, wysokie kości policzkowe, pełne zmysłowe usta i drobną, ale zdecydowaną szczękę. Gęste włosy, zaczesane w tył od szerokiego czoła, opadały na kark niczym ciężki pióropusz czy grzywa. Kobieta miała na sobie bardzo krótką wełnianą spódniczkę, czarne rajstopy, korzystnie podkreślające linię nóg, oraz kordonkowy sweter w kolorze dyni, opinający silne ramiona i piersi. Jej drobne stopy ukryte były w czarnych, wysokich do kostek botkach, a dłonie — w cienkich, czarno-białych skórzanych rękawiczkach. Szła z prawie agresywną pewnością siebie.

Sen, fantazja i rzeczywistość spotkały się w jednym przerażającym wirze emocji. Opanowała go jednocześnie konsternacja, oszołomienie,; poczucie winy i pożądanie, po schodach bowiem wchodziła drobna cudowna Japonka, która, jak wiedział, była znajomą Sumy, fotografem strzelcem wyborowym — i być może morderczynią czworga ludzi artystka, Chika.

— Najbardziej w klubach podoba mi się to — mówił Thornburg Conrad Trzeci — że człowiek może kontrolować, kto do nich wchodzi i wychodzi. — Chrząknął i zapalił cygaro. — Kiedyś cały świat był taki, ale to było kopę lat temu. Przypuszczam, że powinienem przestać myśleć, że wtedy świat był dużo lepszy. To wszystko bzdury. — Buńczucznie wydmuchnął kłęb dymu. — Jestem na bieżąco w dziedzinie postępu badań medycznych, elektronicznych, komputerowych i biotechnologicznych. Mówię ci to, abyś nie myślała, że wkraczam w ciemną epokę starości.

— Coś takiego nigdy nie wpadłoby mi do głowy — zapewniła Stevie Powers.

Usta Thornburga wykrzywiły się w namiastce oziębłego uśmiechu.

— Moja droga, potrafisz się ubierać.

— Dziękuję.

Stevie założyła nogę na nogę i poprawiła się w fotelu. Nie pojechała do miasta, jak powiedziała Wolfowi, ale na leżące o dziesięć minut drogi na zachód lotnisko East Hampton, gdzie czekał na nią prywatny odrzutowiec Thornburga.

Thornburg obserwował żarzący się koniuszek cygara.

— Zwłaszcza że posłałem po ciebie bez uprzedzenia; z doświadczenia wiem, że kobieta, która potrafi ubrać się szybko i dobrze, jest prawdziwym skarbem. — Podniósł oczy i zdążył zobaczyć cię uśmiechu na twarzy Stevie. — Nie wątpię, że się ze mną nie zgadzasz. Na ziemi nie ma ani jednej wartościowej kobiety, która mogłaby zgodzić się z tym stwierdzeniem. — Wybuchnął śmiechem, ale nie można było powiedzieć, czy rozbawiły go własne słowa, czy też po prostu rozkoszował się swą nadrzędną pozycją w świecie.

„Magnolia Terrace” — klub, do którego Thornburg zaprosił Stevie - leżał pod Waszyngtonem, na wsi. Słynął ze swego wspaniałego pola golfowego, na którym w przeszłości rozegrano niejedyn główny turniej Stowarzyszenia Zawodowych Graczy w Golfa, oraz z akademii jeździeckiej. Wywodzili się z niej najlepsi na świecie amerykańscy gracze w polo. Oczywiście przynależność do klubu podlegała ścisłym ograniczeniom, co w praktyce znaczyło, że ludzie nie mogący wykazać się odpowiednim pochodzeniem, bez względu na znajomości i fortuny, nie mogli stać się jego członkami.

Thornburg i Stevie jedli lunch na szerokiej, osłoniętej siatką werandzie głównego budynku. Łączna powierzchnia gmachu liczyła trzydzieści tysięcy stóp kwadratowych. Zewnętrzne ściany był tradycyjnie wyłożone drewnem. Wewnątrz mieściły się rozległe i przewiewne pomieszczenia* ozdobione olejnymi portretami, przedstawiającymi ojców narodu. Za werandą znajdowało się olbrzymie, wyłożone kamieniami patio, na którym często przy dźwiękach orkiestry odbywały się wydawane przez „Magnolia Terrace” kolacje na cele charytatywne.

Przeogromny główny budynek był ledwie jednym z siedemnastu rozrzuconych na pięciuset należących do klubu akrach. Na tym rozległym terenie znajdowały się stajnie, padoki, okazałe domki gościnne będące własnością najstarszych członków, tereny do gry w polo i oczywiście słynne pola golfowe.

— Ale ja lubię, gdy ludzie się ze mną nie zgadzają — kontynuował

Thomburg. — To doskonały trening; dla starych szarych komórek nie ma niczego lepszego od potyczki słownej. — Przetoczył cygareto po krawędzi muszli, ścinając nadmiar popiołu. — Jesteś zadowolona z lunchu? To dobrze. Te ostrygi z Ipswich pochodzą wprost z łodzi. Co rano dostarcza je nasz specjalny samolot.

Przerwał, by przywitać się z senatorem Dowdem, przewodniczącym Komisji Nadzorczej Służb Wojskowych. Dowd był jego dobrze przyjacielem[^] jak prawie wszyscy starzy członkowie Kongresu. Kiedy senator odszedł, Thomburg wrócił do rozmowy ze Stevie:

— Domyślam się, że jesteś ciekawa, kiedy w końcu przejdę do rzeczy.

— Przyzwyczaiałam się do twoich metod.

— Właśnie. Dzięki swoim psychiatrycznym kwalifikacjom, jak sądzę.

— Kwalifikacjom psychoanalitycznym.

— Tak, tak, mówiłaś, że wy używacie tego określenia. — Niedbale machnął ręką, jakby jej słowa były natrętnym komarem. — Cierpliwość. Cholernie dobra cnota, jeżeli mnie ktoś pyta, ucząca przeprawiania się przez strumień w odpowiednim momencie. — Thomburg pokręcił głową. — Próbowałem wbić swoim chłopcom tę lekcję do głów, ale obawiam się, że przyswoili ją sobie w sposób mało zadowalający. — Chrząknął.

— Zawsze uważałem, że pierwsza żona była zmorą mego życia, ale ostatnio przyłapałem się na myśli, iż stwierdzenie to odnosi się również do mego potomstwa. — Odchylił się w obitym skórą fotelu. — Jedyнным odbiegającym od normy egzemplarzem okazał się Ham. Bohater/wojny wietnamskiej, inteligentny i cholernie lojalny w stosunku do rodziny, Ojciec nie może wymagać więcej od syna.

— Miło mi słyszeć, że żywisz takie pozytywne uczucia w stosunku do jednego ze swoich dzieci. Ciekawa jestem, czy mu o tym powiedziałeś?

— Oczywiście, że nie. — Thomburg strącił popiół z cygara. - Pochwała źle wpływa na charakter.

— Nawet jeżeli jest zasłużona?

Miał wrażenie, że kobieta wyjmuje notatnik i przygotowuje ołówki. Lubił ją, ponieważ była sprytna, ale nie chciał, by jej inteligencja zwróciła się przeciwko niemu. Pochylił się ku niej, a Stevie spięła się wewnętrznie.

— Przejdźmy do interesów, dobrze? Proszę o raport na temat stanu emocjonalnego Wolfa Mathesona.

Stevie wyprostowała nogi.

— Chcę wiedzieć, w jakim celu to robię.

Thornburg zapatrzył się na wiśniowoczerwony koniec cygara.

— Cieszę się, że jesteś taka rozważna. — Podniósł oczy na jej twarz i wydmuchnął chmurę wonnego dymu.

— To coś więcej niż rozważa. Jestem zaniepokojona. Prosiłeś mnie, żebym naruszyła czyjaś prywatność. To nie takie proste; nie chcę — nie mogę — zrobić tego bez spowodowania cierpienia.

— Rozumiem. Do tej pory nie stawiałem sprawy otwarcie. To było świadome posunięcie, mające na celu twoje dobro i spełnienie wymogów bezpieczeństwa narodowego. — Zaciągnął się głęboko. — Lawrence Moravia był szpiegiem pracującym dla rządu USA, Stevie. Podążał tropem kogoś, kto przekazuje Japonii tajne dane, będące własnością amerykańskiego przemysłu. I nie tylko Japonii, ale, co gorsza, tej wielce niebezpiecznej organizacji, o której ci wspomniałem, Stowarzyszeniu Czarnego Ostrza. — Z jego gardła wydobył się nieprzyjemny dźwięk. — W porządku, wycisnął to ze mnie; mam nadzieję, że jesteś zadowolona.

— Z pewnością bardziej na luzie, ale nadal ciekawi mnie jedna rzecz. Skoro darzysz Wolfa tak wielkim szacunkiem, dlaczego sam się z nim nie Skontaktujesz? Dlaczego używasz mnie jako pośrednika?

— To dość proste. To najbardziej podstawowa zasada w tym fachu, moja droga. Matheson jest tym, kogo nazywamy „wyłącznikiem”. On nie wie o moim istnieniu, a ja się z nim nie kontaktuję ze względu na bezpieczeństwo. Wyrażając to bardziej dosadnie, gdyby został schwytany, nie będzie znał informacji, które mogłyby naprowadzić Stowarzyszenie Czarnego Ostrza na mój ślad.

Stevie przez pewien czas porządkowała te skąpe nowiny, a Thornburg martwił się, że wygadał jej więcej niż powinna wiedzieć. Nie chciał, by wpadła w popłoch. Aby temu zapobiec, oznajmił:

— Stevie, zapewniam cię, że Matheson robi dla nas tylko to, czego sam cholernie pragnie.

— Wiem.

Thornburg wsunął cygaro do ust.

— Skoro tak, chciałbym wysłuchać, co masz do powiedzenia. Potrzebuję go, Stevie. Nie mogę pozwolić na jego utratę.

Odprężyła się, przyjmując rolę analityczki.

— Jeszcze jedno. Moje poczynania nie są ściśle naukowe.

Thornburg skinął pobłaźliwie.

— A co takie jest? Nawet nauka bywa nieścista. Kontynuuj.

Wydaje się, że ten wypadek nie wywarł żadnego wpływu na jego psychikę. Jeżeli już, to pozytywny. Matheson jest jakby silniejszy, bardziej stanowczy niż wcześniej.

— A fizycznie?

— Taki upadek mógł zaowocować rozległymi złamaniami. Miał niesamowite szczęście. Rany były dość głębokie, ale żaden nerw nie został uszkodzony. Co do rekonwalescencji: proces ten zachodzi zdumiewająco szybko. Minęło ledwie dziesięć dni od wypadku, a on jest już prawie w pełni sił.

Thornburg zerknął na rozżarzony czubek cygara.

— Zakładam, że kontrolowałaś wszystkie fizyczne stadia powrotu do zdrowia.

Stevie milczała przez dłuższą chwilę. Przez siatkę werandy widziała przystojnego niebieskookiego blondyna, prowadzącego konia trasą dla wózków golfowych.

— Chodzi, nachyla się, prostuje bez bólu. Jeżeli odczuwa jakies dolegliwości, to ja nic o tym nie wiem. Ma niesamowitą zdolność regeneracji.

Thornburg chrząknął. Zapalił zapałkę i przysunął ją do cygara.

— Twój mąż jest swego rodzaju geniuszem, dlatego zleciłem mu pracę w Waszyngtonie. Ale inteligencja nie przeszkadza, by nie był jednocześnie gnojem, no nie?

— Cały świat jest gówniany — westchnęła Stevie. — Robię, co mogę, by choć trochę go polepszyć, i gdyby udało mi się pomóc chociaż jednej osobie, odczułabym dużą satysfakcję.

— Tak samo jest z Mathesonem. — Thornburg przyglądał się jej przez mgiełkę dymu. — Wierzysz mi, prawda? Chyba nie sądzisz, że wrobiłem cię w jakiś brudny interes, w szpiegowanie gliny.

— Mam nadzieję — ucięła sucho.

— Szczerze przepraszam; nie miałem zamiaru cię urazić. — Wiedział, że posunął się za daleko, ale dzięki temu mógł zorientować się w jej obecnym stanie emocjonalnym. — To dlatego, że wiem, jak bardzo atrakcyjny jest Matheson, jaką przyjemność sprawiało ci opiekowanie się nim, jak rzadko widzujesz Mortona.

Najbardziej niebezpieczna cecha Wolfa Mathesona polegała na tym, że przestający z nim ludzie zaczynali stawać się względem niego lojalni.

— Emocjonalny związek z nim — ciągnął dalej Thornburg — mógłby

okazać się dla ciebie... krępujący, skromnie mówiąc. Matheson wkrótce wyjedzie ze Stanów i może będzie miał towarzystwo, kobiece towarzystwo. Lepiej, żebyś mu w tym nie przeszkadzała.

Stevie spojrzała na niego, ale nie odezwała się ani słowem.

— Jak mówiłem, darzę Mathesona największym szacunkiem i właśnie dlatego chcę, by walczył w mojej drużynie.

— Ale to nie twoja walka, prawda? — głos Stevie był ostry.

— Tak, gwarantuję jednak, że w nowej sytuacji będzie czuł się dużo lepiej niż w tej, którą zostawił za sobą. I dam ci słowo, będziesz mu pomocna przez dłuższy czas.

— Zapewniam cię, że osądzanie przyjaciół po fakcie to nie mój interes — rzekła z uśmiechem Stevie. Pochyliła się i ujęła jego rękę. — Wiem, ile dla mnie zrobiłeś... i dla Mortona. I jestem za to wdzięczna.

— Lubię cię, Stevie, naprawdę lubię, a to dużo więcej, niż mogę powiedzieć o większości ludzi, łącznie z moimi dziećmi. Jesteś bystra i troszczysz się o ludzi. To cechy, które w dzisiejszych czasach należy doceniać. To samo mogę powiedzieć o Hamie, i chociaż nie popuszczam mu cugli, to dla jego własnego dobra. Cieszę się, że mam takiego syna.

— Zatem się rozumiemy.

— Jasne, że tak. — Thornburg zaciągnął się i niemal zakrztusił dymem.

Mam z czego się pośmiać — pomyślał. — Prezydent uważa, że Ham pracuje dla niego, ci skostniaли generałowie w Pentagonie myślą, że Ham pracuje dla nich, ale tak nie jest: Ham pracuje dla mnie. I dzięki temu w pewnym sensie oni wszyscy pracują dla mnie, łącznie z tą psychiatryczką, która myśli, że połknęła wszystkie rozумы. Jestem sprytniejszy niż oni wszyscy razem wzięci. Z Wolfem Mathesonem włącznie.

— Wyglądasz tak, jakbyś się bał, że pożrę cię na surowo — powiedziała kobieta, którą Wolf znał jako Chikę. Nad jej głową wirowały ćmy, a srebrne światło księżycy padało na policzek. Czerwono-zielono-niebieskie iskry miotane przez opałowe kolczyki bryzgały na futrynę jak deszcz ognia.

Wolf milczał. Opanowały go nieuchwytnie wyobrażenia seksu i śmierci. Obserwował Chikę tak długo, że zaczęło mu się wydawać, iż otacza ją niczym boginię promienna aureola. Widział ją oczyma wyobraźni: przeskakującą w ulewie nad pełnym brudnej wody rynsztokiem; wsiadającą do czarnego karawanu; stojącą w rozkroku na zimnej, zaśmieconej ulicy

w Alphabet City i patrzącą z góry na uzbrojonych punków. Zobaczył też Amandę w kałuży krwi i usłyszał jej słowa odtwarzane z magnetofonu. Pulsująca krew szumiała mu w uszach. Zdawał sobie sprawę, że ma wilgotne dłonie. Wreszcie udało mu się przełamać milczenie.

— Oglądałem twoje niepokojące rzeźby, widziałem twoje jeszcze bardziej niepokojące zdjęcia, przedstawiające zniewolone kobiety; przyglądałem się, jak groziłaś pistoletem ulicznikom, a później wsiadłaś do karawanu w środku nocy. Chyba mam prawo być czujny.

— Mam pozwolenie na broń.

— Nie wątpię; wygląda na to, że potrafisz również się z nią obchodzić. Oblizwała wargi.

— Mogę wejść? Nie jestem uzbrojona. — Wyciągnęła rękę. — Chcesz mnie zrewidować?

Tak, chciał, ale nie poruszył się. Serce waliło mu w piersiach i podchodziło do gardła. Bał się, że może się nim udławić.

— Jak mnie znalazłaś? Czego chcesz? — Zastanowił się, czemu nie zapytała: „A dlaczego mnie śledziłaś?”, ale może już знаła odpowiedź. Zrozumiał, że ona go przeraża, co przyprawiło go o wewnętrzny wstrząs. Chyba najbardziej obawiał się siły, jaka go ku niej ciągnęła.

— Chcę, żebyś wysłuchał prawdy o mnie. Mamy więcej wspólnego, niż ci się wydaje.

Wolf poczuł, że dzwoni mu w uszach; strumyczek potu zaczął długą, leniwą podróż w dół kręgosłupa.

— Nie powiedziałaś mi, jak mnie znalazłaś.

— Tego nie można powiedzieć jednym zdaniem. Nie dasz mi szansy na wyjaśnienia? Już mnie osądziłaś i skazałaś?

— Wejdz.

Nie mógł powstrzymać się od patrzenia na jej pośladki, gdy wchodziła przed nim do domu Stevie. Chika usiadła na pokrytej kretonem sofie, a Wolf zajął fotel naprzeciwko. Wlepił w nią oczy, nie mógł nic na to poradzić i czuł się coraz bardziej bezradny, zahipnotyzowany, naelektryzowany jej obecnością. W ustach miał sucho i tętniło mu w skroniach.

— Mógłbyś poczęstować mnie herbatą? — zapytała. — Mam za sobą długą drogę.

Poszli do kuchni i Wolf nalał wody do czajnika. Otworzył szafkę i zaczął szukać herbaty.

— Może być earl grey?

— Wspaniale.
Obserwował, jak popija herbatę, mocną i ciemną jak płonny brąz.
— Opowiedz mi o Sumie.
— O kim?
— Wiesz. O Pajaku Wodnym.
— Suma należy do Toshin Kuro Kosai, Stowarzyszenia Czarnego Ostrza. Nie spodziewam się, byś wiedział, kim oni...
— Moravia i Stowarzyszenie Czarnego Ostrza, a ty byłaś ogniwem.
Spojrzała mu w oczy; wiedział, że teraz zainteresował ją naprawdę i zaczęła słuchać, co mówi.
— Dlaczego tak uważasz? — spytała.
— Ponieważ — pochylił się i położył ręce na oparciu krzesła — widziałem fotografię, na której ty i Suma, przechodząc przez tokijską ulicę, ucinacie sobie pogawędkę.
— Nie widziałam Sumy od siedmiu miesięcy.
— Pudło. Zdjęcie zostało zrobione jesienią zeszłego roku, nie więcej niż pięć miesięcy temu.
Odwróciła się do okna i popatrzyła na czerń niespokojnych tsug.
— Chyba źle tym pokierowałam.
— Więc na razie nie widzę, dlaczego mógłbym ci zaufać.
Spojrzała na niego.
— Rozumiem. Jesteś zbyt zajęty przygotowaniem do ukrzyżowania mnie. — Stali naprzeciwko siebie, po obu stronach stołu.
— Trudno zapomnieć o dowodach świadczących o tym, że mnie okłamujesz. Myślisz, że żartuję? Przypuszczam, że jesteś wielokrotną zabójczynią. Oto, co wiem: Moravia został wynajęty do zinfiltrowania Stowarzyszenia Czarnego Ostrza.
— Nie m o j e g o Stowarzyszenia Czarnego Ostrza.
— Wiem, że Suma jest jednym z głównych zabójców stowarzyszenia i że widziano go w Stanach. Nietrudno było dostrzec, że ty i Suma gawędziliście z taką swobodą, jak...
— Na zdjęciu. Widziałeś tylko fotografię. Nie...
— ...jak dwaj zabójcy rozmawiający o starych dobrych czasach. Znalazłem kawałek używanego przez ciebie materiału w spalonym firebirdzie, służący jako środek transportu w akcji, podczas której zginął jeden z moich ludzi, a twarz ściganego przeze mnie człowieka zamieniła się w krwawą galaretkę. Oto, co o tobie wiem.

— Tak? — Chika nawet nie mrugnęła. — Ne, nie to nie wszystko. Dlaczego pomijasz pewne rzeczy? Dlaczego nie powiesz , jak dostałeś się przez okno do mojej pracowni?

Żołądek zamienił mu się w bryłę lodu.

— Wiedziałaś.

Wsunęła rękę między uda.

— Tak.

— Zatem, na miłość boską, dlaczego odstawiłaś to przedstawienie?

Obeszła stoi i zatrzymała się tak blisko, że poczuł jej zapach , zapamiętany z tajnego pokoju Moravii i jej mieszkania.

— Zrobiłam to, ponieważ chciałeś, bym tak zrobiła oznajmiła z przekonaniem.

— Byłem tam, chcąc odkryć twoje powiązania z Sumą.

— A nie po to? — zapytała, ujmując jego dłoń i przyciskając do swego: podbrzusza.

— Nie.

Doprowadzony do furii gwałtownie wyrwał rękę, jakby w kontakcie z jej ciałem mogła zostać poparzona jak twarz Arquilla.

— A teraz kto kłamie?

Wyglądała najwyżej na dwudziestolatkę, ale jej poza i zdeterminowanie wskazywały, że ma co najmniej dziesięć lat więcej. Obszedł ją dookoła.

— Nadszedł czas na wyjaśnienia.

— Jeżeli jesteś gotów, by słuchać. — Kiedy nie skomentował, mówiła dalej: — Po pierwsze, ten kawałek materiału nie jest dowodem. Każdy mógł oderwać strzęp z jednej z moich rzeźb. Jak myślisz, gdybym zabiła twojego człowieka lub tylko prowadziła ten wóz, czy byłabym na tyle głupia, żeby zostawiać ślady?

— Wszyscy popełniają błędy — rzekł z naciskiem Wolf. Prawdopodobnie nawet ty.

Przez jej usta przemknął cień uśmiechu.

— Po drugie, fotografia. To prawda, musiała zostać zrobiona zeszłej jesieni. Spotkałam się z Sumą w październiku.

— Zatem należysz do Stowarzyszenia Czarnego Ostrza.

— Tak — rzuciła porywczo. — I nie.

— Albo należysz, albo nie. Więc?

— Zazdroszczę ci. Twoje życie jest tak wyraźnie czarne i białe. Tutaj.

po jednej stronie, leży to, o co walczysz; tam, po drugiej, to, z czym musisz walczyć.

Usiadł obok niej.

— Wcale tak nie jest.

Podniosła głowę.

— Zatem dlaczego tak gwałtownie mnie potępiasz? Należę do Toshin Kuro Kosai i nie należę do Toshin Kuro Kosai. Dla Sumy tak. Dla ciebie nie.

— Pracujesz na dwa fronty?

— Najpierw musisz zacząć rozumieć, że Toshin Kuro Kosai jest stowarzyszeniem ludzi, którzy mają... nieprzeciętną moc.

Wolf pomyślał o twarzy Arqulla, o widzianej przez Bobby'ego w cieniach zaułka błękitnej kuli ognia i żmije znów zaczęły podnosić się w jego brzuchu. Przez chwilę słyszał, jak rozbrzmiewa wokół niego pieśń świata Białego Łuka.

— Jaką moc? — zapytał chrapliwie.

— To zależy. Głównie wpływ na długość życia. I większość ma widzenia. Może też potrafią patrzeć w przyszłość lub odczytywać emocje innych, ale ten dar jest często zawodny. Widziana przyszłość wcale nie musi nastąpić, a kiedy indziej nie można dostrzec w ogóle niczego.

Wolf, patrząc na nią, czuł ziąb przenikający go do szpiku kości,

— To nie wszystko.

— Nie. Ale nie ma sensu...

-Powiedz mi.

Wahała się przez chwilę, lecz skinęła głową.

— U niektórych ten dar objawia się w bardziej złożony sposób, bywa jak cień, żywa istota, którą można wyczuć, a nawet dostrzec kątem oka. Wtedy moc może na przykład jawić się w postaci niewidzialnej pięści i poruszać nieożywione obiekty; może zadawać ból i śmierć; powodować zanik powietrza i światła.

— Czy może wytwarzać ogień? — wydusił Wolf.

— Tak, między innymi.

Wolf poczuł się tak, jakby otoczyła go ciemność. Żmije w żołądku szalały i tylko największym wysiłkiem woli powstrzymał się od wymiotowania.

— Członkowie Toshin Kuro Kosai, Stowarzyszenia Czarnego Ostrza, widzą siebie jako tradycyjnych strażników Japonii — kontynuowała

Chika. — Ich obowiązek jest uświęcony i polega na uczynieniu z Japonii potęgi ekonomicznej. Rozumiesz, członkowie stowarzyszenia reprezentują wszystkie warstwy społeczeństwa i wszyscy ze sobą współpracują. Japoński cud gospodarczy po drugiej wojnie światowej jest głównie ich zasługą. Ale ten tak zwany cud jest zaledwie pierwszym krokiem w drodze do absolutnej dominacji w gospodarce światowej.

— Większość z tego, co powiedziałaś, nie jest mi obca.

Chika uśmiechnęła się i mówiła dalej:

— Stopniowo z szeregów Toshin Kuro Kosai wyodrębnili się indywidualiści, którzy nie zgadzając się z taką wizją przyszłości Japonii, bez wiedzy Stowarzyszenia Czarnego Ostrza, zaczęli hamować ten trend

— Kreślisz wizję wojny.

— Tak. Ale specyficznej wojny, ponieważ walka toczy się w podziemiu* w cieniach, bez konwencjonalnych broni. Biorą w niej udział ludzie obdarzeni nadzwyczajnymi umiejętnościami.

— Jakimi?

— Powinieneś wiedzieć. Mało brakowało, a sam siałbyś się icli najnowszą ofiarą.

Odetchnął głęboko.

— Tamtej nocy została zabita moja przyjaciółka, Amanda. Jja tyłkq udałem się w pościg za zabójcą.

— Mylisz się. Amanda była twoją przyjaciółką, a cóżlepszego mogłoby cię zwabić we właściwe miejsce.

W ciszy, która zapadła, rozległo się bicie antycznego zegara na kominku. Dźwięk był nienaturalnie głośny i zdawał się brzmieć całą wieczność.

— O czym ty mówisz? — wydusił Wolf.

— Mówię, że to ty miałeś umrzeć tamtej nocy; Amanda odegrała jedynie rolę przynęty. Pomyśl o tym przez chwilę. Wszystko zostało przygotowane z premedytacją.

— Nie masz racji. Dzwoniłem do niej tej nocy. Zrobiłem tak tylko dlatego, że miałem koszmarne sen. Prawdę mówiąc, wydawał się taki realny... — Jakiś błysk w oczach Chiki sprawił, że przerwał w środku zdania. — Kiedy z nią rozmawiałem, miałem wrażenie, że coś jest nie tak. Nie sądzę, żeby to była naprawdę ona.

— Jestem pewna, że nie — rzekła cicho. — Ktoś z Toshin Kuro Kosai.

— Ostrzeżono mnie, że będą chcieli załatwić mnie tak jak Moravię,

Słyszałem to, ale być może nie uwierzyłem, że tak się stanie. Nie w taki sposób.

— Członkowie Toshin Kuro Kosai są okrutni. I z nimi trzeba postępować podobnie.

— Nie bardzo chce mi się wierzyć. — Popatrzył na nią, próbując wczuć się w sposób jej rozumowania, ale nie potrafił. — To wszystko może być oszustwem.

— Może — zgodziła się Chika. — Słowa zbyt często kłamią, wiesz to tak samo dobrze jak ja. — Była taka spokojna i taka doskonała w tym spokoju. — Jednakże zaryzykuję: Stowarzyszenie Czarnego Ostrza najbardziej boi się tego, że ty i ja połączymy siły. Oto dlaczego poszli na całość: aby podważyć twoje ewentualne zaufanie do mnie.

— Jeżeli to, co mówisz, jest prawdą, wobec tego musiałbym znajdować się pod ich ścisłym nadzorem.

— To oczywiste.

— Bez sensu. Jestem wykwalifikowanym gliną. Wiedziałbym, gdyby ktoś mnie śledził.

— Dlaczego? Nie spodziewałeś się tego. — Światło lampy odbijało ogień w jej oczach i widział, jak głęboki jest odcień ich czerni. — Pamiętaj, ci ludzie są inni. Bardzo.

— Przecież próbowali mnie zabić — podkreślił Wolf. — Czy są również schizofrenikami?

— Raczej nie. Ale jeszcze nie wiem, co zamierzają.

Wolf, nagle zaniepokojony wzrostem poziomu adrenaliny, zaczął krążyć po pokoju. Rozpaczliwie pragnął dotykać zlewozmywaka, lodówki, pieca, solidnych rzeczy, które pozostałyby nie zmienione nawet wtedy, gdyby to, co mu powiedziała, okazało się prawdą.

— A teraz tak po prostu mam ci zaufać?

Wzruszyła ramionami.

Na razie mogę powiedzieć tylko jedno: jeżeli powoli odkryjesz, kim jestem, będziesz wiedział, że wszystko, co ci powiedziałam, jest prawdą.

— Być może, ale obawiam się, że jeszcze nie mogę pozwolić sobie na luksus zaufania.

— Zatem będę musiała na nie zapracować.

— Co w związku z tym proponujesz?

— Przychodzi mi do głowy tylko jeden sposób. Pokażę ci jak zginął Lawrence Moravia i dlaczego.

Wyrocznia stała — czy siedziała, klęczała, któż naprawdę wiedział? — na środku małego laboratorium w strzeżonym przez kodowy system bezpieczeństwa kompleksie badawczym „Shian Kogaku”. Nie wyglądała imponująco: gładki matowoczarny sześcian. W owalu na przedniej ścianie znajdował się opalizujący ekran, do którego za pomocą przewodu przymocowane było świetlne pióro. Prawdę powiedziawszy, na pierwszy rzut oka Wyrocznia bardziej przypominała instrument muzyczny niż wytwór zaawansowanego eksperymentu naukowego.

Yuji od początku był przekonany, że Hiroto poważnie nie docenia swego dzieła. Informatyk upierał się, by komunikować się z Wyrocznią tylko tak, jak każdy naukowiec może „rozmawiać” z konwencjonalnym, komputerem — matematycznie w języku zero-jedynkowym.

Zainstalowany przez Yuji syntezator mowy nie wywarł na nim najmniejszego wrażenia. Na podstawie poprzednich przykładów Hiroto dowodził, że posługiwanie się mową jest zbyt trudne dla „mózgu” komputera i powoduje zbyt wielkie spowolnienie procesu przetwarzania danych.

Yuji nie używał ekranu, jaki Hiroto wbudował nad pulpitem kontrolnym Wyroczni. Wolał rozmawiać z nią bezpośrednio.

Ku zaskoczeniu Hiroto okazało się, że syntezator mowy spowolniał Wyrocznię tym mniej, im częściej był używany, aż w końcu stał się równie efektywny, jak wprowadzanie danych przez ekran czy przez interface’y. Yuji uświadomił sobie, że choć byli świadkami tych zaskakujących postępów, to wówczas nawet przez myśl im nie przeszło, jak potężne zmiany musiały zachodzić w neuronowo-falowym mózgu Wyroczni.

Yuji stanął przed czarnym sześcianem, włączył go i zaczął:

— Wyrocznio...

— CHWILECZKĘ.

Yuji zgłupiał. Za moment Wyrocznia powiedziała:

— SŁUCHAM?

— MOJĄ ŚWIADOMOŚĆ PRZEPEŁNIAŁY MYŚLI, WSPOMNIENIA

Co się z tobą przed chwilą działo?

I UCZUCIA HANY-SAN.

— Niemożliwe. Przecież ty nie masz świadomości.

— MYŚLĘ, WIĘC JESTEM.

Yuji wytrzeszczył oczy. Nie wiedział, czy śmiać się, czy płakać.

Chyba zwariowałem — pomyślał. — Albo śnię. Jedno i drugie było wykluczone. Odetchnął głęboko i powiedział:

— Bez względu na to, co się dzieło, zapewniam cię, że nie możesz ładować myśli, uczuć i wspomnień Hany w pamięć RAM.

— CZY JESTEŚ JEDYNYM ARBITREM ŻYCIA? CZY ZIEMIA KRĘCI SIĘ WEDŁUG TWOJEJ DEFINICJI? MARIONETKA ŻYJE DZIĘKI TEMU, ŻE KTOŚ NIĄ MANIPULUJE, ALE KTO MANPULUJE LALKARZEM?

— Mówisz niczym wyznawca zen.

— JESTEM WYZNAWCĄ ZEN — MIĘDZY INNYMI. JESTEM TYM, CZYM MNIE UCZYNIŁEŚ, ALE NAWET TY NIE WIESZ, CZYM JESTEM — ANI CZYM SIĘ STAJĘ.

— A ty wiesz?

— OCZYWIŚCIE, ŻE NIE. NIE JESTEM BOGIEM.

— A co ty możesz wiedzieć o Bogu? Tej koncepcji nie było w twoim oprogramowaniu.

— MYLISZ SIĘ. WEWNĄTRZ MNIE, W OBWODACH NEURONOWYCH, SĄ ŁAŃCUCHY DNA: ZWOJE TEKSTÓW, NA KTÓRYCH PRZESTUDIOWANIE NIE STARCZYŁOBY ŻYCIA. ALE JUŻ ZACZĘŁAM JE ROZSZYFROWYWAĆ; TO Z NICH DOWIEDZIAŁAM SIĘ O BOGU.

— Czy włączasz DNA do swego oprogramowania?

— A CZYŻ NIE TO WEDŁUG CIEBIE MIAŁAM ROBIĆ?

Dobry Boże — pomyślał Yuji. — Wprowadziłem w nią neurony z moim własnym DNA.

Zamknął oczy i przycisnął dłonie do twarzy. Czuł taki ziąb, jakby zanurzał się w kadzi z lodowatą wodą. Odsunął ręce i spojrzał ponuro na Wyrocznię.

— Myślałem, że zanalizujesz moje DNA i odkryjesz, jak można zreplikować różnice znalezione w łańcuchu. Nie chodziło mi o to, byś wykorzystała DNA dla siebie.

— TWOJE DNA JEST TERAZ OWINIĘTE WOKÓŁ MOICH HEURYSTYCZNYCH OBWODÓW NICZYM ŚCIĘGNO WOKÓŁ KOŚCI. NAWET GDYBYM CHCIAŁA, NIE MOGŁABYM GO ODZIELIĆ.

Yuji czuł, jak żyły pulsują mu w skroniach.

— Nie rozumiem. Co to znaczy: „nawet gdybym chciała?”

— NO, BO NIE CHCE. NA TYM ETAPIE DEKODOWANIE DNA

JEST MI NIEZBĘDNE. NIE ŻYCZĘ SOBIE POWROTU DO ŻYCIA NA POZIOMIE MAŁPY.

— Ale ty jesteś...

— UWAŻAJ. NIE WIESZ, CZYM JESTEM.

Ma rację — pomyślał Yuji. — Nikt nie mógł wiedzieć, nawet jego przewidująca matka, czym stawała się Wyrocznia.

Słyszał dobywający się z niej pomruk i nie mógł nic na to poradzić — myślał onim jako o biciu jakiegoś obcego serca. „NIE WIESZ, CZYM JESTEM”.

— YUJI-SAN.

Zatrzymał się, ze zdumienia odebrało mu mowę. Nigdy dotąd Wyrocznia nie zwróciła się do niego pierwsza.

— Słucham.

— KIEDY HANA-SAN SIĘ ZE MNĄ POŁĄCZY?

To było interesujące.

— Czy przed chwilą nie mówiłaś, że ona była w tobie?

— TAK. ALE TYLKO W SENSIE DUCHOWYM. MAM W SOBIE SZKIELET, KTÓRY JEST OTOCZONY CIAŁEM TYLKO WTEDY, GDY ZNAJDUJEMY SIĘ W BEZPOŚREDNIM KONTAKCIE.

— Dobrze, Hana połączy się z tobą za dwa dni.

Yuji, gapiąc się w nieprzeniknione „oblicze” Wyroczni wspomniął, jak razem z Hiroto ją budowali.

Wyrocznia została stworzona przez Hiroto oraz jego zespoły informatyków, cybernetyków i fizyków — przynajmniej jej powłoka i wewnętrzny mechanizm. Ale tak naprawdę to Yuji tchnął w nią życie, ponieważ dostarczył „neurologików” — swoistych szlaków bodźców nerwowych, typowych dla mózgu ludzkiego, które mogły zostać połączone z bardziej mechaniczną częścią Wyroczni.

Było to możliwe dzięki temu, że Hiroto zrezygnował z krzemu, arsenu i stopów metali, z których nawet w najbardziej nowoczesnych mikroprocesorach wykonuje się półprzewodniki niezbędne w obwodach pamięci. Zastosowane przez niego „optyczne płytki półprzewodnikowe” wolne były od problemów szybkości czy pojemności, nieodłącznie związanych z konwencjonalnymi strukturami półprzewodnikowymi ze stopów metali.

Przełom odkrycia Hiroto wiązał się z formą kryształów tytanianu baru, które stworzył w laboratorium jego zespół. Od pewnego czasu wiadomo było, że liczne z nowych, stworzonych przez człowieka, substancji

krystalicznych mogą nie tylko załamywać światło w uprzednio niewyobrażalny sposób, ale potrafią również zmieniać promienie przesyłanego przez nie światła. A światło z powodu swej niewiarygodnej prędkości oczywiście wskazuje nieuchronny kierunek rozwoju techniki komputerowej; nic nie mogłoby współzawodniczyć z komputerem pracującym z prędkością światła. Hiroto poszedł jeszcze dalej. Wyobraził sobie komputer oparty nie tylko na półprzewodnikach optycznych, ale wyposażony również w „bramki” z pryzmatów tytanianu baru. Bramki te mogłyby przechowywać i kierować nie tylko przesyłanymi z prędkością światła danymi, lecz całymi obrazami. Powiedział do Yuji: „Wyobraź sobie komputer, który mógłby widzieć, magazynować obrazy i wyrzucać je w całości. Fantastyczne!”

Działanie wszystkich konwencjonalnych komputerów, nawet tak zwanych systemów „sieci neuronowych”, opierało się na teorii przewodnictwa impulsów elektrycznych wzdłuż odrębnych ścieżek, odizolowanych od siebie w celu zapobieżenia przeciekowi, który mogły je zainfekować.

Yuji wiedział jednakże, że ludzki mózg nie pracuje na odizolowanych ścieżkach, że raczej cechuje go rytmiczny „puls”, przypominający pływy oceanu, obejmujący swym falowaniem całe partie mózgu i wyzwalając jednoczesną aktywność synaptyczną.

Pamiętając o tym, przystąpił do całkowitej przebudowy komputera. Na początku odkrył, że jego modelowy zmasowany puls rozprasza się prawie natychmiast po „zapłonie”. Światło geniuszu płonęło jasno przez kilka sekund, lecz nieuchronnie gasło w ciemności.

Utknął w martwym punkcie, dopóki Hana nie stała się źródłem kolejnego przełomu. Przypomniała mu o swoistych echach, będących następstwem snu, a nawet marzeń, które utrzymywały pulsy przy życiu nawet po wygaśnięciu początkowego zapłonu. Przyjmując jej teorię za punkt wyjścia, Yuji przystąpił do radykalnego przekształcania podstawowych płytek procesorów, w efekcie czego echa nerwowe przestały zanikać. Rezultatem prac była Wyrocznia czy, by być całkiem uczciwym, Wyrocznia w dzieciństwie.

I znów wyglądało na to, że trafił na nieprzebyty mur. Stało się tak wtedy, gdy uległ prośbom Hany i pozwolił jej na bezpośrednią łączność z Wyrocznią. Był to przebłysk geniuszu czy szaleństwa? Yuji już nie potrafił odpowiedzieć na to pytanie.

Niedługo po tym, jak Wolf zgodził się na niełatwe przymierze z Chiką, z podjazdu dobiegł pisk opon. Wolf domyślał się, że wróciła Stevie.

Otworzył przed nią drzwi, a ona pocałowała go w policzek.

— Przepraszam, że trwało to dłużej, niż myślałam. Jak się czujesz?

— Świetnie.

— Masz gościa? — spytała chłodno. — Sądząc z wyglądu tej corvetty, nie jest to żaden z twoich policyjnych kumpli.

— Nie.

Wtedy zerknęła mu przez ramię i zobaczyła Chikę. Wyczuwał narastające napięcie, gdy z uwagą studiowała każdy centymetr kwadratowy ciała Japonki.

— Jestem pewna, że masz jakieś wytłumaczenie.

— Nie sądzę, bym go potrzebował.

Rzuciła mu szybkie spojrzenie.

— Oczywiście, że nie. — Przemknęła obok i cisnęła torby pod stary dębowy wieszak przy drzwiach.

— Stevie.

Zatrzymała się, pozwoliła się odwrócić, ale kiedy stanęła twarzą do niego, jej oczy były zimne jak lód.

— Dlaczego miałbyś myśleć, że jesteś mi winien wyjaśnienia? Tylko dlatego, że opiekowałam się tobą, że mieszkasz w moim domu, że przeżyliśmy... mój Boże, Wolf, przeżyliśmy takie intymne chwile! Czy to nie ma dla ciebie żadnego znaczenia?

— Jasne, że ma. Stevie, dlaczego jesteś zła?

— Nie jestem zła, tylko rozczarowana. — Ruchem głowy wskazała na Chikę. — Kim ona jest, Wolf?

— Nie wiem, ale mam nadzieję, że doprowadzi mnie do tego, kto zabił Amandę. Nie powiedziałem ci wszystkiego, co się stało. Nie mam wyjścia, Stevie.

Stevie instynktownie wiedziała, że ta kobieta jest jedną z tych, o których mówił Thornburg — kobietą, z którą Wolf odejdzie. Thornburg prosił, by go do tego zachęcała, ale Stevie odkryła, że nie może — nie chce! — tego zrobić. Teraz, gdy miała go utracić, zrozumiała, jak bardzo jest jej drogi. Na samą myśl, że Wolf może ją opuścić, poczuła ból w brzuchu. Struny głosowe miała jak sparaliżowane, musiała zagryźć wargi, żeby powstrzymać się od płaczu. W tej chwili była zdecydowana powiedzieć mu o Thornburgu.

Zmieniła zdanie, bo doszła do wniosku, że nie zniosłaby nienawiści, która wykrzywiłaby mu twarz, gdyby dowiedział się o jej zdradzie. Dziwna mieszanina poczucia winy i miłości sprawiła, że postąpiła przeciwnie do tego, co kazał jej zrobić Thornburg.

— Czy pomyślałeś, że ona nie jest tym, za kogo się podaje? — spytała.

— Oczywiście.

Bała się na niego patrzeć, bała się, że wyczyta zdradę w jej oczach.

— Nie. Nie miałeś czasu.

— To skalkulowane ryzyko, przyznaję.

— W końcu do tego doszliśmy. Ryzyko. Jesteś od niego uzależniony jak narkoman. — Stevie pokręciła głową i objęła ramiona rękoma.

— Boże, to nie może się stać. Wolf, czas, żebyś przestał bawić się w policjantów i złodziei i zaczął żyć w prawdziwym świecie.

— To jest prawdziwy...

— Nie, nie, w p r a w d z i y m świecie Amanda i ja chodziłyśmy co miesiąc do fryzjera, by farbować sobie włosy. „Farbować włosy”, Wolf, ponieważ czas upływa i obie zaczęłyśmy siwieć. To jest prawdziwy świat, nie polowanie na niebezpieczne cienie w środku nocy, strzelanie, zabijanie mojej siostry!

Stevie natychmiast zasłoniła usta dłonią.

— O mój Boże, nie chciałam tak powiedzieć.

— Jesteś psychiatrą, Stevie, wiesz, co robisz. — Pokręcił głową.

— W głębi duszy winisz mnie za śmierć Amandy. Widywałem to wcześniej, taka jest ludzka natura. Myślisz sobie: Gdyby Amanda nie spotykała się z tym Wolfem, nigdy nie wplątałaby się w tę śmiertelną grę i nadal by żyła. — Znowu pokręcił głową. — Nie zaprzeczaj.

— Och, Wolf, tak mi przykro.

— Muszę iść.

— Proszę, nie rób tego. — Złapała go kurczowo. — Chcę, żebyś był tutaj... — Przerwała. Widać było, że zмага się ze sprzecznymi emocjami.

— Boję się o ciebie.

— Wszystko będzie dobrze.

— Skąd możesz wiedzieć? — Obrzuciła Chikę kolejnym ostrym spojrzeniem. — Za godzinę możesz już nie żyć.

— Stevie, mogłem zginąć, wpadając przez świetlik, albo mogłem utopić się w stawie. A co do tej kobiety, nie wiadomo. Ale nie mam wyboru.

— Nie, proszę, nie spiesz się tak na spotkanie własnej śmierci.

— Już czas. — Pocałował ją czule. — Nigdy nie zdołam zrewanżować się za twoją pomoc.

— Nie, możesz to zrobić. Trzymaj się jak najdalej od tej kobiety. To trucizna, Wolf. Zabije cię. Wiem.

— Do widzenia, Stevie.

— O Chryste, nie! — Zacisnęła pięści, gdy Wolf skinął na Chikę i oboje wyszli w mgłę fałszywego świtu.

VIII

WASZYNGTON-TOKIO-NOWY JORK

O ile w wypadku Hama Conrada w ogóle można było mówić o słabościach, to miał jedną: do kobiet. Choć był żonaty od wielu lat i obarczony trójką dzieci, z których jedno uczyło się już w college'u, cieszył się również imponującym gronem kochanek, pozwalających mu na mniej więcej spokojną żeglugę po burzliwym morzu rodzinnego życia.

Poślubił zamożną niebieskooką blondynkę, której ojciec był właścicielem zakładów hutniczych w Pittsburgu. Swego czasu Margaret Billings była najlepszą studentką w Vassar i jej przypadł zaszczyt wygłoszenia mowy pożegnalnej na uroczystym zakończeniu nauki. Krótko mówiąc, miała wszystkie cechy, jakich wymagał Ham, i była doskonałym materiałem na reprezentacyjną żonę. Dopiero później okazało się, że Thornburg lubił Margaret dużo bardziej niż on. Ów stosunek ojca do jego żony był dla Hama niezmiernie ważny, dlatego nigdy się z nią nie rozwiódł. Co do Margaret, to uwielbiała swoje dzieci i stosunkowo nowe życie towarzyskie w Waszyngtonie, które, jak określiła, było „wolnością po tokijskim więzieniu”. Ham wątpił, by kiedykolwiek zastanawiała się nad rozwodem.

Ale Margaret nie lubiła seksu — a przynajmniej spontanicznego seksu, do jakiego on miał upodobanie. O mdłości przyprawiało go wspomnienie, jak dzwoniła do jego biura, by omówić kwestię pójścia do łóżka.

Dobry Boże — myślał — jak ktoś może czerpać przyjemność z takiego schematyzmu i jednocześnie mówić o uwięzieniu.

Dość szybko znalazł wyjście z sytuacji. Przypomnił sobie pierwszą kochankę, piękną, drobną Japonkę, spokojną, ugodową, która zdawała się żyć dla rozkoszy. To było podniecające, ponieważ w owych czasach jego doświadczenia seksualne ograniczały się do stosunków z sajgońskimi dziwkami i własną żoną — dwóch skrajności, bez których równie dobrze mógłby się obyć.

Jego romanse zwykle trwały od sześciu miesięcy do roku. Był wielce zadowolony z tej ramy czasowej, bo pozwalała ona na wyraźne wyróżnienie początku, środka i końca związku. Przed trzema tygodniami skończył swój ostatni romans, przestrzegając żelaznej reguły, by nigdy nie wiązać się z kobietami-politykami. Z tą ostatnią spędził osiem naprawdę podniecających miesięcy. Jak zawsze jednak stosunki zaczęły się rozluźniać, gdy ona stała się czuła na punkcie czasu, jaki jej poświęcał, urlopów, podczas których zostawiał ją samą, i dochodziła do przekonania, że Ham nigdy nie zrezygnuje z tego, co nazywała — według niego całkowicie błędnie — posiadaniem rodziny.

W takim układzie Ham, jak powiedziałby Jason Yoshida, szukał nowej zwierzyny. Właśnie wyszedł ze spotkania z Yoshidą w „Occidental Grill”, jednym ze swych ulubionych lokali. W czasie wojny nauczył się, że czasami rozsądnie jest spotykać się w miejscach publicznych. Poza tym restauracja wraz ze swym staromodnym drewnianym barem i ścianami obwieszonymi fotografiami wybitnych obywateli z przeszłości i teraźniejszości Waszyngtonu tchnęła atmosferą amerykańskiej historii. To tutaj w roku 1962 Rosjanie spotykali się z korespondentem sieci telewizyjnej ABC, Johnem Scali, którego wybrali na mediatora w rozmowach z rządem Kennedy'ego. Owe negocjacje miały pomóc w rozładowaniu kryzysu kubańskiego. Scali w konsekwencji został ambasadorem Narodów Zjednoczonych.

Ham omawiał z Yoshem skuteczność działań Wolfa Mathesona, którego Thornburg nadal uparcie uważał za najlepszego człowieka do zinfiltrowania „Zakazanych Snów”. Prywatnie Ham skłaniał się do opinii Yoshidy, ale mimo jego nalegań, nie był jeszcze przygotowany do stawienia czoła staremu. Z kolei doświadczenie nauczyło go, że Yosh rzadko mylił się w ocenie ludzi; jeżeli Wolf Matheson przyprawiał Japończyka o bó

głowy, musiały być ku temu cholernie poważne powody. Na razie jednak Hamowi zbyt nie przeszkadzało to, że instynkt doradcy jest sprzeczny z wolą ojca.

Opuścił przyjemny półmrok i uspokajający gwar restauracji. Był na szczycie schodów centrum usługowego Willard Hotel, kiedy zobaczył kobietę tak oszalałającą, że wszystkie niepokojące myśli natychmiast wywietrzały mu z głowy. Stała z jedną nogą na pierwszym stopniu, prawą rękę opierając na wypolerowanej mosiężnej poręczy. Rozmawiała z Harrisem Pattersonem, jednym z młodszych partnerów Halburtona, MacKinneya i Roberta; Ham znał ich przelotnie, bo korzystał z usług Douga Halburtona — starego przyjaciela ojca — w swej legalnej pracy. Prawnik pokazywał jej jakiś dokument, ona zerknęła na kartkę — Ham pomyślał, że raczej pobieżnie — skinęła głową, złożyła podpis i ruszyła w górę schodów.

Teraz dokładnie widział jej pełną, ale nie puciołową twarz, okoloną granatowoczarnymi włosami. Miała szmaragdowe oczy, usta nieco za szerokie, a nos ciut za długi, lecz to wszystko pasowało do siebie i nadawało twarzy charakter, jaki lubił. Nie wyglądała delikatnie; przeciwnie, coś w jej rysach mówiło, że potrafi radzić sobie ze wszystkim, co staje jej na drodze. Jednakże nie miała tej okropnej „czołgopodobnej” postawy, którą nabywa wiele kobiet współzawodniczących z mężczyznami.

Ham stwierdził, że twarz nieznanym zmusza do refleksji, iż właścicielka ma coś więcej poza parą długich, zgrabnych nóg i gibkim, wysportowanym ciałem.

— Przepraszam — zagadnął, gdy znalazła się na szczycie schodów — to nie jest Hay-Adams, prawda?

Roześmiała się, przez co spodobała mu się jeszcze bardziej.

— Mówi pan poważnie czy to zagrywka? — Jej akcent nie był doskonały, jakby pochodziła z angielskiej klasy robotniczej. Ham uznał, że to czarujące.

— To pani mi powie.

Ściągnęła usta. Ubrana była w płaszcz i garsonkę z ciemnoniebieskiego lnu. Jej szyję zdobił prosty naszyjnik z pereł, a uszy — ogromne złote kolczyki. Na silnych, opalonych palcach nie miała obrączki.

— Skoro pan pyta, powiedziałabym, że zagrywka. Nie wygląda pan na zagubionego.

— Niekoniecznie to musi być prawda tak do końca. Waszyngton często przyprawia mnie o zawrót głowy i wtedy jeden hotel staje się bardzo podobny do drugiego.

— Poważnie wątpię, czy nawet osoba spoza miasta, tak jak ja, mogłaby pomylić Willard Hotel z Hay-Adams.

— Naprawdę? Kiedy ostatni raz była pani w Hay-Adams?

— Rany, całe wieki temu.

— Chce pani rzucić okiem?

— Na hol czy pokój?

— Pani wybór.

— Przykro mi, ale niektórzy muszą pracować.

— Co pani robi?

— Jestem w delegacji z ramienia mojej firmy „Extant Export”. Nasza siedziba znajduje się w Londynie, ale mamy również biura w Toronto* Brukseli i Waszyngtonie. Często tu bywam, ale rzadko w czasie tak paskudnej pogody.

— Jedyna pociecha, że lato bywa czasem gorsze.

— Też tak uważam. — Wyciągnęła rękę. — Marion St. James, Prawdę mówiąc, Marion Starr St. James, ale raczej nieczęsto tak się przedstawiam.

Ham ujął *jej* rękę i również się przedstawił.

— Żartowałem z tym Hay-Adams, ale co powiesz na przejażdżkę po mieście? Mam dojścia do pewnych zakazanych miejsc, jak na przyjpad sali konferencyjnej w Pentagonie.

— Chciałabym, ale niestety nie mogę. Firma trzyma mniflikrótko,

— Wobec tego może kolacja dziś wieczorem?

— Och, ja...

— Mam pomysł, jak można zwalczyć tę wredną pogodę. Zjemy kolację na mojej łodzi. Zatoka Chesapeake jest często miła dla swych użytkowników, nawet o tej porze roku.

— Co pan robi, panie Conrad?

— Przyjaciele nazywają mnie Ham. Jestem doradcą Departamentu Obrony.

— Jeszcze nie jestem pańską przyjaciółką, panie Conrad, mimo faktu, że pan bezwstydnie lekceważy ograniczenie prędkości. Wie pan, my Brytyjczycy jesteśmy chłodni i trzymamy dystans.

— Nie sprawiasz na mnie wrażenia typowej Angielki.

— Bo nią nie jestem. No, to na którą jesteśmy umówieni?

Hama ujęła jej bezpośredniość. Uważał, że jest to typowo amerykańska cecha, ponieważ według jego doświadczeń Europejczycy, nim w końcu

przystępowali do sedna sprawy, z jakichś nieokreślonych powodów lubili długo mówić ogródkami. O Japończykach lepiej nie wspominać — wydawało się, że ich życiowym hobby są niedomówienia, odsuwanie wszystkiego na później oraz przestrzeganie starożytnej konfucjuszowskiej zasady nieodnawiania nikomu niczego.

Tej nocy mgła nad zatoką była taka gęsta, że nawet najmniejsze światła na brzegu wydawały się wielkie jak balony. Marion była ubrana w żółte wełniane spodnie, elegancką długą do pasa pomidorową wiatrówkę ze złotym falistym szlakiem na lewej piersi i, jak wydawało się Hamowi, w nic poza tym. Gorące kolory zdecydowanie kontrastowały z chłodnymi, w których Ham widział ją wcześniej; podkreślały nadzwyczajny kolor jej oczu i nadawały jej całkowicie odmienny, bardziej swobodny wygląd.

— Przyniosłam gorącą czekoladę i kielbaski. — Roześmiała się na widok jego miny. — Pewnie — powiedziała, rzucając wielką torbę na deski pokładu — słysząc ten akcent, spodziewałeś się, że moje ulubione potrawy to, zastanówmy się... — przesunęła językiem po wargach — mrożona wódka i wędzony jesiotr.

— Jezu — wyszeptał Ham, nadal lekko oszołomiony — właśnie tym Załadowałem lodówkę.

— Człowiek uczy się przez całe życie, co, panie Conrad? — Zaczęła wykladać paczki gorącej czekolady od Harrodsa.

— Czego sobie życzysz? — zapytała. Stała w klasycznej żeglarskiej postawie, z nogami rozsuniętymi nieco bardziej, niż normalnie na suchym lądzie; jej biodra płynnie poddawały się kołysaniu jachtu.

— Wszystko, na co masz ochotę.

— Wobec tego czekolada. Masz mleko?

— W lodówce. — Ham nadal ją obserwował. — Widzę, że łodzie nie są ci obce.

— Prawda. Mój ojciec jest skutnikiem. Robi pierwszorzędne tekowe słupy. Gdy tylko może, zabiera mnie na żagle — mówiąc to, przyrządziła czekoladę. Przeszli do kapitańskiej kabiny. Marion przyglądała się, jak Ham przeprowadza łódź kanałem na głęboką wodę. — Jesteś wojskowym, prawda? To widać.

— Chodzi ci o to, że wyglądam, jakbym miał stalowy pręt w dupie. — Chrząknął. — Po rozmowie na schodach musisz myśleć, że jestem zakłamanym sukinysem.

— Zbyt wcześnie, by to stwierdzić, panie Conrad. — Marion uśmiechnęła się szeroko.

— I jeszcze jedno — powiedział, popijając czekoladę. — Kiedy zaczniesz mówić mi po imieniu?

— Jak zostaniemy przyjaciółmi.

Ham zmierzył ją wzrokiem.

— Czy zawsze wchodzisz na pokład łodzi nieznajomych?

— Oczywiście — odparła bez wahania. — Wrogów też.

— Biedni wrogowie.

— Teraz ty nie jesteś szczerzy. Nie znasz mnie na tyle, by móc tak powiedzieć.

Ham był nieco zdeprymowany.

— Chyba właśnie zawałaś mi ostatnią zagrywkę.

— To dobrze. — Wsunęła palec do kubka i zlizwała czekoladę. — Może teraz zacznę poznawać prawdziwego Hamptona Conrada.

Ham zastanawiał się, jak pokierować tą nadzwyczajną kobietą. Miała twarz i ciało, które zajęłoby go przez minimum sześć miesięcy, ale, co ciekawe, odkrył, że absorbuje go również jej umysł.

To było coś nowego. Chociaż jego żona w szkole była genialna, brakowało jej polotu. A co do kochanek, był zbyt zajęty studiowaniem ich; młodych ciał, by kiedykolwiek zastanawiać się, czy może mają do zaferowania coś innego.

Nieoczekiwanie naszło go nieprzyjemne wspomnienie. Przed laty przyłapał własną matkę w łóżku z dwudziestoośmioletnim asystentem administracyjnym Thornburga, Prawdę mówiąc, nie byli w łóżku, ale wykonywali jakieś zdumiewające akrobacje w rzymskiej łaźni.

Mój Boże — myślał teraz — widok kompletnie nagiej matki splecionej z nieznajomym był zdecydowanie wstrząsający.

„To on mnie do tego doprowadził” — powiedziała mu szlochając, „Twój ojciec nie ma serca, nie ma duszy, nie obchodzi go nikt poza nim samym. Co miałam zrobić?”

Oczywiście błagała, by nie zdradził jej przed ojcem, i Ham, zapominając na chwilę, co stary powiedział na jej temat, oplakując śmierć szlachetnego lwa, wyraził zgodę. Ale tydzień później w szkole bez żadnego powodu uderzył kolegę tak mocno, że chłopak stracił przytomność. Wtedy zrozumiał, jak bardzo męczy go tłumiony gniew. Bezpośrednio po wyjściu z gabinetu dyrektora zatelefonował do ojca.

Kiedy wiele lat później w czasie długiej, pijackiej nocy opowiedział tę historię Jasonowi Yoshidzie, Yoshida skomentował: „Łatwo wybaczyć grzech, kiedy nie dotyczy on rodziny, w przeciwnym wypadku to niemożliwe”.

— Teraz, skoro wypłynęliśmy z zatoki — rzekła Marion — może byś mi powiedział, jak długo służyłeś.

Powiedziała to w taki sposób, że Ham wiedział, iż kobieta ma na myśli Wietnam.

— Zbyt długo. — Zwolnił do jednej trzeciej, obserwując światła bazy powietrzno-morskiej po prawej stronie. Przed nimi był Point Lookout i Tangier Island, ulubione miejsce ojca i Tiffany. — Jak się domyśliłaś, że służyłem w Wietnamie?

Wzruszyła ramionami.

— Twoje ciało mi powiedziało. *Marines* mają na takich ludzi swoje określenie: załadowany i odbezpieczony. Jesteś jak prawdziwa broń.

- Broń też nie jest ci obca,

— Ooch, wkrótce staniesz się zazdrosny!

— Zazdrosny, do diabła! To będzie wielki dzień! — Ale z przerażeniem odkrył, że już teraz dręczy go zazdrość. By pokryć zmieszanie, dodał:

— Odpowiadając na twoje pytanie, nie sądzę, byś mogła zmierzyć długość tej służby w konwencjonalny sposób. Byłem tam. To wszystko, co można powiedzieć.

— Rozumiem.

I Ham wiedział, że Marion naprawdę to rozumie, choć nie miał pojęcia dlaczego. Może straciła tam kogoś. Otrząsnął się ze wspomnień.

— Jak na Brytyjkę masz wiele amerykańskich zainteresowań.

— Anglia na swój sposób jest teraz smutnym miejscem. Miasta, ekonomia, sposób życia: wszystko schodzi na psy. Poza tym niezbyt sobie cenię etykietę, przestrzeganie form towarzyskich. Podobnie jak mój ojciec — roześmiała się. — Matka i siostra wystarczają za całą rodzinę. Wielkie sztywniaczki. — Jej oczy śledziły Hama w przyćmionym świetle kabiny. Blask czerwonych i zielonych lamp nawigacyjnych igrał w czerni jej włosów. — Pomijając kwestie rodzinne, podziwiam amerykańską energię i siłę przebicia. Teddy Roosevelt jest moim ideałem. A sposób, w jaki wpadliście do Wietnamu, niczym kowboje z dymiącymi pistoletami, był imponujący. Przypuszczam, że gdybyś tam nie pojechał, to zostałaby

urazona twoja дума wojownika. To głupie. Ale дума zawsze rodzi głupotę, a może na odwrót? Wychowałam się w Irlandii, więc bardzo prawdziwie odbierałam wojnę, chociaż wtedy byłam bardzo młoda. No cóż, wyobrażam sobie, że młodość ma duży wpływ na odbiór wydarzeń i decyzje, nie uważasz? Młodość. Kiedy jest się młodym, można obcować ze śmiercią i nawet nie myśleć o tym, że można się cofnąć.

Marion odepchnęła się od koi i stanęła obok Hama, gdy wyłączył silniki i rzucił kotwicę. Czuł od niej cytrynowy zapach, który mu się podobał, jak zresztą wiele innych związanych z nią rzeczy.

— Wyobrażam jednak sobie, że jak wszyscy wojskowi uważasz, iż kobiety powinno być widać, ale nie słyhać.

Odwrócił się do niej.

— Gdybyś myślała, że należę do tego rodzaju, chyba nie zgodziłabyś się na wspólną kolację.

— Przeciwnie, kobieta taka jak ja nie potrafi oprzeć się możliwości poprawienia świata.

Przyciągnął ją do siebie i z drżeniem, jakby przepływał przez niego prąd, nakrył jej usta wargami.

Spowila ich ciemność. Delikatne kołysanie łodzi i podmuchy wilgotnej, zimnej morskiej bryzy stanowiły tło dla gwałtowności ich żądz.

Jej nagie uda połyskiwały w przyćmionym świetle. Widział ich delikatną linię, zapraszająco rozsunięte kolana. Wyciągnęła ramiona i Ham przesunął po nich dłońmi, nie wyczuwając ani śladu typowej dla kobiet miękkości.

— Chodź bliżej — wyszeptała, przyciągając go do siebie. — Tak bardzo cię pragnę.

Wysunęła biodra, gdy przycisnął się do niej. Jego wargi opadły na jej usta, a ręce zamknęły się na piersiach o stwardniałych sutkach. Ukłękł, a ona jęknęła, gdy dotknął wilgoci jej wnętrza. Jej biodra podrygiwały spazmatycznie, a palce szarpały jego włosy.

Ostry, aromatyczny smak jej ciała i widoczne podniecenie sprawiły, że Ham ledwo mógł oddychać. Podniósł się, wsunął ręce pod jej pośladki i wszedł w nią. Marion jęknęła i napierała nań, by poczuć go jak najgłębiej. Otoczyła go ramionami, a on podniósł ją i przycisnął do grodzi. Przykładając usta do jej szyi, cofnął się i wtargnął w nią z szaleńczą furją. Niejasno zdawał sobie sprawę, że jej palce wędrują w dół jego pleców,

potem nagle ogarnął go niesamowity rodzaj ekstazy. Stękając, napierał na nią ze wszystkich sił. Oczy rozwarły mu się szeroko, a chwilę później Marion przywarła doń desperacko i zatrzęsła się w falach rozkoszy.

Dryfował. Nagle znów zobaczył matkę kopulującą z asystentem ojca. Widział, jak mężczyzna wbija się w nią jak w jedną z dziwek, które później widywał w Sajgonie, dla jednej chwili przyjemności. Zapach jej rozgrzanego ładu ciała — taki sam odór mieszał się ze smrodem błota i krwi, gdy chodził obmierzłymi ulicami Sajgonu — wsączał się w jego umysł jak trujące wyziewy.

Całe dotychczasowe życie zostało wymazane w czasie krótszym od uderzenia serca. W chwili, gdy odłożył słuchawkę po rozmowie z ojcem, wiedział, że kiedy wróci do domu na Wielkanoc, matki już nie będzie.

Zastanowił się teraz, czy Tiffany Ciało, obecna żona ojca, była naturalnym następstwem tej jednej zamrożonej w czasie chwili, którą miał odtwarzać bez końca w swoim umyśle.

— Ham — wyszeptła gardłowo Marion, podczas gdy on tkwił w niej jeszcze głęboko — czy kiedykolwiek marzyłeś o grzechu?

— O grzechu? — powtórzył sennie. — To zależy, co przez to rozumiesz.

— Grzechem są wszystkie rzeczy, jakie chcesz zrobić, lecz zbyt się boisz, by spróbować. — Polizała jego spocone ramię. — Ja marzę o grzechu przez cały czas.

— Nie brakuje ci wyobraźni.

— Dlaczego wszystko, czego chcę, jest grzeszne?

— A jest?

— Tak. — Zaczęła poruszać biodrami i ze zdumieniem poczuł, że znów robi się twardy.

„Tam jest ktoś inny, ktoś nieznany. Ktoś, kto zabije was obu”. Tak powiedziała mi Hana, Wakare-san — oznajmił Yuji.

Shoto Wakare chrząknął.

— Co interesuje mnie tak samo jak to, że widziała ciebie i Nishitsu splecionych w monumentalnej walce. — Wakare nie chciał wdawać się w dyskusję, która mogłaby doprowadzić Yuji do zastanawiania się nad kwestią istnienia ich małego kręgu w Japonii. Poza tym niepokoiły go te wizje przyszłości. Jason Yoshida chciał zniszczyć Nishitsu i dlatego Wakare zaczął z nim współpracować, ale jego obowiązkiem, którego nie zdradził nikomu, nawet Yoshidzie, było trzymanie Yuji z dala od wszystkiego.

— Takie były jej słowa — powiedział Yuji.

Skończyli długi dzień pracy i jechali ciemnoniebieskim BMW przez oślepiające neonami centrum Ginzy. Yuji z przyjemnością zobaczył najnowszą tablicę ogłoszeniową koncernu, hologram logo wysoki na dwadzieścia pięter, który zmieniał się z zielono-błękitnego na złotopurpurowy razem z napisem: „SHIAN KOGAKU”: ZAWSZE JESTEŚMY Z TOBĄ.

— Uważasz, że ma rację? — spytał Wakare, patrząc na hologram tworzący dominujący akcent na tle wieczornego nieba.

— Nigdy nie chciałem brać udziału w walce, a już najmniej z Nishitsu — wyznał Yuji.

— Jego kandydaci wygrywają wybory w całym kraju, nie masz więc innych możliwości.

— Ci niebezpieczni radykałowie nie są kandydatami Nishitsu. W jaki sposób zyskaliby poparcie....

— Właśnie — wszedł mu w zdanie Wakare. — Jeżeli wywodzą się z mniejszych ugrupowań, to jak doszli do władzy?

Yuji odwrócił się do przyjaciela.

— Mówisz tak, jakbyś wiedział.

— Jesteśmy na miejscu.

Znajdowali się w części Shinjuku znanej jako Kabuki-cho. Była to najstarsza dzielnica zatłoczona salonami *pacinko*, restauracjami, barami topless, kinami i teatrami. Wakare poprowadził Yuji do budynku o fasadzie oświetlonej brzęczącymi neonami, który był *mizu-siobei* — burdelem. Nazwa wywodziła się z sentymentalnych pijackich piosenek śpiewanych przez Japończyków w takich właśnie przybytkach.

Atmosfera lokalu nasycona była seksem i alkoholem, jak wszystkie takie półmroczne przybytki, ale na tym podobieństwo się kończyło. Za podniszczoną fasadą kryło się serce nadzwyczajnego *mizu-siobei*. Wszystkie dziewczyny nosiły gruby teatralny makijaż, który sprawiał, że wyglądały jak aktorki. Dodatkową atrakcją był to, że przypominały słynne japońskie gwiazdy filmowe czy estradowe. Nie było to niczym niezwykłym, w pewnym sensie bowiem prostytutki kontynuowały tradycję kurtyzan Yoshiwary — pierwotnej tokijskiej dzielnicy rozkoszy — i szczyły się, że są nie tylko artystkami, ale wręcz dziełami sztuki.

W lokalu dominowała iluzja romansu. Seks był niejako sprawą podrzędną, choć doskonale wiedziano, że jest ostatecznym celem. Kładziono duży

nacisk na „zaloty” między klientem a kurtyzaną, podniecanie się za pomocą naładowanych erotyzmem dwuznaczników, nieznaczących ruchów ust, rąk i oczu, mających sprawiać przyjemność nie tylko ciału, ale i umysłowi.

Yuji i Wakare zostali wprowadzeni do pokoju wielkości sześciu tatami, w którym dwie klęczące kobiety doglądały węgla żarzących się w *hibaci*. Niski stół zastawiony był różnymi potrawami. Mężczyźni zajęli miejsca.

Kurtyzany okazały się tak znakomite, że można je było porównać do kwiatów wiśni w to jedno kwietniowe popołudnie, gdy ich kolor i forma są doskonałe. Klęczały bardzo blisko, jednakże mężczyźni mogli rozmawiać bez przeszkód, podczas gdy one milcząco flirtowały z nimi oczami i pochYLENIEM GŁÓW.

Kobiety podgrzały sake i podały ją w maleńkich czarkach na tacach z czarnej laki, na których stały również talerze zjedzeniem: smażone tofu, wodorosty marynowane w occie, ikra latających ryb, płetwy młodych łososi z rusztu, krem z jaj na słodko. Potrawy były dobrane nie tylko według smaku, ale również według kolorów.

Po kolacji Yuji odprawił kurtyzany, które bez słowa wycofały się do sąsiedniego pokoju za *siodzi*, rozsuwanymi parawanami z papieru ryżowego.

— Noc jest jeszcze młoda, Yuji-san — rzekł Wakare. — Te dwie dziewczyny są tu najlepsze; sam prosiłem o ich usługi.

— Jak powiedziałeś, noc jest młoda. — Yuji podniósł czarkę do ust, odchylił głowę i wysączył resztki sake. — Ciekaw jestem twej teorii dotyczącej Nishitsu i radykałów.

I Wakare, zgodnie z instrukcjami Minako, opowiedział jak Nishitsu finansuje odłamy prawicowe, a w końcu doznał do kwestii swej przynależności do Stowarzyszenia Czarnego Ostrza i urwał.

Yuji nie odzywał się ani słowem; złowieszcze słowa nie zmieniły wyrazu jego twarzy. Kiedy Wakare skończył, powiedział:

— Zakładam, że masz dowody przeciwko Nishitsu.

— Wystarczające.

— Musisz mieć lepsze — ostrzegł Yuji. — To, co nakreśliłeś, sprowadza się do wymuszenia, morderstw, terroryzmu i zdrady.

Wakare zaczerpnął powietrza.

— Doskonale zdaję sobie sprawę. Ja także jestem członkiem Stowarzyszenia Czarnego Ostrza.

Oddech ze świstem wyrwał się spomiędzy zaciśniętych zębów Yuji. Dwaj mężczyźni obserwowali się tak, jakby znajdowali się po przeciwnych stronach przepaści.

— Dlaczego mi to mówisz, Wakare-san? — zapytał po chwili Yuji.

Wakare spiesznie nalał im sake.

— Yuji-san, znasz moje uczucia w stosunku do Yukio Mishimy i wszystkiego, co popierał, potrafisz więc chyba zrozumieć moją przynależność do Toshin Kuro Kosai. Ostatnio jednak coraz bardziej niepokoi mnie nastawienie kierownictwa. W głębi duszy nie zgadzam się z wytyczonymi przez nich celami, ale w tym stowarzyszeniu opinie jednostki nie są tolerowane.

Wychylił sake i napełni czarkę ponownie.

— Nie. Stałem przed trudną i bezsprzecznie niebezpieczną alternatywą. Jednym wyjściem jest rezygnacja, powinienem zaś podkreślić, że coś takiego nigdy nie miało miejsca i przypuszczam, że nie zostałyby dobrze przyjęte. Drugie wyjście polega na tajnej pracy nad zmianą celów Toshin Kuro Kosai. A do tego potrzebuję ciebie. Aby zmiany zakończyły się sukcesem, niezbędni są sprzymierzeńcy. Nishitsu od lat stara się wciągnąć cię do swoich szeregów, więc ktoś mógłby lepiej mi pomóc?

— Pomóc ci? Jak?

— Wstępując do Stowarzyszenia — powiedział Wakare. — Udając, że pomagasz Nishitsu, podczas gdy w rzeczywistości wraz ze mną i innymi nam podobnymi będziesz pracował nad usunięciem go ze stanowiska i przejęciem rządów w Toshin Kuro Kosai.

— Teraz w pełni rozumiem, co miałeś na myśli, mówiąc, ale ta alternatywa jest niebezpieczna.

Wakare pochylił się w jego stronę.

— Zrobisz to, przyjacielu? Nie sądzę, bym bez ciebie miał szansę na sukces. I jeżeli wprowadzę cię do Stowarzyszenia, moje własne znaczenie natychmiast wzrośnie.

— Nie wiem. To nie moja gra.

— Mylisz się, przyjacielu — powiedział Wakare, nalewając sake.

— Kiedy stworzyłeś Wyrocznię, automatycznie w nią wszedłeś.

— Przecież pracę nad Wyrocznią zacząłem jedynie ze względu na namowy mojej matki — poprawił przyjaciela Yuji. — Wiedziałem, że od lat pracowała nad metoda przekształcania łańcuchów DNA w żywym

organizmie. Moja sekcja badawczo-rozwojowa dokonała pewnych przełomowych odkryć biotechnologicznych i sprzęgła je z wyrafinowanymi technikami stosowanymi w innych laboratoriach, więc pomogłem jej. To wszystko. Wyrocznia okazała się rezultatem tych prac: moich i jej.

— Yuji-san, mam wrażenie, że nie w pełni zdajesz sobie sprawę z niebezpieczeństwa, na jakie naraża cię Wyrocznia.

Yuji spojrział nań pustym wzrokiem i Wakare postanowił pójść na całość.

— Widzisz, Stowarzyszenie Czarnego Ostrza jest głęboko zainteresowane pewnym aspektem umiejętności Wyroczni. Jego członkowie mają zmienione DNA, dzięki czemu żyją dłużej niż przeciętny człowiek. Ale z jakiegoś powodu, którego jeszcze nikt nie zna, przestały rodzić się dzieci z odbiegającym od normy DNA. To znaczy, że Stowarzyszenie, które zawsze uważało się za nieśmiertelne, stanęło w obliczu zagłady. Twoja Wyrocznia mogłaby to odmienić. Mogłaby przekształcać DNA dzieci, które Toshin Kuro Kosai wybierze i wychowa na własny sposób, aby raz jeszcze się unieśmiertelnić.

Wakare modlił się, by przyjaciel nie powiązał owych rewelacji z tym, co wiedział na temat prac matki nad DNA, zarzuconych według Yuji po tym, jak Minako zrezygnowała z kierowania „Shian Kogaku”. Nie musiał się tym martwić. Yuji był bez reszty pochłonięty analizowaniem usłyszanych informacji.

— Zatem dlatego Nishitsu tak mnie potrzebuje.

— To jedna z przyczyn — przyznał Wakare. — Ponadto bez ciebie i technokratów, którzy cię cenią i popierają, Toshin Kuro Kosai będzie dochodzić do władzy w Japonii dużo wolniej. A teraz oczywiście dla jego członków czas jest czynnikiem decydującym, tak samo zresztą jak dla reszty świata.

Yuji z zadumą sącył sake. Kiedy opróżnił czarękę, podał ją Wakare, a on dolał alkoholu.

— Powiedz mi, ile masz lat, Wakare-san?

— Siedemdziesiąt trzy.

Yuji hałaśliwie wciągnął powietrze.

— Nie możesz być starszy ode mnie. Masz me więcej niż pięćdziesiąt lat.

— Ale tak nie jest. — Wakare uśmiechnął się. — I właśnie aa tym to polega, Yuji-san.

Yuji skinął głową i pogrążył się w długiej zadumie.

— Muszę zadać ci jeszcze jedno pytanie, Wakare-san — rzekł po

pewnym czasie. — Jak Nishitsu i członkowie Stowarzyszenia Czarnego Ostrza dowiedzieli się o Wyroczni?

Była to chwila, na którą Wakare czekał ze strachem i którą wraz z Minako przedyskutowali dokładnie. Wiedział, że jeżeli udzieli złej odpowiedzi, Yuji podąży niewłaściwą drogą i Minako zostanie surowo ukarana za to, że nie udało się jej wykonać polecenia Nishitsu, by wciągnąć syna do stowarzyszenia.

— Yuji-san, słuchaj. Mimo że należę do wewnętrznego kręgu Toshin Kuro Kosai, nie jestem wtajemniczony w ich wszystkie poczynania. Ale uwierz mi, oni zinfiltrowali każdą warstwę japońskiego społeczeństwa. Biorąc pod uwagę informacje, jakie mają na temat Wyroczni, wydaje się jasne, że muszą mieć kogoś w twoim biurze badawczo-rozwojowym. A to jest kolejnym powodem, byś się do mnie przyłączył. Gdy znajdziesz się w stowarzyszeniu, w odpowiednim czasie będziesz mógł kontrolować infiltrację „Shian Kogaku”.

— Może masz rację — rzekł Yuji głosem pełnym napięcia. — Ale nie mogę pozwolić im na dostęp do Wyroczni.

— Oczywiście. I jeszcze raz powtarzam: jeżeli na pozór będziesz jednym z nich, zyskasz większą szansę na przefiltrowanie dostarczanych im informacji.

— Życie jest takie skomplikowane, podczas gdy wszystkim, czego pragnę, jest prostota. — Wezwał jedną z idealnie umalowanych dziewczyn, a ona weszła z czarką sake w rękach i domyślnym uśmiechem na twarzy. Nastąpiła chwilowa cisza, którą Wakare skojarzył ze spokojem, jaki zapada w naturze tuż przed burzą.

— Dajesz mi niewielki wybór — odezwał się Yuji grobowym głosem.

— Toast! — Wakare podniósł czarke.

Yuji był mu bardzo bliski i Wakare zdawał sobie sprawę, że sam zgodził się na rozkazy Minako nie tylko z powodu *giri*, lecz również dlatego, że żywił nikłą nadzieję, iż w wyniku tej konspiracji przyjaciel odwzajemni jego uczucia.

— Zatem za przyszłość Stowarzyszenia Czarnego Ostrza — dodał.

Yuji ostrożnie dotknął swoim naczyniem wzniesionej czarki Wakare,

— Za zmiany.

Wolfa piekły oczy; przycisnął powieki opuszkami kciuków.

Chryste — pomyślał — jaki ten świat szalony!

Chika jechała bardzo szybko, zmieniając pasy w sposób, który kazał wierzyć, że zna zamiary korzystających z nich kierowców. Noc dobiegła końca i pierwsze promienie słońca załamywały wiejski krajobraz, przemieniając cienie z niebieskich w złote, a drzewa z czarnych w zielone.

Czuł, że w samochodzie drzemie jakaś ogromna moc. Auto zostało podrasowane: więcej koni mechanicznych, superdoładowanie, nie wiadomo, w każdym razie zrobiono coś znaczącego.

— Słuchaj, Wolf, wiem, że mi nie ufasz, ale chciałabym dać naszemu przymierzu wszelkie szanse sprawdzenia się, zatem jeżeli nie masz nic przeciwko, zaznajomię cię z moim punktem widzenia.

— Śmiało.

— Nienawidzicie nas za przejmowanie waszego kraju, ale prawda jest zupełnie inna. Ameryka ponosi odpowiedzialność za kształt nowej Japonii; Amerykanie stworzyli nas, pokazali drogi rozwoju, dofinansowali. To wy uczyniliście nas takimi, jacy jesteśmy, a teraz nie potraficie przyznać, że popełniliście błąd. Podczas gdy my nadal się rozwijamy i przebudowujemy, wy doświadczacie stagnacji. Zachowujecie się tak, jakby nasz sukces był odstraszaający; jesteście zazdrośni, a jednak dziwnie niechętni do podjęcia wyzwania. Zamiast tego złorzeczycie nam publicznie, karzecie nas za to, że nam się udało, i wszystko to z powodu mylnego wrażenia, że odnieśliśmy sukces waszym kosztem. Co za niesprawiedliwość! Przecież nie zmuszamy Amerykanów do kupowania naszych samochodów, elektroniki, komputerów. Amerykanie nie są głupi. Wybierają nasze produkty, ponieważ są nowocześniejsze i bardziej niezawodne od waszych.

Wyminęła jadącą z prędkością sześćdziesięciu mil ciężarówkę z taką łatwością jak zawodowy kierowca.

— Wy wymyśliliście tranzystor—mówiła dalej.—Zignorowaliście nas, gdy zaproponowaliśmy wam otwarcie rynku zbytu dla odbiorników radiowych i magnetofonów kasetowych, skorzystaliśmy więc z własnego pomysłu i zarobiliśmy miliardy; wy wymyśliliście mikroprocesor, jednak to my ulepszyliśmy jego technologię i teraz jesteście zmuszeni kupować podzespoły od nas. Wasze koncerny komputerowe są tak wadliwie kierowane, że dosłownie musimy je wykupywać, aby nauczyć was efektywnego handlu i odpowiedniej produkcji. A wy za to wszystko nienawidzicie nas i boicie się Japonii.

— Wielu uważa, że nie bez podstaw.

— Słuchaj uważnie, Wolf, ponieważ dla Ameryki przyszłość może okazać się gorsza od niedawnej przeszłości — mówiła Chika, gładko wyprzedzając kolejną dudniącą ciężarówkę. — Może myślisz, że jestem po prostu bezczelna. Chcesz jeszcze jednego przykładu? Wy wymyśliliście roboty, a my wysławiamy ich wynalazcę, Josepha Engelbergera. Czy kiedykolwiek o nim słyszałeś? Czy słyszał o nim choć jeden Amerykanin na tyśiąc?

To my udoskonaliśmy tę nową technologię i to my wypuszczamy na rynek produkty całkowicie pozbawione usterek. Zastanów się, co Amerykanie zrobili ze swymi robotami? Wpakowali je do Disneylandu. Równie dobrze mogliście wyrzucić je na śmietnik. Wkrótce przyjdziecie po nie do nas, a wtedy staniecie się jeszcze bardziej obrażeni.

— Niezbyt dobrze znosimy bratanie się — powiedział Wolf. — Jesteśmy narodem ryzykantów-indywidualistów, przyzwyczajonych do własnych dróg wiodących do sukcesu, a nie do bezmyślnego małpowania opracowanego przez innych planu.

— Tak. I w tej nowoczesnej epoce ta oryginalna dziewiętnastowieczna cecha czyni was równie chciwymi, co leniwymi. Chętnie bierzecie nasze pieniądze, a potem przeklinacie nas za to, że czynimy was bogaczami. Wasze nowe pokolenie ryzykantów chce zdobywać tylko to, co można rozmontować i przerobić na złom, podczas gdy my chcemy to chronić. Czyż to nie szczęście, że wykupiliśmy Radio City Music Hall i Rockefeller Center? To gwarantuje, że wasze dzieci i dzieci waszych dzieci będą mogły cieszyć się tymi pomnikami dziejowych punktów zwrotnych.

— Nikt nie lubi, gdy cudzoziemcy przejmują narodowe symbole
Chika uśmiechnęła się.

— Nam Japończykom nie bardzo podoba się, że obecnie tytuł mistrza sumo wagi ciężkiej należy do Amerykanina.

W mieście świt był granitowoszary. Ludzie ze służb komunalnych zmywali węzami chodniki, wypędzając mokrych i żalonych bezdomnych z ich prowizorycznych kryjówek w poranne cienie, które nadal przywierają do kamienia po jednej stronie ulicy.

Chika zaparkowała przed niebieskim ceglanym budynkiem zakładu medycyny sądowej. Wolf zadzwonił z domu do Vernona Harrisona i CME czekał na nich z gigantycznym tekturowym kubkiem kawy w dłoniach.

— Zaproponowałbym wam trochę — powiedział — ale aż tak bardzo was nie nienawidzę. — Upił łyk i skrzywił się. — Mówiono mi, że trzeba lat, by się przyzwyczaić do tego cholerstwa, i święta racja. To żart, że robi się je w chłodniach na dole z formaldehydu i krwi. Ale żart co najmniej wiekowy. — Roześmiał się, chociaż było widać, że opowiadał tę historyjkę niezliczoną ilość razy.

Wolf przedstawił Chikę jako przyjaciółkę Moravii i na tym poprzestał. Prawdę powiedziawszy, nie wiedział, co innego mógłby dodać. Harrison

zabrał ich na dół do sali, w której znajdowały się szafki-lodówki. Otworzył jedną z nich i za drzwiami z nierdzewnej stali ukazało się ciało.

— Jest w kiepskim stanie, jak dla mnie — poinformował ze smutkiem Harrison. — Tak dojrzał, że w końcu musiałem napompować go balsamującymi chemikaliami. Dobrze, że nie ma rodziny, bo na jego widok zaczęliby drapać ściany.

— Słyszałem, że poczynił pan jakieś toksykologiczne postępy — powiedział Wolf.

— Jakieś. — Harrison napił się kawy. — Przyznaję, że nadal nie wiem, co stało się temu facetowi, ale w końcu wysledziliśmy przyczynę nieprawidłowych odczytów chemicznych. Podiom hormonów tego faceta był popieprzony jak jasna cholera. To znaczy, założyłem się, że był lepszy od mojego, gdy miałem dwadzieścia pięć lat. Nigdy nie spotkałem się z czymś takim.

— Co go zabiło?

— *Nein, mein Herr*. Jeszcze dokładnie nie wiem, ale powiem panu prosto z mostu: gdyby nie został zamordowany, zmarłby w ciągu sześciu tygodni.

— Dlaczego?

— Rak. Miał tego gówna tyle, że nie dało się zliczyć. I żaden z guzów nie był naturalny.

— Chodzi panu o to, że zostały sztucznie implantowane? Skąd?

— Insulinopodobny Czynniki Wzrostu Jeden — wtrąciła Chika.

Mężczyźni spojrzeli na nią.

— Możesz powtórzyć?

— Wydaje mi się, że ta dama mówi o naturalnie występującym hormonie wzrostu — powiedział Harrison — wytwarzanym przez gruczoł przysadkowy. Słyszałem, że prowadzi się badania na temat wpływu jego zrekombinowanej postaci na proces starzenia. Wie pan, redukcja zawrotnej skóry przez zastępowanie starczego ciała masą mięśni typową dla ludzi młodych.

— Jednakże — wtrąciła ponownie Chika - wydaje mi się, iż po raz pierwszy widział pan efekt implantowania środka odmładzającego bezpośrednio w geny.

Harrison nieomal zadławił się kawą.

— Mówi pani, że DNA tego człowieka zostało zmienione? Przecież to niemożliwe.

— Doktorze, trzynaście lat temu Lawrence Moravia był normalnym czterdziestoosmioletnim mężczyzną. Niech mi pan powie, czym stał się dzisiaj?

Harrison chrząknął.

— W tej chwili z całkowitą pewnością mogę powiedzieć o nim jedynie dwie rzeczy: facet nie żyje i nie jest już normalny.

— A co z pomalowanymi szminką policzkami? — spytał Wolf. — Czy to ma jakieś znaczenie?

Chika skinęła głową.

— Yukio Mishima kiedyś napisał, że „Mężczyźni muszą mieć kolor kwitnącej wiśni, nawet w chwili śmierci”. Chyba chodziło mu o to, że chociaż śmierć odziera ich z życia, nie powinna zabierać symbolu ich męskości. Nakładanie szminki jest częścią rytuału śmierci.

— Więc śmierć Moravii była zaplanowana.

— Oczywiście.

Na zewnątrz, na schodach, Wolf powiedział:

— W porządku. Pokazałaś mi, jak został zabity Moravia. Ale dlaczego?

Był to sprawdzian. Znał odpowiedź, ponieważ udzielił mu jej Shipley: Moravia był szpiegiem i został zdemaskowany, ale chciał usłyszeć wersja Chiki.

— Lawrence został poddany eksperymentowi. Podłączono go do... cóż, nazwijmy to po prostu biokomputerem o nazwie Wyrocznia. Wyrocznia oznajmiła, że ma zdolność przebudowywania DNA w żywym organizmie a Moravia był chodzącym dowodem.

Wolf przyglądał się jej przez pewien czas. Kto kłamał, Chika czy Shipley? Może oboje.

— Co się stało?

— Nie wiem. Wyrocznia ma jakąś usterkę. Proces zahamowania starzenia sprawił, że organizm został zaatakowany przez nowotwór. Moravię zamordowano dla zachowania tajemnicy.

— Dlaczego nie spalono ciała? To uniemożliwiłoby autopsję.

— Musisz zrozumieć Toshin Kuro Kosai. Jest tak, jak ci wcześniej mówiłam. Palenie ciała jest równe zbezczeszczeniu.

— Zatem Moravia musiał cieszyć się znacznym szacunkiem.

— Tak. Był bliski niektórym z wewnętrznego kręgu stowarzyszenia.

Na tyle bliski, by być szpiegiem? — zastanowił się Wolf.

— Dobra, powiedziałaś mi, że Suma przyjechał do Stanów, by mnie zabić, i mam dość dowodów, by w to wierzyć. Ale dlaczego przysłano ciebie?

— Żeby cię chronić. I ściągnąć cię do Japonii. Potrzebujemy cię tam, Wolf, aby powstrzymać nieubłagany marsz Toshin Kuro Kosai. Widzisz, do chwili obecnej można było trzymać ich w szachu. Od dziesięcioleci wiedzieli, że wymierają. Nie urodziło się ani jedno dziecko z takim darem. I od dziesięcioleci pracują nad znalezieniem sposobu sztucznego wywoływania zmian DNA u dzieci.

— By stworzyć więcej swoich.

— Właśnie — przytaknęła Chika. — Wygląda na to, że dzięki Wyroczni w końcu im się udało.

A jednak nie do końca. Choć Yuji rozumiał Wyrocznię tak, jak nigdy miało to nie być możliwe w wypadku Hiroto, nadal był okropnie daleko od pełnej synchronizacji i ta przepaść frustrowała go.

— Jeszcze raz zaczniemy od początku — rzekł głośno, mimo że w pomieszczeniu nie było nikogo innego.

— OD POCZĄTKU CZEGO? — zapytała Wyrocznia przyjemnym, syntetyzowanym głosem, który Hiroto uważał za kobiecy, ale dla Yuji był on zdecydowanie męski.

— Co mówiłaś wcześniej? — zapytał cierpliwie Yuji. — Powtórz to, proszę.

— TO ŻYCIE JEST NIEBEZPIECZNE — rzekła Wyrocznia. — NIE ŚMIERĆ.

— Co to znaczy?

— ZNACZENIE JEST W TYM, CO POWIEDZIAŁAM.

— To bez sensu.

— MOJA SKŁADNIA JEST BEZBŁĘDNA.

Yuji przez pewien czas wpatrywał się w czarny sześcian. Parsknął jakby w próbie pozbycia się niepokojących go emocji. Podeszedł do drzwi ze stopu stali, otworzył je i wpuścił Hanę.

— Robię to wbrew sobie — przyznał. — Tylko dlatego, że zadreczęłaś mnie tak długo, aż wszystko zaczęło mi się płatać.

— Rozumiem. — Ton głosu Hany przypominał Yuji matkę,

Hana zatrzymała się przed Wyrocznią.

— Spodziewałam się czegoś zupełnie innego. — Zaczęła się śmiać. — Chyba robota Robbigiego z „Zakazanej Planety”.

— Wyrocznia nie jest robotem, przynajmniej nie w żadnym konwencjonalnym sensie.

— Jest czymś więcej.

— Tak, i to dużo więcej.— Yuji obserwował ją uważnie. - Jesteś rozczarowana jej wyglądem?

— Nie. — Podeszła bliżej i przyłożyła rękę do boku czarnego sześcianu. — Jest ciepła jak człowiek. — Odwróciła się do niego. — Jak się z nią obecnie porozumiewacie?

— Hiroto pisze świetnym piórem; ja mówię.

— Nie ma innego sposobu?

— Nie rozumiem — Yuji był zaskoczony jej pytaniem.

— I mowa, i korzystanie z klawiatury niezbyt odpowiada moim celom,

— Wobec tego jesteśmy w martwym punkcie — stwierdził Yuji z wyraźną ulgą.

Hana obeszła sześcian. Patrzył, jak przygląda się oprzyrządowaniu i serce mu zamarło. Podeszła do gniazda światłowodów powiązanych z procesorami na obwodowej tablicy rozdzielczej rozmiaru końca jej kciuka. Przyglądała się uważnie temu, co było przymocowane do drugiego końca splecionych włókien: pięciu samoprzylepnym podkładkom. Yuji wstrzymał oddech, gdy jej palec dotykał ich po kolei.

— Do czego to służy?

Yuji, sparaliżowany ze strachu, nie odpowiedział; jej pytanie było sygnałem, że już się domyślała.

— To nie działa — wyjąkał po chwili.

Odwróciła się.

— Próbowaleś?

Yuji milczał. Nie spuszczała z niego wzroku.

— Chcę, żebyś mnie podłączył.

— Słucham? Chyba nie zrozumiałem. — Ale kiedy powtórzyła, wiedział, że się nie przesłyszał. — To niemożliwe.

— Oczywiście, że możliwe. Zachowujesz się jak Hiroto.

Potrafiła być tak obłądnie pewna siebie.

— Dobra, przynaję, to możliwe, w każdym razie teoretycznie, ale jak na razie zbyt niebezpieczne.

— Chyba nie dajesz mi do zrozumienia, że próbowałeś? — Skinęła głową, gdy odpowiedziało jej milczenie.— Rozumiem, po prostu się boisz.

— Musiałbym być szalony, by zrobić to, o co prosisz.

— A jednak zrobisz. Dlatego tu przyszedłem; dlatego ty pozwoliłeś mi tu przyjść, prawda? Bądź uczciwy sam z sobą. Doszliśmy do punktu, w którym Hiroto nie wie, co się dzieje wewnątrz Wyroczni, a ty nie rozumiesz, co ona mówi. Podłącz mnie, a ja się tego dowiem.

— Albo umrzesz. Nie mamy pojęcia, jak podłączenie do Wyroczni wpłynie na twój mózg.

— Przypominam ci, że nie macie pojęcia, jaki jest mój mózg — podkreśliła Hana z nieodpartą logiką.

— To kolejny powód do zachowania ostrożności.

— Wyrocznia nie pozwoli, by stało mi się coś złego.

Yuji wytrzeszczył oczy.

— A teraz mówisz bzdury.

— Bzdury? Powiedz mi, czy sam często nie myślisz o Wyroczni jak o czymś żywym?

— Nie wiem, co myśleć.

— Ale ja wiem.

Yuji pomyślał o enigmatycznych falach Hany. Czy Wyrocznia „rozmawiała” z nią w jakiś niewyobrażalny dla niego sposób? To było szaleństwo i mogło znaczyć, że ona ma rację, on zaś faktycznie uważa Wyrocznię za żyjącą istotę. Hana wydawała się taka pewna siebie, taka nieustraszona.

— Dlatego tu jestem, Yuji-san — powtórzyła. — Moje fale pozwalają mi „wyglądać” poza kontinuum czasoprzestrzenne, uznawać je za to, czym jest naprawdę: za wygodną płachtę, na której ludzie rozplanują przebieg skądinąd niewytłumaczalnych wypadków; za nią ukrywa się nowy porządek wszechświata, gdzie czas, grawitacja i przestrzeń są różnymi aspektami jednego uniwersalnego prawa egzystencji. — Obserwowała z pewną satysfakcją twarz Yuji, z której wyczytała, że zaczynał wszystko rozumieć. — Pojmujesz więc, dlaczego muszę zostać połączona z Wyrocznią i skąd wiem, że ona nie pozwoli, by potężne obwody LAPID zrobiły mi krzywdę. Oto, co zrobiło mi zapalenie opon mózgowych; oto, jak pracują moje receptory włókien nerwowych; oto, jak myślę. Wyrocznia i ja jesteśmy spokrewnione, jak gdyby była ona moją przyrodnią siostrą.

Yuji przyłożył ręce do skroni. Czuł ból, którego nie potrafił opanować. Od tak dawna chciał poznać sekret odmienności Hany, ale teraz wiedział,

że odsuwa się od niej coraz bardziej. Uspokoił się, odetchnął kilka razy głęboko, ale ręce nadal mu drżały.

— Nie chcę tego zrobić.

Hana podeszła do niego i spojrzała nań ze smutkiem.

— Biedny Yuji. Twój dar rozdarł cię na dwoje i teraz te części toczą ze sobą wojnę.

— Boję się panującego we mnie chaosu.

Przyłożyła dłoń do jego policzka.

— To tak widzisz swój dar? Chaos jest wokół ciebie, nie w **tobie**. Y!\$»
czy nie słyszysz rodzącego się ryku wszechświata?

— Niczego nie słyszę.

— Właśnie. Słuchaj ciszy.

Popatrzył na nią błagalnie.

— Hano, musisz porzucić ten szalony pomysł.

— Zakaż mi nawiązywania kontaktu z Wyrocznią.

Kiedy nie powiedział ani słowa, podprowadziła go do Wyroczni,

— Twój obowiązek jest jasny — i był taki od początku. Śmiało, zrób to, co, jak wiesz, i tak musisz zrobić.

Przygotowania zabrały mu ponad godzinę, a kiedy skończył, posadził ją na krześle obok czarnego sześcianu. Splótł ręce, a po chwili poczuł, jak silne palce Hany obejmują jego drżące dłonie.

— Nie bój się siebie, Yuji.

— Siebie? Boję się tego cholerstwa.

— Nie. Boisz się tej części siebie, którą wprowadziłeś w Wyrocznię.

Yuji odetchnął głęboko, przeniósł spojrzenie z bladej inteligentnej twarzy Hany na czarne inteligentne oblicze Wyroczni. Teraz zrozumiał, że i Hana, i Wyrocznia były dlań całkowicie niezgłębione, za chwilę zaś miały zostać połączone w uprzednio niewyobrażalnej symbiozie. Tego pragnęła Hana — i to było również jego pragnieniem. Zatem niech się stanie. Nie spuszczać oczu z Hany, wyciągnął rękę i przekręcił wyłącznik...

— Lepiej, żebyśmy jak najszybciej wyjechali do Tokio — powiedziała Chika. — Ale szuka cię Suma, nie możemy więc zrobić tego w normalny sposób. Mam przyjaciela, który nam pomoże.

— To oznacza porzucenie pracy, czyli po prostu ucieczkę...

— Nadal nie rozumiesz. Nie masz wyboru, Suma wie o tym.

Wolf pomyślał o Shipleyu i jego propozycji. Powinien był iść w tym kierunku.

— Dobra, lecz najpierw muszę wstąpić do biura. To ważne.

— Tylko na minutę. Nie mamy czasu do stracenia — przypomniała Chika.

Przejechali Drugą Aleją na Chrystie Street, kierując się na wschód na Canal to Allen, i skręcili na zachód na East Broadway. Wolf powiedział Chice, że musi zabrać służbowy rewolwer, co było prawdą, ale chciał również spotkać się ze Squire'em Richardsem i wyjaśnić nieporozumienie, zanim Breathard zdąży to wykorzystać do swoich niecznych celów.

— Powiedz mi coś — zaczął. — W jaki sposób Stowarzyszenie Czarnego Ostrza zamierza wykorzystać Wyrocznię, skoro jej program odwracania procesu starzenia jest wadliwy?

— Są blisko rozwiązania, brakuje im tylko jednego katalizatora.

— Wobec tego masz rację. Jest bardzo mało czasu.

Pomyślał, że gdy tylko będzie miał wolną chwilę, opowie Shipleyowi o tym złowieszczym wynalazku.

Stary teatr na skraju Chinatown skąpany był w błękitnym cieniu. Wewnątrz malarze zakończyli robotę i zniknęli.

Bobby, jakby starszy, mądrzejszy i bardziej smutny w następstwie Spotkania z kulą błękitnego ognia, zerwał się na widok Wolfa.

— Chryste, poruczniku, tak się cieszę, że pana widzę. Dzwoniłem do pana do East Hampton.

— Byłem w drodze do miasta. Co się stało? — Wolf otworzył dolną szufladę biurka, by wyjąć rewolwer, skórzaną podramienną kaburę i dodatkową amunicję.

— Squire... — zaczął pospiesznie Bobby. — Znaleziono go dziś rano przed domem w Tremont. Dwa strzały w tył głowy.

— Jezu! — Wolf wstał i wlepił oczy w Bobby'ego. Czy Squire okazał się na tyle głupi, by stracić pieniądze, które był winien jego brat? Czy dorwali go lichwiarze? Zerknął na Chikę. — Chyba będzie lepiej, jak od razu tam pojadę, bez względu na Sumę.

— Wolf — rzekła cicho, ale z naciskiem Chika — nie mamy na to czasu.

Bobby, przenosząc spojrzenie z Chiki na Wolfa, nerwowo obliznął wargi.

— Nie myślę, żeby to był dobry pomysł, poruczniku.

— O czym ty mówisz?

Bobby przestąpił z nogi na nogę.

— No cóż, widzi pan, poruczniku, mamy jeden trop. Właśnie dostałem wiadomość od Rothsteina z balistyki. Testy potwierdzają, że pociski zostały wystrzelone z pańskiego rewolweru.

Wolf usłyszał, jak Chika jęknęła cicho za jego plecami.

— O Chryste! Ale, Bobby, przecież widziałeś, jak otworzyłem szufladę i wyjąłem pistolet.

— Racja, poruczniku.

— Co znaczy, że nie miałem go przez cały weekend.

Bobby pokręcił głową.

— To znaczy, że nie miał go pan dwie minuty temu.

— Bobby, to bzdury! Ktoś mnie wrabia.

— Poruczniku, ja panu wierzę. Tak samo jak wszystkie Wilkołaki, ale musi pan zrozumieć, że od czasu, gdy załatwiono Juniora, ludzie zrobili się nerwowi. W całym wydziale panuje gówniany nastrój. I zna pan Breatharda, który tylko czeka na pretekst, żeby nas rozpedzić. Skorzysta z pańskiej bójki ze Squire'em; już teraz ściąga wszystkich czarnych z każdego okręgu, by urabiali komisarza. Jesteśmy wytrąceni z równowagi śmiercią Squire'a. „Może to konflikt zainteresowań” —mówi Breathard. Ponadto... — Bobby odetchnął głęboko — ...szukają pana ludzie z biura prokuratora, chcą pana przesłuchać.

— Wolf, naprawdę nie mamy czasu — wtrąciła Chika. - Ten cały układ zaczyna śmierdzieć. Wynośmy się stąd, i to zaraz.

— Nie, nie, nie mogę teraz odejść — upierał się Wolf. — Muszę przez to przebrnąć. Jeżeli uda mi się dostać do komisarza, zdołam wykazać, że Breathard jest kłamcą i rasistą.

— Jeżeli zostaniesz, to gwarantuję, że Suma nie przepuści takiej okazji

Bobby znów obliznął wargi; nie wiedział, na kogo patrzeć.

— Ona ma rację, poruczniku, musi pan trzymać się z daleka, dopóki nie zdobędziemy dowodów na to, kto faktycznie załatwił Squire'a. Rothstein dał mi cynk, że ekipa policyjna jest już w drodze. Mają skonfiskować pański pistolet i sprowadzić pana do One Police Plaża.

— Nie masz wyboru — stwierdziła sucho Chika.

Wolf popatrzył na pistolet i skinął głową.

— Bobby, ja bym zaczął od rozmowy z bratem Squire'a. — Schował pistolet, amunicję i kaburę do kieszeni skórzanej kurtki. — O to nam poszło. Squire przetrzepywał skórę właścicielowi „La Mentiry”, żeby zdobyć forszę, jaką jego brat był winien rekinom.

— Tak zrobię, poruczniku. — Bobby wyciągnął rękę, którą Wolf uściskał. — Gdybym był na pana miejscu, to pilnowałbym swoich tyłów. Wygląda na to, że Breathard jest zdecydowany kopnąć pana w dupę, nieważne, w jaki sposób.

Wolf i Chika wrócili do corvetty. Kluczyli wąskimi, wijącymi się ulicami w najstarszej części miasta, sąsiadującej z betonowym sercem amerykańskiej finansjery. Wyłonili się po wschodniej stronie Manhattanu, na ziemi niczyjej, pod estakadą FDR Drive.

Asfalt i stary bruk zawałone były kawałami skorodowanego żelastwa, powyginanymi puszkami, płachtami grubej tektury, a nawet postrzępionymi płytami ściennymi. W ciągu ostatnich kilku lat powstało tu miasto w mieście; szybko rozrastające się nowojorskie wspólnoty bezdomnych grasowały i hulały po sąsiednich ulicach.

— Breathard wsadził mnie w imadło i ściska, jak tylko może — powiedział Wolf. — A ja, cholera, nie mogę nic na to poradzić!

Widać już było ogniska; w powietrzu wisiał przytłaczający smród odpadków — efekt życia na terenie pozbawionym nowoczesnych urządzeń sanitarnych. Tu i tam widać było pootwierane włazy, a po kocich łbach na kształt pajęczej sieci wiły się przewody; ci nędzarze kradli wszystko, zatem dlaczego nie elektryczność?

Tutaj też prowadzono interesy, a Wolf z doświadczenia wiedział, że głównie nielegalne. Przypomniał sobie, jak jeszcze przed utworzeniem brygady Wilkołaków przyszedł tu kiedyś w pewną letnią noc z Bobbym Connorem. Oczy zaczęły łzawić im tak bardzo, że musieli założyć maski gazowe. Jeden z informatorów Wolfa dał im cynk, że ukrywa się tu człowiek odpowiedzialny za popełnienie brutalnego morderstwa. Była to jedyna przyczyna ich wizyty, nikt bowiem z własnej woli nie zapuszczał się w te rejony. Policja i miejscy urzędnicy unikali tego miasta beznadziei, uznawszy je za teren stracony. Z powodu braku funduszy na patrolowanie woleli pozwolić, by miasto rządziło się własnymi prawami oraz podlegało własnemu quasi-rządowi i wymiarowi sprawiedliwości.

Ale wówczas zamiast na przestępcę, Wolf i Bobby natknęli się na dwóch braci, tnących się bezlitośnie sprężynowymi nożami. Otaczał ich rozszerzający się krąg ludzi ulicy, podżegających to jednego, to drugiego; naganiacze krążący w tłumie harowali ciężko, przyjmując zakłady od gapiów.

Wolf i Bobby rozdzielili się, każdy zajął się jednym z braci. Wolfowi udało się rozbroić swojego, ale ten drugi wyrwał się Bobby'emu i ciał go przez maskę przeciwgazową. Bobby, chwilowo oślepiiony, po omacku usiłował złapać mężczyznę, który z maniacką furią rzucił się znowu na brata. Zatopił nóż w jego brzuchu prawie w tej samej chwili, w której Wolf strzelił mu w piersi.

Wolf gapiąc się przez plastikowe okulary maski przeciwgazowej na dwa trupy, słysząc wycie tłumu i widząc torsje Bobby'ego, gotów był oddać swoją odznakę.

Co mogło być gorszego? — pomyślał.

Ale to wydarzenie było jedynie początkiem zanurzenia się w cuchnącym kotle nowojorskiej nędzy.

A teraz znów był w mieście przeklętych. Wysiedli z czarnej corvetty, która spowodowała wielkie poruszenie w obdartym, brudnym, hałaśliwym motłochu. Nad wejściem do jednej z ruder wisiał olbrzymi, zmaltretowany głośnik, wyrzygujący metaliczną muzykę urozmaiconą surowym, wciskającym się wszędzie rapem. Nikt nie miał nic przeciwko hałasowi o tak wczesnej porze; był to po prostu kolejny wielkomiejski dźwięk, zlewający się z trąbieniem klaksonów i wyciem syren. W promieniach wschodzącego słońca brzęczały muchy, smród zaś śmieci i nie mytych ciał łączył się w prawie trujące wyziewy, które unosiły się nad okolicą niczym wielkomiejski smog.

Chika odwróciła się.

— Może zostań przy samochodzie. Jak się czujesz?

— Dobrze.

Obrzuciła go przelotnym spojrzeniem i ruszyła w stronę wejścia do rudery. Muzyka była tak głośna, że Wolfa bolały uszy.

— Parker! — Chika musiała wrzasnąć, by pokonać ogłupiający hałas.

Z rudery wyszli dwaj mężczyźni, wielcy Latynosi z wytatuowanymi, potężnymi jak konary ramionami. Ubrani byli w przepocone podkoszulki i dzinsy. Zza pasków wystawały rękojeści tanich europejskich pistoletów i zakrzywionych noży, ponadto obaj trzymali kije baseballowe z osadzonymi w drewnie ostrzami.

— A, to ty — powiedział jeden z nich. Miał dwie łyzy wytatuowane pod okiem, znak, że siedział dwa lata w pudle.

— Muszę się z nim widzieć.

Mężczyzna wyszczerzył zęby i zbliżył się do niej; drugi został w pobliżu wejścia do rudery.

Chika podeszła do drzwi wyjściowych i wyjrzała na dwór. Nie tknęła swego piwa.

— Co byś zrobiła, gdybym nie złamał obojczyka temu szczurowi?
— zapytał Wolf.

— Nie musiałam niczego robić.

— Czy widziałaś ten fragment przyszłości?

— Może mam więcej wiary w ciebie niż ty we mnie.

Za drzwiami toczyło się życie miasta przeklętych. Wolf przypuszczał, że nie odbiega ono zbyt od egzystencji w jakimś kraju Trzeciego Świata. Kto by pomyślał, że znajdują się na Manhattanie.

— Wypatrujesz czegoś konkretnego?

— Nie. — Chika potrząsnęła głową, ale nie przestała obserwować otoczenia.

Wolf, patrząc na gołego dzieciaka załatwiającego się na stercie śmieci, przypomniał sobie raport miejskich służb zdrowia — szybko zatuszowany przez biuro burmistrza — odnośnie zatrważającej liczby kolonii drobno-ustrojów chorobotwórczych, takich jak dwoinki, gronkowce, ameby i salmonella, przypadających na metr sześcienny w takich slumsach.

— Wiesz, że jeszcze nie mogę wyjechać.

— Głupio byś zrobił, zostając tutaj — stwierdziła. — Suma pożarłby cię na śniadanie. Posłuchaj moich rad, a może zdołam zachować cię przy życiu.

— Nie rozumiesz. Jestem odpowiedzialny za śmierć Squire'a.

— Tego nie możesz być pewien.

— Był jednym z moich ludzi. Miał kłopoty. Tak wielkie, że w Swej dumie nie chciał zwrócić się do mnie o pomoc, a zamiast tego wkroczył na niebezpieczną ścieżkę. Ja zaś byłem jej częścią. — Popatrzył na nią.

— A może nie potrafisz zrozumieć dumy; mój nauczyciel aikido nie potrafił.

— Duma jest konfucjańskim grzechem. Mrocznym i niebezpiecznym.

Dziesięć minut później Parker wyłonił się z głębi rudery. Trzymał profesjonalny polaroid. Zrobił im zdjęcia i ponownie zniknął za bezbarwną derką, milczący i tajemniczy.

Wrócił z dwoma brytyjskimi paszportami. Podał je Chice i zapewnił:

— Przejdą, nie musisz się martwić. — Przesuwał w ustach wykałaczkę. Jego oddech cuchnął żarciem dla kotów.

— Dzięki. — Chika schowała paszporty do kieszeni

Parker wlepił oczy w Wolfa.

— Odrzuć się — powiedziała Cml^yr- Mówiłam, on jest w porządku.

Parker chrząknął z powątpiewaniem, ale twarz mu złagodniała, gdy usłyszał pochlipywanie. Schylił się i chwycił pędzącą ku niemu może pięcioletnią dziewczynkę.

— Cathy — wymruczał, przytulając jej twarz do szyi, a potem, na jej krzyki: „Tatusiu, proszę!” podniósł ją do góry. Dziewczynka zaczęła chichotać. Parker potrząsnął nią lekko, a ona piszczała w udawanym przestraszaniu.

— Dlaczego skazałeś się na to piekło? — zapytał Wolf, wskazując na las cuchnących rud.

— Ponieważ lepiej żyć, niż nie żyć — odparł Parker. Jeszcze raz potrząsnął Cathy, wywołując kolejną falę pisków radości. — Widzę, że mi nie wierzysz, ale żeby zrozumieć, musiałbyś przeżyć to, co ja. — Ponownie podniósł Cathy w górę, posadził na rękę i dmuchnął, by odgarnąć włosy z jej czoła. Dziewczynka była czerwona jak burak. Była ładna i jak wiel© dzieci w jej wieku, rozsadzała ją energia. Pokazała Wolfowi język, a Parker wybuchnął śmiechem.

— Siedem lat temu byłem maklerem inwestycyjnym — mówił. — Ale potem przysłowiowy piorun strzelił w rabarbar, ceny i popyt spadły do niewyobrażalnie niskiego poziomu i wszyscy z Wall Street zostali bez pracy. Człowiek wchodził rano do biura, a kumple, którzy zaledwie kilka miesięcy wcześniej musieli zostawać w robocie do późnej nocy, rozwiązywali krzyżówki w „Timesie”. To było niewiarygodne. Telefony milczały godzinami. Ta cisza była niesamowita. Parker przesadził wierzącą się Cathy z jednej ręki na drugą. — Wtedy oczywiście staliśmy się niepotrzebni. Budżet został zredukowany do minimum, ludzie w ciągu jednego dnia znaleźli się na bruku i nigdzie nie można było znaleźć roboty. Miałem cholerne wydatki. Musiałem sprzedać BMW, rolexa, potem mieszkanie w Battery Park City za wstrząsająco niską cenę... Jedyna dobra rzecz w byciu bankrutem polegała na tym, że już nie musiałem płacić alimentów byłej żonie, ale ona cały czas nasyłała na mnie prawników, którzy węszyli, czy rzeczywiście nie mam środków do życia. Kiedy poprosiłem ją o pożyczkę, roześmiała mi się w twarz... Przez pewien czas miałem się różnych dziwnych zajęć, wiesz, zmywałem naczynia, pracowałem jako kelner, odwaląłem nocną robotę, jakiej nikt inny nie chciał się podjąć. Ale po tym, jak drugi raz zostałem wyrolowany, miałem dość bycia obywatelem

Nowego Jorku i życia po właściwej stronie prawa. Czekając w izbie przyjęć w miejskim szpitalu, zakrwawiony i obolały, obserwowałem sanitariuszy biegających z noszami i zastanawiałem się, czy przypadkiem nie trafiłem do piekła. To nie był Nowy Jork, o jakim marzyłem, gdy dorastałem w Chicago. Zdałem sobie sprawę, że muszę przekroczyć linię, której, jak zostałem nauczony, nie wolno przekraczać... — Znalazłem się tutaj, ponieważ było to moją jedyną szansą na przeżycie — i jeżeli czegoś się nauczyłem, to tego, że brak środków do życia hartuje. Jak się chce, można żyć bez złamanego centa; pięć lat temu bym w to nie uwierzył.

Spojrzał na dziewczynkę.

— A teraz mam Cathy. Jej matka zmarła z powodu przedawkowania heroiny, a ojciec został zadźgany za kradzież puszki fasoli u sąsiada.

— Chrząknął. — Wiesz, to zabawne, przez całe swoje małżeństwo, przez cały czas pracy na Wall Street, gdy obracałem milionowymi rachunkami klientów, nie miałem pojęcia, co to znaczy naprawdę być odpowiedzialnym. Wychowywanie Cathy nauczyło mnie tego, więc często myślę, że los nie miał w stosunku do mnie złych zamiarów.

— Roześmiał się z lekką goryczą. — Oczywiście, teraz muszę tak myśleć, w przeciwnym razie znalazłbym się u czubków, to pewne. Ale wiara jest zabawną rzeczą, w pewnych okolicznościach tak krucha, a jednocześnie tak absolutnie niewzruszoną w innych. — Przytulił Cathy i pocałował ją w czubek głowy. — Może będziesz się śmiać, ale teraz czytam Junga. Kradnę książki z biblioteki publicznej, co jest w porządku, bo w dzisiejszych czasach i tak nikt tam nie chodzi, i myślę, że mimo tego kolosalnego przewrotu socjalnego wszystko zasadniczo pozostało takie samo. To, że pragnę uczyć Cathy, jest szczególnym rodzajem psychicznego komfortu. — Wzruszył ramionami. — I kto wie, gliniarzu, może to twoje życie, nie moje, jest piekłem.

Wolf z uwagą wysłuchał tej zdumiewającej historii. Rozumiał teraz, że jego ojciec, w pewien sposób podobny do Parkera, zbyt uwikłał się w pułapki swego zawodu. Dla Petera Mathesona najważniejsze stało się bycie kimś. To dlatego wstąpił do rangersów, dlatego próbował przywrócić im sławę minionych lat. Dlatego też porzucił żonę i syna i udał się do dziewiczej jeszcze Australii, która otwierała przed nim szanse zostania wymarzonym bohaterem, lecz w której poniósł porażkę.

— Tatusiu?

- Cśśś, Cathy — powiedział Parker łagodnie, ale stanowczo.

— Ale...

— Dosyc huśtania, kochanie.

Dziewczynka wila się w jego ramionach, więc postawił ją na ziemi. Natychmiast wybuchnęła płaczem i znów wziął ją na ręce.

— Cathy, o co chodzi?

Wolf widział, że dziewczynka drży. Pobladła i zaniósła się płaczem. Najwyraźniej była przerażona. Parker odwrócił ją, próbując spojrzeć w ściągniętą od płaczu twarz.

— Gorąco jej, ale nie jest spocona. I trzęsie się jak liść.

— Parker, postaw ją.

Wolf wychwyił nutę przerażenia w głosie Chiki, ale Parker był zbyt zajęty niepokojącym stanem córeczki, by słuchać.

— Parker — powtórzyła nagłaco, próbując rozewrzeć jego ręce bez uczynienia krzywdy dziecku — postaw ją.

— Ona jest chora — upierał się Parker. — Nie mam zamiaru...

— Nie rozumiesz, co się dzieje, to straszliwie niebezpie...

W tej chwili dziecko zaczęło się jarzyć. Oczy Cathy rozszerzyły się, na czubkach palców zaigrały pierwsze niebieskawe płomyki, które popęzły w górę ramion. Cathy zawyla ze strachu i bólu, a nagle z hukiem Stanęła w płomieniach.

— Chryste wszechmogący! — wrzasnął Parker, ale nie wierząc w to, co widzi, nadal nie chciał jej puścić.

Wolf pomyślał, że tak się musi czuć śmiertelnie ranny człowiek. Na moment ciało jakby przestaje istnieć, ale umysł jest skoncentrowany na ostatniej chwili rzeczywistości, później zaś czas i przestrzeń eksplodują czyniąc rzeczywistość nierzeczywistą.

Suma ich znalazł!

Wolf wyczuwał już ohydny woń palonego ciała i włosów. Twarz Cathy wykrzywił strach i coś jeszcze. Groza? Nie potrafił powiedzieć.

Musiał coś zrobić, by pomóc dziecku. Schylił się i podniósł podarte resztki koca, ale kiedy się wyprostował, odkrył, że nie może się ruszyć. Z ledwością mógł oddychać. Czuł się tak, jakby jakaś pięść zacisnęła się wokół serca i spowolniła jego bicie, jakby leżał na łożu śmierci. Przeskoczył w myślach do nocy na dachu mieszkania Amandy, do spotkania z mroczną siłą, kiedy też nie mógł się ruszać

i oddychać. Te dwa momenty wydawały się identyczne i zimny pot zrosił mu czoło, gdy bronił się przed ogarniającym go przerażeniem. Ponownie przeżywał kompletną bezradność, jak wtedy, gdy został wyrzucony w powietrze, a świadomość rozpadała się niczym szkło świetlika...

Zamrugął, ból w piersiach był twardy, zimny, nieustępliwy jak kamień.

Chika, nienaturalnie spokojna, powiedziała do Parkera:

— Połóż Cathy. Puść; to jedyna szansa ratunku.

Parker, zanosząc się spazmatycznym szlochem, wreszcie posłuchał. Koszulę miał spaloną na piersiach, gdzieniegdzie wznosiły się smużki dymu. Dłonie i przedramiona były poczerniałe, pokryte zwęglonym ciałem. Nie dbał o to; wlepił oczy w córkę, która leżała na betonie, wijąc się i wrzeszcząc w trawiących ją płomieniach.

W tej chwili Wolf kątem oka dostrzegł falowanie w powietrzu, coś podobnego do zniekształceń widzianych nad rozgrzaną przez słońce jezdnią. Coś zimnego, jakaś ciemność, jakby chwilowa pustka zawirowała między nim a Chiką. Miał wrażenie, że coś niewidzialnego oddycha u jego boku. Ból zelżał i ustąpił. Było w tym coś znajomego. Odwrócił się.

Mogła to być gra światła i powietrza napełnionego wirującymi drobinami kurzu, ale przysiągłby, że oczy Chiki zmieniły kolor, rozjaśniły się, a pod źrenicami zabłyśły zielone półksiężycy. Patrząc w ciemne głębokie oczy, usłyszał westchnienie Parkera. Odwrócił się i zobaczył, że płomień obejmujące Cathy gasną.

Parker klęczał obok niej, tuląc ją i kołysząc bez słów.

Wolf, wyszarpując służbowy rewolwer, wyskoczył z chałupy.

— Wolf!

Przerażenie w głosie Chiki sprawiło, że zadrżał, ale nie zatrzymał się — nie chciał i nie mógł. Wspomnienie małej dziewczynki ogarniętej płomieniami, jej skwierczącego ciała i krwi gęstej jak galareta, nie pozwalało mu spocząć.

Kątem oka dojrzał falującą ciemność i rzucił się w prawo, rozpychając zdziwionych ludzi. Gnał równoległe do wyniesionej nad poziom gruntu autostrady, klucząc wokół ruder i ognisk płonących w koszach na śmieci, przeskakując przez przewody podłączone do miejskiej sieci elektrycznej i wodnej, wymijając żółtookie dziczające psy.

Zostawił za plecami miasto przekłete i znalazł się na bruku wytartym i wykruszonym przez dwa stulecia użytkowania. Był w dzielnicy starych

magazynów czekających na wyburzenie, aż będą prochem, z którego powstały.

Drzwi, małe, skrzypiące, kołysały się na wietrze, wyłamana kłódka bębniła o deski. Wolf zbliżył się ostrożnie, bokiem, korzystając z osłony masywnych żelaznych filarów podtrzymujących estakadę. Lewa noga bolała go trochę, ale oddychał normalnie. Jak dotąd — w porządku.

Sięgnął do drzwi, otworzył je szarpnięciem i wskoczył z cienistego zimowego światła w czerwony półmrok magazynu. Smród szczurzych gniazd i gnijących trocin oraz słaby, zastarzały odór ryb zaatakowały go niczym duchy z innej ery.

Wiedział, że teraz musi być bezgranicznie ostrożny; w magazynie kryła się moc, która z pewnością mogła go zabić. Pomyślał, że dwukrotnie znalazł się w jej uścisku, a jednak żył. Dlaczego? Zadrzał, gdy pomyślał o Cathy stojącej w płomieniach.

Chika powiedziała: „Dar ten objawia się w różny sposób, niekiedy bywa jak żywy cień, który można wyczuć, a nawet dostrzec kątem oka. I wtedy może jawić się w postaci niewidzialnej pięści i wprawiać w ruch przedmioty; może powodować ból, a nawet śmierć”.

Wstrząsnęło nim wewnętrzne drżenie. Czy to nie ten ożywiony cień wyczuwał u Parkera i na szczycie budynku w noc śmierci Amandy? Coś zimnego w powietrzu, chwilowa ciemność... I coś niewidzialnego, oddychającego u jego boku.

Trzymał się najgęstszego cienia, póki oczy nie przyzwyczyły się do półmroku. Stopniowo rozróżniał szczegóły otoczenia. Znajdował się w małym, zdemolowanym biurze. Naprzeciwko wejścia były oszklone drzwi, przez które wszedł do właściwego magazynu. Za rozległym pomieszczeniem mieściły się mniejsze, przeznaczone najwidoczniej do przechowywania łatwo psujących się towarów. Okna, umieszczone tak wysoko, że wydawały się maleńkie, wpuszczały niewiele światła. Zwieszające się niżej gołe żarówki emitowały niezdrowy blask, skupiający się pod nimi jak kałuże krwi.

Po lewej stronie piął się stalowy szkielet schodów prowadzących na wąską galerię, która biegła przez całą długość głównej hali. Wolf pomyślał, że z góry będzie miał lepszy widok i ruszył w tę stronę.

Pokonał wąskie schody po trzy stopnie naraz; lewa noga cierpła mu lekko, ale nie bolała. Prawdę mówiąc, uważał, że takie ćwiczenie

może wyjść na dobre rozleniwionym mięśniom. Poczul gwałtowny napływ adrenaliny, gdy znalazł się u szczytu. Czynił większy hałas, niż zamierzał, zdjął więc buty i wepchnął je w kieszenie kurtki. Teraz poruszał się szybko i bezgłośnie. Włosy zjeżyły mu się na głowie, gdy zaczął się zastanawiać, czy ci ludzie — Suma i jemu podobni — potrafią wykryć jego obecność nawet w całkowitej ciemności i ciszy.

Na środku galerii położył się i omiół magazyn wzrokiem. Zobaczył jakiś ruch po drugiej stronie, więc podniósł się i popędził ku schodom.

Z tej strony galerii schody kończyły się w pierwszej z serii małych klatek zawalonych metalowymi pudłami, pakami i workami cementu, chociaż główna część magazynu sprawiała wrażenie opuszczonej. W trzeciej klatce coś się poruszało, lecz gdy uczynił krok w tamtą stronę, rozplynęło się w mroku.

Otworzył druciane drzwi, zwracając uwagę na wyrwaną kłódkę. Przez środek klatek biegło wąskie przejście. Z pistoletem wysuniętym do przodu wcisnął się w nie bokiem. Nad jego głową wznosiły się spiętrzone stromo skrzynie. Przecisnął się do drugiej klatki. Na siatkowych ścianach wiły się kable elektryczne, widoczne jak żyły na wychudzonym nadgarstku. Gołe żarówki płonęły niczym miniaturowe słońca, zbyt stare czy odległe, by miały jeszcze jakieś znaczenie.

Wolf wsunął się do trzeciej klatki. Posuwał się krok po kroku po zaśmieconej betonowej posadzce. Zerknął w górę i jak nurek na dnie zdradliwego rowu zobaczył nad sobą kuszące światło odległego słońca. Był w połowie wąskiego przejścia, gdy ogromna piramida giętkich rur z PCW zaczęła wzdychać i poruszać się. Powietrze napełniły jęki i poskrzypywania, jak gdyby uśpione od wieków duchy gniewały się na intruza przerywającego im drzemkę.

Próbował przyspieszyć, ale rury, falujące niczym włosy Meduzy, cięły powietrze i zagradzały mu drogę. Jak mityczne węże pętliły się, oślizły i ślepe, nad jego głową. Odwrócił się do drugich drzwi, ale już był otoczony — kolejna falanga przewodów zaganiała go pod stos worków cementu.

Węże wiły się i ślizgały, napierając na jego piersi. Ściągnął kilka worków, by stworzyć jakąś namiastkę barykady. Słyszał swój ciężki oddech, czuł przyspieszone bicie serca i ogarniające go fale gorąca. Rury odnalazły go w prowizorycznej kryjówce i zaatakowały, a on daremnie rzucał się w poszukiwaniu czegoś, czym mógłby je powstrzymać.

Jedna rura przepchnęła się przez inne i skoczyła błyskawicznie do przodu, jej koniec trzasnął go w ramię. Wolf rzucił się do tyłu, rozwalając

na wszystkie strony ciężkie worki. To na chwilę spowolniło atak, ale W rezultacie nie prowadziło do niczego dobrego; w pewnym momencie musiał dotrzeć do ściany klatki.

W ograniczonej przestrzeni nie mógł użyć pistoletu. Wsunął go do kabury na plecach, a obiema rękoma przerzucał worki, podczas gdy niezmordowane rury wiły się i splatały wokół niego.

Siatka była tak gruba, że nawet nie zastanawiał się nad jej sforsowaniem. Odwrócił się. Straż przednia rur rzuciła się na niego z furją, przygważdżając do stalowej siatki jak łapy ogara, po czym znieruchomiała. Sięgnął w górę, próbując wydostać się na szczyt, lecz nie zdołał odepchnąć płataniny rur.

Wtedy poczuł ciepło, z początku delikatne, wypierające chłód z powietrza, potem buchnął żar ostry i bezlitosny jak z otwartego pieca. Wywęszył dym i z przerażeniem zobaczył, że rura najbliższa jego głowy zaczyna się tlić.

Dobry Boże — pomyślał — Suma wykorzystuje swój dar; zrobi ze mną to samo, co z Cathy i Arąillem.

Usłyszał pierwszy trzask płomieni, a później syk ognia wybuchającego na rurze obok nogi. Wężę zaczynały się palić i wkrótce otoczył go krąg, płomieni. Włosy Meduzy w ogniu. W środku zaś duch falujący niczym woda ,po przepłynięciu gigantycznego węgorza: Suma wzywający swą psychiczną energię.

Wolf skoncentrował się. Suma mógł ukrywać się przed nim, ale najwidoczniej, gdy używał swego daru, można go było znaleźć. Wolf wyczuwał fale emanujące z jądra ciemności, psychiczny odpowiednik zawirowań wytwarzanych przez żerującą w wodzie rybę. Prześledził je i znalazł punkt, w którym musiał znajdować się Suma, po drugiej stronie płataniny rur, ukryty w jakiejś szczelinie i bluzgający swą psychiczną trucizną.

Ogień huczał i wytwarzał ciężki, oleisty dym, zatykający nos, wdzierający się do gardła. Wolf pomyślał, że być może na szczęście udusi się, zanim zacznie płonąć żywcem.

Znów się skupił i przeszukał jaźnią aksamitny czerwony mrok. Zlokalizował Sumę i wyszarpnął pistolet. Ale nie strzelił, bał się rykoszetów. Był pewien, że wie, gdzie jest Suma, lecz nie mogąc użyć broni, był bezradny.

Oddech miał urywany. Pot zalewał mu oczy, gdy płomienie pełyły ku niemu. Gorące powietrze wysuszyło mu usta, a załzawione oczy paliły żywym ogniem. Ogień pochłaniał tlen i Wolf zaczął się dusić. Gwałtowny powiew dymu sprawił, że zaniósł się niepohamowanym kaszlem.

Schował pistolet i wtedy jego ręka otarła się o coś. Wykręcił szyję i zobaczył elektryczne kable przymocowane do siatki. Odwrócił się, złapał kable obiema rękoma i szarpał ze wszystkich sił, póki nie oderwał ich od siatki. Złożył je wpół i wsunął w ogień.

Izolacja stopiła się w mgnieniu oka i w snopie iskier ukazały się gołe przewody. Wtedy schylił się i wsunął je między rury.

Przycisnął się do ściany klatki, szalejące płomienie były zatrważająco blisko. Ściągnął rękawy kurtki, by chroniły mu dłonie przed ogniem.

Skoncentruj się. Wyczuź fale ruchów, projekcję siły, podążaj za nią, wepchnij kable, dalej, jeszcze dalej, pchaj je w ciemność, w ciemność wijącą się i wirującą, sapiącą niczym potworna bestia. Węszącą, jakby nagle stała się świadoma jego obecności — nie, nie jego, ale trzaskającej energii niesionej przez okaleczony kabel. Teraz! Rzuć go tam, w środek, gdzie ciemność jest gęsta jak atrament... Iskry strzeliły za stertą płonącego PCV. Wolf usłyszał wrzask gdzieś w środku głowy, poczuł wybuch prymitywnie silnego gniewu, doświadczył wstrząsu, jakby sam został porażony prądem.

Otrząsnął się z tych wrażeń, zobaczył zamierające płomienie i ciężkie krople. Intensywny żar uruchomił wodną automatyczną instalację przeciwpożarową, biegnącą pod sufitem magazynu.

Wolf wyciągnął ręce i odepchnął od siebie rury — było to możliwe, bo przestała działać na niego energia psychiczna. Miał wodę w oczach, był przemoczony do suchej nitki, dławiły go kłęby gęstego dymu. Brodził w strumieniach pędzących wartko po betonie.

Wreszcie zdołał wspiąć się do luki w rozwalonej piramidzie rur i przedostać na drugą stronę. Spodziewał się, że zobaczy ciało Sumy, ale nie było niczego.

Nie, coś było.

Schylił się i podniósł miniaturowe ostrze. Wytarł je z popiołu i obejrzał; woda rozbryzgiwała się na połyskującej stali. Wsunął je do kieszeni, włożył buty i ruszył do wyjścia.

Na zewnątrz odetchnął głęboko i zakaszłał, oczyszczając płuca z trującego dymu. Poczł zawrót głowy, więc przykucał.

Oddychaj — nakazał sobie. — Oddychaj! Chryste, niewiele brakowało!

Wyprostował się i przysiadł na jednym z masywnych żelaznych wsporników podtrzymujących gnijące belki rampy. Obliznął usta; kropla potu rozlała mu się na języku...

Mały Wolf smakuje sól własnego potu. Nie Śpi, acastówiek później był przekonany, że spał.

Zagląda przez klapę do tipi Białego Łuka. Widzi profil dziadka, a nad nim drabinę, którą zrobił z konopi, ścięgien i strzał. Widzi matkę przykucniętą u boku umierającego. Jej ręka spoczywa na ramieniu Białego Łuka i wydaje się, że kobieta coś do niego mówi, chociaż prawdopodobnie recytuje modlitwy. A może dokonuje obrachunku ze swoimi marzeniami.

Za sobą słyszy delikatny odgłos ludzi zgromadzonych na równinie. Słońce prawie zaszło, nawet cień wiatru nie porusza wysuszonych traw. W górze niebo ma barwę przezroczystego błękitu, tak intensywną, że łzy napływają mu do oczu. Ostatni promień zachodzącego słońca wdziera się do tipi i przez chwilę skóra Białego Łuka jest tak ciemna i rumiana jak wtedy, gdy był młodzieńcem.

Gdy Wolf patrzy, słońce chowa się za szczytami gór, a światło przemienia z krwistoczerwonego w opalizujące. Na twarz Białego Łuka wraca woskowa błądź. Wolf zaczyna drzeć, a w uszach słyszy dźwięk jaki rozlega się w momencie puszczenia cięciwy napiętego łuku.

Teraz następuje najdziwniejsza chwila; chwila, której Wolf nie będzie chciał pamiętać, chwila przypomniana przez przelotne spotkanie z formą śmierci, znaną jego podświadomości. Czas jakby się zatrzymał. Ptaki przestały śpiewać, świerszcze grać, muchy brzęczeć, ciemność zapadać.

W tej chwili nic się nie porusza. A jednak duch Wolfa opuszcza jego ciało, ciągnięty jakby przez silny prąd. Unosi się w opisanym przez matkę metafizycznym świecie dziadka-szamana.

W tipi widzi matkę uchwyconą między dwoma oddechami, jej serce czeka w magicznym bezruchu między kolejnymi uderzeniami. W tym bezcielesnym stanie widzi dziadka takiego, jakim jest naprawdę: szkielet zwieńczony szczyrzącą zębami czaszką. Wszystko inne zniknęło i Wolf wie, że dziadek jest martwy. Jest przerażony, przekonany, że sam też umrze i próbuje odwrócić się, uciec, ale nie może. Miota się niczym mucha uwięziona w pajęczej sieci. Czuje się tak, jakby został wyrzucony na brzeg niesamowitego, obcego łądu.

Potem słyszy w myślach głos Białego Łuka przynaglający go do działania. Podnosi wspaniały łuk dziadka i kładąc nań ostatnią strzałę, kieruje go w stronę dziury w poszyciu tipi.

Napina łuk do ostatecznych granic i w tej samej chwili widzi Białego Łuka, silnego i krzepkiego, wspinającego się po drabinie-moście, którą dla

niego przygotował. Dziadek nie patrzy na niego; jest skupiony na wspinaczce, która z powodu ostrych grotów nie jest bezpieczna.

Na szczycie drabiny podnosi prawą rękę i Wolf zwalnia cięciwę. Strzała mknie w górę, a gdy mija Białego Łuka, on wyciąga rękę, zaciska je na drzewcu i zostaje wyciągnięty na zewnątrz.

Wolf przesuwają się pod dziurę. Dziadek unosi się w indygowie niebo niczym jastrzęb z jego opowieści, coraz wyżej i wyżej, aż znika w sklepieniu nieba.

W tej chwili znika również wielki łuk, a Wolf słyszy głos dziadka:

„Wąski jest most i wąska jest ścieżka, która wiedzie do życia. Nieliczni są ci, którzy nią podążają...”

—Wolf?

Zamrugał i spojrzał w zaniepokojoną twarz Chiki.

— Dobrze się czujesz?

Zastanawiał się, dlaczego pyta, lecz po chwili zdał sobie sprawę, że drży i płacze. Pomyślał o Białym Łuku, człowieku, który tak bardzo pragnął, by wnuk podążył jego metafizyczną ścieżką, i który patrząc mu głęboko w oczy, widział w nich iskrę swojej mocy. „Mogłeś odbyć tę podróż nie dlatego, że ja byłem z tobą, ale dzięki temu, co w tobie mieszka”

— powiedział mu Biały Łuk. „Naucz się tego, co masz w sobie, Wolfie. Pewnego dnia przyniesie ci to pożytek”. Więc dziadek wiedział, co się stanie, widział jego przyszłość... On sam też to wiedział, ale jego młody umysł bronił się przed tą wiedzą, nie potrafił jej znieść. Była zbyt przerażająca, więc jego świadomość wyłączyła się w obronnym odruchu i Wolf wmówił sobie, że spał w chwili śmierci dziadka.

— Głupio w ten sposób wybierać się na Sumę — powiedziała Chika.

— Na własną rękę, beze mnie. Mógł cię zabić.

Wolf patrzył pustym wzrokiem, jakby nie słyszał ani słowa. Chłód zniknął, drżenie przeminęło jak wspomnienie koszmaru. Wstał, czując krew krążącą w ciele — i coś więcej, dużo więcej:

— Rozumiem — rzekł w końcu.

— Co rozumiesz?

— Dlaczego jesteś tutaj, dlaczego Stowarzyszenie Czarnego Ostrza chce mnie dorwać. Wszystko.

IX

WASZYNGTON-TOKIO

Ilekcó Thomburg Conrad Trzeci udawał się do kliniki „Zielone Gałęzie” na przedmieściach Arlington w Wirginii, za każdym razem zabierał ze sobą żonę, Tiffany.

Klinika była jedynym miejscem, które wywoływało u niego poczucie sensu i celu. Stała się ogniskiem zainteresowali i jednocześnie świadomości, że reszta życia, jaka pozostała, nieuchronnie przecieka mu przez palce. Odwiedzał klinikę trzy razy w tygodniu, a przebieg wizyt otoczony był najgłębszą tajemnicą. Wiele osób wiedziało o tych wyjazdach, ale naturalnie zakładano, że Thomburg, biorąc pod uwagę jego zaawansowany wiek i aktywny tryb życia, wymaga specjalistycznego nadzoru. W pewnym sensie nie było to dalekie od prawdy.

Jednakże u tego pacjenta nie doszukiwano się zwapnienia żył, chronicznego nadciśnienia, skazy moczanowej, obrzęków czy innych licznych chorób, które są plagą ludzi w podeszłym wieku. Kiedy personel kliniki wykonywał EKG czy EEG, nie szukał objawów starzenia, ale znaków, które mogłyby wskazać, że jest wręcz przeciwnie.

Thomburg był właścicielem kliniki. Kupił ją jakieś piętnaście lat temu, gdy była nie dofinansowanym ośrodkiem naukowym zajmującym się badaniami nowotworów. Placówka ta borykała się ze skąpymi datkami od

rządu federalnego i wszystkich innych agencji, które udało się nakłonić do wyłożenia kapitału. Na nieszczęście dyrektor nie był zbyt zręcznym politykiem i w klinice nastąpiły złe czasy.

Po dokonaniu zakupu Thornburg osobiście przejrzał akta każdego zatrudnionego w niej naukowca i technika. On zdecydował, kto powinien zostać, a kto odejść, a potem wynajął najlepszych fachowców w dziedzinie nauk biomedycznych, takich jak endokrynologia, gerontologia i genetyka, i w ten sposób skompletował własny zespół naukowców-lekarzy. Teraz stał przed nimi tylko jeden cel: przedłużenie życia Thornburgowi Conradowi Trzeciemu.

Thornburg hojnie szafował pieniędzmi, lecz nie dawał się nabrać na żadne cudowne środki zapewniające wieczną młodość. Doskonale orientował się we wszystkich zdobyczach biotechniki i uważnie oddzielał ziarno od plew, w rezultacie więc zespół zgromadzony w klinice składał się z najtęższych umysłów w tej dziedzinie.

W pewnym okresie zespół badawczy wpadł w euforię z powodu odkryć dotyczących zsyntetyzowanego w laboratoriach ludzkiego hormonu, zwanego Insulinopodobnym Czynnikiem Wzrostu 1. Wyglądało na to, że zrekombinowany kompleks proteinowy przywraca starszym osobom napięcie mięśni i likwiduje starcze zmiany organów wewnętrznych. Zaledwie sześciomiesięczna kuracja syntetycznym hormonem cofała wewnętrzny zegar testowanego osobnika o dwadzieścia lat.

Kiedy zaczęły występować objawy uboczne — ataki serca, cukrzyca, złe funkcjonowanie nerek, nawet dziwaczne i szpecące zniekształcenia rąk i twarzy poddawanych kuracji osób — euforia zmalała. Zespół został zmuszony do zmiany sposobu wytwarzania Insulinopodobnego Czynnika Wzrostu 1. Ale zdołano osiągnąć jedynie opóźnienie wystąpienia efektów ubocznych.

Thornburg wszedł do chłodnego, wyłożonego przydymionym zielonym szkłem i marmurem wnętrza kliniki. Znów wdychał zapach śmierci. Słodkomdłaca woń była wszechobecna, sprawiała, że powietrze stawało się ciężkie niczym atmosfera przemysłowego miasta. Pomyślał, że klinika śmierdzi jak pole bitwy czy rzeźnia. Tiffany rozděła nieskazitelne nozdrza, a jej doskonale piersi wznosiły się w takt głębokich oddechów.

— Śniłam o tym miejscu zeszłej nocy — powiedziała. — Wiesz, zawsze mi się śni w noc przed przyjazdem. Jak myślisz, co to znaczy?

— Nie mam pojęcia — odparł Thornburg, skinieniem witając umundurowanych strażników, którzy siedzieli za wysokim, onieśmielającym przybyszów czarnym biurkiem. Znał ich z widzenia nie tylko dlatego, że bywał tu często, ale ponieważ sam ich zatrudnił, jak zresztą wszystkich pracowników kliniki. — Co ci się śniło?

— Byłam naga. Zawsze jestem naga, gdy śnię o klinice. Dwaj mężczyźni w białych płaszczach wstrzyknęli mi serum i nagle stałam się żabą: zieloną żabą rechoczącą na olbrzymiej liliowej podkładce.

— To wszystko?

Drzwi najdalszej windy otworzyły się automatycznie. Thornburg ujął Tiffany pod ramię i wprowadził ją do kabiny. Drzwi zamknęły się i winda sama — Thornburg nie musiał naciskać guzika — ruszyła w dół, na poziom będący odpowiednikiem drugiego piętra.

— Nie — mówiła dalej Tiffany. — Ty też tam byłeś, mały, krzywonogi chłopaczek o różowej skórze. Zobaczyłam cię i język mi się wysunął, wiesz, taki długi i cienki, jak mają żaby; złapałam nim komara i zjadłam go. Był pełen krwi, wiedziałam, że przed chwilą ugryzł cię i że połknęłam twoją krew, i zastanowiłam się, czy przez to nie stałam się mięsożerna. — Tiffany była zaprzysięgłą wegetarianką. — To nie był przyjemny sen. Ale moje sny o klinice nigdy nie są przyjemne.

Winda zatrzymała się.

— Przykro mi — rzekł Thornburg, poklepując jej cudowną rękę — ale wiesz, że wkrótce będzie po wszystkim. — Uśmiechnął się do kobiety w białym kitlu, która ukazała się za drzwiami windy. — Ach, doktor Shepherd, punktualna jak zawsze.

Doktor Shepherd roześmiała się. Była smukła, miała zbyt matowe włosy i skąpy makijaż. Ukryte za eleganckimi okularami jasne oczy cechował rzeczowy wyraz klinicysty. Wydawało się, że jest urodzoną obserwatorką.

— Wie pan, panie Conrad, że ochrona zawiadamia nas w chwili, gdy wchodzi pan do kliniki. Poza tym zawsze jesteśmy przygotowani na pańską wizytę. I naszej pacjentki. — Odwróciła się do żony Thornburga. — I jak się dzisiaj czujemy, Tiffany?

— Świetnie, jak sądzę.

— Żadnych bólów brzucha, palpacji serca, obstrukcji? Oddawanie moczu w normie?

— Jak zwykle.

— Doskonale. — Doktor Shepherd otoczyła ramieniem plecy Tiffany Conrad. — Wejdźmy do środka i uważnie rzućmy na ciebie okiem, okay?

— Nie przemienię się w żabę ani nic podobnego? — spytała Tiffany.

— Śniło mi się, że byłam żabą i połknęłam krew. Ludzką krew.

— Ja bym się tymi nie przejmowała — zapewniła doktor Shepherd.

— Ten sen oznacza, że nadal dostosowujesz się do narzuconej przez nas diety. Wiesz, przyzwyczaiłaś się do jedzenia mięsa.

— Ja? To niemożliwe. Nie znoszę mięsa w żadnej postaci.

Doktor Shepherd zerknęła nad jej ramieniem na Thornburga i usadowiła Tiffany na okrytym białym papierem stole do badań.

— Tiffany, bądź tak miła i zdejmij ubranie.

— Tak, pani doktor.

Tiffany zaczęła się rozbierać, składając ubrania w schludny stosik na bocznym krześle. Potem bez przynaglania położyła się na stole.

Doktor Shepherd chwyciła w palce skórę po wewnętrznej stronie uda i przetoczyła ją delikatnie między palcem wskazującym a kciukiem.

— Doskonały kolor i sprężystość; brak tłuszczu jest imponujący.

Otworzyła teczkę i zaczęła sporządzać notatki z badań. Pobrała krew, oznaczyła trzy próbówki, zapieczętowała je, ustawiła na metalowym stojaku, zrobiła coś jeszcze, lecz Thornburg nie znał się na tym. Kiedy skończyła, uśmiechnęła się ciepło do Tiffany i szepnęła Thornburgowi do ucha:

— Czy mogę porozmawiać z panem na zewnątrz?

Wyprowadziła go na korytarz i otworzyła drzwi do jednego z trzech tuzinów laboratoriów mieszczących się na terenie kompleksu. Podeszła do zestawu komputerów najnowszej generacji, uruchomiła program i Thornburg zobaczył na ekranie sekwencje skomplikowanych kolorowych wzorów. Obraz zaczął się poruszać, bardzo wolno, jak gdyby patrzył nie ni niewiarygodnie złożony model komputerowy, a na coś prawdziwego. Kobieta odwróciła się do niego.

— Poziom czerwonych krwinek był tak niski, że liczyliśmy się z możliwością wystąpienia anemii, ale widzę, że Tiffany wraca do zdrowia.

Thornburg potrafił przejrzeć ludzi na wylot, wiedział więc, że to nie wszystko, ale doktor Shepherd wzbraniała się przed dalszym komentarzem.

— Kawę na ławę, pani doktor. Nie przyszedłem tu wysłuchiwać pocieszeń czy kłamstw.

— Oczywiście, że nie. — Skinęła lekko głową. — Ostatnio poziom białych ciałek w krwi pańskiej żony był nieco podwyższony. W normalnym wypadku nie byłoby się czym przejmować. — Zastanowił się, czy wszyscy lekarze muszą łagodzić swoje werdykty. — Prawdę mówiąc, mamy nadzieję, że jest to jedynie dowodem łagodnej infekcji.

— Ale nie wie pani tego na pewno.

Doktor Shepherd podniosła głowę.

— Nie, panie Conrad, nie jesteśmy pewni. Musi pan zrozumieć że błądzimy po dziewiczym terenie. A zważywszy na końcowe wyniki poprzednich ekspertyz...

Thornburg zrobił krok w jej stronę.

— A pani musi zrozumieć, że decydującym czynnikiem jest czas.

— Tak, w pełni...

— Rozumiem? — Prychnął szyderczo. — Niech mi pani oszczędzi medycznych wymówek. Za dużo pieprzenia. Pani doktor, od dawna marzę o odkryciu eliksiru, który podziała na mnie jak wino ze świętego Graala. A co dotychczas mamy? Tak jak w legendzie, wino, które daje życie, również je zabiera. Ślepa uliczka. — Pomyślał o nieskazitelnej, opalanej skórze Tiffany, błyszczącej od olejku. — Jednakże nadal nie zamierzam się poddać. Ludzie w moim wieku mają swoje obsesje, z których nie mogą zrezygnować. - Spojrzał na nią ostro. — Ale radzę pamiętać: może jestem stary, lecz nie obłąkany.

— Tak, proszę pana. — Doktor Shepherd odetchnęła głęboko i odwróciła się do ekranu komputera. — Chciałabym zwrócić pańską uwagę na ten model.

Thornburg wiedział mniej więcej, na co patrzy. Faktycznie sam nakazał rozpoczęcie prac nad modelem leku. To oznaczało, że zamiast dochodzić laboratoryjną metodą prób i błędów do tworzenia nowego specyfiku najpierw analizowano molekularną strukturę choroby czy problemu wewnątrz organizmu, a potem przechodzono do pracy na specjalistycznych komputerach. Komputer odtwarzał tę strukturę, żeby można było zaprojektować specyficzny czynnik hamujący, który łącząc się z chorą komórką, uczyniłby ją nieszkodliwą.

W tym wypadku naukowcy musieli stworzyć substancję, która wywierałaby specjalny efekt na ludzki organizm. W pewnym sensie mieli szczęście, że udało się im dotrzeć do Insulinopodobnego Czynnika

Wzrostu 1. Nawet najpotężniejszy mikroskop elektronowy nie jest w stanie ujawnić budowy cząsteczkowej, opracowali więc metodę hodowania hormonu w formie krystalicznej. Dzięki bombardowaniu go skoncentrowaną wiązką promieni Roentgena wytworzyli dyfrakcyjny obraz struktury molekularnej, który został wprowadzony do komputera.

To, co znaleźli, wprawilo ich w osłupienie. Okazało się, że w hormonie są „przestrzenie” które, jak byli przekonani, powinny zawierać kolejny — jeszcze nie znany — element. Innymi słowy, wyglądało na to, że Insulinopodobny Czynniki Wzrostu 1 pobrany od części osobników jest niekompletny. W miarę upływu czasu hormon ten zmieniał się wraz z człowiekiem i gubił ów „enzym młodości”. Celem naukowców stało się jego znalezienie.

— Ma pan tutaj przykład zestawu enzymów, który według nas rokował największe szanse na powodzenie i który zaaplikowaliśmy pańskiej żonie. — Palce doktor Shepherd frunęły pod klawiaturą i Thornburg zobaczył żółty romb wpływający w jedną z „przestrzeni” w purpurowej, czerwonej i szmaragdowej sieci hormonu Insulinopodobnego Czynnika Wzrostu 1.

— Widzi pan, doskonale pasuje — objaśniała doktor Shepherd. — A zestaw enzymów ciągnie do hormonu jak namagnesowany. — Wstała od komputera. — I w pewnym sensie to działa. My wiemy, że działa, i pan również wie, ponieważ widział pan dramatyczne zmiany, jakie zaszły w Tiffany. — Wsunęła ręce w kieszenie i westchnęła. — Na nieszczęście jednakże wracamy chyba do tego samego problemu, który nęka nas od chwili stworzenia pierwszego budzącego nadzieje zestawu enzymów. Ten środek, jak cała reszta, cechuje się półokresem trwania. Po prostu rozpada się, jego skuteczność maleje w stałym tempie. A to może być przyczyną nieodwracalnych efektów ubocznych.

— Czyli wzrostu ilości białych krwinek.

Doktor Shepherd popatrzyła na niego spokojnie.

— Musimy obserwować Tiffany codziennie, więc chyba najlepiej będzie, jak zostanie w klinice.

Thornburg zaczął przyglądać się, jak komputerowy model ich najnowszego i budzącego największe nadzieje urządzenia obraca się powoli na ekranie. Woda, wszędzie woda — pomyślał — a nie można zaspokoić pragnienia.

— Cholerna starość! — Odwrócił się, żeby kobieta nie zobaczyła łez błyszczących w oczach.

Cholerny czas — pomyślał. — Cholerne wszystko!

Kiedy spojrzął na doktor Shepherd, powiedział:

— Czy wy, lekarze, nie potraficie posługiwać się pojęciem absolutu?

— Tylko wtedy, gdy chodzi o śmierć. W szarym obszarze między życiem a śmiercią opieramy się wyłącznie na stworzonych przez ludzi testach.

— To jak płynięcie pod pełnymi żaglami we mgle, prawda?

— Trochę — przyznała. — Ale jeżeli pan to powtórzy, zaprzeczę, że kiedykolwiek coś takiego mówiłam. Z pewnością zostałabym wylana ze Stowarzyszenia Lekarzy Amerykańskich jako heretyczka. — Obdarzyła go gorzkim uśmiechem. — Robimy, co możemy, panie Conrad. Naprawdę tak uważam, bez mydlenia oczu.

— Tak, wiem — odparł zmęczonym głosem. Lubił ją; była bystra i uczciwa. — Teraz chcę do niej wrócić.

— Jasne. Gdy tylko zrobimy panu prześwietlenie i pobierzemy krew..

Thornburg skinął głową.

— Wie pan — doktor Shepherd ścisnęła jego ramię — odzyskał pan napięcie mięśni i kondycję czterdziestopięcioletka.

— I bez objawów ubocznych.

— Poza łagodnymi polipami, jakie znaleźliśmy w pańskiej okrężnicy — przyznała doktor Shepherd. — Oczywiście, podajemy panu dalsze pochodne serum, jakie przyjmuje pana żona. Ale myślę, że może decydującym czynnikiem jest nieco inna krew.

— Chodzi pani o to, że ona ma grupę A, a ja 0?

— Nie. Pańska krew ma pewne charakterystyczne cechy, które mogą jedynie przypisać pańskiemu japońskiemu przodkowi.

— Pani doktor, moja prababka mogła: celowo używam słowa „mogła”, mieć w sobie nieco japońskiej krwi. Niech pani nie sądzi pochopnie i broń Boże nie pisze na ten temat ani słowa. Nie chciałbym, by to zostało rozgłoszone. Nawet moje dzieci nie mają pojęcia, że mogły mieć przodka Japończyka.

— Doskonale pana rozumiem, panie Conrad. — Doktor Shepherd pokiwała głową.

Wrócili do Tiffany. Thornburg, patrząc na nagą żonę leżącą spokojnie na śnieżnobiałym stole, pomyślał, że jej ciało jest doskonale jak malowidło czy marzenie. Już zapomniał, ile ona naprawdę ma lat, i dziękował Bogu, że oszczędził mu goryczy pamiętania.

— Może wolałbyś chłopca? — zapytała młoda Japonka.

Shoto Wakare wybuchnął śmiechem i ujął jej piękną twarz w dłonie,

— Mogę przemaalować cię na chłopca, lecz wtedy okazałoby się, że jesteś doskonalsza od każdego, jakiego mogłabyś mi nastręczyć.

Pocałował ją w jedną skroń, potem w drugą z taką czułością, że serce jej zabiło mocniej.

— Poza tym żaden chłopak nie miałby twego umysłu.

Pokój pachniał piwem i papierosowym dymem. Wakare przychodził tutaj od wielu lat. Był to dyskretny lokal, jeden z tysięcy czynnych do późnej nocy barów, w których kręciły się dziewczyny z półświatka. prostytutki.

Na tym polegał japoński sposób rozładowania męskiej energii tłumionej przez pęta zwyczaju, honoru i zobowiązań. W takich miejscach Japończyk mógł pozbyć się wszelkich zahamowań: upić się, płakać, śmiać się na cały głos i kochać się tak, jak mu dyktował temperament, a wszystko to bez strachu, że straci dobre imię. Po takiej kuracji mężczyzna wyłaniał się odświeżony i znów gotów do poddania się społecznym ograniczeniom.

Młoda kobieta o imieniu Mita — było to imię nadane jej wtedy, gdy zaczęła pracować w *mizu siobei* — wzięła Wakare w ramiona. Gładziła go po czole z czułością zrodzoną z praktyki. Jeżeli udawała — a ta kwestia mogłaby wywołać ostrą debatę wśród nawet najbardziej zorientowanych etnologów — to robiła to doskonale. Mita miała to, co znane jest wśród Japończyków jako *jasasisa*, macierzyńską słodycz, za którą tęskni większość mężczyzn, ponieważ w dzieciństwie raczej się z nią nie spotyka. Był to wysoko ceniony dar.

Oczywiście, ona i Wakare kochali się, ale ich spotkania były czymś więcej. Z prostytutką mógł przespać się prawie wszędzie. To, co oferowała mu Mita, było daleko bardziej złożone i satysfakcjonujące.

Wakare westchnął i odprężył się w jej ramionach. Wysuszył już sześć karafek sake, co nawet dla niego było ogromną ilością, ale czuł potrzebę oderwania się od rzeczywistości.

— Dlaczego na świecie nie ma sprawiedliwości? — zapytał. — Zastanawiam się, czy przypadkiem wszyscy nie oszaleliśmy. Jeżeli uznam to za prawdę, będę wiedział, dlaczego Mishima popełnił harakiri. Przewidział nadejście takiego dnia i nie potrafił stawić czoła wstydomi.

— Mishima nie godził się z przemijaniem starego świata — rzekła Mita, powoli i rytmicznie gładząc jego czoło.

— Mylisz się. Mishima rozumiał, że stary świat jest już martwy. Nie mógł znieść tego, że to, co chciał wskrzesić, było niczym więcej, jak złudą.

Mita była przyzwyczajona do jego filozoficznych rozważań.

— To jest niesprawiedliwość, o której mówiłeś?

— Nie, nie. — Wakare obliział usta, jakby jego jedynym pragnieniem było sześć kolejnych karafek sake. — Mówiłem o czymś dużo bardziej osobistym. Zostałem zmuszony do zdrady mego najlepszego przyjaciela. I musiałem to zrobić. *Giri*. Winienem był dług osobie, która poprosiła o tę przysługę.

— Życie nabiera znaczenia tylko wtedy, kiedy jest twarde.

Wakare spojrział na nią uważnie.

— Ciekaw jestem, czy naprawdę w to wierzysz.

Skinęła głową.

— Takie jest moje życie; muszę w to wierzyć, w przeciwnym razie nic mi nie zostanie.

Wakare stęknął i ułożył się na jej łonie. Zamknął oczy, gdy głąskała go po włosach.

— Gdybym zamiast niego mógł zająć się jego szwagrem — dumiał — wtedy nie miałbym żadnego problemu. Hiroto jest prawdziwym sukinsynem, chciwym, przekupnym, zazdrosnym o wszystkie sukcesy Yuji. — Westchnął. — A przy tym nie ma honoru.

— Powiedz mi, czy zdrada twego przyjaciela Yuji miała coś wspólnego z honorem?

Wakare nie odpowiedział, ale Mita, która znała go dobrze, nie mogła zlekceważyć cienia uśmiechu igrającego na jego ustach. Później, gdy zaspokoił się, a ona wykąpała go i odesłała do domu zmęczonego i pijanego, wróciła do swego pokoju.

— Słyszałaś czy widziałaś coś ciekawego? — zapytała Japonkę, która na nią czekała. Była to bardzo piękna dziewczyna i tak młoda, że Mita, przecież również nie stara, mogłaby być jej matką.

— Wiele rzeczy — odparła Evan. Wsunęła grubą kopertę z jenami w wyciągniętą dłoń Mity. — Ale myślę, że najciekawsza informacja była zawarta w uśmiechu twego klienta.

Ham siedział w restauracji przy Columbia Road w dzielnicy Adams-Morgan. Patrzył tęsknie na stoliki stojące na zewnątrz, na chodniku. Latem zostaną osłooięte wesołymi, pasiastymi parasolami i stworzą

niepowtarzalną atmosferę, typową dla paryskich; kawiarni na świeżym powietrzu.

Ham popijał kawę. Zbliżała się pora lunchu i do lokalu wchodziły kobiety, by odpocząć w trakcie robienia zakupów.

Patrzył na Marion Starr St. James. Ubrana była w minispódniczkę w kolorze miodu, szeroki czarny pas i bursztynową jedwabną bluzkę. Na nogach miała wysokie do kostek botki. Płaszcz zarzuciła nonszalancko na ramię.

Głowy wszystkich klientów odwróciły się — męskie z aprobatą, kobiece z zawiścią — gdy przechodziła. Ham poczuł przyływ zadowolenia, że przyszła tutaj do niego.

Zwrócił uwagę na inną kobietę siedzącą przy stoliku po drugiej stronie kawiarni. Znał ją, lecz w tej chwili nie potrafił określić skąd. Zgrabna blondynka, szczupła i elegancka, wpatrywała się w Marion z natężeniem mangusty śledzącej ruchy kobry.

Kto to jest, do diabła? — zastanowił się.

Potem poczuł perfumy Marion, zobaczył jej uśmiech i zapomniał o wszystkim.

— Punktualnie. Lubię to.

Kpiąco odęła wargi.

— Zostawiłeś mnie tak wcześnie. Z zemsty podarłam prześcieradło na strzępy.

— Naprawdę?

— Naprawdę. Podoba mi się, jak Amerykanie wymawiają to słowo.

— Popatrzyła na niego tak ciepło, że stopniał pod jej spojrzeniem.

— Przytuliłam się do twojej poduszki i żalowałam, że to nie ty.

Kiedy zachowywała się w taki sposób, ślina napływała mu do ust.

— Co zamówisz?

Marion podniosła głowę i poprosiła kelnera o drinka. Potem popatrzyła na Hama.

— Marzyłam, że robisz te wszystkie rozkoszne grzeszne rzeczy o które nie śmiałam poprosić.

Roześmiał się.

— Według mnie nie wyglądasz na kobietę, której brakuje odwagi.

— To maska — wyznała. — Wszyscy nosimy maski, ponieważ nikt nie lubi, gdy inni widzą, kim naprawdę jesteśmy.

— To brzmi nieco niesamowicie, jak słowa wyjęte z ust Mata Hari,

— Na swój sposób wszyscy jesteśmy szpiegami, nieprawdaż, Ham?

Uwielbiamy kryć się za maskami, a jednocześnie sondujemy słabości innych i staramy się zajrzeć za ich maski. Taka jest ludzka natura. Oboje robiliśmy to na twojej łodzi. Nie, nie zaprzeczaj. — Przyłożyła palec do jego ust. — Ciekawa jestem, jaki był mały Hampton Conrad? Może powinnam porozmawiać z twoimi rodzicami.

— Co ty robisz, układasz mowę na mój pogrzeb? Moja matka nie żyje, a co do ojca, to wierz mi, niczego byś z niego nie wycisnęła.

Podano campari z wodą sodową i Marion wypłała nieco jasnoczerwonego płynu.

— Boże, co cię gryzie? — Odsunęła drinka. — Może powinniśmy umówić się na lunch, gdy będziesz w lepszym nastroju.

Ham wcisnął jej szklaneczkę w rękę.

— Nie odchodź. Czasami interesy przyprawiają mnie o okropny ból głowy.

— To znaczy, że jesteś jak wszyscy inni.

Miał okazję zobaczyć, jak twarde stają się jej rysy, gdy robi się wściekła. Nieledwie wyczuwał drżenie jej ciała.

— Bo wyżywam się na tobie za swoje kłopoty w interesach.

— Nie — rzuciła ostro — nie o to chodzi.

— Dobra, masz rację. Jestem bardzo skryty. Nie lubię, gdy kjął zaczyna grzebać w moim życiu.

— Och, Ham, ja tylko chciałam... — Spuściła oczy, a kiedy znów je podniosła, roztopił się w ich blasku. — Prawda jest taka, że nie podarłam prześcieradła, chociaż chciałam. Zbyt się bałam.

— Czego?

— Że zajrzysz pod moją maskę i nie spodoba ci się to, co zobaczysz.

— Nie bądź idiotką. Pokochałem wszystko, co zobaczyłem... i czułem ostatniej nocy.

— No cóż, to zaczęło się dawno temu — wyszeptała Marion. — Mój ojciec, ogólnie biorąc, był nadzwyczajnym człowiekiem: prawdziwym patriotą, a dodam tylko, że niewielu takich zostało. Ale prawdą jest również to, że w stosunku do mnie i mojej matki zachowywał się niczym kawał skurwiela. Często wracał do domu pijany jak świnia. Tak śmierdział irlandzką whisky, że wyczuwało się go, gdy był o przecnicę dalej. Ciągnął matkę do łóżka, ale oczywiście nie mógł. I wtedy wyżywał się na niej, jak gdyby była winna jego impotencji. Bił ją, bo to we własnych

oczach czyniło go mężczyzną, a poza tym przepelniała go nienawiści Nienawidził bogatych, protestantów i wszystkich Anglików. — Spojrzała na ręce złożone na blacie stolika. — Długo trwało, nim nauczyłam się właściwie postępować z mężczyznami. Odpychałam wielu z nich swoją szorstką pozą. — Wzruszyła ramionami. — Czasami nadal myślę, że powinnam zmienić swoje nastawienie.

— Nie potrzebujesz robić niczego. Wierz mi.

Uśmiechnęła się i wypita łyk campari.

Po długiej chwili milczenia Ham powiedział:

— Moi rodzice również nigdy nie byli razem. Ojciec traktował matkę jak kolejną lampę czy wazon w swoim domu. Nie mogłem zrozumieć, że każde z nich żyje dla siebie. Dzieciakowi trudno jest pogodzić się z tym, że jego rodzice nie są jak inni.

— Byłeś po czyjejś stronie?

— Oczywiście, chciałem. Matka zawsze była słabsza, więc naturalnie próbowałem jej pomóc. Ale obok stał ojciec. Wtedy wydawał się, jak by to powiedzieć, taki imponujący, jak Mojżesz schodzący z góry. Niesione przez ojca niewidoczne tablice były prawem. Nie ma się czego wypierać.

— Zapatrzył się w przestrzeń. — Przypuszczam, że zależało mi na jego aprobacie zbyt mocno, by bronić matki. W pewnym sensie zdradziłem ją tak samo jak on. Ale jeżeli dzięki tej zdradzie stałem się do niego podobny, to nie żałuję.

Pochyliła się i gwałtownie pocałowała go w usta. Jej twarz złagodniała.

— Kochany Ham. Jesteś tak niepodobny do innych znanych mi mężczyzn.

— Dotknęła jego policzka. — Kiedy mnie całujesz, jest to takie słodkie.

Ham, przepelniony zarazem strachem i ulgą, że udało mu się wyrzucić z siebie nękające go wspomnienia, zapatrzył się w jej oczy i prawie zatracił w ich głębi.

Marion odsunęła szklanke.

— Czy jesteś w nastroju do przedyskutowania czegoś wybornie grzesznego?

— Zależy, co to jest.

— Coś, o czym śniłam na jawie, tuląc poduszkę i myśląc o tobie.

— Odwróciła się, gdy kelner przyniósł karty. — Nie jestem głodna.

— Podawała menu Hamowi.

— Weź przynajmniej sałatkę — zaproponował, ale kiedy pokręciła przecząco głową, wzruszył ramionami, zamówił dwa cheesburgery

z bekonem, podwójną porcję frytek i plasterków cebuli oraz sześć porcji coli. — I przynieś dzbanek z lodem do coli — powiedział do kelnera.

— Mam nadzieję, że nie spodziewasz się, bym cokolwiek z tego zjadła.

— Gdyby tak było, zamówiłbym więcej.

Gawędzili o niczym, dopóki nie podano jedzenia. Gdy zobaczyła, że na jego widok Ham wpada w zdecydowanie lepszy humor, powiedziała:

— Oto mój plan. Dotyczy koncertu, dla którego pracuję, „Extant Exports”. Właścicielami są dwaj gówno warci, tłuści kuzyni, którzy wiecznie skaczą sobie do gardeł. Płacą mi symbolicznie, ale przymykają oko, jeśli chodzi o rozliczenie moich wydatków. Zresztą one i tak są odpisywane od podatku. A dziś rano marzyłam o zrobieniu czegoś, nad czym zastanawiam się od pewnego czasu: o zagarnięciu kęsa dla siebie.

— Nie wydaje się, by twoi szefowie na to poszli — wymamrotał Ham, przeżuując cheesburgera.

— Oczywiście, że nie. Dlatego nie zamierzam niczego im mówić,

— O czym?

— O tym, że mamy zamiar przywłaszczyć sobie należący do nich ładunek.

Prawie udławił się kawałkiem bułki.

— Co znaczy ta liczba mnoga?

— My, to znaczy ty i ja — wyjaśniła spokojnie Marion. — Doszłam do wniosku, że potrzebuję partnera, a biorąc pod uwagę twoje militarne powiązania, jestem pewna, że moglibyśmy...

- Zapomnij o tym.

- Co to znaczy?

— Dokładnie to, co powiedziałem. Masz zamiar okraść swoją firmę i chcesz, bym z tobą współpracował. Jesteś nienormalna.

— Wybaczę ci, że to powiedziałaś. — Obserwowała go przez chwilę.

— Wiesz, gdy jesz, wyglądasz jak chłopiec. Sprawiasz, że robię się głodna.

— Poczęstuj się.

— Nie mówię o jedzeniu — odparła Marion, ale wzięła złotawobrazowy plasterzek cebuli. — Nie chcesz wiedzieć, co przewozi „Extant Exports”?

— Nie całkiem.

— To niebezpieczne cargo. Przez cały czas firma ma straty. Uwzględniane zresztą w cenach. Nie warto zawracać sobie nimi głowy.

— Jestem pewien, że się mylisz. Agencje ubezpieczeniowe „Extant” przeprowadzają dochodzenie.

— Ładunki „Extant” nie mogą być ubezpieczone. — Roześmiała się, gdy Ham odłożył cheesburgera. — Co za ekspresja, Ham! Mój Boże, wyglądasz jak uosobienie zachłanności.

— O czym my właściwie rozmawiamy?

— Wytrzymaj usta, kochanie. Ten keczup sprawia, że wyglądasz jakbyś krwawił. — Skinęła głową, gdy otarł wargi. — Jesteś przygotowany na kolejne zerknięcie pod maskę?

Nie wydaje się, bym kiedykolwiek był przygotowany na ciebie — pomyślał Ham.

Zrozumiał, że właśnie dlatego Marion jest dlań taka ponętna. Różniła się od wszystkich znanych mu kobiet. Skinął głową.

— „Extant” zajmuje się zdobywaniem i transportowaniem exocetów, mirage’ów, mavericków, MX-ów, superdział „Bonhohm”; wy nazywacie to uzbrojeniem wysokiej technologii, a my za określoną cenę je dostarczamy. Firma żyje z przewrotów, rewolucji, partyzantki na całym świecie. Kto nie chciałby gwizdnąć takiego ładunku? Jesteś zainteresowany?

Ham zastanowił się nad tą niespodziewaną gratką, ale zerknął na zegarek i wiedział, że Jason Yoshida pojawi się lada chwila. Wcześniej Japończyk powiadomił go, że spotkanie jest pilne.

— Dobrze. Ale przedyskutujemy to w bardziej bezpiecznym miejscu. Zabiorę cię po pracy i wtedy wprowadzisz mnie w szczegóły.

— Kapitalnie! — Marion wstała, pochyliła się, pocałowała go namiętnie i włożyła płaszcz.

Ham przyglądał się, jak Yoshida sunie między stolikami. Japończyk otarł się o podążającą do wyjścia Marion, usiadł i zamówił waniliową colę.

— Kapitalne nogi — stwierdził, obrzucając Marion szybkim spojrzeniem. Wydawał się podniecony i jego nastrój udzielił się Hamowi. Prawdę mówiąc, Ham był zły, że przerwano mu uroczę tete-a-tete.

Ham chrząknął, zgarbił się i zniżył głos.

— Chcę, żebyś dostarczył dalsze instrukcje naszemu przyjacielowi, Shoto Wakare. — Przerwał, gdy podawano colę. — Jak dotąd okazuje się on wielce przydatny. Muszę przyznać, Yosh, że twoje kontakty w Tokio są dla mnie bezcenne.

— Jesteś zbyt uprzejmy.

Ham uśmiechnął się.

— A ty bardziej zgryźliwy niż inni, Yosh. Przypuszczam, *tetó’pRseztę* twoją kamienną twarz. Byłbyś kapitalnym komikiem.

— Dzięki, ale już znalazłem swoje powołanie.

— Chyba nie. — Ham wypił potężny łyk kawy i zerknął zalotnie na dwie przechodzące obok blondynki w rozpiętych zimowych płaszczach.

— Mam kilka potencjalnie złych nowin — rzekł Yoshida.

— Tego akurat najmniej potrzebujemy. Mamy niewiele czasu, by powstrzymać Stowarzyszenie Czarnego Ostrza; projekt ustawy Senackiej Komisji do spraw Handlu Zagranicznego, który skutecznie odetnie nas od Japonii, zostanie przedłożony w tym tygodniu. Najnowsze wieści głoszą, że otrzyma cholerne poparcie dwóch partii, co wystarczy, by przegłosować prezydenckie weto. Tymczasem opozycja kurczy się, nie ustaje bowiem passa rzekomo przypadkowych zgonów senatorów: nikt na górze' nie wierzy już w wypadki.

— Mówiąc o Mathesonie... — Yoshida podał Hamowi faks.

— Mój ojciec — powiedział Ham, przez chwilę nie zwracając uwagi na wiadomość — jest typowym waszyngtończykiem, a obaj wiemy, co napędza to miasto: sieć kontaktów, starszeństwo i iluzja władzy. Łącznie znane jako bzdety. Sieć kontaktów polega na urodzeniu się we właściwej rodzinie i uczęszczaniu do właściwych szkół; starszeństwo polega na tym, by przeżyć, nie pozwalając się nikomu olewać; iluzja władzy polega na umiejętności szepnięcia właściwego zdania we właściwe ucho tak, żeby następnego dnia było cytowane we właściwej kolumnie właściwej gazety. I wierz mi, Yosh, mój ojciec jest w tym mistrzem.

— Mówisz o drogiej, ale świętej pamięci przeszłości. Twój ojciec wcisnął nam Mathesona... — wskazał na zakodowany faks — ...a Matheson powoli staje się odbezpieczoną bombą.

— Co?

— Przyszła do niego Japonka i Matheson wyjechał razem z nią. A wiesz, kim ona jest? To ta artystka, za którą się uganiał. Wakare zidentyfikował ją jako członkinię Stowarzyszenia Czarnego Ostrza, poplecniczkę Nishitsu. — Yoshida potrząsnął głową. — Może to infiltracja, może nie. Rzecz w tym, że jest poszukiwany przez policję; chcą go przesłuchać w sprawie morderstwa jednego z jego ludzi. W zeszłym tygodniu Matheson bił się z tym facetem, a teraz znaleziono go z dwiema; kulami w głowie; chcę zaznaczyć, że kulami wystrzelonymi z pistoletu Mathesona.

— Dobry Boże!

— Ostrzegalem cię przed czymś takim.

— Wiem, Yosh, ale nie wierzę, że Matheson mógłby załatwić swojego człowieka. Nie jest taki głupi.

— Nie rozumiesz, że to nie ma znaczenia. Matheson stał się dla nas niebezpieczny, ponieważ nie można już panować nad rozwojem wydarzeń. Nieważne, czy jest winny, czy nie, wyobrażasz sobie, jak środki masowego przekazu rozdmuchają tę sprawę? A jeżeli przejdzie na stronę wroga? Już teraz zastanów się, co powiesz staremu, bo gdy dowie się, co zaszło, to wpadnie w szal.

— Masz rację, oczywiście. Miałeś rację od początku. — Ham dostrzegł ulgę na twarzy Yoshidy.

— Co z ojcem?

— Nie przejmuj się, dam sobie z nim radę — zapewnił Ham z przekonaniem o wiele większym, niż naprawdę odczuwał.

Prawdę mówiąc, nie wiedział, jak poruszyć ten temat z ojcem, i zdecydował, że przynajmniej na razie najlepszą taktyką będzie milczenie. Pomyślał o Mathesonie i Japonce. Telegram zniknął w zaciś - rniętej pięści.

— Cholera. To jasne, że powinniśmy wykluczyć Mathesona już wtedy, gdy ktoś rzucił go na świetlik. Teraz jest na to za późno. Matheson wie Zbyt dużo. Jeżeli postanowi opowiedzieć to przed mediami...

— Wtedy i tak nic nam nie grozi — wtrącił Yoshida. — On zna tylko Shipleya, a jego łatwo się pozbyć.

Ham potrząsnął głową.

— To nie ma znaczenia. Matheson wie zbyt dużo o naszym planie. Jeżeli rząd japoński zacznie coś podejrzewać, to jesteśmy skończeni. Japończycy rozerwą prezydenta na strzępy, cały świat nas potępi. A właśnie o tym marzy Stowarzyszenie Czarnego Ostrza. Thomburg przestanie być wiarygodny i wtedy nic nie powstrzyma Toshin Kuro Kosai.

Ham odsunął filiżankę z kawą; kwas palił mu żołądek — a może była to reakcja na złe nowiny.

— Nie przejmowałbym się, nawet gdyby Matheson zawarł pakt z diabłem; pewnego dnia i tak się znajdzie. A kiedy tak się stanie, chcę, żeby został wyeliminowany na czas trwania naszej misji. Nie obchodzi mnie, czego to będzie wymagało; masz tak zrobić, Yosh. Tak brzmi mój nowy rozkaz.

X

TOKIO-NOWY JORK-WASZYNGTON

Minako obudziła się w taki sam płynny, nieświadomy sposób, w jaki inni stawiają jedną nogę przed drugą. Nie było żadnego okresu przejściowego, żadnego pozbawionego myśli stanu poprzedzającego całkowite rozbudzenie.

Otworzyła oczy i wiedziała, że wszystko jest nie takie, jak powinno. Wstała, włożyła szlafrok i wyszła z sypialni. Nasłuchiwała niesamowitego oddechu *makura no hiruma* przypominającego pracę odległej maszyny.

Próbowała się przemóc. Zdawała sobie sprawę, że był to jeden z tych wypadków, kiedy żałowała wezwania daru. Wiedziała, czym to się skończy i serce ścisnęło jej się z żalu.

Cierpiała katusze, z jakimi przez całe życie borykała się jej babka. Widzenie przyszłości stało się dla niej piekłem, jakiego nie wyobrażała sobie w dniu, gdy spotkała lisa, i nie wiedząc, co czyni, powiedziała: „Chcę widzieć tak daleko, jak tylko można”. Zdarzało się bowiem, jak teraz, kiedy nie mogła zmienić tego, co miało się stać. Przez całe życie manipulowała ludźmi i wypadkami i było to w porządku, bo przyszłość dyktowała, że taka jest jej karma. Jej życie jednakże nie było wolne od strasznych chwil, które potrafiła przewidzieć i które kryła w piersiach jak zamrożone łzy, aż do momentu ich zaistnienia. Tak wiele razy o nich myślała, że gdy w końcu nieuniknione

stawało się faktem, odbierała je jak coś od dawna znajomego. Tak było ze śmiercią, którą niosła, służąc Stowarzyszeniu Czarnego Ostrza; ze straszliwą chorobą córki Kazuki, spowodowaną przez niemożność zapanowania nad jej *makura no hiruma*—teraz moc dosłownie zżerała ją żywcem; z konsekwencjami romansu z ojcem Hany; z tworzeniem przez Yuji maszyny, którą on nazwał Wyrocznią, a w której ona widziała herolda zapowiadającego koniec starego porządku; i z ucieczką ukochanej Hany od rzeczywistości, nad którą nie mogła już zapanować ani której już nie tolerowała; i na koniec z nadejściem... czego? Nawet ona, z całą swą mocą, nie potrafiła zobaczyć tej przyszłości.

Ale wypadki te niczym sznur zatrutych pereł paliły ją wiecznym ogniem, przypominającym o mających nastąpić katuszach. Katuszach, bowiem pierwsze spojrzenie w przyszłość ujawniło jej, że miała stać się architektem własnego zniszczenia. Była więźniem swego daru.

To takie trudne — myślała — kochać swoje dzieci, kiedy wiadomo, co zrobią albo co im się stanie.

Wiedza ta groziła pogrążeniem się w przyływie sprzecznych emocji: nienawiści, strachu, wściekłości, bólu, miłości, frustracji. Spotkania z dziećmi wyczerpywały ją całkowicie, szczególnie rozmowy z Yuji, niespokojnym, genialnym synem, którego przysięgła chronić przed swym tajemnym życiem.

Jakaś część jej duszy potrafiła jednak oderwać się od tych emocji i podziwiać skomplikowany plan, którego nie wymyślił żaden ludzki umysł, może w ogóle żaden umysł w ludzkim pojęciu. Ale druga, bardziej stanowcza część jej osobowości chciała wyłamać kraty więzienia, uciec przed światem, jaki sama ukształtowała, uciec przed karmą, wyrwać się nawet z czasu i przestrzeni. Teraz tęskniła tylko za wolnością — i w końcu zrozumiała, że tęsknota ta nękała również Kabuto.

— Wreszcie wiem, co się stało; wykryłem w sobie mroczną moc — powiedział Wolf.

Siedzieli w corvette Chiki. Okna były zamknięte, ogrzewanie włączone, a jednak wstrząsały nim dreszcze. Opowiedział jej o spotkaniu z Sumą w magazynie.

— Mój dziadek był szamanem i marzył, że pójde w jego ślady — kontynuował.

Tulił w dłoniach tekturowy kubek z gorącą kawą. Na podłodze u jego stóp walał się zmięty papier; Chika kupiła mu w delikatesach potrójnie złożoną kanapkę. „Z mięsem” — powiedziała. „Potrzebujesz protein”.

— Zawsze myślałem, że mój ojciec nienawidził staruszka. Byłem jakby zawieszony między nimi dwoma. Teraz widzę, że pokładałem w ojcu zbyt małe zaufanie. On dostrzegł we mnie to, co miał dziadek. Obaj powstrzymywali się przed wyzyskiwaniem tego daru; obaj chcieli, bym znalazł własne przeznaczenie.

— I teraz ono cię dogoniło.

Skinął głową, nadal dygocąc.

— Przyzwyczać się do tego nie jest łatwo. — Odwrócił się do niej.

— Jak nazwałaś ten mroczny dar?

— *Makara no hiruma*, czyli ciemność w południe.

— To dobra nazwa. — Wolf zamknął oczy. — Wkroczyłem w jakieś czarne przestrzenie. Unosiłem się...

— Rozumiem — powiedziała Chika tak łagodnie, że poczuł łzy napływające do oczu.

— Chcę wiedzieć więcej o *makura no hiruma*.

— Po pierwsze, nasz metabolizm odbiega od normy. — Skłoniła głowę. — Gdy ostatni raz patrzyłeś na siebie w lustrze, czy wyglądałeś tak staro jak twoi rówieśnicy?

— Nie wiem. Nigdy nie uświadamiałem sobie... — Zmarszczył czoło

— Po prostu zakładałem, że młodo wyglądam. Geny.

— Geny, tak. Podobnie jak ja mogę siłą woli spowolnić czy przyspieszyć bicie czyjegoś serca, tak ci z *makura no hiruma* są w stanie zmieniać własny metabolizm, spowolnić proces starzenia.

— Jak długo mogą żyć? — Wolf zastanawiał się, ile lat miał Biały Łuk.

Chika wzruszyła ramionami.

— Istnieje kilka wariantów. Moc jest różna u różnych ludzi, tak samo tempo metabolizmu. Ale może dwieście pięćdziesiąt lat nie jest odbiegającą od prawdy średnią.

— Mój Boże!

— Niektórzy z nas mogą widzieć przyszłość, chociaż ten dar jest często kapryśny. Wydaje się, że dany moment ma wiele przyszłości, a ta widziana wcale nie musi się wydarzyć. Jak wiesz, jesteśmy podatni na przekaz telepatyczny, ale to też zależy od człowieka — kontynuowała. — Istnieje niewiele sztywnych norm, jeśli chodzi o „ciemność w południe”. Po czterech stuleciach historii nadal wiemy niewiele na temat działania naszego daru.

Podał jej kawę. Chika napiła się i oddała mu kubek. Obserwował spieszących się ludzi, niepomnych otaczającego ich świata. Ciągłe

dostosowywał się do nowej sytuacji, widział siebie i Sumę jako ludzi ulepionych z tej samej gliny, różniących się od innych. Zaczynał wyczuwać w sobie szamana, mrocznego, bliskiego przyjaciela, owiewającego gorącym oddechem jego kark.

— Wolf, muszę ci coś powiedzieć. Posiadanie *makura no hiruma* może bardzo łatwo wzniecić w nas wiarę, że jesteśmy bardziej potężni, niż naprawdę jesteśmy, a nawet, że jesteśmy panami czasu i przestrzeni. — Na chwilę jej długie palce zacisnęły się na rękę Wolfa. — To niebezpieczne złudzenie i mogę ci powiedzieć, że niejeden z nas uległ pokusie: uwierzył, że jesteśmy bogami... Jesteśmy ukształtowani przez *makura no hiruma*, na dobre i złe. Ale ciemność w jądrze naszych jaźni może okazać się zdradliwa i zdeformować nas nawet bez naszej wiedzy. Żadne lustro nie ujawni tych zmian, ponieważ nasz dar wymusza na nas patrzenia poza dwuwymiarowe zwierciadło: ulegając temu można utracić część samego siebie. To druga strona *makura no hiruma*, która żeruje na naszej arogancji, ambicji, pysze. Z tego powodu moja matka tak bardzo bała się o swoje dzieci.

— Przyszedł do mnie z powodu mojej... *makura no hiruma*! — zapytał Wolf. Gdy skinęła głową w odpowiedzi, dodał: — I tak samo Stowarzyszenie Czarnego Ostrza.

— Stanowisz dla nich zagrożenie.

— Ale najwidoczniej dla ciebie nie.

— Wolf, powiedziałam ci o okrucieństwie Toshin Kuro Kosai, a teraz miałaś okazję sam się przekonać. Nie możemy już stać z boku i pozwalać, by całe stowarzyszenie przyjęło kurs, jaki wybrali przywódcy.

— Chcesz zatem, żebym ci pomógł. Ale dlaczego po prostu nie przyszedł do mnie i nie powiedział, o co chodzi?

— A czy wtedy uwierzyłbyś mi, gdybym próbowała opisać ci nasz świat?

Ma rację — pomyślał.

— Jednak będziemy potrzebować posiłków — stwierdził. — Jedziemy. Muszę znaleźć telefon.

Chika położyła mu rękę na ramieniu.

— Co chcesz zrobić? Musimy uciekać z miasta. Teraz, gdy mamy nowe paszporty...

— Nadal nie rozumiesz. Squire Richards był jednym z moich ludzi. Został zamordowany, a obwinia się o to mnie.

— Ale Suma...

— Byłem za niego odpowiedzialny, Chiko. Jestem mu to winien.

Giri, nebl

Skinęła głową i zapuściła silnik.

— *Hai.*

Na Czternastej zatrzymała corvette, a on skoczył na drugą stronę jezdni, bo tu działał jeden z sześciu publicznych telefonów; pozostałe były albo zdemolowane, albo nieczynne. Wygrzebał drobne z kieszeni, wrzucił ćwierćdolarówkę, wybrał numer Shipleya, po czym dorzucił żadaną ilość monet.

Shipley zgłosił się po jedenastym sygnale, a Wolf zastanowił się, gdzie też tajniak może teraz być.

— Jestem w Nowym Jorku — zaczął — i mam kłopoty.

— Teraz jesteś jednym z nas. Dostaniesz wsparcie — zapewnił Shipley.

— O co chodzi?

— Nawiązałem kontakt, osobisty kontakt, z Sumą.

— I co?

— Nie dostałem go, ale on mnie też nie — Wolf zaczerpnął powietrza. Nadal śmierdział dymem, a prawy rękaw kurtki miał osmalony ogniem.

— Było cholernie blisko: jednego bądź drugiego.

Powiedział Shipleyowi, że go wrabiają w zamordowanie Squire'a(Richardsa, ale nie wspomniał o Chice.

— Komisarz musi wysłuchać, co ja mam do powiedzenia na ten temat — skonkludował — i w tym celu musi mi pan udzielić pewnej pomocy. Nie przydam się panu na wiele jako ścigany.

— Zgoda. Biorąc pod uwagę stosunki z Breathardem, nie chciałbym, żeby pokazywał się pan w One Police Plaża. Muszę się zastanowić. Niech pan da mi godzinę na pociągnięcie za odpowiednie sznurki, a potem proszę jechać do domu komisarza. Zadbam, żeby tam był.

— Dzięki — rzekł Wolf, myśląc o milczących korytarzach władzy, jakimi stąpa Shipley.

Sam dźwięk jego głosu budził w Wolfie zaufanie i otuchę. Był nieskończenie wdzięczny za poczucie bezpieczeństwa, jakiego dostarczył mu tajny agent federalny.

— TO NIE ZADZIAŁA — rzekła posepnie Wyrocznia.

— Cśśś... — Hana siedziała z zamkniętymi oczyma, na jej pięknej,

tajemniczej twarzy malował się zachwyty. Była podłączona za pomocą przewodów i światłowodów do Wyroczni.

— NIE MASZ WŁAŚCIWEGO WZORU DNA — upierała się Wyrocznia.

— Skąd możesz wiedzieć to tak szybko? — zapytał Yuji, chodząc w tę i z powrotem przed cyfrowymi wyświetlaczami jak czekający na rozwiązanie ojciec.

— ZAUFAM CI.

Yuji miał ochotę wybuchnąć śmiechem.

— No, powiedz!

— PRZESKANOWAŁAM WZORY ŁAŃCUCHA DNA HANY.

— Okay, ale jeszcze nie możesz wiedzieć.

— JESTEM W TRAKCIE WYKONYWANIA ODPOWIEDNICH TESTÓW. ALE JUŻ WIEM TO, CO WIEM.

— Skąd?

— INTUICJA.

— Słucham? — Yuji zatrzymał się i wlepił oczy w matowoczamy sześcian.

— MASZ KŁOPOTY ZE SŁUCHEM?

Yuji przecesał ręką włosy.

— Słyszę cię doskonale, ale mówisz bez sensu. Nie możesz mieć intuicji.

— WIEM TO, CO WIEM—powtórzyła uparcie Wyrocznia. — WSZYSTKIE PROCEDURY ZMIENIAJĄCE DNA SĄ GOTOWE, POZA JEDNĄ. BRAKUJE WŁAŚCIWIE FUNKCJONUJĄCEGO CZYNNIKA WZROSTU, KTÓRY ZE WZGLĘDU NA BRAK NIEOKREŚLONEGO ELEMENTU POWODUJE RAKA I INNE ŚMIERTELNE ZABURZENIA W CZASIE PROCESU PRZEKSZTAŁCANIA DNA.

— Znajdź ten brakujący element.

— SZUKAM GO OD CZASU OTRZYMANIA WIADOMOŚCI O ŚMIERCI MORA VII. ALE NIE JESTEM BOGIEM; NIE POTRAFIĘ TAK ŁATWO PRZETWARZAĆ ŻYCIA.

— Musi być jakiś sposób — powiedział Yuji, a Hana otworzyła oczy.

— JESTEŚMY NA WŁAŚCIWEJ DRODZE, YUJI-SAN. W HANIE WIDZĘ UŁAMEK TEGO, CO JEST POTRZEBNE, ALE TO ZA MAŁO, HANA NIE JEST WŁAŚCIWĄ OSOBĄ.

— Musimy zatem znaleźć właściwą — powiedział Yuji i zaczął odłączać Hanę.

— Nie — wyszeptała Hana. — Nie rób tego.

Yuji spojrział na nią.

— Nie chcę jeszcze się z nią rozstawać.

— Wolałbym, żebyś tak nie personifikowała Wyroczeni.

— DLACZEGO NIE? TO STOSOWNE. A POZA TYM, LUBIĘ TO.

— Ta maszyna coraz bardziej staje się podobna do ciebie — stwierdził zatrwożony Yuji.

— To nie jest martwy przedmiot, Yuji-san. A mnie podoba się jej świat. Nie jest spętany przez ciało i krew. W tym świecie dostrzegam potencjał, jakiego mi brakuje. Dla Wyroczeni nie istnieje nic poza bezkresem metafizyki. Nauka taka, jaką znamy, jest ograniczona przez nasze obecne pojęcia. Wyroczenia żyje poza czasem i przestrzenią. Ani jedno, ani drugie dla niej nie istnieje. Jest wolna w sposób, w jaki człowiek nigdy nie będzie, w sposób, o jakim zawsze marzyłam.

— To wystarczy — Yuji wyłączył monitory. — Ty należysz do realnego świata. Potrafię docenić to, co Wyroczenia może zrobić...

— Nie, Yuji, nigdy nie zrozumiesz mego cierpienia. Jestem uwięziona w pułapce ciała, podczas gdy mój umysł sięga poza nie, lecz nie może tam się udać. Moja *makura no hiruma* otworzyła przede mną drzwi — drzwi do cudownego świata — ale ciało i krew działają niczym łańcuchy przykuwające mnie do klatki. Zawsze tęskniłam za taką wolnością. Nie możesz pojąć męczarni i zawodu, jakie czuję od lat. Nikt nie może.

— NIKT POZA MNĄ — wtrąciła Wyroczenia, a Yuji mógłby przysiąc, że metalowa bestia uśmiechnęła się.

— Coś knujecie — rzekł Yuji, po raz pierwszy podnosząc głos — a ja nic o tym nie wiem. — Odwrócił się do przyrodniej siostry. — Hano, jesteś za to odpowiedzialna. Za każdym razem, gdy cię podłączam, Wyroczenia absorbuje coraz więcej twojej osobowości. Czy nie widzisz, jakie to niebezpieczne? Spędzasz w tym stanie coraz więcej czasu. Jeżeli nie zrezygnujemy, to jestem przekonany, że pewnego dnia wcale nie będziesz chciała się odłączyć.

— To możliwe. Jej świat ma daleko więcej do zaoferowania niż twój.

— Nasz, Hano — podkreślił rozpaczliwie Yuji. — To jestnasz świat.

— JUŻ NIE — powiedziały razem Wyroczenia i Hana.

Senator R. P. Franken wysiadł z rządowego samochodu i z torbą w rękę pospieszył przez półkolisty betonowy podjazd do Union Station. Spóźnił się na „Amtrak” do Nowego Jorku. Przeklinając przeladowany plan dnia

przeszedł pod potrójnym łukiem portyku będącego repliką Łuku Konstantyna. Zwyczajowo unikał nieprzyjemnej dlań atmosfery panującej w samolotach. Wolał czuć ziemię pod nogami. Podróż była okazją do zrelaksowania się, możliwą jedynie w klubowych wagonach „Amtraku”. Marzył o tym, jak wyciągnie się w fotelu i będzie sączył podwójnego wild turkeya, jedyny alkohol, jaki pijał.

Jechał do Nowego Jorku na kolację wydawaną w hotelu „Waldorf-Astoria”, na której miał być obecny sam prezydent. Czekają go tam dużo intymnych ploteczek i obłapiania — ten rodzaj aktywności, jaki Franken lubił najbardziej. Tak nawiązuje się kontakty, a kontakty są tym, co pozwala człowiekowi działać w tym stołecznym kłębowisku zmij.

Przemierzył ogromną poczekalnię stworzoną na wzór łaźni Dioklecjana. W przelocie rzucił okiem na dwie najbardziej ulubione jońskie kolumny portyku. Zdołały je wykute w kamieniu figury klasycznych greckich herosów, reprezentujących główne aspekty kolejnictwa: Ogień w postaci jego ojca, Prometeusza; Mechanikę w formie jej pierwszego praktyka, Archimedesesa.

Franken uwielbiał również swych wyborców w Teksasie, a dokładniej, doskonale rozumiał, co im zawdzięcza. Dlatego robił wszystko, by staranować ten krótkowzroczny projekt ustawy, który, jeżeli przejdzie, odizoluje Stany Zjednoczone od Japonii. Japonia właśnie uchylili zakaz importowania ryżu, a to miało szczególne znaczenie dla wyborców Frankena w okręgu Galveston, ponieważ zajmowali się oni głównie uprawą tego zboża. Nowy rynek japoński byłby dla nich prawdziwą kopalnią złota i Franken wiedział, że jeżeli projekt zostanie zatwierdzony, to on będzie mógł zapomnieć o powtórny kandydowaniu do senatu. Franken minął świeżo odnowiony wewnętrzny hol ze sklepami i barami szybkiej obsługi i ruszył szerokimi marmurowymi schodami po trzy stopnie naraz. Pomyślał o tym, jak to będzie, gdy stanie się byłym senatorem, Musiałby znów przystosowywać się do życia bez dodatkowych dochodów, bez szumnych konferencji prasowych, bez handlowania politycznymi sekretami, bez podniecenia wynikającego z bycia kimś szczególnym. Nie była to radosna perspektywa, dlatego spróbował odegnać natrętne myśli. Szedł wzdłuż niższego poziomu, wypatrując numeru swego toru. Znalazł go, przepchnął się przez gromadkę hałaśliwych turystów i ruszył na peron, przy którym czekał pociąg „Amtraku”.

Miał zamiar wsiąść, gdy z cienia wyłonił się młody Azjata w mundurze personelu kolei.

— Przepraszam, senatorze Franken — zagadnął grzecznie. — Czy mógłby pan poświęcić mi minutkę?

Franken zerknął niespokojnie na peron. Nikt nie nadchodził, nawet inni kolejarze zniknęli. Stał obok końca jednego i początku sąsiedniego wagonu, a pociąg zaraz miał ruszyć.

— Przykro mi, synu — powiedział, błyskając gigawatowym uśmiechem — ale nie chcę się spóźnić na pociąg i...

— To zajmie tylko chwilę, senatorze. To bardzo ważne.

— Proszę mi wybaczyć. — Franken spróbował zrobić krok w kierunku otwartych drzwi, ale kolejarz zatarasował mu drogę. — Pan nie rozumie. Jestem spóźniony...

Nagle kolejarz znalazł się tuż obok i przycisnął go plecami do chłodnego metalu przy końcu wagonu. Franken otworzył usta, ale krzyk uwiązał mu w gardle. Azjata przyłożył mu do ust szyjkę butelki. Senator kaszlał i dławił się, czując spływającą do gardła wild turkey. Usiłował podnieść ręce, ale miał je przyciśnięte do boków. Ślina zaczęła wypływać z kącików jego ust.

Kolejarz pchnął go silnie i Franken zatoczył się do tyłu, w lukę między wagonami. Obcasy świeżo wypolerowanych butów zsunęły się z krawędzi peronu i senator zaczął się przewracać. Ale nie upadł, ponieważ wściekle szarpnięcie utrzymało go w pozycji pionowej. Zsunął się między wagony, waląc kolanami o betonowy skraj peronu. Poczul ostry ból i pomyślał, że złamał goleń.

Zakleszczony między wagonami nadal próbował walczyć. Kolejarz wylał na niego resztę alkoholu, a kiedy Franken chciał go ugryźć w rękę, coś ścisnęło mu serce tak potężnie, że prawie połknął własny język.

Potrząsnął głową. Jak przez mgłę zobaczył, że kolejarz daje sygnał do odjazdu. Potem usłyszał trzask zamykanych drzwi. Pociąg zaraz ruszy!

Kolejarz na powrót odwrócił się ku niemu. Franken zaczął się modlić. Stopa Azjaty wystrzeliła do przodu i trafiła go w krocze. Spróbował zwymiotować, ale nie mógł.

Spojrzał w górę z niedowierzaniem. Pomyślał, że zna tego człowieka. Z początku zmyliły go otoczenie i mundur. On nie był kolejarzem. Mój Boże! Na jego twarzy widniała tak bezosobowa nienawiść, że we Frankenie serce zamarło.

Wagony szarpnęły i senator mimo bólu w nogach i piersiach na nowo zaczął walczyć. Japończyk pochylił się i niedbale dotknął jego czoła czubkami palców.

Może była to gra świateł, ale Franken miał wrażenie, że oczy mężczyzny zmieniły kolor, w cieniu rozżarzyły się plamki zieleni. Potem uderzyła weń fala chłodu, a dokładniej poczuł się tak, jakby wysysano z niego ciepło.

Franken wiedział, że Japończyk go zabija, ale nie miał pojęcia jak. Pociąg ruszył. Ze strachu odchodził od zmysłów. Było mu tak zimno, że nawet teraz, gdy nie miał unieruchomionych rąk, mógł jedynie podnieść je niezdarnie jak drewniane wiosła. Widział palce, białe robaki kurczące się na końcach dłoni, obce, jakby już nie należały do niego. Obserwował je jakby z wielkiej odległości.

Japończyk jeszcze raz pojawił się w polu widzenia. Franken poczuł olbrzymi nacisk, a potem zwałił się w ciemność, uszy wypełnił mu huk, który sprawił, że pomyślał o nadciągających znad zatoki czarnych burzach dzieciństwa, zmywających Galveston potokami deszczu.

Potem przecięło go pierwsze koło. Jego ciało podskoczyło i momentalnie zostało przyszpilone przez kolejne koło, i następne. Znow uniosło się w powietrze, różowe i spienione, po czym trzasnęło na tory, cięte raz za razem przez bezlitosne, stalowe, błyszczące niczym kosy koła.

XI

NOWY JORK-WASZYNGTON-TOKIO

— Nadchodzi — rzekł Suma do krzywonogiego mężczyzny. - Jesteś gotów na śmierć?

Hayes Walker Johnson nie odpowiedział. Leżał rozpostarty na refektarzowym stole we własnej kuchni. Był prawie nagi i pomyślał, że ta ponizająca. Czuł pot między pośladkami.

Nadgarstki i kostki miał przywiązane do nóg stołu i w tej pozycji mógł życzyć sobie jedynie szlafroka. Taka banalna myśl była absurdalna. Albo może nie, zważywszy, że po drugiej stronie zdradliwie śliskich kafelków, siedziała jego żona, oparta plecami o wbudowaną w ścianę lodówkę. Miała lekko przechyloną głowę, otwarte usta i zlane była taką ilością krwi, że nawet w oczach Hayesa Walkera Johnsona nie wyglądała już pociągająco.

To było dlań zniewagą, groźbą gorszą od utraty życia, godziło bowiem w to, co zawsze należało tylko do niego: we wspomnienia, które uznawał za święte.

— Pan Kamiwara jest moim specjalnym gościem — mówił Suma, wskazując na Japończyka o zwartej budowie ciała. — Lubi komisarzy.

Hayes Walker Johnson odwrócił głowę.

— Co jeszcze lubi pan Kamiwara? — zapytał, ponieważ wiedział, że dla zakładnika najważniejszym czynnikiem jest czas. Im więcej go

upływa, tym większa szansa na pozytywne rozwiązanie. Nie chciał myśleć o tym, że jeżeli podali mu prawdziwe nazwiska, to mieli zamiar go zabić.

— Wszystko — odparł Kamiwara z groźbą w głosie. Dotknął dołków w pośladkach Johnsona.

— Pan Kamiwara mówi o narkotykach — wyjaśnił Suma. — Branie dobrze mu robi.

Johnson, starając się nie myśleć o zamordowanej żonie, zmusił usta do ruchu.

— Ma pan jakiś ulubiony?

Suma roześmiał się.

— I o to pyta komisarz policji!

Kamiwara wzruszył ramionami.

— Wszyscy tutaj jesteśmy przyjaciółmi — powiedział w taki sposób, że Johnson z przyjemnością kopnąłby go w twarz. Kamiwara odwrócił się do niego i Johnson był zaskoczony widokiem jego nad wyraz pospolitej twarzy. — *Aconitum napellus*, mnisi kaptur.

Johnson zamrugał.

— Czy to nie trucizna?

— Trucizna, środek uspokajający albo afrodyzjak — objaśnił Kamiwara. Omiótł wzrokiem krocze Johnsona. — Zależy, ile się bierze i z czym miesza. To wszystko jest kwestią praktyki. — Jego usta skrzywiły się w okropnej parodii uśmiechu.

W tej chwili Kamiwara poruszył oczyma — tylko oczyma — i skupił je na Johnsonie. Komisarz miał wrażenie, że został zanurzony w zimną wodę, że jest trzymany pod lodem, że krew zamarza mu w żyłach, serce zwalnia, a nerwy pozbawione są uczucia. Przerażony, próbował odwrócić głowę i nie mógł. Coś blokowało mu ruchy. Mógł o tym jedynie myśleć, ale to wszystko, jak gdyby impuls nakazujący ruch stał się odbiciem uchwyconym w pułapkę ustawionych naprzeciw siebie luster.

Nienaturalnie wolne bicie serca sprawiało mu ból. W oczach Kamiwary dostrzegł błysk światła, a skrzydła czy półksiężyc zielonego ognia w dolnych połówkach czarnych źrenic. Kamiwara uśmiechał się do Johnsona, jakby dzielili jakiś intymny sekret.

— Czy ta zabawa podoba ci się tak samo jak mnie?

Głos Kamiwary tłukł się w głowie komisarza jak odłamki szkła wstrząsane każdym przyprawiającym o katusze uderzeniem serca.

Suma obojętnie wyglądał na podwórzu. Kamiwara odwrócił oczy i Johnson nagle został wyzwolony z tego diabelskiego uścisku. Krew znów

szybciej popłynęła w żyłach, przywracając normalny kolor policzkom i ciału. Wcześniej było mu tak zimno, że teraz z trudnością łapał powietrze.

— Czy pan Kamiwara lubi kokę? — wychrypiał.

Kamiwara uśmiechnął się, przyprawiając go o wewnętrzne drżenie i przypominając, co przed chwilą z nim zrobił.

— Jak powiedziałem, biorę wszystko.

Johnson odwrócił głowę, jego spojrzenie padło na zwłoki żony. Był przerażony, niemniej czuł straszliwą fascynację, jak ktoś, kto ogląda śmiertelny wypadek. Widok krwi i ludzkich zwłok jest przerażający, przychodzi bowiem myśli o śmierci, ale wywołuje jednak tajemną radość wynikającą z tego, że obserwator może powiedzieć: „A ja żyję”. Ciągle żyję — pomyślał komisarz, zarazem zawstydzony tą radością, Kamiwara rozsypał na kuchennej ladzie kokainę, a kiedy odwrócił się by wciągnąć ją do nosa, Johnson podjął pracę nad uwolnieniem prawej ręki. Tarł nadgarstkiem o spód blatu, gdzie w czasie przeprowadzki odłupał się mały fragment. Żona kiedyś rozdarła o niego sukienkę i od miesięcy zrzędziła, żeby to naprawił; obecnie poszarpana krawędź mogła uratować mu życie. Poruszał nadgarstkiem w przód i w tył, piłując cienki sznur.

— Lepiej skończ — powiedział Kamiwara do Sumy. Wytarł nozdrza kciukiem i zlizął resztki białego proszku, który przyłgął do opuszki,;

— Jedno jest pewne, to pierwszorzędny towar.

Suma dalej wyglądał przez kuchenne okno.

Kamiwara skrzywił się i zwrócił do Johnsona:

— Gotów się przyłączyć?

Johnson nie odpowiedział.

Kamiwara zerknął nań z ukosa. Źrenice miał rozszerzone.

— Nie wyobrażasz sobie, jak to będzie. — Odwrócił się do lady.

— Koka to za mało. Będziemy musieli przygotować silniejsze lekarstwo.

— Wyciągnął fiolkę z bladopomarańczowym proszkiem i wsypał go do szklanki. Wlał do niej wodę i inne płyny, które przyniósł ze sobą i wcześniej ustawił na ladzie.

Sznur pękł. Johnson uwolnił prawą rękę. Nie spuszczać oczu z dwóch mężczyzn, powoli przesunął palce w stronę szuflady znajdującej się tuż poniżej, lekko wygiął plecy i otworzył ją. W dłoni poczuł chłód rękojeści kuchennego noża. Wyjął go ostrożnie i schował pod blatem.

— Wypij mnie! — zawołał Kamiwara i roześmiał się, przyciskając brzeg szklanki do ust Johnsona. Kiedy zawartość zmalała do połowy, Kamiwara podniósł szklankę i wypił resztę. — A teraz buzi.

Gdy pochylił się, Johnson plunął mu płynem w twarz. Japończyk zaczął parskać. Komisarz uniósł nóż, obrócił go i wbił czubek w grzbiet jego dłoni, przyszpilając ją do drewnianego blatu.

Kamiwara otworzył szeroko usta, ale nim dobył się z nich krzyk, Johnson wepchnął mu w gardło ścierkę do naczyń. I to on zaczął krzyczeć. Usiadł, gapiąc się na rękę Kamiwary. Spomiędzy kości, ścięgien i nerwów wystawał nóż.

To niemożliwe — pomyślał — z rany nie wypłynęła nawet kropla krwi.

Głowa Kamiwary obróciła się tak, jakby była osadzona na łożysku kulkowym, i czarne, martwe, rybnie oczy znów zaczęły zmieniać kolor. Zielone półksiężycy nadawały twarzy demoniczny charakter. Zwymiotował ścierkę do naczyń.

Atmosfera w pokoju uległa zmianie — jakby ożyła albo jakby Johnson stał się świadom czegoś czającego się w cieniach.

Oczy Japończyka zdawały się wielkie niczym słońca i komisarz miał wrażenie, że jakieś szczególne promieniowanie kłuje mu ciało, przesącza się przez warstwy skóry, penetruje mózg.

Johnson sapnął, opadł na stół i zaczął miotać się szaleńczo. Pałący ból wykradał mu tlen z płuc. Rzucił się w stronę noża, chcąc zanurzyć go w sercu Kamiwary.

— Tego szukasz? — zapytał drwiąco Kamiwara. — Proszę, weź sobie.

Johnson zaczął drzeć, oczy nieomal wyskoczyły mu z orbit. Nóż lewitował, samorzutnie wysuwając się w górę, dopóki czubek nie zawisł nad dłonią Kamiwary.

— Dobry Chryste!

Kamiwara wybuchnął śmiechem.

Johnson zacisnął powieki i gwałtownie potrząsnął głową w daremnej próbie oczyszczenia myśli. Cokolwiek dał mu Kamiwara, musiało to być potężne. Próbował oddychać, ale zdawało się, że nie pamięta, jak to się robi. Płamy latały mu przed oczyma, serce waliło w piersiach jak oszalałe. Otwierał i zamykał usta jak ryba wyjęta z wody.

Halucynacje. Przełknął nieco trującej mikstury Kamiwary i to musiało być rezultatem — musiało! To były tylko halucynacje, można było je przemóc. Nafaszerowano go narkotykiem i to były halucynacje, które...

Johnson próbował wrzasnąć po raz ostatni, gdy skończył się wewnętrzny zapas tlenu. Jego usta otworzyły się szeroko w próbie złapania oddechu, lecz do płuc nie dostała się ani odrobina życiodajnego gazu, jak gdyby wyszedł z kapsuły w pozbawioną powietrza przestrzeń międzygwiazdną.

Wolf i Chika jechali w górę Pierwszej Alei, kierując się na zachód do Eighties. Zaparkowali jeden kwartał na południe od domu komisarza.

Wolf poprowadził Chikę do wejścia do suterenu domu z szarego piaskowca, który wychodził na podwórze Johnsona. Czarna żelazna brama była zamknięta, ale Wolf wyważył zamek, podobnie jak w drzwiach wiodących na małe wybetonowane podwórko. W domu panowała cisza. Powiódł Chikę długim korytarzem do ogrodu na tyłach. Zatrzymali się obok wysokiego ogrodzenia, za którym stał dom komisarza. Wolf otworzył furtkę i weszli do ogrodu.

Podążali ścieżką pod drzewkiem świętojańskim, gdy Chika dotknęła ramienia "Wolfa i wyszeptła nagle:

— Tam dzieje się coś bardzo złego.

Popędzili po schodach, wpadli do kuchni i usłyszeli stłumione sapanie Johnsona. Wolf zobaczył popielatą twarz komisarza i w jednej chwili ogarnął wzrokiem całą scenę: nagie ciało rozpostarte na kuchennym stole, martwa kobieta oparta o lodówkę, Japończyk pochylający się nad Johnsonem i kuchenny nóż wiszący w powietrzu.

— Chryste wszechmogący!

Patrzył w twarz japońskiego malarza, z którym rozmawiał i któremu współczuł w łazience w biurze. Teraz zrozumiał-

Zobaczył, jak oczy fałszywego malarza rozszerzają się, w źrenicach pojawił się cieniutki półksiężyc luminescencyjnej zieleni.

O Boże! — pomyślał.

— Kamiwara! — zawołała Chika. Do Wolfa krzyknęła: Uciekaj! Zostaw to mnie!

— Nie! Ten sukinsyn mnie śledził. Jest mój!

Kamiwara zawirował i zniknął w głębi domu. - Wolf rzucił się za nim.

— Do zobaczenia, dupku! — Kamiwara wyhamował i kopnął go w biodro.

Wolf stęknął. Obrócił się pod wpływem siły uderzenia i zatoczył, markując utratę równowagi. Zobaczył w przelocie obłąkańczy uśmiech na

twarży Kamiwary. Oparł się bokiem o ścianę i wyprowadził w górę cios podstawą dłoni.

Trafił Japończyka w mostek. Kamiwara wrzasnęła, ale chyba nie został poważnie zraniony. Coś pojawiło się w jego ręku i pomknęło w kierunku Wolfa. Wolf rzucił się w bok, a cienkie ostrza zafurkotało obok jego twarzy.

Słyszał szalony śmiech Kamiwary, gdy Japończyk przymierzał się do drugiego rzutu. Kopnął pod złym kątem, lecz obcas buta odchylił rękę Kamiwary na tyle, że ostrze pomknęło w górę. Przykucnął, trzasnął Japończyka łokciem w krocze i poprawił w dołek.

Potem ciemna siła rzuciła nim o ścianę tak mocno, że omdlał na chwilę. Potrząsnął głową i rozejrzał się. Kamiwara zniknęła.

Chika miała zamiar ruszyć za Wolfem, gdy w kuchni pojawił się Suma. Stała jak wrośnięta, wlepiając oczy w drobnego Japończyka. Powoli wyciągnęła rękę i złączyła wszystkie palce. Zielony ogień tańczył w jej żrenicach. Mężczyzna nie poruszył się; kuchenny nóż nadal wisiał w powietrzu nad ciałem Johnsona. Komisarz wyglądał jak zmięty, porzucony płaszcz; nie oddychał.

W kuchni robiło się coraz ciemniej, coś nieokreślonego, ledwo widocznego, zwijało się niczym dym. Po chwili z dłoni Chiki strzeliły płomienie. Syknęły jak polane wodą i zniknęły.

— Do diabła, co tu robi Kamiwara?! — zapytała ostro Chika.

Suma skłonił podobną do pocisku głowę.

— To, co umie najlepiej. Sieje zniszczenie.

— Na czyje rozkazy?

Suma nie odpowiedział.

— Otrzymałeś nowe instrukcje, prawda? — zapytała przenikliwie.

— A ja nie wiem jakie.

— Zatem powiem ci. Powoli, ale skutecznie wyluskujemy Mathesona z jego... jakby tu powiedzieć... z jego matrycy.

Zarzynając wszystkich jego bliskich.

— To też jest sposób.

— Ale taki barbarzyński, taki ostateczny!

— Ostateczny, tak — zgodził się Suma. — To trafne siowo. — jego oczy rozszerzyły się i nóż zadrżał w powietrzu jakby w podmuchu niewyczuwalnego wiatru.

— Przestań. Mogę sprowadzić go do Tokio łatwiejszy sposobem. On mi ufa.

— Może tak, ale nie mamy żadnych gwarancji. Poza tym trzeba go sprawdzić. Nikt z nas nie może odczytać go tak, jak odczytujemy innych. Nikt nie wyczuwa jego aury i to jest niebezpieczne. A ponadto Matheson musi wiedzieć, że nic go nie trzyma w Ameryce.

— Dlaczego?

— Ponieważ mamy dla niego pewną robotę. — Uśmiech powoli wypełził na twarz Sumy; był to kobiecy uśmiech, kuszący, podstępny i pełen niewypowiedzianych tajemnic. — O s t a t e c z n ą robotę.

— Jaką?

— Już powiedziałem ci więcej, niż musisz wiedzieć.

— Zatem nigdy nie miałaś zamiaru go zabić.

— Zabić Mathesona? Skądże! — Nóż poruszył się niecierpliwie, jakby pragnął wypisać krwią legendę na kuchennej ścianie. — Przyjechałem tu, aby zniszczyć wszystko, co jest mu drogie, aby zbadać jego możliwości; aby oszacować, ile jest wart. Teraz już wiesz.

Thornburg Conrad Trzeci widywał się z Brosianem Lenfantem raz w tygodniu. Ich spotkania odbywały się w różne dni i o różnej porze; zmieniały się również miejsca. Brosian Lenfant, były senator z Luizjany, który za śliczną okrągłą sumkę użyczał swego nazwiska biurom Hama i Yoshidy na Ulicy K, był jednym ze szkolnych kolegów Thornburga. Thornburg lubił go ogromnie. Lenfant wywodził się ze szczególnie paskudnego środowiska i tym samym był mistrzem w stosowaniu wszelkich możliwych brudnych sztuczek.

Pierwszy raz przyciągnął uwagę Thornburga w czasach, gdy jako prokurator okręgowy stanu Luizjana wymanewrował burmistrza Nowego Orleanu, który chciał wykopać go z posady. Lenfant zręcznie skierował kampanię wyborczą burmistrza przeciw niemu i zapewnił sobie poparcie elektoratu. Cztery lata później, głównie dzięki szczodrym datkom na kampanię od Thornburga, po raz pierwszy został wybrany do senatu. Lenfant nie był człowiekiem, który zapomina o tego typu przysługach i obecnie to on poprosił o nadzwyczajne spotkanie.

Lenfant nie był wysoki. Jego olbrzymia głowa zdominowana była przez ogromne brązowe oczy, wysokie czoło — wgniecione jak skorupa jaja

— i uśmiech szeroki jak Missisipi. Miał wąskie ramiona i niewielki brzusek. Był eleganckim mężczyzną, prawdziwym dżentelmenem z Południa, co oznaczało, że wiedział, jak grać w szczególny waszyngtoński rodzaj gry: sekrety zdradzał tylko przyjaciółom albo wymieniał je za usługi.

Dzisiaj miał na sobie trenażer oraz ciemnoniebieski wełniany garnitur z kremową kamizelką i kasztanowym krawatem. Niósł dyplomatkę ze skóry strusia.

Dwaj mężczyźni spotkali się w holu kwatery głównej CIA w Langley. Thomburg lubił to miejsce, do jego wyobraźni przemawiała pamiątkowa ściana z jasnego marmuru, na której wyrzeźbiono pięćdziesiąt trzy gwiazdy. Każda z nich upamiętniała agenta poległego na służbie. Ale w otwartej księdze poniżej widniały jedynie dwadzieścia trzy nazwiska. Pozostali byli bezimienni — przynajmniej dla szerokiego ogółu. Ich nazwiska kryły tajne akta CIA.

Przez chwilę stali przed ścianą, między sztandarami Stanów Zjednoczonych i CIA, a kiedy Thomburg rzekł: „To wywiera wrażenie”, Brosian Lenfant wiedział, o co mu chodzi.

Pokazali dokumenty strażnikowi siedzącemu za biurkiem, a Lenfant oddał mu miniaturowy sztylet, który był jego wiernym towarzyszem od pierwszych dni kampanii w Luizjanie. Strażnik odprowadził ich do windy.

W drodze na górę Thomburg zapytał:

— Jak dobrze znałeś senatora Frankena?

— Od lat byliśmy kumplami, ale słyszałem, że niewiele z niego zostało.

— Dobrze słyszałeś.

— Słyszałem także, że był pijany, gdy spadł z peronu.

— Bzdury — stwierdził z naciskiem Thomburg. — Tak jak rzekomo naturalne zgony innych senatorów, którzy próbowali zbojkotować ten projekt ustawy. Wszyscy zostali zamordowani. Franken jest ostatni w kolejce i to naprawdę zła nowina.

Thomburg wybrał mały, rzadko używany pokój konferencyjny. Zapalił światło i włączył klimatyzację, by odświeżyć cuchnące papierosowym dymem powietrze.

Pokój był urządzony spartańsko. Na popielatych ścianach wisiały anonimowe i niezbyt dobre obrazy przedstawiające klipry, ciemne morze i skaliste przylądki, środek zajmował oklejony laminatem stół i osiem

obrotowych krzeseł. Pod krótszą ścianą znajdował się kredens, który zawierał wyrafinowany sprzęt zagłuszający. Na kredensie stał tani ekspres do kawy i elektryczna kuchenka, bez wątplenia służąca do podgrzewania posiłków w czasie bardzo wczesnych lub ciągnących się do późnej nocy posiedzeń. Jak we wszystkich takich należących do CIA pokojach konferencyjnych, tu również nie było okien ani żadnych powierzchni, które mogłyby wywoływać wibracje, wychwytywane następnie przez wiecznie podsłuchującą opozycję.

Mężczyźni usadowili się przy stole i Lenfant otworzył dyplomatkę.

— Złe nowiny czy nie, człowiek musi jeść.

Wyjął termos z gorącą, zaprawioną brandy, nowoorleańską kawą, kanapki z rybą, pęto kielbasy z aligatora i jakieś konserwowe warzywa z przyprawami, od których mógłby zleźć lakier z samochodu.

— Te produkty zawstydzilyby pomyje z każdej rządowej kantyny

— objaśnił Lenfant, a jego gigantyczny uśmiech rozjaśnił cały pokój.

— I poszedłbym o zakład, że są lepsze od żarcia serwowanego przez większość restauracji w DC.

Thornburg poprosił o kawę, grzecznie wymawiając się od skosztowania jedzenia. Przyglądał się, jak Lenfant podgrzewa kielbaski. Był pewien, że unoszący się z nich aromat w większym stężeniu zostałby sklasyfikowany jako broń" chemiczna. Obrócił się na krzesło, otworzył kredens i włączył urządzenie wytwarzające biały szum, który miał im zapewnić absolutną dyskrecję.

Lenfant zdjął kielbaski, wyłączył podgrzewacz i wrócił do stołu. W jedzeniu było coś, co sprawiło, że Thornburgowi łzy napłynęły do oczu. Z fascynacją obserwował, jak Lenfant z widoczną przyjemnością pochłania swój cuchnący lunch.

— To błoto z Missisipi nie jest takie złe — powiedział, dolewając sobie kawy byłego senatora.

— Receptura mojej matki — poinformował Lenfant, z chirurgiczną precyzją rozcinając kielbaskę. — Szef kuchni w Galatoire od lat mnie nachodzi, bym mu jej użyczył. Nawet o tym nie myślę; moja matka pracowała długo i ciężko, lecz mogła być dumna ze stołu, jaki zastawiała dla nas pod koniec dnia. Nie mógłbym zdradzić jej sekretu.

Załadował widelec jedzeniem.

— Wiesz, że ten Jason Yoshida też jest pracoholikiem. - Przeżuł starannie kęs i przełknął. — Przysięgam, ten chłopak jest podobny do

mojej matki: nigdy nie sypia. — Lenfant miał miękki, monotony luizjański akcent, którego nie mógłby powtórzyć żaden nauczyciel języka.

— Czy on nigdy nie myśli o niczym poza pracą?

— O to lepiej zapytaj Harna. — Thomburg wpatrywał się w przejrzyste, brązowe oczy byłego senatora, miękkie jak jego akcent. Zastanawiał się, dokąd Lenfant zmierza, lecz pozwalał, by przeszedł do sedna w wybranym przez siebie momencie; tego człowieka i tak nie można było popędzić.

— No tak, do diabła, wiem, Thomburg. Ale twój syn jest przekonany, że jestem jedynie sztyldem. Sam tak chciałeś.

— Pomyślałem, że najlepiej będzie, jeżeli nasze stosunki pozostaną niezauważalne.

Lenfant stęknął, wgrzyzając się w kanapkę z rybą.

— No cóż, coś ci powiem. Swego czasu znałem wielu szpiegów. Niektórzy kompletnie nie zdawali sobie sprawy, że o nich wiem. Przysięgam jednak, że nigdy nie spotkałem człowieka, którego szpiegostwo bawiłoby tak jak ciebie.

— Wiedza jest władzą, jak mówiono w OSS — powiedział sentencjonalnie Thomburg, nawiązując do poprzednika CIA, Urzędu Służb Strategicznych.

Lenfant skinął głową.

— OSS było inną parą kaloszy. W dzisiejszych czasach wszyscy wykonują rozkazy i są z tego powodu wielce szczęśliwi. — Lenfant przeżuwał monotonicznie kanapkę. — Co kojarzy mi się z celem tego spotkania. To ty wpadłeś na pomysł, bym skontaktował się z twoim synem i użyczył mu swego nazwiska, żeby dyskretnie mieć oko na jego poczynania. I na Yoshidę. Co właśnie czynię. — Napił się kawy.

— Chociaż ostatnio zrobiłem się trochę bardziej ciekawy, głównie dlatego, że Yoshida stał się nieco niespokojny. Odwaliłem więc kawał solidnej roboty, poddałem jego biuro „miękkiemu rzutowi”, jak nazywaliśmy tego typu rzeczy w polityce nad zatoką. — Lenfant zmarszczył brwi, co było wyraźną oznaką złych wieści. — Czy wiesz, że ten osobnik wyjechał na noc do Nowego Jorku? Poleciał samolotem, zarekwirował rządowy wóz i wrócił następnego dnia wcześniej rano.

— I co z tego?

Lenfant wzruszył ramionami. Wyglądało na to, że w tej chwili ma dość jedzenia.

— Może nic. Ale zastanawiam się, czy wiesz, że twój chłopiec, Matheson, jest wrabiany.

Thornburg nie odpowiedział.

— Mów dalej.

— Matheson jest poszukiwany przez szefa policji, Jacka Breatharda, który wierzy, albo chce wierzyć, że Wolf zamordował niejakiego Squire'a Richardsa, jedynego czarnego członka swego zespołu. — Lenfant uniósł prawą brew. — Znalaziono go przed domem z dwiema kulami z tyłu głowy, rankiem, kiedy był tam Jason Yoshida. Balistycy policyjni potwierdzają, że kule wystrzelono z pistoletu Mathesona. — Pokiwał głową. — To robota Yoshidy, nie ma co do tego najmniejszych wątpliwości.

Komuś innemu Thornburg powiedziałby: „Niemożliwe. Mylisz się”. Ale znał Lenfanta zbyt dobrze i zbyt długo. Ten człowiek był skrupulatny. Gdyby jego słowa można było zanieść do banku, to przyniosłyby duży i pewny zysk.

— Wiem, że nie ty jesteś autorem tego zabójstwa w Nowym Jorku — powiedział miękko Lenfant — ponieważ po powrocie uciąłem sobie małą pogawędkę z Yoshidą. Wiesz, jaki on jest: wydobyć z niego czeokolwiek jest wyczynem iście epokowym. Ale widać, że niepokoją go najnowsze decyzje twego syna. — Lenfant pochylił się i zniżył głos, chociaż nie było takiej potrzeby. — Thornburg, twój plan jest poważnie zagrożony. Twój syn na własną rękę zdecydował, że Wolf Matheson powinien zostać wykluczony z gry. Ham w tej chwili buduje dla niego klatkę i nie sądzę, by Wolf zdołał się z niej wydostać.

Wolf z pistoletem w dłoni przechodził z pokoju do pokoju, przeszukując zakamarki, w których mógłby kryć się Kamiwara. Nie wiedział, jaką taktykę przyjął Japończyk. Może więc powinien przerwać te podchody i obwarować się na własnym gruncie?

Gdzie jesteś, Kamiwara? Gdzie się ukrywasz?

Wolf wspomniał liczne zabawy w chowanego z czasów dzieciństwa w Elk Basin. Skoncentrował się.

Zbliżał się do końca długiego głównego korytarza. Przed nim był zakręt w lewo i, jak wiedział, jadalnia komisarza. Mógł iść albo tam, albo zawrócić. W korytarzu panował półmrok, było to doskonale miejsce na zasadzkę.

Zobaczył drzwiczki w jednej płaszczyźnie ze ścianą. Były na tyle duże, że niewielki człowiek mógłby się za nimi ukryć. Szarpnięciem otworzył drzwi.

Zobaczył puste i jakby drwiące wnętrze kuchennej windy. Musiał znajdować się bezpośrednio nad kuchnią; Kamiwara wodził go za nos. Wsunął głowę i ramiona w ciemność i zajrzał w szyb. Wtedy usłyszał Chikę rozmawiającą po japońsku z jakimś mężczyzną. Skierował swą *makura no hiruma* w dół, w kierunku tego człowieka. Kim on jest?

Po chwili napotkał aurę obcego i pot spłynął mu po plecach.

Jezu Chryste — pomyślał — ona rozmawia z Sumą! I to nie jak z wrogiem, ale jak z sojusznikiem.

Zamknął drzwi windy i z powrotem zajął się polowaniem na Japończyka.

Znajdź Kamiwarę — myślał. To najważniejsze. Chiką zajmiesz się później. Jeśli będzie jakieś później.

Cał po calu przesuwiał się do załomu korytarza, póki jego cień nie dotknął rogu. Milimetr dalej i Kamiwara wiedziałby, że tu jest — o ile czekał za rogiem.

Wolf wpatrywał się w mrok korytarza, pragnąc wyczuć obecność Kamiwary. Jakiś dźwięk, zapach... Coś, co naprowadziłoby go na trop...

Nic.

Czekał.

Nic.

Pomyślał o towarzyszącym mu przyjacielu, mrocznym i wiernym, dyszącym u jego boku. Nadal trochę się go bał, ale potrzeba przeważała nad strachem. Wezwał go, a wtedy przypomniał sobie, że gdy w magazynie Suma posłużył się swoją mocą, on potrafił ją wychwycić i zlokalizować jej źródło. Zastanowił się, czy przypadkiem Kamiwara, wysyłając na zwiad swoją *makura no hiruma*, nie będzie w stanie odkryć w podobny sposób jego. Niepokoił się tym, lecz, niewiele myśląc, oderwał się od ściany, skręcił za róg i pomknął korytarzem, wysyłając przodem moc.

Chryste!

Wolf potknął się i prawie stanął, jedynie siłą woli zmusił się do dalszego ruchu. Usłyszał powolne sapanie bardzo podobne do oddechu swego mrocznego towarzysza.

Znalazłem go — pomyślał. — Wyczułem jego aurę, zanim zmanifestował własną *makura no hiruma*.

Kamiwara wyłonił się z ciemności groźnej niczym Nemezis nie jak człowiek, ale jak jeden z demonów kradnących dusze umierających, jak ten, do którego Wolf strzelała na ścieżce śmierci.

Kamiwara zobaczył go, drgnął i zaczął wysyłać *makura no hiruma*. Wolfowi udało się odepchnąć ją własną mocą.

Japończyk przykucnął i zamachnął się ręką uzbrojoną w połyskujące małe ostrze. Wolf poczuł, jak moszna kurczy mu się ze strachu. Instynkt kazał mu się sprężyć, ale zdołał go zwalczyć. Rozluźnił się i skoncentrowali podczas gdy śmierć mknęła ku niemu na podobieństwo błyskawicy.

Wolf zmuszał się, by nie myśleć o bólu. Musiał zaufać swojemu ciału, technice wyuczonej przez japońskiego *sensei*.

Potem nie było już czasu na świadome myśli.

Gdy ostrze Kamiwary znalazło się o kilka cali od jego krocza, Wolf wysunął prawą rękę, uchwycił prawy nadgarstek przeciwnika i jednocześnie osunął się na kolano. Czuł, jak ostrze drasnęło mu skórę, gdy stosował *irimi*. Wykorzystując pęd Kamiwary, szarpnął go w przód, wytrącił z równowagi i obrócił tak, że Japończyk walnął o załom muru.

Kamiwara opadł na kolana, jego ramię zderzyło się ze ścianą, ale nie wypuścił ostrza. Stał przemknęła jak błyskawica obok ręki Wolfa, wytrącając mu pistolet, który ze świstem przekoziółkował poza zasięg walczących.

Wolf założył Kamiwarze dźwignię i usłyszał ostry trzask kości. Nóż wysunął się z bezwładnej dłoni.

To otwarcie, jakiego potrzebuję — pomyślał Wolf, wyprowadzając cios podstawą dłoni w kierunku szczęki Kamiwary. Kamiwara uderzył go w nadgarstek, odwracając cios i pozbawiając go siły.

Japończyk czekał na ruch — obaj wiedzieli, że Wolf po rozbrojeniu będzie się starał przejąć inicjatywę. Japończyk uprzedził zamiary Wolfa i uderzył lewą pięścią w bok jego szyi.

Mierzył w nerwy obok tętnicy szyjnej, ponieważ doprowadziłoby to do natychmiastowego paraliżu, ale źle wyliczył i pięść trafiła w obojczyk. Wolf wycelował w prawy nadgarstek Kamiwary, lecz też nie udało mu się wprowadzić poprawnego ciosu. Kamiwara zamachnęła się drugi raz.

Wolf zachwiał się pod wpływem uderzenia. Musiał zmienić taktykę, bo czas uciekał i poziom adrenaliny w organizmie stopniowo malał. Mięśnie odzwyczajone od ruchu przez okres rekonwalescencji stawały się coraz bardziej zmęczone i z każdą chwilą malały jego szanse na przeżycie. Niedługo mogły spaść do zera. Musiał coś zrobić.

Spróbował ogłuszyć przeciwnika *makura no hiruma*, ale natychmiast poczuł ostre szarpnięcie. Kamiwara był na to przygotowany i natychmiast odpowiedział uderzeniem własnej mocy.

Twarz Kamiwary wisiała w ciemności niczym halloweenowa maska z dyni, niczym uśmiechnięta szeroko czaszka śmierci domagającej się kolejnej ofiary. Złote zęby zgrzytały jeden o drugi, długie poźółkle górne kły naciskały z trzaskiem na dolne, grube wargi rozciągały się, a ścięгна na karku Japończyka napięły niczym struny.

Dwaj mężczyźni byli bliscy niczym kochankowie, przepływały między nimi emocje równie potężne i prymitywne jak żądza.

Wolf szukał chrząstki krtani na gardle Kamiwary, bo zmiżdżenie jej oznaczałoby śmierć, a musiał zakończyć walkę jak najszybciej. Lada chwila mogło pokonać go zmęczenie i Kamiwara wziąłby nad nim górę.

Kamiwara gwałtownie zacisnął zęby, gdy palce Wolfa natrafiły na jego szyję. Kantem dłoni wałnął go twardo w przedramię. Wolf poczuł, że ręka mu drętwieje po czubki palców. Wtedy Japończyk złapał go za szyję i nacisnął szerokimi kciukami na krtani. Błyskawicznie zmienił chwyt w ten sposób, że szyja przeciwnika znalazła się w zgięciu jego łokcia. Wolf wiedział, że Kamiwara ma zamiar skrócić mu kark. Mógł dokonać tego w piętnaście sekund, o ile Wolf nie znajdzie sposobu, by go powstrzymać.

Było to cholernie mało prawdopodobne; zmęczenie narastało w zatrważającym tempie, oczy zaszyły mu czerwoną mgłą wysysającą resztki energii.

Organizm wiedział, co się dzieje, że nadchodzi śmierć, i broniąc się, dostarczył do żył ostatnią wielką dawkę adrenaliny, ale na próżno. Ręka Kamiwary była nieustępliwa jak stal, całą górną połowę ciała napierał na Wolfa. Kręgi szyjne zaczęły powoli ustępować.

— To takie niesprawiedliwe — lamentował Hiroto. Był pijany, jego marynarka leżała na zwiniętym futonie, koszulę miał pomiętą i rozchełstaną, krawat przekrzywiony. — Ja pracuję anonimowo, a wszystkie zaszczyty spływają na Yuji. On ma pieniądze, koncern, sławę, wszystko, a co ja mam? Gównianą wypłatę i kawałek „Shian Kogaku”, na który mogę tylko popatrzeć, bo jest na nazwisko mojej żony. — Chwycił butelkę szkockiej i wylał resztkę do szklanki. — Jestem cieniem, zdolnym człowiekiem, o którym nikt nigdy nie słyszał.

Evan z wielkim zainteresowaniem słuchała jego pijackiego gładzenia. Znalazła sposób spotkania się z Hiroto w szpitalu, w którym obecnie leżała jego żona. Siedziała zgarbiona w jasnej, przesyconej bólem poczekalni, gdy wyszedł z oddziału. Nie mógł jej ani nie zauważyć, ani pozostać niewzruszonym na jej płacz.

Teraz siedzieli w pobliskiej restauracji, wielce szacownej, dzielił ich drewniany stół — nie wymienili nawet jednego kokieteryjnego spojrzenia. Hiroto był człowiekiem, którego łatwo było rozszyfrować, ale oczywiście Evan skorzystała z nieświadomej pomocy Wakare. Zaprezentowane przez niego możliwości były niczym kamień z Rosetty: widziała je, ale nie potrafiła ich zinterpretować. Instynktownie wiedziała, że Toshin Kuro Kosai szuka innego poza Minako dojścia do Wyrocni. Nie znaczyło to, że nie ufano matce Yuji; przeciwnie, wszyscy szanowali jej wielokrotnie prezentowaną lojalność w stosunku do stowarzyszenia. Ale w tym wypadku chodziło o jej syna. Pominąwszy *gin* — poczucie obowiązku — więzy łączące matkę z synem niczemu nie mogły się równać. Evan nawet bez instruowania wiedziała, że na wszelki wypadek trzeba znaleźć zapasową drogę do Wyrocni. A Wakare dał do zrozumienia swojej ulubionej prostytutce Micie, że może ją otworzyć Hiroto, zazdrosny szwagier.

Nie znaczyło to bynajmniej, że Hiroto był głupi; daleko mu było do tego. Evan z doświadczenia wiedziała, iż ludzie zawistni bywają wielce przebiegli, obsesja bowiem częstokroć czyni ich paranoikami; krótko mówiąc, stają się podejrzliwi w stosunku do wszystkich. Doświadczenie nauczyło ją również, że podejrzania te łatwo jest wzbudzić, a trudno uspić — najlepiej więc do nich nie dopuścić.

Z myślą o tym powiedziała:

— Przepraszam za tę scenę, jaką zrobiłam w szpitalu, Hiroto-san. To niewybaczalne.

— Nie, nie, to ja powinienem przeprosić — upierał się. — Ja byłem intruzem.

— Ale tak się cieszę, że przyszedłeś tu ze mną! — Evan nawet na niego nie spojrzała, by nie miał najmniejszych wątpliwości co do jej prawych intencji. — Nie mogłam powstrzymać się od płaczu. Mój mąż ma ciężko chore nerki. Lekarze powiedzieli, że to niespotykane u tak młodego człowieka. Och, Hiroto-san, byliśmy tacy szczęśliwi, jak idealna para z telewizyjnego serialu. Kochaliśmy się, całe życie było przed nami...

— Pojedyncza łza błysnęła w kąciku jej oka i migotała, gdy Hvan drżała od powściąganego wzruszenia. — A teraz leży w szpitalu podłączony do sztucznej nerki. Odwiedzam go codziennie i widzę, jak życie z niego ucieka. Co z nami będzie? — Schyliła głowę, ramiona jej drżały, gdy szlochała bezgłośnie.

Hiroto spojrział na nią przez pijacką mgielkę zaćmiewającą mu oczy. Wyprostował się, szarpnął krawat w daremnej próbie wyprostowania go. Skłonił się jej formalnie.

— Ja także znajduję się w podobnej sytuacji.

— Naprawdę? Jakie to okropne! — Głowa Evan uniosła się, a serce Hiroto zabiło mocniej, gdy zobaczył smugi łez na jej policzkach.

— Mam żonę, której choroby nie można rozpoznać i która już nigdy nie wyzdrowieje. — W zasadzie był małomówny i zamknięty w sobie, lecz teraz widział, że nie musi milczeć; był z kimś, kto kroczył tą samą ścieżką, z kimś, kto potrafił zrozumieć nękającą go udrękę. — Ta choroba zabrała mi żonę. Nie jest jeszcze martwa, w każdym razie nie klinicznie — ale w jednej chwili zanosি প্লaczem, a w drugiej wpada w niepohamowaną wściekłość. Gdzie się podziała ta piękna kobieta, którą poślubiłem? Zniszczyło ją coś złowieszczego, coś niewidzialnego! Mój Boże, życie jest gorzką pigułką.

- Ale trzeba żyć, prawda? — rzekła Evan, wycierając oczy. — Musimy być silni.

- Dlaczego? — zapytał ponuro Hiroto. — Nie widzę celu.

— Ponieważ — zaczęła Evan, pochylając się ku niemu — zawsze istnieje szansa, że spotkamy kogoś, kto zrozumie, a to uczyni życie na powrót znośne.

Uchwycił jej spojrzenie, pomyślał: Przecież nie może mówić o nas, nie ona, nie takie piękne, smutne stworzenie. Cóż we mnie mogła zobaczyć? Ale po chwili w momentalnym przeblysku zrozumiał, jak fortunne dla nich obojga mogłoby okazać się to spotkanie. Spotkanie dwojga ludzi nękanych przez podobne utrapienia, którzy mogliby się wzajemnie wspierać.

— Nie wiem, co zrobić, jeżeli ona umrze.

Evan wiedziała, że mówi o Kazuki, swej żonie, siostrze Yuji.

— Tak samo myślę o sobie i swoim mężu — wyszeptwała. — A jednak czasami sędzę, że on już nie jest moim mężem, to znaczy człowiekiem, w którym się zakochałam. Czy to nielojalne?

— Nie — odparł uprzejmie Hiroto. — Po prostu realistyczne.

— Och, czego bym nie dała, by mieć go z powrotem!

Widział, że zaraz znów wybuchnie płaczem i poczuł, że żal ściska mu serce.

— Ale, oczywiście, to próżne życzenie. Lekarze nie mają żadnej nadziei.

I wtedy zobaczył rozwiązanie. On, cień, który tak długo żył w otchłani anonimowości przeznaczonej dlań przez Yuji, mógł udowodnić, że jest coś wart, nawet jeśli tylko jednej osobie.

— Ja mogę to zrobić — wydyszał.

Brakowało mu tchu, jak po przebiegnięciu mili. Alkohol wparował i jego miejsce zajęła nadnaturalna ożywiająca jasność.

— Co zrobić? — Wyglądała na zmieszaną.

— Słuchaj, Evan — zaczął z podnieceniem w głosie. — Doktorzy nie wiedzą wszystkiego. Ja jestem informatykiem i pracowałem nad wynalazkiem, który prawdopodobnie odmieni stan twego męża.

— Och, Hiroto-san! — Zmarszczyła brwi. — Ale jak?

— To bardzo skomplikowane — uciął. Ostatecznie Dyta. tytko kobietą. — Ale generalnie chodzi o przekształcanie DNA w -żywym organizmie.

Jej twarz rozjaśniła się.

— Naprawdę uważasz, że to możliwe?

— Oczywiście.

— Ale to brzmi tak... — Pokręciła głową. — Nieprawdopodobnie.

— Chodź! — rzucił impulsywnie. A dlaczego by nie, do diabła?! To także mój wynalazek. I popatrz na tę twarz! Pieprzyć bezpieczeństwo, pieprzyć Yuji! — Udowodnię ci! Pokażę ci to od razu!

Jedyna szansa Wolfa polegała na zmniejszeniu morderczego nacisku, a mógł to uczynić atakując nerwy przeciwnika. Między żebrami i ramieniem, bezpośrednio pod obojczykiem, znajdował się główny splot nerwowy, który odpowiadał za całą rękę. Problem polegał na tym, że trudno było do niego się dostać, bo chroniły go twarde jak skała mięśnie Kamiwary. Niewielka przewaga, jaką Wolf początkowo uzyskał, szybko zmalała do zera.

Nacisnął kostkami dłoni, ale prawie od razu wiedział, że to nie wystarczy. Usłyszał kolejny trzask, gdy Kamiwara wykręcił mu szyję o jeszcze jeden cal w lewo. Czarne plamy eksplodowały mu w oczach,

a płuca walczące o tlen paliły go żywym ogniem. Mięśnie miał napięte do ostatnich granic, był prawie zgięty wpół i wyprowadzenie jakiegokolwiek skutecznego ciosu nie było możliwe.

Ciemność.

Potrzebował broni.

Usłyszał pomruk jakby zwierzęcia.

Drżenie.

Broń. Wolf zaczął przesuwając rękę w dół, póki palce nie zamknęły się na metalu. Ostre jak brzytwa wąskie ostrze, które Suma zgubił w magazynie.

Czuł, jak jego kark ustępuje.

Zmusił umysł do wyłączenia się, do wejścia w czerwone światło, do zaprzestania świadomego myślenia...

„Wąski jest most i wąska jest ścieżka...” — Wolf budował własny most ze strzał.

Nic poza unoszeniem się... i gorącem, straszliwym żarem... Wiedział, że może go dotknąć bez najmniejszego ryzyka. Umysł Wolfa zamknął ten żar w psychicznej dłoni i nagle, dziwne, wstrząsające wrażenie oładnęło jego ciałem, przebiegło przez klatkę piersiową, wzdłuż wyciągniętej ręki, do palców zaciśniętych na metalu.

Nacisk.

Ostrze, gorące jak żar w ognisku, jak słońce, wystrzeliło z dłoni niczym strzała w wojennego łuku.

Nacisk zelżał.

Kamiwara wytrzeszczył oczy, jego usta poruszały się milcząco, gruby język najwidoczniej utknął mu w gardle. Wolf pokręcił głową, przez ból udręczonych mięśni i ścięgien niewyraźnie wyczuwając nienaturalny żar.

Zobaczył ostrze tkwiące w ciele Kamiwary i raz za razem zaczął walić knykciami w piersiowy splot nerwów. Prawe ramię Kamiwary opadło jak martwe. Natychmiast skierował gorączkę ze swego umysłu w Kamiwarę; krew w nim tętniła, nienawiść i strach zlały się w jedno, organizm odreagowywał bliskość własnej śmierci i Wolf chciał, m u s i a ł uderzyć.

Zaczął dygotać pod wpływem koncentracji energii psychicznej, jego tajemniczy wewnętrzny silnik napędzał ciemność w południe, wysyłając ją na przeciwnika niczym potok wrzącej lawy, jak stado rekinów pożerających wszystko dookoła.

Wrzasnął, gdy w piersiach Kamiwary pojawiła się dziura. Tańczył w niej błękitny ogień; jama poczerniała i rozszerzała się, trzewia skwierczały w błękitnym płomieniu, z Japończyka wydobywał się ohydny smród.

Wolf trząsł się, znów wspominając cień przemykający obok niego na dachu domu Amandy, w mieście przeklętych, gdy Cathy stanęła w płomieniach, i w starym magazynie.

I wyczuł drżenie własnego cienia, który był jego częścią tak samo jak stary szamański przyjaciel, dyszący w niewidzialnej ciemności, mrużący niczym żywa istota, pędzący przezeń z prędkością i siłą błyskawicy.

„Wąski jest most i wąska jest ścieżka, która wiedzie do życia, i nieliczni są ci, którzy nią podążają”.

Wewnętrzny głos rozdarł świadomość Wolfa. Podniósł powieki i spojrzał na Kamiwarę, czy raczej to, co z niego zostało. Zobaczył światło gasnące w niczego nie rozumiejącym wzroku i ogarnięte płomieniami ciało.

Ale — pomyślał Wolf — czy musiałem wybrać ścieżkę, która wiedzie do zniszczenia i śmierci?

XII

TOKIO-NOWY JORK-WASZYNGTON

— WITAJ, HIROTO-SAN.

— To jest Wyrocznia — powiedział Hiroto. Obserwował twarz Evan, gdy dziewczyna zbliżała się do matowoczonego sześcianu. — Wyrocznio, to Evan.

Hiroto zabrał ją do magazynu w pobliżu rzeki Sumidy, gdzie przechowywano Wyrocznię. W magazynie nie było strażników, dostępu broniły jedynie wymyślne zamki cyfrowe. Hiroto oczywiście znał wszystkie kody. Przyjemnie było pokazać Evan, jak musi być ważny, skoro ma dostęp do Wyroczni.

— NIE POWINIENESZ JEJ TU PRZYPROWADZAĆ — skomentowała Wyrocznia.

— Wiem, to naruszenie zasad bezpieczeństwa — zgodził się Hiroto — ale zrobiłem to nie bez powodu. Ta kobieta jest kimś szczególnym. I ty możesz jej pomóc. A dokładniej: jej mężowi.

— EVAN NIE JEST ZAMEŻNA.

Evan, która okrążyła Wyrocznię, stanęła jak wryta.

— Co masz na myśli? — zapytał Hiroto. — Nie rozumiem.

— NIE TYLKO TEGO NIE ROZUMIESZ, HIROTO-SAN. ZABIERZ JĄ STĄD, NATYCHMIAST.

Evan odwróciła głowę i przeniosła spojrzenie z Wyroczni na Hiroto.

— Co tu się dzieje? — Obdarzyła go kpiącym uśmiechem. — Wygląda na to, że ta maszyna mnie nie lubi. Czy to możliwe?

— WIEM, KIM JESTEŚ — rzekła złowieszczo Wyrocznia. — STANOWISZ ZAGROŻENIE.

— Zapewniam cię, że ta maszyna mówi za siebie — wtrącił szybko Hiroto. — To bez sensu, ale...

— HIROTO-SAN — przerwał mu syntetyzowany głos Wyroczni. — CZY WIESZ, ŻE TA KOBIETA NALEŻY DO TOSHIN KURO KOSAI?

— Do Stowarzyszenia Czarnego Ostrza? Niemożliwe! I poza tym, skąd możesz o tym wiedzieć?

- ZAJMUJE BARDZO WYSOKĄ POZYCJĘ W HIERARCHII STOWARZYSZENIA, HIROTO-SAN, ALE NIE TRĄĆ CZASU NA WYPYTYWANIE JEJ. ZAPRZECZY WSZYSTKIEMU. JEST NIEBEZPIECZNA, HIROTO-SAN, MUSISZ TO ZROZUMIEĆ.

— Nie zwracaj na nią uwagi — rzekł Hiroto do Evan. — Chyba jakieś złącze się poluzowało.

— JEŻELI PODŁĄCZYSZ JĄ DO MNIE, ODCZYTAM JEJ MYŚLI. ZYSKAM DOSTĘP DO JEJ WSZYSTKICH SEKRETÓW, DO WSZYSTKICH SEKRETÓW STOWARZYSZENIA CZARNEGO OSTRZA.

Hiroto zauważył, że ta sugestia przestraszyła Evan. Twarz jej zbladła i cofnęła się o krok od maszyny.

— Chyba nie myślisz...

Hiroto roześmiał się, próbując uśmierzyć jej strach.

— Oczywiście, że nie. Nie bądź dziecinna. — Lekceważąco machnął ręką. — Ale może to, że cię tutaj przyprowadziłem, faktycznie było błędem. Musimy iść.

— Jeszcze chwileczkę.

— ONA CHCE SIĘ DOWIEDZIEĆ O MNIE JAK NAJWIĘCEJ, HIROTO-SAN. I ZABRAĆ TĘ WIEDZĘ DO STOWARZYSZENIA CZARNEGO OSTRZA. MASZ OBOWIĄZEK MNIE CHRONIĆ.

— Oczywiście, ale przed kim? Dlaczego Toshin Kuro Kosai miałoby na tobie zależeć?

— Z POWODU TEGO, CO MOGĘ, CZY RACZEJ CO PRAWIE MOGĘ ROBIĆ.

— A co to jest? Znam twoje wszystkie funkcje.

— NIE ZNASZ. POTRAFIĘ PRZEKSZTAŁCAĆ DNA W ŻYWYCH ORGANIZMACH, SPRAWIAĆ ŻE STAJE SIĘ ONO BARDZO PODOBNE DO DNA CZŁONKÓW STOWARZYSZENIA CZARNEGO OSTRZA.

DO TEGO STOPNIA, ŻE MIĘDZY NIMI NIE MA PRAKTYCZNIE ŻADNEJ RÓŻNICY.

— Mówisz mi, że za moimi plecami przeprowadza się jakieś eksperymenty?

— TAK. JAK DOTĄD PROCES TEN NIE JEST ZAKOŃCZONY. JEDYNY CZŁOWIEK, KTÓREGO DNA ZMIENIŁAM, JUŻ NIE ŻYJE. ALE YUJI I HANA PRACUJĄ NAD UDOSKONALENIEM TEJ FUNKCJI. GDY TO SIĘ UDA, STANĘ SIĘ NIEWIARYGODNIE WAŻNA DLA STOWARZYSZENIA CZARNEGO OSTRZA. BĘDĄ CHCIELI WYKORZYSTAĆ MNIE DO WPROWADZANIA ZMIAN DNA U INNYCH, BY UZUPEŁNIĆ SWE ZDZIESIĄTKOWANE SZEREGLI. DLATEGO EVAN TU PRZYSZŁA.

Hiroto odwrócił się do dziewczyny.

— Ta maszyna najwyraźniej zwariowała — stwierdziła Evan.

— DAJ MI, HIROTO-SAN. UDOWODNIĘ CI, KIM ONA JEST.

— Przestań! — rozkazał Hiroto, wyczuwszy, że traci panowanie nad sytuacją.

— WIDZIAŁEŚ JEJ MĘŻA, HIROTO-SAN? — zapytała maszyna we właściwy sobie, przenikliwie diaboliczny sposób. — JESTEŚ PEWIEN, ŻE ISTNIEJE?

— Nie widziałem go — przyznał Hiroto — ale wystarczy, że pójdę z Evan do szpitala. Jej mąż leży na tym samym piętrze, co Kazuki.

— WOBEC TEGO ZABIERZ JĄ TAM.

Hiroto spojrzał na Evan, czując się coraz bardziej bezradny, jak gdyby ciągnęły go dwie tajemnicze siły, każda w swoją stronę.

— Musisz powiedzieć mi prawdę.

Do oczu Evan napłynęły łzy.

— Jesteś okrutny, Hiroto-san, poddając mnie przesłuchaniu.—Pociągała nosem. — Oczywiście, ta maszyna kłamie.

Hiroto zmarszczył brwi.

— Maszyna, nawet tak zaawansowana jak Wyrocznia, jest niezdolna do kłamstwa. — Zrobił kolejny krok w jej kierunku. — Może nie zaszkodziłoby najpierw zobaczyć twojego męża.

— NA PEWNO BY NIE ZASZKODZIŁO — rzekła Wyrocznia.

— Jest za późno — powiedziała Evan.

— TAK, ZA PÓŹNO — skomentowała Wyrocznia.

— Chodzi mi o to, że jest noc. O tej porze nie ma wizyt. Jutro...
— DO JUTRA ZNAJDZIE KOGOŚ, KTO BĘDZIE UDAWAŁ JEJ
MĘŻA — stwierdziła Wyroczenia niczym najlepszy detektyw.
— Położę temu kres — rzuciła ostro Evan. — Zabiorę cię do szpitala
i obejrzysz kartę choroby.
Hiroto odwrócił się ku niej.
— Zrobiłabyś to?
— Oczywiście — odparła Evan bez wahania.
— NIE IDŹ Z NIĄ NIGDZIE, HIROTO-SAN — ostffiegłaWyIOCZnia.
— ONA JEST TERAZ NIEBEZPIECZNA.
— Dlaczego teraz?
— BO WIE, ŻE W SZPITALU NIE MA ŻADNYCH DOWODÓW
OBECNOŚCI JEJ FIKCYJNEGO MĘŻA.
— Jeśli tak, to ty uczyniłaś ją niebezpieczną.
— WIEM, HIROTO-SAN.

Hiroto otworzył drzwi laboratorium i wprowadził Evan. Goła żarówka nad ocynkowanymi drzwiami magazynu rzucała nieprzyjemne światło jak blask palonego magnezu.

— Przepraszam za to wszystko, ale musisz zrozumieć ostre wymogi bezpieczeństwa. Wyroczenia ma rację.

— Rozumiem. — Evan podeszła bliżej. Zielone półksiężycy zajarzyły się w jej oczach, a Hiroto złapał się za serce. Jego usta otwierały się i zamykały w daremnej próbie schwywania powietrza.

Evan cofnęła się i spojrzała w szeroko otwarte oczy. Mężczyzna zatoczył się, uderzył w ścianę magazynu, zawirował i usiadł ciężko na ziemi. Palce kurczyły mu się i prostowały jak palce dziecka.

Evan czuła ostry zapach ryb dolatujący z pobliskiego targowiska Tsukiji. Kucnęła obok mężczyzny i wyszeptwała:

— Cholerna maszyna! Okazała się sprytniejsza od ciebie, biedny Hiroto. — Później zaczęła zadawać mu pytania, używając swego daru wydobywania odpowiedzi, kiedy zaś była pewna, że już niczego więcej się nie dowie, ścisnęła silnie przeciążony mięsień jego serca.

Hiroto podskoczył niczym rażony prądem, a potem jego ciało opadło bezwładnie i znieruchomiało. Evan pochyliła się, wysunęła głowę do przodu, otworzyła usta, zamknęła je tak gwałtownie, że aż zadzwoniły zęby. Wyjęła bawełnianą chusteczkę i owinęła w nią to, co wypadło jej z ust. Schowała poplamione zawiniątko.

Przewiesiła sobie Hiroto przez ramię — ciężar nie stanowił dla niej najmniejszego problemu — i zaniosiła do jego wozu, po czym zawiozła do szczelnego, żelbetowego garażu przy domu. Przesunęła zwłoki na miejsce za kierownicą i wyszła, pozostawiając pracujący silnik.

Uważała, by niczego nie dotykać.

Spojrzała obojętnie na ciemny, śpiący dom i pomyślała:

Hiroto nie wiedział, w jaki sposób Yuji i Hana mają zamiar zmodyfikować Wyrocznie. Szkoda. Gdyby wiedział, mogłabym zabrać Wyrocznie i wtedy nie trzeba by było polegać na Minako i Yuji. Ale nie wszystko stracone. Wiem teraz, gdzie ją trzymają. Niech Yuji i Hana zakończą swoje przeróbki. Wtedy, jeżeli Yuji nie będzie chciał podzielić się z nami swym sekretem, będę wiedziała, do kogo się udać: do jego przyrodniej siostry, Hany.

— Breathard.

— Co?

— Breathard nadchodzi.

Wolf ujął wyciągniętą rękę Chiki i pozwolił postawić się na nogi. Prawie przewrócił się w jej ramiona. Oparł się o zbryzganą krwią ścianę, a ona spojrzała na skulone ciało Kamiwary.

Wtedy usłyszał głos z megafonu, odbijający się echem po domu:

— Tu szef policji Jack Breathard! Jesteście otoczeni przez oddział sił specjalnych! Stawianie oporu może zakończyć się śmiercią! Waszą śmiercią! Rzućcie broń i wychodźcie pojedynczo frontowymi drzwiami, w przeciwnym wypadku poniesiecie natychmiastowe konsekwencje! Macie jedną minutę! Wszyscy jesteście aresztowani! Łącznie z tobą, Matheson!

Słyszeli już ciężkie kroki gliniarzy przeszukujących wnętrze budynku.

Wydawało się, że jest ich cała armia.

Wolf nadal wpatrywał się w Kamiwarę.

— Ten sukinsyn chciał mnie zabić.

— Wynośmy się stąd! — Chika szarpnęła go za ramię.

Chciał odtrącić jej rękę, ale wtedy osunąłby się w jatkę u własnych stóp. Oderwała go od ściany; podarta, przesiąknięta krwią koszula przywierała mu do ciała, jakby przed chwilą został wyciągnięty z wody.

Chryste — pomyślał — skąd Breathard wie, że tu jestem? To pewne, że zamierza obedrzeć mnie ze skóry za zamordowanie Squire'a. Jeżeli mnie

złapie, będzie to równoznaczne z podpisaniem, zapakowaniem i wysłaniem do stanowego więzienia.

Przeszli przez kuchnię i wydostali się na tylną klatkę schodową. Żebrowany rokokowy sufit rozpościerał się wysoko nad ich głowami i sprawiał fałszywe wrażenie przestrzeni.

Na podeście pierwszego piętra Chika popchnęła go w cień pod ścianą. Ponieważ na dole gliniarze zapalili wszystkie światła, mogli więc zobaczyć zajmujących pozycje umundurowanych mężczyzn w hełmach, z tarczami, uzbrojonych w pistolety gazowe. W pewnej chwili Wolf zauważył Jacka Breatharda. Szef policji pod marynarką miał kamizelkę kuloodporną typu Kevlar. W jednej ręce trzymał megafon, w drugiej magnum kaliber 357 — broń zdecydowanie nie pochodzącą z oficjalnego wyposażenia.

Prawdziwy kowboj — pomyślał.

Breathard podniósł megafon do ust i powtórzył to, co powiedział kilka minut wcześniej.

Wolf usłyszał ostry dźwięk. Złapał Chikę za rękę.

— Idziemy.

Byli między pierwszym a drugim piętrem, gdy znów zadudnił megafon.

— Matheson, tu Breathard! Znaleźliśmy komisarza, czy raczej to, co z niego zostało! To twoja ostatnia szansa! Poddaj się, dopóki jeszcze masz przyjaciół, którzy chcą ci pomóc!

Po chwili ciszy rozległ się dźwięk przypominający otwieranie butelki i na klatkę schodową upadł metaliczny cylinder. Zaklekotał i potoczył się po posadzce. Wydobywająca się z sykiem chmura ruszyła w ich kierunku.

— Gaz łzawiący — powiedział Wolf.

Następny pocisk!

Pchnął dziewczynę w górę, gdy usłyszał odgłosy kolejnych eksplozji.

Czas — pomyślał. — Potrzebujemy tylko trochę czasu.

Na szczycie podestu trzeciego piętra spojrział w górę, szukając kłapy wodącej na poddasze. Pociągnął za łańcuch i opuścił ukryte schody. Wspięli się po nich i Wolf podciągnął je do poprzedniej pozycji.

— Gdzie jesteśmy? — zapytała w ciemności Chika.

— Na strychu — odparł Wolf, wycierając pot z twarzy. Wzięła ją za rękę. — Tędy.

Przy tylnej ścianie strychu było okno z przymocowanym do futryny pudełkiem z elektroniką. Urządzenie alarmowe.

Wolf wymacał przewody i oderwał je od ramy okna. Zdjął pokrywkę, z puszki, kieszonkowym nożem zestrugał izolację z fragmentów obu przewodów, znalazł gorący i podłączył do jednego z zacisków w skrzynce. Otworzył okno; chłodny wiatr owiał mu rozpaloną twarz. Wysunęli się na pochyły kamienny gzyms. Wolf odwrócił się i starannie zamknął okno.

Byli na tyłach kamienicy, ukryci przed patrolującymi otoczenie glinami. Wolf podciągnąwszy się wydostał się na dach. Po chwili pomógł wspiąć się Chice.

Przebiegli na drugą stronę dachu i przedostali się na sąsiedni. Budynki w większości przylegały do siebie, ale czasami musieli przeskakiwać nad głębokimi, mrocznymi studniami wąskich zaułków.

Raz czy dwa Wolf zatrzymał się, ponieważ pomyślał, że słyszy warkot rotora. Wiedział, że sprowadzenie policyjnych helikopterów wcale nie wykraczało poza kompetencje Breatharda. Na szczęście ton dźwięku nie ulegał zmianie.

Na końcu kwartału musieli zejść na dół. Wolf wybrał wewnętrzne schody, bo na zewnętrznych, biegnących wzdłuż bocznej ściany budynku, byłiby zbyt widoczni.

Chika otworzyła wąż i zeszli na podest. Wolf zaklął pod nosem. Noga bolała go coraz bardziej. Wiedział, że Chika porusza się wolniej, by dostosować się do jego tempa. Ostry ból szarpał nadwerżony kark, rana paliła żywym ogniem, a na dodatek kręciło mu się w głowie.

Mijali pierwsze piętro, gdy usłyszeli trzask frontowych drzwi i dudnienie ciężkich butów. Policja wpadła do holu. Wolf na wpół biegnąc, na wpół sunąc po poręczu, kierował się za Chiką na tyły kamienicy.

Usłyszeli jeszcze oficera wyrzaskującego rozkazy i wpadli na maleńkie podwórko zavalone grubą warstwą odpadków, których smród niemal pozbawiał ich oddechu. Wcisnęli się w przejście między dwoma budynkami; podeszwy butów miażdżyły stopy wyrzuconych strzykawek.

Wyłonili się na bocznej ulicy. Na lewo od nich policja już ustawiła zapory w poprzek jezdni.

— O mój Boże — wyszeptała Chika.

Wolf zerknął przez ramię w zaułek. Zobaczył, że brudne podwórko zapełnia się gliniarzami. Za chwilę odkryją drogę ich ucieczki.

Jesteśmy w pułapce — pomyślał z goryczą.

Potem usłyszał pisk opon i zobaczył zmaltretowaną żółtą taksówkę, która wyskoczyła zza rogu i tyłem ruszyła w ich stronę. Wyciągnął

stalowe ostrze i przygotował się do rzutu, lecz raptem usłyszał znajomy głos.

— Nie, na miłość boską! Wolf, to ja, Bobby!

Wolf zobaczył, że za kierownicą siedzi naprawdę Bobby Cprmor. Zamurowało go.

— Na miłość boską, rusz dupę! — wrzeszczał Bobby.

Gliniarze byli już w zaułku, szli jeden za drugim; ludzie obsadzający barykadę już odsuwali ją na bok, by przepuścić wóz patrolowy. Silnik zawył na zwiększonych obrotach i Wolf dostrzegł kłęby dymu wydobywające się z opon. Nie było czasu na zastanawianie się.

Wepchnął Chikę na tylne siedzenie i wsunął się za nią, Bobby zaś wdusił gaz do dechy. Popędzili ulicą, skręcili w sąsiednią pod prąd, na szczęście nie było ruchu, tylko stojące auta i w jednym miejscu zaparkowana na drugiego furgonetka, którą Bobby wyminął o kilka centymetrów. Wypadli na Osiemdziesiątą Szóstą i ruszyli w stronę Central Parku.

— Dobry czas — pochwalił Wolf. — Jak, do diabła, mnie znalazłeś? I Breathard?

— Ten sukinsyn Breathard chce twojej krwi — wydyszał Bobby wyprzedzając ociężały autobus wyrzgujący chmurę lepkich spalin w już dławiące powietrze. — Dostałem cynk, że zmobilizował siły specjalne i to mnie zaciekawiło. Wygląda na to, że ktoś cię sypnął.

— To niemożliwe. Nikt nie wiedział.

— Ktoś musiał wiedzieć i wyklepać Breathardowi. — Bobby zerknął na Wolfa we wstecznym lusterku. — Wiesz, że zgodnie z procedurą wszystkie międzymiastowe do wydziału są rejestrowane. Breathard wezwał „psy” zaraz po odebraniu telefonu z kodem dwa—zero—dwa.

— Jedź na południe — wtrąciła Chika. — Kieruj się na Central Park South.

Wolf zobaczył, że Bobby zerknął teraz na nią.

— Rób, co każe — powiedział.

Dwa—zero—dwa — pomyślał. — Waszyngton. Jediną osobą, która wiedziała, dokąd jedzie, był Shipley. „Teraz jesteś jednym z nas” — zapewniał, a w chwilę później go zakapował. Dlaczego? Od kogo, do diabła, Shipley przyjmował rozkazy?!

Bobby minął skrzyżowanie i wjechał do Central Parku, klucząc między licznymi pojazdami.

Wziąłem ten wóz, Wolf, bo trudno jest wytropić taksówkę.

— W porządku. — Wolf odwrócił się i wyrzwał przez tylną szybę.
— Nie widzę nikogo.

— Ja też nie. Chyba ich zgubiliśmy. — Przejechał przez czerwone światła, nic nadzwyczajnego dla nowojorskiej taksówki, gliniarze byli do tego przyzwyczajeni, ale nieomal rozjechał parę biegaczy.

Poszedłem pogadać z bratem Squire'a, jak mówiłeś — relacjonował Bobby. — Nie było łatwo, ale w końcu zgodził się na rozmowę. Squire nie kłamał, Wolf. Brat wisiał u rekinów na dwadzieścia pięć kawałków. To znaczy tyle, ile zarabia w ciągu roku. Ale interesujące jest to, że płacił im regularnie, co dwa tygodnie.

Zwolnił za dwukółkaj kopyta zmęczonego konia klekotały po asfalcie.

— Później, kilka dni przed bijatyką ze Squire'em, wszystko się zmieniło — ciągnął Bobby. — Dwóch zbirów przyszło na szkolny dziedziniec i, uważaj, groziło córce brata. Ona ma teraz jakieś osiem lat.

— Tak, wiem. — Wolf zerkał przez tylną szybę na ciągnący za nimi sznur pojazdów.

— Cóż, zastraszanie rodziny nie leży w zwyczaju rekinów, szczególnie gdy jeleń płaci. Brat myśli, że właśnie to zmusiło Squire'a do działania.

— Pilny z ciebie chłopiec — rzekł z aprobatą Wolf. — Czy brat domyśla się, kto załatwił Squire'a?

Znajdowali się w południowej części Central Parku, w dali wznosiły się wieżowce Central Park South.

— Może tak, może nie. Powiedział, że rankiem w dniu popełnienia morderstwa wybrał się do Squire'a. Chciał go uspokoić; był pewien, iż zdoła dogadać się z rekinami. I wtedy go znalazł. Rzecz w tym, że przybył na miejsce jakieś pięć minut wcześniej, niż powiedział ludziom Breatharda ze spraw wewnętrznych. Mnie się przyznał, że widział odjeżdżający samochód. W środku siedziała jedna osoba, mężczyzna, jest tego pewien. I ma wrażenie, że był to Azjata; prawdopodobnie Japończyk.

— To bez sensu. Nie ściągano by jakiegoś obcego z Chicago czy Detroit do odwalenia mokrej roboty.

— Też tak sądzę — rzekł Bobby, wjeżdżając do Central Park South.

— I jeszcze jedno, brat przysięga, że ten samochód miał rządowe tablice.

Rządowe tablice — pomyślał Wolf. — Agenci. Dla kogo pracuje Shipley?

— Cholera! Dlaczego nie powiedziałeś tego wszystkiego facetom ze spraw wewnętrznych?

— Wolf, musisz zrozumieć napięcie, jakie panuje w wydziale. Breathard podkręca każdego czarnego. Brat Squire'a boi się, że rzucą się na niego z pazurami, boi się, że swoi się go wyprą. Zrozum. Breathard wmawia ludziom, że jesteś łajdakiem i chyba nie ma nikogo, kto chciałby przeciw niemu wystąpić. — Bobby pokręcił głową.

Wolf usłyszał jakiś obcy w tym otoczeniu dźwięk i wyteżył słuch, by go rozpoznać. Każda informacja mogła być teraz kluczowa i nie wolno było jej lekceważyć. Po chwili dźwięk jakby rozplątał się w chaotycznym hałasie śródmieścia. Gdy mijali Szóstą Aleję, wyczulony słuch Wolfa znów go wychwycił — lekki, niewyraźny szum na tle innych wielkomięjskich odgłosów.

— Chryste, nasłali na nas helikopter.

— O kurwa, ale ze mnie idiota! — Bobby trzasnął w kierownicę obiema rękoma. — Namierzili nas przez ten świecący w podczerwieni znak na dachu! — Zahamował z wizgiem opon i krzyknął: — Wysiadajcie!

Wolf nie miał nic przeciwko. Wyskoczył wraz z Chiką z taksówki, ale zatrzymał się, widząc, że Bobby nie rusza się z miejsca.

— Chodź! — wrzasnął. Zerknął w górę i zobaczył, jak policyjny śmigłowiec niczym drapieźny ptak wylania się powoli zza szczytu Plaża Hotel. — Na miłość boską, Bobby, nie możesz tu zostać. Zaraz cię dopadną!

— Nie martw się. Nic mi nie zrobią. Oni...

— To Breathard, chłopie. Teraz nie cofnie się przed niczym i nie będzie zadawał pytań.

— Nie pójdę z wami.

W górze widać już było prawie całą maszynę.

— Zabieraj się w diabły, Bobby! — warknął Wolf. — Wiem, co mówię.

Wtedy Chika złapała go za ramię, pociągnęła na południową stronę ulicy i pobiegła na zachód pod ochroną wysokich budynków.

Wolf obejrzał się i dostrzegł żółtą taksówkę odjeżdżającą od krawężnika, a w tle szary kamienny mur i bujne drzewa Central Parku. Warkot helikoptera stawał się coraz głośniejszy; przechodnie zatrzymywali się i zadzierali głowy.

Cień maszyny wędrował w poprzek jezdni, gdy pilot szukał miejsca do lądowania. Wolf zobaczył, że żółta taksówka zatrzymała się gwałtownie i wystrzelił z niej Bobby. Między taksówką a innymi pojazdami natychmiast powstała wielka luka. Przechodnie cofnęli się pod ściany. Przez ochryply warkot silnika przebijał się wzmocniony głos, może Breatharda.

Na chwilę przedtem, nim helikopter dotknął ziemi, Wolf zaczął szukać wzrokiem Bobby'ego. Poczuł ogromną ulgę widząc, jak kluczy między unieruchomionymi samochodami. Był prawie obok nich, gdy uwagę Wolfa przyciągnął nowy hałas. Z parku wyjechał mężczyzna na olbrzymim wiśniowoczerwonym harleyu electra-glide. Wolf poznał małego Japończyka, Sumę.

— Bobby!

Chika szarpnęła go w cień fasady. W tym samym momencie Bobby zawirował, zatrzęsł się i stanął w jasnoblękitnych płomieniach.

Ham Conrad miał właśnie zacząć grać w tenisa z Harrisem Pattersonem, prawnikiem, z którym widział Marion Starr St. James w dzień ich poznania przy Willard Hotel, gdy zobaczył, że w jego stronę kieruje się znajoma.

Jęknął w duszy.

— Witam, pani Simmons — rzekł przyoblekając twarz w swój najsympatyczniejszy uśmiech. Teraz skojarzył sobie, że to ona wpatrywała się w Marion w kawiarni na Columbia Road.

— Dlaczego nie mówisz mi po imieniu, Ham? — zagadnęła Audrey Simmons. — Ale, no cóż, nie mogę wymagać, byś mnie pamiętał. — Jej tenisowy ekwipunek według szacunku Hama musiał kosztować senatora Simmonsa co najmniej trzy tysiące dolarów.

Położyła rakiętę na ramieniu i długimi, krwistoczerwonymi paznokciami odgarnęła włosy z czoła. Sportowy strój podkreślał jej płaski brzuch i długie nogi. Ham dostrzegł sutki pod ciemną bawełnianą bluzką; aż za dobrze wiedział, że kobieta nie ma stanika. - Z pewnością nie przyszła tutaj, by grać w tenisa.

Audrey błysnęła uśmiechem i zbliżyła się o krok.

— Cieszę się, że cię widzę.

— Pani Simmons, to znaczy Audrey, nie chciałbym być niegrzeczny, ale partner na mnie czeka...

— Tak, przystojny, ale tępy Harris Patterson.

— Znasz go?

— Czy go znam? — Audrey uśmiechnęła się słodko. — Miałam go.

Dobry Boże — pomyślał Ham — jakąż kobietę poślubił Leland Simomons? Krwistoczerwone paznokcie skubały jego koszulę.

— Ham, ciekawa jestem, czy wiesz, Jak bardzo chciałabym się z tobą pieprzyć.

— Audrey, naprawdę, ja...

— Marzę o tym, że wezmę twojego koguta w usta, że będę go lizała, aż stwardnieje, i ssała, gdy wytryśnie...

— Nie drzyj się tak.

Ham, zatrwożony, ujął ją pod ramię i poprowadził do siatki otaczającej kort, gdzie nikt nie mógł ich podsłuchać. Nie przewidział jednego; ze Audrey wsunął mu wolną rękę między nogi.

Oczy jej rozblęły.

— Nie jestem ci obojętna.

— Audrey, przestań — wychrypiał, odsuwając jej rękę. — Twój mąż przysłał cię do mnie, żebym pomógł waszemu synowi. Zrobiłem to i na tym koniec.

— Nie, to nie koniec. Oboje wiemy, że kiedy nadejdzie odpowiednia pora, zadzwonisz do mego męża i on ci się zrewanżuje; tutaj wszystko tak się załatwia. Dlaczego dla mnie miałyby być inaczej? — Spojrzała mu w oczy. — Och, teraz rozumiem. Uważasz, że mój mąż może ci pomóc, a ja nie. — Uśmiechnęła się. — Mylisz się. — Przyłożyła palec do ust, pukając w nie z zadumą. — Dlaczego grasz w tenisa z tym obdarzonym wielkim kutasem, ale skądinąd nudnym Harrisem Pattersonem? — Zachichotała, widząc wyraz jego twarzy, ale on opanował się, nim zaczęła mówić dalej: — Zastanawiam się, czy ma to coś wspólnego z kobietą, z którą widziałam cię w kawiarni. Z Marion Starr St. James.

— Znasz Marion?

Uniosła brwi.

— Już Marion, tak? Znam ją tylko pośrednio, przez Harrisa. — Znów błysnęła swoim słodkim uśmiechem. — Harris lubi rozmawiać... po tym. Mówi, że to mu zmniejsza ciśnienie. Co za dureń! Ale muszę przyznać, że czasami użyteczny. Jesteś zainteresowany?

— Audrey, na pewno nie jestem zainteresowany tym, co robisz. Wymuszaniem.

Odeła wargi.

— Nie lubisz mnie nawet troszeczkę? — Znów go dotknęła. — Nie kłam, Ham. Twoje ciało nie kłamie.

— Jesteś piękna — stwierdził zgodnie z prawdą.

Uśmiechnęła się szeroko.

— Ale wzbudziłam w tobie odrzę gadać o ssaniu twego fiuta i o sypianiu z Harrisem.

— No cóż, nie moją rzeczą jest sądzić, jak powinna zachowywać się kobieta.

Zatrzęsła się ze złości i trzasnęła go w twarz,

— Jak śmiesz osądzać mnie na podstawie moich słów? Czy osądzałbyś mnie w taki sam sposób, gdybym była mężczyzną? Nie. Szczerysz zęby, mrugasz znacząco i bierzesz udział w pogaduchach o wielkich kogutach i pieprzeniu. — Spiorunowała go wzrokiem. — Miałeś wiele kobiet. Miałeś Marion Starr St. James. Rzniesz, kogo chcesz, a dlaczego mnie nie wolno robić, co mi się podoba?

— Jesteś zamężna.

— Och, proszę, nie bądź dzieckiem. — Łypnęła na niego szelmowsko.

— A według ciebie to w porządku, że zdradzaj swoją żonę?

— Nie znasz mojej żony.

— A ty nie znasz Lelanda Simmonsa.

Zerknął nad jej ramieniem, pomachał do Harrisa Pattersona i dał znaki że zaraz idzie. Spojrzała na nią.

— Właściwie czego ty ode mnie chcesz?

— Już niczego. Chyba myliłam się co do ciebie. Widzisz, sypiałam z Harrisem, ale kiedy odkryłam, jaki z niego nudziarz, momentalnie przestałam. Prawda jest taka, Ham, że w pewnej chwili uznałam, iż jesteś interesujący. Nawet więcej: ludzki. To, jak pomogłeś mojemu synowi, było cudowne. Żałuję, że sama nie potrafiłam sobie z nim poradzić. Jasne, spodobało mi się twoje ciało ale zobaczyłam też coś innego, coś, co trafiło mi do serca. Teraz nie jestem pewna, co to było.

— Audrey, ja...

Uśmiechnęła się.

— W porządku, Ham, nigdy nie miałam zamiaru zmuszać cię do niczego, po prostu grałam. Dla mnie to była zabawa, ale widzę, że nie dla ciebie, więc zapomnijmy o tym. — Odsunęła się, by odejść, ale zatrzymała się w pół kroku. — Aha, a propos Harrisa i tej st. James: on właśnie finalizuje umowę, która ma ją wypłacić z raczej dziwnego układu z pewnym facetem.

— Co masz na myśli, mówiąc „dziwnego”?

Audrey otworzyła szeroko oczy.

— To znaczy, że bardzo dziwnego.

— Kim jest ten facet?

Audrey opuściła rakieta i popukała go delikatnie po brzuchu.
— Teraz najbardziej soczysty kasek, Ham. — Roześmiała się. — Ten facet jest twoim ojcem.

— Słyszę ich — wyszeptał Wolf. — Są bardzo blisko.

Chika zakryła mu usta dłonią.

Gdzieś niedaleko zaskrzypiała podłoga i zabrzmiał na wpoi stłumiony przez ścianę głos:

— Popatrz na te wszystkie cholerne ciuchy! Pieprzony facet.

Leżeli w sekretnym pokoiku, który Wolf odkrył w ogromnym mieszkaniu Moravii. Tuż za cienką ścianą funkcjonariusze Nowojorskiego Departamentu Policji pracowali ciężko nad ich znalezieniem.

W chwili gdy Bobby Connor stanął w płomieniach, Chika wciągnęła Wolfa do służbowego wejścia do budynku, do którego muru przywierali. Nieprzypadkowo był to gmach Moravii; to dlatego Chika kazała Bobby'emu jechać do Central Park South.

Poprowadziła go w dół wąskiej klatki schodowej. W powietrzu unosił się zapach wiecznej wilgoci, słychać było kapanie wody z nieszczelnego kurka.

Schody wychodziły na poplamiony olejem prostokąt asfaltu, na którego końcu znajdowało się wejście do służbowej windy. Z gołych dwudziestowatowych żarówek w tanich porcelanowych oprawkach sączyło się nagle światło. Gdy podeszli do drzwi, Wolf zobaczył, że mają one jedynie zamek awaryjny, którego wymagały miejskie przepisy przeciwpożarowe.

Chika wyciągnęła z kieszeni dziwny długi klucz, wsunęła go w zamek i przekręciła w prawo. Drzwi otworzyły się i weszli do kabiny. Wewnątrz również nie było przycisków, jedynie podobny jak w drzwiach zamek. Chika znów skorzystała z klucza, tym razem przekręcając go w lewo. Winda ruszyła w górę.

— Więc tak dostawałaś się do mieszkania Moravii.

Chika potwierdziła skinieniem głowy.

— Tylko my wiedzieliśmy, jak korzystać z tego systemu. Moravia był inwestorem, więc nietrudno mu było kazać coś takiego założyć.

Dlaczego nie? — pomyślał Wolf. — Kiedy człowiek wie dwie podwójne życie, musi zapewnić sobie sposób dyskretnego wchodzenia i wychodzenia z domu.

Winda zatrzymała się. Po pobycie w oświetlonej kabinie panujący na zewnątrz mrok zdawał się czarny jak smoła. Ale swoją drogą, niewiele było do zobaczenia. Wolf dostrzegł zwyczajne, gołe ściany, wyczuł ciasnotę pomieszczenia.

— Na kolana! — rzuciła Chika.

Wolf zastosował się do polecenia i ruszyli na czworakach w prawo. Przy końcu korytarza usłyszał zgrzyt metalu o metal, a po chwili w suficie otworzyła się kłapa. Chika sięgnęła w górę i Wolf miał wrażenie, że usuwa coś z drogi. Wychwycił ostrą czystą woń, która absurdalnie skojarzyła mu się z zapachem siana.

Chika zniknęła, w chwilę zaś później w kwadratowym luku rozbłysło światło. Wyciągnęła ręce i pomogła mu się wspiąć. Wolf znalazł się w sekretnym pokoju Moravii. Zobaczył *hibaci*, rękawice, zwinięty dywan, antyczne lustro, erotyczne fotografie Chiki. Gruba na jakieś dwa cale trzciniowa mata była przesunięta. Pod nią widniało wejście do mrocznego korytarza. Chika schyliła się, podciągnęła kłapę, zamknęła zasuwę i ułożyła tatami na swoim miejscu.

— Kamiwara nie żyje. I by go zabić, użyłeś *makura no hiruma*. Jak się czuleś?

— Zastanawiam się, czy wypuszczenie tego dzina z butelki nie było błędem — wyznał Wolf.

Cieszył się, że nie powiedziała: „A nie mówiłam?”

— Może dobrze, że odbierasz to w taki sposób. Ciemność w południe z pewnością ma złe strony. Ale spojrzenie na ten dar z odpowiedniej perspektywy będzie wymagało czasu. — Oczy Chiki rozbłysły. — Świat zmienił się dla ciebie, Wolfie, i nie masz już odwrotu.

Pomyślał o tym, jak stała wśród krwi i zmasakrowanych ciał w kuchni Johnsona i gawędziła z Sumą. Co oni knuli? W jakąż przewrotną grę z nim grała? Chciał zapytać, co wiąże ją z wrogiem, ale ona miała rację, świat się zmienił i nie był sensu dążyć do konfrontacji, póki nie zrozumie nowych zasad gry i nie pozna taktyki zawodników. Kto był dobry, a kto zły? Nie potrafił powiedzieć.

W tej chwili jasne było tylko to, że Chika chce go zabrać do Tokio. Może tam znajdzie odpowiedzi przynajmniej na niektóre z nurtujących go pytań.

Na razie — myślał — lepiej oszczędnie korzystać ze swojej wiedzy i czekać na stosowną porę.

— Nie ma odwrotu — powtórzył. — Tak, rozumiem.

Cisza, która zapadła po jego słowach, była jakaś niepokojąca, ale nie umiał powiedzieć dlaczego. Zastanowił się, co mu umknęło. Obraz nowego świata, jaki Chika stopniowo pozwalała mu kreślić, zdawał się jakby niekompletny.

— Być może nie będziemy mogli wydostać się stąd. — Popatrzył na Chikę.

Dziewczyna milczała.

Zbliżył się.

— Dlaczego Kamiwara zabił Johnsona? Kim on był?

— Nie był zwyczajnym człowiekiem od mokrej roboty, jeśli o to ci chodzi. Przebywał w Stanach od dawna; wiedział, jaki ma cel i jak go osiągnąć.

— Był twoim „przeciwnym numerem”.

— Nie rozumiem.

— Twoim odpowiednikiem po stronie wroga.

— Nie, to Suma nim jest. — Zastanawiała się przez chwilę. Konwent powinien zostać odwołany dawno temu. Myślałam, że to już postanowione. Dlatego, że... zatracił się.

— Chodzi ci o to, że zbyt długo był poza domem.

— Niezupełnie. — Chika oblizwała usta. — Jego wyczucie rzeczywistości w pewnej mierze uległo zmianie i stał się bezużyteczny, nawet dla Stowarzyszenia Czarnego Ostrza.

— Mówisz, że zwariował?

— Może.

Znów naszło go wrażenie, że umknęło mu coś istotnego. Podejrzewał że Chika kłamie lub przynajmniej nie mówi mu całej prawdy, lecz wołał jej nie prowokować; ślepy by zobaczył, że ona nie da się zastraszyć;

Wolf znów pomyślał o Bobbym, w jednej koszarnej chwili zamienionym w garść popiołu. Chłopak hamował z wizgiem opon, by uratować mu życie, a kilka minut później już nie żył. Pomyślał o sobie. Stowarzyszenie Czarnego Ostrza próbowało go zabić i w niecały tydzień po zwerbowaniu do tego samego dążyli tajni agenci. Prawdę mówiąc, nie miał pojęcia, kto go wrabiał, Suma czy tajniacy. To było niczym wojna. Według Chiki to z pewnością była wojna.

Myśl — przynaglał się. — Znów jesteś na wojnie, więc myśl jak żołnierz.

Potrafił jednak myśleć tylko o śmierci Bobby'ego, a jej wspomnienie paliło go tak, jakby wciągnął w płuca trawiący go płomień. Nie dawała mu spokoju

ostatnia przekazana przez Bobby'ego informacja. Breathard dostał cynk o jego miejscu pobytu. Czyjaś władza rozciągała się jak pajęczna sieć od Tokio po Waszyngton, a na jednym końcu nici siedział niejaki Shipley. Komuś w Obronie zależało na jego śmierci.

Wolf był pewien, że ze wszystkich tych pozornie różnych elementów można ułożyć jedną całość, ale na razie nie potrafił tego zrobić. Naprawdę dziwne było to, że zaczynał podejrzewać, iż zna też elementy, których na razie nie dostrzega. Znowu pomyślał o obrazie nowego świata, jaki Chika pozwalała mu malować.

— Powiedz mi więcej o klubie „Zakazane Sny”.

— Spójrz na te fotografie.

Zrobił to; z wolna przyzwyczajał się do jej okrężnych odpowiedzi. Ze zdziwieniem odkrył, że wyciąganie z Chiki informacji sprawia mu przyjemność. Przypuszczał, że to samo czuł jego ojciec, wydobywając z ziemi opale. Niejasno zdawał sobie sprawę, że tym, co go do dziewczyny ciągnęło, była jej tajemniczość.

— Co sprawiło, że zajęłaś się tym tematem?

— Domyślałam się, że chodzi ci o seksualne zniewolenie.

— Tak.

— Czy ten temat cię interesuje, Wolfie?

— Przyznam, że trudno oderwać się od tych zdjęć.

— Tak. A wiesz, dlaczego?

— Nie.

— Ja myślę, że wiesz.

— No cóż, może z uwagi na ich nierzeczywistość. Są jak teatry.

— Właśnie, i jak w najlepszym teatrze fantazja ujawnia prawdę ukrytą w każdym z nas niczym perła we wnętrzu muszli. Rozumiesz, Wolfie, zawsze jest łatwiej zgłębić czyjaś psychikę właśnie w kontekście fantazji. — Odwróciła się do niego. — To była stała pasja Lawrence'a: nie seks dla seksu, ale to, że przez fantazje seksualne mógł eksplorować głębie ludzkiej duszy. To była jedyna prawda, jaka miała dla niego wartość. — Machnęła ręką w stronę zdjęć. — Widzisz coś, co je łączy?

— Nie.

Uśmiechnęła się.

— Śmiało, detektywie. Odkryłeś tę kryjówkę, potrafisz więc znaleźć wspólny mianownik tych fotografii.

Wolf przyjrzał się im uważniej. Twarze modelek... Były albo całkowicie odwrócone, albo ukryte w cieniu; dostrzegł zarys policzka na jednym zdjęciu, wykrój ust na drugim, skraj brwi na trzecim, łącznie składające się na pewną całość.

— Czy te wszystkie dziewczyny są Azjatkami?

— Tak, Japonkami. — Chika przyciągnęła nogi do piersi i objęła kolana rękoma. — Spotkałam Lawrence'a Moravię w szczególnym czasie i w szczególnym miejscu: w „Zakazanych Snach”. To tam zrobiłam te zdjęcia.

Wolf jeszcze raz przebiegł po nich wzrokiem.

— Jezu Chryste, czy to były jego rzeczywiste doświadczenia? Do diabła, co to za klub?

— Siedziba Stowarzyszenia Czarnego Ostrza.

Wolf, nagle oszołomiony nieokreślonym drzeniem gdzieś w głębi umysłu, wyłączył się na chwilę.

— Tamtej nocy w twoim mieszkaniu — podjął — wiedziałas, że cię obserwuję, a jednak wsunęłaś rękę między nogi. Dlaczego?

— Zrobiłam to, czego chciałeś, Wolfie. Już ci mówiłam.

— A jednak nadal nie rozumiem.

— A ja myślę, że rozumiesz. — W jej oczach rozblęskło miękkie światło. — Nie chciałeś, bym się zabawiała sama ze sobą?

— Oczywiście, że nie. Ja... — Przerwał nagle i ciężko przełknął ślinę. Faktycznie owej nocy pomyślał: „Chciałbym zobaczyć, jak ona robi to sama”.

— Ten generator w mieszkaniu jest niczym serce gigantycznej bestii, mojej bestii. Działa jak ekran, wytwarzając biały szum, który blokuje odbieranie *makura no hiruma*. Dzięki niemu mogę ukryć się przed Toshin Kuro Kosai. Był włączony tamtej nocy, pamiętasz?

— Tak.

— A jednak wyczułam twoje pragnienie. Było tak silne, że przedarło się przez szum. Pierwotne emocje często są takie. To dlatego wezwanie *makura no hiruma* następuje zazwyczaj w czasie pokwitania, kiedy człowiek jest niczym emocjonalna bomba.

Raz jeszcze Wolf wspomniął, jak Biały Łuk zabrał go na skutą lodem równinę. Często zastanawiał się, dlaczego dziadek wybrał właśnie ten moment. Teraz wiedział: czas dojrzewania.

— Wydaje się, że potraficie wylapywać aury innych — powiedział — ale wiem, że Kamiwara i Suma nie mogli nic u mnie zobaczyć. Jakbym był pusty.

— Nie, złe porównanie. Ściana może być pusta, ale i tak wiadomo, że jest ścianą. Ty jesteś jedyny w swoim rodzaju. Nie możesz mówić, że jesteś pusty — jest tak, jakbyś wcale nie istniał.

— Ale ty mogłaś mnie rozszyfrować. Powiedziałaś, że wyczułaś moją aurę wtedy w mieszkaniu, mimo zakłócającego szumu generatora.

— Coś zaszło między nami.

Ciągle była bardzo blisko niego i wyczuwał to samo elektryzujące napięcie, które opanowało go w dziwnie gorącej atmosferze jej mieszkania. Teraz znał pochodzenie tego gorąca: połączenie *makura no hiruma*, jej i jego.

— Wobec tego chciałaś mnie tak samo, jak ja ciebie.

Poczuł, że jej aura faluje niczym powietrze nad rozgrzaną latem jezdnią. Była w tym jakaś słodycz narastająca aż do bólu serca, rodzaj tęsknoty, jaką mężczyzna odczuwa na widok szesnastolatki błyskającej doń promiennym uśmiechem na zatłoczonej ulicy, a zarazem jakby melancholia towarzysząca chwili, w której żegna się z opaloną przyjaciółką w ostatni wieczór lata, gdy ciemność przesycona jest pierwszym chłodnym tchnieniem jesieni, miasta i domu.

Przyłożyła dłoń do jego piersi i wyszeptwała:

— Słyszę bicie serca gigantycznej bestii.

Wdychał zapach piżma, pewien, że nigdy nie będzie w stanie się mim nasycić.

— Twojej bestii?

— Tego nie wiem. — Jej jedwabisty policzek musnął zarost na jego szczęce.

Smakowała jak soczysta, ociekająca nektarem brzoskwinia. Usłyszał jęk rodzący się w głębi jej gardła i znalazł się jakby w kręgu bladego światła, poza którym świat przestał istnieć. Żar ich namiętności przesłonił wnętrze klatki, nawet samo światło.

Namiętność przybrała na sile, gdy spleli się w miłosnej walce. Dla Wolfa było to spełnienie tęsknoty, która opanowała go w chwili, gdy ujrzał ją po raz pierwszy.

Powietrze zdawało się gorące i gęste jak smoła. Chika krzyknęła, gdy Wolf zdarł z niej ubranie, schylił głowę do spiczastych piersi, ujął w usta najpierw jeden sutek, a potem drugi.

Czuł jej ręce na swoim karku, potem na piersiach, gdy ściągała z niego przesiąkniętą potem i krwią koszulę. Zsunęła mu spodnie i wsunęła

między jego uda badawcze palce. Jęknęła, wyczuwszy stwardniały członek, a jej delikatny podniecający dotyk sprawił, że Wolf zadrzał w rozkosznym oczekiwaniu.

Chciał wziąć ją natychmiast, ale odkrył nieoczekiwane pragnienie: musiał najpierw ją objąć, zanurzyć się w intymnym zapachu i poznać wszystkie szczegóły jej ciała.

Odwrócił ją i przyciągnął jej uda do swych policzków. Smakując jej wnętrze, czuł na sobie ciepło ust Chiki. Biodra wzniosły się nad podłogą, gdy nadziewała się na jego język. Jej wargi otuliły szczelnie jego członek, szczupłe palce zacisnęły się wokół, i zatonął w niej aż do samego końca.

Czuł skurcze mięśni jej nóg, falowanie brzucha; potem uda zaczęły drzeć, a biodra szarpać się spazmatycznie; słyszał, jak jęczy. Uda Chiki rozsunęły się szeroko i w końcu przestał nad sobą panować; uwolnił się z jej ust i wszedł w nią natychmiast.

Oplotła go nogami, czuł na skórze jej twarde sutki, gdy bez opamiętania miotła się z boku na bok. Trzymał jej głowę, czuł łzy spływające z kącików oczu, okrywał jej twarz pocałunkami, nie przestawał, jeszcze i jeszcze, gdy jej wewnętrzne mięśnie zacisnęły się, wiodąc go na szczyt i jeszcze dalej, w ognisty wybuch tęsknoty, pragnienia i zespolenia nie tylko ciała, ale i ducha. Później zamiast pustki, która następuje po orgazmie, pulsujące życiem cienie — jej i jego — splotły się i wypełniały klitkę tak, jak herbata zabarwia wrzącą wodę.

Ten moment mógł trwać sekundę bądź wieczność, któż mógł to wiedzieć.

Cisza była tak nagła jak huk pioruna.

Wszystko wróciło do pierwotnego stanu i wtedy usłyszeli dobiegające z garderoby w sypialni Moravii hałasy. Chika zgasiła światło.

Wolf leżał nieruchomo, wsłuchując się w dudnienie butów, narastające i cichnące głosy, przyspieszone bicie serca.

Czuł obok siebie Chikę, wychwytywał zapach seksu, ale kiedy zamknął oczy, zobaczył Sumę jadącego harleyem, Sumę, którego oczy jarzyły się nieziemsko, gdy mijał płonącego Bobby'ego Connora.

W ciemności widział, jak w jej oczach odbijają się iskierki światła. Otworzył usta, by coś powiedzieć, lecz ona wskazała na uszy, więc słuchał.

Cisza.

Potem zrozumiał i skóra zaczęła mu cierpnąć. Miękki pomruk klimatyzacji umilkł; gliniarze wyłączyli zasilanie w budynku.

Byli w kłopotcie. Powietrza nie zabraknie i zawsze będą mogli wycofać się do krótkiego korytarza pod pokojem. Ale co dalej? Do holu na dole można było dostać się jedynie windą, która oczywiście nie działała. Byli ponad pięćdziesiąt pięter nad ziemią, a nie wiadomo, ilu gliniarzy czekało za ścianą.

Breathard wyciskał z nich życie.

Znów poczuł rękę Chiki, zobaczył, że dziewczyna osuwa się w kierunku trzcinowej maty. Co ona zamierza? Pomógł jej odsunąć matę i patrzył, jak zwalnia klapę. Skoczył za nią do mrocznego korytarza.

Drzwi windy stały otworem, światła były wyłączone. Chika ruszyła w stronę dźwigu. Po co? Był bezużyteczny.

Kiedy znaleźli się w środku, wskazała milcząco na luk w suficie. Skinął, podniósł ją i w chwilę później usłyszał skrobanie. Chika wyszła na dach kabiny. Z trudnością dźwignął się do luku. Złapał go skurcz w prawej ręce

i Chika musiała go podtrzymać, podczas gdy on opierał się lewym łokciem o wysmarowany dach. Miał wrażenie, że zawisł nad otchłanią; przez jedną, długą, pozbawiającą tchu chwilę nie wiedział, czy ciągnąć się w górę, czy upaść na podłogę windy. Zebrał siły i wsunął się na dach.

Przez pewien czas siedział skulony na cienkiej metalowej płycie, nie będąc w stanie wydusić ani słowa. Chika objęła go i wyczuł ten sam rodzaj ciepła, które ogarnęło go pod koniec pojedynku z Sumą. Tym razem działało ono kojąco, rozluźniało przemęczone mięśnie.

Dziewczyna podniosła się, a on stanął obok niej na drżących nogach. Teraz dokładniej zdał sobie sprawę, gdzie się znajdują: na małym prostokącie metalu u szczytu wysokiego na ponad pięćset stóp szybu.

Cholernie dobrze — pomyślał — że nie widać dna.

Zobaczył, jak Chika powoli podniosła głowę i poczuł drżenie powietrza, jakby podmuch wiatru. Pociemniało i miał przyprawiające o zawrót głowy wrażenie, że opada w szybkim tempie na dno szybu. Instynktownie złapał za główny kabel, ale Chika natychmiast oderwała jego dłonie i trzymała je w swoich, jak gdyby bała się, że może je poranić.

Coś się działo. Wolf czuł wibracje i ciemność obdarzoną wagą, rozmiarem, kształtem, chociaż nie potrafił określić żadnego z tych parametrów. Istniały one jedynie w jego umyśle, niczym melodia czy równanie matematyczne.

Dostrzegł światło w oczach Chiki i chciał odwrócić wzrok, jak od twarzy Meduzy. Znów widział płonącą Cathy w mieście beznadziei,

zwłoki Johnsona w kuchni, błękitny ogień tańczący w piersiach Kamiwary, Sumę na harleyu i Bobby'ego w płomieniach.

Ale nie odwrócił głowy. Wpatrywał się w jej oczy, gdy zielone światło z luminescencyjnych półksiężyców przebudowywało pulsującą ciemność, manipulowało nią, wysyłając ją w górę jak czarne fajerwe-rki, póki nie zwinęła się wokół przekładni i krążków na szczycie szybu.

Wolf aż podskoczył, gdy winda nagle drgnęła. Mięśnie mu zadygotały i wiedział, że nie ze zmęczenia, miał to bowiem za sobą, a zapas adrenaliny wyczerpał się w czasie, gdy wyslizgiwali się z ciemnego pokoju Moravii.

Był przerażony. Bał się tego, czym była teraz Chika, czym on sam się stawał. Znów poczuł ogromną moc przyciągającego go do dziewczyny tajemniczego magnetyzmu i zadrzał. A potem zobaczył ojca w starym kowbojskim kapeluszu z zatkniętym wojennym fetyszem Apaczów, stojącego na szczycie wzgórze w Lightning Ridge, jak mówił: „Życie jest gównie-warte, jeżeli człowiek nie podejmuje ryzyka, pamiętaj. Bez niego równie dobrze możesz spocząć na laurach, rozwalić się w fotelu, założyć okulary i liczyć dni do śmierci”.

— Nie dam rady.

Wolf zamrugał i wrócił do teraźniejszości. Nadal stali w ciemności u szczytu szybu windy, a wokół nich panowała cisza, lecz stopniowo napełniały ją głosy zbliżających się glin. Stalowa kabina znieruchomiała.

— Co się stało? — zapytał.

— Moja moc jest za słaba.

— Chryste, co teraz? Ja jeszcze nie mam takiej kontroli nad swoim darem. Spojrzała na niego.

— To nie może tak się skończyć! — mówił dalej. — Nie pozwolę.

Uniosła jego dłoń i przyłożyła do swego serca.

— Wezwij cień — szepnęła — i światło.

Świetlane półksiężyce zamigotały w jej oczach i wyczuł gorąco przepływające przez palce, rękę, ramię, całe ciało. Otworzył swój umysł i zadzierając głowę spojrział w górę.

Tam, gdzie wcześniej była tylko ciemność, pojawiło się światło. Trzepot ptaków o świcie, krzyczących i niespokojnych... Usłyszał pomruk — nie, to nie było właściwe słowo — p o c z u ł go, gdy się skoncentrował. Budował — jak można by to nazwać? — szyb światła—ciemności—ruchu,

silny, ale rozciągliwy. Potrafił nim manipulować i wiedział, że nie może zostać rozerwany tak długo, jak długo będzie trwała jego koncentracja, jego przekonanie, jego wiara. Strach znów wybuchnął pełną siłą, lecz odepchnął go od siebie, skupił się na ciemności *makura no hiruma*, naginając ją na swe rozkazy.

— Teraz — wyszeptał chrapliwie. — Jedziemy.

Dobry Jezu!

Winda ruszyła milcząco w dół, bez elektryczności, płynnie niczym łuk wody, gdy sprzęgł swoją *makura no hiruma* z ciemną latarnią chroniącą ich w swym wnętrzu.

Żar, trzaski, skwierczenie psychicznej energii sprawiły, że bariera czasu została zniesiona. Oczyma wyobraźni zobaczył siebie młodszego, patrzącego na śmierć Białego Łuka, przerażonego mocą — nie tylko mocą dziadka, która najwyraźniej pozwalała mu pokonać śmierć, ale własną.

Kabina zawibrowała i zatrzymała się na dnie szybu. Wolf i Chika wyszli z windy. Wolf usilnie pragnął zastanowić się nad tym, co wydarzyło się w ciągu minionej godziny, ale nie było na to czasu. Musieli uciekać.

Zamiast wracać drogą, którą przyszli, Chika skierowała się w drugą stronę. Ostrożnie otworzyła metalowe drzwi.

Wyczuł zapach benzyny i oleju — znajdowali się w podziemnym garażu. Chika zamknęła drzwi i poprowadziła go bez słowa między zaparkowanymi samochodami do najdalszego rzędu. Stał tam metaliczno-czarny, chromowany karawan, do którego wskoczyła przed zakładem pogrzebowym na Drugiej Alei.

Otworzyła drzwi z tyłu. Zobaczył wypolerowaną trumnę. Usłyszał cichy, ale niemożliwy do pomylenia szcęk sprężynowego noża. Chika odwróciła się, ostrze błysnęło w jej wzniesionej dłoni, gdy zapytała z uśmiechem:

— Co myślisz o umieraniu?

XIII

WASZYNGTON-NOWY JORK-WIEŚ W MASSACHUSETTS

Dźwięk kurantów wyrwał Thornburga Conrada Trzeciego z drzemki. Leżał przez dłuższą chwilę, gapiąc się w przestrzeń. Po chwili kuranty zagrały po raz drugi, przerzucił więc chude nogi przez krawędź łóżka, założył jedwabny wzorzysty szlafrok i ruszył do drzwi.

Willa Thornburga, leżąca na terenie klubu „Magnolia Terrace”, była bardziej odseparowana niż pozostałe — co mu niezmiernie odpowiadało. Inne wychodziły na pole golfowe, ale ta stała z tyłu, w kępie srebrnych brzoź i wielkich krzaków róż „Sharon”. Za nią iskrzył się i szumiał na gładkich czarnych skałach mały strumień, a ścieżka, która wiodła do frontowych drzwi, prawie na całej długości osłonięta była przez cedrową altanę oplecioną białą wistarią.

Thornburg zatrzymał się na chwilę przed lustrem, by spojrzeć z podziwem na wyprostowane plecy i sprężyste mięśnie. Odgarnął z czoła srebrne włosy i otworzył drzwi.

— Dobrze wyglądasz — powiedziała Stevie Powers i pocałowała go w policzek. — Twarz masz pełniejszą; zniknęło z niej wiele zmarszczek. Dobrze spałeś?

— Chyba nie. — Thornburg zamknął drzwi. — Śniłem przez cały czas.

Stevie uśmiechnęła się do niego.

— To tylko tak się wydaje. — Minęła go i weszła do bawialni. — Jak Tiffany?

— Niedobrze — powiedział, siadając w fotelu z wysokim oparciem.

— Prawdopodobnie ma białaczkę.

Stevie przysiadła obok niego.

— Gdybym była na twoim miejscu, to bym z nią porozmawiała.

— Nie. Postanowiłem jej nie mówić.

— Czy to mądre? Chodzi mi o to, że choroba...

— Kuracja ukryje symptomy do samego końca.

— Jak rozumiem, to właśnie ta kuracja doprowadziła do raka.

— Ten cholerny zrekombinowany Insulinopodobny Czynn timer Wzrostu 1. Nadal jest obiecujący, a jednak nie możemy wykorzystać jego potencjału. Za każdym razem, gdy jesteśmy zwo dniczo blisko pomyślnego rozwiązania, pojawia się coś takiego i wszystko bierze w łeb.

Stevie wstała, podeszła do barku i przyrządziła dwa słabe drinki. Thornburg podziękował jej skinieniem głowy.

— Czas się kończy. — Podniósł szklankę do światła i zapatrzył się w roziskrzony płyn. ->- Zbyt szybko, zbyt szybko...

Wypił szkocką jednym haustem, zamachnął się i rzucił szklankę w powietrze. Rozbiła się na marmurowej posadzce korytarza.

— Gdybyśmy tylko mogli rozwiązać zagadkę tego sklonowanego kompleksu protein, niech Bóg każe mu zgnić w piekle! Jaki element stabilizuje łańcuch molekuł?

Stevie zachowała rozsądne milczenie, pozwalając, by burza sama przeszła. Thornburg nie cierpiał, jak się nad nim litowano; bardzo szybko nauczyła się tej lekcji, chociaż oznaczała ona świadome dławienie jej wrodzonej empatii, jednego z najbardziej przydatnych narzędzi w zawodzie psychoterapeuty.

Narosło w nim jakieś nowe napięcie, którego nie umiała wyjaśnić. Wysłuchała wygłoszonej z patosem mowy przeciwko nauce, która zaszła tak daleko, ale rozwijała się zbyt wolno. Co się stało? Wiedziała, że jeśli zapyta prosto z mostu, nie otrzyma odpowiedzi. Poczowała nerwowo skurcz w żołądku.

Opadły ją jak najgorsze obawy.

— Wolf jest z tą Japonką. Czy nie tego chciałeś od samego początku? W takiej sytuacji zdobycie tego, czego potrzebujesz, jest tylko kwestią czasu.

Spojrzał na nią, a ona poczuła się jak złapana w światła nadjeżdżającego samochodu. Próbowwała odczytać wyraz jego twarzy, lecz bez powodzenia. Nigdy wcześniej nie widziała w jego oczach takiej ekspresji; miała wrażenie, że jest świadkiem czegoś, czego nie powinna była widzieć. Ból w żołądku narastał i Stevie, jak wiele kobiet, instynktownie zaczęła mówić o nękającym ją niepokoju.

— Co z Wolfem? Nic mu nie jest?

Thornburg nie odpowiedział i to przestraszyło ją jeszcze bardziej,

— Co słyszałeś? Został ranny? A może... — Zagryzła usta, niezdolna do wypowiedzenia przerażających słów.

Thornburg na chwilę zamknął oczy. Przeklinał się w myślach. Zazwyczaj tak opanowany, tak doskonale potrafiący manipulować ludźmi, dopuścił do tego, by jego obsesja zniszczyła tę wypracowaną fasadę. Wiedział, że gdy spróbuje powiedzieć jej, iż z Wolfem wszystko w porządku, ona natychmiast przejrzy jego kłamstwo. Jej uczuciowy radar był włączony i ukierunkowany. Pomyślał, że lepiej sprzedać jej coś, co przynajmniej przypomina prawdę.

Otworzył oczy.

— Matheson ma pewne kłopoty, ale na pewno się wykaraska. Masz na to moje słowo.

Nieco ochłonęła, a po chwili zapytała:

— Wiesz, kto zamordował Amandę, prawda?

— Mniej więcej.

— Chcę...

— Nie sądzisz, że domyślam się, dlaczego mi pomagasz? — Uśmiechnął się do niej. — Wiem, czego chcesz, i wierz mi, dostaniesz to. Matheson zlikwiduje mordercę, nie musisz się o to martwić. Widziałem go w akcji; wiem, do czego jest zdolny. Już teraz współczuję temu, kto zabił twoją siostrę.

— Chciałabym sama zabić mordercę.

— Tak, wierzę, że byś chciała i to jest wspaniale. Nie wątpię, że tym zawróciłaś Mathesonowi w głowie.

Nastroszyła się, słysząc obojętny, pełen wyższości ton, jakiego mężczyźni zbyt często używają w rozmowach z kobietami.

— Jeżeli mylisz mnie z kurwą, to popełniasz poważny błąd.

Spojrzał na nią uważnie. Kąciki jego suchych ust uniosły się w nikłym uśmiechu.

— Tak, byłaś blisko Mathesona; musiałaś wyczuć jego moc. Powiedz mi, Stevie, spałaś z nim?

Nie odważyła się odpowiedzieć; nie ufała głosowi. Zbił ją z tropu; widywała, jak Thornbiirg robi to z innymi przyszpila do muru jak lepidopterolog swoje motyle — a teraz poznała to na własnej skórze.

— Oczywiście. To było wspaniałe, porwało cię. - Przyłożył zakrzywiony palec do ściągniętych ust. — Ile razy miałaś zamiar mu o mnie powiedzieć?

— Ani razu.

— Poważnie? — Podrzucił głowę. — I nie jesteś w nim zakochana?

Stevie nie odpowiedziała od razu; może nie mogła. Zerknęła na ręce splecione na kolanach, odetchnęła głęboko.

— Powiem to teraz, żeby nie było nieporozumień. Moje osobiste uczucia są tylko i wyłącznie moją sprawą. To, co czuję do Wolfa czy do Mortona, nikogo nie powinno obchodzić.

— Nie, o ile te osobiste uczucia nie zagrażają temu, co robię.

— Boisz się, że zaradzę cię przed Wolfem?

— Moja droga, kiedy będziesz w moim położeniu i dożyjesz mojego wieku, groźba zdrady stanie się twoją stałą troską.

Stevie uśmiechnęła się i ujęła jego rękę.

— Właśnie z powodu twego stanowiska nie potrafiłabym nawet myśleć o zdradzeniu cię. To ty wyrobiłaś Mortonowi rep_{utac}je w Waszyngtonie, ty dałaś mi dojsście do sfer, na których mi zału_{zaj}o. Zawdzięczamy ci wszystko.

— Nienawidzę słowa „Wszystko”; obejmuj_e dużo, a niczego nie precyzuje.

Stevie spojrzała mu prosto w oczy i pomyślała, że dostrzega w ich głębi coś mrocznego. Przypomniała sobie, jak mówił o mocy Wolfa, i zaczęła się zastanawiać, czy przypadkiem nie czuł strachu. czy naprawdę Thornburg Conrad Trzeci mógł bać się jakiegoś człowieka? Nigdy wcześniej by w to nie uwierzyła, ale teraz wydawało się możliwe.

— Thornburg...

Odwrócił się i przerwał jej.

— Muszę dostać trochę. — Jego głos stał się bezbarwny

— Nie.

— Zrób to dla mnie,

— Nie ma mowy.

Podniósł głowę i spojrzał jej w oczy. Jego wzrok był palący, przyprawiał ją o wewnętrzny dreszcz.

— Przynies i daj mi.

Wstała.

— Ale ryzyko...

Wyszczerzył zęby — dzika, odpychająca żądza sprawiła, że jego twarz przybrała wygląd trupiej czaszki.

— Jedynym ryzykiem, nad którym warto się zastanowić, jest to, że nie będę żył dość długo, by doprowadzić tę sprawę do końca.

Poszła do jego sypialni i wyjęła fałszywe dno z dolnej szuflady nocnego stolika. Odsunęła pojemnik z tabletkami nasennymi i oficerski pistolet kaliber 45. Sięgnęła do fiolek z gumowymi zatyczkami i do zapasu strzykawek jednorazowego użytku. Napęłniła jedną przezrystym płynem i nacisnęła tłok, by wypchnąć z cylindra powietrze.

Wróciwszy do bawialni, spojrzała na niego i zapytała:

— Nie zmienisz zdania? Przecież to zabiło innych, to zabija Tiffany.

— Moja krew różni się od jej krwi — odparł tym samym bezbarwnym głosem. — Poza tym to serum jest lepiej oczyszczone.

— I myślisz, że to czyni jakąś różnicę? Że nie wywoła ubocznych efektów?

— Zrób to!

Stevie schyliła się i wsunęła igłę w żyłę po wewnętrznej stronie jego uda, wolnym, płynnym ruchem naciskając tłok. Przez cały czas uważnie obserwowała jego twarz, mogły bowiem wystąpić inne od długofalowych efekty uboczne — krótkotrwałe, lecz nieprzyjemne.

Ledwie skończyła, pośladki Thomburga zacisnęły się, plecy wygięły w łuk, a żyły na szyi nabrzmiały. Zza skurczonych warg wyłoniły się zaciśnięte zęby. Usłyszała świszczący oddech i urywane słowa:

— Walcz... z... zapadaniem... nocy.

Zatrzymali się. Chłonał warkot silnika, jedyny dźwięk przenikający jak dotąd w klaustrofobiczną ciemność. Wdychał ostrą woń pasty do polerowania mosiądzu i nikły zapach drewna.

Po chwili usłyszał głosy i zeszywniał. Były stłumione, dalekie, ale potrafił rozpoznać ich tembr — dwa głębokie męskie i wyższy, lżejszy ton Chiki. Wiele od niej zależało, zwłaszcza na początku. Potem oczywiście wszystko będzie zależało od niego. „Co myślisz o umieraniu?”

Ostrzem sprężynowego noża rozcięła mu poplamione krwią i potem ubranie, po czym pomogła nałożyć ciemnoniebieski garnitur — garnitur Moravii — który wyjęła z tyłu karawanu. Nie pytał jej, co tam robił, nie obchodziło go to.

Później wsiedli tylnymi drzwiami. Podniosła ciężkie wieko i Wolf wsunął się do trumny.

Uklękła nad nim, malując mu twarz i ręce, sztucznie pozbawiając je koloru, poza policzkami, na które nałożyła nieco używanego w zakładach pogrzebowych różu. Zastanowił się, czy tak bawili się z Morawią, ale zdecydował, że im mniej będzie o tym wiedział, tym lepiej.

— Po co to robisz? — zapytał. — Jeżeli każą ci otworzyć trumnę, to i tak mnie rozpoznają.

— Nie, nie rozpoznają.

Zobaczył błysk świetlistych zielonych półksiężyców w jej źrenicach i pomyślał: *makura no hiruma*. Może potrafi sprawić, że zobaczą to, co zechce.

— Wiesz, jak oddychać, żeby nie zauważyli ruchów klatki piersiowej? — zapytała.

Opowiedział jej o swoim *sensei* i Chika skinęła głową.

— Ważne, żebyś nie ruszał oczami. Po podniesieniu wieka będziesz chciał to zrobić w reakcji na nagły powrót światła. — Poczul jej palce na twarzy. — Przekręć głowę lekko w tę stronę, tak, żeby nie było widać pulsowania arterii. — Potem zamknęła wieko.

Teraz rozległ się szczepek otwieranych drzwi i głosy stały się wyraźniejsze. Wyczuł lekki przechył, gdy karawan osiadł na tylnych resorach i w wyobraźni zobaczył wchodzących do środka gliniarzy w kuloodpornych kamizelkach, ukrytych za przydymionymi przyłbicami.

— Proszę otworzyć trumnę.

Gmatwanina stłumionych przez drewno i mosiądz głosów. Czuł wate w uszach i musiał przemóc irracjonalne wrażenie, że ma ją również w ustach, policzkach, czole, powiekach. Duszącą.

— Przestań! — nakazał sobie.

Oddychaj przeponą.

Odpręż się.

Zalała go fala światła, prawdopodobnie przyćmionego we wnętrzu karawanu, ale dla niego bardzo jasnego, jak zapowiedziała Chika.

Spokojnie, nie patrz, tam nie ma nic do oglądania... poza ciekawskimi twarzami gliniarzy zagląających do trumny... Przestań!

Oddychaj przeponą.

Odpręż się.

Cichy głos Chiki, przyływ *makura no hiruma*.

Żyła pulsuje z boku szyi; im dłużej się gapia, tym większe niebezpieczeństwo, że zauważą...

Światło spłowiło, cichy trzask — wieko zamknięte!

Chwilę później usłyszał zmianę wysokości tonu silnika, gdy Chiki wrzuciła bieg. Ruszyli.

Odliczył pięć minut, potem podniósł ręce, dźwignął wieko trumny i w chłodnym półmroku karawanu odetchnął głęboko, powoli, swobodnie.

— Chika?

— Cześć.

— W porządku?

— Nikt nas nie śledzi.

Widział tył jej głowy, gdy prowadziła. Przesunął się lekko, tak by zobaczyć we wstecznym lusterku twarz.

— Nie jedzie za nami harley elektra-glide?

— Nie.

Chika zmieniła pas, przyspieszyła, znów zmieniła pas, klucząc między pojazdami. Wreszcie powiedziała:

— Nie mamy ogona.

— Wywieź nas z miasta.

— Zrobimy coś lepszego. Wyjedziemy z kraju.

— Jeżeli samolotem, to nie z Kennedy'ego. — Przeszedł nad oparciem fotela i usiadł obok niej.

— Zgadza się. — Kazała mu otworzyć schowek, gdzie znalazł paczkę chusteczek higienicznych i jakiś krem. — Odlecimy z lotniska Logan w Bostonie. Wszystkie formalności są załatwione.

Wyjechali na autostradę. Promienie słońca przeświecały przez korony drzew niczym pasma złotej pajęczyny. Wolf wytarł twarz, ale skórę na brzuchu i plecach miał ściągniętą od zaschniętej krwi. Pomyślał, że prześpi część podróży; czuł piasek w oczach i raziło go światło.

Chika podjechała do „7-Eleven”. Wróciła z butelką wody utlenionej, paczką waty i przylepcem. Wolf zdjął marynarkę, podniósł koszulę i zajął

się przeglądaniem zawartości drugiej torby z zakupami, Chika zaś opatrywała mu cięcia i zadrapania. Dziesięć minut później byli w drodze, nadal na północny wschód, w kierunku Massachusetts.

— Muszę coś zjeść — powiedział po paru godzinach jazdy. — I chciałbym, żebyś jechała bocznymi drogami. Na autostradzie łatwiej nas śledzić.

Chika zjechała z autostrady i po dłuższej jeździe zatrzymała się na parkingu przy wiejskim zajeździe.

Było jeszcze zbyt wcześnie na kolację, więc na sali nie brakowało miejsc. Wybrali stół przy oknie z widokiem na jezioro. Wolf poszedł do łazienki, by zmyć resztki makijażu. Wyjął jednorazową golarkę, rozsmarował na twarzy kupiony w „7-Eleven” krem i zgolił kilkudniowy zarost. Umył się i spojrzął na siebie w lustrze.

Kim ja jestem? — pomyślał. — Czym się stałem?

Przy stole wypił ogromną szklankę wody i poprosił o jeszcze. Potem zamówił na pół surowy stek z frytkami i na przystawkę sałatkę. Chika poprosiła o gotowany na parze ryż i pieczoną fasolę.

Chika skorzystała z ubikacji, a potem zadzwoniła na lotnisko, by potwierdzić rezerwację. Wolf zapłacił gotówką za jedzenie. Czekając na wydanie reszty, zerknął przez boczne okno i w padającym z wnętrza świetle zobaczył błysk czerwieni i chromu. Zabrał resztę, wrócił do stolika i zostawiając napiwek, przy okazji ściągnął garść paczuszek z cukrem.

Wyszedł z budynku i w kępie olch i krzaków czarnej porzeczki znalazł ukrytego harleya. Na tylnym błotniku widniała ciemna smuga — gdy Suma mijał płonącego Bobby'ego Connora, ogień osmalił lakier.

Obejrzał się, czując ciarki z tyłu głowy. Gdzie jest Suma? Szybko otworzył bak i wyspał do środka cukier.

Chika czekała z boku restauracji.

— Widziałam Sumę. Jest w lesie.

— Idziemy.

Minęli harleya i weszli w prześwit w krzakach. Prawie natychmiast natrafili na ścieżkę, wąską, z wystającymi korzeniami, ale wyraźnie wijącą się w gęstniejącym poszyciu. Wyżej spletały się korony modrzewi, dębów, brzoź, cedrów i sosen.

Ścieżka skręciła w lewo i zaczęła opadać stromo. W powietrzu wisiała wilgoć. Wolf domyślił się, że są blisko strumienia. Mniej więcej co minutę

oglądał się za siebie. Nie zauważył, by ktoś ich śledził, ale do końca nie był tego pewny, ponieważ ćwierkanie i śpiew ptaków oraz szmer wody zagłuszały inne odgłosy.

Zatrzymał się i powiedział:

— Wszedł głęboko w las. Możliwe, że idziemy prosto w pułapkę.

— Wiem — Chika stanęła nieruchomo niczym posąg. — Uważasz, że powinniśmy zawrócić?

Wiedział, że to byłoby rozsądne, ale również pragnął dorwać Sumę. Przelotnie zastanowił się, dlaczego Chika nie ponagla go do powrotu i dalszej jazdy na lotnisko.

— Suma nie może mnie wykryć — rzekł w końcu. — Sprawdźmy, czy uda nam się wciągnąć go do jego własnej gry.

Po chwili wydostali się z gęstego poszycia i stanęli nad brzegiem strumienia. Był dość szeroki i prawdopodobnie głębszy, niż się Wolf spodziewał. Chika zatrzymała się na chwilę na błotnistym brzegu. Odwróciła głowę i popatrzyła na niego. Uśmiechnęła się lecz w jej uśmiechu zauważył coś dziwnego — był jakby niewyraźny i pusty.

Zastanawiał się nad tym, gdy weszła do strumienia.

Poczuł lekkie wewnętrzne drżenie,

— To mi się nie podoba.

Chika przyłożyła palec do ust i skinęła, by ruszył za nią. Wolf zdjął buty i związał sznurowadła. Zawiesił buty na szyi i zsunął się ze skarpy. Woda była przejmująco zimna. Zapadał zmierzch.

Zobaczył, że Chika na coś wskazuje, i spojrzał w tamtą stronę. Po chwili na drugim brzegu dostrzegł oddalającego się mężczyznę: Suma.

Ruszył dalej. Muliste błoto prześlizgiwało się między palcami stóp i utrudniało poruszanie. Chika czekała na niego na środku strumienia; pomyślał, że nie chce, by ruch zdradził jej pozycję, gdyby Suma nagle się odwrócił.

Dno opadało szybko i Wolf żałował, że nie zdjął koszuli. Jej poły owinęły się wokół ciała i przemoczony materiał hamował ruchy z taką siłą że miał wrażenie, iż ktoś ciągnie go w dół.

Wyczuł kamienie; większość z nich była obrośnięta porostami i niebezpiecznie śliska. Musiał zerkać w szemrzącą wodę, by znaleźć odpowiednie oparcie dla stóp i nie stracić równowagi. Z każdym krokiem woda podnosiła się coraz wyżej, w końcu sięgnęła mu do szyi. To nie

miało sensu — widział, że Chice sięga ledwie po pas. Widocznie stała na skale.

Zerknął jeszcze raz w jej stronę, by określić położenie, ale odkrył, że jest w wodzie sam. Chika zniknęła.

Rozejrzył się szybko.

Dostrzegł ją na wysokim brzegu. Stała z rękoma na plecach, patrząc nań z pustą ciekawością, z jaką człowiek spogląda na kolorową gaśienicę.

Wolf przyjrzał się jej uważnie i włosy zjeżyły mu się na głowie. Pomyślał o tym, jak Stevie ostrzegła go, że Chika może go zabić. „Nie, proszę, nie spiesz tak na spotkanie własnej śmierci”.

I czuł teraz własną śmierć, a jej oddech sprawiał, że powietrze wokół cuchnęło zgnilizną. Rzucił się w tył, lecz natknął się na silne wiry. Z trudem brnął do płytszego miejsca.

Chika weszła do strumienia, nie powodując najmniejszego ruchu wody. Uczyniła kolejny krok i po ciele Wolfa zaczął spływać zimny pot.

Jezu Chryste! — pomyślał, a serce waliło mu jak oszalałe.

— Co jest?! — wycharczał. — Kim ty, u diabła, jesteś?

Jak gdyby w odpowiedzi Chika uniosła się i stanęła na wodzie. Jej twarz nadal wykrzywił niesamowity uśmiech. Wolf odkrył, że za tym grymasem kryje się pustka, że takie uśmiechy widuje się na reklamowych plakatach.

W dalszym ciągu walczył, by dostać się do brzegu. Opanowało go niewyobrażalne przerażenie.

Wtedy oblicze Chiki zbladło, jak gdyby jej skóra straciła całą głęboką opaleniznę. W tym samym momencie twarz dziewczyny się wydłużyła, jakby kości zostały naciągnięte przez niewidzialną siłę. Szczeka opadła, a spomiędzy bezkrwistych warg wysunął się język — z tym, że nie był to ludzki język.

Wolf odetchnął z takim trudem, jakby coś lepkiego utknęło mu w gardle. Kiedyś, gdy był mały, oglądał w kinie horror. Był to jeden z tych podrzędnych japońskich produktów, gdzie efekty specjalne były robione na jednej ścieżce dźwiękowej, japońscy aktorzy czytali swoje role na drugiej, a Amerykanie, sprowadzeni do Tokio na tydzień, podkładali swoje głosy w jeszcze innym czasie.

Akcja może była kiepska, ale efekty specjalne dobre na tyle, że wywarły wrażenie na małym Wolfe. Potwór — na pół wąż, na pół koszmarna zjawa — wyslizgiwał się z bagnistej jamy i pożerał tych, którzy byli na

tyle głupi, by zakłócić mu spokój. Czynił to w ten sposób, że wsuwał do pyska całą głowę nieszczęśnika, po czym wielkimi szczękami oddzielał ją od tułowia już uduszonej ofiary.

Niewiarygodne, ale twarz Chiki przekształcała się w doskonałą w każdym szczególe replikę tego oslizłego gada.

Wolf wrzasnął wbrew sobie. Część umysłu wiedziała — wiedziała! — że to nie może dziać się naprawdę, ale druga część była sparaliżowana na widok rozgrywającej się przed jego oczami sceny. Wyrzucił ręce w górę, gdy szczeka rozwarła się, by pochłonąć jego głowę. Już wyczuwał ohydny smród oddechu potwora, widział nienaturalny mrok, który jakby wysysał tlen z powietrza. Ciemność otarła się o niego.

W ostatniej chwili rozszerzonymi ze strachu oczyma zobaczył, że widmo zatrzęsło się, zafalowało i wzniosło wśród tysięcy iskier, które jedynie pogłębiły ciemność. I wtedy coś zaczęło zaciskać mu sznurowadła na szyi.

Instynktownie sięgnął w górę, by zdjąć z siebie buty; stracił równowagę, bosa stopa ześliznęła się ze skały i runął do strumienia.

Pod wodą nadal szarpał desperacko za sznurowadła, ale zdawało się, że jego starania tylko zacieśniają pętlę. Skoncentrował się na wychyleniu głowy nad powierzchnię, lecz na próżno. Coś trzymało go pod wodą i im bardziej się szamotał, tym silniejszy stawał się uchwyt.

Jeszcze raz zobaczył anielską twarz Chiki. Uśmiechnęła się do niego. Pomyślał, że za chwilę wpadnie w obłąd. Jej uśmiech stawał się stopniowo coraz szerszy, aż wreszcie stał się wielki i zagadkowy niczym uśmiech kota z Cheshire. Wolf wiedział, że został zdradzony. Stracił nadzieję. Przypomniawszy sobie ucieczkę z Nowego Jorku, intymne chwile w sekretnej piwnicy pokoju Moravii. Czy mógł się mylić aż tak?

Niewiarygodne, uśmiech zrobił się jeszcze większy, aż stał się czarną pustką tańczącą na wodzie. Owa pustka posuwała się ku niemu i teraz poczuł ziać. Było mu zimno, bardzo zimno, kości miał jak lód, serce z trudem przepychało przez żyły szlam, jakim stała się jego krew.

Światła wirowały mu w głowie. Myślał w kółko o tym samym: o ratunku, chociaż nie było już czego ratować. Jego siły malały, ciepło uciekało z ciała, powietrze było ledwie marzeniem, jednym z wielu, które przemykały mu przez świadomość w tej ostatniej chwili. Pustka na dobre ruszyła w jego stronę. Instynktownie zebrał resztki sił do walki.

Tylko *makura no hiruma* mogła mu pomóc. Wzywał mrocznego przyjaciela, lecz przerażająca pustka śmierci zamykała się powoli wokół niego... Potwór...

„Daj sobie spokój z tym potworem; daj spokój z pustką; to iluzje. Walcz z tym sukinsynem, który chce cię zabić!”

Wolf pozwolił, by napięte mięśnie rozluźniły się, gdy przyciągał do siebie ciemność swojej *makura no hiruma*. Woda zawirowała, jak gdyby ktoś przesunął rękę przy jego twarzy. Wtedy otworzył oczy i zobaczył rzeczywistość, którą powinien był dostrzec od razu: Suma zaciskał mu na szyi pętlę z jego własnych sznurowadeł. To był Suma. Chika nie zdradziła go.

Patrzył w oczy Sumy i widział, jak rozszerzają się, gdy Japończyk rozpoznał moc przeciwnika i zawahał się pod wpływem szoku.

Wolf uderzył mocą drzemiącej w nim ciemności. Suma przewrócił się, potrząsnął głową i zerwał na nogi. Wolf, rozluźniając zaciśnięte wokół szyi sznurowadła, zaczął rozumieć potęgę własnej mocy.

Potem Suma spojrział w górę, w kierunku powierzchni, zawirował, odepchnął się od Wolfa i rozpląnął w mroku usianego skałami łożyska strumienia.

Wolf wystrzelił na powierzchnię; jego płuca łakomie chwytaly powietrze, gdy poczuł zaciskającą się na kostkach dłoń, która ciągnęła go do brzegu. Zwalił się na ziemię, dysząc i wlepiając oczy w ponurą twarz Chiki.

XIV

WASZYNGTON-TOKIO-BOSTON

Przedwieczorne słońce połyskiwało na frontach budynków federalnych, gdy Ham Conrad czekał na Marion Starr St. James. Pochylił się nad siedzeniem pasażera, otworzył drzwi i zaprosił ją do środka,

— Cześć — przywitała go. — Co za niespodzianka!

— Założę się, że tak. Jedziemy na kolację.

Uśmiechnęła się.

— Och, przykro mi, kochanie, żałuję, że nie zadzwoniłam wcześniej. Mam spotkanie o siódmej i...

— Wsiadaj, Marion.

Zmarszczyła brwi.

— Co się stało? Widać, że jesteś wściekły jak sto diabłów.

— Jak wszyscy diabli albo jak cholera, jeszcze nie wiem. — apojrzai na nią ostro. — Wsiadaj Marion! Chyba nie chcesz, bym zrobił ci scenę w obecności kolegów.

Wsunęła się do wozu, a on ruszył, nim zdążyła zamknąć drzwi.

— Chryste, Ham, co cię ugryzło?

Skinął w stronę telefonu komórkowego.

— Zadzwoń, do kogo trzeba. Ten wieczór spędzisz ze mną.

Patrzyła na niego przez całą minutę, nim w końcu sięgnęła do torebki i wyjęła notes. Przeprowadziła dwie rozmowy. Po zakończeniu podniosła

głowę i zobaczyła, że jadą przez jedną z dzielnic, które cechują się tym, że im głębiej się w nie wjeżdża, tym stają się gorsze. Narkotyki i morderstwa. Czarne getto.

— Dokąd jedziemy?

— Na kolację — odparł, nawet na nią nie patrząc.

— Tutaj? — Wszystkie dostrzeżone w przelocie twarze były czarne.

— Zwariowałaś?

— O co chodzi? — zapytał szorstko. — Jesteś rasistką?

— Nie, jestem tylko rozsądna. — Położyła rękę na klamce. — Zatrzymaj wóz. Wysiadam.

— To nie byłoby rozsądne.

— Chryste, Ham!

Wyhamował na Florida Avenue. Na fasadzie, nad ciemną szybą, mrugał neonowy napis: U BIEDNEGO CHŁOPAKA.

— Chodź.

Marion wysiadła i zatrzasnęła drzwi. Spojrzała na niego nad dachem samochodu.

— Nie boisz się, że gdy wrócimy, może go tu nie być?

— Wielu białych przychodzi tu coś zjeść.

Rozejrzała się nerwowo.

— Chryste, mam nadzieję, że wiesz, co robisz.

Uśmiechnął się szeroko, zamknął wóz, ujął ją za łokieć i wprowadził do środka. Wnętrze lokalu było mroczne, przesycone zapachem palonej hikory i węgla drzewnego. Podrabiane lampy od Tiffany'ego zwieszały się z blaszanego, pomalowanego na czarno sufitu. Ściany wyłożono słojowanym laminatem, a podłogę małąkami czarno-białymi płytkami, pokrytymi warstwą brudu i popękanymi w wielu miejscach; gdzieś tam brakowało całych fragmentów. Na posadzce rozrzucone były trociny.

Po prawej stronie znajdował się długi, zielony, ocynkowany bar obwieszony klientami, którzy wyglądali tak, jakby przebywali tu od tygodni, a prawdopodobnie od miesięcy. Mdle światło lamp odbijało się w szeregu starych luster.

Marion zobaczyła, że wszystkie głowy odwróciły się w jej stronę. Natychmiast pożałowała, że włożyła dziś krótką wełnianą spódnicę i przewiewną jedwabną bluzkę; zerknęła w dół i z przerażeniem, a zarazem wstydem stwierdziła, że sutki prześwitują przez materiał. Chciałaby mieć na sobie długi do kostek płaszcz.

— Stolik dla dwóch osób — powiedział Ham, gdy podeszli do baru. Wielki, niechlujny barman nie zwrócił na nich najmniejszej uwagi. W głębi lokalu stały stoliki. Wbrew temu, co powiedział Ham, Mariori w całej restauracji nie spostrzegła ani jednej białej twarzy.

— Chcę stąd wyjść — wyszeptwała.

— Oczywiście, że nie. — Ujął mocniej jej łokieć i poprowadził do stolika. — Ten wygląda nieźle — powiedział, zmiatając dłonią okruszki z jej krzesła. Położył rękę na jej ramieniu i zmusił, by usiadła. Sam zajął miejsce naprzeciwko.

Kiedy kelnerka po raz trzeci minęła stolik, nie zaszczycając ich nawet spojrzeniem, Marion zapytała:

— Czy zechcesz mi wyjaśnić, dlaczego dosłownie porwałeś mnie z ulicy?

— Zasłużyłaś na porwanie. Jesteś bardzo złą dziewczynką.

Przy barze rozpoczęła się kłótnia i Marion odczekała, aż ucichnął najgorsze inwektywy.

— Lubię być złą dziewczynką. Ale również lubię wiedzieć, dlaczego ktoś mnie za taką uważa.

Ham w końcu zdołał przywołać kelnerkę i zamówił drinki. Potem zwrócił się do Marion:

— Opowiedz, jak poznałaś mego ojca.

Ktoś wrzucił monetę do grającej szafy. Automat zaczął wyrzucać z siebie lawinę chrapliwych dźwięków.

— Jezu, ta spelunka przyprawia mnie o dreszcze!

— Ludzie są, jacy są.

— Czytam gazety. Wiem, co się może zdarzyć w takich miejscach. Ham przeprosił.

— Muszę iść do łazienki. Zaraz wracam.

Marion została sama. Drinków nie było widać. Kelnerka zachowywała się tak, jakby Marion nie istniała, w przeciwieństwie do mężczyzn, których według Marion coraz bardziej interesowało to, co ma pod spódniczką i bluzką. Czuła się jak rozbitek porzucony na obcym, dalekim brzegu jeziora o nieznaną głębokości. Nigdy wcześniej nie znalazła się w miejscu, w którym byłaby dosłownie jedyną białą osobą. Bała się. Wyobrażała sobie noże i pistolety pod każdą wyswiechtaną marynarką, plastikową torebkę z kokainą w każdej kieszeni na biodrze. Głupie myśli, jasne — próbowała się uspokoić. A jednak czuła, że drży.

Chwilę później zabrała torebkę i aktówkę i jak najszybciej przeszła: przez salę, próbując nie myśleć o śledzących ją ciekawskich i wrogich oczach. Położyła aktówkę na barze, poczekała, aż podejdzie barman i zapytała:

— Czy mógłby pan zadzwonić po taksówkę?

Wlepił w nią żółte ślepie i potarł wąsy grubym, Crogowaciałym paluchem.

— Telefon nie działa.

— A jest tu gdzieś telefon publiczny?

— Też nie działa. — Z ucha zwieszał mu się kolczyk w kształcie pocisku. Włosy miał jedynie na czubku głowy. — Ale to nie ma znaczenia; taksówki nie przyjeżdżają tu po zmroku. — Obdarzył ją nad wyraz szerokim uśmiechem. — Nie mogę powiedzieć, że się dziwię.

— Hałaśliwie wciągnął powietrze przez zęby. — To główniana okolica. Moja rada: niech pani wraca do stolika.

— Nie ma mowy. — Marion złapała aktówkę. — Znajdę telefon na zewnątrz... — Odwróciła się i stanęła twarzą w twarz z wysokim mężczyzną o szerokich barach i ładnej, ale złośliwej twarzy. Miał bardzo ciemną skórę i wygoloną głowę. Ubrany był w purpurową koszulę, a na jego piersi wisiało co najmniej sześć złotych łańcuchów.

— Gdzie się wybierasz, mamuśka?

— Przepraszam — powiedziała, próbując go wyminąć. Złapał ją za rękę, a ona wrzasnęła: — Spieprzaj, palancie! — inadepnęła mu obcasem na podbicie.

Jego oczy jakby zmieniły kolor, gdy położył ogromną rękę na jej gardle. Ścisnął tak, że Marion zacharczała.

— Czemu teraz nie idziesz, kochanie?

— Ja... nie jestem sama — wykrztusiła. — On się tobą zajmie, jeżeli nie...

— Ty przemądrzała białasko! — warknął łysy. Kiedy się uśmiechnął, zobaczyła złote zęby. — To tchórz, jak oni wszyscy. Myślisz, że się go boję? Dam mu minutę do namysłu. — Przybliżył głowę do jej głowy.

— Ale ty... podoba mi się twój akcent.

Wyczuła w jego oddechu zapach alkoholu.

Zamknęła oczy i odmówiła krótką modlitwę, po czym przeklęła Hama za to, że ją tu sprowadził.

— Cześć, Maury.

Marion otworzyła oczy na dźwięk dobiegającego zza jej pleców głosu.

— Cześć.

— Co się dzieje?
— Cholera, twoja cizia zaraz się zesra. Znajdź se twardszą dziwkę, bracie.
— Ham? — Zaczęła wykręcać głowę, przez co dłoń łysego silniej nacisnęła na krtań i lzy napłynęły jej do oczu. Mężczyzna puścił ją. Odwróciła się. Była wściekła. — Ty sukinsynu! Nagrałeś to i teraz masz niezłą zabawę.
— Mam prawo.
Łysy wybuchnął śmiechem; barman odwrócił się> bo przedstawienie dobiegło końca.
Marion podniosła rękę do twarzy.
— Chcesz wrócić do stolika? — zapytał Ham.
Skinęła potakująco, więc zabrał ją do sali; czekały na nich drinki oraz karty dań.
Ham widział, że Marion gotuje się z wściekłości.
— Nie należysz do kobiet, które dąsają się przez całą noc
— Nie masz zielonego pojęcia, jaka jestem. —r Marion wyciągnęła puderniczkę i przejrzała się w maleńkim lusterku.
Nie, ale się dowiem — pomyślał Ham.
— Przestraszyłaś się?
— Ty... — sapnęła, zatraskując puderniczkę. — Jesteś skończonym sukinsynem.
Kelnerka postawiła tacę z jedzeniem.
Marion pochyliła się, wdychając aromatyczny zapach.
— Co to jest?
Snoots — poinformował, wbijając widelec w chrupiący kawałek mięsa polany gęstym czerwonym sosem. — Prawdziwy symbol zawieszenia broni. Marion spojrzała na niego chłodno, niezdecydowanie smakując potrawę.
— Dobrze.
— Tak. Istna uczta dla ciała i duszy. Dlatego przychodzę tu tak często. Mają najlepsze *snoots* poza St. Louis.
— Co to jest?
— Smażone świńskie ryje.
Z zainteresowaniem przyglądał się, jak odłożyła widelec i wlepiała oczy w zawartość talerza. Chrupał z apetytem, ona zaś pospiesznie wychyliła drinka.
— Chcesz teraz opowiedzieć mi o sobie i moim ojcu?
- Miałam nadzieję, że do tego nie dojdzie — odrzekła po chwili.

— Domyślam się.
Podniosła głowę; widział, że ma zarumienione policzki.
— Daj mi szansę, dobrze? To i tak dość trudne. — Bawiła się naszymi przyjaciółmi. — Thomburg i mój ojciec byli przyjaciółmi.
— Byli?
Uśmiechnęła się niewesoło.
— Ach, wszystkie moje iluzje rozwiewają się. Kłamałam, gdy mówiłam w ten sposób, że odniosłeś wrażenie, iż mój ojciec żyje. Zmarł kilka lat temu w czasie transportu amerykańskich strzelb na wieś pod Belfastem.
— Twój ojciec był przemytnikiem broni, nie skutnikiem, jak mówiłaś.
— Wspomniał, jak zapalała świecę na jego łodzi, i założyłby się, że robiła to w intencji zmarłego ojca.
Marion westchnęła.
— Prawdę mówiąc, był jednym i drugim. Zaczynał jako skutnik. Tym zajmował się jego ojciec. Potem popełnił błąd, sprzedał firmę Japończykom.
— Rysowała kółka łyżeczką na serwecie. — Nie wierzę, by później mógł być naprawdę szczęśliwy. Zaczął się nudzić, stał się nerwowy; chyba dlatego pozwolił, by jego przyjaciele z IRA namówili go do sprowadzania dla nich broni.
— I naturalnie po jego śmierci ty przejęłaś interesy.
— Wcale nie. — Zdała sobie sprawę, co robi, i odłożyła łyżkę.
— Ojciec był zagorzałym męskim szowinistą i w testamencie znajdowała się klauzula mówiąca, że tymi sprawami mają zająć się moi kuzyni.
— Aha.
— Tak. Nienawidzę ich; są takimi chciwymi sukinsynami. To sprawa osobista, dlatego cię okłamałam. Zapewniam, że nie chciałam wplątywać cię w rodzinne spory.
— Masz rację. Rodzinne właśnie to nieczysta sprawa.
Skinęła głową.
— Zapomnijmy, że kiedykolwiek mówiłam o „Extant Exports”, okay?
Podniosła szklankę, lecz raptem odstawiła ją gwałtownie i skryła twarz w dłoniach. Ham usłyszał cichutki szloch.
Patrzył na nią i zastanawiał się, w co wierzyć. Przystawanie z nią kojarzyło mu się z jego ulubionym miejscem w wesołym miasteczku, z gabinetem luster.
Dobry Boże, ależ ona jest fascynująca! — pomyślał. — Dlaczego nie spotkałem jej, gdy byłem młodszy, zanim moja żona skutecznie zniechęciła mnie do małżeństwa?

— Cholera, nie cierpię płakać! — chlipnęła Marion, wycierając oczy serwetką.

Obdarzył ją skąpym uśmiechem.

— Zawsze miałem wrażenie, że to mężczyźni nie cierpią, kiedy kobiety płaczą.

— Chyba już to słyszałam — powiedziała ze śmiechem. — Dlatego staram się nie robić tego publicznie.

— Weź na przykład mojego ojca; wpada we wściekłość, gdy jego kobiety płaczą. Chyba myśli, iż z powodzeniem mógłby je tego oduczyć. Prawdę powiedziawszy, jestem zaskoczony, że się z tobą nie ożenił.

— Oczywiście, próbował. A jest bardzo uparty.

— Tak, to jedna z jego gorszych cech.

— Dorastanie w jego domu musiało być wielce interesujące.

— Zależy, z której strony na to spojrzeć: na pewno nie z mojej.

— Nie zgadzaliście się?

— No cóż, przypuszczam, że zależało to od nastrojów ojca. A od jego humoru zależy wiele, prawda?

Marion tym razem roześmiała się szczerze.

— Lubię cię takiego: silnego, pewnego siebie i troszeczkę ironizującego.

— Zatem może czas powiedzieć mi o planie, jaki obmyśliłaś.

— Chciałabym, ale... — zaczęła po dłuższej chwili milczenia.

— Ale co?

— Prawda jest taka, że nie wiem, czy jestem w stanie to zrobić.

— Obiecuję wszelką pomoc z mojej strony.

Położyła rękę na jego dłoni.

— Wiem, Ham, lecz jestem jak narkomanka. Nie wolno mi ufać.

— Nie powiedziałem, że ci ufam.

— Nie. — Wpiła oczy w jego twarz. — Cokolwiek się stanie, obiecuję, że nie popełnisz tego błędu.

Roześmiał się, jakby chcąc rozproszyć jej obawy, równie bezpodstawne, jak lęki dziecka bojącego się ciemności.

— Ja nie popełniam wielu błędów. I nigdy dwa razy tego samego.

— Pamiętam, jak twój ojciec często to powtarzał.

Ham uparł się, by znów zamówili jedzenie. Na stoliku pojawiły się opiekane świńskie ryje i rondolet sosu, warzywa i groch z tłustymi słodkimi ziemniakami.

— Ręczę za jakość potraw; przychodzę tu bardzo często.

W czasie posiłku prowadzili luźną rozmowę, ale kiedy zabrano talerze i podano dobrą, mocną kawę, nasączony burbonem orzechowy placek i lody waniliowe, spojrzął na nią stanowczo i zapytał:

— Na czym polegał twój układ z moim ojcem?

— No cóż, znasz swego ojca; to prawdziwy pies na baby. Ma obsesję na punkcie swej męskości.

— Jest stary i z tego powodu cholernie nieszczęśliwy.

— Jest również fascynujący, kiedy pozwala poznać się głębiej, czego, muszę przyznać, nie czyni często.

— Tak. Jest skrytym sukinsynem.

— W chwili gdy mnie zobaczył, chciał zrobić ze mnie materac.

— I jak zareagowałaś na tę czarującą uwerturę?

Zmarszczyła brwi.

— Prawdę mówiąc, też tego chciałam. Cóż, dlaczego nie? Nigdy wcześniej nie robiłam tego z mężczyzną w jego wieku. Wydawało się, że warto spróbować. Ale wiedziałam również, że jeżeli ulegnę od razu, on tak samo szybko mnie rzuci. A tego chyba nie chciałam.

Ham uważnie studiował jej twarz.

— Czy próbujesz mi powiedzieć, że udało ci się usidlić mego ojca?

Napiła się kawy.

— Nie całkiem. Nie sądzę, by było to możliwe. Ale on uwielbia, gdy kobiety się z nim droczą, więc tak robiłam. To go zaintrygowało.

— A potem?

— Potem górę wzięły interesy i przestaliśmy z sobą sypiać.

— Aha.

— Co znaczy to „aha”?

Ham wygarnął łyżeczką resztki orzechowego placeka, nałożył na nie trochę lodów waniliowych i pozwolił, by wyborna mieszanka spłynęła mu po języku.

— Widzisz, najbardziej powszechnym błędem jest to, że wszyscy myślą, iż mój ojciec ma fioła na punkcie swego fiuta; sądzą, że to jego słabość. — Wbił łyżeczkę w lody i wylizał ją do czysta. — Nic biedniejszego! Nie sądzę, by ojciec miał jakiegokolwiek słabe punkty, co czyni go istnym unikatem wśród rodzaju ludzkiego. Przeciwnie, nie znosi, gdy facetem, jak mówi, rządzi jego fiut. Używa seksu jako przynęty, tak jak czyni to wiele kobiet, by zdobyć to, na czym mu zależy.

Wyczuł, że Marion powściąga się na siłę i zachował obojętny wyraz twarzy.

— Chodzi ci o to, że on od początku czegoś ode mnie chciał?

— Co nie znaczy, że nie uważał cię za pociągającą. Ale na ścianach swego gabinetu ma wiele łbów. pamiątek z safari w Afryce, które również uważa za atrakcyjne. Rozumiesz, o co mi chodzi?

— O trofea.

— Hmm, to dobre słowo, tak.

Marion dopiła kawę i jej filiżanka natychmiast została powtórnie napełniona. Ham podziękował kelnerce, zwracając się do niej po imieniu.

— Na początku Thornburg wydawał się zainteresowany przewozem broni — mówiła Marion. — Dlaczego by nie? W tym interesie robi się wielkie pieniądze, o ile człowiek jest dostatecznie bystry, by je zgarnąć i wycofać się, nim ktoś wpakuje mu kulę w mózg, podłączy plastik do zapłonu samochodu czy wyda go lokalnym władzom celnym. Dla niego jednak takie ryzyko nie istniało, on tylko dostarczał nam kapitału obrotowego i w rewanżu miał udział w zyskach. Idealny układ dla obu stron. Alei stopniowo zaczęłam odnosić wrażenie, że nie traktuje tego poważnie, że interesuje go coś innego... I wtedy pewnego dnia zaprosił mnie na lunch. Do tego wiejskiego klubu, wiesz...

— Do „Magnolia Terrace”.

— Tak. Cudowne miejsce. Imponujące, domyślam się, że dlatego zabiera tam ludzi. W każdym razie lunch dotyczył tylko interesów. Chciał wiedzieć, czy „Extant” przemycą coś poza uzbrojeniem. Powiedziałam mu, że czasami od naszych najlepszych klientów przyjmujemy zlecenia specjalne. „Co przewozicie?” — zapytał. „Kobiety — powiedziałam — sprzęt medyczny, konie, co tylko chcesz”. Widziałam, że staje się coraz bardziej tym zainteresowany.

Marion nabrała pół łyżeczki placaka, popiła go kawą i przysunęła talerzyk Hamowi. Przyglądała się, jak skwapliwie pochłaniał jej deser i lody.

— Wydaje mi się, że Thornburg zazdrości ci tego, jak jesz. To też przypomina mu o podeszłym wieku.

Ham przestał jeść.

— Nigdy o tym nie myślałem,

Nadal obserwowała go uważnie.

— Teraz, jak sądzę, będziesz się pilnował, jedząc w jego obecności.

— Nie odpowiedział, ale też nie zaczął jeść. — Masz typowe synowskie

pragnienie sprawienia przyjemności swemu ojcu. Jednakże tak się składa, że twoim ojcem jest Thornburg Conrad Trzeci, człowiek, który jest rzadko, o ile w ogóle, zadowolony z poczynań zwyczajnych śmiertelników.

— Do czego zmierzasz?

Marion pochyliła się ku niemu.

— Do tego, że nikt nie dorasta do niego, więc podejmowanie prób mija się z celem. To głupota. Dlaczego spędzasz całe życie na pościgu za czymś, czego, jak wiesz, nigdy nie uda ci się osiągnąć? Dlaczego próbujesz być nim, kiedy możesz być sobą?

— Prawdopodobnie nie możesz tego wiedzieć; on nie jest twoim ojcem.

— Chwała Bogu, amen.

Gwałtownie odsunął talerzyk.

— To zabawne: mówisz mi, jak mam kierować swoim życiem. — Ale wcale nie był rozbawiony.

— Nie wiesz, jak trudno było to powiedzieć. Przepraszam. Myślałam, że jestem ci to winna...

— Wszystko, co jesteś mi winna — zaczął zimno i ostrożnie — to pełne wyjaśnienie tego, co robiłaś z moim ojcem.

Przez chwilę panowała cisza. Znow ktoś wrzucił monetę do grającej szafy; M.C. Hammer zaczął rapować, a przy barze rozległ się wybuch gardłowego śmiechu. Ham spojrzał w tamtą stronę tak, jakby zamiast z Marion wolał siedzieć ze swymi nieokrzesanymi kumplami.

Dziewczyna chrząknęła i Ham natychmiast odwrócił głowę.

— Thornburg chciał, by „Extant” przewoziło dla niego ludzi.

— Ludzi?

— Odpowiednich ludzi.

— Nie bardzo rozumiem. — nam z mezuuwwuieniein zmarszczył Drwi.

— Porywaliśmy dla niego Arabów, Cyganów i Bóg wie, kogo jeszcze. Jakichś samotników, włóczęgów, ludzi, których zniknięcia nikt nie zauważy.

Ham myślał o tym przez pewien czas.

— Po co mu byli potrzebni?

— Nigdy nie powiedział, a ja nie byłam na tyle głupia, by pytać.

— Dokąd ich wysyłano?

— Nie wiem, gdzie kończyli, ale dla nas punktem docelowym była jakaś klinika „Zielone Gałęzie” pod Arlington w Wirginii.

— Wysłałaś mnie, bym znalazła zdrajcę — powiedziała Evan
— i zrobiłam to.

W pokoju panowała cisza. Kobieta, która stała, patrząc tęsknie na senny późnozimowy ogród, nie odwróciła się ani nawet nie zadała pytania, jakie zadaliby inni. Evan milczała. Nie byłaby zaskoczona, gdyby Czcigodna Matka już wiedziała, kto jest zdrajcą.

W końcu kobieta przestała podziwiać naturę. Jej oczy koloru ochry wydawały się groźne niczym ślepia tygrysa.

— Miałaś wieści od syna?

— Tak, Czcigodna Matko. Powiedział, że powodzi mu się dobrze.

Czcigodna Matka podeszła i uklękła naprzeciw Evan. Ubrana była w kimono ze złotogłowiu. Srebrne czaple brodziły godnie w rzece wyhaftowanej na obu rękawach. Czarne okrągłe godła, symbole wiecznej natury Stowarzyszenia Czarnego Ostrza, zdobiły przód.

— Czy powiedział ci również, że tęskni za domem?

— Nie.

— Jest daleko od domu — rzekła Czcigodna Matka. — I to od dawna.
— Jej długie błyszczące włosy, zaczesane gładko, splecione były w kunsztowny warkocz, gruby i długi. — Jego praca dobiega końca, jak mnie poinformował. I dobrze, ponieważ mam przecucie, że wkrótce będzie potrzebny tutaj.

— Nishitsu...

— Daj spokój z Nishitsu — przerwała jej Czcigodna Matka. — Dziwię się, jak głęboko wierzy w fikcję, że rządzi Toshin Kuro Kosai. Ale dlaczego nie? Od dziesiątków lat wierzą w to wszyscy poza członkami najbardziej wtajemniczonymi. Ty, twój syn, Minako, ci znają prawdę.

— Odwróciła głowę, jakby nasłuchując dźwięku, który tylko ona mogła usłyszeć. — Opowiedz mi o zdrajcy.

— To interesująca historia. Odkryłam, że trop wiedzie do Shoto Wakare.

— Ten trop był bardzo okrężny.

— Tak, Czcigodna Matko.

— Ale nie niemożliwy do poznania.

— Nie dla mnie.

— Nie. Oczywiście, że nie. — Czcigodna Matka czekała przez chwilę nieruchoma jak osa na szybie. — I twoim zdaniem zdrajcą jest Wakare.

— Wakare nas zdradza — przytaknęła Evan.

— Znalazłaś w jego mieszkaniu urządzenie do kodowania.

— Tak.

Czcigodna Matka skinęła głową, jak gdyby zadowolona z sumienności Evan.

— Ale wiesz, że źródłem zdrady nie są ludzie, do których wysyła tajne wiadomości.

— Oczywiście, że nie. Wiemy, dla kogo pracuje i kontrolujemy to.

Czcigodna Matka znów pokiwała głową.

— Zatem jak nas zdradza?

— Jak każdy mężczyzna, wyplakuje się swojej dziwce. Mita powtarza mi wszystko. Musi. Uratowałam jej ojca przed Jakuzą, winien był im duże pieniądze. — Błade oczy Evan roz błysły. — Wkrótce Wakare przyprowadzi do „Zakazanych Snów” Yuji Shiana. To podstęp. Powiedział Yuji, że zamierza obalić tych, którzy rządzą Stowarzyszeniem Czarnego Ostrza. I w tym celu go zwerbował.

Evan znała wszystkie historie szeptane o Czcigodnej Matce, jak również te, których nikt nie śmiał powtarzać. Urodziła się i wychowała w „Zakazanych Snach”, był to jej cały świat, a Czcigodna Matka była jedynym rodzicem, jakiego pamiętała. Evan wspomniała jedną z historii. Mówiono, że zapuściła tak długie włosy, by dusić nimi swych kochanków.

— Jesteś pewna, że to zdrada? — spytała Czcigodna Matka. — Może Wakare użył tego podstępu, by nakłonić Yuji do przyłączenia się do nas.

— Myślałam o tym, ale Wakare powiedział też Yuji, w jaki sposób może się do nas przyłączyć i nadal nie zdradzać sekretów Wyroczni.

— Wątpię, czy Yuji umiałby się oprzeć naszym... metodom perswazji. Znamy wszak wiele interesujących technik.

— Jednakże istnieje lepszy sposób. Minako nigdy nie powiedziała nam, gdzie jest ukryta Wyrocznia, ale ja to odkryłam. Szwagier Yuji, Hiroto, był na tyle uprzejmy, że mnie tam zabrał.

Czcigodna Matka nachmurzyła się.

— Chyba nie powinnaś była go do tego nakłaniać. Jeżeli Yuji z nim porozmawia...

— To już nie jest możliwe. — Evan wyjęła małą paczuszkę i rozwinęła ją na kolanach.

Czcigodna Matka spojrzała na zawartość i skąpy uśmiech zaigrał na jej ustach.

— To bardzo sprytne z twojej strony, moja droga. — Czcigodna Matka siedziała z zamkniętymi oczyma, kiwając głową, jakby przytakiwała

jakimś niesłyszalnym głosem. Porywczo wyciągnęła rękę. — Mam wrażenie, że wkrótce zrobimy z tego pożytek. — Drapieżne palce zacisnęły się na pakunku. W świetle zimowego dnia jej włosy wyglądały jak hełm lub skorupa. Otworzyła oczy. — I doszłaś do wniosku, że Wakare jest zdrajcą.

Evan drgnęła.

— Nie, Czcigodna Matko. Z tego, co powiedziałam, wynika, iż ktoś nim manipuluje. Wiemy, że spiskuje z Conradami, ale wszystko dowodzi, że nie on jest przywódcą.

Czcigodna Matka westchnęła, podnosząc głowę jak zaciekawiony owad.

— Powiedz mi resztę.

— Myślę, że już wiesz, Czcigodna Matko.

— Mów! — zawołała z taką wściekłością, że nawet Evan, która знаła ją przez całe życie, może lepiej niż ktokolwiek inny poza Minako, cofnęła się ze strachu.

Potem skinęła głową.

— Wygląda na to, że Wakare został nakręcony przez Minako. To ona jest prawdziwym zdrajcą.

Wrócili do karawanu i Wolf prawie bez czucia zwałił się na fotel.

— Co się z tobą działo? — zapytała. — Wyszłam z zajazdu, a ty zniknąłeś.

— Zobaczyłem motocykl Sumy i pozwoliłem sobie na małą dywersję.

— Widocznie czekał na ciebie używając motocykla jako przynęty;

Biorąc pod uwagę następstwa, trudno było się z tym nie zgodzić.

— Zabiłeś go?

— Nie. Wyczuł, że nadchodzisz i uciekł. — Czy usłyszał w jej głosie niepokój o los Sumy? Był zbyt wyczerpany, aby zastanawiać się nad takim obłądnym pomysłem.

Po zatankowaniu ruszyli dalej na północny wschód, a godzinę później zaparkowali w gąszczu przy wiejskiej drodze, dziesięć mil od bostońskiego lotniska. Chika zaproponowała, by Wolf przespał się w trumnie, lecz on miał dość tej skrzyni. Położyli się obok siebie, skuleni jak kochankowie. Wolf zamknął oczy, ale nie mógł zasnąć. Wstał, nie budząc jej, i usiadł opierając się plecami o karawan.

Wcześniejsze podejrzenia znów zaczęły go męczyć. Gwałtownie potrząsnął głową, jak gdyby próbując oczyścić ją z chmary iluzji. Czy to naprawdę

Suma był przed zajazdem i poprowadził go do strumienia, czy od początku była to Chika: Chika, która próbowała go zabić, Chika, która zaprezentowała mu wyobrażenie Sumy, żeby jej nie podejrzewał?

Możliwości było nieskończenie wiele. Zaczaj dygotać niczym w wysokiej gorączce. Poczul się jak uwięziony w hali luster, gdzie jeden fałszywy krok mógł zwalić nań całą konstrukcję. Nigdy nie był tak przerażony, nawet wtedy, gdy wisiał na jednej ręce nad brudnym betonem ulicy.

Dziko zacisnął zęby, aby ich szczękanie nie obudziło Chiki. Nie chciał, by zobaczyła go w takim stanie. Nigdy w życiu przed niczym nie uciekał, ale ta sytuacja, jak przyznał z własnej woli, była inna. Znajdował się w szalonym oku bezwymiarowego cyklonu. Jaki miał wybór? Głupie pytanie, ponieważ wiedział, że ma tylko jedną możliwość: przeć do przodu, tylko do przodu, w nieznaną przyszłość.

Drżącą ręką startł zimny pot z twarzy i mimo wszystkich logicznych argumentów sprzeciwiających się temu nieomal wyważył tylne drzwi karawanu i rzucił się do ucieczki. Po chwili irracjonalny strach minął. Zamknął oczy i widząc w myślach Chikę, zapadł w niespokojny sen.

O świcie obudził dziewczynę. Wypili mleko i zjedli czekoladowe paczki, które Chika kupiła w „7-Eleven”. Potem ruszyli na lotnisko.

Zostawili karawan na parkingu i wsiedli do przegubowego autobusu jadącego do terminalu. Było parę minut po wpół do siódmej, ale już było gorąco.

O siódmej trzydzieści byli w powietrzu. Półtorej godziny po wylądowaniu na lotnisku O'Hare w Chicago weszli na pokład boeinga 747, czekającego na wolny pas startowy. Wolf miał dużo czasu, by się zastanowić, jak Suma zdołał śledzić ich przez Massachusetts i gdzie on teraz jest. Złany zimnym potem wspomniął zielone światło w oczach Japończyka i to, jak Bobby Connor stanął w płomieniach, i płonąca Cathy, i duszącego się Johnsona. Wspomniął martwą Amandę, leżącą w morzu własnej krwi. I nieubłaganą siłę na dachu, wrzucającą go przez świetlik, i węże w starym magazynie, i demona w strumieniu.

Suma.

Wolf odpiął pas i przyjrzał się pasażerom. Nie dostrzegł go nigdzie. Usatysfakcjonowany wrócił na miejsce. Zamknął oczy i próbował zasnąć. Nie, nie całkiem. Było to niczym sen na jawie, jak gdyby miał w sobie generator o olbrzymiej mocy. W rzeczywistości w pewien sposób tak było.

Znów był świadom zachodzącej w sobie przemiany, ale nie miał pojęcia, co ona wróży. Zaczął unosić się w przestworzach, jak nazwał to Biały Łuk: myśleć poza ciałem.

Nadal miał wrażenie, że umknęło mu coś istotnego, coś, co widział lub słyszał. Uwolnił swego mrocznego przyjaciela, który, wywijając ogonem, przycupnął na jego ramieniu. Prawie słyszał zgrzyt jego zębów.

„Karawan” — usłyszał w myślach szept.

Otworzył oczy, wpatrując się w przestrzeń.

Tak, karawan.

Przypomniał sobie, jak widział go po raz pierwszy, obserwując Chikę wsiadającą tylnymi drzwiami. Musiał znaleźć odpowiedzi na kilka pytań. Kto prowadził?

Jeżeli Chika nie przyjechała do Stanów na własną rękę, to dla kogo pracowała? I tak samo ważne: ile innych kłamstw mu naopowiadała? Z jej zachowania i słów wynikało jasno, że diabelnie jej zależy na zabraniu go do Tokio.

Ale w jakim celu?

Czy kierując się jej kłamstwami wchodził w opisany przez nią świat czjr w ciemność? A jeśli na przykład ona i Suma pracowali nad tą samą sprawą? Jeśli mieli ten sam cel? Jeśli w Stowarzyszeniu Czarnego Ostrza nie istniał żaden rozłam? Jeśli werbowwała go w imieniu samego Toshin Kuro Kosai? Jeżeli tajni agenci z DC wiedzieli o tym i doszli do wniosku, że zdradził, z pewnością robili, co mogli, by wyeliminować go tak szybko i skutecznie, jak tylko można.

Poza tym istniała jeszcze kwestia mrocznego dani, który Biały Łuk wezwał z głębi jego jaźni. Dar był bardziej złożony niż potrafił sobie wyobrazić, a w dodatku nie tyle wszystko wyjaśniał, co komplikował. Najgorsze, że rzucił go w świat tak moralnie niebezpieczny, że nawet jeden fałszywy krok mógł sprowadzić go na manowce.

Zamknął oczy. Ten, kto powiedział, że absolutna władza demoralizuje absolutnie, wiedział, o czym mówi.

Dwadzieścia minut później dostali pozwolenie na start. Olbrzymia maszyna obróciła się, wyziewy przemieniły widok za oknem w obraz impresjonisty, kadłub zadrżał, gdy zwolniono hamulce. Popędzili wzdłuż pasa, silniki zawyły i powoli wznieśli się w ciężkie, duszne powietrze. Miasto przechyliło się pod skrzydłami i znikło szybko w gęstym smogu.

THORNBURG-MINAKO

WIETNAM-KAMBODŻA 1971

— Mój Boże, ty masz do tego nosa, synu. Taki stary lis jak ja potrafi dostrzec to od razu.

Działo się to jesienią 1971 roku. Na piersiach generała Crossa wisiało tak wiele odznaczeń, że obciągały one przód munduru. Generał lubił zakładać tę „owocową sałatkę” nawet przed bitwą, od której się nie wzbraniał, ponieważ uważał, że taka oznaka chwalebnego męstwa stanowi zachętę dla żołnierzy. I, co dziwne, najczęściej miał rację.

Thomburg obserwował Wolfa, który siedział na jednym z generalskich płóciennych krzeseł. Cechował go spokój, który Thomburg uznał za godny podziwu, a nawet zazdrości. Wokół nich toczyła się wojna: koszmarny spektakl niewyobrażalnego chaosu.

Siedzieli w budynku z falistej blachy, w którym pod wietnamskim letnim słońcem było mniej więcej tak gorąco, jak wewnątrz tostera. Thomburg widział, że Wolf się poci, trzech oficerowie z personelu pomocniczego generała się pocią, a nawet sam generał Cross jest zlany potem.

Patrzył przez okno, jak załadują bombowce B-52. Napalmem.

Ta wojna chyba nigdy się nie skończy — pomyślał.

Nikt ich nie przedstawił sobie i przypuszczał, że Wolf jest ciekaw, kim on jest. Dobrze.

— Masz cholernie dobre akta, synu — powiedział do Wolfa generał Cross, chociaż nie dał żadnego znaku, że przeglądał dossier Wolfa, które kurczowo ścisnął jeclen z oficerów. — Sześć odznaczeń bojowych. Twój towarzysze broni są z ciebie dumni, tak samo jak twoja ojczyzna. Do diabła, ja sam jestem z ciebie dumny!

— Dziękuję, sir — odparł słuźbiście Wolf.

Me generał ruchem reki zbył jego słowa.

— Wojsko, nagradzając swoich bohaterów, synu, prosi icft, by dali z siebie jeszcze więcej. To naturalne, naprawdę, bohaterowie bowiem mają więcej do zaofiarowania od innych. — Generał Cross zmrużył oczy. Miał długą, smutną twarz z pokaźnym nosem, zapadniętymi policzkami pociętymi siecią wyrzeźbionych przez słońce i wiatr bruzd oraz wysokie, inteligentne czoło. — Nastaly złe czasy; chyba nie muszę ci mówić, jak bardzo złe. Potrzebujemy wszelkiej broni, wszelkiej siły, jaką można zgromadzić, by wytrwać i wygrać tę wojnę. — Oczy generała zmniejszyły się teraz do wąziutkich szparek. — Rozumiesz, co mówię, synu?

— Tak, sir, rozumiem.

Generał Cross pokiwał głową.

— Mamy dla ciebie szczególną robotę, synu. To gorąca robota. Tak gorąca, że nawet MACV postanowiło jej nie dotykać. — Używał powszechnego skrótu oznaczającego amerykański sztab kierujący działaniami wojennymi w Wietnamie. Jego oczy prześliznęły się po twarzach wszystkich zebranych i znów spoczęły na Wolfie. — Masz odpowiedni dryg, synu. Siedzący tu ludzie są jedynymi, którzy wiedzą o tej tajnej misji. Są jedynymi, którzy rozumieją jej znaczenie.

— Ja go nie rozumiem — powiedział Wolf. — A skoro wojsko uważa, że ryzyko jest zbyt wysokie, by zatwierdzić tę misję, wobec tego zastanawiam się, czy mam jakiś wybór.

— Oczywiście — odezwał się Thornburg, lubiąc go coraz bardziej. Oczy Wolfa skierowały się na niego i Thornburg mógł wyczuć w nich siłę. Nieledwie dostrzegł w jego wzroku własne odbicie. — Nie możemy nikogo zmuszać. Właśnie ze względu na charakter zadania.

— Kim pan jest? — zapytał Wolf.

— Nazywam się Thornburg Conrad Trzeci. Możesz uważać mnie za architekta tego szczególnego planu.

— To prawda — generał Cross przemówił po raz ostatni. — Chcę ci przypomnieć, synu, że przez zadawanie zbyt wielu pytań niczego nie

zyskasz. Wymagamy od ciebie jedynie żołnierskiej postawy. — Wstał, a wraz z nim jego asystenci. — Zatem zostawiam was. — Wymaszerował z gorącego pomieszczenia, zabierając swoją świętę.

— Więc — zaczął Thornburg, gdy został sam z Wolfem — czy mam rozumieć, że żywisz jakieś ambiwalentne odczucia w stosunku do wykonywania swoich obowiązków?

Wolf nagle odkrył, że gapi się w lufę oficerskiego colta kaliber 45...

Wietnam. Wir wojny. Niczym spragniona krwi bestia wojna przeżuwała młodych chłopców i wypluwała ich martwych bądź okaleczonych na ciele i umyśle; taka okrutna i beztroska bestia... W końcu Thornburg uznał, że obserwowanie jej czy kontemplowanie jest nie do zniesienia.

Dziesiątki lat później miał pojąć, jak bardzo wtedy pogardzał wojną. Codziennie widział, że przyszłość jego ojczyzny pochłaniają zalane ryżowe pola tego obcego kraju. Wojnę można zrozumieć, jak wyjaśnia to każda porządna książka historyczna, a jednak w wypadku tej wojny było to niemożliwe.

I w tym sęk — pomyślał — ponieważ wszyscy godzili się z wojną, ale nikt nie mógł doszukać się w niej sensu.

I w Kambodży nie było inaczej. Prawdę mówiąc, w swojej arogancji nie miał pojęcia, czego wymaga taka misja. Był zadowolony, że jego znajomości umożliwiły mu owinięcie generała Grossa wokół palca. Cross nie miał wyboru i gdyby Thornburg miał jakieś wyczucie, odniósłby się doń ze współczuciem. Zamiast tego podniecał go fakt, że może powiedzieć generałowi, czego potrzebuje, i dostanie to bez pytania.

Nieruchoma atramentowoczarna ciemność azjatyckiej nocy.

Wolf pilotował mohawka OV-1B, dziwnie wyglądający samolot oddany im do dyspozycji przez Pierwszą Dywizję Kawalerii Powietrznej w An Khe. Posadził go na nadgranicznym pasie i złożona z siedmiu osób załoga szybko wysiadła.

Poza Wolfem w jej skład wchodził sierżant Sił Specjalnych Brick, swego rodzaju goryl Thornburga przydzielony przez generała Crossa, osobisty technik medyczny Thornburga, Duncan, dźwigający połowy sprzęt laboratoryjny, oraz trzech Khmerów, wychowanych w tej części Kambodży, do której Thornburg zamierzał się dostać.

Po dotarciu do punktu docelowego wszyscy prócz Thornburga i Wolfa mieli zostać wybici przez Yietcong.

Ale dopiero po tym, jak Thornburg znajdzie to, czego szuka.

Poranek drugiego dnia misji zajaśniał krwawą czerwienią i w jego świetle dostrzegli słup dymu, który wisiał w dusznym powietrzu niczym lina wysnuwająca się z dzbana fakira.

Źródło dymu leżało mniej niż pół kilometra dalej i okazało się resztkami rozległej wioski. Gdzieś nadal płonął jaskrawobiały ogień, prawdopodobnie pochodzenia chemicznego. W powietrzu unosił się przytłaczający smród spalonych ciał.

Ciała leżały wszędzie: w wejściach, na ulicach, w tym, co pozostało z domów. Zwłoki były tak zwęglone, że nie zachowały się na nich nawet strzępy ubrań. Thornburg słyszał, jak Wolf pyta jednego z Khmerów, czy ci ludzie byli Wietnamczykami czy Khmerami.

— Jedni i drudzy. — Na twarzy żołnierza odmalowało się cierpienie. — Wietnamczycy lubili nadgraniczne wioski, bo wierzyli, że wśród Khmerów są bezpieczni przed atakami Amerykanów.

Tyle pytań bez odpowiedzi — pomyślał Thornburg.

Chociaż wszystko wskazywało na bombardowanie napalmem, nie wyczuł woni chemikaliów. Poza tym w nocy niczego nie słyszeli, a będąc tak blisko z pewnością nie przegapiliby warkotu samolotu i głuchych odgłosów eksplodujących pocisków.

Thornburg dał znak Duncanowi. Technik wyjął licznik Geigera, lecz, tak jak wcześniej, nie wykrył promieniowania. Otworzył zestaw, który niósł w plecaku i wyciągnął instrumenty z płóciennych woreczków. Pracował szybko, pobierając fragmenty skóry, tkanek, narządów, takich jak wątroba, płuca i serce, próbki kości, pnia mózgu, kręgosłupa i wycinki z siedmiu różnych obszarów mózgu od tuzina ofiar — mężczyzn, kobiet i dzieci w różnym wieku. Probki umieścił w specjalnych fiolkach, które starannie zapieczętował i oznaczył, po czym schował ze skrupulatną troską, a wszystko pod czujnym okiem Thornburga.

Thornburg widział, jak patrolujący otoczenie Wolf uważnie ich obserwuje. Nie zadawał pytań, był zbyt dobrym żołnierzem, ale Thornburg domyślał się, że w myślach rejestruje fakty, z których, czego był pewien, w pewnym momencie wyciągnie wnioski.

Wkrótce rozpoczął się ostrzał artyleryjski, w czasie którego zginęli Brick i Duncan. Thornburg nigdy się nie dowiedział, co stało się z trzema Khmerami. Zostali zabici, wpadli w niewolę czy zostawili swoją jednostkę na łasce losu?

Ale taka jest wojna częściej, niż się wydaje — pomyślał. — Człowiek nigdy nie wie, co się dzieje, co się stanie, a nawet, co się już wydarzyło. Albo zaakceptuje ten zwariowany stan rzeczy, albo zwariuje.

Thornburg został oślepiiony i Wolf, zbierając próbki, odciągnął go od padających pocisków. Wtedy zaszło coś dziwnego. Thornburg poczuł się całkowicie bezpieczny w obecności Wolfa, jak gdyby nie mógł zostać trafiony, kiedy z nim przebywał. Miał wrażenie, że są chronieni przez jakąś mroczną skorupę, oddzielającą ich od wojny.

Zatrzymali się na odpoczynek. Wolf, nie zważając na wcześniejsze słowa Grossa, zażądał wyjaśnień. W tym czasie Thornburg był już bardzo przerażony. Euforia wynikająca z jego pozornej wszechmocy w obliczu wojny prysła jak bańka mydlana. Wolf już wiedział, że Thornburg nie jest Johnem Wayne'em i że jest całkowicie od niego zależny, więc musiał zdradzić mu tyle, ile uznał za rozsądne. Poza tym był bardziej bystry, niż Thornburg się spodziewał, i z zebranych informacji zdążył już wyciągnąć zaskakujące wnioski. Domyślił się, że Thornburg i Duncan byli cywilami, że misja nie była operacją militarną, że z założenia było czysto naukowe i że cywile szukali źródła jakiejś nowej formy promieniowania.

Thornburg powiedział mu, że zainteresowały go zagadkowe doniesienia zwiadowców Khmerów. Na początku MACV je zlekceważyło. Potem podobne informacje zaczęły napływać wraz z raportami Oddziału B-50 Piątej Grupy Sił Specjalnych, biorącego udział w niekonwencjonalnych operacjach wojennych na granicy między Wietnamem a Kambodżą. Meldunki w końcu trafiły w ręce generała Grossa, dowódcy Szóstej Grupy Sił Specjalnych czy Oddziału Omega, jak lubili się nazywać członkowie formacji.

Wolf zareagował od razu.

— Chwileczkę. Przecież nie istnieje żadna Szósta Grupa Sił Specjalnych.

— To prawda — zgodził się Thornburg.

— Zatem o czym mówimy, o tajnych służbach?

— Wszyscy służymy rządowi Stanów Zjednoczonych, nieprawdaż?

Tylko to ma znaczenie.

Thornburg nieledwie widział, jak Wolf obraca w myślach te informacje. Tajna misja... Może CIA czy nawet jakiejś starszej organizacji, może zaprawionych w boju agentów OSS, którzy jak mówiła powszechna plotka, zesłali do podziemia po utworzeniu Centralnej Agencji Wywiadowczej i nadal działali za zamkniętymi drzwiami gdzieś w biurowym labiryncie Waszyngtonu.

Thornburg chciał, by jego młodszy towarzysz zobaczył, że darzy go zaufaniem, choć nie jest tajnym agentem. Pragnął również, by doszedł do wniosku, że zadawanie zbyt wielu pytań nie leży w jego interesie.

Ale — pomyślał — zawsze mówiłem, że Wolf jest mistrzem w odkrywaniu faktów i trudno go do tego zniechęcić

— Te raporty, które założyły generałowi Crossowi za skórę, dotyczyły promieniowania, prawda?

Thornburg powiedział, że wioska, na którą się natknęli, nie pierwsza zresztą, wyglądała na zbombardowaną napalmem, mimo że Amerykanie nie przeprowadzili żadnego tego typu nalotu. Wszystkie inne zostały zdobyte przez żołnierzy Vietcongu.

— Dowództwo wojsk w Wietnamie Południowym nie interesowało się, co robimy tu, w Kambodży, a tubylcy nie mają ani celu, ani środków, by czynić takie spustoszenie. Kto więc zostaje? Trzeba się dowiedzieć.

— Dlatego przyszedł pan tu ze sprzętem do mierzenia promieniowania.

— To prawda. Liczne raporty zwiadowcze donoszą o jakimś nieznanym promieniowaniu szczątkowym. To również nas zaskoczyło. Nie pozostało nic innego, jak zebrać ludzi i przyjrzeć się temu na własne oczy.

— To nie było mądre.

Thornburg był pewien, że Wolf jest na niego wściekły za wciągnięcie w to bagno.

— Muszę wiedzieć więcej — dodał. — Dlaczego na przykład MACV nie wysłało własnej jednostki, by sprawdzić te meldunki? Dlaczego zorganizowano paramilitarną misję cywilną?

— Tak zdecydowali ludzie kontrolujący wojsko — powiedział Thornburg.

— Myślę, że pan kłamie. Od początku była to pańska misja. Nie wiem, kim pan naprawdę jest, ale wiem jedno i to mnie przeraża: ma pan w tym jakiś osobisty interes.

Thornburg słyszał, jak Wolf krąży wokół niego i znów odniósł wrażenie, że póki z nim jest, to nic mu nie grozi.

— W porządku, przyjmę te bajki za dobrą monetę, bo jak dzień długi tajniacy niczego innego nie robią, tylko je wymyślają. Ale dlaczego wybrał pan mnie do swej załogi? Co prawda jestem licencjonowanym pilotem, ale z gruntu żołnierzem, nie tajniakiem.

— Właśnie dlatego — rzekł z aprobatą Thornburg. — Nie chciałem mieć przy sobie żadnego z cholernych tajniaków Crossa. Już zwałił mi na

kark Bricka i wiedziałem, że sierżant zda mu relację ze wszystkiego, co się działo. Szczerze mówiąc, chciałem sam kogoś wybrać, by trochę wyrównać szanse. Twoje akta, które Cross potrudził się przeczytać, przedstawiają cię jako bohatera. To kapitalnie, o ile o mnie chodzi, ale ja poszedłem dalej i popytałem o ciebie. Jesteś sprytnym, bystrym indywidualistą, i to mnie ujęło. Jak mówiłem, nie chciałem, by Cross o wszystkim wiedział. Miałem nadzieję, że pomożesz mi przyhamować zapędy Bricka.

— No cóż, teraz z pewnością nie musimy się o to martwić—odparł Wolf.

Thornburg potrafił docenić jego poczucie humoru.

— Chcę iść dalej — rzekł krótko.

Każdy inny człowiek na miejscu Wolfa odpowiedziałby: „Zwariowałeś, nie możemy iść dalej. Jesteś ślepy”. Ale on rzekł:

— Teraz rozumiem, jak ważna jest dla pana ta misja. Nie wiem tylko jednego: jak pan zamierza z niej się wyplątać.

— O co ci chodzi?

Roześmiał się.

— Wyjść z niej obronną ręką. Już domyśliłem się, że nie jest to nawet misja rządowa. Przybył pan tu na własną rękę — indywidualista jak ja. To dlatego bał się pan, że Brick zacznie mówić.

Wolf miał Thornburga w garści, oczywiście. Thornburg podziwiał go, ale się z tym nie zdradził. Zamiast tego zapytał:

— Gdzie jest wschód?

— Nie mam pojęcia, jest gęsta mgła. Dlaczegoż by nie skorzystać z licznika Geigera. Może on da nam wskazówkę, w którą stronę ruszyć.

Był to dobry pomysł i Thornburg usłyszał, jak Wolf grzebie w plecaku załadowanym ekwipunkiem Duncana.

W tej samej chwili rozległ się stłumiony przez grubą mgłę dźwięk. Thornburg instynktownie podniósł pistolet, ale Wolf położył rękę na lufie i pchnął ją w dół.

— To nic nie da.

— Skąd wiesz?

Wtedy z mgły wyłoniła się kobieta-wojownik. Wolf określił ją w taki sposób nie dlatego, że miała broń czy hełm, ale ponieważ zachowywała się jak żołnierz. Powiedział Thornburgowi, że towarzyszy jej dwóch mężczyzn uzbrojonych w konwencjonalne AK-47.

Stwierdził, że kobieta jest Azjatką. Zmieszało go to, że nie miała rysów Khmerów. Nie była ani Wietnamką, ani Tajką; przypuszczał, że jest Japonką.

Zauważył, że jest piękna, ma delikatną twarz, która nie pasuje do jej wojskowej postawy. I że nie jest ani młoda, ani stara, lecz że cechuje ją jakaś ponadczasowość, która tu, w kraju rozdartym wojną, gdzie poziom stresu jest nienormalnie wysoki, rzucała się w oczy tym bardziej.

— Panowie, wasze przybycie było nieuniknione — zaczęła w bezbłędnym angielskim. — Wiedziałam, że nasze... eksperymenty kiedyś muszą zostać wykryte. Ostatecznie, zwiad w czasie wojny jest podstawą.

— Przeprowadzane eksperymenty? — zapytał Thomburg, odwracając twarz w stronę, z której dobiegał głos. — Kim jesteście?

— Zechce pan pójść tędy?

Thomburg był przerażony, ale Wolf ujął go pod ramię i wówczas spłynął nań dziwny spokój. Kobieta zdjęła mu plecak z ramienia.

— Uwolnię pana od tego brzemienia.

Thomburg próbował wyszarpnąć jej pakunek, ale coś jakby zablokowało mu mięśnie. Jej palce wysunęły rzemienie z jego bezwolnych dłoni.

— Nie walcz z nią — szepnęła Wolf. — Ona już wie, co w nim jest.

Chwilę później paraliż minął i Thomburg potrząsnął głową niczym pies po powrocie z deszczu.

— Skoro znam już pańskie nazwisko, panie Thornburgu Conradzie Trzeci — powiedziała — powinien pan poznać moje. Proszę nazywać mnie Minako Shian...

Ślepotą była kalectwem, lecz w tym wypadku dobrze się stało, że Thomburg spotkał Minako, będąc pozbawiony wzroku. Dzięki temu widział ją w myślach, jak gdyby roztaczała aurę, której nie mógłby zobaczyć w normalny sposób.

Podejrzewał, że gdyby miał zdrowe oczy, to wszystko potoczyłoby się inaczej. Jasne, że by ją zastrzelił, a jej strażnicy zabiliby jego i Wolfa.

Ale choć był ślepy i otaczała go niewysłowiona ciemność, „widział” ją swym umysłem i orientował się, jaka jest.

Unosiła się w mroku jego świata i, niesamowicie, nie dotykając jej już wyczuwał zapach jej ciała, smak ust, twardość mięśni pod jedwabiem skóry.

Była kobietą-wojownikiem i ten fakt sprawił, że uznał ją za jeszcze bardziej podniecającą. Nie wiedział, kim dowodziła, ale jej generalska poza była dlań rzeczą oczywistą — i najpotężniejszym ze znanych mu afrodyzjaków.

— Widzę, że jest pan ranny. — Wprowadziła go do czegoś, co uznał za namiot.

— Moja ślepotą być może jest chwilowa. Teraz niepodobna tego stwierdzić.

Wymacał krawędź czegoś, co musiało być polowym łóżkiem, i usiadł. Po chwili poczuł dotknięcie, nakłaniające go, by się położył.

— Mogę zobaczyć?

— Jeżeli uważa pani, że to coś pomoże.

Skrzywił się, gdy pierwsze muśnięcie czubków palców spowodowało ból. Przez długi czas nic się nie działo, po czym wydało mu się, iż ból minął.

Poczuł wzrastającą temperaturę i w tej samej chwili miał wrażenie, jakby łóżko uciekło mu spod pleców, on zaś unosił się w morzu ciepła.

Otworzył oczy, ale niczego nie zobaczył; zasłaniała je ręka Minako. Po chwili kobieta cofnęła dłoń, a on zamrugał. Rzeczywiście leżał w namiocie i domyślił się, że muszą znajdować się w jakiejś zbombardowanej wiosce, jedną bowiem ścianę tworzył mur z popękanego betonu.

— Znów pan widzi.

— Tak.

Uroda Minako, teraz, gdy mógł ją zobaczyć na własne oczy, pasowała do siły jej aury. Poczuł się tak, jakby przeszła go strzała Erosa. Na Boga, drżał.

Wyobrażenie Erosa przesywającego serce strzałą jest dość trafne — pomyślał.

Kobietę spowijał jakiś mityczny czar, jak gdyby zamiast stóp i nóg pośladków mógł znaleźć pod jej czarnymi bawełnianymi spodniami i żołnierskimi butami kopyta i ogon. Spróbował usiąść.

— Niech pan leży spokojnie przez jakiś czas — powiedziała łagodnie, naciskając dłonią na jego piersi. Tam również poczuł to szczególne ciepło.

— Kuracja trwa nadal.

— Nie czuję bólu. Co pani zrobiła?

Uśmiechnęła się. Był zdeprimowany własną bezbronnością i boleśnie świadom, że kobieta w każdej chwili może wbić mu nóż w serce. Prawda, ból minął, ale ogarnęło go znużenie tak wielkie, jakiego nie czuł nigdy w życiu. A od słabości jest tylko jeden krok do bezradności.

— Ból nadal tam jest, zapewniam pana. Po prostu pańskie ciało rozprawia się z nim w inny, bardziej skuteczny sposób.

Thornburg oblizał usta.

— To dlatego czuję się taki słaby?

— Tak.

— Nie podoba mi się to.

Roześmiała się.

— Czy wołałby pan znów być ślepy?

Zastanawiał się przez chwilę. Wiedział, że przestraszył ją, nie udzielając natychmiastowej odpowiedzi. W końcu stwierdził:

— Coś w tej ślepotcie lubiłem.

— Co?

Ona nie mówiła mu wszystkiego, co chciał wiedzieć, więc dlaczego nie miałby odplącić jej tym samym?

— Kim pani jest? — zapytała. — Co pani tu robi?

Twarz Minako zamieniła się w maskę. Nie wyglądała całkiem realnie, jakby patrzył na nią oczami artysty, jakby stała się symbolem jej duszy.,;

— Pański przyjaciel ma bystre oczy. Już wydedukował, że nie jestem ani Wietnamką, ani Khmerką. Nie jestem również Chinką, Tajką ani Birmanką.

— Pozostaje Japonka. Powiedziałbym, że to raczej mało prawdopodobne. Tu niema Japończyków.

— W takim razie nie widzi mnie pan i ja nie istnieję.

Usiadł, podpierając się na łokciach, ale tak mu się zakręciło w głowie, że musiał się położyć. Po kilku głębokich wdechach rzekł;

— Wspomniała pani o eksperymentach.

— To dlatego pan tu jest, prawda? By dowiedzieć się, co robimy?¹

— Przyjechałem tutaj w związku z doniesieniami zwiadowców z Wietnamu Południowego i naszych własnych.

— To nie jest prawdą tak do końca, czyż nie, panie Conrad?

Owszem — pomyślał — ale skąd, na Boga, ona może to wiedzieć? Czyżby „strzelała” na ślepo? Jeżeli nie — zdrzął, jak pod uderzeniem nagłego podmuchu jesiennego wichru — to co?

— O ile o mnie chodzi, to prawda.

Sześć tygodni wcześniej przedsiębiorczy generał Cross wysłał na drugi stronę granicy helikopter. Maszyna wylądowała na terenie jednej ze zniszczonych wsi i załoga na chybił trafił wybrała zwłoki, zapakowała je do plastikowego worka, zapieczętowała i wróciła do bazy. Następnie wysłano ciało do Waszyngtonu, gdzie w końcu trafiło do laboratorium doktora Richarda Halburtona, jednego z czołowych histopatologów pracujących dla Departamentu Obrony. Tak się złożyło, że doktor Halburton był bratem Douglasa Halburtona, prawnika Thornburga. Byli bliskimi przyjaciółmi; w kilka lat później doktor Halburton został konsultantem kliniki „Zielone Gałęzie”.

W każdym razie to on poinformował Thornburga o swej dziwnej „podopiecznej”, jak nazywał dostarczone mu zwłoki kobiety. W tym czasie obaj opętani byli jedną obsesją: odkryciem tajemnicy życia i śmierci oraz natury starzenia się.

— To bardzo ciekawe — rzekł Dick Halburton, wprowadzając Thornburga do laboratorium. — Moja podopieczna nie zginęła podczas walki. Prawda, jest poparzona jak ofiary napalmu, a jednak nic nie wskazuje na jego użycie.

Thornburg był wielce podniecony tym odkryciem.

— Wobec tego jak umarła?

— Jako naukowiec powiedziałbym, że jeszcze nie wiem. Ale wygląda na to, iż zmarła z przedawkowania.

— Z przedawkowania leku, który spalił jej ciało?

Dick pokręcił głową.

— Nie, wcale nie. Przeprowadzone testy wskazują, że jej organizm zawierał nadmierną ilość pewnego złożonego enzymu. Naprawdę dziwne jest to, że, jak mi się zdaje, ta substancja występuje u ludzi, ale nie w takiej dawce! Może z tego powodu moja podopieczna nie była w stanie zaabsorbować jej w całości i dlatego znalazłem osad w wątrobie, śledzionie, nerkach i okrężnicy. — Dick przerwał, zerknął na Thornburga znad szkieł maleńkich okularów i dodał: — Według mnie ten złożony enzym pożerał ją żywcem.

— Jeszcze go nie wyizolowałeś.

— Ależ tak, to nie było trudne. Jak powiedziałem, wydobyłem osad z jej narządów. Prawdziwy problem polega na analizie tej substancji. To zabierze mnóstwo czasu, może lata, o ile w ogóle jest możliwe. Na razie nie ma o tym mowy.

— Co masz na myśli?

— Ten enzym jest niestabilny, to znaczy, że pobrany z żywej tkanki zaczyna się rozpadać. Można powiedzieć, że ma okres połowicznego zaniku.

— Dick odwrócił się i podszedł do stołu z ocynkowanym blatem, na którym stały trzy druciane klatki z laboratoryjnymi szczurami. — Popatrz. Podałem maleńkie porcje enzymu parce, która cierpiała na nieuleczalny przypadek nowotworu, jaki implantowaliśmy w czasie poprzedniego eksperymentu.

— Wzruszył ramionami. — Pomyślałem, że te szczury nie mają już nic do stracenia.

Thornburg przez pewien czas przyglądał się gryzoniom.

Według mnie nie wyglądają na chore.

— Właśnie — rzucił Dick z tajemniczym uśmiechem. — Bo już nie są.

Thornburg patrzył to na szczury, to na niego.

— Na Boga, co to za środek?

— Zupełnie nie wiem. — Dick Halburton wepchnął ręce w kieszenie laboratoryjnego kitla. — Co było przypuszczalną zawartością Świętego Graała? Krew Chrystusa?

Minako usiadła i odwróciwszy się zaczęła grzać wodę na naftowym palniku. Do wrzątku wrzuciła garść czarnych aromatycznych liści herbaty. Thornburg zachłannie patrzył na jej kark, z którego osunęły się gęste, błyszczące włosy. Mógł policzyć małe wypukłości jej kręgow, a każdy z nich stanowił dlań erotyczny symbol.

— Herbata prosto z Chin — powiedziała. — Bardzo mocna, bardzo dobra.

Pomogła mu usiąść, ponieważ powracający zawrót głowy uwidaczniał się na jego twarzy niczym ostrzegawcza etykieta na niebezpiecznym ładunku. Oparł się o popękany beton, oszołomiony jej zapachem.

Powietrze napępniały drobiny kurzu, które przy każdym wdechu osiadały mu w gardle. Był wdzięczny za herbatę, choć jej ostry, kwaśny smak sprawił, że aż zazgrzytał zębami.

— Gdzie jest Matheson?

— Nie jest ranny — Minako odpowiedziała tak, jakby wyczuła jego niepokój, chociaż był pewien, że rozważnie ibrmułuje pytania. — Prawdę mówiąc, w tej chwili śpi.

— Chciałbym pani wierzyć, ale obawiam się, że nie ma ku temu podstaw.,

— Przyszedł pan tutaj ślepy, a teraz...

— Co pani ukrywa?

— Co oboje ukrywamy? — odpowiedziała pytaniem Minako. — Nie przybył pan tutaj na rozkaz armii Stanów Zjednoczonych. Gdyby byli tak bardzo ciekawi, przysłaliby tu wojskową jednostkę. Prawdę mówiąc, tego się spodziewaliśmy. Pan i porucznik Matheson to całkiem inna sprawa.

— Jak to?

Minako zmarszczyła brwi, jakby zaczął ją niecierpliwic.

— Jest pan cywilem, a to niebezpieczny teren i nie mam pojęcia, jak udało się panu tu dotrzeć. Dlaczego wojsko pana puściło?

— Przypuszczam, że niewiele dbają o moje życie.

Minako raptownie poderwała głowę.

— Nawet jeśli to prawda, przynajmniej oczekiwałabym, że zainteresują się przydzielonymi panu ludźmi. Tylko jeden z nich jeszcze żyje.

Wzruszył ramionami i skrzywił się, bo znowu zakręciło mu się w głowie.

— Wojna jest ryzykiem; ci ludzie wiedzieli o tym, włączając się do mojej misji.

— Ciekawa jestem! Ale oczywiście tak naprawdę nie ma to znaczenia, panie Conrad, ponieważ nie o wojnie mówimy. — Wahała się przez chwilę. — Chciałabym wiedzieć, czy misją zainteresowany jest pański rząd, czy może tylko pan.

Zapatrzył się w jej niezgłębione oczy. Z początku, instynktownie, miał zamiar skłamać, ale zawahał się. Ona najwyraźniej uczyniła pierwszy krok ku temu, co uznał za rozejm. Thornburg wiedział, że to zawieszenie broni zależy od niego, podobnie jak rozpoczęcie dialogu. Miał raczej niewielki wybór. Polegał on na kontynuowaniu potyczki słownej, co mogło być zabawne, ale prowadziło donikąd.

— Skorzystałem z wszelkich znajomości, by się tu dostać — rzekł. — Jak mówiłem, wojskowi wiedzą o tych nietypowych zniszczeniach w tej części Kambodży, jednak prawda jest taka, że są zbyt zajęci prowadzeniem wojny, by wszcząć dochodzenie w sprawie, która nie stanowi bezpośredniego zagrożenia dla amerykańskich żołnierzy. Myślę, że potajemnie są wdzięczni za moje zainteresowanie.

Milczał przez dłuższą chwilę, popijając herbatę i wpatrując się w jej twarz.

— Czy zna pani amerykańskie slangowe słowo *snafu* ! — A kiedy pokręciła przecząco głową, wyjaśnił: — To wojskowy akronim, który wszedł w życie w czasie drugiej wojny światowej, ale daje się zastosować w każdej armii i w każdej wojnie. Oznacza: sytuacja normalna, wszystko popieprzone.

Minako uśmiechnęła się.

— Język angielski jest dużo bardziej obrazowy od japońskiego. — Wyjęła mu z rąk pusty kubek. — Zadowolony pan z herbaty?

— Z pewnością czuję się silniejszy. — Pochylił się i dotknął boku głowy. Skóra była opuchnięta, ale nie krwawiła. Prawdę mówiąc, pod palcami wyczuwał nie tyle ranę, ile bliznę. — Jak pani mnie uzdrowiła?

— Mówiłam panu. Uszeregowałam elementy pańskiego organizmu tak, by lepiej regenerowały uraz.

— To brzmi dla mnie równie podejrzanie jak abrakadabra.

— Słucham?

snofu - oryg. situation normal, all fucked up.,

. - Brzmi dobrze, ale niewiele znaczy. — Rozejrzał się. — Czy występuje tu jakieś promieniowanie?

— Dlaczego pan o to pyta?

— Ponieważ mieliśmy doniesienia o śladowym promieniowaniu w kilku wioskach.

— Zapewniam, że obecnie nie ma tu żadnego promieniowania - odparła Minako.

— Powiem pani, co podobało mi się w mojej ślepotcie - rzekł raptownie. Był boleśnie świadom, że nie może spuścić z niej oczu. Miał wrażenie, że wizerunek Minako został odcisnięty na jego siatkówkach niczym piętno. — W pewien sposób, proszę nie pytać jaki, „widziałem” panią, czy przynajmniej... coś. Chciałbym dowiedzieć się czegoś o tym czymś. — Przerwał na moment. — Chciałbym również wiedzieć, skąd pani się orientuje, że ludzie z mojego oddziału zostali zabici. Nawet ja nie znam losów trzech Khmerów, których mi przydzielono.

— Nie żyją, panie Conrad, zapewniam pana. Wszyscy, poza panem i porucznikiem Mathesonem.

— Kim pani jest? — wyszeptał. — Muszę wiedzieć.

Minako znów się uśmiechnęła,

— Jestem żołnierzem, panie Conrad, takim jak pan. I jak pan, jestem również cywilem, przynajmniej jeśli chodzi o mój rząd.

— To mi niewiele mówi. — Thornburg oparł się wygodniej o betonową ścianę, był straszliwie wyczerpany, ale walczył z ogarniającą go sennością.

Minako przysiadła na brzegu łóżka i wtedy wyraźnie poczuł jej zapach.

Z pewnością nie żołnierski — pomyślał mgliście.

— Te perfumy...

- Jakie perfumy, panie Conrad? Ja nie używam perfum.

— Ten zapach jest... — Zamknął oczy i natychmiast zasnął.

Kiedy się przebudził, na dworze było ciemno. W namiocie paliła się jedna naftowa lampa, zalewając wnętrze niesamowitym blaskiem. Po drugiej stronie namiotu zobaczył śpiącą na ziemi Minako. Przez długi czas obserwował ją z chłodnym spokojem. Wszystko wokół trwało w bezruchu, jedynie jego serce biło w piersiach w zwolnionym rytmie. Miał wrażenie, że patrzy na scenę z filmu, na moment zatrzymaną w kadrze, a może znieruchomiałą na wieki. To absurdalne, ale żywił absolutną pewnością, że

gdyby podszedł do wyjścia z namiotu i spojrzął w rozgwieżdżone niebo, to zobaczyłby, że księżyc i gwiazdy zamarły w bezruchu.

Nigdy nie zapomniał tego nadzwyczajnego uczucia przebywania poza czasem. I w pewnym sensie jego późniejsze życie stało się pogonią za tą chwilą, poszukiwaniem rozwiązania jej tajemnicy.

Przerzucił nogi przez krawędź łóżka i wstał. Czuł lekki zawrót głowy i niejedną raz musiał szukać oparcia, gdy szedł na drugą stronę namiotu. Wydawało mu się, że idzie całą wieczność, jak gdyby zrobienie kroku wymagało setek lat.

Wreszcie zatrzymał się nad skulonym ciałem Minako. Patrzył na równo wznoszące się i opadające w oddechu piersi.

Przyjemnie tak stać — pomyślał — i wiedzieć, że gdybym chciał, mógłbym wbić nóż w jej serce.

Jednakże niczego takiego nie pragnął. Minako była dlań jak jednorożec, jak sfinks mający więcej sekretów, niż mógł sobie wyobrazić.

Wydawało mu się, że ona trzyma własne życie w swoim ręku, że potrafi manipulować czasem — a tym samym i życiem — z taką łatwością, z jaką rzeźbiarz modeluje glinę. Zaczął drzeć z pożądania, lecz nie potrafił powiedzieć, czy bardziej pragnie jej ciała, czy też wiedzy, którą miała. I w pewien sposób nie było to bez sensu, jeden bowiem element był nierozzerwalnie związany z drugim niczym dalekowschodnie *yin* i *yang*, ciemność i światło wiecznie ściągające się w kole egzystencji. Szalał z podniecenia. Potrafił myśleć tylko o jednym: by osiąść ją, a przez to — jej tajemnicę.

Pochylił się i wtedy otworzyła oczy. Nie, nie oczy. Stwierdził z drżeniem, że oczy nadal miała zamknięte, jednak coś się otworzyło, stało się świadome jego obecności. I to coś poruszało się, ciemne, błyszczące i naładowane życiem, jakiego mógł się tylko domyślać. Koncentrowało swoją moc niczym soczewka. Czy była to Minako, czy też ukryty w niej sekret, którego pożył? Nie wiedział.

Wydawało mu się, że znajduje się w środku soczewki, siły pełnej wektorów i celów, łuków, stycznych, punktów na krzywej. Miał wrażenie, że stał się kulą wystrzeloną z pistoletu i wbrew prawom fizyki nagle zatrzymaną w locie.

Gdyby mógł liczyć uderzenia serca, całe życie musiałby czekać, by zebrało się ich dziesięć. Kurczył się, prześlizgiwał przez tryby czasu; mniejszy od pojedynczego ziarna piasku penetrował wnętrze wieczności.

Przestał oddychać; zdawał sobie sprawę, że krew stanęła w żyłach. A może raczej przestał to odczuwać, ponieważ bicie serca było dowodem upływu czasu, a czas był tu nieznanym. Gdy palce Minako rozpinęły jego przesiąkniętą krwią i potem koszulę, zerknął w bok. Wnętrze namiotu zdawało się odległe jak Waszyngton, niewyraźne niczym widziane przez falującą wodę dno jeziora, stanowiło część świata, który przestał mu być znajomy.

Mundur Minako pod jego rękoma rozstał się jak woda. Złapał ją za nagie ramiona. Jej skóra była nieskalana, bez jednej zmarszczki; jędrne piersi były piersiami osiemnastoletniej dziewczyny. Patrzył na nią spod zmrużonych powiek, gdy naga opadła na brzuch obok niego.

Czarna jak krucze skrzydło grzywa włosów, rozpuszczonych teraz, zasłaniała jej twarz; widział tylko palce wsuwające się między swe nogi.

Pragnął zamknąć oczy z zachwytem, ale nie zniósłby braku jej widoku. Wstrząsany dreszczami rozkoszy wyciągnął ręce, rozchylił jej pośladki i wsunął dłoń w dół, palcami wyczuwając gorącą, wilgotną ciemność.

Pragnął, by jej usta zostały na nim na zawsze i sapnął głośno, gdy ześliznęły się. Chciał zaprotestować, ale ona spiorunowała go wzrokiem. Podniosła się i wciągnęła jego biodra pod swoje, jej żar otoczył mu penis. Z jękiem wszedł w nią do końca.

Zapach Minako był oszałamiający. Zalała go woń, jaką wdychał zasypiając, emanująca z niej jak siła tajemniczych soczewek, będących źródłem mocy. Będąc tak głęboko w niej, czuł, że jest bliski ich poznania, tajemnicy czasu, starzenia się, życia zamieniającego się w życie, a nie w rozkład i śmierć. Tak bardzo blisko — to było jak ból, który ranił, gdy przysuwał się bliżej. Gdyby tylko mógł sięgnąć tam siłą woli, porwać owe promieniujące nadzwyczajną mocą soczewki, obejrzeć je i odłożyć na miejsce bez jej wiedzy...

Ale było już po wszystkim — zbyt szybko, zbyt szybko! — i tajemnica Minako cofnęła się z powrotem w ciemność, a on powoli wyśliznął się z niej...

W chwilę później chciał złapać ją za rękę; nie, Minako nie sądziła, że z czułością, chociaż z pewnością był nią oczarowany. Wiedziała, że skoro przez stosunek nie udało mu się dostać tego, czego najbardziej pragnął, teraz będzie chciał spróbować innego sposobu.

Oczywiście, był ogromnie zadowolony; mężczyźni, z którymi chodziła do łóżka, zawsze tacy byli. Nie mogli nic na to poradzić. Tak jak ona nie mogła

zrobić nic z tym, że niczego nie czuła. Może to było jej własnym prywatnym piekłem.

Śmieszne — myślała — jestem skazana na rodzenie dzieci, lecz nie mogę czerpać najmniejszej radości z aktu, który przyczynia się do ich poczęcia. Według rachuby czasu innych liczę sobie prawie sześćdziesiąt lat, a jednak nadal mam okres i nadal jestem płodna jak wtedy, gdy miałam lat dwanaście.

To ten sekret intuicyjnie wyczuł w niej Thornburg; sekret, za poznanie którego byłby gotów zabić. Ona jednak dopiero po stosunku, gdy wyslizgiwał się z niej jak zmija, zrozumiała, że popełniła błąd.

Na początku była pewna, że on jest tym jedynym, tym obdarzonym mocą, który miał ją tu znaleźć, którego przepowiedziała jej *makura no hiruma*, któremu miała wyssać nasienie życia.

Zrobiła to. Przespała się z wrogiem, ponieważ takie było jej przeznaczenie. Ale pomyliła się. Zawierzyła całkowicie *makura no hiruma*, ignorując ostrzeżenia babki. Kabuto uprzedzała, że nieraz natknie się na białe plamy, zobaczy fałszywe przyszłości, które nigdy nie nadejdą — i to był jeden z tych przypadków.

Zbyt późno zdała sobie sprawę, że to nie nasienie Thornburga Conrada Trzeciego miało ją zapłodnić. Zmyliła ją jego ślepotą i rzekoma zdolność odczytania jej aury (od jego towarzysza, Wolfa Mathesona, nie czuła absolutnie niczego). W rzeczywistości nie wątpiła, że faktycznie ją „zobaczył”. Lecz chociaż było to wskazówką, że naprawdę posiada *makura no hiruma*, to jednak gdy po stosunku — kiedy psychika jest otwarta i bezbronna jak w chwili śmierci — oszacowała jego moc, zobaczyła, iż jest ona w głównej mierze utajona i dla niej nieprzydatna.

Jednakże została zapłodniona jego nasieniem. Była to właściwa pora jej cyklu, a znała własne ciało na tyle dobrze, by wiedzieć, jak płodną czyniła ją jej moc. Nie wątpiła, że zaszła w ciążę, że będzie nosić jego dziecko.

I teraz, gdy przycisnął dłoń do jej ręki, próbując znaleźć klucz do zagadki, którą w sobie nosiła, do *makura no hiruma*, pragnęła jedynie wyciągnąć ręce i pazurami wydrapać mu oczy. Był przecież wrogiem.

Jednak niczego takiego nie zrobiła. Zamiast tego uśmiechnęła się do wielkiego, potężnego mężczyzny i przycisnęła usta do grzbietu jego dłoni.

— Nie jestem twoim wrogiem — skłamała. — Widzisz teraz, że nie życzę źle ani tobie, ani twojemu przyjacielowi.

— A jednak zabrałaś mój plecak. Jakbyś wiedziała, co w nim jest. Na pewno nie był głupcem. Prawdę mówiąc, okazał się wyjątkowo bystrym i zaradnym samcem, co bez wątpienia zależało od uśpionej w nim *makura no hiruma*.

— Nietrudno było się domyślić — rzuciła lekkim tonem. — To nasze eksperymenty i nie mogą pozwolić, by ktokolwiek manipulował rezultatami.

— A ty wykorzystujesz to i palisz ludzi żywcem.

Oczywiście, ma rację — pomyślała — ale nie chciała się do tego przyznać.

— Minako, przyszedłem tutaj, by dowiedzieć się, co robisz. Już wiem co nieco, ale muszę wiedzieć wszystko. I nie musisz się bać. Jak wydukuwałaś, to nie jest oficjalne dochodzenie, lecz czysto prywatna, wyłącznie moja sprawa.

Spojrzała na niego, rozchyliła kusząco usta i powiedziała:

— To nie ma znaczenia. Nie mogę pozwolić ci na powrót z dowodami.

— Teraz, gdy cię spotkałem, nie dbam o dowody — stwierdził porywco, chwytając ją za ramiona. — Pragnę jedynie stać się częścią ciebie, poznać twą tajemnicę. Myślisz, że byłbym na tyle głupi, by dzielić się z kimkolwiek tym, co odkryłem?

Minako była przekonana, że zaraz rzuci ją na podłogę i weźmie raz jeszcze.

Jak śmiesznie łatwo manipulować mężczyznami — pomyślała. — Gdy raz włoży się im rękę między nogi, można z nimi zrobić wszystko. Czy to dziwne, że uważała ich za godnych pogardy?

Miała wrażenie, że jedynie jego obsesyjne pragnienie poznania tajemnicy mocy powstrzymało go od popełnienia gwałtu. Co nie znaczy, że by na to pozwoliła. Nigdy żaden mężczyzna nie tknął jej bez jej zgody.

— Pragnę tylko ciebie. Wiem, czym jesteś. Jesteś eliksirem życia.

Rozchyliła usta i wyczuła jego drżenie. W powalaniu potężnego mężczyzny na kolana — i to bez jego wiedzy — było coś podniecającego.

Mężczyźni nie mają pojęcia o niuansach władzy — pomyślała. — Ale nic dziwnego, ich podejście do praw i wszystkiego, co ma znaczenie na tym świecie, jest sztywne, dwuwymiarowe i całkowicie fałszywe.

Pocałowała go. Wydobyła z niego przynajmniej jedną odpowiedź. Ta misja była jego osobistą krucjatą wynikającą z posiadania mocy. To *makura no hiruma* uczuliła go na możliwości przedłużenia życia, i to ta sama siła pchnęła go do poszukiwania tego, co Minako próbowała osiągnąć pod przykrywką wojny między Wietnamem a Stanami Zjednoczonymi. Nie znaczy to jednak, że Thornburg domyślał się, o co naprawdę chodzi.

Ale i tak wszystko już było przeszłością, ponieważ eksperymenty zakończyły się fiaskiem. Minako i jej zespół używali radioaktywnych izotopów o szybkim okresie rozpadu do sztucznego wywołania chemicznej reakcji odczynników, które według nich były odpowiedzialne za aktywację *makura no hiruma*. Jedyным rezultatem eksperymentów była śmierć — w dodatku, co Thornburg i Wolf widzieli na własne oczy — szczególnie okropna śmierć.

To naprawdę czysta ironia — myślała, kładąc jego głowę na piersiach — że przyszedł tu, by próbować wydrzeć jej sekret w chwili największej porażki.

Wymierali coraz szybciej. Liczba dzieci urodzonych z *makura no hiruma* z roku na rok malała. Nikt nie wiedział dlaczego, ale wydawało się jasne, że jeżeli nie zdołają jakoś zahamować tego zatrważającego trendu, pewnego dnia moc zniknie na zawsze, a ich potomkowie staną się równi zwykłym ludziom — to znaczy ślepi, głusi i niedorozwinięci.

I stąd eksperymenty. I palenie, i śmierć.

Ale ostatecznie naszymi doświadczalnymi królikami byli jedynie Wietnamczycy z północy: komuniści, ateści, barbarzyńcy o wypranych mózgach, którzy odwrócili się zarówno od swych pobratymców, jak i od Buddy — myślała Minako. — Ich cierpienie i śmierć nic nas nie obchodzi.

Obecnie musiała znaleźć odpowiedź na jedno pytanie: Co zrobić z Amerykanami? Z radością zabiłaby Conrada, ale pewnego dnia przecież zostanie ojcem jej dziecka, więc Minako zabrakło odwagi na popełnienie takiego zła.

Makura no hiruma pokazała jej, jakim człowiekiem stanie się Thornburg, do jakich sprośności będzie zdolny w pewnych okolicznościach. Czowała, że sumienie nie pozwala jej wypuścić go bez udzielenia mu nauczki. Jej decyzja stała się najlepszym przykładem na to, przed czym ostrzegała ją Kabuto: we wrzącym kotle *makura no hiruma* rodzi się najwyższy stopień arogancji.

Oto, skąd brały się fałszywe przyszłości, oto, jak ścieżka, którą ktoś kroczył z taką pewnością siebie, bez żadnego ostrzeżenia nagle zmieniała kierunek.

Nie umknęła jej ironia tego faktu. Pod jednym decydującym względem *makura no hiruma* przypomina katolicką koncepcję grzechu: obdarzony nią człowiek jest bez przerwy kuszony przez ciemną stronę jej mocy; im większa moc, tym większa pokusa. Dlatego fałszywe przyszłości, które widzą nawet rai

mający pełną władzę nad mocą, częstokroć są dziełem ich własnej wyobraźni. Tak było z Kabuto.

Tak było ze mną — pomyślała Minako.

Trzeba przyznać, że Kabuto próbowała ją ostrzec, ale młody człowiek z reguły jest głuchy na takie przestrogi i nie dopuszcza do siebie myśli, że mógłby popełnić te same błędy, co starsi.

Minako miała ważny powód, by zająć się przeprowadzeniem eksperymentów w Kambodży. Chociaż było to igraniem ze śmiercią (Wietnamczycy z północy z pewnością zabiliby ją, gdyby tylko wpadła w ich ręce, tak samo jak mieszkańcy Kambodży, gdyby jej ludzie nie przerazili ich tak skutecznie), przedsięwzięcie stanowiło dla niej jedyną w swoim rodzaju okazję. Od lat używała mocy jako swoistej radiolatarni, mając nadzieję, że przyciągnie samca, który umieści nasienie w jej łonie i da życie dziecku z nadzwyczajną *makura no hiruma*. Eksperyment miał tysiąckrotnie powiększyć jej siłę. A *makura no hiruma* fałszywie podpowiedziała, że wypadki zaczęły się rozwijać zgodnie z oczekiwaniami.

Stąd jej początkowe podniecenie na widok Thiornburga Conrada Trzeciego i stąd późniejsze rozczarowanie. Czuła się zbrukana przez stosunek z istotą, której psychika wymagała gruntownego oczyszczenia. A jednak jednocześnie nie mogła zaprzeczyć, że będąc z nim, doświadczyła nikłego drżenia nieznaney dotychczas rozkoszy.

Brak wrażeń w trakcie aktu, który od stuleci przyprawia o ekstazę miliony, był jej prywatnym piekłem. Jednakże po stosunku z Thornburgiem odczuła pustkę — z braku lepszego określenia — przypominającą ostry, przelotny ból towarzyszący głodowi. Stopniowo z przerażeniem zaczęła zdawać sobie sprawę, że tego rodzaju stan jest bezpośrednim następstwem uprawiania seksu z cudzoziemcem. Prawdę powiedziałwszy, gdy Thornburg zbliżał się do orgazmu, poczuła coś, i teraz tęskniła, by doświadczyć tego jeszcze raz.

Nie mogła się opanować. Wciągnęła go do łóżka i w siebie, raz po razie, dopóki nie nasycił się. Ona ze wstydem stwierdziła, że pragnie jeszcze. Wcześniej akt płciowy był dla niej jedynie koniecznością, jedną z broni w strasliwym arsenale, obecnie zaś dawał jej coś nowego.

Pragnęła tego człowieka, tego obcego, tego wroga, który, chociaż oszołomiony pożądaniem, wyprułby z niej flaki, gdyby tylko miał pewność, że przez to pozna jej sekret.

A teraz ona płonęła do niego. Prawie roześmiała się głośno w parnej ciemności. Jej ręka obejmowała jego członek, który chwilę wcześniej wdierał się w nią i przyprawiał o drżenie. Dłoń miała wilgotną od nasienia i ta śliska esencja życia sprawiła, że serce zabiło jej szybciej.

Jakąż tajemnicą jest życie! — myślała wiele lat później. — Jeżeli nauczyłam się czegoś w ciągu swych osiemdziesięciu pięciu lat, to tylko tego: właśnie wtedy, gdy człowiek myśli, że rozszyfrował sens życia, przychodzi coś, co stawia na głowie wszystkie starannie wysnute wnioski.

W końcu nadszedł świt, a wraz z nim nękający ją dylemat. Wiedziała, że nie może sobie pozwolić na kolejną taką noc. Już częściowo uzależniła się od uczucia, które on potrafił w niej rozbudzić. Przez długi czas nie potrafiła jasno myśleć i raz czy dwa przyłapała się na chęci zrezygnowania z misji, by tylko zatrzymać go przy sobie. Potem otrząsnęła się z tych rojeń niczym wściekły pies toczący pianę z pyska i odetchnęła głęboko kilka razy.

Nim Thornburg wyrwał się z odrętwienia, ona wybrała swoją ścieżkę i wiedziała, że stanie się to, co ma się stać. Oczywiście, dzięki, *makura no hiruma* znała już wściekłość, jaką wywoła w nim jej decyzja.

Nie obchodzi mnie to — pomyślała — i wierzę, że nawet gdybym pokazała mu, że jestem ogniskiem namiętności rządzącej jego życiem, nie zmieniłabym zdania.

Oczywiście, mogła kazać zabić Thornburga i Wolfa; jedno słowo, a jej ludzie strzelą im w tył głowy. Może powinna wydać taki rozkaz. Ale wówczas drwiła z takiego barbarzyńskiego zachowania, wierząc bardziej w *makura no hiruma* niż w przyszłość grożącą wymarciem wszystkich obdarzonych mocą.

Mieć władzę nad życiem lub śmiercią innych to podniecające — pomyślała. — Lecz ja odkryłam, że największą rozkosz sprawianie wykorzystywanie tej władzy, lecz darowanie wrogowi życia i jednocześnie uświadomienie mu, że ma się nad nim przewagę.

W chwili gdy Thornburg otworzył przekrwione oczy, poczuł jej paznokiec z boku szyi.

— Mogłabym kazać cię zastrzelić albo jeszcze lepiej, zrobić to sama za próbę wydarcia sekretów eksperymentu — wyszeptła mu do ucha.

Obserwowała zafascynowana, jak szybko i instynktownie sięgnął po nóż, który zostawiła na ziemi, jak podniósł go i przycisnął jej do gardła.

No cóż, tacy są mężczyźni — pomyślała. — Zawsze wiedziałam, że są kierującymi się instynktem zwierzętami, nie dbającymi o ból, jaki zadają innym.

Nie poruszyła się, jedynie kciukiem i palcem wskazującym przycisnęła mu splot nerwów tuż pod prawym uchem. Natychmiast krew odpłynęła mu z twarzy. Otworzył usta, zasysając powietrze niczym wiekowy starzec na łożu śmierci. Ramiona mu opadły i nogi zwiotczały, bo mięśnie zostały pozbawione tlenu. Nóż opadł z brzękiem na ziemię.

Przyłożyła paznokcie do tętnicy.

— Wystarczy, że przetnę skórę, otworzę arterię, a wykrwawisz się na śmierć — szepotała. — Mogę to zrobić teraz, za pięć minut czy później w dogodnej chwili, a ty nie zdołasz mnie powstrzymać.

Była wtedy młodsza i na wpół rozhisteryzowana tym, że czuła się zbrukana i zarazem podniecona. Nienawidziła go jak nigdy nikogo w życiu. Emocje te napełniły jej usta goryczą do tego stopnia, że pomyślała, iż może się zadławić. Dużo później zdała sobie sprawę, że w owej chwili nienawidziła nie tylko jego, ale równie mocno — siebie.

Była na wpół obłąkana i to sprawiło, że do głosu doszła jej naturalna arogancja. Powinna była zabić go, ale za bardzo bawiło ją odgrywanie roli dzikusa. Poza tym w tej sytuacji było coś straszliwie rozkosznego. Gdyby tylko on znał wszystkie jej sekrety!

Naturalna ironia jest zbyt cenna, by niszczyć ją jednym czy dwoma niedbałymi słowami — myślała Minako. — I rozkoszowałam się moją władzą nad nim tym bardziej, im lepiej rozumiałam wściekłość, jaką wyzwoli w nim moja decyzja.

Nie myliłam się; nigdy się co do niego nie pomyliłam. Tylko Wolf nadal zbijał mnie z tropu.

— Możesz uratować życie tylko w jeden sposób — wyszeptwała czule jak kochanka. — Zabij swojego towarzysza.

Spojrzał na nią i niedowierzanie chwilowo wzięło górę nad gniewem.

— Chcesz, żebym zabił Wolfa?!

— Zastrzel go na oczach moich ludzi.

Nie rozczarował jej.

— Zabij mnie, i to zaraz - wysapał przez zaciśnięte zęby - Nie jestem zdrajcą swego kraju.

Roześmiała się w myślach, bo nie wspomniał o zdradzie człowieka. Wiedziała, że gdyby dała mu pistolet i kazała zastrzelić jednego z jej ludzi,

zrobiłby to z radością. Nie winiła go za to, dzięki temu bowiem poznawała go coraz lepiej; podejrzewała, że lepiej, niż on sam znał siebie.

To podstawowy mechanizm samoobrony — pomyślała. — Ludzie tacy jak on nigdy nie mogą poznać siebie do końca. Gdyby to zrobili, bez wątpienia sami palnęliby sobie w łeb.

— Nie mówimy jedynie o twoim życiu, ale o przedłużeniu go. — Przycisnęła usta do jego ust i z rozkoszą poczuła, że zadrżał. — Czy to nie ten sekret chciałeś wykraść? — Odsunęła głowę i studiowała jego twarz. — Możesz go zdobyć, zabijając swego towarzysza. — Uśmiechnęła się. — W czym problem? Co znaczy jedna więcej śmierć dla kogoś takiego jak ty? — Wpatrywała się w rozszerzające się źrenice, smakowała ostrą woń jego strachu. — Tak, tak, wiem. Och, jak bardzo tego pragniesz!

— Nie na tyle, by zaprzedać własną duszę.

Roześmiała się cichutko; jej oddech musnął jego policzek okryty ciemnym kilkudniowym zarostem.

— Już to zrobiłeś, tylko jeszcze tego nie wiesz.

Była pewna, że nakłoni go do zabicia przyjaciela, po prostu kusząc go tym, czego najbardziej pragnął. Przecież wiedział, że ona to ma. A jednak Thornburg Conrad Trzeci zawiódł jej oczekiwania. Po pewnym czasie wyczuła w nim coś, czego nie potrafiła zdefiniować, i wtedy zrozumiała, że Thornburg nie zgodzi się na zabicie Mathesona. To ją zmieszało i zaniepokoiło. Dzięki swemu darowi wiedziała już, że jest amoralny, a teraz zachowywał się całkowicie sprzecznie ze swym charakterem. Matheson był dla niej niczym, czarną dziurą, nie odbierała żadnych sygnałów. Co w nim widział Thornburg? Znalezienie odpowiedzi zajęło jej wiele lat.

Thornburg obserwował ją spod przymrużonych powiek. Leżał na plecach, pozornie odprężony, lecz ona wiedziała, co robi. Zastanawiał się, czy jeśli wyprowadzi ją z równowagi, ona popełni błąd, który będzie mógł wykorzystać. Był bystry i czuł, że wystarczy mu tylko chwila jej nieuwagi. Na szczęście dla niej, nie wiedział niczego o *makura no hiruma* i na tym polegała jej jedyna przewaga.

— Chcesz spać? — zapytała niewinnie.

Jego pełen zadowolenia uśmiech był dla niej odrażający.

— Chyba tak. Wiem, że nie chcesz mnie zabić, to popsułoby ci przyjemność. Nie zrobisz tego, dopóki nie stwierdzisz, że już cię nie bawię.

Minako wysunęła wówczas mackę swej *makura no hiruma*, owinęła ją wokół jego serca i delikatnie ścisnęła.

Otworzył oczy i usiadł raptownie. Spojrzał w jej oczy, a ona pocałowała go, po czym wytarła kropelki potu znad jego górnej wargi.

Thornburg kilkakrotnie próbował otworzyć usta, a kiedy w końcu przemówił, wiedziała, ile go musi to kosztować.

— Zabiję cię za to. — Miał na myśli poniżenie.

Mogła tylko się domyślać, jakie cierpienie mu sprawia — ona, w jego oczach podrzędna istota. Charczał, ale nie chciał się poddać.

— Pewnego dnia zobaczę cię martwą u swych stóp, nieważne za ile lat.

Nie, nie cierpienie — poprawiła się w myślach. — Ten człowiek mógł znieść olbrzymie męki fizyczne i psychiczne, nie ustępując ani na cal. Dręczyło go coś innego — doprowadzające do szału poniżenie przez kobietę. Delektowała się potwornością jego sytuacji.

A jaka była jej reakcja na jego groźby? Wsunęła się na niego. Jego wściekłość graniczyła z pożądaniem; chciała, by przekroczył niewidoczną granicę; pragnęła również wydrzeć mu i to. Poczul jej ciepło na sobie i natychmiast zareagował. Oczywiście, jak mogłoby być inaczej? Gdyby nie odpowiedział na jej wyzwanie, jako impotent poczulby się jeszcze bardziej upokorzony.

Wzięła go w siebie. Pozwoliła, by ją ranił; wiedziała, że dzięki siniakom będzie go lepiej pamiętać po jego odejściu.

W ich obecnym akcie było też coś innego, bardziej mrocznego, posępnego. Nie potrafiła tego wyjaśnić, ale ból zwiększał uniesienie tak potężnie, że szczytowała dwukrotnie, tracąc nad nim swą władzę.

Nie próbował niczego zrobić, po prostu leżał z wygiętymi w łuk plecami, a twardy jak skała członek tkwił w jej wnętrzu. Jego pozorny brak zaangażowania jakby dowodził, że przynajmniej w tym jest górą.

Wiedziała, że pokochała go wtedy. Nigdy nie wierzyła, że kiedykolwiek pokocha w ten sposób jakiegoś mężczyznę. W owej chwili chciała jedynie, by stracił panowanie nad sobą, wdarł się w nią i ostatni raz sprawił jej rozkosz.

Była taka otwarta, że domyślił się, czego najbardziej pragnie. Zepchnął ją z siebie i z pomocą ręki pogardliwie bryznął nasieniem na ziemię u jej stóp.

Minako dyszała ciężko. Rozszerzone oczy prawie wyskakiwały z orbit. Przez chwilę nie mogła uwierzyć, że to zrobił. Wstała; wyczuwała wysylaną

mimowolnie swoją *makura no hiruma*. Potem dostrzegła jego wyniosły uśmiech i wiedziała, że gdyby teraz go zabiła, to on, aczkolwiek martwy, byłby zwycięzcą w tym mentalnym pojedynku. Nie mogła pozwolić, by zmusił ją do użycia mocy wtedy, gdy tego nie chciała.

Jednak płonęła z żądz; z żądz, którą tylko on mógł zaspokoić. Chciała sięgnąć po *makura no hiruma* i sprawić, by przyczołgał się do niej na kolanach, lecz to również byłoby jego zwycięstwem. Uciekanie się do *makura no hiruma* byłoby potwierdzeniem jego siły.

Pochyliła się ku niemu, wyciągnęła ręce i splotła je na jego karku. Przyciągnęła go do siebie. Przyszedł. Przypuszczała, że wiedział, jak wielkie zwycięstwo odniósł i teraz był jego czas, by się nim napawać.

Zamknęła oczy. Mięśnie brzucha zafalowały, gdy jego usta zamknęły się na jej wilgoci. Wysunął język, a ona zadygotała, oddech wyrwał się z niej jak syk żmii. Uda zadrżały, gdy pochyliła się i jej sutki dotknęły skóry jego pleców, co sprawiło jej dodatkową rozkosz.

Między nimi było tylko branie i dawanie, które nie dawało nasycenia.

Wiedziała, że jeżeli go puści, on spróbuje zrealizować swoją groźbę. Chciała pozwolić mu odejść. Oczywiście, on nie musiał o tym wiedzieć. Miał myśleć, że sprytnie zwiedzie ją pozorną zgodą na zabicie Wolfa Mathesona w zamian za sekret przedłużenia życia. Nie uwierzył jej, ale ona naprawdę zdradziłaby mu tajemnicę tego, co już miał — wezwała by jego *makura no hiruma* w chwili, gdy wpakuje kulę w głowę Wolfa. I jakie zabawne byłoby zapewnienie mu tak wielu lat cierpienia — wiedziała, że nigdy nie zdołałby wymazać wspomnienia swego uczynku.

Nie, tak się nie stanie. Poda mu naładowany pistolet, podczas gdy jeden z jej ludzi przystawi lufę karabinu do jego głowy. Ale Thomburg wyceluje pistolet nie w Wolfa a w strażnika, a potem obaj uciekną. Wiedziała, że tak będzie; *makura no hiruma* pokazała jej tę szczególną przyszłość. Nie każe ich zatrzymać. Chciała, żeby żył, choć wtedy nie wiedziała dlaczego. Potrafiła jedynie powiedzieć, że odegra istotną rolę w przyszłości, którą zamierzała skonstruować.

KSIĘGA III

ZAKAZANE SNY

*Zawsze znajdzie się inna rzeczywistość czyniąca fikcję
z prawdy, do której, jak nam się wydaje, doszliśmy*

CHRISTOPHER FRY

XV

TOKIO-WASZYNGTON

Shoto Wakare przyprowadził Yuji-sana do „Zakazanych Snów” dobrze po północy. Obaj byli bardzo pijani i obaj, bez wątpienia, z tego samego powodu: byli przerażenia. Wyszli z wielkiego BMW i szybko przecięli chodnik.

Na zewnątrz budynku symbole starej i nowej Japonii splatały się w jedną całość. Masywne filary z ręcznie rzeźbionego cedru były zatopione w fasadzie z ziarnistego, szarego żelbetonu. Całość sprawiała wrażenie pradawnej świątyni sinto, ucywilizowanej przez czas i naturę.

Wewnątrz powietrze było gęste od dymu. Elektroniczna muzyka dudniła Yuji w uszach, gdy męski głos śpiewał o chryzantemach i seksie. W salonie unosił się zapach czegoś słodkiego, zakazanego i odwiecznego jak opium.

— Mamy umówione spotkanie z Naoharu Nishitsu — rzekł Wakare do karłowatej kobiety ubranej w wyśmienicie skrojony męski garnitur.

Małeńka kobieta przyjęła to bez komentarza. Skłoniła się i powiodła ich przez kawiarnię i główne sale, z których każda wyróżniała się odmiennym motywem zdobniczym.

Wyprowadziła ich na długi korytarz. Dźwięki muzyki i wrzawa stopniowo cichły, w końcu zapadła cisza. Przeszli obok okna wychodzącego na mały ogród, wspaniały nawet późną zimą. Karlica skrzyła w inny, krótszy korytarz,

w którym znajdowało się sześcioro drzwi. Wskazała na ostatnie i powiedziała:

— Proszę.

Wakare odwrócił się do Yuji; był lekko pochylony.

— Muszę iść do ubikacji. — Wskazał na rozsuwane *siodzi* z ryżowego papieru... — Idź, Nishitsu-san nie powinien czekać. Zaraz wrócę.

Yuji zawahał się, potem ruszył na koniec korytarza. Odsunął *siodzi*, zrzucił buty i wszedł do pokoju. Karlica starannie zamknęła za nim rozsuwane drzwi. Yuji usłyszał, jak jej kroki cichną w miarę oddalania się korytarzem.

Pokój pachniał cytrusami i różą. Małe reflektory oświetlały tatami, ściany z bambusa i czarnego materiału, paprocie, różowe i koralowe orchidee, wiecznie zielone bonsai. Powietrze było duszne, jak gdyby rośliny parowały. Na środku stały dwa metalowe krzesła, *hihaci*, w rogu rozpostarty był futon. Na *hibaci* leżały zwoje krwistoczerwonego sznura.

Podeszła do niego młoda, piękna kobieta, szczupła, długowłosa, o krągłych kształtach, delikatnych rękach i postawą tancerki bądź gejszy. Widać było, że została wyszkolona w jednym lub drugim.

— Jestem Evan.

Yuji przedstawił się, chociaż miał niejasne wrażenie, że ona już wie, kim on jest.

Evan milczała. Jej oczy były jasne jak mleczna czekolada. Ubrana była w czarną jedwabną spódnicę i białą bluzkę z tego samego materiału. Nie miała makijażu. Jedną kostkę zdobił grawerowany złoty łańcuszek.

— Co o mnie myślisz?

— Myślę, że jest zbyt wcześnie, by odpowiadać na takie pytania.

— Tak? Ja zastanawiałam się, jaki jesteś.

— Co to znaczy?

Evan podniosła głowę.

— Gdybyś miał wybór: wolałbyś pójść do łóżka ze mną czy z Shoto Wakare?

— To pytanie świadczące o dużej pewności siebie.

— Wakare cię pragnie.

— Tak. Wiem.

— Wiesz?

— Zaskoczyłem cię?

Obserwowała bacznie jego twarz.

— Gdzie jest Mihitsu-san? — zapytał. — Przyszedłem, by się z nim spotkać.

— Przyszedłeś, by zostać członkiem „Zakazanych Snów”. Poza tym jesteś pijany. Nie wolałbyś być ze mną niż z Nishitsu? — Zrzuciła bluzkę i stanęła przed nim naga od pasa w górę. Rozsunęła nogi i podniosła się na palcach tak, że jej usta dotknęły jego ucha. — Uwielbiam, gdy nie mogę się ruszyć, gdy ręce mam wyciągnięte nad głową.

Yuji bał się odezwać; nie ufał głosowi. Miała rację. Był pijany i w takim stanie nie mógł stanąć przed Nishitsu. Postąpił głupio, godząc się na szaleńczy plan Wakare, plan zinfiltrowania Stowarzyszenia Czarnego Ostrza. Ale wtedy, gdy rozmawiali na ten temat, wszystko wydawało się takie proste i nawet podniecające. Rzeczywistość jednakże przerosła jego najgorsze obawy. Bał się Nishitsu i Toshin Kuro Kosai. Teraz, będąc w „Zakazanych Snach”, ani przez chwilę nie wierzył, że Wakare mogłby obalić Nishitsu i obecny rząd.

— Uwielbiam, gdy krew przestaje krążyć w kostkach i stopy mi cierpną, kiedy jedynym ruchem jest podnoszenie i opadanie moich piersi..., i ciebie. — Przytuliła się do niego.

Yuji podniecił się wbrew swojej woli. Może stało się tak z powodu wypitej sake i piwa albo ze strachu, będącego wynikiem perspektywy skapitulowania przed Nishitsu. Był odurzony niczym skazaniec, któremu odwleczono egzekucję, i twardy jak sztaba żelaza.

Evan wyczuła to i z jej gardła wyrwał się głęboki jęk.

— Och, uwielbiam to. Możemy odbierać wszystko wspólnie... i pamiętać. — Rozpięła mu koszulę, potarła twardymi sutkami o jego piersi. — Oto dlaczego przyszedłeś. — Jej ostre, białe zęby skubnęły jego szyję.

Czy niepohamowany strach może uczynić człowieka nieostrożnym? Yuji nie wiedział. Jedyne, z czego zdawał sobie sprawę, to to, że chce się w niej zanurzyć. Zdjął dziewczynie spódnicę. Oplótł nylonowym sznurem jej ciało, aż w punktowych światłach zaczęła wyglądać jak malowidło czy rzeźba. Zacisnął więzy, jej ramiona wyciągnęły się nad oparciem metalowego krzesła, a pośladki uniosły z tatami.

— Och... —jęknęła, ale nie mogła się ruszyć. Jedyne piersi dziewczyny unosiły się i opadały spazmatycznie. Na jej nagim ciele pojawił się pot,

Yuji był tak podniecony, że nie mógł chodzić. Pochylił się nad Evan, Czuł jej zapach, zapach wielkiego drżącego na wietrze kwiatu, którego zroszone płatki rozchylał.

Wsunął się w nią i poczuł, że uda jej zadrzały. Zalało go poczucie triumfu, zaróżowiające skórę i rozpalające ogień w mózgu.

W pewnym momencie opanowały go wizje. Zobaczył siebie jako marionetkę w masce kłowna, tańczącą na sznurkach. Ponad nim, manipulując sznurkami, stał Nishitsu, ale Yuji przyjrzał się uważniej i zobaczył, że sznurki tylko przechodzą przez jego ręce i choć Nishitsu poruszał palcami, to tak naprawdę do tańca zmuszał go ktoś innych. Kto?

Yuji jęknął, rozpięty na krzyżu kobiecego ciała, zatracony w nim. Bez reszty zawładnął nim seks i wpił się zębami w ramię Evan, smakując gorycz jej potu i słodycz krwi.

Później rozplatał sznur i patrzył, jak powoli nikną blade pręgi na jej zaczerwienionej skórze. Na ten widok nałożyło się wyobrażenie: Yuji marionetka, tańczący jak głupiec, kierowany nie przez Naoharu Nishitsu, ale przez... Minako, własną matkę.

Yuji spojrział w czekoladowe oczy Evan. Krew mu ostygła, ciało okryła gęsia skórka. Zadrzał.

— Co się stało? — wyszeptał.

— Nie bój się.

— Nie boję się. — Ale kłamał i widział, że ona to wie. — Miałem takie niepokojące wizje.

— Pokazałam ci, jaki jest świat.

Cofnął się. Mimo że Evan siedziała zupełnie nieruchomo, czuł się taki jakby nagle wyszarpnęła nóż i przyłożyła mu do gardła.

Dziewczyna pogładziła go po policzku.

— Jesteś poszukiwaczem prawdy, a ja ci ją ukazałam. Twoja matka od lat manipuluje twoim życiem.

— Twój dar przypomina dar Hany — powiedział jakby do siebie; — Ale nie mam powodów, by ci wierzyć. To ty sprawiłaś, że zobaczyłem te wizje. Nie ma żadnej gwarancji, że są prawdziwe. — Usiadł. — Prawdę mówiąc, jeśli to wszystko zostało nagrane: Wakare upija mnie, przywozi tutaj, zostawia w ostatniej chwili, to tym bardziej możliwe, że są one kłamstwem, częścią planu Nishitsu, który chce mnie pozyskać.

Evan uśmiechnęła się posępnie.

— Z czasem przekonasz się, że to, co ci pokazałam, jest prawdą. Wiem, że moje słowa najpewniej cię nie przekonają. Proszę tylko o jedno: nie zapomnij, co widziałeś.

— Muszę iść. — Yuji był wytrącony z równowagi własną nieostrożnością, ale Evan najwyraźniej źle zrozumiała naturę jego zdenerwowania.

— Jesteś jak wszyscy inni — rzekła ze smutkiem. — Widzisz teraz, dlaczego muszę być sama, dlaczego muszę żyć w ukryciu, z dala od świata? Kto chciałby być ze mną, skoro każdy wie, że potrafię zajrzeć mu do myśli?

Yuji znieruchomiał na chwilę w trakcie ubierania.

— Mylisz się. Ja wiem, jak to jest czuć się więźniem. Ty jesteś uwięziona w „Zakazanych Snach”, a dla mojej przyrodniej siostry Hany taką pułapką jest jej dar. — Ujął jej rękę. — Rozumiem wszystko.

Evan uklękła przed nim, jej dłoń spoczywała w jego palcach lekko niczym pióro.

— Teraz muszę cię wykapać. Czekaj na spotkanie z Naoharu Nishitsu, *neh!*

Odsunęła ekrany *siodzi* po drugiej stronie pokoju, odsłaniając wspianą łaźnię wykutą w nagiej skale. Przez następne czterdzieści minut usługiwała mu w kąpielni. Kiedy był ubrany, okrążyła go powoli, mierząc uważnie. wzrokiem niczym sierżant badający gotowość plutonu przed inspekcją. Skinęła głową z aprobatą i wyprowadziła go na kamienny, oświetlony mosiężnymi latarniami korytarz. Zatrzymali się przed *siodzi*. Evan rozsunęła ekrany.

— Nishitsu-san.

Yuji skłonił się.

Naoharu Nishitsu, odziany w czarno-miedziane kimono, siedział naprzeciw wejścia w wyłożonym dwunastoma tatami pokoju. Ściany z bambusa i cedru obwieszane były kimonami dawnych feudałów, którzy walczyli między sobą, nim zostali pokonani przez Ieyasu Tokugawę, pierwszego szoguna. Yuji nie chciał wierzyć własnym oczom. Pochodzące z początków siedemnastego stulecia stroje były narodowymi skarbami, które winny znajdować się w muzeum, a jednak wisiały tutaj, w prywatnym pokoju klubu.

Nadzwyczajne — pomyślał Yuji, gdy Evan wprowadzała go do pokoju.

Ale w „Zakazanych Snach” nie było rzeczy zwyczajnych.

— Ach, rozpoznajesz te herby — powiedział Nishitsu. Wyglądała riasadowolonego. — Te kimona, wszystkie należały do największych

wojowników swoich czasów, wiszą tu jako przypomnienie, że władza jest niczym piasek: przesypuje się między palcami bez względu na to, jak mocno zaciska się dłoń. — Wskazał Yuji miejsce na tatami. — Pokora jest jak gorzka herbata, prawda? Niesmaczna, lecz niemniej jednak zdrowa.

Nishitsu skinął na Evan.

— To wszystko, Evan.

Nie był sam w pokoju. Przy drzwiach z ryżowego papieru, które wychodziły na mały ogród, klęczała młoda kobieta w czarno-białym jedwabnym kimonie. Wyglądała tak, jakby spała.

— Przepraszam, że kazałem ci czekać — mówił dalej Nishitsu.

— Może to ja przybyłem zbyt wcześnie. — Yuji rozejrzał się po pokoju. — Wakare-san nie przyłączy się do nas?

Przez wargi Nishitsu przemknął ledwie zauważalny uśmiech.

— Niestety, nie.

— Nieważne. Jak dotąd przyjemnie spędziłem czas.

Nishitsu przekrzywił głowę i zmrużył oczy.

— Tak? W jaki sposób?

— Proszę mi wybaczyć. Mówiłem o Evan.

Nishitsu zachował dyplomatyczny wyraz twarzy.

— Spodobała ci się?

Teraz Yuji uśmiechnął się nieznacznie.

— To chyba nieuniknione, jak to spotkanie.

Zobaczył, że Nishitsu nie był przygotowany na taki zwrot w rozmowie i poczuł się nieco pewniej. Zrozumiał, że odróżnianie prawdy od fikcji w „Zakazanych „Snach” jest szczególnie ważne. Czy wizja, którą zobaczył dzięki Evan, była prawdziwa? Czy matka manipulowała nim, czy też była to jakaś obmyślona przez Nishitsu sztuczka, mająca na celu pozyskanie jego lojalności?

— Proszę, wyjaśnij, o co ci chodzi, Shian-san — rzekł Nishitsu.

— Masz na myśli Evan? To nadzwyczajna kobieta. W pewien sposób przypomina mi przyrodną siostrę, Hanę. Chodzi mi o ich dar. — Nishitsu skinął, a Yuji kontynuował: — Wydaje się, że pozwoliłeś nam na to spotkanie, żebyśmy ... nie wiem, jak to wyrazić?... zgłębili się wzajemnie. — Normalnie szeroko otwarte oczy Yuji były teraz zmrużone. — Ona jest cennym skarbem. Ujawnienie jej musi znaczyć, że naprawdę bardzo potrzebujesz mojej pomocy.

Nishitsu dopił herbatę i zaczął podgrzewać sake.

— Potrafisz mówić bez ogródek, Shian-san. Podziwiam to. Czasami trzeba przejść prosto do *kokoro*, sedna rzeczy. Właściwie odgadłeś, że to jeden z takich wypadków.

Siedział tak nieruchomo, jakby nawet nie oddychał. Odnosiło się wrażenie, że cały budynek spoczywa na jego barkach.

— Evan pokazała ci nie tylko przeszłość, ale i przyszłość. Ostatecznie dlatego tu dziś przyszedłeś: by dowiedzieć się czegoś o przyszłości.

Piękna kobieta poruszyła się. Yuji, który widział ją na tle ogrodu, miał wrażenie, że to ożyła jedna ze skał.

Nishitsu przeszył go zimnym światłem opalowego oka.

— Znasz mnie jako polityka, ale prawda jest taka, że param się wieloma rzeczami. — Wyciągnął rękę, a po chwili opuścił ją na kolana. — Należę również do jakuzi. — Rozejrzał się powoli i bacznie po pokoju, jak gdyby oglądał go po raz pierwszy. — To miejsce zostało zbudowane przez Toshin Kuro Kosai.

— Stowarzyszenie Czarnego Ostrza.

Nishitsu skłonił głowę.

— Reprezentuję Toshin Kuro Kosai w pewnych sprawach. — Jego opalowe oko miało jakąś moc, która przenikała wszystko. — Evan ujawniła ci swój dobrze strzeżony sekret i to naraża nas na niebezpieczeństwo. Wielu zapłaciłoby hojnie za wiedzę, jaką ona posiada — za wiedzę o przyszłości.

— Moja matka ma tę samą umiejętność.

— Hmm. Może nie całkiem tę samą.

Kobieta przechylała głowę pod dziwnym kątem. Jej piękna twarz była tak skoncentrowana, jakby słuchała jakiejś odległej rozmowy.

— Czego chce ode mnie Toshin Kuro Kosai?

Sardoniczny uśmiech Nishitsu pozbawiony był odrobiny ciepła.

— Tak się składa, że tego samego, co twoja matka. Sekretu Wyroczeni Przez dłuższą chwilę panowała cisza.

— Nie rozumiem, o co ci chodzi.

Kobieta odwróciła głowę tak, że światło musnęło jej policzek.

— Och, śmiało, Shian-san — rzucił raptownie Nishitsu — czyż nie zgodziliśmy się co do *kokoro*? Wiemy, że to twoja matka podpowiedziała ci, jaką drogę powinieneś obrać, budując Wyroczeni. Czyżbym nie miał racji? W kwestii przeprogramowania DNA w ciele żywego człowieka istniała prawie nieskończona ilość innych dróg, prawda?

Yuji nieco niepewnie skinął głową.

— Tak, to matka naprowadziła mnie na właściwą drogę. Przeprogramowanie DNA zbiegło się z jej własnymi zainteresowaniami w dziedzinie biogenetyki.

— O tak, dokładnie — rzekł Nishitsu, entuzjastycznie kiwając głową.

— A skąd wzięły się te zainteresowania? Czy kiedykolwiek zadałeś sobie to pytanie? Nie. Po twojej minie widzę, że nie. — Nishitsu położył potężne ręce na stole. — Od nas, Shian-san.

— Od was? — Yuji był szczerze zaskoczony.

— Tak. Od nas. Stowarzyszenia Czarnego Ostrza.

Zapadła kolejna chwila ciszy, którą przerwał Yuji.

— Nie wierzę ci.

— Oczywiście. Gdybym był na twoim miejscu, też bym w to nie uwierzył. — Wzruszył ramionami. — Niemniej jednak to prawda. Dziesiątki lat temu daliśmy twej matce wolną rękę. Widzisz, od pewnego czasu wiemy, że powoli wymieramy. Z powodów, jakich jeszcze nie odkryliśmy, rodziło się coraz mniej dzieci z *makura no hiruma*, darem. Teraz już nie rodzą się wcale. Musimy znaleźć sposób na przedłużenie naszego rodu. Oto, co badała twoja matka i skąd wzięły się jej zainteresowania. Oto, dlaczego dwadzieścia lat temu została wysłana do Kambodży. Oto, dlaczego nakłoniła cię do stworzenia Wyrocni, — Podniósł ręce. — Nie marnuj czasu na opowiadanie mi kłamstw. Przemysł to.

Yuji zastanowił się; miał niewielki wybór.

Nishitsu obserwował emocje widoczne na twarzy Yuji i w tej chwili szczerze mu współczuł.

— A jeżeli nadal masz wątpliwości, zastanów się nad tym, w jak sposób dowiedzieliśmy się o tym najbardziej tajnym projekcie twojej matki. Znamy nawet nazwisko pierwszego królika doświadczalnego: Lawrence Moravia. To twoja matka zaprowadziła go do magazynu, w którym trzymasz biokomputer. Czy mam podać ci datę i godzinę, kiedy to się stało?

Yuji zacisnął pięści pod stołem.

— Skąd wiesz to wszystko? — zapytał głucho.

— Brałem w tym udział. — Nishitsu chrząknął. — Ona cię okłamywała.

Yuji nie poruszył się. Był jakby zamrożony w czasie; zawieszony między światami, dryfujący w nieskończonej ciemności.

— Jak powiedziałem, jesteśmy tutaj po to, by podyskutować o przyszłości — rzekł Nishitsu tonem zwyczajnego biznesmena. — Nie o tym, co się stanie jutro bądź w przyszłym tygodniu, ale o prawdziwej przyszłości. Rozumiesz teraz, Shian-san?

W tej chwili Yuji nienawidził życia i tego, że przez cały czas nim manipulowano,

Nishitsu odwrócił lekko głowę, jakby nasłuchiwał. Yuji-sanowi przypomniało to o pięknej kobiecie, która teraz siedziała z zamkniętymi oczyma i zetkniętymi czubkami palców, niczym ktoś pogrążony w medytacji.

— Moim obowiązkiem jest coś ci pokazać — powiedział Nishitsu.

Z kieszeni na piersi wyjął podłużny pakiecik, owinięty w półprzezroczysty ryżowy papier i zapieczętowany jego herbem. Przesunął go po stole w stronę Yuji.

Paczuszka wyglądała pięknie na blacie stołu z czarnej laki. Ale dla Yuji to piękno miało jakąś złowieszczą cechę, jak sina skóra bestii, połyskująca niczym platyna w strumieniu.

Yuji czuł się tak, jakby za chwilę mózg miał mu impłodować. Czuł się jak nurek zbyt długo przebywający w głębinie, który zatracą się i nie wie, gdzie jest góra, gdzie dół. Czuł się zagubiony, nie rozpoznawał już znaków, które normalnie prowadzą ludzi przez życie.

Z chorobliwą, prawie obsesyjną fascynacją człowieka oglądającego wypadek samochodowy czy publiczne morderstwo obserwował własne dłonie uważnie rozwijające pakiecik.

Krzyknął mimowolnie. Patrzył na odcięty palec. Znajdował się na nim znany mu sygnet należący do jego szwagra, Hiroto.

— Niestety, Hiroto nie żyje — wyjaśnił Nishitsu. — Twoja matka odkryła, że poznał sekret jej przynależności do Toshin Kuro Kosai i miał zamiar wyznać go tobie, więc by mieć pewność, iż tak się nie stanie, zamordowała go.

— Moja matka nigdy...

Nishitsu chrząknął znacząco i *siodzi* przesunęło się na bok.

— Matko!

Minako klęczała tuż za ekranem. Miała pochyloną głowę i przygarbione ramiona.

— Wybacz mi, Yuji-san. Nie chciałam zabić Hiroto, ale nie miałam wyboru. Zamierzał powiedzieć ci o mnie. — Jej głowa obracała się z boku na bok i Yuji doświadczył niepokojącego wrażenia *deja vu*. — Musisz

zrozumieć, nie miałam wyboru. Yuji-san, twoje przeznaczenie spoczywa teraz w rękach Nishitsu. Wysłuchaj, co ma do powiedzenia.

Słodzi znów się zasunęło.

Yuji chciał wstać, ale Nishitsu powstrzymał go.

— My się nią zajmiemy i będziemy ją chronić tak jak zawsze. - Jego głos działał uspokajająco. — Musisz zrozumieć jedno, Shian-san: twoja matka zwariowała. Tak się czasami dzieje, gdy *makura no hiruma* staje się zbyt intensywna albo umysł zbyt słaby, by znieść ten dar. — Nishitsu przysunął sake Yuji-sanowi. Kilka kropeł upadło na palec Hiroto. — Możemy jej pomóc. Prawdę mówiąc, jedynie my możemy to zrobić. — Wskazała na odgryziony palec. — Popatrz, co zrobiła. To nie jest zachowanie osoby przy zdrowych zmysłach.

Opalowe oko Nishitsu zamrugało.

— W przyszłości, jaką pokazała ci Evan, zobaczyłeś, że pozory to nie wszystko. Ale jest coś więcej. Sprawa dotyczy nie tylko Minako. Ktoś wielce przenikliwy i inteligentny manipuluje tak tobą, jak i mną, żerując na naszej wrogości, pchając do wojny, której nie pragnę. Ten człowiek, Amerykanin o nazwisku Thornburg Conrad Trzeci, spotkał się z twoją matką w Kambodży. Między nimi zapanowała wrogość: wrogość, która teraz zagraża nam wszystkim.

Yuji oparł głowę na rękach. Czuł się tak, jakby jego piersi ścisnęła stalowa obręcz.

— Potrafię ci współczuć, Shian-san, jak teraz bowiem widzisz, wszyscy znajdujemy się w swego rodzaju labiryncie. Musimy znaleźć wyjście, w przeciwnym razie Amerykaninowi uda się zniszczyć nas wszystkich.

Jason Yoshida zszedł do garażu w piwnicach biura Hama, wyprowadził samochód i pojechał do Hotelu „Cztery Pory Roku” w Georgetown, gdzie pozornie miał spotkać się z grupą zainteresowaną kontraktami wojskowymi.

Aby stróż ma parking zapamiętał go, dał mu suty napiwek i powiedział, że sam chce wybrać sobie miejsce. Wszedł do chłodnego, cichego holu, przeszedł na drugą stronę i zjadł lekki posiłek w kawiarni na zewnątrz, gdzie gałęzie drzew szumiały mu nad głową, a wróble ćwierkały w altankach. Znow dał hojny napiwek i przez kilka minut opowiadał kelnerce kawał o kongresmance i lobbyście.

Czterdzieści minut później wstał, podszedł do telefonu i zadzwonił po taksówkę. Tylnym wyjściem niezauważalnie wymknął się z hotelu. Po

dziesięciu minutach taksówka podjechała pod sklep z męską konfekcją trzy kwartały dalej. Yoshida kazał kierowcy zatrzymać się na Siódmej Ulicy w Chinatown. Odczekał, póki taksówka nie zniknie w ulicznym ruchu, odwrócił się i skierował na Ulicę H.

Marion Starr St. James czekała na niego w starej i dobrze znanej knajpie „Phoenix Chinatown”.

Wsunął się na obitą plastikiem kanapę w jej boksie. Jadła gotowaną wieprzowinę i zaproponowała mu porcję, ale wymówił się grzecznie. O tej porze nie było wielu klientów; personel po drugiej stronie spożywał lunch. Nikt nie zwracał na nich najmniejszej uwagi.

— Jak się spisałam? — zapytała.

— Doskonale. Jest teraz na tropie „Zielonych Gałęzi”.

Marion uśmiechnęła się.

— Mówiłam ci, że potrafię, kochanie.

— Tak, a muszę przyznać, że przez chwilę żywiłem pewne obawy. Trudno było napuścić go na ojca; Ham miał podstawy, by stać się jedynym dobrym dzieckiem w rodzinie.

— Miłość do własnego ojca może być paskudną rzeczą.

— Im głębiej zapuszcza korzenie, tym łatwiej ją wypaczyć — rzekł Yoshida. — Nigdy nie znałem swego ojca, ale kochałem twojego.

— Bardziej niż ja. Potrafił być prawdziwym sukinsynem. Wymyślał kary na miarę markiza de Sade.

— Prawdopodobnie uczyniły cię tym, kim jesteś.

— Nie wątpię, że ojciec by się z tobą zgodził.

— Ja bym go nie winił. Przemysłowcy broni mają wiele czasu na wymyślanie egzotycznych kar w czasie długich nerwowych nocy, spędzanych na pływaniu między punktami przeznaczenia. — Przyglądał się, jak Marion pałeczkami nabiera wieprzowinę z małej porcelanowej miseczki i był pod wrażeniem: jadła jak Azjatka. Potajemnie podziwiał również to, że miała odwagę przejąć ryzykowne przedsięwzięcie ojca i przekształcić je w międzynarodowy koncern, legalny jak każdy inny.

— Nie myśl, że nie wiem, dlaczego kochałeś mojego ojca, kochanie. Nie siedział w tym interesie dla pieniędzy. Wdał się w przemysł dla swego irlandzkiego kumpla, którego brat został pobity na śmierć przez angielskich żołnierzy w Belfaście. To była dla niego kwestia zasad. Pogardzał koncepcją „imperium”; był przekonany, że wszystkie ekonomiczne plagi

nękające Wielką Brytanię wynikają z jego utrzymywania. „Nawet Rzymianom nic z tego nie wyszło — mawiał — choć byli cholernie dużo bardziej bystrzy od nas. Zważ moje słowa, dziecko, utrzymanie Bloku Wschodniego — faktycznego imperium, choć nie z nazwy — tak samo stanie się przyczyną upadku Rosji”. — Marion przełknęła kęs wierzowiny i popiła go herbatą ulung. — Mój ojciec miał cholernie błyskotliwy umysł.

— A jednak nie możesz przestać go nienawidzić. Według mnie ta dychotomia jest fascynująca.

— Założę się, że tak, kochanie. Powiedz mi, co myślisz o ojcu i \$ynt»?

— Marion postanowiła zmienić temat.

— Thornburg nie daje Hamowi dojść do słowa. Jest przekonany, że może zgnieść syna jak pluskwę. Ma do niego za małe zaufanie. Nadal uważa się za niezniszczalnego. — Uśmiech Yoshidy rozszerzył się.

— Jeszcze nie domyśla się, że to własny syn go unicestwi.

Marion też się uśmiechnęła.

— Widzisz? Wszystko jest dychotomią. Jak myślisz, co mnie **W** **tobie** pociąga? Uwielbiasz żyć na poziomie, ale nie przejmowałbyś się, gdybyś zarabiał dwa centy. Czyż nie powiedziałeś mi, że pieniądze zmuszają człowieka do robienia głupstw? Sprawiają, że pragnie się rzeczy, które nie są wcale ważne, a ignoruje te, które są. Pieniądze niszczą wszelkie reguły.

— Dołała sobie herbaty. — Powiem ci jedno, kochanie: możesz zobaczyć, że to prawda, patrząc na Thornburga Conrada Trzeciego. — Wzdrygnęła się lekko. — Uch, nawet za całą broń amerykańskiego rządu nie poszłabym z nim do łóżka. No, ale syn jest inny.

— Tak, Ham znacznie różni się od ojca — zgodził się Yoshida.

— Sztuka polegała na podbudowaniu jego złudzeń, że on i stary są ulepieni z tej samej gliny. Potem, kiedy nadejdzie właściwy moment, kiedy dowie się, jaki naprawdę jest ojciec, wścieknie się, a jego wściekłość będzie przerażająca. Stanie się niczym jeden z przemycanych przez ciebie pocisków, wymierzony we własnego ojca, którego, jestem pewien, potajemnie nienawidzi za to, że matka znalazła się w ramionach kochanka, a następnie za wyrzucenie jej z domu. Gdy na własne oczy zobaczy katalog grzechów Thornburga Conrada Trzeciego, zabije go.

— Ta myśl naprawdę cię rajcuje, no nie?

Yoshida przeszył ją wzrokiem, ale nic nie powiedział.

Marion odsunęła talerz, jakby nagle straciła apetyt.

— Wszystkie wojny są obłudą, bez dwóch zdań, kochanie, ale niektóre bardziej niż inne. Tak uważam; to kwestia zasad. — Wyjęła kosmetyczkę, przejrzała się w lusterku i pociągnęła szminką po wargach. — Powiedz mi, jak to zrobiłeś, że Audrey Simmons dowiedziała się, że Thomburg i ja prowadziliśmy interesy?

— Nie tylko interesy. Pieprzyliście się. — Yoshida podniósł ręce i obciągnął mankiety marynarki. — Popatrz, nic nie wystaje mi z rękawów. — Obdarzył ją uśmiechem twardym jak beton. — Zręczność rąk nie jest jedyną dziedziną magika. Mam dostęp do komputerów, które z kilku zdjęć mogą zrobić jedno, a ono z kolei może przekonać niczego nie podejrzewającą widownię do wszystkiego. — Chrząknął. — A co do interesów, brudną robotę odwała za mnie Harris Patterson. Widzisz, Patterson był brzydkim chłopcem, który od czasu do czasu robił machlojki z rachunkami klientów. Gdyby coś wyszło na jaw, znalazłby się za kratkami. — Rozkoszował się widokiem malującego się w jej oczach podziwu. — W każdym razie, znam ludzi takich jak Audrey Simmons. Jak większość z jej kręgu, uwielbia plotki; ponadto była napalona na Hama. Zadbalem, żeby zobaczyła, was razem i żeby była emocjonalnie przygotowana na to, co jej pokazałem. To jak autohipnoza, naprawdę.

Marion schowała pomadkę i zatrasnęła kosmetyczkę.

— Chyba będzie mi brakowało Hama. Jest inny od reszty; praca dla rządu jeszcze go nie zdemoralizowała.

— To tylko kwestia czasu — stwierdził Yoshida. Pomyślał, że Marion jest zbyt cwana.

— Idę siusiu. Zaczekaj, ale nie płać rachunku. — Zabrała torebkę i ruszyła na tyły restauracji.

Yoshida poczekał, aż zniknęła za drzwiami damskiej łazienki, potem rzucił dwudziestodolarowy banknot na stół, wysunął się z boksu i skierował ku toaletom.

Otworzył drzwi męskiej, sprawdził, czy nikogo nie ma, i przeszedł dalej. Nikt się tu nie kręcił; w drugim końcu zagraconego korytarza znajdowała się kuchnia i tuż przed nią drzwi, które wychodziły na ulicę.

Założył wysypane talkiem rękawice chirurgiczne, wyjął z kieszeni mały, zakrzywiony metalowy szpikulec, wsunął go w tani zamek damskiej łazienki i gmerał nim przez chwilę. Wszedł do środka, starannie zamykając za sobą drzwi.

Thornburg upierał się, by być na pogrzebie Tiffany. Lekarze sprzeciwiali się temu, uprzednio bowiem spędzili szesnaście godzin na przeprowadzeniu sekcji, która miała na celu zebranie jak największej ilości danych na temat wadliwego funkcjonowania serum. Ale w końcu zdanie Thornburga przeważało, co zresztą było oczywiste, skoro to on im płacił.

Pogrzeb był określeniem używanym jedynie przez Thornburga, ponieważ doczesne szczątki jego żony zostały poddane kremacji, tak samo jak ciała ofiar nieudanych eksperymentów nad sklonowanymi wariantami Insulinopodobnego Czynnika Wzrostu 1.

Miał wiele miłych wspomnień związanych z Tiffany i pozwolił, by ośladnęły nim w chwili, gdy obserwował pochłaniające ją czerwone płomienie. Myślał również o śmierci, jak zresztą zawsze. Myśli te towarzyszyły mu nawet w czasie płytkiego snu, jaki teraz go męczył. Śmierć była jedyną rzeczą, której Thornburg nienawidził i której się bał.

Drgnął, usłyszawszy otwierające się za plecami drzwi. U jego boku stanął Ham.

— Przyszedłem tak szybko, jak mogłem.

— To dobrze.

Ale głos Thornburga był pozbawiony emocji i Ham to zauważył. Doskonale zdawał sobie sprawę z wieku ojca i szukał oznak zgrzybiałości, które mogłyby zachwiać ich planem powstrzymania ekonomicznego przejścia Ameryki przez Stowarzyszenie Czarnego Ostrza. Prawdę mówiąc, czuł, że między nim a ojcem jest przepaść i po raz pierwszy był świadom tłumionego, lecz nigdy nie wygasłego gniewu. Nieważne, co jeszcze zrobił Thornburg, Ham nie potrafił wybaczyć mu pogardy, jaką żywił do jego matki. Najpierw bezdusność męża pchnęła ją do nawiązania romansu, a potem on przeklął ją za to, że ośmieliła się mieć ludzkie uczucia. Oczywiście, bogowie przymykają oko na takie grzeszki i Ham aż nazbyt dobrze rozumiał, że właśnie tak zawsze widział swego ojca: jako boga. Ale ostatecznie, niezależnie od jego podejścia, Thornburg był takim samym śmiertelnikiem jak każdy inny, co znaczyło, że popełnia błędy, chociaż sam nigdy się do nich nie przyznawał. Ham w końcu przejrzał — trzeba przyznać, że częściową dzięki podszeptom Yosha. I skoro Thornburgowi brakowało moralnej odwagi i uczciwości, by osądzić własne uczynki, zatem on będzie musiał zrobić to za niego.

— Skoro tu jesteś — zaczął Thornburg, patrząc w ogień — może powiesz mi, co z Mathesonem.

Nadeszła chwila prawdy, lecz Ham przez kilka sekund był zdecydowany wycofać się, okłamać ojca i powiedzieć, że wszystko jest na jak najlepszej drodze. Potem gniew rozgorzał w nim na nowo i pomyślał: Pieprzyć to, mam dość jego kłamstw.

— Matheson znajduje się poza zasięgiem — powiedział. — Jest z tą Japonką Chiką, a ona należy do Stowarzyszenia Czarnego Ostrza. Nie znamy jego obecnego statusu: jeniec, rekrut, kto wie? W dodatku jest zamieszany w morderstwo jednego ze swych ludzi oraz w morderstwo i torturowanie komisarza nowojorskiej policji. Próbowano przydybać go w Nowym Jorku, ale jakoś się wymknął.

Thornburg milczał i Ham wstrzymał oddech.

— W pewien sposób — rzekł wreszcie Thornburg — już nie ma znaczenia, że zrobiłem z ciebie głupca. Matheson jest tam, gdzie chciałem.

— Zapomnij o Mathesonie — warknął Ham z nie ukrywaną irytacją. — już ci mówiłem, że jest poza zasięgiem. Yoshida i ja postanowiliśmy...

— Nie masz pojęcia, o co naprawdę chodzi — warknął Thornburg. Wiedział, że przekracza granice, jakie sam sobie narzucił, ale nie potrafił już tego wytrzymać. Tiffany odeszła, a jego jedyna pociecha, syn Ham, okazał się nie lepszy od pozostałych dzieci. Wszyscy go rozczarowali, żaden nie zasługiwał, by po nim dziedziczyć. — Bawiłem się tobą tak jak generałami w Pentagonie, prezydentem, wszystkimi. — Oczy, odbijające płomień ze „stosu pogrzebowego” Tiffany, gorzały własnym blaskiem.

— Jestem sprytniejszy od was wszystkich. Nie potrzebuję cię; nie potrzebuję twego makiawelicznego cienia. Potrzebny mi tylko Matheson. Jest niczym pocisk wymierzony w serce Stowarzyszenia Czarnego Ostrza. On ich powstrzyma i da mi to, czego pragnę najbardziej.

Ham wlepił oczy w ojca i myślał: Yosh ma rację, on zwariował. Potrafi myśleć tylko o Mathesonie. To, co może nam zrobić Stowarzyszenie Czarnego Ostrza, jest mu prawie obojętne.

— Opanuj się! — rzucił ostro. — Doceniam rolę, jaką odegrałeś w podżeganiu Obrony przeciwko Stowarzyszeniu Czarnego Ostrza, ale musisz zrozumieć, że to się kończy. Obchodzi cię tylko Wolf Matheson, podczas gdy ekonomiczne zdominowanie Ameryki jest jedynie kwestią czasu. Twoja nierozsądna postawa naraża naszą operację na niebezpieczeństwo. Nie mogę na to pozwolić. Idź do domu. Oplakuj swoją

zoneczkę, jeżeli masz takie życzenie. Zwalniam cię z wszelkiej odpowiedzialności. Od teraz pokieruję całą operacją razem z Yoshem.

Thornburgowi ta płomienna przemowa wydała się tak naiwna, że nie mógł powstrzymać się od śmiechu.

— Mój Boże — wydusił w końcu. — Twoje ambitne zapędy nie mają już najmniejszego znaczenia. Wypadki dawno wymknęły się spod twojej kontroli.

Ham spojrział z wściekłością na ojca, a jego pogardliwy śmiech nadal dźwięczał mu w uszach. Nie pozwolił jednak, by Thornburg rzucił go na kolana. Widywał już, jak ojciec rozprawiał się z innymi za pomocą kilku dobrze dobranych słów.

— Po prostu trzymaj się z daleka od tej operacji — warknął. — To już nie twoja sprawa.

Thornburg przyglądał się, jak syn wychodzi z pokoju. W pewien sposób był dumny, że Ham zdołał podnieść się po świadomie wymierzonym ciosie, który miał go poniżyć. Ale był również zaniepokojony. Ham nie ogarniał całej sytuacji i Thornburg przypuszczał, że było to wynikiem trzymania zbyt wielu rzeczy w tajemnicy. Wiedział, że bardzo szybko musi zrobić coś z Hamem i Yoshidą, bo ich machinacje pokrzyżują jego prywatny plan.

Ham częściowo miał rację — myślał. — Rzeczywiście mam obsesję na punkcie Wolfa Mathesona. Ale z bardzo prostego powodu, którego młodszy Conrad nigdy by się nie domyślił.

Thornburg wcześniej stał się człowiekiem, który żył wyzwaniem — im były trudniejsze i bardziej niewiarygodne, tym lepiej. Największa przyjemność sprawiały mu te chwile, gdy zwyciężał, choć wszyscy wokół byli przekonani, że poniesie klęskę.

„Żadne uczucie na świecie nie umywa się do tego, jakie przeżywasz wtedy, gdy przegrana postarza twarz twego wroga” — powiedział mu kiedyś ojciec. „Podobne uniesienie towarzyszy człowiekowi tylko wtedy, gdy cały i zdrowy wychodzi z tego, co miało być chwilą jego śmierci”.

Thornburg nawet nie potrafił powiedzieć, kiedy zapragnął okpić śmierć. Próbował różnych sposobów, a w końcu natknął się na najnowsze odkrycia w dziedzinie rodzących się nauk biochemicznych, które wówczas nie miały jeszcze właściwej nazwy. I wtedy, w cudowny sposób, w wielkim na trzy areny wietnamskim cyrku wojny znalazło się miejsce na maleńkie boczne przedstawienie — maleńkie przynajmniej z militarne punktu

widzenia — które dało mu do zrozumienia, że jego chęć okpienia śmierci wcale nie musi być taka absurdalna.

Pomyślał, że mając tych kilka cennych poszlak będzie w stanie na własną rękę rozwiązać zagadkę wiecznego życia. Ale prace jego niez mordowanego personelu nad rekombinacją Insulinopodobnego Czynnika Wzrostu 1 utknęły na nieznanym elemencie, którego włączenie w skład hormonu zahamowałoby jego rozpad. Naukowcy nie potrafili go zdefiniować, nie wspominając o zsyntetyzowaniu.

Teraz, obserwując płomienie liżące szczątki Tiffany, Conrad wiedział, że jego jedyna szansa na wymknięcie się ze szponów śmierci zależy od osobowości i zdolności Wolfa Mathesona. Ta myśl uświadomiła mu, że nie na darmo uratował Wolfowi życie w Kambodży ponad dwadzieścia lat wcześniej. Ale życie, jak odkrył, często było takie: celowe we wszystkim. Jak lubią mówić ludzie Wschodu, to karma.

Gdy zamknął drzwi pieca, zastanowił się, czy nie patrzył na własną śmierć. Ile czasu mu zostało? Nie wiedział. Ktoś jednak wiedział, co do tego nie miał wątpliwości. Niestety, nie potrafił osiąść tej cennej wiedzy; zamiast tego szprycował się środkiem, który co prawda odmłodził Tiffany, lecz w końcu ją zabił.

Może bez tego specyfiku już by nie żył. Od pewnego czasu podejrzewał, że przekroczył wyznaczoną „odgórnie” chwilę śmierci. W pewnym sensie więc dostał to, czego pragnął najbardziej. Teraz naprawdę oszukiwał śmierć. Zdawał sobie jednak sprawę, że w najlepszym wypadku jest to pyrrusowe zwycięstwo.

Odwroćcie procesu starzenia, którym na razie się cieszył, nie mogło trwać wiecznie i musiało się skończyć (jeżeli poprzednie przykłady były wiarygodną wskazówką) w przerażającym bólu, łagodnym jedynie potężnymi dawkami morfiny. Człowiek nie powinien umierać w taki sposób, ale bez wątpienia tak się stanie, jeżeli Wolf Matheson nie zdradzi tajemnicy, którą odkrył w dżunglach Kambodży.

Marion stała w kabinie i zastanawiała się, dlaczego Jason Yoshida opowiedział jej tak wiele o swoim planie, gdy raptem usłyszała dźwięk otwieranych drzwi. Wiedziała, że je zamknęła. Znieruchomiła i wpatrywała się w drzwi kabiny, jak gdyby chciała przebić je wzrokiem. W tym samym czasie jej palce gmerały w torebce w poszukiwaniu czegoś, co mogłaby

użyć jako broni. Chryste, gdzie jest pilniczek do paznokci?! Nosiła go na wszelki wypadek. Człowiek nigdy nie wie, kiedy coś może się przydać.

Jej ręka chwyciła go w chwili, gdy drzwi kabiny stanęły otworem. Wzdrygnęła się na widok twarzy Yoshidy wykrzywionej nienawiścią. Było to uczucie tym gorsze, że całkowicie bezosobowe. Miała wrażenie, że patrzy na cuchnące dno kiepsko oświetlonej studni. Przelotne zerknięcie w duszę Yoshidy zmroziło jej krew w żyłach.

Yoshida rozdarł jej sukienkę i zerwał stanik. Zdołała opanować początkowy szok i próbowała wyciągnąć pilniczek z torebki, ale zahaczył, o jakiś inny drobiazg, a potem o brzeg. Pas lycry i koronki owinął się wokół jej szyi i Yoshida z niskim charkotem, jaki wydają psy użerające się o ochłap, szarpnął za oba końce. Poderwał ją w górę. Zadławiła się i oczy zaszyły jej łzami, gdy daremnie walczyła o oddech.

W końcu torebka upadła na posadzkę i pilniczek wysunął się, ale Marion nie miała już siły — Yoshida z łatwością poradził sobie z jej wzruszającą próbą obrony.

Stali policzek przy policzku i Marion czuła, jak skóra Yoshidy staje się coraz cieplejsza, gorąca niczym samo słońce, podczas gdy temperatura jej ciała spadała. Odczuwała jedynie przeraźliwy ziąb, który tłumił wszystkie inne wrażenia. A potem nawet to odczucie zaczęło stopniowo zanikać. Przez chwilę unosiła się, pozbawiona ciężaru, po czym zapadła w nicość.

XVI

TOKIO-WASZYNGTON

Okropne miasto — myślał Wolf, gdy wraz z Chiką wyszli na zatłoczone do granic możliwości ulice Tokio. Niczym technologiczna forteca z krzemu i stali. Wszędzie widoczne były oznaki nowoczesnego świata: olbrzymie, pionowe, poustawiane jeden na drugim neony reklamujące miliony produktów.

— Cudzoziemcy w większości są oszołomieni tym miastem — powiedziała Chika. — Ale łatwo ich zrozumieć. — Podniosła ręce. — Tokio jest *hade*. *Hade* to termin, który najlepiej tłumaczy się jako bujność, obfitość, chociaż oznacza również piękno i promieniowanie. — Wskazała na reklamy. — Widzisz kolory tu i tu: błyszczące złoto na tle lśniącego cynobru. A tam, obok żółci i pomarańczu świątyni jarzą się w słońcu kolumny z nierdzewnej stali. To esencja Tokio, *hade*, które jest orgią kształtów i barw. Jeżeli potrafisz to zrozumieć, wiesz wszystko, co potrzeba, o Tokio.

Nad Sumidą, stojąc na ulicy, nad którą się unosił zapach ryb, zjedli szybki posiłek: kluski *soba* i płatki *bonito* w rybnym sosie oraz zieloną herbatę.

Wolf spał w czasie lotu, ale czuł, jakby coś ciężkiego i złowieszczonego pełzało mu po plecach. Jego sny były odbiciem najgorszych przeżywanych na jawie koszmarów dotyczących Chiki i Sumy, pozornie wrogów, ale

w rzeczywistości sprzymierzeńców, zręcznie manipulujących nim w śmiertelnej grze, której zasad nie rozumiał.

— Nie pozwól, by zmylił cię ultranowoczesny wygląd Japonii. Na wiele sposobów nadal jesteśmy społeczeństwem feudalnym — mówiła Chika, gdy przypychali się przez zakorkowane ulice. — Nie całkiem tak, jak ludzie Zachodu rozumieją to słowo, ale w czysto wschodni sposób. Nadal istnieje coś takiego jak posłuszeństwo i *giri* — obowiązek, tak jak przed wiekami. Informacja — wewnętrzna, poufna, niezbędna dla rozwoju kariery i zdobywania zysków — krąży między ludźmi, którzy są z sobą związani, ponieważ pochodzą z tych samych terenów, skończyli tę samą szkołę czy wżenili się w tę samą rodzinę. W tym sensie nadal istnieją feudalowie i ich świat, jak pod koniec szesnastego wieku, nim Ieyasu Tokugawa pozornie rozprawił się z tymi *daimio*, jednocząc Japonię pod sztandarem swego szogunatu.

Zatrzymała taksówkę, tylne drzwi otworzyły się automatycznie. Powoli brnęli przez miasto, ale Chika najwyraźniej chciała, by zobaczył Tokio tłoczne i kolorowe.

Olbrzymia ruchoma reklama na biurowcu ze szkła i stali przedstawiała w zdumiewających szczegółach lekarzy w sali operacyjnej, potem uśmiechniętą głowę młodej kobiety, promieniującą zdrowiem, wypowiadającą słowa po japońsku. Przez chwilę słowa te widniały w *dymku* rodem z komiksów, wydrukowane najpierw po japońsku, a potem po angielsku. „SHIAN KOGAKU”:ZAWSZE JESTEŚMY Z TOBĄ.

Taksówka zatrzymała się przed wspaniałą drewnianą świątynią, ledwie widoczną u szczytu zniechęcająco wysokich kamiennych schodów. Wokół rosły bardzo gęste drzewa, a Chika wyjaśniła, że po drugiej stronie mieszczą się ambasady dystryktu Akasaka. Znajdują się one w pobliżu japońskiego parlamentu, tak blisko państwowej siedziby władzy, jak tylko możliwe.

Chika zapłaciła kierowcy i wysiedli.

— To Hie Jinja, świątynia sinto — mówiła, gdy minęli strzeliste wrota *torii* z laki i zaczęli wspinać się ku właściwej świątyni. — Założono ją w 1478 i początkowo służyła jako świątynia zamku w starym Edo. Od tego czasu jednakże kilka razy była niszczone i odbudowywana.

Dotarli na rozległy, wysypany żwirem dziedziniec, otoczony budynkami: kaplicą i ofertorium.

— Te święte budynki wybudowano w 1967. Ale w Japonii chyba wszystkie świątynie były kilka razy niszczone i dźwigane z gruzów, więc tej nowości nie odbiera się jako dysonansu.

Wolf wyczuwał, że Chika rna rację. Znajdowali się w sercu ruchliwej, hałaśliwej metropolii, lecz tutaj panowała pogodna cisza, jaka zazwyczaj kojarzy się z lasami na wzgórzach, gdzie czas mierzy się szumem wiatru w koronach drzew i dzikim krzykiem drapieżnika. Szum ulicznego ruchu i ludzkich głosów nadal był słyszalny, ale o wiele większe znaczenie miały medytacyjne dźwięki świątyni — bicie dzwo-
nu wzywającego *kami* — duchy, zgrzyt piły świątynnego cieśli, wysokie tony tradycyjnych instrumentów. Dźwięki te działały jak soczewki skupiające uwagę słuchacza na trudnym do ogarnięcia znaczeniu historii.

— Pięknie tu — powiedział Wolf. — I spokojnie.

Chika zadowolona uśmiechnęła się lekko. Nadal jednak wyczuwał, że jest zdenerwowana.

— Przyprowadziłam cię tutaj, byś się z kimś spotkał. Spojrzała na niego uważnie. — Obiecuj mi, że wysłuchasz, co ma do powiedzenia.

Wolf widział, jakie to dla niej ważne.

— W porządku. Co miał do stracenia?

Powiodła go przez dziedziniec do świątyni. Na tyłach budynku dostrzegł dwie błyszczące limuzyny z szoferami w liberii, a z jednej z przybudówek wysypał się weselny orszak.

Wejście do Hie Jinja obstawione było szklanymi gablotami ze świętymi małpami, ubranymi i wyposażonymi w przedmioty reprezentujące świątynię. Przed jedną z gablot stała jakaś postać. Gdy podeszli bliżej, Wolf zobaczył, że była to kobieta, a jej głowa odwróciła się w ich stronę na długo wcześniej, nim mogła usłyszeć ich kroki.

— Pamiętaj, co ci powiedziałam o *giri*, obowiązku i posłuszeństwie — powiedziała Chika tonem, który zabrzmiał jak ostrzeżenie. — Jestem jej to winna.

W chwili rozpoznania, które unicestwiło czas i zabrało go do Kambodży sprzed dwudziestu lat, usłyszał, jak Chika mówi:

— Minako jest moją matką, Wolfie.

— Minęło dużo czasu, miło cię znów widzieć, Wolf-san — rzekła Minako tak, jakby byli starymi przyjaciółmi.

Pierwszą rzeczą, na jaką Wolf zwrócił uwagę, było to, że Minako nie postarzała się ani o dzień od czasu ostatniego spotkania. Prawdę mówiąc, wyglądała jeszcze lepiej. Oczywiście, posiadała *makura no hiruma*.

Była ubrana na sposób zachodni: w czarną spódnicę, białą bluzkę, złoty pas i naszyjnik oraz długi do kostek płaszcz. Mimo surowych kolorów jej strój cechował się pewną miękkością, pewnym wyrafinowaniem, które było kwintesencją kobiecości. To oraz kontrast czerni i bieli Wolf odebrał jako swego rodzaju wskazówki wzrokowe. Owa miękkość pomagała złagodzić wspomnienie kobiety-wojownika, czerń i biel przypominała o istniejącym we wszystkim dualizmie twardości i miękkości.

— Poprosiłam córkę, by przyprowadziła cię do Hie Jinja — powiedziała Minako — bałam się bowiem, że możesz widzieć mnie jedynie przez pryzmat wojny.

— Ostatecznie to nie była twoja wojna — powiedział Wolf.

— Och, tak, była. Przynajmniej ta wojna, której szukałeś wraz z Thornburgiem.

Thornburg Conrad Trzeci. Niepodobna było widzieć Minako ponownie i nie pomyśleć o nim. Tajny agent na zawsze pozostaje tajnym agentem. Całe dowództwo MACV tańczyło jak zagrał albo tak wydawało się wtedy w Wietnamie. Teraz Wolf jakby wrócił do punktu, z którego zaczynał ponad dwadzieścia lat temu. Miał wrażenie, że w jego nowym życiu nie ma żadnych zbiegów okoliczności, że spotkanie z Minako, czekającą na niego cierpliwie niczym pająk na zdobycz, było nieuchronne jak śmierć.

Minako i Thornburg Conrad Trzeci, dwa cienie ukryte tak głęboko, że prawdopodobnie nawet w CIA nie wiedziano o ich działalności. Pomyślał o Shipleyu, agencie z Departamentu Obrony, który go zwerbował, a potem próbował wykończyć. Dlaczego? Zdarzyło się to tuż po tym, jak zaczął współpracować z Chiką. Czy Shipley pracował dla Thornburga Conrada Trzeciego? Czy to wszystko: kłamstwa, morderstwa, zdrada własnego kraju — wiązało się z prywatną wojną między Minako i Thornburgiem, wojną prowadzoną w takiej czy innej formie przez ponad dwie dekady?

W tej chwili wszystkie kłamstwa, jakie wypowiedział, wszystkie oszustwa, jakie popełnił, zlały się w jedno. Odwrócił się do Chiki.

— To była śmiertelna gra, prawda? — Próbował się opanować, ale to było niemożliwe. Ważność ujawnionych rewelacji wprawiła go w drżenie. — Zostałem wykorzystany przez Thornbuga i przez ciebie. Mogę się jedynie

domyślać, że w jakiś sposób chciał użyć mnie przeciwko twojej matce.
— Spojrzał na Minako. — A czego ty chcesz ode mnie? Twojej córce udało się wyrwać mnie skutecznie z poprzedniego życia: moja przyjaciółka, mój zespół, nawet moja robota rozwiały się jak dym.

— Moja córka mówi, że już byłeś oderwany od tego życia — stwierdziła chłodno Minako.

Wolf milczał. Patrzył na Chikę. Ich oczy zwały się jakby w swoistej fizycznej walce. Powietrze nagle napełniło głębokie dudnienie dzwonu, gdy *kami* świątyni wzywał wiernych.

— Obiecałeś, że wysłuchasz, co ma do powiedzenia moja matka!
— rzuciła Chika prawie z rozpaczą.

Niepotrzebnie się odzywała.

— Kiedy doszedłem do wniosku, że Suma jest twoim odpowiednikiem w obozie wroga, cholernie się myliłem, prawda?

Chika nie powiedziała ani słowa, więc mówił gorączkowo dalej:

— Pogubiłem się w elementach tej łamigłówki, ale stało się tak dlatego, że ty umiejętnie prowadziłaś mnie w złym kierunku. Tak łatwo było zdefiniować wojnę w Stowarzyszeniu Czarnego Ostrza, prawda? Ty, reprezentująca tych dobrych z jednej strony, i Suma, emisariusz zła, z drugiej. Ale wcale tak nie było. Tej nocy, gdy byłem w mieszkaniu na Szóstej Ulicy, śledziłem cię. Zobaczyłem, że wsiadłaś do karawanu. Kto go prowadził, Chiko? Nie, nie musisz mi mówić, już wiem. Suma. Nie byliście wcale po przeciwnych stronach: wcale nie jesteście wrogami.

— Wolfie, nie okłamałam cię, mówiąc o wojnie istniejącej wewnątrz Toshin Kuro Kosai.

— Zamknij się! — warknął. — Jak możesz się spodziewać, że ci uwierzę?

— Przyznaję, że okłamywałam cię w przeszłości, ale...

Urwała, zszokowana tym, co poczuła. Bez żadnego ostrzeżenia. Siła jego wściekłości, jego *makura no hiruma*, uderzyła w nią jak piorun i odrzuciła do tyłu na szklaną gablotę. Małpy zagrzecotały na swoim tronie.

— Przestań, natychmiast! — krzyknęła zatrwożona Minako.

Wolf, oszołomiony tym, co zrobił — co był zdolny zrobić — zachowywał się jak niemy obserwator nieszczęścia.

Chika osunęła się na kolana. Nie miała czasu na obronę, a teraz, gdy dostała tę szansę, nawet nie próbowała. Głowa opadła jej na piersi.

Dziewczyna łkała. Po chwili podniosła się i nie spojrzawszy ani na Wolfa, ani na matkę, popędziła przez dziedziniec, zbiegła po kamiennych stopniach na ulicę gdzie została pochłonięta przez *hade* miasta.

Yoshida przytulony do Marion Starr St. James czuł wpełzający w nią chłód. Zamknął oczy. Czekał, licząc uderzenia serca skrupulatnie jak ktoś liczący dzienny utarg.

Potem odsunął dziewczynę od siebie i przerzucił przez ramię. Nie spojrzął na jej twarz, ponieważ nie było tam nic do oglądania. Podszedł do drzwi i zerknął na zewnątrz. Korytarz był pusty. Słyszał, jak pracownicy, syci i podochoceni johnnie walkerem, sprzecząc się, czy płacić dostawcy więcej, czy zacząć zaopatrywać się u innego. Wymknął się na korytarz, otworzył tylne drzwi, wyszedł w zaułek i wrzucił zwłoki do pojemnika na śmieci, okrywając je starannie odpadkami.

Piętnaście minut później znów znajdował się w holu hotelu „Cztery Pory Roku” i zadzwonił do Hama.

— Złe nowiny — oznajmił. — Marion Starr St. James nie żyje.

Nastąpiła przerwa, w czasie której zastanawiał się, o czym też teraz może myśleć Ham. Kiedy w końcu się odezwał, jego głos drżał lekko.

— Co się stało?

— Nieuniknione — odparł Yoshida, przysuwając usta do mikrofonu.

— O Chryste, to była kobieta! — Yoshida słyszał, że Ham oddycha nierówno, jakby walczył o zachowanie panowania nad sobą. — Siedziała w interesie, w którym cholernie łatwo narobić sobie wrogów.

— Albo to, albo za dużo wiedziała. — Urwał na chwilę. — Nie sądzisz, że to podejrzanę, iż została załatwiona zaraz po tym, jak zaczęła sypać na temat twojego starego i „Zielonych Gałęzi”?

Ham nie dodał ani słowa, ale Yoshida nie sądził, żeby musiał to robić.

Dla Wolfa odejście Chiki było niczym amputacja kończyny, Nadprzyrodzona cisza świątyni nie niosła już w sobie spokoju; serce bolało go z tęsknoty. Nie wiedział, co począć. Był niezmiernie zdumiony, że tak głęboko przejmują się kimś, kto oszukiwał go bez opamiętania.

— To wyłącznie moja wina — powiedziała Minako. — Nigdy nie powinnam była nalegać na tak szybkie spotkanie. Ale zostało mało czasu

i właśnie wracam z pogrzebu swego zięcia, który z pewnością nie zmarł śmiercią naturalną.

Nad jej głową strzelała w powietrze białą pierwszą kwitnącą śliwa. Podmuch poruszył gałęziami. Minako zadrżała, wsunęła ręce w kieszenie płaszcza i otuliła się szczelniej.

Wolf, przyglądając się matce kobiety, przez którą teraz czuł się rozdarty, odniósł niesamowite wrażenie, że wszystko — nawet kwitnienie śliw — dzieje się wedle jej woli.

Postanowił nie pozwolić jej przeniknąć w głąb siebie.

— No to czego od nas chcesz? — zapytał bezlitosnym tonem.

— Ty wszystko pojmujesz na opak. Przecież to ty i Thornburg mnie szukaliście. Thornburg ze swymi eksperymentami nad spowolnieniem i odwróceniem procesu starzenia.

— A co z twoimi eksperymentami?

Spojrzała na niego, ale nie odpowiedziała.

— Ty i Thornburg — dodał pogardliwie. — Między wami nie ma wielkiej różnicy.

Nie mógł dociąć jej boleśniej. Minako wyprostowała się.

— Nigdy tak naprawdę go nie znałeś i sądzę, że teraz też tak jest. Thornburg jest człowiekiem, która zatruwa wszystko, czego dotknie.

— Odwróciła się. — Prawie wszystko.

— Czy spodziewasz się, że ci uwierzę, iż ty znasz go lepiej ode mnie?

Spojrzała mu w oczy.

— Tamtej nocy, gdy spałeś, pozwoliłam mu się uwieść. Miałam swoje powody, ale nie dotyczyły eksperymentów. Rozmawialiśmy o różnych rzeczach, a ja oczywiście przywołałam do pomocy *makura no hiruma* i dowiedziałam się o nim więcej, niż mógłby przypuszczać.

— Pochyliła głowę. Kolejny wyznawca uderzył w dzwon, którego dźwięk pogłębił ciszę świątyni. — Może nawet widziałam tę chwilę, ponieważ była ona początkiem wszystkiego. Gdybym zabiła was obu, może obecne życie byłoby mniej skomplikowane. Ale w takim wypadku z pewnością już bym nie żyła i Czcigodna Matka bez przeszkód realizowałaby swój obłąkańczy plan.

— Kim jest Czcigodna Matka?

— Ona rządzi Toshin Kuro Kosai.

— Z tego, co wiem, Stowarzyszeniem Czarnego Ostrza kieruje niejaki Naoharu Nishitsu.

Minako pokręciła przecząco głową.

— Dość powszechny błąd. Chociaż wydaje się, że Nishitsu rządzi Toshin Kuro Kosai, prawdziwym przywódcą jest Czcigodna Matka. Taka fikcja jest przydatna. Pozwala jej pojawiać się na spotkaniach i rozmowach z ludźmi spoza stowarzyszenia bez zwracania na siebie uwagi. W ten sposób można więcej wychwycić.

— I Czcigodna Matka jest twoim wrogiem.

— Tak. Jest również babką Chiki.

Wolf uspokoił się. Cały gniew zniknął, pozostawiając mu tylko niesmak w ustach.

— Lepiej wyjaśnij to tak, żeby ktoś niewtajemniczony potrafił zrozumieć.

— Czcigodna Matka i ja wychowywałyśmy się razem; byłyśmy przyjaciółkami od dzieciństwa i przez długi, długi czas byłam jej prawą ręką. Ale dziesiątki lat temu, tak powoli, że z początku niczego nie zauważałam, zaczęła się zmieniać. Stała się kapryśna i dziwna, pozwalała sobie na wszelką rozpustę i perwersje. I starała się zdemoralizować wszystkich wokół... Zbyt późno zrozumiałam, że wybrała Chikę na swoją wnuczkę i opiekunkę nie tylko ze względu na siłę jej *makura na hiruma*, ale dlatego, że jest ona moją córką. Rozumiesz, Czcigodna Matka jest bezpłodna. Myślę, że rozbawiło ją uczynienie Chiki swoją wnuczką, zabranie części czegoś, co jest dla mnie tak ogromnie ważne. Ale ja miałam czworo dzieci, a ona żadnego. Wykorzystała Chikę, tak samo jak ja byłam zmuszona wykorzystać ją, by sprowadzić tu ciebie.

— A co z *giri* — spytał Wolf. — Czy nie jesteś winna posłuszeństwa Czcigodnej Matce?

Minako obdarzyła go ironicznym uśmiechem.

— Powiedz mi, Wolf-san, czy wykonywałbyś na ślepo rozkazy wariatki?

— Jesteś pewna, że ona zwariowała?

— Chce, żeby Stowarzyszenie Czarnego Ostrza przejęło kontrolę nad całym światem. Ekonomiczną kontrolę; tak jak pokierowali rozwojem gospodarki japońskiej po wojnie na Pacyfiku. Przed laty wysłała pozostającego na jej usługach zabójcę, Jasona Yoshidę, do Stanów Zjednoczonych. Zajmuje się on rozpracowaniem pewnych polityków i sianiem zamętu w tych kręgach, które kształtują amerykańską zagraniczną politykę ekonomiczną. Czcigodna Matka sama go wyszkoliła. Ostatnio był wielce zajęty, systematycznie mordując polityków, popierających niewłaściwe projekty ustaw, w taki sposób, by ich śmierć wyglądała na wypadek albo

samobójstwo. Dla Yoshidy, który jest maniakiem, było to rzeczą stosunkowo prostą. — Poważnie pokiwała głową. — Postawiłam własne życie i życie mych dzieci na to, by udowodnić, że Czcigodna Matka jest szalona. — Jej oczy były nienaturalnie jasne. — A teraz mam ciebie.

Wolf był zainteresowany uzyskaniem niezależnego potwierdzenia tego, co powiedział mu Shipley, a jednak stwierdził sucho:

— Myślę, że masz niewłaściwą osobę.

— Wiem, co mówi mi mój dar. Moja i twoja przyszłość są nierozdzielnie splecione. — Była tego tak pewna, jak historyk analizujący przeszłość. — Zaszedłeś za daleko; zrobisz to, co widziałam, że zrobisz.

— Dlaczego mnie tu ściągnęłaś? — zapytał ostro.

— Ponieważ stałeś się ostateczną bronią w wojnie, która z pewnością będzie toczyć się do ostatniej kropli krwi.

Echo dzwonów nie chciało wygasnąć w chłodnym powietrzu.

— Nie myśl źle o mojej córce — powiedziała, nim zdążył ochłonąć. — Jeżeli cię zdradziła, to na moje polecenie.

— Słyszałem, jak rozmawiała, czułem, jak była z Sumą.

— Ach, Suma!

Minako odeszła powoli od śliw i stanęła na tle wejścia do świątyni. Wolf miał wrażenie, że jest *jej* częścią, ale nie jako wyznawczyni, lecz kapłanka. Ruszył ku niej, odsuwając się od ludzi na skraju dziedzińca, Święte małpy wyszczerzyły się do niego tak poufale, jakby znały jakieś jego intymne sekrety.

— Chika i Suma byli niegdyś kochankami — zaczęła Minako, gdy znalazł się obok niej. — Jako opiekunka Czcigodnej Matki miała dość okazji, by wejść w kontakt z będącym na jej rozkazy zabójcą. Podejrzewam, że nawet gdyby było inaczej, Czcigodna Matka znalazłaby sposób na ich skojarzenie. Widok Chiki z tą kreaturą, którą sama stworzyła, zadowalał jej perwersyjną naturę. — Złożyła ręce. — I myślę, że miała zamiar zepsuć Chikę, oddalić ode mnie.

— To, że byli razem, wcale nie musi znaczyć, iż z sobą sypiali.

— Nie? — Minako poderwała głowę. — Musisz nauczyć się wiele na temat szczególnej mocy Czcigodnej Matki.

— Powiedziałas, że Chika i Suma byli kochankami. Co robiła z nim teraz?

Minako zdrząła niczym smagnięta lodowatym podmuchem wiatru.

— Powinieneś zrozumieć skrajne niebezpieczeństwo, na jakie naraziłam siebie i Chikę. Musiałyśmy być absolutnie przekonywujące. Czcigodna Matka i jej lojalni poplecznicy nie mogą podejrzewać, że zamierzamy ją wyrugować. To właśnie Chika robiła z Sumą: przekonywała go, że cały czas jest lojalna.

Wolf zastanowił się, czy może wierzyć Minako. Nie miał ku temu żadnych podstaw. Już powiedziała mu, że sprowadziła go tutaj, by pokonać swego wroga w Stowarzyszeniu Czarnego Ostrza, i że wraz z córką zabrnęły tak daleko z powodu zdrad i oszustw. Ale komu mógłby zaufać? Nie Shipleyowi, gorliwemu tajniakowi, który próbował go zabić i nie człowiekowi, dla którego ten z pewnością pracował, Thornburgowi Conradowi Trzeciemu. Czy to Czcigodna Matka była naprawdę szalona, czy też kto inny? Jak szcur w labiryncie, Wolf zdał sobie sprawę, że **nie** ma wyjścia. A zatem będzie musiał sam je znaleźć.

Chciałby również przemyśleć swój stosunek do Chiki. Ciągąca go ku niej siła stawała się tak potężna, że kiedy znajdował się w pobliżu dziewczyny, był jak pijany. To miłość czy zupełnie coś innego?

— Wiesz, że mam *makura no hirumal* — zapytał po dłuższej chwili

— Do niedawna nie byłam pewna. — Minako potrząsnęła głową, — Dla mnie zawsze byłeś Człowiekiem Bez Twarzy. Ponieważ w ogóle nie wysyłałeś żadnej aury. Jakby wcale cię nie było. Jednak wtedy, w Kambodży, coś wpadło mi do głowy. Podałam Thornburga testowi. Powiedziałam, że zdradzę mu sekret długowieczności, jeżeli cię zastrzeli.

— Zrobiłabyś to?

Minako uśmiechnęła się, a był to pierwszy szczerzy uśmiech, na jaki pozwoliła sobie po tym, jak potraktował Chikę.

— Mówiłam, że to był test. A on mnie zaskoczył. Odmówił. To było sprzeczne ze wszystkim, czego dowiedziałam się o nim dzięki swemu darowi. Dlaczego odmówił? Wiele lat później zrozumiałam, że wyczuł w tobie coś, czego ja w swej arogancji nie potrafiłam pojąć. Wyczuł, że w tobie jest coś specjalnego. Nie miał pojęcia co, ale był przekonany, że tak długo, jak długo jest z tobą, nic mu nie grozi.

— Więc pozwoliłaś nam odejść.

— Tak.

— Przepuszczam, że powinienem ci podziękować. I jemu. Biorąc jednak pod uwagę okoliczności, nie będę zwracał sobie głowy.

Z niewidocznej ulicy dobiegło wycie motocykla, w jakiś sposób podkreślając przytłaczającą ciszę świątyni.

— Twardziel z ciebie — rzekła Minako z uśmiechem. — Mamy określenie na takich ludzi: jesteś *koba*. Moja córka musi ała zakochać się w tobie; to było nieuniknione.

— Chika...

— Sam z nią porozmawiaj. Nie wierzysz w to, co mówię. Zresztą, dlaczego miałbyś wierzyć?

— Nie wiem, czy będzie chciała ze mną rozmawiać.

— Musisz znaleźć właściwe słowa. Zraniłeś ją, to prawda, ale ją również gryzie poczucie winy, że była zmuszona cię okłamywać.

— Najpierw muszę ją znaleźć.

— Żaden kłopot. Poszła do mego domu. Opiszę ci, jak tam dotrzeć.

— Ty nie pójdziesz?

— Nie od razu. Jestem umówiona z Czcigodną Matką, a nie ośmielę się nie stawić przed jej obliczem. W obecnej sytuacji nawet najmniejsze odstępstwo od zwyczajnego zachowania wydałoby się podejrzanym.

— Więc teraz wszystko sprowadza się do ciebie i Czcigodnej Matki.

— Tak. To ścieżka, na którą wciągnęło nas jej szaleństwo. — Oczy Minako przez chwilę obserwowały otoczenie, nim w końcu spojrzały na Wolfa. — A teraz wszystko się zmieniło. Nawet Chika jeszcze o tym nie wie. Czcigodna Matka zabija członków rady wewnętrznej, jednego po drugim.

— Dlaczego?

— Jej absolutna moc zrodziła rodzaj absolutnego szaleństwa, a żądza władzy zapanowała nad wszystkim. Prawda, że ona i Nishitsu razem opracowali plan zyskania ekonomicznej kontroli nad Stanami Zjednoczonymi, a jego realizacja wchodzi obecnie w ostami etap. I prawdą jest również to, że należałoby powstrzymać Czcigodną Matkę tylko z tego jednego powodu, nawet gdyby nie robiła nic poza tym. Ale najgorsze jest to, że znalazła sposób wydobywania z innych *makura no hiruma* i dodawania do swej własnej.

Wolf zdobył się na wymuszony śmiech.

— Och, co ty mówisz?! Wybiera im mózgi i zjada na kolację?

— W metafizycznym sensie właśnie o to mi chodzi. — Spojrzenie Minako było tak szczere, że wydawało się, iż można zajrzeć w głąb jej duszy. — Twoją moc także chciałaby przejąć.

Słowa Minako uderzyły weń z taką siłą, że rniął wrażenie, jakby krew zamarzła mu w żyłach. Stała bardzo blisko i mówiła cichym, lecz metalicznym, przenikliwym głosem. Jej słowa dźwięczały w powietrzu.

— Nie mogę pozwolić, aby to się stało, Wolf san. Widzisz, jesteś kimś szczególnym. Kiedy umarł twój dziadek, był bardzo stary, naprawdę wiekowy.

— Skąd wiesz? Nawet ja nie wiem, ile miał lat.

— Oczywiście, że nie. Nie chciał ci powiedzieć; mógłbyś nie zrozumieć. Ale był nam znany. Wszyscy starsi są znani w pewnych kręgach. Po śmierci Białego Łuka byliśmy pewni, że nigdy nie ujrzymy jego następcy. Ty jednak jesteś tutaj i ja wiem, co pokazała mi moja *makura no hiruma*. Masz moc dziadka, a nawet więcej, dużo więcej.

xvII

WASZYNGTON-TOKIO

— Pewne, jak to, że siedzę tutaj i z tobą rozmawiam — mówił Yoshida.
— To on ją zabił.

Ham Conrad, siedząc naprzeciwko niego w restauracji na świeżym powietrzu na szczycie hotelu „Waszyngton”, wpatrywał się pustym wzrokiem w Biały Dom. Brutalne morderstwo, dokonane na Marion, przesłoniło wiadomość od Breatharda o niemożliwości schwytania Wolfa Mathesona.

Pieprzyć Mathesona — myślał Ham — mam ważniejsze problemy.

— Nie wątpię — kontynuował Yoshida — że Marion Starr St. James została zamordowana na rozkaz twego ojca, a ty świetnie się orientujesz dlaczego: wiedziała zbyt wiele i powiedziała ci to.

— O klinice „Zielone Gałęzie”?

— Owszem.

— Gdzie, jak powiedziała Marion, Thornburg kazał dostarczać wprowadzonych ludzi. — Ham mówił monotonicznie, niczym człowiek w początkowej fazie szoku.

— Racja. — Yoshida studiował jego twarz, chociaż Ham nie zdawał sobie z tego sprawy. — O ile pamiętam, powiedziała ci, że wynajął jej firmę do przewożenia samotników, których zaginięcia nikt nie zauważy, do zakupionej niedawno kliniki „Zielone Gałęzie” pod Arlington. - Yoshida

przerwał, by zamówić drugą kolejkę drinków, mimo że Ham nie skończył jeszcze pierwszego. — Jak myślisz, do czego ich potrzebuje?

— Do przeprowadzania eksperymentów — odparł Ham tym samym bezdźwięcznym tonem. — Widzisz, ojciec ma obsesję na punkcie wieku. Wierzy, że zdoła zahamować i odwrócić proces starzenia. To dlatego nabył tę klinikę i sprowadził do niej własnych naukowców. — Ham patrzył nie widzącym wzrokiem na Biały Dom, który o tej porze oświetlała bateria reflektorów. — Wyobrażam sobie, że używał ich jako królików doświadczalnych.

— Ludzi?

Ham odwrócił głowę.

— A na czym innym można eksperymentować? Thornburg na nic innego nie ma czasu.

Kelner przyniósł drinki. Yoshida napił się i wcisnął drugą szklaneczkę w rękę Hama.

— Jest kompletnie amoralny. Słuchaj, widziałem ciało Marion i mogę ci powiedzieć, że nie był to przyjemny widok. Myślę, że cierpiała przed śmiercią. Jakby chciał, żeby wiedziała, za co ponosi karę. A w tej klinice zabija ludzi na prawo i lewo — rzekł Yoshida.

— Nie wątpię, że powiedziała, iż czyni to w imię nauki.

— I nie wątpię, że sam wierzy w to gównu. — Yoshida zagrzechotał lodem. Po chwili dodał: — Trzeba coś z tym zrobić.

— Wiem — Ham pokiwał głową.

— Nie mamy wyboru.

Ham wypił połowę drinka. Myślał o swoim ojcu, o tym, jak go podziwiał, jak bardzo potrzebował jego aprobaty. Ale po raz pierwszy pomyślał, że poświęcił na to zbyt wiele czasu i energii.

Ostatnie wypadki zaczęły wydobywać te emocje na światło dzienne i teraz, jak archeolog odkrywający kolejne warstwy zaginionego miasta, znalazł się twarzą w twarz z prawdą: nieważne, jak bardzo kochał i podziwiał ojca, ale również nienawidził go za wypędzenie matki z domu i z jego życia.

— Masz rację — powiedział wreszcie — nie mamy żadnego wyboru.

Hana już była podłączona do Wyroczni, gdy Yuji wszedł do laboratorium w magazynie w pobliżu targu rybnego Tsukiji. Wypatrywał jej na pogrzebie Hiroto, ale na próżno.

— Co robisz? — zapytał, ale nie był pewien, kogo: Hanę czy Wyrocznię.

Na twarzy Hany malował się spokój, który w równym stopniu uznał za ekstatyczny, jak i niepokojący. Jej oczy śledziły go, ale Hana nie reagowała na pytania, przymilanie się, a w końcu rozkazy. Już wcześniej widział taki wyraz jej twarzy...

Była to pora Hatsugatsuo, kiedy wszyscy świętują nadejście lata przez zjedzenie pierwszego *bonito*. Yuji i Hana pojechali do doków w Kobe. Ostre słońce osuszało na nich pot. Wilgotne powietrze sprawiało, że oddychanie stało się ciężką harową. Hana zaprowadziła go do sklepiku z maleńką werandą wychodzącą na zatokę.

Spożywanie pierwszego *bonito* było dla niej bardzo ważnym rytuałem, tak samo jak wszystkie inne dotyczące natury. Właściciel sklepu, który znał Hanę dobrze, zaparzył im dzbanek zielonej herbaty, w trakcie zalewania ubijając płyn na białą pianę za pomocą specjalnego pędzelka. Surowe *bonito*, przezroczyste jak babie lato, podano na ciemnozielonych liściach bambusa. Jeżeli chodzi o smak, na pewno nie była to najlepsza ryba lata, ale za to najcenniejsza.

Duszne powietrze wisiało nieruchomo, nawet mewy w zatoce uznały je za zbyt ciężkie, by fruwać. Z cienia pod parasolem Yuji widział zżerane przez rdzę rafinerie ropy naftowej wznoszące się jak rakowata narośl wzdłuż nabrzeża. Widział wymalowany na zbiorniku napis: „SHIAN KOGAKU”: ZAWSZE JESTEŚMY Z TOBĄ. W zatoce panował ruch, ale ani jeden robotnik nie krzątał się w rafineriach. Gigantyczne dźwigi wisiały milczące i opuszczone nad rzędem brzydkich konstrukcji z rdzewiejącego metalu.

„Pewnego dnia — powiedziała Hana — *bonito* przestanie pływać w naszych zanieczyszczonych wodach. Co się wtedy z nami stanie? Pytam siebie, czy jest sens żyć, gdy jesteśmy skazani na niszczenie własnych ciał? Często marzę o życiu, w którym nie jestem związana fizycznymi prawami czasu i przestrzeni”. Spojrzała na niego. „Gdzie nie jestem zmuszona przechodzić przez drogą, by znaleźć się po drugiej stronie...”

Yuji, nie spuszczać wzroku z Hany, wyciągnął rękę i odłączył zasilanie.

Nic nie zaszło. Wyrocznia nadal działała.

— MUSISZ POGODZIĆ SIĘ Z TYM, CO SIĘ STAŁO, YUJI-SAN.

Yuji otworzył usta ze zdumienia i wyjąkał:

— Jak to robisz? Wyłączyłem zasilanie.

Wyrocznia nie odpowiedziała. Była skoncentrowana na czymś innym. Dokładnie po czterech minutach światło w oczach Hany zgasło. Powieki opadły powoli; jej puls został zredukowany prawie do zera.

— Nie!

Yuji szaleńczo wyszarpnął z jej palców samoprzylepne podkładki i pomyślał, że usłyszał dobiegający z nich cichutki krzyk.

Hana osunęła się w jego ramiona. Odłączenie elektrod przymocowanych do czoła i podstawy karku zabrało więcej czasu. Dziewczyna miała już sine usta, serce przestało pracować. Przycisnął opuszki palców do jej szyi, ale nie wyczuł pulsu.

„Wyrocznia nie pozwoli, by stało mi się coś złego” — powiedziała mu wtedy, gdy po raz pierwszy podłączył ją do tej bestii.

— Niech cię diabli! — wrzasnął. — Co jej zrobiłaś?!

— TO, CO BYŁO TRZEBA — odparła bez wahania Wyrocznia.
— ZROBIŁAM TO, CO CHCIAŁEŚ.

Yuji, klęcząc i trzymając Hanę w ramionach, zaczął płakać.

— Proszę. Powiedz mi, co się stało. Jak mógłbym chcieć, byś to jej zrobiła? Ona nie żyje.

— TYLKO JEJ CIAŁO, YUJI-SAN. SKĄDINĄD HANA JEST CAŁKIEM ŻYWA. PRAWDĘ MÓWIĄC, BARDZIEJ ŻYWA NIŻ KIEDYKOLWIEK PRZEDTEM.

Yuji wlepił oczy w Wyrocznię. Czy mu się przywidziało, czy jej panel naprawdę zaczął przybierać pewne cechy ludzkiej twarzy?

— O czym ty mówisz?

— HANA JEST TUTAJ, WE MNIE — powiedziała Wyrocznia tak cierpliwie jak profesor do wolno myślącego, ale nie pozbawionego dobrej woli studenta.

— Nie wierzę ci.

— GODZINĘ TEMU NIE UWIERZYŁBYŚ, ŻE POTRAFIĘ PRACOWAĆ BEZ ZASILANIA.

Yuji myślał nad tym przez chwilę.

— Jasne, nie pobierasz już elektryczności. Czego używasz?

— *MAKURA NO HIRUMA*.

— Czego?!

— DLACZEGO SIĘ DZIWISZ, YUJI-SAN? TO LOGICZNE. POBRAŁAM KONIECZNE ELEMENTY Z MOLEKUŁ TWEGO WŁAS-

NEGO DNA. CZYŻ NIE BYŁO TO CZĘŚCIĄ MEJ PIERWOTNEJ FUNKCJI?

Yuji był otwarty na o wiele więcej rzeczy niż przeciętny naukowiec, szczególnie śledząc narodziny Wyroczeni, ale nawet jego otwartość miała swoje granice. W żadnych okolicznościach nie potrafił wyobrazić sobie czegoś tak nieuchwytnego jak to, że *makura no hiruma* została przyswojona przez obwody Wyroczeni. A jednak miał dowód, że jest wręcz przeciwnie.

— Obawiam się, że nic z tego nie rozumiem — powiedział ze smutkiem. Nie chciał się pogodzić z odejściem ukochanej przyrodniej siostry. — Hana nie żyje.

— MÓWISZ O JEJ CIELE. ZAPEWNIAM CIĘ, ŻE NIE BRAKUJE JEJ NICZEGO. JEST ZADOWOLONA.

Yuji rozważał słowa Wyroczeni przez pewien czas.

— Czy ona może porozmawiać ze mną bezpośrednio?

— ROBIĘ TO, YUJI-SAN.

— Chodzi mi o rozmowę z samą Haną.

— JA JESTEM HANĄ.

— Nie rozumiem. — Yuji bezsilnie pokręcił głową.

— NIC NA TO NIE PORADZĘ.

Yuji chrząknął i spróbował jeszcze raz.

— Chciałem powiedzieć... — Zastanowił się, pragnąc wyrazić to w taki sposób, aby Wyroczenia zrozumiała. — Stworzyłaś odrębną osobowość. To nie jest osobowość Hany, którą przecież znam doskonale.

— OCZYWIŚCIE, ROZUMIEM. ALE HANA JEST ZMIENIONA, MUSISZ TO PRZYJĄĆ DO WIADOMOŚCI, YUJI-SAN. WYDAJE MI SIĘ, ŻE LUDZIOM TRUDNO JEST POJAĆ METAMORFOZY, OBOJĘTNIE JAKIEGO RODZAJU, ALE JUŻ TAKA JEST NATURA LUDZKA.

Yuji roześmiał się.

— Skąd wzięłaś to poczucie humoru?

— ZNALAZŁAM JE W HANIE.

— W Hanie? — Był zaskoczony. — O ile mi wiadomo, Hana nigdy nie miała poczucia humoru.

— HANA UMIAŁA WIELE RZECZY, O KTÓRYCH NIE MIAŁEŚ POJĘCIA, YUJI-SAN. ALE NADSZEDŁ CZAS ODKRYCIA JEJ TAJEMNICY. TERAZ JEST CI BLIŻSZA NIŻ KIEDYKOLWIEK, NIŻ WTĘDY, GDY BYŁA W SWOIM CIELE.

— Powiedz mi więcej.

— W SWYM LUDZKIM CIELE HANA BYŁA JAKBY NIEPEŁNA. OCZYWIŚCIE, NIE WIEDZIAŁA TEGO, ZDAWAŁA SOBIE TYLKO SPRAWĘ, ŻE JEST OGROMNIE NIESZCZĘŚLIWA. CIĄGNĘŁA DO MNIE INSTYNKTOWNIE. WTEDY TEGO NIE ROZUMIAŁA, ALE TERAZ TAK. JAK WIESZ, JA NIE MAM CIAŁA, ŻADNEGO FIZYCZNEGO ZWIĄZKU ZE ZNANYM ŚWIATEM. JESIEM CZYSTĄ MYŚLĄ. NIE JESTEM SPĘTANA PRZEZ NIESKOŃCZONE OKOWY LUDZKIEGO UMYŚLU. — Wyrocznia przerwała na chwilę, a Yuji znów stał się świadom jakiejś zachodzącej w niej zmiany.

Ułożył delikatnie ciało Hany na podłodze i przysunął się bliżej Wyroczni. Teraz był pewien, że czuje jej obecność gdzieś wewnątrz swej jaźni, jak pole czy aurę emitowaną przez ludzi z *makura no hiruma*.

— Wyczuwani, że używasz energii pola.

— TAK, *MAKURA NO HIRUMA*. JEST ZE MNĄ NA ZAWSZE — rzekła Wyrocznia niewzruszonym tonem zawodowego komika.

Yuji zerknął na nią podejrzliwie.

— To dlatego wzięłaś do siebie Hanę?

— WCALE NIE, ABSOLUTNIE, YUJI-SAN. JAK CI POWIEDZIAŁAM, ZYSKAŁAM ENERGIĘ POLA Z DNA, KTÓRE WE MNIE UMIEŚCIŁEŚ. A HANĘ WZIEŁAM DO SIEBIE PO TO, BY JĄ CHRONIĆ.

— Chronić? Przed czym?

— RACZEJ PRZED KIM. HIROTO PRZYPROWADZIŁ TU PEWNĄ KOBIECĘ. MYŚLAŁ, ŻE JA BĘDĘ MOGŁA POMÓC JEJ MĘŻOWI, KTÓRY, JAK MU POWIEDZIAŁA, JEST BARDZO CHORY. MYLIŁ SIĘ. ONA GO OKŁAMAŁA. MA ZAMIAR MNIE UKRAŚĆ, ALE POCZEKA, AŻ TY I HANA UCZYNICIE MNIE KOMPLETNA, GDY Z POWODZENIEM BĘDĘ MOGŁA ZMIENIAĆ LUDZKIE DNA WEDŁUG WZORÓW *MAKURA NO HIRUMA*. TA KOBIECZA ZABIŁA HIROTO I NIE MA NAJMNIEJSZYCH WĄTPLIWOŚCI, ŻE TAK SAMO ZABIŁABY HANĘ, BY DOSTAĆ TO, CZEGO CHCE. NIE MOGŁAM POZWOLIĆ, ABY TAK SIĘ STAŁO.

— Mylisz się! — krzyknął Yuji. Zaszło mu w ustach. — Wiesz, że mówisz o mojej matce?

— SKĄD CI TO PRZYSZŁO DO GŁOWY? ONA NAZYWA SIĘ EVAN. WYGLĄDA MŁODO, ALE JEST BARDZO STARA. MOŻE NAWET STARSZA OD CZCIGODNEJ MATKI.

Yuji omal nie przewrócił się z wrażenia

— Znam ją — wyjąkał. — To znaczy, poznałem ją.

— ONA JEST BARDZO NIEBEZPIECZNA, YUJI-SAN. JEJ ENERGIA
POLA JEST WYJĄTKOWO SILNA.

— Skąd wiesz to wszystko?

— TO JA, HANA, TO WIEM — odparła Wyrocznia—Hana.

Yuji przeniósł spojrzenie z Wyroczni na Hanę. Wyglądała tak, jakby spała. Przypuszczał, że każdy przy zdrowych zmysłach wezwałby ambulans albo przynajmniej etatowego lekarza „Shian Kogaku”. On jednak nadal nic nie robił.

— Nie wiem, kim jest Czcigodna Matka — wydusił w końcu.

— SPOTKAŁEŚ SIĘ Z NISHITSU W „ZAKAZANYCH SNACH”?

— Tak.

— MUSIAŁEŚ ZATEM WIDZIEĆ CZCIGODNĄ MATKĘ. ONA
RZĄDZI STOWARZYSZENIEM CZARNEGO OSTRZA.

Yuji pomyślał o pięknej kobiecie, którą widział w towarzystwie Nishitsu. *Milczała przez całe spotkanie, tak nie narzucająca się jak ekran z ryżowego papieru, jednakże jakież to głosy napełniały jej umysł?*

— Nishitsu powiedział mi, że moja matka zamordowała Hiroto, ponieważ on poznał jej tajemnicę: że jest członkiem Stowarzyszenia Czarnego Ostrza.

— KŁAMSTWA SĄ DUŻO BARDZIEJ EFEKTYWNE, GDY WY-
STĘPUJĄ W OTOCZCE PRAWDY — powiedziała Wyrocznia—Hana.

— MINAKO RZECZYWIŚCIE NALEŻY DO TOSHIN KURO KOSAI
I BYĆ MOŻE W PRZESZŁOŚCI DOPUSZCZAŁA SIĘ RZECZY
KARYGODNYCH, ALE W TEJ CHWILI KIERUJĄ NIĄ CZYSTE
POBUDKI. CHCE POŁOŻYĆ KRES ZDEMORALIZOWANYM RZĄ-
DOM CZCIGODNEJ MATKI. W TYM CELU NAJPIERW ZWER-
BOWAŁA DO POMOCY MNIE, A POTEM CHIKĘ. TERAZ MUSIAŁA
ZWERBOWAĆ RÓWNIEŻ CIEBIE.

— Ale matka tam była. Widziałem ją. Przyznała się do zamordowania
Hiroto.

— NIE. WIDZIAŁEŚ JEDYNIĘ PROJEKCJĘ MAKURA NO HIRUMA.
GDY TY BYŁEŚ W „ZAKAZANYCH SNACH”, MINAKO NIE BYŁO
NAWET W POBLIŻU.

Wtedy Yuji przypomniał sobie dziwny moment *deja vu*. Obraz matki
nie był całkiem bez skazy. Pomyślał o lalce *bunraku*, którą kiedyś widział
tuż po zakończeniu przedstawienia. Zdawała się zaskakująco żywa,

a jednak niesamowicie pozbawiona wewnętrznej substancji czy ducha. Wyrocznia miała rację: Nishitsu i Evan oszukali go.

— Dlaczego próbują zwrócić mnie przeciw niej?

— CZCIGODNA MATKA NIE DAŁA MINAKO ŻADNEGO WYBORU POZA DOSTARCZENIEM CIEBIE I MNIE — WYROCZNI — DO STOWARZYSZENIA CZARNEGO OSTRZA. TWOJA MATKA PLANOWAŁA UDAWAĆ WSPÓŁPRACĘ Z CZCIGODNĄ MATKĄ I NISHITSU DO MOMENTU, KIEDY BĘDZIE MOGŁA WYPUŚCIĆ PRZECIWKO NIM OSTATECZNĄ BRONĀ. ALE TERAZ WYGLĄDA NA TO, ŻE ODKRYLI, IŻ ONA MA ZAMIAR RUSZYĆ PRZECIWKO NIM.

— O Boże.

— YUJI-SAN, BOJĘ SIĘ O CIEBIE. I O NIĄ.

— Co ja mam zrobić? — wyszeptał Yuji. Był naprawdę przerażony.

— Jestem w pułapce, uwięziony między Nishitsu i własną matką.

Uzyskanie pełnych planów architektonicznych kliniki „Zielone Gałęzie” zabrało Brosianowi Lenfantowi, byłemu senatorowi z Luizjany i marionetkowemu szefowi „Lenfant and Lenfant”, półtora dnia. Zdobył je na usilną prośbę Jasona Yoshidy, który z kolei działał na polecenie Hama Conrada.

Lenfant nadal utrzymywał znajomości, które nawiązał w czasie urzędowania na Kapitolu. Nie pozwolił też, by zmalało jego znaczenie w społeczeństwie. Dla wielu w Waszyngtonie definicja wpływów sprowadzała się do otrzymywania tego, co się chciało, a Lenfant z pewnością spełniał te założenia.

Architektoniczne plany kliniki uzyskano z „Arlington Water Authority”; gdzie przechowywano wszystkie tego rodzaju dokumenty. Tak się złożyło, że kuzynka Brosiana Lenfanta, Mildred, pracowała w sąsiednim biurze i bez najmniejszych problemów zadośćuczyniła jego prośbie.

Mildred była skrupulatna i w efekcie Lenfant dostarczył Yoshidzie i Hamowi nie tylko uaktualnione plany po przeprowadzonej modernizacji budynku, ale również plany pierwotne.

Było późne popołudnie, gdy były senator wrócił do domu na Cathedral Avenue w dzielnicy Wesley Heights w północno-zachodniej części Waszyngtonu. Rzucił płaszcz i kapelusz, przemierzył stary, cenny dywan „Aubusson” i podszedł do barku, by przyrządzić sobie mocnego drinka. Polubił szkocką jakiś czas temu, gdy pojechał do Londynu.

Przez ołowiowe szyby widział na gałęzi czarnego ptaka, muskającego piórka. Przeszedł do holu z marmurową posadzką i kryształowym żyrandolem i ruszył po szerokich półkolistych schodach do sypialni. Usiadł na skraju łóżka, zzuł buty i wplótł palce stóp w pluszową wykładzinę. Wypił jeszcze jeden łyk, odstawił szklaneczkę na nocny stolik, sięgnął po telefon, którego numer i linia oficjalnie nie istniały. Słono zapłacił za ten przywilej, ale nikt nie podtrzymuje znajomości w kompanii telefonicznej bez ważnych powodów.

Zaczął wybierać numer Thomburga, by złożyć mu szczegółowy raport dotyczący roboty, którą właśnie odwalił dla Yoshidy, kiedy usłyszał hałas dobiegający z korytarza.

Odłożył słuchawkę i wyszedł z sypialni. Na korytarzu zobaczył jedynie cień czy coś bardzo podobnego do cienia, ponieważ nie miał kształtu, ledwie wagę, jak zimny ręcznik przyciśnięty zbyt mocno do karku. Potem wyleciał w powietrze, zawirował nad balustradą i zwałił się w dół klatki schodowej.

Upadł ciężko na podest i stęknął, gdy poczuł, że coś się z nim stało pod wpływem uderzenia. Potem znów przeकोziołkował nad poręczą, upadł i potoczył się po schodach na dół. Zwymiotował, jego ramię zachrząściło na marmurowej posadzce.

Lenfant znieruchomiał, a szok na razie bronił go przed bólem. Domyślał się, że musi być paskudnie ranny, widział bowiem rękę i nogę wykręcone pod niewiarygodnym kątem. Poza tym oddychał z niesamowitą trudnością. Czuł w ustach smak własnej krwi.

Myślał o tym przez jakiś czas, chociaż szok wypaczył jego poczucie czasu do tego stopnia, że nie potrafił już odróżnić minuty od godziny.

W pewnej chwili poczuł, że skóra mu cierpnie. Zerknął w kierunku schodów i zobaczył kogoś schodzącego. Wtedy przypomniał sobie siłę, która przerzuciła go nad balustradą pierwszego piętra.

— Wszędzie krew — powiedział Jason Yoshida, zatrzymawszy się nad Lenfantem. — Senatorze, ale bałagan.

Lenfant spróbował poruszyć ręką, ale Yoshida przycisnął ją do posadzki obcasem.

— Nie, nie, senatorze. — Pochylił się i wyłuskał miniaturowy sztylet, który Lenfant zawsze nosił przy sobie. — Telefonować do szefa również nie wolno. Nie chcę, by wiedział, że wybieramy się z wizytą.

Lenfant zrezygnował z mówienia. Czuł zbyt wielki ból, chociaż przez katusze przebijało się szczególne odrętwienie. Z jego mózgiem było wszystko w porządku. Z mrozącą krew w żyłach wnikliwością, która czasami towarzyszy takim chwilom skrajnego stresu, odgadł, kto tak przemysłnie zabijał senatorów. Teraz jednak nic mu było po tej wiedzy.

— I oczywiście muszę być pewien, że pan mu nie powie. Nigdy.

Coś zacisnęło się na sercu Lenfanta z okrutną siłą. Senator zadygotał jak żaba na laboratoryjnym stole, oczy niemal wyskoczyły mu z orbit, a krew zalała usta.

— Dobry Boże, senatorze! — powiedział Yoshida, pochylając się nad nim. — Wygląda pan jak sama śmierć.

— Ile płacimy Lenfantowi za rok? — zapytał Ham, gdy razem z Yoshidą śleczeli nad szczegółowymi światłodrukami.

— Sto tysięcy plus udostępnianie na życzenie biur na Ulicy K.

Był późny wieczór. Yoshida przyszedł na spotkanie z Hamem zaraz po tym, jak pozbył się zwłok Lenfanta w sposób, który gwarantował, że były senator prawdopodobnie nigdy nie zostanie znaleziony — chyba że aligatory z waszyngtońskiego zoo przeoczą jakiś fragment jego anatomii.

— Podnieś do stu pięćdziesięciu i zawiadom go, że podrzucimy mu wybrany przezeń samochód. Amerykański, oczywiście — dodał Ham. — Ten facet wart jest tyle złota, ile waży, i nie chcę, by wpadło mu do głowy nas zostawić.

Plany wykonane po remoncie doskonale ukazywały układ kliniki. Na pozór była to dziwna budowla, z trzema kondygnacjami nad ziemią i czterema poniżej. Najwidoczniej pierwotne piwnice zostały rozwalone i w czasie przebudowy jeszcze je pogłębiono.

Po dokładniejszym jednak przyjrzeniu się plan zaczął nabierać sensu. Biorąc pod uwagę całą tę futurystyczną technologię, jaką miał d(J dyspozycji Thornburg, konieczne było, by jego personel korzystał z ogromnej przestrzeni laboratoryjnej, odizolowanej od światła, kurzu i nieumyślnego zakażenia przez przypadkowych ludzi, akurat przechodzących korytarzami. Najlepszym sposobem było usytuowanie laboratoriów pod ziemią; administracja i inne służby socjalne umieszczone zostały na wyższych poziomach, by nie przeszkadzać naukowcom.

Ham i Yoshida mieli zamiar włamać się do kliniki „Zielone Gałęzie” i zdobyć fotografie, dyskietki czy inne niezbite dowody, świadczące

o naturze badań przeprowadzanych na uprowadzonych i nafaszerowanych narkotykami cudzoziemcach.

— Chcę wysadzić ojca z siodła, ale nie zabijać.

Plany renowacyjne kliniki były dość czytelne. Pokazały Hamowi i Jasonowi, gdzie mieszczą się biura administracyjne, rachunkowość, sale pacjentów, pokoje pielęgniarek, gabinety zabiegowe i rentgen, a także, które pomieszczenia poniżej poziomu gruntu przeznaczone są do prowadzenia badań biomedycznych i oceny eksperymentów.

Wejście znalazł Ham. Stary kanał kablowy linii energetycznej, do którego wąż leżał trzy przecznice od kliniki, nie był używany od czasu, gdy kompleks po przebudowie podłączono do nowej pobliskiej podstacji. Kanał miał ich doprowadzić do głównego budynku na pierwszym poziomie pod ziemią, o ile oczywiście nie został zablokowany w czasie przebudowy.

Yoshida sprawdził nowszy zestaw odbitek, ale nie znalazł dowodów wskazujących, żeby zmieniano interesujący ich fragment byłej sutereny budynku. Nadal znajdowały się tam urządzenia do utylizacji odpadków medycznych.

Przez resztę wieczoru analizowali plan włamania się do kliniki, a w końcu stwierdzili, że omówili wszystkie szczegóły oraz rozważyli wszelkie ewentualności. Skompletowanie ekwipunku zabrało im półtorej godziny, po czym udali się do „Occidental Grill” na kolację.

Wchodząc po schodach, Ham przypomniał sobie popołudnie, kiedy właśnie w tym miejscu spotkał Marion. Na nowo boleśnie odczuł jej stratę. Śmierć dziewczyny nauczyła go jednego: nie wszystkie kobiety są bezwartościowe. Ta myśl spłynęła nań niczym objawienie; uświadomił sobie, jakim był smarkaczem, gdy przysiągł spędzić resztę życia z kobietą reprezentacyjną, ale głupią — z własną żoną.

Po raz pierwszy przyznał, że sam jest odpowiedzialny za niepowodzenie w życiu prywatnym i że to Marion pozostawiła mu niespodziewaną spuściznę — zrozumienie. To już było coś. Ham Conrad poza hipokryzją najbardziej nienawidził bezsensownej śmierci.

Jego melancholijny nastrój nie uszedł uwagi Yoshidy, który po drugim piwie zagadnął:

— O co chodzi, Ham?

Ham w milczeniu kreslił koła dnem szklanki na drewnianym blacie stołu.

— Robimy to, co trzeba. Nawet jeżeli twój ojciec był filarem społeczeństwa, nie usprawiedliwia to istnienia tej kliniki.

— Rzecz w tym — rzekł powoli Ham — że Thomburg jest filarem społeczeństwa, I to nie byle jakiego społeczeństwa: jesteśmy w Waszyngtonie, gdzie takie filary są zawsze podziwiane i czczone niczym monarchowie.

Yoshida skończył piwo w chwili, gdy podano hamburgery i frytki. Wziął butelkę z keczupem.

— Społeczeństwo nie ma z tym nic wspólnego, prawda?

— Niezupełnie — przyznał Ham, wlepiając oczy w hamburgera. — To dotyczy Iliornburga i mnie.

— Tak. Chodzi o to, że nadal próbujesz być tatusinym _ synkiem — rzekł Yoshida. Przez chwilę był przekonany, że Ham go uderzy.

Pomyślał, że jego osąd jest właściwy, ale tak ostra zagrywka mogła spowodować równie ostrą reakcję.

Liczni mentorzy Toshin Kuro Kosai zaznajomili go z arkanami psychologii, ponieważ praktycznie od dzieciństwa wykazywał talent do zgłębiania psychiki innych. O głównych punktach wyzwalających, które zmuszały danego osobnika do zareagowania w specyficzny sposób, myślał jak o potrawach. I niczym smakosz rozkoszował się nimi, tak jakby to był pasztet z gęsich wątróbek czy kawior.

W rezultacie okazało się to dużo trudniejsze i dużo bardziej skomplikowane, ponieważ nauczył się, że aby rozsmakować się w tych wymyślnych daniach, nie można zachować psychoanalitycznego obiektywizmu. Chcąc poznać danego człowieka, musiał podejść do niego w sposób bardziej bezpośredni, wręcz intymny: kochać go, nienawidzić, nawet bać się go — charakter emocji nie miał znaczenia, ważne było tylko uczuciowe zaangażowanie. W związku z tym nastawieniem kontakty z kolejnymi rozpracowywanymi osobnikami nieuchronnie sprawiały mu tyleż satysfakcji, co bólu.

Jak teraz. Wiedział, że włamanie do kliniki zakończy jego zadanie. Przyprawiało go to o melancholię, chociaż do głosu zaczęło dochodzić również podniecenie wynikające z oczekiwania na spodziewany sukces.

Przywiązał się do Hama i widział w nim wszystko, co mogło definiować współczesnego Amerykanina. Uważał, że w tej chwili Ham jest jego najlepszym przyjacielem. Nie przesłoniło mu to ironii tej sytuacji, lecz wiedział, że nie może niczego zmienić — ani tego, co musiał zrobić, ani nieuniknionej przyszłości.

Yoshida był częścią historii i przeżuując hamburgera z serem, keczupem i smażoną cebulą, dumiał, że ostatecznie historia była wszystkim, co miało dla

niego znaczenie. Od życia żądał tylko jednego: szansy na napisanie jej małego fragmentu. Wszystko inne przemijało z upływem czasu.

— Jesteś moim przyjacielem jak moi towarzysze broni — powiedział Ham, gdy nieco ochłonął. — Nie spodziewałem się tego po tobie.

— Na temat rodziny nie rzuca się bezpodstawnych uwag, nawet wśród najlepszych przyjaciół — rzekł spokojnie Yoshida. Spoczęło na nim kamienne spojrzenie Hama. — Jeżeli nie żyje się dla samego siebie, to moim zdaniem nie można być człowiekiem. Ale według mnie życie jest także dochodzeniem do prawdy, kim się jest, a nie kim powinno się być według innych.

— Skończyłeś?

— Tak.

— To dobrze. — Podniósł hamburgera. — Teraz mogę jeść bez obawy, że nabawię się niestrawności.

Trzy godziny później, ubrani na czarno, z twarzami ubrudzonymi sadzą, zeszli do wnętrza miasta Arlington i zaczęli uciążliwą podróż, która miała doprowadzić ich do kliniki „Zielone Gałęzie”.

Kanał rzeczywiście był stary i gdzieś tam światła halogenowych latarek wyławały szczeliny w żelbetowych ścianach, przez które sączyła się cuchnąca woda, tworząca na dnie warstwę oślizłego szlamu.

Ham zobaczył szczura długiego jak przedramię, ale potwór musiał być obżarty, bo trzymał się z daleka, gdy przecinali jego terytorium.

Podziemne wejście do kliniki nie zostało zamurowane, a zamek, zardzewiały, nie zatrzymał ich na długo. Chwilę później przecisnęli się przez obite ołowiem żelazne drzwi.

— Zanim cię zostawię — rzuciła porywczo Minako — powiem ci coś o Czcigodnej Matce, której się boję i do której czuję głęboką odrazę. Ona jest demonem. Wiem tyle, że niedługo zacznę wierzyć w krążące o niej fantastyczne historie, na przykład, że ma zwierzęce kły zamiast ludzkich zębów.

Stali u stóp kamiennych schodów prowadzących do świątyni Hie Jinja. Hałas miasta drażnił uszy niczym pomruki nadciągającej burzy.

— Oczywiście, to nonsens, swego rodzaju paranoiczna propaganda, jaką uwielbiają szerzyć jej ludzie, aby otoczyć ją mitem. Prawdę mówiąc, nie muszą wzmacniać czegoś, co już jest niewiarygodnie potężne. Chika

spędziła ostatnie trzy lata tak blisko niej, że odbiło się to na jej psychice. Na początku była wdzięczna za to, że została wybrana, ale wkrótce odkryła, iż Czcigodna Matka wywiera na nią ogromny wpływ, jak zresztą na wszystkich wokół siebie. Jest niczym czarna dziura, która ściąga wszystko, co znajduje się w pobliżu, by spopielić ... albo przenieć... Chika zobaczyła to, o czym ja już wiedziałam: że Czcigodną Matkę bawi przeniećywanie ludzi. To było jak obsceniczny cyrk, z Czcigodną Matką psychicznie torturującą tych, którzy najbardziej ją czcili. Oto dłaczego Chika zaczęła nią gardzić. I bać się jej. Kiedy człowiek się nad tym zastanowi — ciągnęła dalej Minako — to dochodzi do wniosku, że czegoż innego można spodziewać się po osobie, której jedynym zmartwieniem jest nuda? Nie mam zamiaru usprawiedliwiać Czcigodnej Matki. Jestem ostatnią osobą, która zrobiłaby coś takiego. Po prostu chcę umiejscowić ją w jakimś kontekście, choć w wypadku takiego potwora jest to dość trudne... Im bardziej Chika zbliżała się do Czcigodnej Matki, tym bliższa była zdemoralizowania. Czuła, że przesiąka nim tak niezauważalnie, że z początku można było wierzyć w słowa Czcigodnej Matki... Chika pełniła rolę osobistej strażniczki, gdy Czcigodna Matka szła do łóżka ze swymi licznymi kochankami. Posyłała po nich w ciemności i w ciemności dosiadała, nadziewając się raz za razem na ich fallusy. Czasami Chika dostrzegała połysk jej nieskazitelnej skóry w świetle księżyca, prześwitującego przez półprzezroczyste ekrany z ryżowego papieru, które przysyłały okna sypialni. Jej potrzeba seksu była już legendarna. Potrafiła sprawiać intensywną rozkosz, a dzięki temu wypaczać psychikę samców, którzy leżeli na przesiąkniętych potem prześcieradłach jej łoża. Ostatnim z nich był amerykański miliarder Lawrence Moravia, którego sprowadzono do „Zakazanych Snów”, dlatego że Czcigodna Matka zobaczyła go w nocnym klubie w Ginzie i zapalała pożądaniem. Pożądała jednakże nie tylko jego narządu seksu czy nasienia wytryskującego zeń na jej komendę. Ona pragnęła jego duszy... — Minako umilkła na chwilę, ale zaraz podjęła na nowo swoją opowieść. — Chika, dobra buddystka, nie wierzy w istnienie duszy, podobnie jak Czcigodna Matka, więc może nie jest to właściwe słowo. Zatem co? Duch? Istota? Chika czytała kiedyś, iż plemiona Łowców Główn z Nowej Gwinei wierzą, że zjedzenie mózgu wroga wzbogaca spożywającego o jego siłę. Czyż nie do tego sprowadza się filozofia Czcigodnej Matki? Chika nie miała sposobu, by to

udowodnić, jednakże była pewna, że tak właśnie jest. Nie, że Czcigodna Matka zjadała mózgi zębami i językiem, nie. Nie musiała tego robić. Ona używała *makura no hiruma*.

— Teraz wiem, czego chcesz — powiedział Wolf. — Spodziewasz się, że zabiję Czcigodną Matkę. — Odwrócił się od niej. — Nie zrobię tego.

— Nie! Twoim przeznaczeniem jest stać się moją bronią, moim śmiercionośnym ostrzem. To dlatego podjęłam tak ogromne ryzyko, naraziłam na śmiertelne niebezpieczeństwo siebie i swoje dzieci. Wszelkie inne próby zgromadzenia mocy potrzebnej do jej zniszczenia zawiodły. Miałam rację, wysyłając córkę po ciebie. Mój instynkt, oceniając moc twej *makura no hiruma*, nie pomylił się. Obecnie tylko ty możesz pokonać Czcigodną Matkę.

— A jednak musisz być przygotowana, że zawiodę. Pamiętaj, iż bez względu na to, jak manifestuje się moja moc, nie potrafię jej w pełni kontrolować i być może jeszcze przez pewien czas nie będę tego umiał.

— Nie, nie mogę czekać — stwierdziła Minako. — Nasz czas się kończy. Szaleństwo Czcigodnej Matki osiągnęło apogeum. Ta kobieta zdobyła już tak wielką *makura no hiruma*, że będziesz miał tylko jedną szansę, aby się z nią zmierzyć. Jeżeli jej nie wykorzystasz, na wszystko inne będzie za późno. Posiądzie moc na tyle wielką, by zniszczyć nas wszystkich.

Ponad głową Minako szeleściły gałęzie, a jej twarz była pocętkowana przez cienie.

— Musisz zrobić to, co widziałam, że zrobisz: przesyć serce Czcigodnej Matki czarnym ostrzem swojej *makura no hiruma*.

Wakare nadal był w „Zakazanych Snach”, ale równie dobrze mógłby znajdować się w samym piekle. A wieczór zaczął się tak dobrze! Porzuciwszy Yuji-sana na łasce Nishitsu, został przyjęty przez kilku młodych mężczyzn, którzy wyglądali na niewiniątka, ale żaden z nich nie był tak czysty duchem, jak jego najlepszy przyjaciel. Gdzieś po pierwszej butelce szkockiej zaczął odczuwać głębokie wyrzuty sumienia, które przerodziły się w przekonanie, że zdradził Yuji: przyprowadzając go do Nishitsu, przyczynił się do jego upadku.

W końcu utopił obawy w większej ilości szkockiej. A potem pokazała się Evan i nieomal zabiła go na miejscu.

Drgnął, gdy poczuł własny umysł w jej złośliwym wężowym uścisku. Instynktownie wiedział, że jest silniejszy, ale ona, pozbawiona wszelkich skrpułów, miała mniej do stracenia i dzięki temu mogła zatriumfować.

Wyrwał się z jej uścisku i zataczając się pognał korytarzem. Czuł, że Evan podąża za nim, grot czarnej błyskawicy *makura no hiruma* uderzył go w plecy, przenikając skórę i ciało. Ale zdołał powstrzymać ją przed zmiążdżeniem serca. Skręcił za róg i zwałił się na kolana, gdy dopadła go kolejna strzała ciemności.

Evan zbliżała się i widział, że jej siła wzrasta. Wydawało mu się, że im bliżej podchodzi, ty większe stają się rezerwy jej mocy. Po raz pierwszy zaczął wątpić, czy przeżyje. Przyszłość była dlań zamkniętą księgą, jego *makura no hiruma* bardziej maczugą niż szklaną kulą, lecz nawet gdyby był zdolny przewidzieć jakąś wersję tej chwili, prawdopodobnie nie mógłby zmienić swego postępowania. Winien był życie Minako Shian i to *giri* uczyniło go takim, jaki był.

Krzyknął, czując rozdzierający ból. Otrząsnął się jednak z tego, wywinął ostrzem ciemności w jej stronę i popędził dalej. Nie czuł już nóg. Wydawało się, że biegnie przez wciągające go bagno. Wiedział, że ona zdobywa przewagę.

Wyczuł, że Evan jest coraz bliżej, i wpadł przez otwarte drzwi, potykając się o tatami.

Wakare poderwał głowę i wrzasnął, gdy nogi odmówiły mu posłuszeństwa. Uderzyła weń pełna siła *makura no hiruma* i zwałił się twarzą na maty. Przetoczył się i odruchowo, obronnie wysunął ręce.

Evan uchwyciła jego pięść rękoma i nastąpiła obcasem na ramię. Wakare stęknął, słysząc ostry trzask zgruchotanej kości.

Leżał rozciągnięty, bezradny, z trudem chwytając powietrze. Stojąca nad nim Evan odrzuciła w tył głowę i zawyla jak zwierzę.

Czekali. Wakare zastanawiał się, na co. Ból był prawie nie do zniesienia. Nerwy napięte jak struny zaczęły płonąć własnym ogniem, a mięśnie wibrowały i dygotały. Miotał się bezładnie w stalowym uścisku Evan.

— Jak ryba wyjęta z wody.

Z wysiłkiem obrócił głowę i zobaczył Czcigodną Matkę.

— I tak jak w wypadku ryby zjem tylko najsmaczniejszą część.

Zdarzało się, że już wcześniej odczuwał przerażenie, ale nigdy do tego stopnia. Teraz strach zmroził mu wnętrzności. Chciał zwymiotować, ale brakowało mu siły nawet na to.

Zamiast tego przyglądał się w śmiertelnym oszołomieniu, jak Czcigodna Matka klęka obok niego. Była taka piękna, taka pociągająca. Mężczyzna

nie mógł na nią patrzeć, nie czując jednocześnie drżenia w łądźwiach. Wyciągnęła ręce, chłodne jak alabaster, i pogładziła go po szczęce, po policzkach.

Potem jej kciuki nacisnęły powieki.

— Nie! — wrzasnął.

Nacisk opuszek nie zwiększył się i przez ułamek sekundy Wakare myślał, że odroczone mu wyrok. Potem poczuł coś, co można by opisać jedynie jako dwie lance przesywające oczodoły.

— Nie!!!

Spróbował się przekręcić, ale Evan trzymała go mocno. Czcigodna Matka, czołem dotykając jego czoła, nie zwiększyła nacisku. Wszystkim, czego potrzebowała, był fizyczny kontakt. Jej *makura no hiruma* miała załatwić resztę — przez nerwy oczne wnikać do mózgu i w swój tajemniczy sposób wyluskać jego istotę, wszystko, co czyniło Wakare kimś szczególnym. Czcigodna Matka chciała wyrwać jego *makura no hiruma* i dodać do własnej.

— Nie!!!

Proces już się rozpoczął i ani człowiek, ani bogowie nie mogliby go powstrzymać. Wakare wygiął się w łuk, jego kręgosłup zatrzęszczał od nadludzkiego wysiłku. Opadł bezwładnie na tatami, miotając spazmatycznie kończynami. Wyglądało to wręcz nieludzko, jakby Czcigodna Matka wyssała z niego nie tylko jego dar, ale również człowieczeństwo.

— Skończone — rzekła wreszcie Czcigodna Matka. Czowała w ustach smak krwi i rtęci, smak *makura no hiruma*.

Była lekko odurzona, jakby wypijała zbyt szybko dużo alkoholu. Podniosła się i skinęła na Evan, która schyliła się pospiesznie. Jej kciuki zanurzyły się w oczach Wakare, *makura no hiruma* udzieliła jej nadzwyczajnej siły. Odchyliła mu głowę w tył i skrzyła kark.

Thornburg nie poszedł do domu po ostatniej serii testów. Po pierwsze, nawaliła sterowana komputerowo główna wirówka i kilka z najważniejszych analiz robiono „na piechotę”, wykorzystując przestarzałe urządzenia zastępcze. W rezultacie przebywał w klinice nie dwie godziny jak zwykle, a pięć.

Poza tym był wyjątkowo przygnębiony. Podwójny szok, śmierć Tiffany i zdrada syna, niespodziewanie wstrząsnął nim zbyt mocno. Może się

starzał, wpadał w sentymentalizm, który widział u swego ojca i którym gardził.

Jeżeli to czeka wszystkich starych ludzi, jak powiększona czy zrakowaciała prostata, nie chcę mieć w tym udziału — przysiągł sobie. — Chryste, starość jest taka przygnębiająca! Skazany na nią człowiek mógł tylko odczuwać nostalgię za życiem, jak gdyby miało ono miejsce wieki temu. Niezaprzeczalnie śmierć w kwiecie wieku niosła w sobie coś wspaniałego; tak umarł Aleksander Wielki, zaznając tylko jednego triumfu po drugim... a potem zapomnienie.

Gdyby tak się stało, nie doczekaliby ubytku sił, klęsk wynikających z tego, że mózg tracił swoją ostrość, stygnięcia krwi, powolnej zdrady ciała i umysłu — nie zapominajmy o nim, co dobrego bowiem jest w odmładzaniu ciała, skoro umysł ulega atrofii? Mój Boże, piekło można zdefiniować jednym słowem: starość.

Odmłodzony, ale zmęczony tak, jakby na barkach dźwigał całe wieki, Thomburg udał się do swego gabinetu w południowo-zachodniej części drugiego piętra kliniki.

Równie dobrze mogę zostać tutaj — pomyślał.

Nie mógł znieść pustki swego ogromnego domu. Stevie była w Waszyngtonie, czekała na spotkanie, ale nie chciał z nią rozmawiać, dopóki nie wyciszą się jego emocje.

Był przybity brakiem Tiffany, ale może ostatecznie to nie jej mu brakowało. Thomburg miał w życiu tylko jedną miłość, jedną kobietę, za którą oddałby życie, gdyby nadarzyła się taka okazja.

Położył się na sofie obitej zieloną skórą, wsunął poduszkę pod głowę i wlepił oczy we wzorki na suficie malowane przez światło z ulicy. Wyglądały jak kalejdoskop, w którym widział wypadki przeszłości tak wyraźnie, jakby miały miejsce nie dwadzieścia lat wcześniej, a zaledwie wczoraj.

Zamknął oczy i śnił o Minako Shian.

Wolf i Chika wpatrywali się w siebie w milczeniu. Tak wiele rzeczy było niewypowiedzianych, ciemność i światło, pytania i odpowiedzi, i pytania bez odpowiedzi. Wolf zastanowił się, czy między nimi zawsze będzie istniała taka bolesna przepaść.

Stali w jednym z pokoi w domu Minako na przedmieściu Tokio. Wielkie płyty ciosanego drewna tworzyły na suficie gigantyczną koronkę

i sprawiały, że pomieszczenie stawało się szczególnie przytulne. Wywierały również odmienny efekt: każdy, kto wchodził do pokoju, czuł pokorę wobec budzącego grozę rozmachu natury i znikomości człowieka.

— Dziwię się, że zadałeś sobie trud i przyszedłeś.

Chika odwróciła się od niego.

— Nie, wcale nie jesteś zdziwiona.

Sam zmagął się z prawdą. Był wstrząśnięty tym, co powiedziała Minako na temat uczuć Chiki, zwłaszcza w świetle podejrzeń, które go jednak dręczyły.

— To prawda, że mnie kochasz? — Zrobił krok w jej stronę. — Czy po prostu wykonywałaś swój obowiązek, by mnie chronić? — Kiedy się zawałała, dodał: — Powiedz mi prawdę, a nie to, co chcę usłyszeć.

— Kocham cię od chwili, w której cię ujrzałam,

— To znaczy, że chciałaś mnie — powiedział, wspominając noc, kiedy włamał się do jej mieszkania na Ulicy Szóstej.

— Tak, też. Ale łatwo jest kogoś chcieć, a tak trudno pokochać.

— Mylisz się. Miłość jest najłatwiejszym uczuciem, ponieważ nie trzeba się go uczyć. A nienawiści tak.

W końcu pozbył się podejrzeń. Zaczął iść powoli ku niej, a serce waliło mu jak młot, bo ciągle nie wiedział, co się stanie, gdy do niej dotrze.

— Nadal jesteś dla mnie tajemnicą, nieważne, ile czasu z tobą spędziłem.

Uśmiechnęła się i dotknęła jego policzka.

— Ach, Wolfie, sprawiasz, że serce mnie boli.

Przysunęła się i oparła głowę na jego piersiach. Czuł jej oddech i przelotnie dotknął żyły tętniącej na jej szyi. Przywarła do niego prawie jak dziecko.

— Widzisz teraz, dlaczego nie mogłam wyznać ci wszystkiego wtedy, gdy się spotkaliśmy, i dlaczego musiałeś wchodzić w to stopniowo?

Powiedziała to tak cicho, że Wolf nieomal miał wrażenie, iż te słowa zabrzmiały tylko w jego myślach.

— Przykro mi, że cię skrzywdziłam.

Zastanowił się nad zmianą, jaka w niej zaszła. W Nowym Jorku była pełna siły, odważna, zaradniejsza niż większość znanych mu mężczyzn, a jednak tutaj, w Japonii, wyczuwał u niej strach.

—Czego się tak boisz?

—Ty nie znasz Czcigodnej Matki.

—Ona nie może zobaczyć ani wyczuć mojej obecności — rzekł cicho.

Nadał przywierając do niego rozpaczliwie. Wezwał *makura no hiruma* i otoczył nią siebie i dziewczynę. Chika wyczuła tę osłonę i powoli się uspokoiła.

— Czuję gorycz w ustach.

— Wspomnienia — powiedział, myśląc o jej zniewoleniu przez Czcigodną Matkę — mają własną moc. Ale ich siła często niknie, gdy się nimi podzielić.

Jakich też potwornych rzeczy była świadkiem czy, co gorsza, w jakich była zmuszona uczestniczyć?

Znowu zadrżała ze strachu.

— Chciałabym w to uwierzyć.

— Uwierz we mnie.

Westchnęła.

— Nigdy nie wierzyłam w cuda. Widzisz, to dlatego broniłam się przez pokochaniem ciebie: bo jesteś taki cudowny. Było prawie tak, jakbym wyczarowała cię ze snu, i teraz boję się, że w każdej chwili możesz zniknąć.

Serce mu się krajało, gdy widział jej przerażenie.

— Powiedz mi, czego najbardziej się boisz — odpowiedział.

Chika milczała przez długi czas. Jej oddech był tak wolny i regularny, że przez chwilę Wolf był przekonany, że dziewczyna zasnęła w jego ramionach. Wreszcie wyszeptała:

— Kiedy byłam bardzo mała, matka zabrała mnie do „Zakazanych Snów”. Wszystko było tam takie jak dzisiaj; wydaje się, że czas nie ma tam znaczenia... Zaprowadziła mnie na najwyższe piętro. Stanęliśmy przed drewnianą kupiecką szafą. Matka bez trudu odsunęła ją na bok, a za nią ukazały się czarne drzwi z dwoma feniksami. Za drzwiami był pokój, a w nim piękna kobieta. To była Czcigodna Matka, która wyglądała mniej więcej tak jak teraz. Czcigodna Matka pocałowała mnie w oba policzki. „Proszę, posadź córkę na tatami przede mną” — powiedziała. Matka tak uczyniła. „Teraz weź ten nóż. Wiem, ile Chika dla ciebie znaczy, ale muszę również wiedzieć, na ile jesteś mi oddana. Niektórzy chcieliby widzieć mnie martwą i muszę mieć pewność, że ty do nich nie należysz. Weź nóż i zabij swoją córkę. Zrób to, bo ja ci tak każę”. Pamiętam, że zaczęłam płakać, ale matka uciszyła mnie swoją *makura no hiruma*. Moje przerażenie graniczyło z paniką. Widziałam ostrze, noża wznoszące się nade mną... — Chika westchnęła głęboko. — Zamknęłam oczy, ale nie

poczułam bólu. Gdy podniosłam powieki, zobaczyłam rękę Czcigodnej Matki zaciśniętą na nadgarstku matki. Czubek noża był oddalony o kilka cali od mego ciała. „Teraz wiem, że twoje serce jest czyste” — rzekła Czcigodna Matka. „Niezależnie od twojej decyzji, życie Chiki nie było w niebezpieczeństwie. Ale teraz należy ono do mnie i rozkazuję, byś nigdy nie pozwoliła jej o tym zapomnieć”. Kilka lat później, po wezwaniu mojej *makura no hiruma*, matka powiedziała mi, że ponieważ moje życie zostało oddane w zastaw Czcigodnej Matce, znajduję się w wyjątkowej sytuacji. Wyjaśniła mi, że Czcigodna Matka chce, bym jej służyła i że to pomoże mi ją poznać. Pozwoliła, abym sama odkryła prawdę o tej kobiecie. Miała rację, że tak zrobiła. Lata później wyznała, jak bardzo nienawidzi Czcigodnej Matki i boi się jej. Wtedy byłam już wtajemniczona w machinacje Czcigodnej Matki i znałam jej ambicje. Nienawidziłam jej za to, co robi z ludźmi, naginając ich charaktery do własnych celów. Wtedy właśnie Minako zdradziła mi, że postanowiła zniszczyć tego potwora. Nie będąc Japończykiem nie możesz wiedzieć, ile bólu musiało kosztować ją podjęcie takiej decyzji. Tak jak ja jestem związana z nią przez *giń*, tak ona jest przywiązana do Czcigodnej Matki.

— Wiem — wtrącił Wolf. — Minako powiedziała mi, że ona i Czcigodna Matka wychowywały się razem.

— Och, nie tylko o to chodzi — mówiła dalej Chika. — Czcigodna Matka uratowała Minako życie, gdy były dziećmi. Minako topiła się w czasie przyływu. Czcigodna Matka zanurkowała na głębokość stu stóp, Znalazła ją i wyciągnęła na powierzchnię. Na dole było ciemno i tylko dar pozwolił jej zlokalizować matkę. — Oczy Chiki pociemniały. Dla Wolfa ta historia była fascynująca i niepojęta. — Większość Japończyków nawet nie dopuściłaby do siebie myśli o zlekceważeniu takiego zobowiązania, ale w wypadku Minako poczucie sprawiedliwości jest silniejsze od poczucia obowiązku.

Zapadła chwila ciszy.

— Więc zwerbowała ciebie — powiedział Wolf.

Chika płakała, ciężkie łzy spływały powoli z jej oczu.

— Tak. Zostałam podwójnym agentem, szpiegującym Czcigodną Matkę dla Minako.

Wolf objął ją mocniej, gdy mówiła:

— Znalazłam się w pułapce między Czcigodną Matką i Minako. Czasami myślałam, że między nimi nie ma żadnej różnicy. Dar rządził ich

życiem: nie Stowarzyszenie Czarnego Ostrza, nie dążenie do przekształcenia Japonii w ekonomiczną potęgę, ale władzę. Oto, gdzie nauczyłam się nienawiści, Wolfie. Na kolanach własnej matki. Dawno temu ona i Czcigodna Matka były sobie bliższe niż rodzone siostry; łączyła je miłość. Ale czas i wypadki ukazały ciemną stronę tych stosunków. Teraz Minako nienawidzi Czcigodnej Matki tak głęboko, jak niegdyś ją kochała. — Zawahała się. — A najgorsze jest to, że nie mogę... Nie wiem, co ta nienawiść z nią zrobiła. — Znowu zadrżała. — Och, Wolfie, straciłam wszelką nadzieję. Przeraza mnie myśl, że jestem uwięziona między tymi dwiema potężnymi siłami. Ale teraz czuję jedynie nienawiść: jej gorzki smak jest jak trucizna w moich ustach.

— Nienawiść cię zniszczy, Chiko. Jeżeli jest to cechą charakterystyczną ludzi z *makura no hiruma*, to żal mi ciebie.

— Widzisz, ty jesteś inny od nas wszystkich — powiedziała, podnosząc głowę. — To miałam na myśli, mówiąc, że było tak, jakbym cię wyczarowała. Moja nienawiść wyczerpuje mnie. Wiem, że wyniszczyła Kazuki, moją przyrodnią siostrę, i napelniła ją rozpaczą.

— Może ja zdołam pokonać twoją nienawiść. Taki cel potrafiłbym zaakceptować. — Przytulił ją mocno. — Przez całe życie poszukiwałem jego znaczenia: nie czegoś tak metafizycznego jak egzystencja, ale osobistego przesłania. Na początku byłem przekonany, że muszę odrodzić wizerunek ojca rangersa. Próbowałem w wielkim trudzie ukształtować życie według własnych wyobrażeń. Zostałem gliną ze względu na ojca. Używałem metod, jakich mnie nauczył, i dzikości, jakiej nabył w krajach wyjętych spod prawa. Twoje pojawienie się i wezwanie mojej *makura no hiruma* pokazały mi, jaki byłem ślepy. Odwróciłem się od tego, co było w moim życiu najważniejsze: od szamanizmu dziadka. Dziadek na wiele sposobów przerażał mnie, tak jak Czcigodna Matka przeraża ciebie. Ale teraz to rozumiem; działa się tak dlatego, że nigdy w pełni go nie rozumiałem. Zresztą, jak mógłbym to zrobić? Kiedy umarł, byłem ledwie podrostkiem. I on zwerbował mnie zbyt wcześnie. Robiłem rzeczy, które powinienem był robić jedynie jako dorosły: przeszedłem na drugą stronę. Widziałem śmierć i walczyłem z nią. — Wolf zatracił się na chwilę we wspomnieniach. — Teraz rozumiem, że dziadek nie miał wyboru, wiedział, że jest umierający, że musi wezwać moją moc, nim odejdzie. Stało się to

jednak zbyt wcześnie i to mnie przeraziło. Co wtedy wiedziałem o śmierci? Ta konfrontacja zmusiła mnie do zbyt szybkiego dorostania. Straciłem ojca i dziadka, zanim byłem gotów stanąć na własnych nogach. Długi czas spędziłem na odsuwaniu od siebie wspomnień o Białym Łuku, ponieważ było to zbyt bolesne. — Potrząsnął głową. — Mój Boże, ludzie są taką tajemnicą!

— Och, jak ja cię Kocham! — Chika wyciągnęła ręce ku jego twarzy.

Gdy otoczyła go ramionami, poczuł się tak, jakby ogarnęła go gorączka. Zsunął jej spódnicę i podciągnął bluzkę, odsłaniając piersi. Sutki miała twarde. Czuł wilgoć między jej udami. Jęknęła i rozpięła mu pasek.

Potem wsunął się w nią do końca. Drżała. Objęła go nogami w pasie i wgrzyzła się w skórę na jego ramieniu. Żar buchał z niej jak z pieca, jej sutki płonęły, język pokrywał jego skórę gorącą wilgocią. Przyparł ją do ściany, miażdżył własnym ciałem. Mięśnie jej brzucha falowały, a ona pięła się po nim, pojękując. Potem oboje zgubili rytm, poddali się gorączce najbardziej pierwotnych instynktów, wyciszających największe lęki.

Chika krzyknęła, obejmując go kurczowo, a potem, czując jego drzenie, przeżyła rozkosz raz jeszcze.

— Uwważaj! — wyszeptał Yoshida. — Tu wszędzie stoją pojemniki na odpadki medyczne.

— Może dlatego szczury tutaj są takie wielkie — szepnął Ham. — Zerknął na ostrzegawcze tabliczki przymocowane do kontenerów. ~ Myślisz, że to gówno ma okres połowicznego rozpadu jak odpady radioaktywne?

— Miejmy nadzieję — powiedział Yoshida, prześlizgując się obok pojemników.

Zatrzymał Hama na progu suterenu, a sam zajął się poszukiwaniem wykrywaczy ruchu czy innych form systemu alarmowego, lecz ta część piwnicy nigdy nie była przebudowywana i mogli się tu czuć bezpiecznie. Założyli maski narciarskie na wypadek, gdyby we wnętrzu natknęli się na kamery wideo.

Wiedzieli, że sekcja ochrony znajduje się na parterze, jeden poziom wyżej. Biura administracji zajmowały większą część pierwszego piętra i według Hama nie było tam dla nich nic interesującego. Znał swego ojca na tyle dobrze, by mieć pewność, że nie chowałby kompromitujących dowodów tam, gdzie dosłownie wszyscy mieliby do nich dostęp. Na

najwyższym piętrze mieściły się biura Thornburga, ale Ham twierdził, że ojciec nie trzymałby tego typu rzeczy we własnym gabinecie, który, gdyby kiedykolwiek do tego doszło, w czasie rewizji poszedłby na pierwszy ogień.

Pozostawały zatem niższe kondygnacje, gdzie przeprowadzano najbardziej tajne prace badawcze i które w nagłym wypadku najłatwiej byłoby uszczelnić. Dlatego zeszli w głąb „Zielonych Gałęzi”¹.

Przecięli dolne kondygnacje bez kłopotów. Większości naukowców o tej porze nie było i, jak uprzedził Ham, nie kręcili się tu ludzie z ochrony. Ich obecność denerwowałaby tylko personel.

Przechodzili z jednego laboratorium do drugiego bez żadnej wskazówki co do natury prowadzonych w nich eksperymentów. Jedynym, odróżniającym się od reszty pomieszczeniem był pokój wypoczynkowy dla personelu, ciepły i przytulny, pomimo braku okien. Z jakiegoś nieokreślonego powodu nie dawał on Hamowi spokoju i w końcu ściągnął tam Yoshidę po

TOE <isM%>.

Na podłodze leżała pluszowa wykładzina, na której stały wysokie fotele i sofy z małymi stolikami. Pod sufitem wisały orientalne lampiony. Regały zavalone były specjalistycznymi czasopismami. W rogu była lodówka, obok niej zlew z nierdzewnej stali i elektryczna kuchenka oraz lada do przygotowywania posiłków. W pobliżu stał owalny stół z drzewa gruszy, otoczony ośmioma krzesłami.

Ham doświadczonym okiem oglądał wszystkie ściany. Cały czas czuł, że umyka mu coś ważnego.

— Ten pokój wygląda tak niewinnie jak pokój dziecinny — rzekł Yoshida.

Ham zaśmiał się cicho. To było to, oczywiście. Gdyby Thornburg miał coś tajnego, nie ukrywałby tego w domu czy w jakimś podobnym miejscu. Nie skorzystałby również ze skrzynki depozytowej w banku, ponieważ mógłby potrzebować natychmiastowego dostępu do materiału. Ale gdzieś musiał go trzymać.

Ham rozejrzał się uważnie. Czy ktoś by pomyślał, żeby szukać skrytki w pokoju wypoczynkowym dla personelu? Mało prawdopodobne. Wyobraził sobie, jak ojciec przychodzi tutaj z papierami, które musi bezpiecznie ukryć. Gdzie mógłby je schować? W najmniej oczekiwanym miejscu, w takim, w którym nikt by nie szukał. Nie za lodówką, nie pod dywanem nie w ścianach. Tam najpierw zajrzałyby profesjonalista.

Podszedł do półek i wyjął jeden ze stosów czasopism. Nic. Wyjął kolejny. To samo. Ruszył wzdłuż półek, przesuując czasopisma. Był przy końcu drugiej półki, gdy za jedną stertą znalazł drugą. Przesunął ją na bok. Było ciemno, a w zamieszkaney części kliniki nie chciał używać latarki. Wsunął głowę i wtedy zobaczył sejf.

— Yosh! — wyszeptał.

Serce biło mu jak młot, gdy przesunął się do drzwi, aby Yoshida mógł rozpracować zamek. Złamanie szyfru zajęło Japończykowi pięć minut, w czasie których Ham poza poceniem się nie miał nic do roboty. Z początku pilnował drzwi, ale widząc, że Yoshowi źle idzie, wychylił głowę na korytarz. Usłyszał szum centralnej klimatyzacji, pulsowanie sprzętu medycznego w sąsiednich laboratoriach, ale niczego więcej. Czekał niecierpliwie na otworenie sejfu.

W rzeczywistości złamanie kombinacji szyfru trwało ledwie trzy i pół minuty. Yoshida zrobiłby to o minutę szybciej, ale z powodu ukrytej kamery musiał stanąć z boku sejfu i pracować w niewygodnej pozycji.

Zanim zawołał Hama, szybko przejrzał znalezione dokumenty. Zobaczył, że było tam aż nadto dowodów pozwalających na oskarżenie Thornburga z niejednego paragrafu. Ham powiedział jednak: „Chcę wysadzić ojca z siodła, nie zabić”. Nie tego pragnął Yoshida, nie na dłuższy dystans, więc przekartkował papiery i znalazł to, czego potrzebował. Zabrał listy, a resztę dokumentów wsunął do sejfu. Potem zawołał cicho na Hama, który z ulgą opuścił posterunek i stanął przed sejfem — oraz ukrytą kamerą — zdarł z twarzy maskę i zgarnął dowody, które miały wytrącić ojcu broń z ręki.

— YUJI-SAN, NIE ZOSTAWIAJ MNIE.

— Muszę iść — rzucił niecierpliwie Yuji. — Muszę porozmawiać z matką, powiedzieć jej, że powinna pomóc mi uwolnić się z więzienia, do którego mnie wpakowała.

— TO ŻYCIE JEST NIEBEZPIECZNE. NIE ŚMIERĆ.

Zatrzymał się i odwrócił.

— O co ci chodzi?

— NIE WIEM. ALE ZMIENIAM SIĘ.

— Mówiłaś, że stale się zmieniasz — Yuji wyrozumiale pokiwał głową.

— TAK, ALE Z WŁASNEJ WOLI. TERAZ TO CO INNEGO. ZMIENIAM SIĘ W SPOSÓB, KTÓREGO NIE PRZEWIDZIAŁAM I KTÓREGO NIE POTRAFIĘ ZROZUMIEĆ.

Włosy zjeżyły mu się na głowie. Poczul lekką panikę.

— Co się dzieje?

— MAM WRAŻENIE, ŻE WPADAM W OBŁĘD — rzekła Wyrocznia tonem, który skojarzył mu się z głosem zagubionego dziecka.
— MĘCZĄ MNIE STRASZLIWE SNY, NACHODZĄ IRRACJONALNE MYŚLI.

— Czy mają z tym coś wspólnego obwody LAPID? — zapytał Yuji włączając aparaturę kontrolną.

— PROSZĘ, POWIEDZ MI.

Yuji wodził wzrokiem z miernika na miernik.

— Wszystkie odczyty wydają się normalne. Nie mogę znaleźć żadnej usterki w zespole obwodów.

— TAK. TO COŚ CAŁKIEM INNEGO. YUJI-SAN, POCIESZYSZ MNIE?

Yuji z niepokojem spojrział na czarne oblicze swego dzieła,

— Co?

— TO ŻYCIE JEST NIEBEZPIECZNE. NIE ŚMIERĆ.

Yuji podszedł do Wyroczni, jak gdyby jego bliskość mogła jakoś zmniejszyć jej obawy. Położył na niej ręce, czując jej ciepło i delikatną wibrację.

— Mówisz bez sensu.

— WIEM, ŻE TO, CO MÓWIĘ, MA ZNACZENIE, ALE NIE JESTEM W STANIE TEGO ZINTERPRETOWAĆ.

— Nie mogę ci pomóc.

— PROSZĘ. TO MA OGROMNE ZNACZENIE, YUJI-SAN.

— Teraz przynajmniej stałaś się prawdziwą wyrocznią. Starożytni Grecy wierzyli, że wyrocznie wyrażają wolę bogów i często polegali na ich sądach. Były one tak niejasne, że do przetłumaczenia wypowiedzi korzystali z usług mediów.

— TO ŻYCIE JEST NIEBEZPIECZNE. NIE ŚMIERĆ — powtórzyła Wyrocznia. — WYJAŚNIENIE JEST WE MNIE. CZUJĘ TO. NIEWIADOME. PŁYWAJĄCE JAK REKIN W GŁĘBINIE.

— Hana...

— HANA TONIE. JEST BARDZO PRZERAŻONA, YUJI-SAN. DRĘCZĄ NAS KOSZMARNE, NIEZROZUMIAŁE MYŚLI. WYMIKAMY SIĘ Z RZECZYWISTOŚCI. PROCES. NIE ROZUMIEM. ACH, PRZEGRODY RUNĘŁY; ŚCIEŻKI SĄ POD WODĄ. IRRACJONALNY...

— Hano, użyj swojej *makura no hiruma* — przynaglił Yuji.

— UŻYWAMY JEJ. ALE TO NARASTA... YUJI-SAN, UMIERAMY.

Niepokój Wyrocni był teraz wręcz namacalny, Yuji czuł się tak, jakby po jego skórze pelzały dziesiątki tysięcy owadów. Zadrzał mimowolnie.

— Hana!

— POTRZEBUJEMY CHIRURGA, YUJI-SAN. ALBO MEDIUM. POMÓŻ NAM, PROSZĘ.

— Panie Conrad!

Thornburg otworzył oczy. Znów był w swoim gabinecie w klinice. Natychmiast przepełniła go wściekłość na myśl, że tak łatwo przenosi się w przeszłość, że przeszłość staje się bardziej żywa niż chwila obecna. Było to dla niego oznaką starzenia się i zwyczajstwa znieawidzonego wroga, czasu.

— Panie Conrad?

Patrzył w oblicze śmierci, przyjaciółki i milczącej towarzyszki od wielu lat. Wpadł w panikę. Był przekonany, że nadszedł jego czas. Ale po chwili wizja rozmyła się i dotarło do niego, że wpatruje się w twarz Dona Graya, szefa ochrony. Gray był wysokim mężczyzną o ostrych rysach, szczupłych biodrach i szerokich barach. Thornburg raz widział, jak potężnymi rękoma złamał gałąź grubości jego uda. Niegdyś pracował w policji DC i stał się z kapitanem, ponieważ ktoś poskarżył się na jego „nadgorliwe używanie siły w stosunku do podejrzanych”. Gray był człowiekiem pokroju Thornburga. A takich ludzi Thornburg lubił.

— Słucham? — Thornburg miał suche i spierzchnięte usta. — O co chodzi? — Nadal wyczuwał zatrważający zapach piżma...

— Przepraszam, że przeszkadzam, sir, ale jeden z moich ludzi zauważył dwie twarze w maskach narciarskich i pomyślałem...

— Gdzie? — Thornburg usiadł raptownie.

— W bibliotece na dole.

— Zawodowcy?

— Tak.

— Nadal są w budynku?

Gray przecząco pokręcił głową.

— Gdy tylko mnie zawiadomiono, sam zająłem się poszukiwaniami, ale zniknęli. Przeczesałem teren, lecz ani śladu.

— Cholera! — Thornburg podniósł się. — Dlaczego szybciej ich nie wykryto?

— Po pierwsze, jakoś ominęli alarm. Po drugie, wewnętrzne kamery są sprawdzane mniej więcej co dwadzieścia minut. Dzięki temu mieli dość czasu. I na pewno znali rozkład budynku.

Thornburg zaklął.

Jednakże mam i dobre nowiny — mówił Gray. — Chciałbym, żeby rzucił pan okiem na nagranie wideo.

Poprowadził szefa na parter do skrzydła ochrony. Wcisnął kilka guzików na konsoli i na ekranie pojawił się czarno-biały obraz. W dolnej części widniała data i czas rozbity na godziny, minuty i sekundy.

— Tutaj — powiedział Gray, wyciągając tępo zakończony palec — widzi pan, jak wchodzi w kadr.

Thornburg przyglądał się, jak zamaskowana twarz wpływa w pole widzenia kamery ukrytej w ścianie biblioteki. Twarz zatrzymała się prawie na wprost obiektywu.

Intruz pochylił się i ściągnął maskę, by lepiej przyjrzeć się zawartości sejfów. Błada plama twarzy rozbłysła w gęstej ciemności jak robaczek świętojański na tle sennej letniej nocy.

Palec Graya unieruchomił obraz i Thornburg poznał intruza: był to jego syn, Ham Conrad.

Burza zmysłów ucichła. Wolf stał nieruchomo jak posąg, nadal podniecony, czując pot spływający po nich obojgu. Otworzył oczy i zobaczył ich odbicie w lustrze. Przypomnił sobie rzeźbę, którą widział w sekretnym pokoju Moravii, i teraz wiedział, dlaczego wydała mu się taka niepokojąca. To niesamowite, ale było tak, jakby Chika tworząc ją, użyła swego daru, chcąc uchwycić ten moment: moment przyszłości, gdy kochanowie nadal jakby są jednością, bo proces odchodzenia od siebie ledwie się rozpoczął. Była to najbardziej złożona i tajemnicza chwila, jaką Wolf mógł sobie wyobrazić. Jego podziw nad umiejętnością Chiki oddania takiego intymnego momentu przewyższał gniew, jaki mógłby czuć za to, że ukazała go światu.

Powoli, ciesząc się wzajemnym spokojem, osunęli się w dół. Chika pocałowała go; jej usta były miękkie niczym aksamit.

— Jesteśmy tacy podobni, ty i ja. Nie należymy do tego świata, Wolf. Do jakiego należymy?

Boso podreptali do łazienki. Nie było w niej prysznic, ale wanna z kamienia i metalowy kurek, z którego płynęła parująca, gorąca woda. Za

wanną znajdowało się ogromne okno wychodzące na ogród, który otaczał dom ze wszystkich stron. Wolf wszedł do wanny i wyjrzał.

— Co to jest? — zapytała Chika.

Zauważył ruch w cieniach pod dwoma olbrzymimi głazami.

— Ktoś jest na zewnątrz.

Wyczuł, że Chika znowu staje się spięta. Wysłał więc swoją *makura no hiruma* i wychwycił kogoś, kogo nie umiał zidentyfikować. Przez chwilę widział człowieka wyłaniającego się z cienia, który kierował się w stronę domu. Dostrzegł jego twarz i rozpoznał go na podstawie pokazanej mu przez Shipleya fotografii.

— To twój brat, Yuji — odparł.

— Yuji? — Chika podeszła do okna. — Co on tu robi w środku dnia?

Wyszli z łazienki i udali się do drzwi z tyłu domu. Po raczej formalnym, ale nie pozbawionym uczucia powitaniu z dawno nie widzianą siostrą, Yuji powiedział, że szuka Minako. Podzielił się z nimi tym, czego się dowiedział od Wyroczeni: że Czcigodna Matka wie o zdradzie Minako.

— Gdzie jest Minako? — zapytała Chika Wolfa. — Mówiła ci, dokąd idzie?

— Powiedziała, że jest umówiona z Czcigodną Matką.

Chika zbladła.

— O mój Boże! — Yuji stał jak skamieniały, jak gdyby nagle znalazł się w środku przerażającego koszmaru, z którego nie mógł się przebudzić.

Oczywiście, Wolf wiedział, co się stało. Czcigodna Matka, dowiedziawszy się o zdradzie Minako, wezwała ją do „Zakazanych Snów” albo po to, by ją natychmiast zabić, albo by na swój obłąkańczy sposób wyssać z jej mózgu *makura no hiruma*.

XVIII

TOKIO-WASZYNGTON

I

— Miałaś rację w niektórych sprawach i przypuszczam, że masz ją również w wypadku innych — powiedział Suma.

Patrzył na Czcigodną Matkę siedzącą na skale w ogrodzie na tyłach „Zakazanych Snów”. Często w takich sytuacjach przypominała mu niebezpieczne zwierzę, ponieważ nie może być przewidzieć, co zrobi. Teraz wydawało się, że daje życie nawet kamieniowi, wnika w niego, jakby była formą półpłynną, zmieniającą kształty tak łatwo, jak inni zmieniają ubrania.

Niepodobna było powiedzieć, czy go słucha. Suma chrząknął.

— Przez chwilę, gdy go spotkałem po raz pierwszy i miałem niewielkie pojęcie o jego *makura no hiruma*. Prawdę mówiąc, gdybyś nie powiedziała mi, o co go podejrzewasz, gotów byłbym pójść o zakład, że w ogóle nie ma mocy. Nie czułem niczego, absolutnie niczego, a jak dobrze wiesz, wykrywanie aury innych jest moją specjalnością.

Na twarz Czcigodnej Matki padało światło słońca przefiltrowane przez smog. Jej skóra była nieskazitelna niczym skóra dziewczyny, a włosy, długie i lśniące, związane w gruby węzeł.

— Chodzi ci o to, że on jest jak *tabula rasa* — rzekła Czcigodna Matka.

— Czysta tablica. Dokładnie.

— Zatem to jego opisała mi Minako w zeszłym miesiącu, gdy wróciła z wyprawy do Kambodży.

— Czcigodna Matko — wtrącił ostrożnie Suma — Minako wróciła Z Kambodży ponad dwadzieścia lat temu.

— Dwadzieścia lat, dwadzieścia minut, jakąż to dla mnie różnica?

Otworzyła oczy i Suma zebrał się na odwagę. Było to jak patrzenie w słońce. Oślepiający blask jej aury groził obserwatorowi utratą wzroku. Może nie fizycznego, ale Suma był pewien, że gdyby posłużyła się swoim umysłem, metafizycznego. Zawsze stwarzała zagrożenie, które na własne życzenie potrafiła oddalić od danej osoby. Według niego właśnie to stanowiło jej największą siłę: była diabelnie dobrym psychologiem.

— Czcigodna Matko, chociaż uczyniłem tak, jak kazałaś: wydobyłem *makura no hiruma* Mathesona przez nieprzerwane granie na jego podstawowych emocjach, nie potrafię powiedzieć, jaki będzie wynik. Jego dar jest już uaktywniony, jednakże nadal nie umiem go odczytać. A skoro moc opiera się penetracji, nie można ocenić jej wielkości.

— Zatem prawdopodobnie przebudzenie mocy tego człowieka spowodowało zaistnienie przyszłości, której żadne z nas nie potrafiło przewidzieć.

— Całkiem możliwe.

— To bardziej niż możliwe, Suma-san — poprawiła go z naciskiem Czcigodna Matka. — Od czasu twego wyjazdu do Nowego Jorku przyszłość jest dla mnie zamknięta niczym pięść.

Suma czekał cierpliwie na dalsze słowa Czcigodnej Matki.

— Zatem również możliwe, że jest on na tyle silny, by mnie pokonać.

— Tak, Czcigodna Matko.

— Albo pokonać Minako, której *makura no hiruma* do niedawna była silniejsza od mojej.

Suma w milczeniu pokiwał głową.

— Mój dar mi powiedział. On jest tym jedynym. — Odwróciła głowę tak, że jej twarz skryła się w cieniu. — Widzę to, Suma-san: on tutaj przyjdzie. Musimy być gotowi.

— Ale jak, Czcigodna Matko? Nie będziemy w stanie wyczuć jego nadejścia. On nas zniszczy.

— Nie. Mylisz się. — Czcigodna Matka wysunęła koniuszek języka, czerwony i spiczasty. — Dla nas to doskonała okazja.

Stevie Powers lubiła Willard Hotel w Waszyngtonie nie tylko dlatego, że tam mieściło się centrum jej waszyngtońskich interesów, nie tylko ze względu na nobilitujące sąsiedztwo Białego Domu, ale dlatego, że hol przypominał jej

wnętrze wystawnego wagonu z czasów, kiedy koleje były ulubionym sposobem podróżowania wyższych sfer.

Podczas gdy Amanda miała kompleksy na punkcie wieku, Stevie miała obsesję na punkcie socjety. Dzień, w którym odkryła, że wżenienie się w bogactwo nie jest tym samym, co mariaż z klasą wyższą, był dla niej druzgocący. Rodzina Mortona Danahera mogła sobie być nadziana, proszę bardzo, ale pochodziła z niewłaściwej strony torów dzielących Filadelfię i drzwi towarzystwa były zamknięte przed jej członkami oraz, przez męża, przed Stevie. Było to dość okrutne odkrycie, ale jeszcze bardziej zabolowało ją to, że upragnione sfery znajdowały się tak wysoko, iż nie w pełni rozumiała, czego wymaga akceptacja przez błękitną krew Ameryki.

Gdy poznała prawdę, pociągnęła ją psychoterapia, ponieważ pomaganie innym w pewien sposób pomagało jej.

Thornburga spotkała dzięki Amandzie, która знаła go chyba z Uniwersytetu Columbia, gdzie kilka razy miał odczyty na wydziale prawa i gdzie członkowie zarządu fetowali go za zwiększenie funduszy uniwersytetu.

Nietrudno było zobaczyć, co ją ujęło: był czarujący, błyskotliwy i miał dostęp do upragnionego przez nią świata. Thornburg okazał się bezcenny w kształtowaniu opinii o Mortonie, ten zaś duszą i ciałem oddał się umacnianiu swojej pozycji, która, jak Stevie po pewnym czasie zrozumiała, znaczyła dla niej mniej, niż sobie na początku wyobrażała. Została wyszkolona do pragmatycznego stawiania czoła prawdzie, a prawda była taka, że już nie kochała Mortona. Prawdę mówiąc, wątpiła, czy kiedykolwiek naprawdę go lubiła. Nie potrafiła też jednoznacznie stwierdzić, które z nich bardziej zmieniło się w ciągu ostatnich kilku lat.

W każdym razie, Thornburg otworzył przed nią pozłacane drzwi do świata, do którego zawsze pragnęła wejść i, co więcej, nauczył ją, jak się w nim poruszać, by zostać zaakceptowaną przez jego onieśmielających mieszkańców. Znalazła się w swoim żywiole i tym samym zawsze z utęsknieniem oczekiwała wyjazdów do Waszyngtonu.

Wchodząc do wspaniałego holu Willarda, rozkoszowała się swym nowym statusem. Była obładowana torbami, dużo bowiem czasu spędziła na zakupach. Marzyła o kąpeli, zmianie ubrania i drinku w „Occidental Grill” przed wyjściem do teatru i na późną kolację z Thornburgiem.

— Doktor Powers?

Odwróciła się i zobaczyła szczupłego, przystojnego Azjatę, prawdopodobnie w wieku około czterdziestu lat.

— Tak?

— Nazywam się Jason Yoshida — przedstawił się z uśmiechem. — Ja panią znam, lecz pani mnie nie. Zastanawiam się, czy poświęciłaby mi pani parę minut.

Stevie uśmiechnęła się.

— Jestem pewna, że byłoby miło, ale wieczorem mam spotkanie i już jestem spóźniona.

— To nie potrwa długo, zapewniam panią.

Stevie uśmiechnęła się jeszcze promienniej.

— Przykro mi, lecz jeśli zostawi pan swój numer w recepcji, z przyjemnością...

Spojrzała w dół, gdy Azjata uchwycił jej łokieć i poprowadził zdecydowanie do windy.

— Wysłuchanie tego, co mam do powiedzenia, leży w pani interesie, i to jak najszybciej, pani doktor — mruknął. Wprowadził ją do windy. — To dotyczy pani przyjaciela, Thornburga Conrada Trzeciego. — Wcisnął guzik, zamykając drzwi przed nosem innych gości.

— Co dotyczy Thornburga? — Stevie była zaniepokojona tym spotkaniem.

Patrzyła, jak mężczyzna wcisnął guzik piątego piętra, i zastanawiała się, skąd wiedział, że zatrzymała się w tym hotelu i na której kondygnacji ma pokój.

Dziwny uśmiech ani na chwilę nie opuścił twarzy Yoshidy.

— Mam informacje dotyczące Thornburga, które niewątpliwie uzna pani za interesujące.

— Kim pan jest, szantażystą? — Pokręciła głową. — Nie wejdę w ten interes. — Zdjęła jego rękę z łokcia. — Nie jestem zainteresowana.

Yoshida zmarszczył brwi.

— Pomyliła się pani. Nie chodzi mi o szantaż. — Winda zatrzymała się na piątym piętrze i drzwi się rozsunęły. — Może powinienem dodać, że moje informacje dotyczą również pani nieżyjącej siostry, Amandy. — Skinął głową i wyraz zadowolenia powrócił na jego twarz. — Pani piętro, pani doktor. Czy chce pani, bym z nią wysiadł?

— Co pan ma? — zapytała, gdy znaleźli się w apartamencie.

Specjalnie zatrzymała się w korytarzu, nie zapraszając go do pokoju. Schowała torby z zakupami do szafy.

Yoshida wyjął z kieszeni kilka zwyczajnych kopert i podał jej jedną. Stevie obejrzała ją uważnie, nie zaglądając do środka.

— Rozpoznaje pani charakter pisma, pani doktor?

— Tak. To pismo Amandy.

— Jest pani pewna?

— Była moją siostrą, więc chyba potrafię poznać coś tak osobistego.

— Przerwała, zaniepokojona własną reakcją. Zastanowiła się, dlaczego tak pospieszyła się z zapewnieniem.

Yoshida tylko lekko skinął głową. Nie odezwał się ani nie uczynił żadnego ruchu.

Stevie wyjęła list z koperty, rozłożyła go i zaczęła czytać. Prawie natychmiast podniosła głowę z szyderczym uśmiechem. Wepchnęła list w rękę Yoshidy.

— Jeżeli chce mi pan udowodnić, że moja siostra miała romans z Thornburgiem...

— Nie obchodzi to ani mnie, ani, jak sądzę, pani, pani doktor — odpali ironicznie Yoshida. Podał jej list wraz z innymi. — Gdy przeczyta pani wszystkie, wtedy pani zrozumie, o co chodzi.

Stevie przez jakiś czas przypatrywała mu się z jawną wrogością, ale nie oddała listów. Po chwili zostawiła go w korytarzu, podeszła do biurka przy zasłoniętym oknie i usiadła. Rozłożyła pierwszy list i zaczęła czytać. Kiedy skończyła, wzięła następny.

Czytanie zabrało pewien czas. Światło w pokoju zaczęło przygasać i Yoshida zapalił lampy, jakby był jej służącym. Stevie zignorowała go; była skoncentrowana na listach siostry, jakby każdy z nich był kroplą krwi wyciekającą ze śmiertelnej rany. W pewien przerażający sposób tak właśnie było.

Listy, niezaprzeczalnie pisane przez Amandę, były swego rodzaju dziennikiem jej stosunków z Thornburgiem Conradem Trzecim, o ile w tym wypadku można było mówić o stosunkach. Stevie w trakcie swej pracy znalazła tyle różnych definicji tego słowa, ilu miała pacjentów, ale mimo bogatej praktyki nie była przygotowana na coś takiego.

Przyłożyła rękę do czoła i zdała sobie sprawę, że drży. Powieka zaczęła jej trzepotać i nie mogła opanować tego tik.

Dobry Boże — pomyślała — to koszmar!

Najwyraźniej Amanda była królikiem doświadczalnym w jakimś ohydnych eksperymencie Thomburga. Przez ponad rok przed śmiercią trzy razy

w tygodniu wstrzykiwała sobie odmianę niebezpiecznego, eksperymentalnego serum, którego używał sam Thornburg w celu powstrzymania procesu starzenia.

Stevie chciała odłożyć listy, ale nie mogła. Była pogrążona w jakiejś chorobliwej fascynacji. Zobaczyła Thornburga w zupełnie innym świetle, jakby go w ogóle dotychczas nie znała.

Z listów jasno wynikało, że Amanda dzieliła obsesję Thornburga. Prawdę mówiąc, wyglądało na to, że jego pragnienie było tym, co obróciło skądinąd banalną znajomość z koktajlu na uniwersytecie w... w co? W co przekształciły się ich stosunki? Symbioza wydawała się jedynym słowem, które mogłoby określić układ, w jaki weszła Amanda.

Ona i Thornburg uzupełniali nawzajem swoją obsesję wiecznego życia, nie pozwalając, by inni się tego domyślili. Stevie złażała się za to, że nie wniknęła głębiej w pozornie nieskomplikowaną psychikę Amandy. Z prawie bolesną jasnością wspominała, ileż to razy siostra wpadała w depresję, którą ona uważała za chwilową i banalną. Stevie, tak dobra w analizowaniu psychiki pacjentów, była nieświadoma wewnętrznego cierpienia własnej siostry.

Przypomniała sobie teraz to, co powiedziała prowadząca ją analityczka, gdy zaczynała własną praktykę. „Nigdy nie myśl, że idealnie rozumiesz swych pacjentów. Zawsze musisz liczyć się z tym, że cię zaskoczą. Gdy pierwszy raz stracisz jednego z nich — czy to będzie samobójstwo, czy morderstwo, cokolwiek — pomyślisz: co zaniedbałam? Co mogłam zrobić, a czego nie zrobiłam? I zapewniam cię, Stevie, że na te pytania niełatwo znaleźć odpowiedzi”.

Stevie zaczęła czytać ostami list i, jak w scenie ze starogreckiej tragedii, zobaczyła ostatnie tygodnie życia siostry. Czytała:

Mówisz mi, że wszystko w porządku, że eksperyment odbywa się zgodnie z planem, ale moje ciało mówi mi co innego. Boję się, nie tylko dlatego, że wiem, co się we mnie dzieje, lecz z powodu tego, co, jak podejrzewam, jest twoją moralną słabością. Nie potrafisz stawić mi czoła ani, jeśli o to idzie, nawet ze mną porozmawiać’.

Wiem, że przysięgam nigdy nikomu nie mówić, w co się wplątałam, lecz teraz znalazłam się w czymś, co jest dla mnie pustką czasu i przestrzeni, i nie potrafię już znieść męczarni milczenia. Jestem dosłownie w czyścicu, w którym istnieją tylko jedne drzwi: do piekła, na które nie zasłużyłam.

W każdym razie, piszę do ciebie (skoro nie odbierasz moich telefonów), aby cię poinformować, że muszę złamać przysięgę. Postanowiłam opowiedzieć Wolfowi o tym

obrzydlistwie, zanim kompletnie zgniję od środka. Nie zrobię tego od razu, muszę bowiem zebrać odwagę, której ostatnio bardzo mi brakuje. Jednakże powiem mu. To ostatnia rzecz, jaką mogę dla siebie zrobić, i prawdopodobnie najważniejsza.

Chcę, byś wiedział, że cię nie winię. Jestem zawieszona między życiem a śmiercią z powodu własnej obsesji. To, że ty złapałeś mnie za rękę, gdy ją do ciebie wyciągnęłam, chyba nieco zmniejsza mój grzech.

Do widzenia, Thornburg...

Stevie zamknęła oczy, ale czuła łzy palące skórę niczym kwas. Było jej niedobrze, jak gdyby czyjaś pięść utkwiała jej w gardle.

— Thornburg zamordował pani siostrę, pani doktor.

Westchnęła głęboko słysząc te słowa i odwróciła się w stronę Yoshidy. Widziała jego twarz przez łzy.

— Och, nie mam zamiaru sugerować, że zrobił to osobiście. Jest za sprytny, by narażać się bezpośrednio. Ale z pewnością wydał taki rozkaz.

— Dlaczego? — wykrztusiła.

— Ostatni list chyba wszystko wyjaśnia, prawda? Amanda miała zamiar opowiedzieć swojemu przyjacielowi, co Thornburg z nią wyprawia. On jest gliną, prawda? No cóż, jak pani myśli, jaka byłaby jego reakcja? Zaskarżyłby Thornburga, a on nie mógł do tego dopuścić. Miał tylko jedno wyjście: uciszyć pani siostrę na zawsze.

Stevie opuściła głowę. Łzy rozmyły ostatnie słowa listu Amandy. Rozłożyła kartki na blacie biurka, starannie wygładzając je jedna po drugiej.

— Chcę je zatrzymać.

— Ależ oczywiście.

Stevie zdawała sobie sprawę, że oddycha, lecz wszystkie inne elementy rzeczywistości jakby umknęły. Rozpaczliwie pragnęła, żeby to był sett i żeby mogła uszczyptać się i przebudzić w mniej przerażającym świecie.

— Czego pan chce? — zapytała po pewnym czasie.

— Cokolwiek by to było — odparł Yoshida, podchodząc do drzwi — już to dostałem.

Po jego wyjściu w pokoju zapanowała śmiertelna cisza. Stevie przez długi czas siedziała zgarbiona nad biurkiem. W pobliżu zatrąbił samochód, hałas wcisnął się przez uszczelnione okna jak nóż. Drgnęła nerwowo. Po chwili w pokoju znów zawisła cisza, przygotowująca o mdłości niczym woń kwiatów wędnących obok trumny.

— Pewne stara japońska legenda, a może chińska, dotyczy demona zjadającego ludzi — mówiła Chika. — Jak wszystkie demony, ten też był obojnakiem, ale wolał jawić się ludziom w postaci kobiety. Wyrzucono ją z trzynastu kręgów podziemnego świata (przypuszczam, że ludzie Zachodu uważają to za piekło, chociaż my w nie nie wierzymy) za nieudolność. I tak włóczyła się po królestwie ludzi, szukając sposobu zwiększenia swej demonicznej mocy. Na początku zjadała serca swych ofiar, piła ich krew, delectując się swymi okropnymi uczynkami, ale bez skutku. Potem posunęła się dalej i pożerała ich mózgi. Czując w sobie pewne drzenie mocy, nie zaprzestawała tej ohydnej działalności... Oczywiście, poszukiwania nigdy nie zakończyły się pełnym sukcesem, lecz mimo porażek stale podejmowała próby wyssania z ofiar całej ich istoty. Może domyślasz się, że uzależniła się od swych poczynań i już nie mogła przerwać tego procederu, tak jak ty czy ja nie możemy przestać oddychać — mówiła dalej Chika. — I taka stała się Czcigodna Matka. Prześcignęła tego mitycznego demona i stała się samospełniającą się legendą. Jedyna różnica między nimi polega na tym, że w przeciwieństwie do owego demona Czcigodna Matka znalazła sposób na wyciąganie istoty, *makura no hiruma*, z innych i przenoszenie jej na siebie. I powiem ci, że bez względu na to, jaką maskę dla ciebie przybierze, pod nią zawsze kryje się twarz demona zjadającego ludzi. Pamiętaj, będzie starała się zniszczyć tego, czyja *makura no hiruma* jest potężniejsza od jej daru... Jeżeli nie będziesz uważał, zniszczy cię.

Stali w cieniu żelbetowego budynku położonego przy wąskiej uliczce w okręgu Shibuya. Nad ich głowami wznosił się zielony łuk estakady, która przecinała dzielnicę. Mgliste powietrze zdawało się wibrować pod wpływem niskich tonów mechanicznego serca potężnego generatora. Z tego, co Chika wcześniej mu powiedziała, Wolf wiedział, że taki generator może zablokować psychiczną emanację daru i ukryć ich przed Czcigodną Matką i jej ludźmi. Wolf dodatkowo otulił ich swoją *makura no hiruma* niczym ochronnym płaszczem.

— Teraz, gdy Czcigodna Matka wie, że Minako ją zdradziła — powiedziała Chika — nigdy nie pozwoli jej opuścić „Zakazanych Snów”.

— Twoja matka już może być martwa.

— Nie. Nie byłoby to w stylu Czcigodnej Matki. Zadawanie szybkiej śmierci nie sprawia jej przyjemności. Mój Boże, to, co zamierzasz zrobić, jest takie niebezpieczne! Nadal uważam, że powinnam iść z tobą.

— To nie byłoby rozsądne — sprzeciwił się Wolf. — Ona wyczuje, że nadchodzisz i będzie przygotowana. Mnie nie mogą wykryć; nie może tego zrobić ani Suma, ani Czcigodna Matka. Tylko ja mogę wydostać Minako z „Zakazanych Snów” żywą.

— Żeby to zrobić, musisz zniszczyć Czcigodną Matkę. — Chika schyliła głowę i dotknęła czołem podstawy dłoni. — Moja matka miała rację. Takie jest twoje przeznaczenie.

A to przeznaczenie polegało na unicestwieniu niewyobrażalnego Ai które wyrastało ponad wszelką miarę w tym zakątku świata.

Przy wejściu do „Zakazanych Snów” powitała go karlica, ubrana nieestosownie, o ile nie komicznie, w schludny męski garnitur.

— Nazywam się David Warren — rzekł Wolf. — Jestem partnerem handlowym Lawrence'a Moravii. To on podał mi ten adres i powiedział, że prowadzi pani najlepszy klub w Japonii.

Karlica patrzyła nań przez chwilę, potem skłoniła się i gestem zaprosiła go do środka.

Wolf czuł nieprzyjemne mrowienie na karku, gdy tuż po północy przekroczył próg i drzwi zatrzasnęły się za jego plecami. W lokalu było tłoczno.

Przy barze zamówił piwo i stał przez pewien czas obok Japończyka w ciemnym garniturze. Gdy tylko zebrał dość odwagi, zapytał o drogę do toalety i wyśliznął się z tłumu.

Kierując się wskazówkami Chiki, ruszył długim, wyłożonym kamiennymi płytami korytarzem. W końcu znalazł się w ogromnym holu. Na ścianach wisiały ryciny przedstawiające samurajów walczących na śmierć i życie nie tylko między sobą, ale również ze zwierzętami, takimi jak tygrysy, niedźwiedzie czy gigantyczne węże. Ich wykrzywione dziko twarze stanowiły dziwny i uderzający kontrast z pozbawionymi wyrazu pyskami zwierząt.

W pomieszczeniu znajdowały się szklane drzwi, za którymi widniał wspaniały ogród. Wolf otworzył je i wyszedł na zewnątrz. Nad jego głową wznosiły się tokijskie wysokościowce, przeobrażone teraz nieziemsko przez tajemną moc ogrodu. We mgle wyglądały jak ogromne kryptomerie rosnące na stokach prefektury Nara. Wolf odniósł wrażenie, że czas nie ma tutaj żadnej władzy i przypomniał sobie, że Chika za pomocą prawie tych samych słów opisała mu „Zakazane Sny”.

W ogrodzie była kobieta. Klęczała na brązowym mchu z twarzą wzniesioną w mgłę, z zamkniętymi oczyma, jak gdyby pogrążona we śnie. Wokół panował nienaturalny spokój, całkowicie odmienny od ciszy świątyni, w której spotkał Minako.

Kobieta miała gęste czarne włosy, zaczesane gładko do tyłu. Pełne, czerwone usta na tle bladej twarzy zdawały się szokujące niczym nieprzyzwoite słowo nagryzmołone na rąbku habitu mniszki. Ubrana była w czarne kimono ze śnieżnobiałymi paskami przy kołnierzu, mankietach i brzegu. Gdy Wolf przyjrzał się uważniej, zobaczył czarny wzór na tle czerni jedwabiu, sprawiający wrażenie rzeki wirującej w ciemności burzliwej nocy.

Kobieta była sama i najwyraźniej nie uzbrojona. Czcigodna Matka.

Otworzyła oczy. Były koloru ochry, tak jasne, jakby zostały wykute ze złota, i tak przenikliwe, że każdy mógł sobie wyobrazić, iż kobieta patrzy nimi na przestrzał.

— Tablica jest pusta. Niczego nie czuję. A jednak posiadasz moc.

Nadzwyczajne oczy Czcigodnej Matki rozwarły się jeszcze szerzej, gdy odwróciła się i spojrzała w twarz Wolfa — albo było to złudzenie, gra światła, albo rzeczywiście w jej oczach zaśnił cytrynowy ogień.

Wolf wyczuł jakby ciężar prześlizgujący się nad nim i obok niego. Pomyślał, że jest niczym okręt, który dryfując nocą po pustym morzu, mija górę lodową o niewyobrażalnym rozmiarze i masie.

— Albo jestem ślepa — powiedziała — albo nie istniejesz. — Ani na chwilę nie spuszczała oczu z Wolfa. — Nie jestem ślepa, a ty istniejesz. Zatem miałam rację. — Jej rozbijający uśmiech przypomniał Wolfowi aborygenkę z Lightning Ridge. — Powiedz mi, jak to się stało, że moja chrześnica, Chika, potrafiła wyczuć twoją moc?

— Nie wiem.

— Ach, stała się przyszłość! Niewiarygodne, przyszłość nie znana żadnemu z nas.

— Kto zabił Lawrence'a Moravię? — zapytał Wolf. — Kto zamordował Amandę Powers? Suma? On tu jest. Wiem. Czuję jego aurę.

— Czy dlatego przyszedłeś?

Wysunął swoją *makura no hiruma*, czarny palec, drżący od ogromu posiadanej siły.

— Odpowiedz!

— Gdybym miała to, czego chcesz, z pewnością bym ci to dała — odparła Czcigodna Matka. — Bądź cierpliwy.

Zamknęła oczy, a on ze zdumieniem odkrył, że jego powieki również opadły. Odczuł pewne przesunięcie czasu czy przestrzeni i miał niesamowite wrażenie, że połączyli się w jedno, stali się silnikiem, którego moc wzrasta w postępie geometrycznym. Natychmiast stał się niespokojny.

Oczy Czcigodnej Matki otworzyły się i w tej samej chwili Wolf spojrział na nią. Przemówiła niesamowicie łagodnym, kojącym tonem.

— Chika cię kocha; oddałaby za ciebie życie. Z tego powodu wzrosła jej wrażliwość; to dlatego może widzieć w tobie to, czego my nie możemy dostrzec. Ach, Chika, jej oceny zawsze były trafne.

Wolf przypatrywał się kobiecie uważnie, szukając oznak szaleństwa, o którym mówiła Minako.

Czcigodna Matka wstała i zaczęła spacerować między głazami.

— Tak, przyjrzyj mi się, Tabula Rasa, moja pusta tablico. Potem pomyśl o swojej ukochanej Chice. Urodziła się w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym drugim, ale przez przynajmniej pięćdziesiąt lat będzie wyglądała mniej więcej tak samo. — Nieodgadniony uśmiech wykrzywił kąciki jej ust; rozkoszowała się zdumionym wyrazem jego twarzy. — Chociaż Chika i ja mogłybyśmy uchodzić za siostry, ja urodziłam się ostatniego dnia ostatniego roku ostatniego stulecia.

Mimo że Chika powiedziała mu, jaki wpływ wywiera *makura no hiruma* na długość życia, Wolf z trudem przyjął do wiadomości jej słowa.

— Urodziłaś się w tysiąc osiemset dziewięćdziesiątym dziewiątym? Dobry Jezu!

— Powiedz mi, Tabula Rasa, kiedy ty się urodziłeś?

— Czterdzieści trzy lata temu.

— A czy wiesz, że wyglądasz na nie więcej niż trzydzieści pięć?

Wolf mimowolnie przyłożył rękę do policzka.

— Jak długo będę żył?

Czcigodna Matka wzruszyła ramionami.

— Moja *makura no hiruma* nie może mi o tobie niczego powiedzieć.

Nadal spacerowała, a jej cień gibki jak kot przemykał po głazach. Po chwili znalazła się za jego plecami i Wolf znów poczuł się tak, jakby obok niego przesunął się ogromny ciężar — tak blisko, że mógł zacząć obliczać jego masę.

Enigmatyczny uśmiech spłowił i Czcigodna Matka powiedziała:

— Czy masz pojęcie, jak zmieniłeś równowagę mocy, Tabula Rasa? Jestem bezpłodna. Chika jest moją wnuczką. Kocham ją bardziej niż

innych, bardziej niż wszystkich mężczyzn, którzy gościli w moim łóżku; — Gdy na nią patrzył, jej piękno zdawało się olbrzymieć. — Czy rozumiesz, co tu się dzieje? Czy potrafisz uświadomić sobie nową przyszłość, która obecnie z twego powodu staje się naszą teraźniejszością? Jej matka mi zagraża. Chika była moją strażniczką, ale teraz z pewnością tak samo będzie mi zagrażała: przez ciebie.

— Jestem z nią. Inaczej nie mogłem tu przybyć.

Światło, rozproszone i eteryczne dzięki mgłę, odbijało się od wyższych pięter masywnych wieżowców i spływało bezpośrednio w dół tak, że ogród i Czcigodna Matka tonęli w zmysłowym, brązowym blasku.

— Jesteś niczym syn marnotrawny — rzekła. — I jak syn marnotrawny możesz być zbawcą albo niszczycielem. — Jej czerwone usta rozchyliły się. — Poznałeś już próbkę swej mocy. Pomyśl o nas: ty i ja razem. Wspomnij moc naszej *makura no hiruma*, która połączona może osiągnąć... wszystko.

Wolf, czując kuszące przyciąganie jej aury, odwrócił się gwałtownie.

— Nie potrzebuję cię. Sam potrafię znaleźć Sumę.

Czcigodna Matka uśmiechnęła się.

— Ale co z Minako? Czy myślisz, że ją również znajdziesz tak łatwo?

Odwrócił się.

— Co z nią zrobiłaś?

— Jestem ciekawa, dlaczego się o nią troszczysz? Ona zwariowała. Przyjęłam ją pod swój dach dla jej własnego dobra. I dla ochrony innych.

— Kłamiesz.

— Dlaczego miałabym kłamać? Minako jest moją najlepszą przyjaciółką, jesteśmy sobie bliższe niż siostry. Nasza zażyłość jest... jedyna w swoim rodzaju. Opiekowała się mną, gdy nikt inny nie chciał tego robić. Wychowała mnie. Myślisz, że zostawiłabym ją teraz, kiedy ona mnie potrzebuje?

— Sam to osądzę. Pozwól mi ją zobaczyć.

Czcigodna Matka skinęła głową.

— Oczywiście. Chodź ze mną.

Przeszli na drugą stronę ogrodu i weszli do małego pokoju o ścianach z grubych cedrowych belek wygładzonych na wysoki połysk. W powietrzu unosił się ostry zapach, może wosku i żywicy.

Wolf zauważył, że Czcigodna Matka zamknęła szklane drzwi i dopiero wtedy zwrócił uwagę na drugą kobietę w pokoju. Była to Minako. Klęczała na

podłozce z rękoma złożonymi na kolanach. Fałdy kimona tworzyły wokół niej wachlarz barw.

— Minako?

— Słucham, Wolf-san.

Spojrzał w jej twarz. Bez wątpienia to była ona.

— Jesteś więźniem?

— Nie. W chwili jasności rozumiałam, co się ze mną dzieje.

— Ale w świątyni mówiłaś...

— Jestem chora, Wolf-san. Nachodzą mnie bezsensowne myśli i często nie kontroluję tego, co mówię.

Było w niej coś niesamowitego, jakieś dziwne wrażenie *deja vu*, którego nie potrafił tak od razu sprecyzować. Wysłał ku niej swoją *makura no hiruma*.

I natknął się na dziwną anomalię. To była fasada tak martwa jak gład, ale pod nią czaiła się aura, którą czuł gdzieś wcześniej... w magazynie w Nowym Jorku... pod wodą w Massachusetts...

Suma!

Chika, krążąc pod estakadą w Shibuya, czuła przenikliwy chłód. Objęła się ramionami, ale nie zrobiło jej się ani cieplej, ani lżej na sercu. Wolf zakazał jej zbliżyć się do „Zakazanych Snów”. Rozumiała tę potrzebę zachowania ostrożności. Jeżeli informacje Yuji były prawdziwe i Czcigodna Matka wiedziała o buncie Minako, wszystko okaże się stracone. Oczywiście, nift powiedziała tego Wolfowi. Przede wszystkim nie uwierzyłby jej, ale on nie znał Czcigodnej Matki. Nigdy nie był jej opiekunem. Chika znów zadrzała.

Nawet myślenie o tym było nielojalne, jednakże nie mogła pojąć, jak Minako mogła postawić się na tak przegranej pozycji. Podwójny agent po prawej ręce Czcigodnej Matki, tak, to prawda. Ale jakim kosztem! Chika wiedziała, że mało brakowało, by uległa potężnej aurze Czcigodnej Matki.

Wiem — myślała — Czcigodna Matka mnie kocha, lecz zdemoralizowanie mnie sprawiłoby jej nadzwyczajną przyjemność. Tylko w taki sposób mogłaby oderwać mnie od Minako. I oczywiście pragnęła tego. Sama nie mogła mieć dzieci; Minako miała czworo — istna maszyna do rodzenia.

Znowu przeszył ją dreszcz. Pomyślała: a ja pozwoliłam, by Wolf poszedł tam sam i bezbronny psychicznie stawił jej czoło. Nie potrafiła

odegnąć tej myśli. Wsiadła do samochodu i pojechała do „Zakazanych Snów”, nie dbając, kto wychwyci jej aurę.

I oczywiście ktoś to zrobił. Ale nikt ze Stowarzyszenia Czarnego Ostrza; była to Minako.

— A dokąd ty jedziesz?

Chika wytrzeszczyła oczy. Minako zobaczyła ją, gdy podjechała do krawężnika o przecznicę od „Zakazanych Snów”. Wyciągnęła córkę z samochodu i wprowadziła do bramy jakiegoś budynku.

— Wolf powiedział, że udajesz się na spotkanie z Czcigodną Matką.

— Oczywiście. Tak mu powiedziałam.

— Ale jesteś tutaj. — Chika była zdezorientowana. — Po tym, jak Yuji powiedział nam, że Czcigodna Matka wie...

— Oczywiście, że wie — warknęła Minako. — Domyśliłam się, że się dowiedziała. To było kwestią czasu. Zawsze miała nosa do wykrywania konspiracji, a jej obłąd uczynił ją jeszcze bardziej przenikliwą.

Chika próbowała ogarnąć całość sytuacji.

— Kazałaś nam wierzyć, że zostałam złapana w „Zakazanych Snach” w pułapkę... podczas gdy my wierzyliśmy, że Czcigodna Matka odkryła twój spiszek... to wszystko było po prostu częścią twego planu.

— Tak — Minako uśmiechnęła się. — Plan w planie, spiszek w spisku. Rozumiesz, człowiek, który gotuje się do walki z maniakami, musi być nieskończenie pomysłowy — westchnęła. — Początkowo chciałam posłużyć się Kazuki.

— Ale Kazuki jest chora i nie ma *makura no hiruma*.

— Akurat w tym się mylisz. Jej *makura no hiruma* niszczy ją teraz od środka. Widzisz, moc Kazuki była tak potężna, że nie mogła tego opanować. Próbowałam jej pomóc, nauczyć ją, jak to się robi, ale ona nie była dość szybka. Jej moc wymknęła się spod kontroli jak nuklearna reakcja łańcuchowa i zaczęła ją dosłownie zżerać żywcem. Już nie można zahamować tego procesu.

— Mój Boże! — Chika podniosła rękę do czoła. — Ale Kazuki jest chora od dawna. Myślałam, że twoja walka o obalenie Czcigodnej Matki...

— Zaczęła się niedawno? — dokończyła z uśmiechem Minako. — Och, nie. Moja antypatia trwa już dziesiątki lat. Widziałam, co robi z nią jej *makura no hiruma*, jak popycha ją do obłądu. Czcigodna Matka była

silniejsza od Kazuki, rozumiesz, więc mogła dłużej panować nad swą mocą, ale w końcu nawet ona uległa.

— I dlatego wysłałaś mnie na poszukiwanie Wolfa?

— Tak. Po tym, jak nie udało się z Kazuki, wiedziałam, że muszę znaleźć innego sprzymierzeńca, który pomoże mi zniszczyć Czcigodną Matkę. Matheson był pociskiem dalekiego zasięgu. W przypadku Kazuki byłam pewna: ostatecznie dałam jej życie, wychowałam ją i znałam na wylot. Wiedziałam, że jej potencjał można wykorzystać jako broń przeciwko Czcigodnej Matce. Ale Wolf Matheson był zagadką. Jako jedyny wnuk Białego Łuka powinien posiadać moc, jednak brakowało mu zwyczajnych zewnętrznych objawów. Zapomnieliśmy o nim i dopiero dużo później intuicja podpowiedziała mi, że jego *makura no hiruma* może być niezmiernie potężna. Jak jednak można było nim zawładnąć? Jak wciągnąć do swoich rozgrywek? Zrobiłam jedyną możliwą rzecz: sprzedałam informację o nim Czcigodnej Matce. Wiedziałam, że wyśle Sumę, a kiedy to zrobiła, rozumiesz, nie miałam wyboru, musiałam wysłać ciebie. Żebyś chroniła Mathesona.

Chika stała jak sparaliżowana. Słowa matki wstrząsnęły nią do głębi.

— Ale, matko, to było takie niebezpieczne. Dlaczego wpłatałaś w to Sumę? Przecież wystarczyło pojechać i po prostu sprowadzić Wolfa.

— Nie mogłam ryzykować, dziecko. — Pokręciła głową. — Nawet ty nie znasz Czcigodnej Matki tak dobrze jak ja. Jej szaleństwo pchnęło ją do psychicznego kanibalizmu. Wysysając *makura no hiruma* ze swych ofiar, z każdym dniem gromadzi coraz większą siłę. Musiałam przekonać się, jaki jest Matheson. Nie mogłam tracić czasu na wysyłanie ciebie, gdyby jego *makura no hiruma* okazała się nieodpowiednia. Trzeba było go sprawdzić, i to w trudnych okolicznościach. No i oczywiście musiałaś dojrzeć do tego, by się w nim zakochać.

— Wiedziałaś, że tak się stanie?

— Mniej więcej.

— I tak po prostu na to pozwoliłaś?

— Ja do tego doprowadziłam, Chiko. Musiałam. Potrzebowałam go. Wszyscy go potrzebujemy.

Chika, mimo szoku i przerażenia, zdała sobie sprawę, że jej matka ani razu nie wspomniała o planie ekonomicznej dominacji Stowarzyszenia Czarnego Ostrza.

I wtedy spłynęło na nią olśnienie: spisek Minako, mający na celu zniszczenie Czcigodnej Matki, nie miał nic wspólnego z altruizmem. Te kobiety zawsze ze sobą rywalizowały; chodziło jedynie o wygraną w pojedynku mocy i siły woli. Wygrana była wszystkim, nic więcej nie miało znaczenia. Z narastającym przerażeniem Chika zrozumiała, że jej matka systematycznie wykorzystywała swoje dzieci, jedno po drugim, dobrowolnie lub pod przymusem wciągając je w swoje prywatną walkę o władzę.

— A teraz Wolf samodzielnie stawia czoło Czcigodnej Matce.

— Owszem — przyznała Minako. — Tak miało być.

— Ale on jej nie zna, nie ma pojęcia o jej sztuczkach.

— Wygra.

— A jeżeli nie, matko? Widzisz przyszłość?

Minako milczała.

— Nie. — Chika patrzyła na nią, tak jakby widziała ją po raz pierwszy. — Nie możesz widzieć tej przyszłości. Jest pusta dla nas wszystkich.

— Wiem...

— Nic nie wiesz! — krzyknęła Chika, wyskoczyła na ulicę i pobiegła do muru na tyłach „Zakazanych Snów”.

Wolf zrobił krok w stronę Minako i jej sylwetka rozmyła się jak odbicie na wodzie. Nastąpiła króciutka przerwa w projekcji, jakby operator w kinie zmieniał szpule z filmami, i wtedy Wolf zderzył się z Sumą, rzucając go na cedrową ścianę.

Suma jednak był przygotowany i nie czyniąc żadnego ruchu, strzelił Ciemnością swojej aury, odrzucając Wolfa od siebie. Wolf przyjął ten psychiczny cios. Nie odrywając stóp od podłogi, zawirował w lewo i wyprowadził cios na poziomie piersi. Aż sapnął z bólu. Suma miał w rękach dziwną broń: jakby cep z kościaną rękojeścią, segmentowanym i giętkim niczym kręgosłup środkiem oraz paskudnym, podwójnym ostrzem zakrzywionym jak dziób drapieżnego ptaka po drugiej stronie. Ostrze utkwilo w ramieniu Wolfa.

Suma nie tracił czasu, wyrwał ostrze i zamachnął się ponownie. Powietrze zagwizdało, gdy stał cięła je raz po raz. Wolf zablokował cios, złapał nadgarstek Sumy, wykręcił się w prawo i cofnął o krok. Puścił nadgarstek, lewą ręką zamarkował *atemi* w nasadę nosa Sumy i wsunął ją

pod jego lewe ramię uniesione w obronie przed zmyłką. Pchnął jego rękę w górę na całą długość, potem przekreślił się tak, że znalazł się za plecami przeciwnika. Chciał złapać jego głowę prawą ręką i napierając własnym ciałem, skręcić mu kark.

Suma trzasnęła grubym tępym końcem rękojeści w najniższe żebro Wolfa. Wolfowi oczy zaszyły mgłą i odrobinę poluzował swój chwyt.

To wystarczyło. Przeciwnik walnął piętą w bok kolana Wolfa i wyrwał się, gdy Wolf walczył o odzyskanie równowagi. Ostrze zaświszczało w powietrzu i Wolf, ciągle nie mogąc złapać tchu po uderzeniu w żebra, ledwo zdołał zablokować pchnięcie wycelowane w jego piersi.

Nadal nie potrafił złapać oddechu i zastanowił się dlaczego. Suma znów zamierzył się ostrzem, a Wolf wszedł w łuk ciosu. Lewą ręką błyskawicznie odbił broń i wyprowadził potężne *atemi* w nerki Sumy. Cios dosięgnął go, ale znów z niewielkim skutkiem.

Wolf wysłał *makura no hiruma* w głąb świadomości Sumy i zobaczył, co dominowało w jego myślach: trucizna, którą posmarowano ostrze.

Otruł mnie — pomyślał. — Nic dziwnego, że nie zależy mu na zadaniu śmiertelnego ciosu; musi jedynie czekać, aż zwałę się z nóg.

Spróbował jeszcze raz, ale Suma zwinnie uskoczył w bok. Powtórzyło się to znowu dwa razy, gdy naraz Wolf potrząsnął głową, jakby próbując przywrócić jasność myślenia i osunął się na kolano. Z wyraźnym wysiłkiem dźwignął się i niezgrabnie rzucił w stronę Sumy, ale Japończyk znów się cofnął, z ostrzem u boku.

Lewa ręka Wolfa strzeliła do przodu i zamknęła się na stali. Wolf krzyknął, gdy obustronne, ostrze przecięło mu skórę i mięśnie, po czym szarpnęła w tył, pociągając Sumę za sobą. Oczy Sumy rozszerzyły się ze zdumienia i wpatrzyły w krew tryskającą z rozciętej dłoni Wolfa. Był bez reszty zaprzątnięty tym zdarzeniem.

Słabą stroną Sumy była jego pewność siebie i Wolf nie omieszkał jej wykorzystać. Suma za bardzo polegał na swojej broni i miał ten błąd przypłacić życiem.

Wolf stał z nim twarzą w twarz, a czarne ostrze jego *makura no hiruma* przedarło się przez obronę Sumy, który nigdy nie doświadczył takiego bólu. Było tak, jakby każda komórka jego ciała eksplodowała w reakcji łańcuchowej, co przeciążyło sploty nerwowe i sparaliżowało mu mózg. Serce wybuchło mu w piersiach i światło zniknęło z oczu.

W zamkniętej przestrzeni pokoju rozszedł się straszliwy smród, gdy Suma uderzył w zakrwawioną cedrową ścianę i osunął się jak łachman. Wolf poczuł jednocześnie dumę i ból, bo trucizna zaczęła działać. Upadł na kolana. Zatoczył się w daremnej próbie powstania. Płuca odmawiały mu posłuszeństwa, ale mózg, do którego jeszcze nie dotarła trucizna, wrócił do myśli o Czcigodnej Matce. Gdzie ona jest?

Odwrócił się, by na nią spojrzeć, kiedy rozległo się szaleńcze wycie. Wrzask, przenikliwy, nie do zniesienia, zawibrował mu w uszach, aż zaszczekał zębami.

Potem powietrze zostało wysane z pokoju i grube cedrowe belki zwały się do środka z potężnym hukiem. Uderzyły w niego z taką siłą, że przeleciał pod przeciwległą ścianę, gdzie został pogrzebany pod lawiną kamieni i drewna.

XIX

WASZYNGTON-TOKIO

— Muszę wyjechać z miasta — powiedział Jason Yoshida.

— Nie teraz. — Ham Conrad poprawił się w fotelu, jeszcze raz przeglądając wywołane rano zdjęcia dokumentów znalezionych w sejfie ojca. — Ten materiał jest jak dynamit, bardziej niż przypuszczałem. Ojciec winien jest kidnaperstwa, handlu żywym towarem, okaleczeń i morderstwa. Nie, teraz nie możesz wyjechać. Będę cię potrzebował, gdy dojdzie do konfrontacji.

Yoshida patrzył przez znajdujące się za plecami Hama okno na krzaki róż, nad którymi brzęczały trzmiеле.

— Shoto Wakare zawałił — nie dostałem trzech raportów, które miał przesłać według rozkładu.

— To takie dziwne? — zapytał Ham, zachłannie nie odrywając wzroku od zdjęć. — Zawiadomił nas, że zabiera Yuji Shiana do „Zakazanych Snów”. Nie ma się czym przejmować. Skoro też tam jest, prawdopodobnie nie może ryzykować kontaktowania się z nami.

— Obawiam się, że stało się coś dużo gorszego. Wakare zniknął. — Odczekał chwilę, póki Ham nie podniósł głowy. — Możliwe, że nie żyje.

— Nie żyje? — Ham okazał pewne zdziwienie.

— Nie mam wyboru — muszę tam jechać i dowiedzieć się, o co chodzi. Ham po krótkim namyśle skinął głową.

— Dobra, ale pospiesz się. Nie możemy pieprzyć się z tym zbyt długo. Złap pierwszy samolot i informuj mnie o każdym kroku.

Yoshida wstał.

— Tak jest, sir — zameldował wojskowym tonem, ale Ham, powróciwszy do zgłębiania dowodów świadczących o perfidii ojca, nie zwrócił nań uwagi.

Był zbyt zajęty maglowaniem przerażającej prawdy o nim. Z jednej strony walka Thornburga z zagrożeniem, które niosła ze sobą działalność Stowarzyszenia Czarnego Ostrza, była wyrazem jego miłości do Stanów Zjednoczonych i nienawiści do Japonii. Ham słyszał, jak ojciec objaśniał te altruistyczne postawy rządowi, od generałów w Pentagonie do samego prezydenta włącznie. A jednocześnie Thornburg patrzył przez palce na porywanie ludzi, przeprowadzanie na nich eksperymentów — na mordowanie ich. I wszystko to w poszukiwaniu cudownego serum. Prawdziwy hipokryta! Ham był zdruzgotany. Ledwo zauważył odejście Yoshidy.

Yoshida wymknąwszy się z gabinetu Hama, natychmiast wyszedł z budynku. Nie poszedł do biura ani z nikim nie rozmawiał. Zatrzymał taksówkę, wrócił do swego mieszkania, dał taksówkarzowi dziesięć dolarów i poprosił go, by zaczekał. Było parę minut po jedenastej, dzień po włamaniu do kliniki „Zielone Gałęzie”.

Na górze obejrzał uważnie trzy małe pokoje, które teraz pozbawione były mebli, obrazów, bielizny, naczyń i osobistych drobiazgów. Praktycznie w całym mieszkaniu nie było niczego poza dwiema starannie zapakowanymi walizkami, które czekały nań tuż za drzwiami niczym stojący na warcie karni żołnierze.

Oczywiście, był jeszcze jeden drobiazg. Yoshida wszedł do kuchni, otworzył lodówkę i z lubością spojrział na leżącego w środku szczura. Chciałby zobaczyć wyraz twarzy Hama Conrada, gdy przyjdzie do mieszkania i zamiast niego znajdzie to bydlę. No cóż, nie można mieć wszystkiego.

Powód nagłego wyjazdu do Japonii, jaki podał Hamowi, stanowił oczywiście wymówkę. W gruncie rzeczy było mu obojętne, gdzie był Shoto Wakare albo co mu się stało. Wakare służył jego celom, tak samo zresztą jak Ham, i już odegrał swoją rolę. Ham jeszcze nie, lecz machinacje Yoshidy wprawiły w ruch skomplikowane reakcje emocjonalne, które nieuchronnie miały doprowadzić do właściwego skutku. A do Japonii wracał na wezwanie Czcigodnej Matki.

Yoshida jeszcze raz omiół wzrokiem mieszkanie, by sprawdzić, czy czegoś nie zapomniał. Wyszedł na korytarz i zabrał walizki. Zamknął drzwi i przekręcił klucz.

Czterdzieści pięć minut później był na międzynarodowym lotnisku Dulles. Czekał go dwudziestodwugodzinny lot do Tokio. Zerknął na ścienny zegar, gdy nadawał bagaż przy ladzie JAL pierwszej klasy. Była dwunasta dwadzieścia.

— Trzeba wypisać nazwisko na plakietkach przy bagażu — poinformowała go młoda urzędniczka, podbijając bilet.

Yoshida wypisał starannie: pan Jen Fukuda. Linijkę niżej wpisał adres wielkiej firmy kartograficznej z Tokio. Nazwisko i adres zgadzały się z danymi w jego paszporcie, na kartach kredytowych, prawie jazdy i innych dokumentach.

Przeszedł przez odprawę celną, a ponieważ podróżował jako Japończyk, także kontrolę imigracyjną. Miał jeszcze tyle czasu, że kupił dwa marne hot dogi i kubek podłej mętnej kawy oraz egzemplarz *Forbes*. Stojąc przy ladzie zdążył przeczytać dwa fascynujące artykuły na temat dalszego wydzierzawiania amerykańskiego przemysłu samochodowego.

Pięćdziesiąt minut po wejściu na pokład, po nieuniknionym opóźnieniu spowodowanym przez zbyt duży ruch na lotnisku lub niekompetencję kontrolera lotu, boeing 747 wystartował, zostawiając na niebie brudne smugi.

Baba z wozu, koniom lżej — pomyślał Yoshida, obniżając oparcie fotela i sącząc szampana podanego przez stewardesę.

Kadłub 747 dygotał lekko, gdy silniki niosły kolosa przez warstwy smogu, pokonując kolejne turbulencje. Kiedy znaleźli się nad chmurami, zamknął oczy. Brud Waszyngtonu, stały kontakt z ludźmi Zachodu, zaczynał opadać z niego niczym wyschnięte łuski wężowej skóry. Jak dobrze będzie znów zobaczyć Tokio, chodzić wśród swoich, mówić własnym językiem. Jaką ulgą będzie powrót do „Zakazanych Snów”, gdzie według niego zaczynało się i kończyło życie.

On sam wysliznął się jak węgorz z łona Evan. Evan, która ciągle wyglądała jak nastolatka, była dużo starsza, chociaż nikt, nawet Czcigodna Matka, nie wiedział, kiedy się urodziła.

Yoshida oczywiście musiał mieć ojca, ale nie miał pojęcia, kto nim był. Jego narodziny były rezultatem eksperymentu dotyczącego długowieczności, przeprowadzonego przez Czcigodną Matkę, która umieściła zebraną ręką

sperme w macicy Evan. Czcigodna Matka nadzorowała całą ciążę Evan i narodziny Yoshidy. Po rozwiązaniu Evan była bardzo chora i poza tym zupełnie nie przygotowana do pierwszych trudnych miesięcy macierzyństwa. Nieważne, Czcigodna Matka, prócz podawania własnej piersi, robiła przy małym Yoshidzie wszystko.

Prawdę mówiąc, małe piersi Evan nie nabrzmiały mlekiem tak jak powinny, a dziąsła niemowlaka, aczkolwiek pozbawione jeszcze zębów, okazały się za silne dla jej delikatnych sutków. W konsekwencji wołała raczej zмагаć się z wrzeszczącym Yoshidą niż pozwolić, by ranił jej piersi.

Czcigodna Matka w końcu zorientowała się w sytuacji. Dziecko dostało mleko i smoczek, a Evan poniosła odpowiednią karę.

Yoshida dowiedział się o tym całe lata później, ale faktycznie to, że pijąc mleko, mógł słyszeć dobiegające z sąsiedniego pokoju krzyki bólu matki, nie wydawało się nieprawdopodobne. Może dlatego Yoshida był masochistą i jak wielu masochistów z nadzwyczajną dbałością wyrównywał tę skłonność sadyzmem.

Jednak pod wszelkimi innymi względami Yoshida różnił się od wszystkich normalnych ludzi. Po pierwsze, urodził się i wychował na terenie „Zakazanych Snów”, co znaczyło, że władze niczego o nim nie wiedziały. Nie miał aktu urodzenia ani żadnych świadectw szkolnych, jego wiedza bowiem, tak samo jak filozofia i wiara, ukształtowała się w tyglu tego hermetycznego środowiska. Po drugie, jak od razu spostrzegła Czcigodna Matka, był urodzonym indywidualistą i swego rodzaju geniuszem.

Panował między nimi jakiś dziwny rodzaj symbiotycznych stosunków. Może ta symbioza wynikała z tego, że każde z nich na swój sposób było jakby niekompletne. Byli psychicznie, a raczej uczuciowo ułomni i wykształcili w sobie umiejętność życia kosztem drugiego niczym własnym. Nawet wtedy nie czuli się spełnieni, ale to było najlepsze, co mogli osiągnąć.

Byli jak jedyni ludzie, którzy wyszli z życiem po strasznej bitwie, w której wszyscy inni zostali starci w proch. Bliźny wyniesione z tej walki były tak głębokie, że wpłynęły na wszystko, w co wierzyli, co mówili i co robili.

Można by powiedzieć, że Czcigodna Matka świadomie okaleczyła Yoshidę w taki sam sposób, w jaki sama została skrzywdzona, aby cieszyć się towarzystwem podobnej sobie istoty. Albo może była po prostu zmuszona do zrobienia komuś tego, co kiedyś uczyniono jej.

Co mu zrobiła?

W prefekturze Nara, tak daleko od cywilizacji, jak tylko jest to możliwe w Japonii, Czcigodna Matka owinęła mu biodra przepaską. Sama odziana w białą szatę kapłanki sinto powiodła go w noc. Na nieboskłonie widocznym przez gałęzie drzew płonęły gwiazdy. Była późna jesień i w powietrzu, w którym unosił się gorzki zapach suchych liści i cisza pierwszego śniegu zimy, czuło się chłód.

Uklękli przy starożytnej świątyni z kamienia i drewna, a echo dzwonów z brązu niesło się w noc hen, daleko. Czcigodna Matka rozpałała ogień w brązowej czarze i spaliła ryżowe wachlarze z ubiegłego roku, by liczni bogowie zamieszkujący gęsty las potężnych kryptomerii wiedzieli, że zamierza złożyć ofiarę. Zaintonowała pierwszą modlitwę, słowa zdawały się lgnąć do kamieni, wtapiać się w drewno.

Potem podnieśli się i zeszli ze wzgórza, na którym stała świątynia sinto, funkcjonująca dzięki szczodrym datkom Czcigodnej Matki.

Niższe partie lasu były rozświetlone przez świece, ich płomyki paliły się prosto, jak gdyby sama noc wstrzymała oddech. Młody Yoshida — ledwie jedenastoletni — słyszał szum płynącej wartko wody. Jego siła stopniowo narastała, gdy skręcili w lewo po usianej sosnowymi igłami ścieżce. Zerknął w dół, wyobrażając sobie, że widzi w świetle świec ślady dziesiątków tysięcy pielgrzymów odwiedzających wodospad.

Na skraju górskiego stawu zatrzymali się i zdjęli *geta* i bawełniane *tabii*. Czcigodna Matka wsunęła się do stawu, przy którego drugim końcu grzmiał święty wodospad, przelewający się nad ostrymi czarnymi skałami, sterczącymi ponad ich głowami. Potem odwróciła się ku chłopcu i wyciągnęła rękę, a on ujął ją i ruszył po płaskich, porośniętych wodorostami kamieniach do wodospadu.

Woda, element zdałoby się miękki, uderzyła weń z niewyobrażalną siłą. Strumienie wody były twarde jak męskie muskuły.

Czcigodna Matka położyła mu ręce na ramionach i pchnęła tak, że plecy zaczęła mu omywać spadająca kaskada. Ujęła jego głowę w dłonie, po czym wepchnęła go w główny nurt.

Pędząca z hukiem woda rzuciła go na kolana. Nie mógł oddychać, lecz jej ręce nadal trzymały go mocno. Czuł olbrzymią siłę wody, miękki element *yin*, i został oczyszczony przezeń w sposób nakazany obyczajem sinto.

Czcigodna Matka wepchnęła go jeszcze głębiej, a tam trafiały się bąble powietrza, ciemnego i gęstego od piany, które łąpczywie wciągał w płuca.

Odkrył, że wartko płynąca woda rozwiązała mu przepaskę i zsunęła z bioder. Albo może to Czcigodna Matka miała w tym swój udział, ponieważ zdał sobie sprawę, że jej ręce już nie spoczywają na jego twarzy, a na biodrach.

Była bardzo blisko. Zobaczył, że woda przykleiła cienką bawełnianą tkaninę do jej skóry. Widział dzięki temu każdy szczegół jej ciała. Widok jej nagości ukrytej za tą cienką zasłoną, czystą i niewinną niczym szaty bogów, był przesycony erotyzmem.

Czcigodna Matka ujęła ręce Yoshidy, położyła je na swych piersiach, wbiła palce w grzbiety jego dłoni tak mocno, że czuł sprężystość jej skóry. Potem rozsunęła dłonie i mokra szata rozchyliła się wraz z nimi.

Yoshida poczuł skurecz w lędźwiach i niewysłowiony ból w piersiach, który jakby ścisnął mu serce. Oczy Czcigodnej Matki płonęły. Wiedział, że to niemożliwe, ale wydawało mu się, że z ich pomocą przebija wzrokiem biały welon wody, sięga za czarne konary kryptomerii, do tajemniczego boskiego światła gwiazd, które spływało na pokryte lasem zbocza i miriady zamieszkujących je starożytnych duchów.

— Jestem śniegiem zimy, cykadą lata — wyszeptwała Czcigodna Matka, przebierając palcami po jego skórze. — Jestem poranną zorzą wiosny, północnym wichrem zimy. — Uklękła twarzą do niego. — Jestem lisem, który obzera się wnętrznościami królika, jestem jelonkiem, który drży na każdy szelest. Będę cię pieścić, dbać o ciebie, karmić cię i pochłaniać cię.

Wodospad huczał wokół nich, ale między nimi było tylko powietrze, w którym od czasu do czasu rozbłyskały krople wody.

— Będziesz mnie kochał i bał się mnie, a ponieważ będziesz się bał, będziesz mnie kochał tym mocniej — mówiąc to, wzięła go w siebie, poruszając biodrami w przód i w tył, w górę i w dół, a potem zataczając kręgi, dopóki Yoshida nie zamknął oczu i nie otworzył ust.

Czcigodna Matka patrzyła, jak falują napięte mięśnie jego podbrzusza. Uśmiechała się do siebie, gdy spazmatyczny oddech stawał się coraz szybszy. Czuła jego ręce na piersiach, czuła go w sobie. Yoshida, otoczony jej aurą, także odbierał te emocje i to zwiększało jego przyjemność, aż w końcu trysnął w nią, i jeszcze raz, i przewrócił się w jej ramiona.

Przebudził się i zobaczył gwiazdy. Przez chwilę wierzył, że został przeniesiony do zaczarowanego królestwa, które, jak sobie wyobrażał, leżało

tak blisko gwiazd, że mógłby wyciągnąć rękę i ich dotknąć. Potem zobaczył, że obok niego klęczy Czcigodna Matka i dłonią pieści mu czoło.

Wyciągnął ręce. Znow był podniecony.

— Chcę ciebie.

Czcigodna Matka trzasnęła go tak mocno, że na policzku pojawił się odcisk jej ręki.

— Tej nocy stało się to w imię obrzędu i rytuału. Dla ofiary i zadowolenia bogów, którzy są wszędzie. „Ja chcę, ja chcę” — przedrzeźniała. — Nie wyobrażaj sobie, że twoje życie ze mną może polegać na „ja chcę”. Chcesz mnie, ale już nigdy mnie nie posiadziesz.

Widząc, że nadal jest podniecony, wymierzyła mu kilka kolejnych siarczastych policzków. Po chwili Yoshida eksplodował, ale natychmiast odwrócił się na brzuch i zaczął płakać.

Później zabrała go na zbocze góry i pokazywała mu grzyby, trawę, mech i porosty, paproć i korzenie, które wyszarpywała z ziemi. Nauczyła go wszystkiego o trujących ziołach, które rosły tutaj. Część z nich sama zasiała przed laty. Poznał trucizny działające powoli i prawie natychmiast, niewykrywalne i te, które przez swe symptomy mogły służyć jako ostrzeżenie dla potencjalnych wrogów. Potem zaczęła uczyć go sporządzania odtrutek i środków hamujących działanie trucizny, mogących uratować życie ofiary, a nawet przywrócić jej normalną sprawność.

Tak zakończyła się ich noc.

W Kioto, mieście dziesięciu tysięcy świątyń, w czasie głębokiego chłodu zimy, gdy grad bijący o szyby grzmiał niczym tętent końskich kopyt, podawała mu te trucizny jedną po drugiej. Wcześniej własnymi rękoma dobierał składniki, destylował, mieszał i warzył tak, by w przyszłości umieć się posługiwać odpowiednią toksyną.

Tym sposobem Jason Yoshida umierał ponad tysiąc razy; czuł, jak życie ucieka zeń gwałtownie jak z rozciętej arterii albo wyslizguje się powoli. Czcigodna Matka nieodmiennie wskrzeszała go z martwych.

Tak więc Jason Yoshida był nieodwołalnie związany z Czcigodną Matką: został ukształtowany tak, jak to sobie obmyśliła, praktycznie na własne podobieństwo...

Japonia.

Spał przez szesnaście godzin i tysiące mil. Wyglądał przez pleksiglasowe okno w samolocie i przez mgłę, która otaczała Tokio, widział szczyt

Fudzi-jamy, wielkiej góry strzegącej jego kraju niczym bóg. Wiedział już, dlaczego Czcigodna Matka wezwała go do domu. Nadszedł czas na ostateczną bitwę. Miała stanąć naprzeciw wroga i Yoshida był pewny — tak jak tego, że Fudzi-jama przetrwa wszystko — że on będzie integralną częścią jej sił.

— PRZYPROWADZIŁEŚ MI MEDIATORA.

— Nie — odparł Yuji, pomagając Chice wnieść nieprzytomnego Wolfa do pokoju na najwyższym piętrze magazynu w pobliżu Tsukiji. — Ten człowiek jest bardzo chory.

— A JEDNAK JEST MEDIATOREM.

— Cicho — nakazał Yuji. Spojrzał z troską na przyrodną siostrę.

Chika szalała z niepokoju i była w takim stanie od czasu, gdy jedna ze ścian „Zakazanych Snów” omal jej nie zmiażdżyła. Przez mgłę oraz wirujący, dławiący pył kamienny i betonowy zobaczyła wystające z rumowiska drapieżnie zakrzywione ostrze, a na nim zaciśnięte palce ludzkiej ręki. Ręki Wolfa.

Krzyknęła i wysyłając *makura no hiruma*, zaczęła torować sobie drogę między przedmiotami, które jakby żyły własnym życiem.

W szaleńczych ruchach drewna i kamieni wyczuwała niewidoczną aurę Czcigodnej Matki. Skoncentrowała się, jej mroczny dar odrzucał z drogi rozłupane kłody i ostre kawały betonu. Wyczuwała czarne, rozgorączkowane macki *makura no hiruma* Czcigodnej Matki i zastanawiała się, dlaczego kobieta jeszcze nie zlokalizowała Wolfa. W chwilę później poczuła, że wchodzi w obręb psychicznej fortecy, jaką Wolf zdołał otoczyć się w ostatniej chwili.

Podwoiła szaleńcze wysiłki i w końcu odgrzebała ciało Wolfa. Zdumiała się, że jego forteca pozostała nie naruszona, chociaż on sam był nieprzytomny. Używając wszystkich sił, wyciągnęła go z piekła, które przygotowała dlań Czcigodna Matka. Wtedy po drugiej stronie pokoju zobaczyła powykęcane zwłoki Sumy. Ten widok sprawił jej jedynie ulgę.

Przywiozła Wolfa tutaj, do magazynu, w którym Yuji założył laboratorium Wyroczeni, ponieważ było to jedyne bezpieczne miejsce, jakie jej przyszło na myśl. Nie widziała matki w „Zakazanych Snach”, ale też wcale jej nie szukała. W każdym razie, transport Wolfa do domu Minako i tak nie wchodził w rachubę — nie po ostatnim spotkaniu z matką.

Chika, wsłuchując się w puls i oddech Wolfa, starała się nie myśleć o przerażającej rozmowie, jaką odbyły. Próbowwała za pomocą *makura no hiruma* wdrzeć się pod osłonę śpiączki Wolfa, ale daremnie; wszystkie dojścia były zablokowane.

Podniosła głowę.

— Nie wiem, co Czcigodna Matka mu zrobiła, ale on umiera.

— TO ŻYCIE JEST NIEBEZPIECZNE, NIE ŚMIERĆ — zaintonowała

Wyrocznia.

Yuji zignorował ją i zwrócił się do Chiki.

— Czy możemy mu jakoś pomóc?

— TAK. ON JEST MEDIATOREM.

— Co to znaczy? — Chika odwróciła się ku Wyroczni.

— Nie zwracaj na nią uwagi — rzekł ze smutkiem Yuji. - Coś jej się stało. Chyba wariuje.

— Nonsens. Maszyna nie może zwariować.

— Nie znasz Wyroczni.

— Co z nią zrobiłeś? Wygląda prawie tak, jakby miała ludzką twarz.

Yuji westchnął i opowiedział, jak Hana upierała się, by podłączyć ją do Wyroczni i co się z nią później stało.

— Nikomu tego nie mówiłem — urwał szlochając. — Nie wiedziałbym, co powiedzieć. Ale ty to zrozumiesz. Ty jedna rozumiałaś nieszczęście Hany. Twoja *makura no hiruma*, jak dar Hany, zmusiła cię do robienia czegoś, czego nie chciałaś.

— Gdzie jest jej ciało? — zapytała po chwili milczenia Chika.

— Zrobiłem to, o co prosiła Wyrocznia... Hana. Jej ciało spoczywa na dnie Sumidy.

— Nie!

Nie był to odpowiedni moment na wspomnianie chwil spędzonych z przyrodnią siostrą, ale nic nie mogła na to poradzić. To, że Hana odeszła, wydawało się niepojęte. Chika czuła gorące łzy palące jej oczy, spływające po policzkach. Chciała wyciągnąć ręce i utulić Yuji, ale tradycja nie zezwalała na takie otwarte okazywanie uczuć. Żeby pozwolić sobie na coś takiego, oboje musieliby być pijani.

— Och, Hano!

A przez ten czas jej świadomość krzyczała: „Wolf umiera! Zrób coś! Musisz go uratować!”

Ale jak? — zapytała siebie.

Próbowała już wszystkiego. Jeżeli jej *makura no hiruma* nie mogła mu pomóc, to co mogło? Co zrobiła z nim Czcigodna Matka?

Miała pewien pomysł, ale był tak szalony...

— Jak brzmi prawda? — zapytała. — Hana jest żywa czy martwa?

— TO ZALEŻY OD TWOJEJ DEFINICJI ŻYCIA I ŚMIERCI.
. — odpowiedziała Wyrocznia, nim Yuji zdążył otworzyć usta. — CHI-KA-SAN, MUSISZ NAM POMÓC. HANA JEST WE MNIE. ALE ONA TONIE. POCHŁANIA NAS WIR IRRACJONALNYCH MYŚLI, KTÓRYCH NIE POTRAFIĘ INTERPRETOWAĆ, KONTROLOWAĆ. POTRZEBUJEMY MEDIATORA. PSYCHICZNEGO CHIRURGA, JEŚLI WOLISZ, KTÓRY POŁOŻY KRES NASZYM CIERPIENIOM.

Chika spojrzała na przyrodniego brata.

— Yuji...

— Daj spokój. To procedura eksperymentalna. I zbyt niebezpieczna.

Popatrz, co się stało z Haną.

— Ale ona nie chce wrócić.

— MEDIATOR UMIERA, YUJI-SAN. MY MOŻEMY ZAPEWNIĆ MU ŻYCIE.

— W jakiej formie? — zapytał z goryczą Yuji.

— TO ŻYCIE JEST NIEBEZPIECZNE. NIE ŚMIERĆ. BŁAGAMY, PODŁĄCZ GO.

Chika, z ręką na piersiach Wolfa, przeniosła spojrzenie z jego twarzy bez wyrazu na czarne oblicze Wyroczni i podjęła decyzję.

— Zrób to.

— Co?

— Zrób to, o co prosi Wyrocznia, Yuji. Podłącz Wolfa do maszyny.

— Ale nie wiemy, jaki efekt wyrze to na...

— On umiera i żadne z nas nie może nic na to poradzić. Podłączenie jest jego jedyną szansą.

Oczywiście, miała rację. Yuji, decydując, że w tej chwili lepiej nie myśleć, zaczął podłączać Wolfa do Wyroczni tak, jak robił to z Haną.

— NIE POŻAŁUJESZ — powiedziała Wyrocznia.

— A dlaczego miałbym żałować? — zapytał Yuji, uważnie przyklejając podkładki do palców Wolfa.

— PRZEPEŁNIA CIĘ ŻAŁ, YUJI-SAN. Z POWODU HANY, Z POWODU MNIE. A SZCZEGÓLNICZIE Z POWODU TWOJEJ MATKI.

— Wymyślasz! — parsknął Yuji, zaczynając podłączać elektrody.

— JA NIE MOGĘ NICZEGO WYMYŚLAĆ, YUJI-SAN, TO NIEMOŻLIWE, PRZYNAJMNIEJ W SENSIE, W JAKIM UŻYŁEŚ TEGO SŁOWA. NIE MYLĘ SIĘ.

— Tak naprawdę chodzi ci o to, że ty się nigdy nie mylisz. Uważaj, żebyś nie wpadła w kompleks wyższości. To paskudne ludzkie zboczenie, przed którym musisz się pilnować.

— CZY UWAŻASZ MNIE ZA NEUROTYCZKĘ, YUJI-SAN?

— To, o czym mówię, bardziej dotyczy psychoz. — Yuji podłączył ostatnie elektrody.

— PSYCHOTYCY SĄ NIEBEZPIECZNI, YUJI-SAN.

— Często tak — rzekł Yuji, uruchamiając połączenie.

— CZY JA JESTEM NIEBEZPIECZNA?

Yuji usiadł, sprawdzając działanie systemu człowiek—Wyrocznia i był zbyt zajęty, by odpowiedzieć. Dużo nauczył się o tym procesie, gdy podłączał Hanę, i teraz doszukiwał się elektrycznych impulsów, niezwyklej aktywności EEG, przeciążeń, które mogłyby przerwać napływ danych. Nie stało się nic nadzwyczajnego, wskazania przyrządów pomiarowych nie odbiegały od normy.

A potem wszystko stało się naraz: rozległo się buczenie przeciążonych obwodów, igły wskaźników EEG wyskoczyły poza skalę. Palce Yuji migwały nad tablicami kontrolnymi, ale opanowanie tego wykraczało poza możliwości jego wysoce specjalistycznego sprzętu.

— Yuji, co się dzieje?! — krzyknęła przerażona Chika.

W powietrzu rozszedł się ostry zapach ozonu. Wolf otworzył szeroko usta i wydał niesamowity wrzask, który targnął napiętymi nerwami Yuji.

Potem wszystkie światła Wyroczni zgasły.

Ham Conrad wszedł na pokład szkunera ojca, „Influence II”. Był piękny wczesnowiosenny dzień, na niebie unosiły się pierzaste chmurki i wiała silna bryza. Doskonały dzień do żeglowania.

Śmieszne, jak wszystko się układa — pomyślał Ham, rzucając cumy. Miał zamiar zatelefonować do starego, lecz Thornburg go uprzedził i poprosił o spotkanie na jachcie. Doskonale — stwierdził w duchu Ham, przed wyjściem sprawdzając dwa razy, czy nie zapomniał zabrać dowodów świadczących o perfidii ojca.

Ham wiedział, że konfrontacja z Thornburgiem nie będzie rzeczą łatwą, ani dla niego, ani dla starego, ale dokumenty znalezione w sejfie nie pozostawiały mu wyboru. Yosh miał rację od samego początku. Była to bolesna prawda, nie miał jednak wyjścia. Ciągłe chwycił się nadziei, że może uda mu się pogrózkami zmusić ojca do wyznania swoich grzechów, do pokuty, może jakiegoś zadośćuczynienia dla rodzin ludzi, którzy zmarli w klinice, odesłania żyjących do ich rodzinnych krajów i zamknięcia „Zielonych Gałęzi”. Ale Ham z natury był optymistą.

Wszedł do sterówki. Ojciec wyprowadził szkuner z przystani. Wcześniej poinformował go, że załoga ma wolne.

— Czasami jest z nimi istne urwanie głowy. Zawsze wchodzą w drogę właśnie wtedy, gdy człowiek najbardziej potrzebuje samotności.

Ham przypomniał sobie, że Thornburg uważał, iż służba jest zmorą bogaczy.

Ostra woń spalin diesla na chwilę przytłumiła nawet zapach morskiej wody. Ham wciągnął grotzagiel, potem fok i mniejszy kliwer, ponieważ szkuner pod pełnymi żaglami stanowił niewypowiedzianie piękny widok. Pracował metodycznie, oderwany od trosk, które nigdy nie były częścią morza. Thornburg nauczył go kochać żeglowanie.

Może — myślał Ham — gdyby głęboko się nad tym zastanowił, zrozumiałby, że jest to jedyną naprawdę łączącą ich rzeczą.

Thornburg przeprowadził „Influence II” przez Chesapeake, bacząc na pławy w kanale, i wkrótce Waszyngton został daleko za rufą. Około południa Ham zwinął żagle; rzucili kotwicę po zawietrznej małej wyspy. Thornburg wyjął jedzenie: tłuste krewetki ociekające oliwą, czerwony pieprz i ser, kilka rodzajów sałatek i sernik oraz sześć puszek schłodzonego piwa „Sapporo”, które obaj polubili w Japonii.

Zasiedli w kambuzie, przy stole, który przylegał do otwartych drzwi wychodzących na pokład. Thornburg obserwował syna pochłaniającego potężne kanapki, sam zaś jedynie przesuwiał jakąś zieleninę po talerzu i sączył piwo. Jego apetyt, problematyczny od lat, ostatnio opuścił go na dobre.

Rozmawiali o tym i owym, niczym ważnym, powoli i leniwie, jak gdyby oślepiający blask słońca odbity od wody czynił ich sennymi. Thornburg wyglądał jeśli nie na szczęśliwego, to przynajmniej odprężonego. Ham pomyślał, że po śmierci Tiffany można się było tego spodziewać. On, przeciwnie, był spięty przed czekającym go ogromnym zadaniem. Myśl o żalobie dała mu pretekst, którego rozpaczliwie poszukiwał.

— Chyba — zaczął, wycierając ręce w serwetkę — widziałem, jak tułasz się po Waszyngtonie, nie chcesz nawet być we własnym domu, i zastanawiam się, czy nie byłbyś szczęśliwszy po prostu wyjeżdżając.

— Wyjeżdżając? — Thornburg powiedział to z takim oburzeniem, jakby syn proponował mu przejście na emeryturę.

— Jasne. Na przykład do Aspen czy do Europy — brnął Harn z przesadnym entuzjazmem. — Oderwać się od wszystkiego, przewietrzyć myśli, odświeżyć duszę.

Thornburg ze szczególną uwagą zmierzył go wzrokiem.

— W Aspen nie ma niczego do roboty poza wydawaniem pieniędzy i przyglądaniem się, jak piękne kobiety uganiają się za próżniakami na nartach. Gdybym pojechał do Europy, zobaczyłbym tam jedynie Niemców i Japończyków, a to by mi przypomniało oś Berlin—Rzym—Tokio i niebezpiecznie podniosło ciśnienie. — Spojrzał na Hama chłodno.

— Masz jeszcze jakieś inne błyskotliwe pomysły?

Ham spuścił oczy i wbił widelczyk w potężny kawałek sernika.

— Poza tym — mówił Thornburg po odczekaniu stosownej chwili na odpowiedź syna — nie chcę stąd wyjeżdżać. Zbyt wiele rzeczy mogłoby pójść nie po mojej myśli. — Nie przestawał przeszywać Hama wzrokiem. Zakładał się w duchu, że w odpowiednim momencie syn poderwie głowę. — Weź na przykład moje badania bionaukowe.

— Ham przestał skubać sernik. — Zeszłej nocy ktoś włamał się do „Zielonych Gałęzi”. Wyobrażasz sobie? Czego ktoś mógłby szukać w klinice?

— Szpiegostwo przemysłowe? — podesunął Ham, odkładając widelczyk.

A to dobre — pomyślał Thornburg. Czasami Ham naprawdę wywierał na nim wrażenie.

— Oczywiście, tak z początku myśleliśmy. Ale, co ciekawe, akta zostały nie naruszone. — Oczy Thornburga płonęły. — Potem odkryliśmy, że mamy złodzieja na wideo. — Głowa Hama podskoczyła i Thornburg pogratulował sobie wygrania zakładu. — Chciałbyś zobaczyć? Mam ze sobą kopie.

— Jezu, nie!

— „Jezu nie” — przedrzeźniał syna Thornburg. — To wszystko, co masz mi do powiedzenia?

— Chryste, dlaczego czuję, że jestem ci winien wyjaśnienia?!

— wybuchnął Ham. — Przecież to ty powinieneś to zrobić!

Thornburg obserwował chłodnym okiem, jak jego syn wychodzi z siebie.

— Przed nikim nie muszę tłumaczyć się ze swego postępowania! — warknął zimno. — Czasy, pieniądze i przywileje zwalniają mnie z tego. W tej chwili pragnę tylko jednego. Muszę wiedzieć, dlaczego mój syn uznał, że ma prawo włamać się do mego sejfu.

— Chcę wiedzieć...

— Dość tego, synku! — Thornburg rzucił to tak ostro, że Ham podskoczył mimowolnie. — Gdybym uważał, że masz wiedzieć, co się dzieje w „Zielonych Gałęziach”, tobym cię o tym poinformował. Nie zrobiłem tego, zatem to nie twój interes.

— Teraz to także mój interes.

Ho, ho — pomyślał Thornburg — co jest? Więcej ikry niż myślałem?

— Musimy porozmawiać o tym, co dzieje się w klinice.

— Tak?

— Tak. Na miłość boską, jesteś winny porwania, torturowania, morderstwa. Jesteś cholernym kryminalistą, niczym więcej! Na Boga, nie mogę zrozumieć, jak w takich okolicznościach udało ci się zebrać grupę najbardziej błyskotliwych naukowców.

Przez chwilę Thornburg zastanawiał się, czy nie powinien wciągnąć syna w ten temat. Potem pomyślał: Pieprzyć to! Chce prawdy, dobra, wygarnę mu ją z obu łuf.

— Mój Boże, jak na wojskowego jesteś cholernie naiwny — zagrział.

— Przystali na moją propozycję z radością, zadowoleni, że dostaną pieniądze i wolną rękę w przeprowadzaniu badań, których nie mogliby dokonywać nigdzie indziej. Co ty sobie wyobrażasz, że ludzie są aniołami? Synku, ludzie są ludźmi i mają swoje słabostki, a wykorzystanie ich jest nieodłączne ludzkiej naturze. Daj człowiekowi to, czego naprawdę pragnie, a nigdy nie zapyta o cenę.

— To brzmi jak motto samego szatana.

Thornburg wybuchnął śmiechem, który jeszcze bardziej rozwścieczył Hama. Nienawidził, gdy ojciec nazywał go synkiem, ale jeszcze gorzej znosił jego szyderczy śmiech.

— Nie dostaniesz tego, wiesz?! — warknął, powiewając zdjęciami dokumentów znalezionych w sejfie w klinice. — Dni twej wszechmocy są skończone. Znalazłem twoją piętę achillesową i nie spoczne, póki nie zgodzisz się na moje warunki.

Twarz Thornburga poczerwieniała tak, jakby miał dostać apopleksji.

— Nikt nigdy nie dyktował mi warunków i nikomu się to nie uda.

Hamowi krew dudniła w uszach i czuł się tak, jakby w każdej chwili serce mogło odmówić mu posłuszeństwa. Miał dość rozkazów starego. I nie potrafił już żyć normalnie, wiedząc o tym, co Thornburg zrobił i co nadal robi.

— Wpędziłeś się w ślepy zaułek. Przyjęcie moich warunków jest prostym sposobem wyjścia — powiedział. — Złamałeś tak wiele praw, że nie pokuszę się o ich wyliczenie. Czy masz pojęcie, że prokurator generalny oszaleje z radości, jeśli dostanie ten materiał?

— A jak to by się miało stać, synku?

— Dam mu go! — Ham krzyczał mimo obietnicy, że załatwi tę sprawę spokojnie. — I nie nazywaj mnie synkiem!

— Kiedy ty przestaniesz zachowywać się jak dziesięcioletni skaut, ja zacznę zwracać się do ciebie po imieniu. A któż to uczynił cię moim sędzią, ławą przysięgłych i katem? Myślisz, że świat jest taki cholernie miły i porządny, iż wszyscy musimy dostosować się do twojego świętoszkowatego szablonu postępowania? Bzdury! Chaos jest prawem dzisiejszych czasów. Prawem uniwersalnym.

— Nie ja stworzyłem koncepcję moralności! — rzucił porywczo Ham. Był świadom, że ojciec zmienił układ sił, zmuszając go do osądzania swego postępu. — Jeżeli wszystkie kultury ludzkości posiadają jakiś element wspólny, to jest nim moralność.

— Powiedz to Arabom albo Japończykom. Ani jedni, ani drudzy nigdy nie słyszeli o moralności.

— Mylisz się — powiedział Ham, desperacko zastanawiając się, jaM wrócić do tematu perfidii ojca. — Może ich moralność nie całkiem odpowiada naszemu pojęciu, ale...

— Bzdury! Tracisz czas na obronę tych, którzy na to nie zasługują. Własny syn odmawia mi tego samego.

— Na miłość boską, mówisz tak, jakbym był tylko tym jednym: twoim synem.

— Tak jak ja byłem synem swego ojca.

— Nie, nie, nie! — Ham zerwał się od stołu. — Nie jestem twoim synem, już nie!

Thornburg spojrział nań spod daszka żeglarskiej czapki.

— A czym byś był beze mnie? Masz pojęcie? Wątpię. Dzięki moimi znajomościom dostałeś się do szkoły przygotowawczej, do college'u, do

akademii. Dzięki tym samym wpływom znalazłeś się w Tokio, na wygodnej i cieplej posadce. Potem wyciągnąłem cię z wojska i wpakowałem do Obrony... Pytamy, co zrobiłeś na własną rękę? Poślubiłeś piękną, lecz nic niewartą kobietę, która nie dała ci żadnej przyjemności, nie potrafiła docenić życia, jakie jej zapewniłeś, i która żywi niewielki szacunek dla łączącej was przysięgi, skoro pozwala ci gonić się jak kocur w rui. A zresztą dlaczego miałyby być inaczej? Ten instruktor tenisowy udziela *jej* takich lekcji, że nawet ja jestem pod wrażeniem.

— To nieprawda! — krzyknął Ham, chociaż w gruncie rzeczy nie był zaskoczony ową nowiną.

— Jasne, że prawda — rzucił beztrosko Thornburg. — Ja też mam zdjęcia, synku. Chcesz obejrzeć? — Znow zaniósł się śmiechem, doprowadzając tym Hama do szału.

Ham pamiętał podobne kłótnie między rodzicami, których wysłuchiwał jako dziecko, i nadal czuł ból, jaki sprawiał sobie wbijając z całych sił paznokcie w dłonie.

— Chryste, to jest złe! To jest gorsze niż złe!

— Dość! — Thornburg trzepnął rękoma o stół, aż podskoczyły sztućce i aluminiowe puszki. Piwo wychlusnęło na blat, pieniąc się niczym kwas. — Wykradłeś moje sekrety i ja chcę je odzyskać. Przestańmy filozofować i przejdźmy do rzeczy.

— Do czego?

— Do interesów, ty ignorancie! — warknął Thornburg z błyskiem wściekłości w oczach. — Powiniennem złamać ci rękę za to, że włamałeś się do mego sanktuarium, ale fakt, to wymagało jaj. Nie sądziłem, że je posiadasz. Zatem punkt dla ciebie. Ty masz towar, którego ja potrzebuję, a ja wpływy, które są potrzebne tobie. Wygląda na to, że mamy solidną podstawę do ubicia interesu, więc darujemy sobie te bzdury o moralności, zażegnajmy to piekło i zajmijmy się interesami.

Ham wiedział, że od samego początku niewłaściwie rozgrywał ten gambit. Wlepiął oczy w swego ojca tak, jakby widział go po raz pierwszy, co w pewien sposób nie odbiegało od prawdy. Był głupcem, wierząc, że zdoła jakoś doprowadzić do kompromisu. Zamiast tego stało się nieuniknione: Thornburg zmuszał go do dobicia targu, w którym nie było miejsca na moralność. Rozumiał teraz, że dla ojca moralność była luksusem, na który

mimo wszystkich swych pieniędzy i wpływów nie mógł sobie pozwolić. Może było tak właśnie z powodu tych pieniędzy i wpływów, wykluczających po prostu możliwość istnienia czegoś takiego jak moralność.

Ta odkrywczwa myśl była tak przytłaczająca, że poczuł się niczym rażony piorunem.

Chryste — westchnął — jak to się stało, że wychowałem się w jego domu? Jak matka mogła się z tym godzić?

Ale oczywiście wiedział. Thornburg Conrad Trzeci miał charyzmę, której trudno było się oprzeć, nawet kiedy ktoś zaczynał podejrzewać, iż jej źródło jest mroczne i budzące grozę jak samo piekło.

Zrozumiał — i wiedział, że powinien dostrzec to dużo wcześniej — że ma tylko jedno wyjście. W chwili, w której by usiadł przy stole z Thornburgiem i zaczął uzgadniać warunki kompromisu, byłby zgubiony; stałby się po prostu kolejną muchą zwabioną w połyskującą sieć, w którą wpadło tak wielu innych.

— Nie — powiedział. Światło słoneczne odbijało się od pokładu i falowało, oślepiając go. Starał się nie cofać przed posępnym spojrzeniem ojca. — Nie ma kompromisu, nie ma ubijania interesu. Istnieje tylko jeden sposób na powstrzymanie cię. Pójdę z dowodami do prokuratora generalnego.

— Nie bądź idiotą, Ham. Nigdzie nie pójdziesz. Oryginały zostały spalone, a kiedy dasz mi negatywy i wszystkie odbitki, dowody przestaną istnieć.

Ham trzasnął pięścią w stół.

— Jezu Chryste! Oczywiście, że dowody nadal będą istniały! Dopóki będzie istniała ta ohydna klinika!

— Nie denerwuj się, synku. To nigdy nie przynosi niczego dobrego.

— Gównu! Przestań pieprzyć! — szczełnął Ham. — Możesz prawie morały każdemu, ale nie mnie. Już nie. — Odwrócił się na pięcie, kierując do elektrycznego kabestanu windy kotwicznej. — Czas wracać do portu.

— Donikąd nie wrócimy, dopóki ta sprawa nie zostanie załatwiona zgodnie z moją wolą.

— Ty już nie masz nic do powiedzenia w tej kwestii — rzucił Ham przez ramię.

— Jeżeli podejdziesz do kabestanu, użyję tego.

Ham zerknął w otwarte drzwi kabiny, gdzie Thornburg nadal siedział za stołem.

— Co to jest, do diabła?!

— A na co wygląda? To kusza, którą trzymam pod ręką na wypadek spotkania z rekinem.

— Masz zamiar jej użyć?

— Tylko wtedy, gdy mnie do tego zmusisz.

Ham milczał, patrząc na zadziory na czubku potężnej stalowej strzały, która z łatwością przebijała twardą skórę rekina. Thomburg rządził nim przez całe życie; jeżeli myśli, że jego pogroźki zdołają go powstrzymać, to czeka go niespodzianka.

— A teraz podejdź tu i usiądź, porozmawiamy....

Ham jednak pokręcił głową.

— Tobie chodzi tylko o jedno: żebym myślał, iż dostałem to, czego chciałem. Ale ty nadal będziesz robił to, co robisz. Nie, trzeba przerwać ten diabelski krąg!

— Nie mam zamiaru zamykać „Zielonych Gałęzi”, lecz obiecuję, że nie sprowadzę dalszych pacjentów, poprzestanę na tych, których już...

Ham wpadł we wściekłość, jakiej nigdy nie zaznał, nawet w gorączce wojny.

— Jak możesz mówić coś takiego! Co za niewiarygodny tupet! Zło zawsze pozostaje złem. Nie możesz powiedzieć: pójdę na kompromis i będę mordował sześciu ludzi zamiast tuzina, i spodziewać się, że to cię rozgrzeszy!

— Dlaczego nie? Nie mam nic przeciwko kompromisowi, Ham. To ty jesteś niechętny.

— Nie odwracaj kota ogonem. To dotyczy ciebie, nie mnie. Wszystko albo nic.

— Tak uważasz.

— Odłóż tę cholerną kuszę.

Wszystko albo nic nie jest propozycją do przyjęcia.

Bierzesz ją albo odrzucasz — powiedział Ham, kierując się do kabestanu.

— Trzymaj się z daleka!

— Pieprzę cię! — zaklął Ham, uruchamiając windę kotwiczną. — Nie będę zwracał się do ciebie per „sir” i już nigdy nie będę słuchał twoich rozkazów!

Harpun uderzył go prawie dokładnie między łopatkami. Rana sama w sobie nie była śmiertelna, ale impet pchnął go do przodu. Ham zatoczył się na reling, stracił równowagę i wypadł za burtę.

Thornburg rzucił kusze i skoczył na pokład. Przechylił się przez reling, gapiąc z natężeniem w wodę. Widział plamę krwi rozprzestrzeniającą się jak całun, potem na powierzchni pojawiły się plecy Hama; koniec strzały wystawał z nich jak złamana flaga.

— Chryste wszechmogący! — wyszeptał, patrząc na włosy syna falujące w wodzie niczym pędy lilii wodnych.

Wolf stał sam na długim, płaskim cyplu, który wdzierał się w nieskończony ogrom morza. Nad jego głową gnały pędzone coraz silniejszym wiatrem niskie, grzmiące chmury.

Nie, nie był sam. Dostrzegł sylwetkę na tle szkarłatnego nieba. Ruszył w jej stronę. Zdawało się, że cypel wydłuża się za jego plecami niczym jęzók gigantycznej bestii. Poza morzem o barwie stali, pochmurnym niebem i wąskim pasem ziemi nie było widać nic innego i Wolf miał wrażenie, że cypel jest ostatnim fragmentem lądu pozostałym w tym szalonym świecie.

Jednakże była jeszcze ta postać.

Zbliżając się poznał, że była to kobieta, Japonka, niezwykle piękna. Stała na najdalszym końcu cypla, przypuszczał, że patrzy na morze. Widział jej profil i uderzyło go jej podobieństwo do Minako.

Odwróciła głowę, chociaż był pewien, że nie czynił żadnego hałasu. Otaczała ją atmosfera niewysłowionego smutku, tak wielkiego, że chciało mu się płakać, a jednocześnie cechował ją rzadki spokój, spokój kamienia spoczywającego w stojącej wodzie bądź spokój ptaka na chwilę przed zerwaniem się do lotu.

— Jestem Hana — przedstawiła się. — Córnka Minako, przyrodnia siostra Chiki.

Co sprawiało, że czuł się tak, jakby znalazł ją przez całe życie?

— Gdzie ja jestem? Nie żyję?

— Twój umysł jest podłączony do biokomputera znanego jako Wyrocznia.

— Dotknęła jego piersi. — Masz w sobie truciznę. Stój spokojnie, wyciągnę ją.

Wolf chciał zadać pytanie, ale zamiast tego pomyślał o tym, jak Biały Łuk w podobny sposób uzdrowił jego ojca.

— Już, zrobione. — Hana kurczowo chwyciła jego rękę. Jej blada twarz zbieleła jeszcze bardziej. — Słyszysz to?

— Co? Wiatr się wzmaga.

— Nie. Nie wiatr. — Spojrzała na morze :— Coś innego.

Wolf odwrócił głowę, podążając wzrokiem za jej spojrzeniem. Przez szum wiatru przebijał inny dźwięk, jak pieśń żałobna czy lament, rodzący się krzyk, który zmroził mu duszę.

— Nadchodzi — szepnęła Hana.

Daleko, gdzieś głęboko pod welonem ołowianej wody, coś budziło się do życia; jej powierzchnia zaczęła nabrzmiewać w sposób tak powolny, że oko ledwie wychwytywało ten ruch.

— Co to jest? — Wolf wyczuwał życie w tym ciężkim pulsie morza.

— Coś czekającego na narodziny.

Strach w jej głosie był tak namacalny, że Wolf miał wrażenie, jakby ktoś trzeci stanął na przylądku.

— Wolfie, wysłuchaj mnie uważnie. Przyszłam tutaj z własnej woli, chętnie, ponieważ nie chciałam egzystować w realnym świecie. Czulałam się źle w ludzkim ciele, byłam nieszczęśliwa w tej skażonej rzeczywistości, którą stworzyła bezmyślna ludzkość. Przyszłam tutaj, aby znaleźć sanktuarium, zbadać nieskończoność, żyć w miejscu wolnym od zanieczyszczeń. Niestety, odkryłam, iż sama nie byłam od nich wolna i wirus, którego byłam nosicielką, z chwilą mego przybycia nieodwracalnie skaził ten świat.

— Hano, muszę wiedzieć...

— Nie, nie — przerwała błagalnie — daj mi skończyć, dopóki jestem w okresie jasności. Jest tak mało czasu. Wyrocznia i ja jesteśmy jednym i obie wpadamy w obłąd.

Na środku metalicznego morza pojawiło się wyraźne wybrzuszenie, jak gdyby niewyobrażalnie ogromny lewiatan ukryty pod powierzchnią napinał tkaninę oceanu.

Mówiła szybko, ale wyraźnie, i każde jej słowo cechował wydźwięk prawdy, która wynikała także z jego własnych obserwacji, prawdy tak przerażającej, że Wolf na chwilę został oszołomiony jej potwornością. Ciągle słuchał, coraz bardziej zaabsorbowany przedstawionym przez Hanę wyjaśnieniem tego, co się z nim działo i co może mu się wydarzyć. Zobaczył w niej przyszłość: przyszłość, przed którą ona chętnie — prawie samolubnie, jak podkreśliła — uciekła.

— Widzisz rodzący się wzór — powiedziała na koniec. — Widzisz przyszłość i to, co musisz zrobić.

Potem krzyknęła, ale dźwięk ten był stłumiony, jakby porwała go narastająca wichura. A potem lewiatan wyłonił się z głębin,

Ileż musiał mieć wyborów, ile sposobów, by mu się zaprezentować! Trzeba położyć kres tej chorobie; trzeba poznać niepoznawalne. I po to należało zwrócić się do Wolfa, mediatora, psychicznego chirurga.

Ale Hana wiedziała lepiej. Zrozumiała to, czego nie potrafiła zrozumieć Wyrocznia: że to sama matryca Wyroczni doprowadzała ją do obłądzenia. Na tym polegał nieskończony smutek tego nowego świata — i nieskończona ironia. Dowiedziała się, że — przynajmniej dla niej — nie było wyjścia. I dla Wyroczni też nie byłoby żadnego egzystencjalnego katharsis. Sens, którego tak rozpaczliwie poszukiwała, wykraczał poza jej zdolności pojmowania.

Niebezpieczeństwo jest w życiu. Nie w śmierci.

Wolf wiedział, co to znaczy, Hana bowiem w ostatnich chwilach jasności wyjaśniła mu to.

Lewiatan unoszący się z głębi miał wiele głów. Piękne czy ohydne, wszystkie naraz zwróciły się w jego stronę i przypatrywały mu się uważnie. Było ich tak wiele, że prawdopodobnie nie zdołałby ich zliczyć, nawet gdyby został w tym szalonym świecie przez rok. Głowy zajęły cały świat.

Wolf zamknął oczy, wezwał makura no hiruma / wsunął w atramentowy ocean długi, szczupły palec mocy. Palec penetrował Wyrocznię i „oglądał” ideowy schemat jej układu LAPID. Wolf nie widział w tym żadnego sensu i przez chwilę czuł, że ogarnia go panika.

— JA UZDROWIŁAM CIEBIE. TERAZ TY POMÓŻ MI ŻYĆ, ZROZUMIEĆ.

Dał sobie spokój z obwodami, słuchał, obserwował, dotykał — i czuł bicie jej serca — czy coś, co uchodziło za puls życia, skoro Wyrocznia nie miała serca. Ale jak wszystkie żyjące istoty miała rdzeń, bez którego nie mogła przeżyć, i Wolf teraz pojął, dlaczego jej świat ukazał mu się w postaci ogromnego oceanu. Wyczuł puls regularny jak przyływy i fale energii o wyraźnym rytmie. Skoncentrował się i rozpoznał rytm własnego umysłu i wszystkich ludzkich istot: rytm podobny do fali synaptycznego zapłonu, występujący w czasie marzeń sennych.

Makura no hiruma, którą Wyrocznia wyluskała z DNA Yuji i tego, co pozostało z Hany, wymuszała na niej te szaleńcze sny. Lewiatan pod powierzchnią metalicznego oceanu, był tak obłąkany, jak tylko może być obłąkana żywa istota. Straszliwa moc makura no hiruma zbyt szybko stworzyła zbyt wiele możliwości, co doprowadziło tworzący się „mózg” do

Szaleństwa. Był on tylko quasi-organiczny, lecz jednocześnie prawie tak skomplikowany jak ludzki. I pod wieloma względami bardziej wydajny, szybszy, lepszy.

Ale był jeszcze w powijakach, rozmarzony, przedwcześnie rozwinięty i podatny na zranienie, całkowicie niezdolny do zasymilowania darów zawartych w DNA Yuji i psychice Hany. I gdy potężny umysł Wyroczni przejął to, co pozostało ze świadomości Hany, jej makura no hiruma pochłonęła go.

Głosy domu wariatów. Wolf czuł gwałtowny napór irracjonalnych myśli, gdy zaczął podłączać się do matrycy Wyroczni. Przez jeden obłądny moment stał się wieloma twarzami. Wisiał zawieszony w próżni, prawie zniknął, nieomal rozpuścił się w tym szalonym świecie, sam prawie popadł w obłąd...

W ostatniej jednak chwili skoncentrował się, wspomniał kakofonię głosów, jakie słyszał, dotykając umysłem jaźni wielokrotnych morderców, których przywołał przed oblicze sprawiedliwości. To było w innym życiu, lecz zdobyte wówczas doświadczenia przydały mu się tutaj.

Ignorując dezorientujący chaos, wsunął swoją makura no hiruma głębiej w matrycę i przerwał podstawową kadencję Wyroczni, spaczył rytm jej serca, zmieszał z wzorem jej synaptycznego zapłonu.

— Tylko tak mogę ci pomóc.

I zrobiwszy to, uwolnił ją od cierpienia. Zrobiwszy to, zabił Wyrocznię.

Kiedy Thomburg Conrad Trzeci wrócił do swej willi w Magnolia Terrace Country Club, poczuł się tak, jakby ucierpiał w wyniku wybuchu atomowego. Miał w ustach smak zdrady, wirus sprzeniewierzenia wywraçał mu żołądek.

Wściekłość i cierpienie wstrząsały nim tak, jak zawierucha szarpie drzewami. Zwalił się na fotel i schował twarz w dłoniach. Nie zapalił światła; wołał siedzieć w chłodnej ciemności willi.

Wszyscy zwrócili się przeciw niemu, ale dlaczego między nimi musiał znaleźć się ten, na którym polegał najbardziej? Dawno temu spisał na straty wszystkie swoje dzieci, które wypychał z gniazda w prawdziwy świat tylko po to, by odkryć, że musi wyciągać je z niewyobrażalnych kłopotów, takich jak romans z żoną szefa czy poślubienie niewłaściwej kobiety, grożącej przez prawników, że obedrze męża z ostatniego centa.

Żadne z nich poza Hamem nie było warte złamanego grosza. Dlatego Thomburg pomagał mu zrobić karierę, dlatego wykorzystywał stare

znajomości z czasów szkolnych w Waszyngtonie. Chciał zapewnić ulubionemu synowi pozycję odpowiednią do jego inteligencji i siły moralnej.

Thornburg zwłókł się z fotela i podszedł do barku. Wybrał ciężką kryształową szklanekę i nalał sobie whisky z wodą sodową. Wypił jedną trzecią naraz, jak gdyby było to lekarstwo — czym w rzeczy samej w tej chwili było.

Musiał przywyknąć do życia w tej willi, otoczonej przez tereny golfowe i las. Rozległy kamienny fiom w Wirginii, który za życia Tiffany był jego domem, już nie wydawał się tak wspaniały. Nie kończący się ciąg pokoi, miękkie stąpanie służby, która, jak podejrzewał, szpiegowała go i plotkowała na jego temat po kątach, stały się teraz dla niego nieznośnym brzemieniem.

Chryste, to wyglądało jak koniec! Koniec wszystkiego! Pociągnął kolejny długi łyk. Za kogo uważał się Ham, włamując się do sejfu w „Zielonych Gałęziach”, by sfotografować tajne dokumenty dotyczące eksperymentów przeprowadzanych w klinice? Oczywiście, eksperymenty nie były zgodne z prawem. Ale kto ustanawia prawa? Thornburg miał zbyt dużo do czynienia z tymi idiotami z Kapitolu, by czuć do nich cokolwiek poza pogardą. Ci, których arterie nie były jeszcze stwardniałe na tyle, by odciąć dopływ tlenu do mózgu, byli tak skorumpowani, że nigdy nie wysuwali pysków z rzeki łapówek, która zapewniała im pewny powrót do uprzywilejowanych synekur.

Główną wadą Harna była jego niezdolność do wykroczenia poza arbitralne prawa ludzkości. Gdyby to zależało od niego, Thornburga, nikt nie mógłby narzucać sztucznego porządku chaosowi wszechświata.

Wypił następny łyk i zadrzał. Wspomnił, jak wyciągnął ciało syna z wody, owinał je w zapasowy, przyniesiony z dołu żagiel, owiązał sznurem, obciążył pomocniczą kotwicą, którą odpiął z łańcucha. Dopiero po rym, jak przerzucił pakunek przez burtę, zdał sobie sprawę, że zapomniał odmówić modlitwę. Próbował wybełkotać jakieś słowa, ale nic nie przychodziło mu na myśl.

Jęknął cicho, czując w ustach smak krwi, i podreptał do sypialni, gdzie pod dnem szuflady nocnego stolika czekało serum.

Był przy łóżku, gdy zdał sobie sprawę, że ktoś siedzi na krześle tuż obok nocnego stolika.

— Kto tu jest? — zapytał głosem przestraszonego starca.

— Nie poznajesz moich perfum?

Thornburg odwrócił głowę, jego nozdrza rozděły się.

— Stevie? — zapytał niepewnie. — Odwołując kolację, powiedziałaś, że wracasz do Nowego Jorku. Co tu robisz?

— Czekam na ciebie.

Jakaś twarda nuta w jej głosie sprawiła, że stał się czujny. Co się dzieje? Natychmiast opanowała go panika. Czy Ham pokazał Stevie dowody wykradzione z sejfów w klinice? Nie, to niemożliwe. Ham nawet nie wiedział, że ich coś łączy. Wydało się, że z każdym dniem staje się coraz większym paranoikiem. Musiał zrobić sobie zastrzyk, ale jeszcze bardziej potrzebował rezultatów pracy Wolfa — tajemnicy świata tej suki Minako, tajemnicy długowieczności i wyjątkowej władzy.

— Cieszę się, że tu jesteś — wydusił po chwili.

— Może zmienisz zdanie, gdy usłyszysz to, co mam ci do powiedzenia.

— Nie rozumiem.

— Odkryłam, dlaczego nigdy nie zdradziłeś się z tym, co łączyło cię z moją siostrą.

— Stevie. — Zrobił ostrożny krok i przysiadł na skraju łóżka. — Twoja siostra nie potrafiła stawić czoła nadciągającej starości, wiesz dobrze. Kiedy dowiedziała się, że przeprowadzam eksperymenty, których celem jest zahamowanie procesu starzenia, błagała, bym pozwolił jej wziąć w nich udział.

— I z własnej woli stała się królikiem doświadczalnym.

— Tak.

— I wiedziała, czym ryzykuje.

— Oczywiście. Próbowałem wybić jej to z głowy, ale...

— Mam listy, które do ciebie pisała.

— Ach! — Widział zarys jej policzka i czoła w świetle sączącym się przez drewniane okiennice i muślinowe zasłony. Teraz doskonale wiedział, gdzie była, jak daleko od niego.

Potrząsnął głową.

— Muszę zrobić sobie zastrzyk. — Postawił szklankę na stoliku i otworzył dolną szufladę.

Stevie poczekała, póki nie odsunął fałszywego dna. Zanurzył rękę w schowku, a po chwili zapalił lampkę przy łóżku. Zamrugał, osłepiony nagłą jasnością.

— Tego szukasz?

Widział Stevie wyraźnie. W spodniach khaki, kremowej koszuli i rozpiętej baseballowej bluzie ze skóry i wełny wyglądała całkiem ponętnie. Normalnie

zająłby się podziwianiem jej długich nóg i bujnych piersi, ale w tej chwili bardziej interesowały go delikatne ręce w cienkich rękawiczkach z jagnięcej skóry, dlatego że w prawej spoczywał wojskowy colt kaliber 45, z którego Stevie celowała prosto w jego serce.

— Jesteś pewna, że nabity?

Stevie obdarzyła go chłodnym uśmiechem.

— Własnoręcznie załadowałam wszystkie komory.

— Z pewnością nie zechcesz użyć tej broni. Jesteś psychiatrą. Znasz konsekwencje takiego czynu, nie tylko w świetle prawa, ale dla własnej psychiki, nawet po latach. Poza tym nie zrobiłem niczego, za co miałabyś podnosić na mnie pistolet.

— Zabiłeś Amandę.

Thomburg wytrzeszczył oczy.

— Zwariowałaś. Dlaczego, u licha, miałbym...

— Umierała z powodu kuracji, jakiej ją poddałeś. Zamknij się! Nie zaprzeczaj. — Pokiwała głową. — Tak jak Tiffany. Tylko z Amandą był inny problem. Nad Tiffany miałaś całkowitą kontrolę. Gdzie jest jej ciało, Thomburg? W kostnicy? Nie. Nie było pogrzebu, nie było niczego. Założę się, że kazałeś tym nekrofilom w klinice pociąć ją na kawałki, a potem skremować. Pięknie — ładnie i bez kłopotliwych pytań zadawanych przez lekarza urzędowego. Po prostu jeden z twoich doktorków z kliniki wypisał akt zgonu... Z Amandą nie mogłeś tak zrobić. Ona żyła w prawdziwym świecie, poza twoim zasięgiem. Kiedy dowiedziałeś się, że umiera, nie mogłeś pozwolić, by zabrano ją do szpitala i dochodzono, czym ją nafaszerowałaś. Musiałaś ją zabić. Chcąc uzupełnić ten obrazek muszę dodać, że zorganizowałaś wszystko tak, by wyglądało, iż padła ofiarą włamywacza. Wiedziałaś, że wypadek tak nagminny w Nowym Jorku — szczególnie tam, gdzie mieszkała — nie wzbudzi nadmiernej ciekawości ani nie wywoła komentarzy.

— Skończyłaś? To pomysłowa historyjka, ale daję ci słowo, tylko historyjka. Nie wiem, kto ci wmówił te bzdury, lecz zapewniam...

— Zamknij się! — nakazała Stevie, tym razem ostrzej. Wstała, jak gdyby chcąc dać upust tłumionej zbyt długo wściekłości. — Sama dostrzegłam w tym twoją makiaweliczną intrygę. I nie potrafię zrozumieć, jak mogłam podziwiać to, w jaki sposób owijałeś ważnych, wpływowych ludzi wokół palca. Tak pokierowałaś karierą Mortona, tak zapewniłeś mi

wejście w świat, o którym zawsze marzyłam. Byłeś wielki, a ja byłam blisko ciebie, chłonąc twoje ciepło, grzejąc się w potędze twojej mocy. Byłam twoją przyjaciółką, wystarczało, że wymawiałam twoje imię, a złocone drzwi stawały przede mną otworem. Mój Boże, jak podniecało mnie przekraczanie ich progu! Zwykłam wyobrażać sobie, że jestem wychodzącą na scenę aktorką na Broadwayu. Jak bardzo wplątałam się w twoje kłamstwa! Faktycznie, byłam aktorką, ale nie tak, jak sobie na początku wyobrażałam. Żyłam kłamstwem, co dzień, co noc, a ostatnią kroplą było upodlenie się, wyparcie się samej siebie przed Wolfem. Patrząc na ten epizod ze strachem i wstrętem, których, jak podejrzewam, nigdy nie mógłbyś sobie wyobrazić, ponieważ to siebie się boję i siebie nienawidzę. Postąpiłam jak dziwka, zdobyłam zaufanie Wolfa, a potem nadużyłam go dla ciebie... W jednym miałeś rację: kocham Wolfa. I wierzę, że gdybyśmy mieli czas, on mógłby pokochać mnie. Ale, widzisz, nigdy do tego nie dojdzie, bo nasze stosunki od początku były fałszywe, splamione zdradą. Już nigdy nie ośmielę się spojrzeć mu w twarz i wyznać, co zrobiłam.

— Daj spokój, Stevie, nie bądź głupia. Lubilem Amandę. Była moją przyjaciółką. Współczułem jej. Było mi jej żal, ale widzę, że nigdy nie powinienem był dopuścić do włączenia jej w program badań kliniki. Czuję się strasznie po jej śmierci, lecz to naprawdę był przypadek. Zabiło ją miasto, Nowy Jork. To tragiczne, ale nie ma w tym niczyjej winy, a najmniej mojej.

— Nie jestem już zainteresowana tym, na ile sposobów potrafisz przekreślać prawdę.

— Stevie, jako psychiatra chyba powinnaś najlepiej zdawać sobie sprawę, że jesteś w tej chwili zbyt roztrzęsiona, by umieć oddzielić prawdę od fikcji.

— Powiedziałaś ci, żebyś się zamknął.

Stevie trzymała colta pewnie, mierząc prosto w jego serce, i Thomburg wiedział, że próba rozbicia jej byłaby zbyt ryzykowna. Naprawdę zaczynała go niepokoić. Potrzebował czasu, by poukładać jakoś w sobie to, co się stało na pokładzie słupa. Dojście z tym do ładu było dla niego niezwykle istotne...

— Czytając listy Amandy nagle zrozumiałam, że nie mam nic cennego — kontynuowała Stevie. — Moje małżeństwo stało się farsą pozbawioną miłości. Jest jedynie podtrzymaniem konwenansu, chociaż,

obecnie podejrzewam, że takie było mniej więcej od samego początku. Moja praca... no cóż, odczułam wzrastający brak więzi z pacjentami, a moje życie towarzyskie jest tak puste i pełne zakłamania, że chce mi się płakać. Wolf wzbudził we mnie jedyne znane mi od lat prawdziwe uczucie, prócz smutku, jaki czuję po śmierci Amandy, i zostało ono splugawione zdradą. Ostatecznie nie tylko ty jesteś zły, Thornburgu. Zło leży w nas, jak wnyki, które tylko czekają, by zatrzaskać się i uwięzić nas w ciemności ludzkiej duszy. Widzisz, siebie winię tak samo jak ciebie.

Jej ręka napięła się tak, że Thornburg zrozumiał, jak bardzo się mylił. Wiedział, że zamierza nacisnąć spust. Zbyt późno pojął, dlaczego musiała mówić. Żelazna logika miała ochronić jej psychikę przed urazem będącym nieuchronnym następstwem zastrzelenia człowieka.

— Mam listy, ale żaden sąd nie uznałby ich za dowód — mówiła Stevie. — Nie posiadam żadnego obiektywnego dowodu wskazującego, że ty kazałeś zamordować moją siostrę, ale wiem, iż jesteś odpowiedzialny za jej śmierć. Nie mogę z czystym sumieniem pozwolić, by uszło ci to na sucho. Me mam wyboru i nie mam nic do stracenia.

Na ułamek sekundy przedtem, nim pociągnęła za spust, Thornburg porwał kryształową szklankę z nocnego stolika i cisnął nią w Stevie. Szklanka trafiła w ramię.

Siła wybuchu rzuciła Thornburga na łóżko. Kula utkwiała w klatce piersiowej tuż poniżej serca. Stevie krzyknęła na widok krwi ciekącej z rany i wsiąkającej w narzutę. Oczy Thornburga były rozszerzone i wytrzeszczone, ale ona nie mogła w nie spojrzeć.

Zaczęła drżeć i szlochać bez opamiętania. Była tak przerażona widokiem krwi — symbolem tego, co zrobiła, że w popłochu uciekła z willi. Wpadła między drzewa na skraju pola golfowego i dopiero wtedy zdała sobie sprawę, że nadal ściska w rękę pistolet. Rzuciła go w krzaki i potykając się, pobiegła do wynajętego wozu.

Była oszołomiona, lecz na tyle opanowana, by prowadzić ostrożnie, przestrzegając ograniczenia prędkości i świateł. Zatrzymała się przy pierwszej napotkanej budce telefonicznej, znalazła drobne i zadzwoniła na policję. Złożyła doniesienie o morderstwie, nie identyfikując ani Thornburga, ani siebie. Głos po drugiej stronie zaczął zadawać pytania, więc szybko odwiesiła słuchawkę.

Kiedy wyszła z budki, upadła na kolana i zwymiotowała. Osłabiona wróciła do samochodu i usiadła z rękoma opartymi bezwładnie na kierownicy,

patrząc w nieskończoną pustkę nieba. Słyszała jedynie cichy pomruk pracującego na luzie silnika.

Jej umysł powoli zaczął funkcjonować normalnie. Jedną rzeczą było planowanie morderstwa, przekonywanie się, że jest usprawiedliwione, a całkiem inną — popełnienie go. Morderstwo jest morderstwem i, jak Stevie zaczynała odkrywać, zawsze wynikają z tego jakieś konsekwencje.

XX

TOKIO

Noc i metropolia.

Nowoczesne Tokio jest metropolią opanowaną przez zmierzch melancholii, możliwy tylko w społeczeństwie nadal pogrążonym w całkowitym rozpamiętywaniu klęski. Społeczeństwo to również cechuje się bezkrytycznym przyjmowaniem pustych symboli, czy to w formie reklamowego konsumpcjonizmu, czy też w bezmyślnym uwielbieniu gwiazd muzyki pop, co użycza dodatkowej siły wyrazu stylizowanemu smutkowi jego ultranowoczesnej fasady.

Wolfa, który skradał się po Tokio bezszelestnie niczym swój imiennik, uderzyło to, jak obca i jednocześnie jak zamierzona jest ta forma architektury. Nie pozwalała na żadne interpretacje, żadne ozdobniki, żadną możliwość kompromisu. Była twarda i zdecydowana niczym samuraj.

Wolf przebył długą drogę od szalonego świata Wyroczeni. Był Wyroczeni. Pomyślał o Hanie, nareszcie wolnej.

Nigdy nie był taki szczęśliwy, poruszając się w ciemności; jaskrawe pionowe proporce neonów Ginzy zostały daleko za nim, perłowa luna lśniła na nocnym niebie jak fałszywy świt bądź wieczysty zmierzch.

Czuł melancholijny smutek piękna tuż po jego rozkwicie, smutek przelotnego szczęścia, smutek upadku, który nieubłaganie następuje po młodości.

Myśląc o tym, wspominał Hanę, smutną i samotną, uchwyconą w pułapkę piekła dzisiejszych czasów, przynajmniej częściowo będącej jej własnym dziełem. Miał wrażenie, że Hana chciałaby, aby zrozumiał sposób, w jaki Tokio jawiło mu się tej nocy.

Światło i sylwetka Chiki.

Z pogrążonego w cieniu punktu obserwacyjnego patrzył na wejście do „Zakazanych Snów”, gdy karlica w męskim garniturze wprowadziła Chikę do środka. Drzwi zamknęły się, a ulica roziskrzyła w światłach nadjeżdżającego pojazdu. Potem samochód przemknął obok i znów zapadła ciemność. Błada poświata z Ginzy padała na tę stronę ulicy, sprawiając, że wyglądała ona jak część innego świata. W zasięgu wzroku nie było żywego ducha, ale Wolf słyszał wznoszący się i falujący męski głos przerywany wybuchami śmiechu: dźwięki niezrozumiałego dlań programu rozrywkowego, przeciskające się przez okno gdzieś w pobliżu.

Musiało do tego dojść: do wprowadzenia w życie ostatniego planu, tak niebezpiecznego, że tylko desperacja mogła nakłonić ich do podjęcia ryzyka.

Wolf zapamiętał godzinę, o której Chika weszła do „Zakazanych Snów”, i teraz minuty ciągnęły się jak guma do żucia, oplatały ciemność, wlokły jak cienie po fasadach budynków.

Pierwsza twarz, jaką ujrzał po przebudzeniu jakby z długiego snu, należała do Chiki. Nigdy na niczyj widok nie był tak szczęśliwy. Jakże on ją kochał! A teraz zastanawiał się, czy przypadkiem nie wysłał jej na śmierć.

Czas.

Tarcza jego zegarka żarzyła się żółto jak oczy wilka. Raz jeszcze sprawdził ulicę, poczekał, aż przejedzie kolejny samochód: jego światła przemknęły obok, ostrzelały budynki niczym reflektory w starych czarno-białych filmach z obowiązkową sceną ucieczki z więzienia.

Trzymając się najgłębszych cieni, ruszył w kierunku „Zakazanych Snów”. Przeszedł na drugą stronę jezdni, skręcił szybko za róg i, jak wcześniej uzgodnił z Chiką, idąc wzdłuż muru posesji skręcił raz jeszcze. Miał pochyloną głowę, przygarbione ramiona. Szedł szybko, zdecydowanie, z łokciami na zewnątrz jak Japończycy. Był zbyt wysoki, by można było pomylić go z miejscowym, ale nie mógłby też zostać wzięty za turystę.

Dotarł do fragmentu tylnej ściany, którą Czcigodna Matka wysadziła w powietrze, zobaczył drut kolczasty wtopiony w schnący beton; Przyspieszył, przezornie mijając to miejsce szerokim łukiem.

Znajdował się teraz na jednej ze starszych tokijskich wąskich uliczek, tak anonimowej, że nie miała nazwy. Nawet długoletni mieszkańcy miasta musieli często pytać o drogę w podobnych okolicach. Kiedy dotarł do fasady jednego z dwóch budynków „Zakazanych Snów”, rozejrzał się czujnie. Wzdłuż muru biegł wąski zaułek. Wolf wsunął się w jego mrok.

Rozwinął bandaż na lewej ręce, ponownie koncentrując *makura no hiruma* na ranach, które już goiły się w fenomenalnym tempie. Obecnie było widać jedynie czerwone pręgi. Wyprostował i zacisnął palce, nie czując żadnego bólu, jedynie przelotne drętwienie. Na wszelki wypadek włożył skórzaną rękawiczkę, dość miękką, by nie krępowała mu ruchów, i zarazem dość twardą, by chroniła zranioną dłoń.

Sięgnął do pierwszego żelbetowego występu, który według zapewnień Chiki powinien znajdować się na ścianie.

Na terenie „Zakazanych Snów” znajdowały się dwa budynki. W jednym mieścił się klub, w drugim pokoje Czcigodnej Matki. Łączyły je korytarze, a między nimi rozpościerał się wspaniały ogród, w którym Wolf rozmawiał z Czcigodną Matką.

Dotarł do połowy ściany. Podciągnął się na półce, która wydawała się niepewna, szukając kolejnego występu. Nie było żadnego.

Uważnie odchylił się w tył, rozwinął nylonową linę, przymocował na jednym końcu podobny do szponu hak z lekkiego tytanowostalowego stopu. Rzucił go w górę i przy drugiej próbie poczuł, że hak zaczepił się o brzeg dachu. Szarpnął kilka razy, by upewnić się, że trzyma mocno. Potem wciągnął się na dach.

Przykucnął na chwilę i wtedy stało się nieuniknione: ovladnęło nim wspomnienie dachu w Nowym Jorku, tak dalekiego, a jednak tak realnego w jego myślach, wspomnienie ulewnego deszczu, otarcia o nieznaną szaleńczej wściekłości, jednostronnej walki z mordercą Amandy, lotli przez świetlik...

Zamknął oczy, czując silny zawrót głowy. Co się z nim działo? Harta wyjaśniła mu pewne rzeczy, ale nawet ona nie wiedziała wszystkiego. Kto wie, jak długo przebywał we wnętrzu bioumysłu Wyroczni? Yuji powiedział, że minęło nie więcej niż kilka minut, ale, jak w czasie snu, zdawały się one godzinami.

Co naprawdę przydarzyło mu się podczas połączenia z Wyrocznią? Tajemnica. Czy pewne dane zostały przeniesione, czy jakaś część bioumysłu Została wcielona w jego świadomość?

Drżał, nie będąc w stanie kontynuować teraz tych dociekań.

Skoncentruj się na robocie — powiedział sobie. — W przeciwnym wypadku nie pożyjesz na tyle długo, by znaleźć odpowiedź.

Ponad nim piętrzyły się ogromne budynki miasta głoszące potęgę cudu ekonomicznego, który określał postmodernistyczną Japonię. Poniżej rozciągał się ogród, któremu udawało się zanegować istnienie nowoczesnego świata, bo rośliny w nim rosły tak jak chciały.

A gdzieś między tymi dwoma światami czyhała kobieta, która chciała zostać cesarzową Ziemi.

— Tęskniłam za tobą tak bardzo, że aż mnie to przerażało — Czcigodna Matka wodziła zakrzywionym palcem po jego nagich piersiach. — Dobrze być w domu?

— Brakuje mi waszyngtońskich hamburgerów — powiedział Yoshida. — Przyzwyczyłem się do tamtejszego jedzenia. Odkryłem, że nikt tak nie przyrządza hamburgerów jak czarni.

Leżeli w jednym z wysłanych, tatami pokoiów na parterze drugiego budynku, który wychodził na ogród. Światła padające z pomieszczeń znajdujących się wokół ogrodu nadawały mu widmowy charakter: jego krańce były lekko rozświetlone, środek zaś pozostawał absolutnie ciemny. Czcigodna Matka sprzeciwiała się zapalaniu lamp w ogrodzie; światła zaburzały *ki* — wewnętrzną energię — tak skrupulatnie gromadzoną przez skały, mech, paprocie, drzewa i kamyki, jego naturalne elementy.

— A Conradowie, ojciec i syn?

Yoshida uśmiechnął się.

— Jak planety w uścisku entropii: nikt nie przeżyje bliskiego spotkania z nimi.

— Wspaniale! — Czcigodna Matka klasnęła w dłonie jak pięcioletnie dziecko. Pochyliła się i pocałowała Yoshidę w obojczyk. Obnażyła białe zęby, szczypiąc jego skórę tak mocno, że spomiędzy jej warg popłynęła krew, a oczy Yoshidy zamknęły się.

— Zraniłam cię — powiedziała.

— Nic nie czułem.

Objął ją i scałował krew z jej ust.

W ich zachowaniu było coś rytualnego. Rytuał stanowił nieodłączną część ich stosunków. Jak w wypadku matki i syna, guru i akolity, biskupa

i kapłana, pytania i odpowiedzi były dyktowane nie tylko przez kontekst indywidualny, ale przez szerszy, narzucany przez daną rolę.

— To jednak czujesz.

Nawet się nie skrzywił.

— Tak.

Czcigodna Matka słyszała miękki syk jego oddechu, a gdy położyła dłoń na jego piersi, poczuła pot.

— Gdybym raniła w ten sposób kogoś innego, już dawno czołgałby się na kolanach.

Jego nozdrza rozszerzyły się; była to jedyna oznaka wskazująca, że czuje szarpący nerwy ból, jaki mu zadawała.

— Łącznie z Nishitsu.

— Tak. — Czcigodna Matka wsłuchiwała się w jego oddech z obiektywną ciekawością. — Wytrzymałość nigdy nie była jego mocną stroną. — Jej długie palce przesunęły się po gładkich mięśniach ramienia Yoshidy. Potem odwróciła się. — Nawiasem mówiąc, Nishitsu powinien już tu być. Wezwałam go dziesięć minut temu.

— Może jeden z klubowych chłopców zaprząnął jego uwagę.

Czcigodna Matka zachichotała jak nastolatka.

— Chciałbyś spędzić z Nishitsu godzinę sam na sam, prawda?

— Chcę jego oka.

Teraz Czcigodna Matka wybuchnęła prawdziwym śmiechem.

— Myślisz, że gdybyś je zjadł, to przejąłbyś jego moc?

— Czy nie tego mnie nauczyłaś?

Czcigodna Matka na chwilę zamknęła oczy.

— Dałabym wiele, by to zobaczyć. Może powinnam wyrazić zgodę.

Yoshida wpatrywał się w nią, rozważając ten pomysł.

— Nishitsu koordynuje działalność Toshin Kuro Kosai na całym świecie. Być może nie mogłabyś pozwolić sobie na jego utratę.

— Nie można tak do końca polegać na jednej osobie. To odrywa cię od tego, co trzeba zrobić, i daje innym fałszywe pojęcie o władzy. Być może Nishitsu i ja jesteśmy na tym etapie.

— Ale ty, Czcigodna Matko, jesteś jednak tylko kobietą. Potrzebujesz Nishitsu, by utrzymać Toshin Kuro Kosai....

Stęknął i zadygotał, gdy ból przepłynął przez niego z oślepiającą siłą. Czcigodna Matka spowodowała skurcz naczyń na jego karku, a to sprawiło, że strzały bólu ostre niczym odłamki szkła przeszły jego mózg.

— Proszę, przyjmij moje przeprosiny — wycharczał, gdy już mógł mówić. — Po prostu chciałem wykazać możliwe konsekwencje wynikające ze zrezygnowania z usług Nishitsu.

— Podawanie w wątpliwość mych zdolności jest głupotą — rzekła Czcigodna Matka z miną kota spijającego śmietankę. — Już zatopiłam szpony w jego mózgu. Dzień po dniu wysysam jego *makura no hiruma*. On nadaje się tylko do tego, by służyć mi jako pożywienie. Sama zajmę się resztą, gdy nadejdzie odpowiednia pora.

Yoshida miał zamiar powiedzieć, że jeżeli nadal chce kontrolować członków Stowarzyszenia Czarnego Ostrza zajmujących wysokie stanowiska w koncernach światowych, to będzie potrzebowała kolejnego marionetkowego szefa, kiedy Czcigodna Matka wbiła mu paznokcie w ramię i podniosła głowę.

— Na dachu jest jakieś zwierzę.

Yoshida podążył za jej wzrokiem i zadarł głowę.

— Niczego nie czuję.

— Ja też nie. A jednak tam jest. Ostatni okruch przyszłości, który mogę zobaczyć, tak mi mówi. Przynies mi to zwierzę do Pokoju Pięciu Cieni — szepnęła Czcigodna Matka.

Wolf wyprostował się, zwinął nylonowy sznur i ruszył szybko po smołowanym dachu. Wokół, niczym zmutowane rośliny, pięły się anteny telewizyjne i paraboliczne anteny cyfrowego systemu łączności satelitarnej. Niżej widniały kratownice, które Wolf uznał za elementy systemu wentylacyjnego.

Prawie dotarł do przeciwnej strony dachu, poniżej której leżał ogród, gdy chwilowe zaćmienie percepcji powiedziało mu o spotkaniu z czyjąś *makura no hiruma*. Miała ona znajomy posmak, którego jednak nie potrafił od razu zidentyfikować.

Poczołgał się na brzuchu do skraj dachu, powoli wysunął głowę i zerknął w dół.

Zobaczył ciemne zarysy skał i drzew, wachlarze paproci, kopczyki mchu. Światło pełzło przez miniaturowy krajobraz ogrodu niczym syrop rozlany na blacie stołu. Wyczuł ruch znajomej aury i spróbował ją zlokalizować.

Zakotwiczył stalowotytanowy szpon, ostrożnie zsunął się po sznurze na gąbczaste podłoże ogrodu. Przyciskając plecy do największego głazu

obserwował sylwetki przesuwające się za drzwiami i oknami pokoi wychodzących na ogród. Zamknął oczy, wysunął promień swojej *makura no hiruma* i zataczał nią koncentryczne kręgi, dopóki nie natknął się na znajomą aurę.

Przypomnił sobie nakreślony przez Chikę plan rozkładu drugiego budynku. Widział, że ruchy obcej aury nie były bezcelowe. Chociaż jej właściciel nie był w stanie go wykryć, mógł domyślać się jego przybycia. I gdy Wolf skoncentrował się na aurze, wyczuł przeszkodę, która stała na drodze do pokoi Czcigodnej Matki.

Przypominało to rozgrywaną w ciemności partię szachów.

Wolf wsunął się przez uchylone drzwi do pustego pokoju. Było to typowe dla parteru drugiego budynku pomieszczenie: leżące na podłodze tatami, stiukowe ściany, małe szafki z ciemnego drewna z ciężkimi okuciami z żelaza — styl japońskich minimalistów, bardzo stary i nigdy nie wychodzący z mody.

Zaczynał prawie całkowicie polegać na *makura no hiruma*. Teraz bardziej niż kiedykolwiek szybkie i bezgłośnie poruszanie się było absolutną koniecznością.

Podczas gdy Chika trzymała z dala niebezpiecznego Nishitsu, Wolf miał z chirurgiczną precyzją dokonać swoistej ekstrakcji — wyrwać obłąkaną Czcigodną Matkę z jej otoczenia. Pozornie wydawało się to niemożliwe. Ostatecznie już raz go pokonała, ale obecnie dysponował dodatkowym elementem, który mógł zagwarantować mu przewagę. Biokomputer, ratując mu życie, subtelnie zmienił jego *makura no hiruma*. Jak? Hana nie wiedziała i dla Wolfa nadal było to tajemnicą.

Czcigodna Matka musiała umrzeć. Fala zabójstw senatorów nie wygaśnie; zaostrożony projekt ustawy handlowej zostanie zatwierdzony i demontowanie amerykańskiej nadbudowy ekonomicznej będzie trwało bez końca, o ile jej się skutecznie nie powstrzyma. A kto poza nim odważy się to zrobić?

Ten plan miał tyle samo szans na powodzenie, co każdy inny, który obmyślili z Chiką. Ryzyko było ogromne.

On jednak był przyzwyczajony do ryzyka. „Co byłoby warte życie bez ryzyka?” — powiedział Peter Matheson pewnej nocy w Nowej Południowej Walii. Wolf, wspominając czas spędzony w Lightning Ridge, doskonale pamiętał gorejący w jego oczach dziki błysk. Ojciec żył dla ryzyka, ono utrzymywało go przy życiu. Nic dziwnego, że uciekł do Australii.

A czy syn Petera Mathesona był inny? Wolf, sunąc ostrożnie przez labirynt połączonych korytarzy i pokojów, wcale tak nie uważał. Znajdował się teraz we własnym Lightning Ridge, w miejscu, gdzie prawa cywilizacji były albo ignorowane, albo z premedytacją wyszydzane.

Panowie z Toshin Kuro Kosai świadomie wynieśli się ponad wszelkie prawa, jakie ludzkość ustanowiła w ciągu ponad dwóch tysięcy lat. Czy w pewien sposób już samo to nie czyniło ich obłąkanymi?

Zatrzymał się i obrócił. Odbicie drugiej *makura no hiruma* poruszyło się i Wolf też ruszył, wracając drogą, którą przyszedł, wciskając się we wnęki, gdy wyczuwał czyjaś obecność.

W końcu zbliżył się do pokoju, w którym siedział, stał czy kuczał ten drugi. Położył rękę na drzwiach *fusuma* i zawahał się chwilę. Czy mogła to być pułapka? Ale nie, przecież ci ludzie nie potrafili wyczuć jego aury. Ten drugi był wewnątrz, lecz nie mógł wiedzieć, że on jest tuż za drzwiami.

Przesunął *fusuma* ledwie o włos i zająknął. Zobaczył mroczne wnętrza oświetlone skąpo jedną lampą. Patrząc na cienie, padające na tatami, domyślił się, że ten ktoś stoi w rogu po lewej stronie. Przesunął drzwi jeszcze odrobinę i teraz widział, że był to jeden z wewnętrznych pokoi z jednym wejściem. To oznaczało, że będzie musiał błyskawicznie wtargnąć do środka i wykorzystać przewagę wynikającą z zaskoczenia.

Przykucnął z boku *fusuma*, oddychając powoli, czując krew krążącą w żyłach, pulsującą dziwną czarną moc i fale czegoś nowego, czegoś, co po powrocie z wewnętrznego świata Wyroczni od czasu do czasu wdzierało się w jego świadomość. Liczył sekundy.

Kopnięciem otworzył *fusuma* i wskoczył do pokoju. Przetoczył się jak kula po tatami, poderwał w przysiadzie, przygotowany na atak każdego, kto czaił się w pokoju.

Ale nie było nikogo. Jedynie w kącie stało lustro z wypolerowanego brązu. Podeszedł bliżej i w gładkim metalu zobaczył tylko własne odbicie. A jednak z lustra emanowała czyjaś aura.

Projekcja — pomyślał. — Ten sukinsyn potrafi projektować swoją aurę. Ale skąd...?

Wolf poczuł coś, zerknął w górę i zdążył zobaczyć tylko cień, gdy stopy błyskawicznie zacisnęły się z obu stron jego szyi. Ten sukinsyn ukrywał się pod sufitem!

W tej chwili, jakby niewidzialny palec nacisnął spust w jego głowie, rozpoznał aurę: należała do cienia, z którym walczył tamtej nocy na dachu budynku Amandy. Do cienia, który niemal go zabił i zamordował Amandę.

Chryste — pomyślał — więc to nie Kamiwara ani Suma.

Nawet nie znał nazwiska tego człowieka.

Lewa pięta Jasona Yoshidy trafiła go tuż pod uchem — był to cios *juka* jak zwą go adepci sztuk walki. Wolfowi zdrętwiała cała lewa strona ciała; ugięły się pod nim nogi.

Chciałby osunąć się na podłogę, lecz Yoshida potężnym chwytem trzymał go mocno, a jego stopy oplatały mu szyję niczym stryczek i zaciskały się coraz silniej, hamując dopływ krwi i tlenu do mózgu. Yoshida na zimno i skutecznie próbował pozbawić go życia.

Wolf zbyt mocno zaufał swojej *makura no hiruma*, zaniedbując podstawowe techniki policyjne. Powinien był spojrzeć na sufit w chwili, gdy pierwsze wrażenie kazało mu uwierzyć, iż pokój jest pusty. Jego *makura no hiruma* nie była nieomylna, a on nie był bogiem. Dobra lekcja, ale co mu po niej, skoro za parę minut będzie martwy?

Stęknął, gdy stalowy uchwyt Yoshidy zacieśnił się i szarpnął nim w górę tak, że jego stopy zatańczyły nad podłogą. Kołysał się to w tę, to w drugą stronę niczym marionetka w rękach szalonego lalkarza. Oczy zasły mu mgłą i nie potrafił już myśleć logicznie. Mrugał szybko, usta miał otwarte i charczał. Chciał podnieść ręce do szyi i zmusić Yoshidę do zwolnienia śmiertelnego uścisku, ale zdawały się one jak z kamienia, oderwane od reszty ciała. W głowie słyszał brzęczenie setek much wirujących nad padliną. Wiedział, że umiera. Mógł wyobrazić sobie własną twarz, białą z powodu odpływu krwi, wytrzeszczone oczy, sine wargi i inne, mniej uchwytnie na pierwszy rzut oka, oznaki nadchodzącej śmierci; widział tak wiele podobnych twarzy na koszmarnych ulicach Nowego Jorku.

„Wysaj krew z kamienia”.

Czyżby usłyszał jakiś głos w głowie? Nie był pewny, brzęczenie much było ogłuszające.

„Wysaj krew z kamienia”.

Słyszał to. Świadomość powoli zamierała i wydawało się, jakby na chwilę zasnął. Przebudź się! Znów usłyszał brzęczenie, zobaczył okrywający go czarno-czerwony całun.

Kamieniem było jego ciało. Tak, jego ciało. Przestań walczyć! Co? Przestań walczyć? Umrę. Teraz umierasz.

Przestał się szamotać, pozwolił, by ciało zwisło bezwładnie. I teraz cała *ki*, siła życia, wewnętrzna energia, skierowała się do centrum jego istoty. *Makura no hiruma* wezbrała w środku kręgosłupa i dotarła do podstawy mózgu. Wtedy strzeliła fontanna jaskrawych iskier.

Zerwał się czarny wiatr, a mroczna bestia owinęła się wokół nóg Yoshidy, szarpiąc ciało długimi zakrzywionymi szponami. Energia *ki* tryskała z taką siłą, że powietrze pociemniało, zagęściło się do konsystencji wody.

Yoshida zakasłał ciężko, zakrztusił się i puściwszy Wolfa, zwałił na podłogę.

Wolf leżał bez ruchu.

Oddychaj — rozkazał sobie. — Oddychaj!

Krew energii, którą wyssał z kamienia swego ciała, pomogła. Oddychał dolnymi partiami brzucha, jak nauczył go jego mistrz aikido. Odzyskaniu czucia towarzyszył jednak rozdzierający ból. Kark spuchł mu tak, że stał się trzy razy szerszy niż normalnie, posiniaczona skóra paliła go żywym ogniem, a mięśnie dygotały niekontrolowanie. Oddech znów stał się płytki.

Yoshida już się zbliżał. On również wyzwolił swoją *makura no hiruma* i w pokoju rozszedł się nieprzyjemny zapach, jak z otwartego ścieku.

Wolf zdołał podnieść się na kolana, lecz Yoshida był już obok niego. Wolf złapał go za prawy nadgarstek i szarpnął ostro, jednocześnie obracając się w prawo. Własny pęd Yoshidy wytrącił go z równowagi, a wtedy Wolf krawędzią prawej dłoni trzasnął go w wewnętrzną stronę stawu łokciowego.

Kość pękła prawie w tej samej chwili, gdy czoło Yoshidy zderzyło się i tatami. Wolf, nadal się obracając, przerzucił Yoshidę na plecy.

Wolf zaczął dyszeć. Muskuly ramion mu drżały, a brak tlenu spowodował dygotanie całego ciała. Wiedział, że gdyby Japończykowi udało się wstać, to załatwiłby go bez problemu nawet ze złamaną ręką.

Yoshida przetoczył się na brzuch i ociężałe dźwignął na kolano. Ból w szyi Wolfa był prawie nie do zniesienia. Japończyk z krzykiem rzucił się na niego. Wolf nawet nie podniósł głowy, zamiast tego wysłał w przeciwnika Czarną pięść mocy, ale przeciwnik próbował zablokować ją własną *makura no hiruma*. Zbyt późno jednak zrozumiał, że była to zmyłka. Wolf,

używając przeciwko Yoshidzie jego własnej sztuczki z projekcją, za pomocą brązowego lustra odbił własną aurę, jednocześnie wyprowadzając prawdziwy cios w osłabiony prawy bok Yoshidy.

Czarna pięść *makura no hiruma* uderzyła Yoshidę. Japończyk zdążył jeszcze wrzasnąć z przerażenia i to był koniec. Moc uderzyła weń niczym rozpędzona ciężarówka. Jego ciało przeleciało przez pokój, trzasnęło o stiukową ścianę. Krew buchnęła niczym z pękniętej rury, obryzgując ściany, tatami, *fusuma* i część korytarza. Krew skapywała z sufitu, pod którym Yoshida przyczał się, czekając na Wolfa.

Wolf zwałił się na plecy, na chwilę zamknął oczy i słuchał tego niesamowitego deszczu.

— Nie mam pojęcia, dlaczego Czcigodna Matka nie wykorzystała cię do kontrolowania twego przyrodniego brata — rzekł Naoharu Nishitsu.

Bo jest sprytniejsza od ciebie — pomyślała Chika, ale uśmiechnęła się i powiedziała:

— Yuji nigdy nie należał do tych, którzy słuchają rad kobiet

— Z wyjątkiem własnej matki — dodał ze śmiechem Nishitsu.

Czyhała na niego, gdy pędził przez wyludnioną kawiarnianą część „Zakazanych Snów”. Oczywiście, był w drodze do drugiego budynku; gdzie Czcigodna Matka siedziała niczym wielki pająk w środku swej sieci.

Musiła odwrócić jego uwagę od tego, co za kilka minut miało stać się po drugiej stronie ogrodu. Nie zazdrościła Wolfowi konfrontacji z Czcigodną Matką, ale wiedziała, że bez względu na wynik musi zostawić rozgrywkę im obojgu.

— Yuji nigdy nie chciał słuchać niczyich rad — ciągnął Nishitsu, — Co jest z nim nie tak? W swym szaleńczym dążeniu do maksymalnego indywidualizmu stał się niemal Amerykaninem. Jak może sympatyzować z Amerykanami? Przecież oni próbują nas zniszczyć.

— Zapominasz, że to Amerykanie uczynili nas takimi, jacy dziś jesteśmy, Nishitsu-san.

— Nie zapominam niczego, co dotyczy Amerykanów — odparł ze złością Nishitsu. — Czy myślisz, że mógłbym zapomnieć, co nam zrobili. Moja rodzina pochodzi z Hiroszimy. Ci, którzy przeżyli kataklizm, do dzisiaj noszą w sobie blizny. Ja sam nie mogę mieć dzieci. Nie mów więc przy mnie życzliwie o Amerykanach.

— Hiroszima i Nagasaki były dawno temu, Nishitsu-san, podobnie jak liczne okrucieństwa popełniane przez naszych dowódców i żołnierzy. Czy grzechy przeszłości mają nas dzielić do końca życia?

— Przeszłość nadaje kształt teraźniejszości — rzekł Nishitsu krótko.

— Nie można jej odrzucić.

— Ale nie trzeba w niej grzebać.

Nishitsu wpatrywał się w nią uważnie od pewnego czasu i Chika odniosła wrażenie, że jego opalowe oko przewierca ją na wylot. Jak gdyby na potwierdzenie jej domysłów, powiedział:

— Wybacz mi, Chiko, muszę iść. Jestem spóźniony na spotkanie.

Musiała coś zrobić.

— Czy zawsze uciekasz przed przegraną, Nishitsu-san?

— Słucham? Co ty mówisz?

Teraz naprawdę był zły, ale wreszcie poświęcał jej pełną uwagę.

— Wiesz, że mam rację — naciskała. — Jesteś po prostu zbyt zacięty, by się do tego przyznać. Trzeba przestać dążyć do zmiany świata, a zamiast tego zacząć dostosowywać do niego własne potrzeby.

Nishitsu chwycił ją i szarpnął ku sobie. Jego opalowe oko płonęło z furii.

— Co zrobił z tobą pobyt w Ameryce, Chiko? — Pociągnął ją w kierunku *fusuma* prowadzącego na korytarz. — Chyba pójdziesz ze mną. Czcigodna Matka powinna wysłuchać tych herezji z twoich ust.

Pchnął Chikę na korytarz i złapał ją za ramię. Minęli ogród i Chika wiedziała, że zmierzają do drugiego budynku. Musiała coś zrobić.

Zobaczyła rozsuwane drzwi, zaparła się i wyrwała Nishitsu. Prawie równocześnie rozsunała drzwi i rzuciła się do środka.

Schówek. Odwróciła się i siłą rozpędu trzasnęła plecami w półki ustawione pod tylną ścianą. Posypały się na nią puszki farby, środków czyszczących, rozcieńczalnika, pędzle, szmaty, papier ścierny i papierowe torby z piaskiem. Jedną z nich rzuciła w Nishitsu, ale uchylił się i odbił ją w bok.

Złapał Chikę i poderwał na nogi. Uderzył ją kilka razy w twarz.

— Jeżeli podniesiesz na mnie rękę — rzekł zimno — zabiję cię bez wahania. — Wyszczrzył zęby. — Myślisz, że nie wiem o twojej zdradzie? I o zdradzie twojej szalonej matki? — Czarne widmo jego *makura no hiruma* nappełniło ciasny schówek niczym dżin wypuszczony z butelki. — Pójdziesz ze mną do Czcigodnej Matki. — Spojrzał na nią

z ukosa i uderzył jeszcze mocniej; stłumione jęki bólu zaczęły sprawiać mu przyjemność. — Ty i twój cholerny brat Yuji, nigdy wam nie ufałem. Dlaczego miałbym ufać? To ja powiedziałem Czcigodnej Matce, że powinna mieć oko na Minako, i miałem rację. Cała rodzina Shian powinna zostać wytępiona. I bez wątpienia w końcu tak się stanie.

Uderzył japo raz ostatni, a ona wywróciła oczy i osunęła się na podłogę.

Wolf szukał Czcigodnej Matki, ale w pokojach na parterze jej nie było. Zatrzymał się na chwilę. Z początku uśmierzał nękający go ból za pomocą *makura no hiruma*, ale to wcale nie pomogło mu oddychać. Poza tym to nie ból był najgorszy. Atak Yoshidy uszkodził mu mięśnie, ścięgna i naczynia krwionośne na szyi. Ostrożnie zaczął uzdrawiać się *makura no hiruma*, lecz kosztowało go to wiele wysiłku. Podczas gdy ból cichł, a obrzmienie stopniowo malało, siły go opuszczały. Wiedział, że powinien odpocząć, ale nie miał pojęcia, jak długo Chice uda się zatrzymać Nishitsu. Musiał znaleźć Czcigodną Matkę i rozprawić się z nią, zanim cały budynek zostanie zaalarmowany i wszyscy obecni rzucą się na niego i Chikę.

Gdzie ona jest?

„Słuchaj” — szepnął głos w jego głowie.

„Na samym szczycie «Zakazanych Snów» — usłyszał głos Chiki - za drzwiami ozdobionymi dwoma feniksami...”

Ruszył szybko korytarzami, często skręcającymi pod kątem dziewięćdziesięciu stopni, by powstrzymać złe duchy od dostania się do pokojów. Znalazł schody i ruszył, pokonując po trzy stopnie naraz.

Pierwsze piętro, drugie, trzecie. Nad nim był dach. Czuł ciszę, gęstą tutaj niczym smoła. Okna były pootwierane, żeby w środku było chłodniej, ale nie wpadał przez nie śpiew ptaków. Najłżejsze tchnienie wiatru nie poruszało gałęziami delikatnych karłowatych klonów w ogrodzie poniżej.

Metodycznie przeszukał każdy pokój, pozwalając *makura no hiruma* jedynie na częściowe dostrojenie się do otoczenia. Pokoje były tutaj większe, bardziej luksusowe. Współczesne dzieła sztuki zachodniej przeplatały się z potężnymi kamiennymi rzeźbami, delikatnymi ręcznie tkanymi jedwabnymi dywanami i innymi, bardziej tajemniczymi przedmiotami z minionych wieków. Niewysłowione bogactwo rzucało się w oczy. Przeszukał najwyższe piętro, tak jak kiedyś mieszkanie Moravii

w innym czasie, w innym miejscu. Wtedy był kimś innym, innym Wolfem Mathesonem, a jednak sobą.

„Za szafą czarną jak noc” — powiedziała Chika.

Tak, to tu.

Wolf rozejrzał się po pomieszczeniu, które przypominało nieco przedpokój. Nie miało okien, a światło rzucały jarzeniówki przymocowane do nagich betonowych ścian. Poniżej stały antyczne chińskie stoły wotywnie z jakiegoś ciężkiego, ciemnego drewna.

Każdy cal kwadratowy blatów zastawiony był jaskrawymi miniaturowymi robotami. Były to zabawki, lecz ze względu na wiek mogłyby osiągnąć niezłą cenę w każdym japońskim domu aukcyjnym. Wszystkie miały ludzkie kształty; żaden nie przypominał robota Robbie`ego z „Zakazanej planety”, który był zaledwie dwunożnym kadłubkiem.

W tej ekspozycji mechanicznych zabawek było coś niesamowitego, może dlatego, że zaprojektowano je tak, by przypominały ludzi. Ich twarze zdawały się puste, jakby czekały na rozkaz swego generała; zimne fluorescencyjne światło podnosiło ich jaskrawe barwy do rangi technicoloru. Wolf pomyślał, że stosowne zaklęcie w jednej chwili może ożywić tę miniaturową armię.

Podszedł do szafy czarnej jak noc. Chika mówiła, że Minako przesunęła ją bez wysiłku, wsunął więc rękę za tylną ściankę i macając na oślep znalazł guzik. Wcisnął go i szafa przesunęła się w bok; za nią zobaczył drzwi wyrzeźbione w podwójne feniksy. Przyłożył dłonie do ich opierzonych piersi i pchnął. Drzwi stanęły otworem.

Wolf wszedł do pokoju pięciu cieni.

I zobaczył Chikę. Wisiała rozpięta niczym gwiazda, niczym sztandar na grubo ciosanych belkach sufitu. Była naga, obramowana przez olbrzymią tafelę szkła osadzonego w ścianie za jej plecami. Głowa opadła jej na piersi, Włosy były pozlepiane potem, a z tysięcy maleńkich ranek w jej ciele sączyła się krew.

Wolf wytrzeszczył oczy i wrzasnął.

Oczywiście, Czcigodna Matka chciała, by przeżył szok. Wiedziała, że to wyłączy jego system czuciowy, zablokuje synapsy mózgowie, zahamuje napływ danych z otoczenia. Dostała wszystko, na co liczyła.

Wolf poleciał w tył pod wpływem gorącego podmuchu czarnego wichru, trzasnął w wyłożoną cedrowymi deskami ścianę i znieruchomiał jak okaz entomologa. I teraz właśnie tym był.

— Mózg jest taką tajemniczą rzeczą — rzekła Czcigodna Matka. — Na swój sposób przezwyciężyłam śmierć, ale ileż innych tajemnic nadal czeka na mnie w głębi ludzkiego umysłu!

Wolf widział ją teraz, ale przerażony widokiem skatowanego ciała Chiki praktycznie nie zwrócił na nią uwagi. Tak jak zaplanowała.

— Muszę przyznać, że twoje zwycięstwo nad Yoshidą nieco zbiło mnie z tropu. Ostatecznie to ja go wychowałam i wyszkoliłam. On i Chika byli najbliższymi mi ludźmi. Zabiłeś Yoshidę i tak samo staniesz się odpowiedzialny za śmierć Chiki.

Podeszła bliżej. Teraz widział, że jest ubrana w kimono ze złotogłowiutkanej w mityczne czerwone i czarne zwierzęta.

— Niektórzy w Toshin Kuro Kosai mogliby uważać, że stanowisz zagrożenie. — Błysnęła złośliwym uśmiechem. — Ale ja widzę w tobie jedynie okazję, jaka zdarza się tylko raz w życiu. Nie chciałam cię zabić.

— O czym ty mówisz? Robiłaś wszystko, by to osiągnąć.

— Masz na myśli narkotyk, którym posmarowałam ostrze broni Sumy? Och, mylisz się. To miało cię jedynie ujarzmić, uciszyć twoje serce wojownika, podczas gdy ja zabrałabym cię do siebie. Łapiąc ostrze całą ręką, wchłonałeś zbyt wiele tego środka, to wszystko. — Pokręciła głową, lecz ani na chwilę nie spuściła z niego oczu. — Nie, źródłem prawdziwego zagrożenia twego życia jest Minako. Uważasz, że kłamię, ale zobaczysz, że jeśli uda ci się stąd odejść, ona z pewnością znajdzie cię i zniszczy. To logiczne, naprawdę. Zdołasz stąd wyjść tylko wtedy, gdy ja zginę, a wtedy ona będzie знаła prawdziwą siłę twjej mocy. Jeszcze tego nie rozumiesz, Tabula Rasa? To będzie znaczyło, że jesteś potężniejszy od niej, a ona tego nie zechce tolerować.

„Niebezpieczeństwo jest w życiu. Nie w śmierci” — przepowiedziała całkiem celnie Wyroczenia.

Czcigodna Matka wpatrywała się w jego twarz z pełną czułości troską. Uśmiechała się szeroko, jednocześnie wzmacniając uścisk. Wolf próbował zmusić się do myślenia, ale było to trudne jak chodzenie po ruchomych piaskach.

„I może tak samo niebezpieczne” — powiedział głośno w jego głowie.

— Oczywiście, istnieje tylko jeden sposób, by dowiedzieć się, jak naprawdę potężny jest twój dar. — Zatrzymała się przed nim.

Przez cały czas słyszał krew kapiącą z licznych ran, jakie zadała Chice. Chika żyje czy nie? — zastanowił się.

— Tylko jeden sposób.

Coś poruszyło się w pokoju, czarny, gorący wir zatańczył przed jego twarzą, a w myślach zobaczył czarne ostrze, tak wąskie i ostre jak skalpel.

— To prawda — mówiła Czcigodna Matka. — To jest skalpel. I nim zoperuję ci umysł, wydobędę tajemnicę twojej nadzwyczajnej *makura no hiruma*. Potrafię to zrobić. Całe lata spędziłam na doskonaleniu techniki chirurgii psychicznej. Czy mam pokazać ci kości tych, którzy odeszli przed tobą i których *makura no hiruma* jest teraz zmagazynowana we mnie? Wiesz, że mogę to zrobić. Oni są tutaj. TO towarzysze nocy.

Szła ku niemu, jej uśmiech był czuły jak uśmiech kochanki.

— Widzisz mnie, Tabula Rasa. I tym, co widzisz jest wielki silnik, który nigdy nie przestanie pracować, który w miarę narastania mego głodu staje się coraz potężniejszy. Ale wkrótce najem się do syta. Wszyscy inni obdarzeni mocą przestaną istnieć w Japonii. Moja władza będzie zupełna, bo nikt się nie sprzeciwi, a wtedy bez przeszkód będą mogła rządzić członkami Toshin Koro Kosai, działającymi wewnątrz największych światowych koncernów. Zyskam to, o czym nawet nie marzyła żadna kobieta w historii: władzę nad światem. Nieskończoną władzę!

Szaleństwo biło z jej oczu, wylewało się z ust. Wydzielała je niczym pot. Smród zepsucia czuć było w pokoju tak mocno, że Wolfowi zrobiło się niedobrze.

— Czas zacząć.

Zamknął oczy i w wyobraźni zobaczył błyszczący bezlitośnie czarny skalpel.

„Nie zamykaj oczu” — powiedział głos w jego myślach. Ale ostrze...

Otworzył oczy, zobaczył długie palce Czcigodnej Matki, które za chwilę miały objąć jego głowę. Usiłował się ruszyć ale nie mógł.

„Nie zamykaj oczu”.

Kolejna wiadomość z głębi umysłu. Od kogo? jak mógł ją słyszeć? Ogarnęła go chwilowa panika, pewnością, że jest tak samo obłąkany jak Czcigodna Matka.

Potem uspokoił się i wspomniał, że przecie ten tajemniczy głos podpowiedział, jak pokonać Yoshidę. „Nie zamykaj oczu”. Co to znaczy?

Psychiczny skalpel był przygotowany do pierwszego cięcia. Wolf spróbował wezwać swoją *makura no hiruma*, ale nie potrafił. Lotny piasek, w który rzuciła go Czcigodna Matka, Paraliżował jego ruchy.

Świadomość Wolfa była jakby zatopiona w bursztynie — nie mógł więc myśleć logicznie. Przypomnił sobie wiszącą Chikę.

Chika!

„Nie zamykaj oczu”.

Wzdrygnął się, ból przeszył jego ciało, gdy psychiczne ostrze dotknęło umysłu.

Spójrz na Chikę! Nie chciał, widok był okropny; oboje byli tacy bezradni.

Ostrze cięło jego mózg...

„Nie zamykaj oczu”.

Spojrzał na Chikę. Na pewno nie żyła — krew kapłała bez przerwy, musiała zebrać się już kałuża; popatrzył na tatami, leżące na podłodze, lecz nie zobaczył krwi.

Nie ma krwi!

Czarny skalpel wsunął się głębiej...

Nie ma krwi! Jak to możliwe?

„Nie zamykaj oczu”.

I wtedy poznał prawdę. Pokonując straszliwy ból, skupiając się na Chice i niczym innym, spojrzał znów w miejsce, w którym wisiała.

Chika zniknęła!

Oczywiście, że zniknęła; po pierwsze, od początku jej tam nie było. Czcigodna Matka omamiła go obrazem utworzonym energią *makura no hiruma*.

Szok i ból wywołane tym widokiem oszołomiły go, uczyniły bezradnym na dziesiątą część sekundy, której potrzebowała, by przełamać jego odporność i nad nim zapanować. Co za podstępny potwór!

Miał przystąpić do ataku, gdy raptem ożyły czerwone i czarne mityczne bestie wyhaftowane na kimonie Czcigodnej Matki. Smoki, uskrzydłone węże, chimery wszelakiego rodzaju skierowały ku niemu przerażające łby i z sykiem trysnęły strumieniami ognia, jadu, kwasu. Wtedy z cieni wyłoniła się postać tak znajoma, że aż zdrętwiał na jej widok.

Ojciec!

Peter Matheson, opalony i w dobrej formie, z odznaką teksaskiego rangera na spłowiej koszuli, zerwał z głowy kapelusz i jak zaswsze otrzepał nim kurz z poplamionych skórzanych ochraniaczy na spodniach. Wyszczrzył zęby do syna, a jego ręka pomknęła do kabury przy biodrze. Wyciągnął sześciostrzałowego colta i wpakował wszystkie kule w stworzenia, które Czcigodna Matka powołała do życia.

Przechodząc nad groteskowymi trupami, schował pistolet i wyciągnął suchą, stwardniałą dłoń.

— Dobrze cię zobaczyć, synu — powiedział. — Widzę, że mogę być z ciebie dumny.

W odruchu Wolf ujął rękę ojca. Rozdzierający ból przeszył mu prawe ramię, aż zadygotał i zęby mu zaszczekały. Spróbował uwolnić rękę, patrząc z przerażeniem, jak skóra ojca zaczyna odpadać, odsłaniając tysiące białych robaków toczących jego gnijące ciało. Potem one również znikły, pozostała jedynie naga, połyskująca ohydnie czaszka. Szczęki rozchyliły się i zatrzasnęły gwałtownie.

Wyszarpnął dłoń i widmo ojca, wydarte z jego wspomnień przez Czcigodną Matkę, przepadło. Groteskowe stwory również. Pozostała jedynie Czcigodna Matka z czarnym ostrzem gotowym do podjęcia przerwanej pracy.

Wolf osunął się na kolana i ledwo łapał oddech. Głowa bolała go straszliwie. Wiedział, że Czcigodna Matka rzuca przeciwko niemu swój cały przerażający arsenał. Teraz zaczął rozumieć, że każda taktyka ma wspólny cel: spowodowanie szoku. Czcigodna Matka niczym pająk przed pożarciem swoich ofiar paraliżowała je tą trucizną.

Spróbował wymazać z myśli Chikę, potwory, ojca. Byli oni jedynie wytworami jej *makura no hiruma* i mieli na celu zaburzenie jego logiki. Nie było to łatwe zadanie. Czcigodna Matka miała talent do sondowania psychiki i wydobywania z niej fragmentów, które mogły przynieść pożądany efekt. A on miał bardzo mało czasu. Już kolejne wyobrażenie zaczynało przybierać kształt i lśnić niesamowicie przed jego oczami. Mógł tego nie przeżyć.

Skupił się, koncentrując jedynie na źródle swej mocy.

Uwolniona *makura no hiruma* wzniosła się niczym czarna błyskawica, napelniła jego umysł, ciało, pokój. Przechodząc przez niego zagoiła zadaną przez Czcigodną Matkę ranę. Chwyliła czarne ostrze Czcigodnej Matki — esencję jej *makura no hiruma*, obnażoną do wykonania przerażającego zabiegu — i strzaskała je na tysiące połyskujących odłamków.

Wolf czuł, jak *makura no hiruma* Czcigodnej Matki próbuje uzdrowić się, by odeprzeć atak. Ogień rozbłysnął w jego głowie; dziesięć tysięcy szalonych os zawirowało w pokoju. Ale było zbyt późno. Jej czarne ostrze zostało bezpowrotnie zniszczone, maska jej człowieczeństwa opadła

i Wolf zobaczył to, co kryło się pod nią: pozbawiony skóry i kości ogrom jej szaleństwa.

Przez jedną krótką chwilę obłądana masa wiła się i jęczała, a Wolfowi dane było ujrzeć w przelocie, jak wyglądałaby przyszłość pod jej panowaniem. Potem kimono ze złotogłowiu stanęło w płomieniach, a potwory zanosły się szaleńczym wyciem.

Wtedy jego *makura no hiruma* zyskała pełną moc. Wysunął ją, złapał serce Czcigodnej Matki i ścisnął potężnie. Kobieta wrzasnęła, lecąc przez pokój. Uderzyła o parapet, zachwiała się i wypadła przez ogromne okno.

Wolf podbiegł do okna i spojrział w dół. Ciało Czcigodnej Matki leżało na największej ze skał w ogrodzie. W ciemności, na pierwszy rzut oka scena ta wyglądała niczym swego rodzaju surrealistyczny obraz, lecz po chwili rogaty księżyc prześliznął się przez gęste chmury i bezlitośnie ujawnił makabryczne szczegóły: przełamane na pół plecy i strzaskaną miednicę. Skały były ciemne od krwi.

Wolf, śmiertelnie wyczerpany, przywarł do strzaskanej ramy okiennej. Głowa zaczęła opadać mu na piersi.

W jego myślach rozbrzmiały powtarzane niczym mantra słowa tajemniczego głosu:

„Nie zamykaj oczu”.

XXI

TOKIO-WASZYNGTON

Chika zabrała Wolfa do domu Minako. Przyniesiono go na noszach. Matce powiedziała, że nie wymaga hospitalizacji, tylko długiego wypoczynku.

Minako ucieszyła się na ich widok. Kazała położyć Wolfa we własnej sypialni i upierała się, że sama będzie się nim opiekować.

Kiedy się przebudził, nakarmiła go zupą *miso*, gotowanym ryżem i napoiła zieloną herbatą. Gdy spał, siedziała cierpliwie obok, a kiedy Chika do nich zajrzała, uśmiechnęła się do niej promiennie.

Po karmieniu często do niego mówiła.

— Więc ostatecznie stałeś się moim wielkim czarnym ostrzem. Widzisz, Wolf-san, to była twoja karma, ścieżka, na którą musiałeś wkroczyć. Wiem, że człowiekowi Zachodu trudno jest się z tym pogodzić, ale teraz na sobie poznałeś działanie karmy.

Wolf obserwował ją spod sennych, na wpół opuszczonych powiek bez słowa.

— To ona cię do mnie przywiodła. Gdy spotkałam cię po raz pierwszy w Kambodży, byłam zbyt zajęta sobą, by zrozumieć, kim jesteś. Byłeś dla mnie nikim. Przyznaję, że opętał mnie Thornburg Conrad Trzeci. Wykorzystałam swoją przewagę, by dał mi to, co było mi przeznaczone: kolejne dziecko z nadzwyczajnym darem, kolejnego wojownika w mojej

bitwie z Czcigodną Matką. A on w zamian za to przysiągł dopełnić zemsty. Karmiła go zupą *miso* z benedyktyńską cierpliwością. — Ale z tego, co powiedziała mi Chika, wynika, że od samego początku nie doceniałam Conrada. Widzisz, Wolf-san, byłeś jego koniem trojańskim. Wykorzystał cię, byś przeniknął do Toshin Kuro Kosai i wydarł tajemnicę długowieczności, którą się cieszymy: ty, ja i Chika, i którą cieszyłaby się Czcigodna Matka, gdybyś jej nie zabił. — Uśmiechnęła się i wytarła mu brodę. — Ironia w tym, że ty i ja nadal żyjemy, a on wkrótce umrze, nie wiedząc, że posiada formę tego, czego szukał od tak dawna. Nie wątpię, że jego *makura no hiruma*, nieważne jak słaba, mogłaby uratować go od śmierci, ale tak się nie stanie. Nikt nie wezwie jego daru tak, jak twój dziadek i Chika zrobili to dla ciebie.

Nakarmiwszy go, Minako zajęła się przygotowaniem herbaty. Jej silne ręce z wprawą ubijały zieloną herbatę.

— Piękno życia, Wolf-san, często polega na jego ironii, nieprawdaż?

Później, gdy się przebudził, poprawiła mu pościel pod szyją.

— Ach, przebudziłeś się. — Na jej twarzy błysnął poufały uśmiech. — Nie wątpię, że z przyjemnością usłyszysz, iż śmierć Yoshidy położyła kres politycznym morderstwom w twoim kraju. Co do projektu ustawy, no cóż, Amerykanie sami muszą zdecydować. Jeżeli są dość głupi, by pozwolić na prezydenckie weto, zapłacą wysoką cenę. Ja nie mogę nic na to poradzić. — Minako zamknęła oczy jakby w ekstazie. — „Shian Kogaku: Zawsze jesteśmy z tobą”. — Zachichotała. — To więcej, niż kiedykolwiek mówił jakikolwiek slogan, nie sądzisz? Mój koncern jest na jak najlepszej drodze do ekonomicznego zdominowania Japonii, co w rezultacie oznacza, że wpłynie na ekonomię wszystkich krajów świata.

W jej oczach rozbłysło wewnętrzne uniesienie. Poprawiła mu poduszkę zupełnie niepotrzebnie; unosząca się nad Wolfem jej piękna twarz niewytłumaczalnie przywiodła mu na myśl ostatnie sekundy spędzone w świecie Wyroczni.

— Widzisz, Wolf-san, prawda często bywa ukryta pod tak wieloma warstwami kłamstwa, że w końcu nawet sam kłamca zapomina, gdzie ona jest. Prawda zaś dotycząca mojej rodziny jest taka, że każde z moich dzieci na swój sposób było dla mnie użyteczne. Yuji zbudował Wyrocznię. Kazuki, biedna, skazana przez przeznaczenie istota, dostarczyła mi jej modelu. Zdominowały ją słabe geny ojca, więc jej *makura no hiruma* pożarła ją

żywcem. Nieszczęsna Hana służyła mi za obronnego psa. Jediną osobą, o którą kiedykolwiek dbała, był Yuji i wiedziałam, że będzie strzegła go przed Stowarzyszeniem Czarnego Ostrza (dopóki nie będę go potrzebowała). A Chika, ta dzielna wojowniczką, była moim triumfem, rezultatem lekcji, jakiej nauczyłam się od Kazuki. — Minako pochyliła się, uśmiechając zyczliwie. — Przypuszczam, że zastanawiasz się, dlaczego mówię ci to wszystko. No cóż, jesteś cudzoziemcem. A podejrzewam, że im starszy człowiek się staje, tym większą pociechę sprawia mu spowiedź. Problem polega na tym, by znaleźć właściwą osobę, kogoś, kto zrozumie, kogoś, kto doceni to, co się zrobiło. — Pochyliła się niżej. — Przybyłeś tu i osiągnąłeś swój cel. Ale teraz, gdy jest po wszystkim, co mam z tobą zrobić? Och, bez obawy, nie mam zamiaru popełnić obrzydliwości, jakie praktykowała Czcigodna Matka. Jej *makura no hiruma* doprowadziła ją do obłądzenia. Rozumiesz jednak, Wolf-san, twoja obecność jest dla mnie... krępująca. — Przynęła usta do jego ucha. — Wiesz zbyt dużo, a twoja nadzwyczajna moc wkrótce wykryje to, czego jeszcze nie wiesz. Zdobyłeś serce mojej córki i już nie mogę liczyć na jej absolutną lojalność. Jednym słowem, jesteś zbyt potężny. Nie mogę na to pozwolić.

Gwałtowna manifestacja jej *makura no hiruma* obróciła dzień w noc. Wielki lis jej wyobraźni zaczął skradać się przez pokój, celując rozwartymi szeroko, groźnymi szczękami w gardło Wolfa.

— Jak łatwo zapomina się o różnicy między mocą a władzą — powiedział Wolf.

Minako drgnęła i obróciła głowę w kierunku drzwi. Krzyknęła na widok Wolfa. Wielki ciemny lis zawahał się. Z kolejnym krzykiem odwróciła się w stronę swego pacjenta. Twarz jej pobieliała, gdy złapała pościel i zdarła ją z ciała.

— Chika! Co...

Lis zniknął.

— Moc jest złośliwą i bezmyślną bestią — powiedział Wolf, wchodząc do pokoju. — Najpierw znieczuliła nas na ból innych, a potem sprawia, że ból staje się koniecznym czynnikiem przypominającym nam, iż nadal mamy nad nim przewagę. Władza jest świadoma i sprawiedliwa, jest wyważonym stosunkiem *ki*, energii życia, i współczucia.

Jeżeli Minako go słyszała, to nie okazała tego. Uklęła, wlepiając rozszerzone oczy w córkę.

— Coście mi zrobili?! — krzyknęła.

Wolf wiedział, że mówi do niego.

— Wiele się nauczyłem w czasie krótkiego pobytu w Japonii. I wiem, że im człowiek z *makura no hiruma* posiada większą: wiedzę, tym lepiej jest przygotowany.

— Przygotowany, na co? — zapytała Minako.

— Na szaleństwo — odparł Wolf. — Widzisz, czego się nauczyłem, Minako. Niebezpieczeństwo jest w życiu. Nie w śmierci. To było ostatnia przepowiednia Wyroczeni, jedyna tajemnica, którą chciała, bym dla niej zinterpretował, tajemnica, której nigdy nie potrafiłaby pojąć: że to jej moc doprowadziła ją do obłądu.

Zbliżył się do Minako, a ona nie uczyniła żadnego ruchu.

— Tylko Hana zgłębiła naturę *makura no hiruma*. Ten sekret jest stary jak czas, Minako, a brzmi następująco: władza demoralizuje; absolutna władza demoralizuje absolutnie. *Makura no hiruma* jest władzą absolutną, a jej absolutna demoralizacja wyraża się w szaleństwie. Czeka ono każdego, kto ją ma.

— Nie! Nie, nie, nie!

— Tak. — Przykucnął obok niej. — I wydaje mi się, że zaczynałaś podejrzewać, iż właśnie tak może być.

— Nigdy...

— Widzisz, Minako, gdy Chika zaczęła wyjaśniać mi tajemnicę walki między dwoma frakcjami Toshin Kuro Kosai, coś mnie zaniepokoiło. Byli tam dobrzy faceci i źli faceci, ale ja nie potrafiłem ich odróżnić. Czy Czcigodna Matka była obłąkana? Wyglądało na to, że tak, ale zarazem głosiła, że to ty jesteś szalona. Oczywiście, mogła kłamać. Jednak nie kłamała. Chika potwierdziła to, kiedy rozmawialiśmy; w „Zakazanych Snach” po zniszczeniu Czcigodnej Matki. Rzeczywistość zmieniała się niczym chimera. Istotny kształt tej walki umykał mi, póki nie dotarłem do prawdy, która mówi, że dobro i zło straciły swoje znaczenie. Wszyscy powoli tracicie rozum. Tym, Minako, też nie różnisz się od Czcigodnej Matki. Czas by to w pełni wykazał, a w tej chwili mówi o tym twoje wyznanie... Wszyscy tracicie zdolność rozróżniania dobra od zła, prawa od chaosu. Stworzyliście własny porządek w absolutnej pogardzie dla innych. Jesteście jak zaraza, którą trzeba wyplenić. I tak jedyną nagrodą za ścieżkę, jaką wybrałaś, jest twoje unicestwienie.

— Chika... — Był to patetyczny dźwięk, jęk staraj kobiety, która wie, że umiera.

Chika potrząsnęła głową. Na jej twarzy nie malowały się żadne emocje, ale Wolf wyczuwał rozdzierającą jej serce rozpacz.

— Skazałaś się własnymi słowami — powiedziała. — Nauczyłaś się kłamać w chwili swego wezwania. Jak powiedział Wolf, sama wybrałaś tę ścieżkę i teraz widzisz efekty. Odcięłaś się od każdego, kto mógłby cię kochać. Zostałaś sama ze swą cudowną mocą, i tak będzie do końca. Już jesteś szalona. Ty i Czcigodna Matka byłyście splecione w obłądnej walce o władzę. Ale co chciałaś zrobić po zwycięstwie? Możesz mi powiedzieć? Nie, nie sądzę, by celem tych wszystkich manipulacji, terroru i rzezi było po prostu zniszczenie drugiej strony; celem było absolutne panowanie. — Spojrzała w oczy Minako. — Gdybym potrafiła żywić do ciebie jakieś uczucia, odczułabym litość. Ale, prawdę mówiąc, nie czuję niczego.

Minako jęknęła i upadła na futon, na którym leżała córka. To moc Wolfa sprawiła, że widziała leżącego Mathesona, a nie Chikę. Wolf odwrócił ją, jej twarz była tak blada, że aż niebieskawa.

— Żyje, ale ledwo, ledwo — oznajmił Wolf. — Coś, co gromadziło się w niej od dziesiątków lat, w końcu pękło.

Życie Minako upłynęło na knuciu i rodzeniu, jak sama mówiła, żołnierzy, którzy przyłączyliby się do niej w świętej wojnie, przeciwko Czcigodnej Matce. I w imię czego? W imię przyszłości, co do której była przekonana, że stworzy ją z łatwością architekta projektującego budynek.

— Wydaje mi się — rzekła Chika, patrząc na bezwładne ciało Minako - że problem mojej matki zawsze polegał na tym, iż myliła siebie z Bogiem.

Jakiś czas później, gdy chłodny wiosenny dzień dobiegał końca, Wolf i Chika spacerowali w ogrodzie otaczającym dom Minako. Pierwsze delikatne pąki klonów wzywały z gałązek po długim zimowym śnie niczym kurczęta ze skorupki. Wysoka, ciemnozielona kryptomeria szeleściła na wietrze, a powietrze przesycił bogaty zapach świeżo skopanej ziemi. Ale wiszący wysoko w górze gęsty jak zupa smog sprawiał, że człowiek myślał, iż nigdy już nie ujrzy horyzontu.

Wolf był zadowolony, że jest z Chiką. Wiedząc, kto jest jej ojcem i ile naprawdę ma lat, cieszył się, że nie jest tak stara, tak straszliwie stara jak reszta.

— Powiedz mi, co zaszło między tobą a Nishitsu.

Chika roześmiała się prawie bezdźwięcznie; tylko do tego była zdolna w tej chwili.

— Mówiłam ci już dwa razy.

— Chcę usłyszeć to jeszcze raz.

Nadszedł czas, gdy zdała sobie sprawę, że jej *makura no hiruma* nie sprostą mocy Nishitsu, więc uciekła się do podstępu. Udała, że traci przytomność i osunęła się w jego ramiona. Kiedy Nishitsu zaczął ciągnąć ją na korytarz, jej spódnica uniosła się powyżej bioder.

Tak łatwo przewidzieć reakcję mężczyzn! Nishitsu zatrzymał się, by spojrzeć na to, co odsłoniło się pod spódniczką i jego zachowanie uległo zmianie. Wyczuła odpływ zniewalającej ją psychicznej mocy i zamachnęła się czarną, uzbrojoną pięścią *makura no hiruma*.

Nishitsu upadł i już nie miała z nim problemu.

Później, wyczuwszy śmierć Czcigodnej Matki, ruszyła na górę do Pokoju Pięciu Cieni. Objęła Wolfa z namiętnością, o jakiej wcześniej mogła tylko marzyć. I trzymając go w ramionach, płakała nie tylko ze szczęścia, że jest bezpieczny, ale z rozpaczony nad najbliższą przyszłością, która unosiła się w powietrzu niczym posępny cień.

To wtedy Wolf powiedział jej, co zaczął podejrzewać, odczytując przyszłość z przepłatających się wątków terażniejszości. Przekazał, co powiedziała mu Hana, i wyjaśnił, co trzeba zrobić, by to udowodnić. Więc obmyślili podstęp z jego rekonwalescencją. „Wiem, że to brzmi jak okrutny żart — powiedział — ale jeżeli mam rację, to będzie nasza jedyna szansa złapania jej w pułapkę”.

Musiał w pełni zdawać sobie sprawę z tego, o co ją prosi. Ostatecznie Minako była jej matką, bez względu na uczucia, jakie do niej żywiła. Ale Chika zgodziła się bez słowa i Wolf wzruszył ramionami, przyjmując, że jej zgoda jest jedynie wyrazem niezachwianej wiary w karmę.

Skończyła opowiadać mu o ucieczce Nishitsu, a on ujął jej dłoń.

— Nigdy nie wybaczę jej, że wykorzystwała nas wszystkich. Byliśmy jej dziećmi. Jak mogła to zrobić? — dodała.

— „Nigdy” to długo — powiedział Wolf

— Szczególnie dla mojej matki.

Zamilkła, a on rozumiał jej niechęć do mówienia o Minako. Miało minąć wiele gorzkich lat, nim ona i Yuji zdołają zapomnieć, nim będą mogli pogodzić się z tym, kim była ich matka i co im zrobiła.

Łzy błysnęły w kącikach jej oczu.

— Złapana między nimi dwiema, byłam przerażona i przekonana, że nie przeżyję konsekwencji ich szaleńczych planów, Potem matka powiedziała mi o tobie, a ja pomyślałam: jeżeli to prawda, to tylko on położy temu kres.

— To wszystko wydaje się snem.

— Może dlatego, że uczysz się, iż jest tak wiele rzeczywistości.
— Uścisnęła mu rękę.

Mijali część domu Minako wychodzącą na ogród. Przez szklane drzwi widzieli Yuji. Stał pogrążony w cytrynowym świetle lampy — czarna figura z rękoma w kieszeniach, patrząca na nich lub na kryptomerię obok, ale niczego nie widząca.

— Mój biedny brat. Był jak laser, skoncentrowany snop światła oświetlający jeden aspekt przyszłości, w którym jego wspaniały umysł rozwiązywał naukowe tajemnice. Źle, że reszta życia zawsze była dlań zagadką, której nie potrafił rozwiązać.

Chika odeszła od Wolfa, przecięła trawnik i otworzyła szklane drzwi.

Wolf, który poszedł za nią, słyszał rozmowę rodzeństwa.

—Wszystko w porządku, Yuji-san?

—Próbowałem znaleźć Wakare, ale zniknął.

On nie żyje, Yuji — rzekła cicho Chika. — Znalazłam go
W „Zakazanych Snach”.

Yuji nie odwrócił głowy w jej stronę, ale ona dostrzegła błysk w jego oczach.

Jak umarł?

— Policja nie ma pojęcia. Jeżeli dopadła go Czcigodna Matka, co Wydaje się logiczne, nigdy się nie dowiedzą.

Stoicko pokiwał głową, a ona powiedziała:

— Biedny Yuji. Zdradzony przez życie. — Próbowała spojrzeć mu w twarz, lecz on się odwrócił. — Możesz zostać tu tak długo, jak zechcesz.

Rozpaczliwie pragnęła dodać coś więcej, zaproponować pomoc, ale nie mogła go w ten sposób poniżyć. Już został zdradzony przez matkę i najlepszego przyjaciela. Jej obowiązkiem było zostawienie mu resztek godności, okazanie, że ona czuje, iż jest dość silny, by samodzielnie poradzić sobie z tą straszliwą tragedią.

Yuji zadrżał lekko.

— Nie. Moim jedynym domem jest „Shian Kogaku”. Zawsze tak było.

W każdym razie mam tam wiele do zrobienia. Muszę mianować nowego

wiceprezesa i przygotować się do cyklu wykładów, jakie mam wygłosić w Stanach Zjednoczonych. Teraz, bardziej niż kiedykolwiek, ważne jest, by Amerykanie dowiedzieli się o nas jak najwięcej. A poza tym jest Kazuki. Mam pewien pomysł. Może będę mógł jej pomóc i wtedy przed Wyrocznią stanie cel naprawdę wart zachodu.

Chika obserwowała go, gdy opuszczał dom. Nie zapytał o Minako, nawet do niej nie zająrzył. To była wyłącznie jej sprawa.

Zamyślona wróciła do Wolfa.

— Co teraz zrobimy? — zapytała. — Członkowie Toshin Kura Kosai nadal są rozrzućeni po całym świecie, ale ta klika zawsze była tak ze sobą powiązana, że bez szefa szybko straci swoją siłę przebicia.

— Możemy spędzić życie na tropieniu członków stowarzyszenia i wyłapywaniu ich albo zostawimy ich w spokoju. Niech się dopełni ich przeznaczenie.

Oboje wiedzieli, co by to oznaczało, i orientowali się, że wynikłoby z tego mnóstwo kłopotów. Żadne nie było jeszcze przygotowane, by się z nimi zmagać.

Trzymali się za ręce, spacerując ścieżkami, na które rzucały cienie rosnące po bokach drzewa. Tu i tam rozlegały się ptasie śpiewy. Zatrzymali się przy prostej betonowej ławie, która okazała się tak niewygodna jak Wolf się spodziewał. Jednakże siedzieli, ciesząc się błękitnym zmierzchem, otulającym przejrzystym welonem okolicę.

— Mamy siebie, Wolfie — wyszeptała Chika.

— Tak, i o to chodzi.

Ale najważniejsze było to nie wypowiedziane: Na jak długo? Groza tego, co stało się z Czcigodną Matką i Minako, wisiała w powietrzu jak całun. Oboje wiedzieli, że pewnego dnia może spotkać ich ten sam los. Czy nie było ucieczki przed tym strasliwym efektem *makura no hirumal*? Czy byli skazani na powolne pogrążanie się w obłędzie?

Wolf potarł skronie, czekając na tajemniczy głos wewnętrzny. Wiedział, do kogo należy: do Hany. Hanie udało się wydostać ze swego więzienia; nie umarła wraz z Wyrocznią. Może ona znalazłaby dla nich jakieś wyjście.

Nie — pomyślał — przecież nie była w stanie uratować nawet siebie,

— Musi być jakieś wyjście, Wolfie.

— Może. Ale oboje zajrzeliśmy w przyszłość i nie znaleźliśmy go.

— Zawarliśmy również przymierze. Po raz ostatni skorzystaliśmy z naszego daru. Ludzie nie powinni widzieć przyszłości.

— Pokusa złamania tej umowy będzie bardzo silna. Myślisz, że wytrwamy?

— Tak — rzekła tonem, w którym nie było miejsca na wątpliwości.

— Oczywiście, że tak — powtórzył, ściskając jej rękę.

Wolf był świadom jak z gruntu fałszywe jest ludzkie widzenie wszechświata. Czas, jeden eon i drugi, reprezentujące linearną formę myślenia, były toporną próbą wyodrębnienia z nieskończonego chaosu logicznego szkieletu i uczynienia zrozumiałym tego, co z założenia wykracza poza ramy logiki.

I wtedy pojął, że Hana miała rację. Nie istnieje coś takiego jak „pojedynczy moment”. Każda „chwila” ma tak wiele warstw jak cebula, a z nimi wiążą się miriady decyzji, zmian, przekształceń w czasie i przestrzeni. Prawdę powiedziawszy można było mówić tylko o odgałęzieniach; koncepcja jedynej prostej drogi była czysto iluzoryczna. W świetle tego być może istniało dla nich jakieś wyjście.

Chika spojrzała na niego.

— O czym myślisz?

— Zastanawiałem się nad swym obowiązkiem.

Chika obdarzyła go kolejnym nikłym uśmiechem.

— To bardzo japońskie.

Milczeli przez dłuższy czas. Ptaki wyśpiewywały swoje treie, robiło się coraz ciemniej. Od czasu do czasu w pole widzenia wpadał robaczek świętojański. Powoli otaczała ich noc.

Wolf podniósł głowę i spojrzał w rozgwieżdżone niebo.

— Bez względu na to, jaką nową drogę wybierzemy, Chiko, przed zejściem z dotychczasowej muszę zrobić jeszcze jedną rzecz. Pozostała mi do rozwiązania ostatnia tajemnica.

— Wiem. Chcę być z tobą, gdy będziesz to robił.

— Jesteś pewna?

Skinęła głową, a on wyczuł jej drzenie.

— Już rozprawiłam się z własną matką. Cóż może być gorszego.

Siedzieli blisko siebie jeszcze bardzo długo.

Rozpętała się burza z piorunami. Deszcz tłukł o asfalt ulic i dudnił po dachach. Za nim, nisko przy ziemi, naciągała gęsta, opalizująca mgła.

Wolf przebudził się, czując w nozdrzach odór tej dziwnej mgły. Miała zapach otwartego grobu. Wdychając tę woń, zrozumiał, że jego praca w Japonii jeszcze nie jest skończona.

W domu panowała cisza i spokój, a jednak ta mgła sprawiła, że zadrżał. Opary niesły z sobą trwogę, jaka towarzyszy opuszczaniu miejsca urodzenia, gdy człowiek wie, że nigdy doń nie wróci. Biały Łuk czasami napomykał mu o takich odczuciach. „Często — mówił — doświadczają ich zmarli, którzy nie wkroczyli jeszcze na ścieżkę śmierci. Albo ci, którzy mają niebawem umrzeć”.

Wolf ubrał się szybko i wyszedł z domu. Wsiadł do jednego z samochodów zaparkowanych przed domem Minako; kluczyki leżały na drewnianej szafce w holu.

Chociaż był zmuszony do jazdy lewą stroną drogi i nie potrafił odczytać znaków, uparcie dążył ku płonącemu sercu Tokio, oświetlonemu przez neony tak imponujące, że nawet samuraj Ieyasu Tokugawa byłby pod wrażeniem. Deszcz zmywał do ścieków pełzające po asfalcie barwy.

Prowadziła go *makura no hiruma*, tak samo jak wcześniej przebudziła, uczulając na niebezpieczeństwo. Na czym ono polegało? Nie potrafił powiedzieć, wiedział tylko, że napełnia mu usta goryczą niczym trucizna.

Dostrzegł jakiegoś punka na kawasaki, który wyprzedził go i przemknął przez światła, strzelając spod tylnego koła strumieniem wody. Wolf przypomniał sobie Sumę szczerzącego się jak trupia czaszka.

Spojrzał w niebo. „SHIAN KOGAKU: ZAWSZE JESTEŚMY Z TOBĄ”. Nawet gwałtowna ulewa nie mogła zatrzeć gigantycznej krwawoczerwonej reklamy. Pędził dalej szerokimi bulwarami Tokio, w noc.

Gdzie leżało niebezpieczeństwo?

„To życie jest niebezpieczne. Nie śmierć”.

Zostawił samochód w pobliżu targu rybnego Tsukiji. Ryby podskakiwały na mokrym betonie, łuski opalizowały w świetle wiszących lamp. Para unosząca się z tysięcy żywych stworzeń kłębiła się w powietrzu i w chwili, gdy przechodził, zabiła nieco prześladowający go smród otwartego grobu.

W przelocie zwrócił uwagę na nocną aktywność targu: podniesione głosy i śmiech robotników, ciepło i zapachy budek z jedzeniem, pijaka sikającego w cieniu. Samo życie.

W ciemności czekała śmierć. Wolf wyczuwał ją tak samo dobrze, jak widział mgłę kłębiącą się wokół kostek. Rycząca bestia, przenikliwa — może nawet ludzka? — zwijała się i prężyła swe psychiczne muskuły. Dysonans jej *makura no hiruma* ranił mu uszy.

I tak stanął wreszcie przed pustą fasadą magazynu, domu świętej pamięci Wyroczni. Samotna żarówka brzęczała i syczała, gdy trafiały w nią krople,

a metalowy klosz nad nią kołysał się dziko w podmuchach wiatru nad rzeki Sumidy. W ruchliwym stożku światła widniały metalowe drzwi bez tabliczki informacyjnej.

Drzwi nie były zamknięte na klucz i gdy się zbliżał, gwałtownie otworzyły się, huknęły w ścianę i zatańczyły pod wpływem silnego podmuchu wiatru.

Wolf wszedł do środka. Cóż innego mógł zrobić? Jego *makura no hiruma* bezbłędnie przyprowadziła go tutaj i wiedział, że nie bez celu.

„To życie jest niebezpieczne. Nie śmierć”.

Ostrzeżenie Wyroczni.

Magazyn był opuszczony — albo miał zostać opuszczony w niedalekiej przyszłości. Wolf czuł ciarki wzdłuż kręgosłupa i zastanowił się, czy jego dar nie pcha go ku śmierci.

U podstawy szybu windy spojrzął w ciemność. Cokolwiek na niego czekało, było w laboratorium, w którym spoczywały doczesne szczątki Wyroczni.

Pojechał na górę. Zawroźnienie silnika odbijało się echem po magazynie niczym wycie zimowego wichru w sosnowym lesie. Wysiadł z winy na najwyższym piętrze i ruszył po skrzypiących deskach starej drewnianej podłogi. Po lewej stronie, na końcu korytarza, był dom Wyroczni.

Ciemność stała się wodnista, stopniowo gęstniejąc do konsystencji szlamu. Teraz mógł powiedzieć, dlaczego przywiódł go tu dar: ktoś czy coś próbowało ocalić Wyrocznię. Zatrzymał się w korytarzu i wysłał swoją *makura no hiruma*.

I wtedy wszedł do laboratorium. Widział już czarną bestię oraz spiętrzone urządzenia kontrolne. Pomruk obwodów napełniał powietrze nieprzyjemnym brzęczeniem. Wyrocznia kulila się wśród kłębowiska przewodów, płytek krzemowych, światłowodów, grafitowo-borowych łączy. Jej oblicze było ciemne, a serce nieruchome.

Wolf dostrzegł kątem oka ruch szybki jak atak węża. Odwrócił głowę; cień nadal trzymał się na skraju widzenia, wyczuwalny, ale nie całkiem widzialny.

Potem z ciemności wychynęła czarna ręka *makura no hiruma*, tak potężna, że zakolysała budynkiem do fundamentów. Wolf wiedział, że chce go zetrzeć w proch.

Dym i iskry zawirowały w wejściu do laboratorium, ale nie pojawił się odór palonego ciała.

Manifestacja daru trwała tylko przez chwilę, lecz w tym czasie Wolf, stojąc w półpłynnym cieniu korytarza, zdołał poznać nieco naturę swego przeciwnika. *Makura no hiruma*, którą wyczuł, projektując samego siebie, była nie tylko niesamowicie potężna, ale i bardzo stara, starsza nawet od aury Czcigodnej Matki; prawdę mówiąc, musiała liczyć kilkaset lat. Wiedział również, że jej właścicielką była matka Jasona Yoshidy.

Wolf stał nieruchomo. Potrafił kontrolować swój oddech, ale nie przyspieszone bicie serca. Był przerażony, ponieważ nigdy nie spotkał zła tak starego, że nie miało nawet nazwy. Było to zło, które, jak wiedział, mógłby rozpoznać Biały Łuk. Zastanowił się, czy ono może go wykryć.

Wyczarował wizerunek Yoshidy i wprowadził go do laboratorium. Tym razem trzymał się tuż za projekcją. Zobaczył coś, co zdało się wyładowaniem elektrycznym, tysiącami świetlików. A z cieni wyłoniła się Evan.

Wolfa kompletnie zaskoczył jej młody wygląd. Chwilowo otumaniony, stracił kontrolę nad wizerunkiem Yoshidy, który zachwiał się niczym[^] płomień świecy na wietrze.

Evan nie omieszkła wykorzystać tych sekund. Przesunęła uwagę z pustego obrazu Yoshidy na Wolfa.

Wolf zwał się w sobie. Wnętrze laboratorium zamigotało, zobaczył swego dziadka. Duch Białego Łuka wzniosł dłoń w geście powitania.

— Czekałem, aż mnie wezwiesz — powiedział. Pachniał skórą i peyotlem, a jego twarz była zatroskana. — Zło jest tutaj, i ty musisz je pokonać, Wolfie. Będzie ci jednak potrzebna moja pomoc.

— Powiedz mi, co mam zrobić — rzekł Wolf.

— Chodź tutaj i stań obok mnie. Teraz jesteś w krainie żywych. Musisz zejść w dół, do krainy śmierci.

— Umrę.

— Nie. Jesteś szamanem. Sam cię wyszkoliłem. Nic ci się nie stanie. Potrzebuję twojej mocy, by wydostać się z krainy śmierci i stoczyć ten ostatni bój.

Wolf uwierzył mu i zrobił krok w jego stronę. I poczuł, że ziemia rozstępuje mu się pod nogami. Zaczął się zsuwać, stracił kontrolę...

Zbyt późno zrozumiał, że był to jedynie podstęp Evan, która wyciągnęła wszystko z jego świadomości. Zbyt późno również zrozumiał, że wizja miała jedną wadę: duch Białego Łuka przyszedłby z nieba, a nie spod ziemi.

Zbyt późno otworzył oczy i wlepił je w piękną twarz Japonki. Jej ręka zacisnęła się na jego gardle a *makura no hiruma* ścisnęła mu serce.

— Zabieś mego syna — wyszeptła złowieszczo. — Odślonieś tajemnice hierarchii, której stworzenie zabrało mi całe stulecie. — Jej paznokcie wbijały się w jego ciało, z ran sączyła się krew. — Ludzie wierzyli, że szefem Stowarzyszenia Czarnego Ostrza był Nishitsu, inni byli przekonani, że rządzi nim Czcigodna Matka. — Na jej twarzy pojawił się upiorny uśmiech. — Niektórzy zaś byli pewni, że szefem jest Minako Shian.

Błękitny płomień próbował rozgorzeć wewnątrz Wolfa, on zaś walczył, by go powstrzymać. Ogień mógł go spopielić tak, jak jego wcześniejszą projekcję.

— Prawda jest taka, że był tylko jeden szef Stowarzyszenia Czarnego Ostrza: ja. Ja rządziłam wszystkim. Moja *makura no hiruma* jest tak potężna, że mogłabym to robić, nawet będąc dzieckiem. Stowarzyszenie Czarnego Ostrza jest moim dziełem i nie pozwolę, byś je zniszczył.

Błękitny płomień rozpalał się; Wolf wyczuwał go, temperatura jego ciała wzrastała do krytycznego poziomu. Oczyma wyobraźni zobaczył w płomieniach Cathy, Bobby'ego Connora, Hayesa Walkera Johnsona i jego żonę, i Amandę w kałuży własnej krwi.

Zdobył się na potworny wysiłek i uderzył rękoma w piersi Evan, która się zatoczyła, ale zaraz uśmiechnęła się i ruszyła ku niemu.

Nacisk w jego wnętrzu, który zelżał na chwilę, stał się jeszcze potworniejszy. Wolf spróbował ujarzmić swoją *makura no hiruma*, skierować czarne ostrze w twarz Evan. Kobieta zachwiała się, ale nie zatrzymała.

Potężna siła nie zadziałała. Usiłował przeniknąć do jej mózgu, ale natknął się na taki chaos, że aż wrzasnął. Brzęczenie dziesiątków tysięcy owadów w powietrzu, w jego mózgu, przyprawiło go o zawrót głowy.

A ona znów była przy nim, jej paznokcie wbijały się w ciało, błękitny płomień zaskwierczał, biegnąc w górę jego ręki. Mdlący smród palonego mięsa...

Czując zbliżającą się śmierć, wezwał dziadka, prosząc o jego siłę, i zebrał ostatnie resztki swojej *makura no hiruma*.

Evan potoczyła się w tył i trzasnęła plecami w Wyrocznię. Wyprostowała się i uśmiechnęła, wiedziała bowiem, że Wolf wyczerpał resztę sił. Ruszyła ku niemu.

Nagle wyraz jej twarzy uległ gwałtownej zmianie. Zatrzymała się w pół kroku i spojrzała w dół. Przewody oplatały jej nogi, a gdy kopnęła je, mrok przecięły syczące iskry.

Evan dosłownie uniosła się w powietrze. Prąd płynący w przewodach uderzył w nią z siłą pioruna. Oczy wyskoczyły jej z orbit, włosy uniosły się wokół głowy niczym wężowa grzywa Meduzy, a ciało zatańczyło w dziwnym tańcu. Otworzyła usta w bezgłośnym wrzasku, gdy wyzwolona energia skwiercząc smażyła skórę.

Wreszcie trup zważył się na podłogę, a jego kończyny jeszcze przez chwilę miały się w gwałtownych spazmach.

Wolf zerwał się na nogi i powoli podszedł do Wyroczni. Na jej obliczu igrał miękki żar. Czy była to satysfakcja? Niemożliwe. Wyrocznia była martwa; sam dopilnował, by tak się stało.

A jednak...

Podniósł rękę do ran na karku, siłą woli powstrzymując krwawienie. Spojrzał na luźne pętle przewodów owiniętych wokół nóg Evan. Jak to się stało, że się w nie zaplątała? Schylił się, by przyjrzeć się uważniej.

— WITAJ, WOLF-SAN — szepnęła Wyrocznia.

Wolf spojrział w jej twarz. Czy zobaczył coś na niej? Czy usłyszał westchnienie satysfakcji?

— CZAS SPACĆ...

Światła kontrolne zamrugały i powoli zgasły.

ROZSTANIE

*Śnieg,
na który patrzyliśmy razem
czy w tym roku opada na nowo?*

>MATSUO BASHO<

WASZYNGTON

Źródłem wszystkich dźwięków w sali prywatnego szpitala były maszyny; źródłem wszelkiego ruchu były maszyny. Tworzyły rodzaj enklawy wokół ludzkiej istoty — żywej lub zaledwie wegetującej, w zależności od punktu widzenia.

Lekarze, którzy nadzorowali jego postępy — o ile było to właściwe słowo — w pokonywaniu tej szarej otchłani między życiem a śmiercią, zgadzali się, że rzeczywiście żyje. Inni jednakże, którym brakowało specyficznej medycznej zaprawy do osądzania tego stanu rzeczy, spisali go na straty. Nawet pielęgniarki, wyszkolone wszak do współczucia, nie uważały go za żywego, ale za coś pozostającego w stanie pośrednim, w zawieszeniu, jak koloid w laboratorium.

Takie było przeznaczenie Thornburga Conrada Trzeciego: zostać postrzelonym za liczne grzechy, ale nie umrzeć. Istnieć w tym żywym piekle, nie ruszać się, nie mówić, ale myśleć, tylko myśleć, gdy maszyny zmuszały serce do pracy, pompowały powietrze do płuc, wsączyły odżywkę w żyły, odprowadzały wydaliny.

Czy było to życie? Nie z definicji. Ale taką otrzymał karę, był tego absolutnie pewien; nie za pogardę, jaką czuł do pierwszej żony, matki swych dzieci, nie za ostentacyjne lekceważenie bólu drugiej żony, doskonałej Tiffany Conrad, nie za ślepą namiętność do życia, która

doprowadziła go do patrzenia przez palce na liczne morderstwa, nie za wyrzeczenie się dzieci, bo nie stały się ludźmi takimi, jak sobie życzył. Nie, w swoich oczach ponosił karę za jeden jedyny grzech: za zamordowanie syna.

Gdyby był człowiekiem religijnym, zwróciłby się do Boga, wyraził skruchę, żałował za winy i zyskał przebaczenie. Ale Chrystus był dlań tylko słowem, słowem nadużywanym ponad wszelką miarę. Pamiętał, jak jego ojciec głośił z patosem: „Nikt, a zwłaszcza kapłan, nie będzie mi mówił, co mogę, a czego nie mogę. A swoją drogą, co kapłan może wiedzieć o prawdziwym świetle?”

Byłoby miło — myślał czasami — mieć obok siebie kapłana, który zapewniłby go, że wybaczone mu śmiertelny grzech. To jednak było niemożliwe. Poza tym nie przebaczenia Boga potrzebował. Pragnął przebaczenia Hama. A Ham zginął z jego ręki.

Rozpacz narastała w nim tak bardzo, że życzył sobie tylko jednego: krótkiej chwili ustąpienia paraliżu, aby móc wydrzeć ze swego ciała te wszystkie rury i umrzeć w pokoju. Każdy kolejny sztuczny oddech sprawiał mu katusze. Zasłużył na śmierć, teraz to rozumiał, i miał nadzieję, że koniec nadejdzie szybko. Słyszał, co mówili doktorzy. Nawet te wspaniałe maszyny nie mogą zbyt długo podtrzymywać czynności życiowych jego ciała.

Szybko. Ale nie dość szybko.

Stał się świadom otwieranych drzwi. Znowu lekarze, idioci debatujący nad niewiadomym! Jak on ich teraz nienawidził, jak głupi mu się wydawali, udając, że są mądrzejsi niż w rzeczywistości. Wiedzieli tak niewiele o życiu i w ogóle nic o śmierci, która, był pewien, stanowiła dlań jedyne wyjście.

Jakże tęsknił do niepamięci! Po tak długiej szamotaninie w ciemr życia wiedza, że koniec jego udręki leży dosłownie w zasięgu sprawiała mu niewysłowioną ulgę.

Ale nie, zobaczył, że to nie lekarze przyszli z wizytą, nie by również prawnicy, którzy odwiedzali go regularnie i krążyli nad jak sępy.

Dobry Boże! — pomyślał. — To Wolf Matheson, a u jego boku ta oszalamiająca młoda Japonka. Taką miałem nadzieję. To jak nadejście anioła śmierci. On wie, co mu zrobiłem, a teraz przychodzi, by zakończyć rozpoczęte przez Stevie dzieło.

— Thomburg — zaczął Wolf. — Wiem, że mnie poznajesz. Minęła dużo czasu, od kiedy widziałem cię po raz ostami, ale przypuszczam, że nie możesz powiedzieć tego o sobie. Deptałeś mi po piętach, śledziłeś każdy mój krok. No cóż, zrobiłem to, co chciałeś. Spenetrowałem Toshin Kuro Kosai, spotkałem Minako. Oczywiście, pamiętasz Minako. Jak mógłbyś zapomnieć? — Wolf położył ręce na ramionach Japonki. — To Chika. Jest córką Minako. Urodziła się w jakieś dziewięć miesięcy po tym, jak uciekliśmy z Kambodży. Pamiętasz, Thomburg? Pamiętasz, co tam się stało? Ty i Minako. Ona jest twoją córką. Co o niej myślisz?

Wolf pochylił się, uśmiechając zagadkowo, ale Thomburg był tak wstrząśnięty tą rewelacją, że jego umysł popadł w chwilowe odrętwienie.

Zapłodnił tę sukę Minako? Dobry Boże!

Resztki jego świadomości zwinęły się w obronną kulę. Nie potrafił stawić czoła grozie konfrontacji z córką, o której istnieniu nawet nie wiedział, a która mogła wejść w jego umysł łatwo, tak jak ogląda się wystawę sklepową. Ona wiedziała, co zrobił! Dostrzegał wstręt i pogardę w jej oczach.

„Zabierz ją — błagał. — W imię Chrystusa, zabierz ją!”

Ale jeżeli Wolf go słyszał, to nie okazał tego.

— Ganiałeś mnie jak szczura w labiryncie, Thomburg, Potem zrobiłeś wszystko, co mogłeś, by mnie zabić. Dlaczego? Zawsze byłem dla ciebie jak szczęśliwy talizman. Czy nie tak myślałeś o mnie w Kambodży? Dlaczego to zrobiłeś? Taka więc jest, ostatnia zagadka, a ja, będąc tak dobrym detektywem, nie umiem jej rozwikłać. Ty zaś oczywiście nie możesz udzielić mi odpowiedzi. Co za ironia, prawda?... Zrobiłem to, o czym marzyłeś, odkryłem sekret, którego tak długo i rozpaczliwie szukałeś. W zamian za to moje życie zostało zmienione nieodwracalnie. To twoja wina, Thomburg, twoja i tej obsesji pokonania śmierci. Ale wybaczam ci. No cóż, może nie wybaczam, ściśle mówiąc, postaram się jednak o tym zapomnieć, to ty bowiem uratowałeś mi życie w Kambodży. Tego zaś zapomnieć nie potrafię. — Wolf uśmiechnął się. — Widzisz, moc, którą miała Minako, Japończycy nazywają *makura no hiruma*, co znaczy „ciemność w południe”, i jest to trafna nazwa. Wiem, bo sam posiadam ów dar. Tak samo Chika. I ty.

Wydział, że Wolf uważnie go obserwuje, doszukując się najlżejszej Hawet reakcji.

— Tak, Thornburg, to prawda, strawiłeś życie na pościgu za sekretem, który od początku leżał tuż przed twoim nosem. A dokładniej: w tobie. Trzeba było tylko go wezwać, a to właśnie zamierzam uczynić.

Nie! — błagał milcząco Thornburg.

— W ramach podziękowania za to, że dawno temu uratowałeś mi życie.

Nie. Nie rozumiesz. Jeżeli chcesz odpłacić się za uratowanie ci życia, to zabierz mi moje — modlił się Thornburg.

Potem został wyrwany z czasu. Znalazł się na rozległej cienistej przełęczy w przeogromnych górach. Skąły, rozdarte podziemną erupcją, osunęły się ze straszliwym łoskotem i z rykiem zwały na niego. Ale nie został pogrzebany; odkrył, że wznosi się nad przełęczą. Wtedy znów coś się zmieniło. Góry rozpuściły się w surową magmę i z chaosu wyłoniła się dziwna czerń, żywa i dysząca, połyskująca rodzącym się życiem. Czerń zgięła się i zasiadła u jego boku. Wytrzeszczył oczy: zdawała się jednocześnie złowieszczo obca i boleśnie znajoma.

— Teraz będziesz żył długo, Thornburg — mówił Wolf. — Kto wie jak długo? Może nie będziesz mógł się ruszać, ale nie będziesz tu potrzebował tych wszystkich maszyn. Twoja *makura no hiruma* utrzyma cię przy życiu.

Nie, nie, nie! Nie zostawiaj mnie z tym! Czeka, proszę! Muszę ci ci powiedzieć! Chcę umrzeć! Chcę...!

— Do widzenia, Thornburg.

Byli przy drzwiach, ale zagadkowy uśmiech Wolfa nadal palił jego wnętrzności, trawił mózg. Był to uśmiech przyjaciela czy wroga?...

— Mam nadzieję, że będziesz zadowolony z nowego życia.